

IV/856

HENRYK PŁASKI

RIAZAŃ!!!

--- T O N I E ---

--- P O D C H O R A, Ż Ő W K A !!!

WSPOMNIENIA Z LAT 1939-1948

===== O =====  
WARSZAWA 1979 r.

MOJEJ WNUSI - KOCHANEJ MAŁGOSI !

Dzieje życia Twojego dziadka, spisane tutaj, a obejmujące zaledwie osiem lat, nie posiadają znamion bohaterskich czynów. Są to przeżycia przeciętnego Polaka, któremu los przeznaczył ten zaszczyt i szczęście, że mógł uczestniczyć czynnie w tworzeniu zupełnie nowej rzeczywistości.

A U T O R

## P R O L O G

Zacząło się to właściwie bardzo dawno.

Moje wspomnienia sięgają pierwszych dni drugiej wojny światowej.

Głębokie przeżycia z okresu wojennego i ich jaskrawość wynikały z osobistego nerwowego napięcia jak też psychicznego zaangażowania. Szalejąca zawierucha wojenna była źródłem i tłem w odczuwaniu istotnego znaczenia występujących zjawisk.

Przeżycia osobiste i troska o bezpieczeństwo rodziny, stałe ~~trudności~~ zabieganie o utrzymanie znośnych warunków bytowania, przeplatały się z zaskakującymi zmianami w stosunkach politycznych na tle prześladowań ze strony władz okupacyjnych.

Wilno i mieszkańcy Wileńszczyzny to kalejdoskop obrazów i sytuacji, które ulegały zmianom w miarę zajmowania terenów przez różnych okupantów. Szczególnie Polacy byli poddawani doświadczeniom zależnie od metody i środków prześladowań.

Całość dziejów mojego życia w tym okresie, a więc lata 1939 do 1948, możnaby podzielić tematycznie na 3 części. Każda z nich posiadała charakterystyczne dla nich okoliczności, stwarzające warunki w jakich przetaczało się moje osobiste i mojej rodziny życie.

Możnaby tu wyodrębnić trzy okresy, obejmujące różne tematycznie zagadnienia.

Na mój własny użytek nazwałem je:

1. "Mój wrzesień", w odróżnieniu od innych "wrześni", a dotyczące mojego udziału w walkach armii polskiej z najazdem Hitlera.
2. "Konspiracja i partyzantka", a więc praca w akcjach dalekiego wywiadu i bezpośredniego udziału w starciach z ustępującymi z Wilna wojskami hitlerowskimi brygad partyzanckich.
3. "Więzienia i obozy sowieckie".

I . M Ó J   W R Z E S I E Ń

- Rozdział
1. Droga na front
  2. Walki we Lwowie
  3. Powrót z wojny

## Rozdział 1. D R O G A   N A   F R O N T

W powiecie lidzkim, na polskich kresach wschodnich leży wieś Bieniewice. Wieś ta w 1939 roku została nawiedzona pożarem losowym, w którym uległo zniszczeniu 60% budynków mieszkalnych i 80% zabudowań gospodarskich.

Znalazłem się we wsi tej na skutek delegacji z Inspektoratu Wojewódzkiego w Wilnie dla udzielenia pomocy przy likwidacji pogorzeli inspektorowi powiatowemu Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w Lidzie.

W dniu 2 września już o godzinie 7<sup>00</sup> rano wpadł do mojej kwatery sołtys i <sup>n</sup>zdeperwowany w najwyższym stopniu zawołał:

- Panie inspektorze - wojna! Niemcy wczoraj wkroczyli do Polaki. Radio stale to powtarza. Co rbić!

Spojrzałem na niego krytycznie i bez zbytniego podniecenia powiedziałem:

- No cóż. Trzeba czekać oficjalnych zarządzeń.

Koło południa przyjechał na motocyklu policjant aż z Lidy, wręczył sołtysowi kilka afiszy obwieszczenia i kazał je nakleić natychmiast w widocznym miejscu i odjechał dalej.

Zarzenie dotyczyło mobilizacji wszystkich rezerwistów i obowiązku natychmiastowego udania się do miejsc podanych w karcie mobilizacyjnej

Tego dnia /2 września 1939 r./ nie było mowy o <sup>n</sup>ko<sup>nu</sup>tygowaniu prowadzenia dochodzeń i protokółów pogorzelowych.

Dochodziła godzina 10<sup>00</sup> gdy bez przeszkód dotarłem do Lidy. Miałem do pokonania z Lidy do Wilna około 100 Km drogi.

W Lidzie, w dniu 3 września czuło się wyraźne podniecenie wśród ludności, wzmożony ruch pieszych, kolejki do sklepów spożywczych, samochody prawie wyłącznie wojskowe. Wszystkie okna za-

klejone na krzyż paskami papieru. Stacja benzynowa nieczynna. Jakie szczęście, że mam w baku wystarczającą ilość benzyny.

Wilno 3 września 1939 r. Była godzina 18<sup>00</sup> gdy znalazłem się na ulicach miasta po powrocie ze służbowej delegacji. Szarzało. Rzuca się w oczy zagadkowa pustka na ulicach. Ruch jakby zamarł. Nie spotkałem zupełnie samochodów, może dwie czy trzy dorożki konne ospale przesunęły się <sup>obok</sup> mojego motocykla. Wszystkie okna ciemne, szyby oklejone paskami papieru. Odnosiło się wrażenie niepokoju, jakiejś ciszy przed burzą. Sunąłem wzdłuż ulicy Mickiewicza bez świateł reflektora, minąłem plac Łukiski i wjechałem na most Zwierzyniecki. Pieszyc na chodnikach niewielu, przeważnie mężczyźni.

Był 4 września kiedy z małą walizką w ręce stanąłem przed bramą koszar 78 pułku piechoty w Nowowilejce.

Wartownik obejrzał moją kartę mobilizacyjną i skierował mnie do dowództwa pułku.

W kancelarii mobilizacyjnej służbowy podoficer wyszukał moją kartę i podał mi przydział. Od tej chwili zostałem dowódcą 2 plutonu, w 3 kompanii, w I batalionie. Podano mi nazwisko porucznika rezerwy, Kamila Szczaki, dowódcy kompanii oraz miejsce jego urzędowania. O godzinie 20<sup>00</sup> mam się do niego zgłosić po dalsze rozkazy.

Była już godzina 16<sup>00</sup> gdy wyfasowałem całe moje wyposażenie.

Już przed godziną 20<sup>00</sup> w pokoju dowódcy kompanii zastałem jednego podporucznika i jednego podchorążego, ponad to był tam sierżant i dwóch plutonowych. Łącznie ze mną był to właściwie cały "sztab" kompanii.

Punktualnie o godzinie 20<sup>00</sup> wszedł do pokoju dowódca kompanii i po przywitaniu się zakomunikował, że przed chwilą skończyła się odprawa u dowódcy batalionu, gdzie otrzymał aktualne rozkazy.

- Nazz pułk nosi nazwę: 206 Pułk Piechoty.

Podał dalej nazwiska dowódców: pułku, I-go batalionu i naszej kompanii. Sierżant Kuczarski jest szefem kompanii, a jeden z plutonowych jest podoficerem materiałowym, drugi zaś podoficerem uzbrojenia. Podporucznik rezerwy Stefan Zagozdon stanął na czele 1-go plutonu, ja objąłem ~~komandem~~ dowództwo 2-go plutonu i podchorążymy plutonowy Jacek Kolar - 3-go plutonu.

Próbna zbiórka całego pułku, ze wszystkimi służbami pomocniczymi, lecz bez taboru i bez kuchni, odbędzie się następnego dnia 5 września o godzinie 14<sup>00</sup>, po spożyciu obiadu przez żołnierzy.

Ze swoimi żołnierzami poznałem się nazajutrz, na zbiórce kompanii. Było nas w całym plutonie 40 żołnierzy, razem z dowódcami drużyn, dowódcą plutonu i kapralem obserwatorem.

Dowódcą ~~drugiej~~ pierwszej drużyny, który jednocześnie był moim zastępcą, okazał się plutonowy rezerwy, pochodzący z Niemc<sup>n</sup>czyna, z zawodu rzeźnik, pracujący w niewielkiej rzeźni miejskiej. Z wyglądu nie przypominał niczym swego zawodu, jasny blondyn o szerokiej twarzy, wyrazistych oczach, wzrostu raczej niskiego, o ruchach spokojnych i zrównoważonych. Mówił mało i nie ujawniał zbyt wielkiej inteligencji. No i na dodatek to jego nazwisko, które utkwilo mi w pamięci - Józef Węgorz.

Dowódcą drugiej drużyny był również plutonowy, ale trudno mi dziś cośkolwiek na jego temat powiedzieć. Był to chłopak lat 24, niedawno po służbie czynnej i szkole podoficerskiej.

Dowódcą trzeciej drużyny był kapral Zenon Czajkowski, nauczyciel z zawodu, lat około 30, uzyskał cenzus już po powrocie ze służby czynnej więc nie mógł ukończyć podchorążówki.

Poza tymi podoficerami był w moim plutonie jeszcze kapral obserwator, ogromnie ruchliwy i imp<sup>u</sup>lsywny, którego ustawiłem jako swojego "obserwatora. Nazywał się Andrzej Kondrat czy Konra

Był u mnie w plutonie, w pierwszej drużynie ciekawy typ

żołnierza. Starszy szeregowiec Icek Poniatowski, autentyczny młody Żyd~~ek~~, o którym mówiono, chociaż sam się do tego nie przyznawał, ~~że~~ kończył specjalną żydowską szkołę dla rabinów. Doskonale mówi<sup>ł</sup> polsku, bez żadnego żargonu, bardzo czytany w polskiej literaturze, szczególnie klasycznej, wygłaszał z pamięci całe strofy Mickiewicza i Słowackiego. Miał jednak coś w sobie co od razu zdradzało jego żydowskie pochodzenie.

Żołnierze mojego plutonu to przeważnie ludzie ze wsi, w znacznej ilości byli to Białorusini, którzy mieli nawet pewne trudności w wysławianiu się w polskim języku.

Czworobok żołnierzy na placu alarmowym został dość sprawnie sformowany, a jeden jego bok został przydzielony oddziałom technicznym i kawalerii. Samochodów ciężarowych stało zaledwie kilka, załadowane ciężkim sprzętem karabinów maszynowych i amunicją. Oddział kawalerii to pluton zwiadowczy pułku.

Na placu, wewnątrz czworoboku, znajdowała się grupka oficerów i starszych podoficerów, stanowiących sztab i administrację pułku.

Pułkownik, dowódca pułku, na czele swego sztabu obchodził wszystkie bataliony i kompanie, lustrował pobieżnie wygląd oddziałów, zwłaszcza twarze i postawy poszczególnych żołnierzy w pierwszych szeregach. Twarz dowódcy zdradzała zmęczenie, ruchy jego były dość ospałe, choć oczy jego skupione i żywo reagujące. Przed frontem całego pułku, adiut~~ant~~ donośnym głosem odczytał rozkaz dowócy pułku, którego główną treścią było stwierdzenie faktu powstania jednostki bojowej, 206 pułk piechoty, z zadaniem odsieczy w obronie Warszawy. Odwoływał się dowódca do patriotyzmu i miłości Ojczyzny w podjęciu zdecydowanych walk ze zdrazieckim napadem hord hitlerowskich. Zwycięstwo będzie po naszej stronie - kończył ~~się~~ ten rozkaz - tak jak po naszej stronie jest słuszość.



Była godzina 18<sup>00</sup> gdy rozległ się rozkaz rozejścia się wszystkich oddziałów i udania się na swoje kwatery.

Wiadomości radiowe były alarmujące. Wojska niemieckie posuwają się w stronę Warszawy a nasze oddziały w walkach i krwawych starciach stale cofały się na wschód.

Moja sytuacja rodzinna była nad wyraz trudna, wręcz beznadziejna, bo oto pozostawiam młodą żonę z maleńkim dzieckiem, bez żadnego niemal zabezpieczenia materialnego, przy kompletnym braku jakiegos zorganizowanego działania ze strony władz mojego Zakładu ani Związku Zawodowego. Po prostu wszyscy byli zaskoczeni wybuchem wojny, mimo że naprężona sytuacja polityczna powinna już od dawna wyczulić na możliwość takiej katastrofy.

Ranek 6 września 1939 roku powitał nas piękną pogodą. Już o godzinie 6<sup>00</sup> rano byłem na nogach mimo bezsennej nocy, bo chyba w sumie spałem nie więcej niż jedną godzinę.

Żona zbudziła się na skutek głosu małego, który usiadłszy w łóżeczku pytał gdzie tatuś.

Udzielam ostatnich rad. Kazałem bezwzględnie starać się przetrzymać całą wojnę w tym mieszkaniu. Było ono usytuowane na peryferiach. Dzielnica ta, Zwierzyniec, leżała po prawej stronie rzeki Wilii, a więc wydawało się być najmniej narażona na bombardowanie z powietrza.

Wiele spraw ważnych i mniej ważnych poruszyliśmy z żoną dość chaotycznie i trudne na tym miejscu je wyszczególniać.

~~minimalnym oświetleniu, na bocznym torze, z przenośnych, drewnianej konstrukcji ramach.~~

Staliśmy markotni na przystanku autobusu. Ucałowałem serdecznie żonę i syna, którego na rękach trzymała służąca Nadzia. Koncert płaczu pożegnalnego dała nam Nadzia, co było niespodzianką, bo zaraz zaczął jej wtórować dziecięcy płacz Jurka, no i nam z żoną również łzy się w oczach pokazały. Nie było jednak czasu na zbytne rozczulanie się bo oto nadjeżdża samochód aby mnie powieść w nieznaną dal.

Pułek mój już się znajdował na otwartej przestrzeni przed stacją kolejową, karabiny ustawione w kozły a żołnierze grupkami leżeli lub siedzieli obok.

Natychmiast skontaktowałem się z dowódcą kompanii aby otrzymać aktualne rozkazy i dowiedzieć się jakie są najbliższe i dalsze koleje. Potwierdziły się poprzednie rozkazy, z tym że na odsiecz Warszawie mamy jechać tylko nocami przez stację Łapy, na której zapadną dalsze szczegółowe dyspozycje. W ciągu dwóch godzin mamy się załadować na wagony aby dziś jeszcze o godzinie 22<sup>00</sup> wyruszyć i wczesnym rankiem znaleźć się w Łapach lub pod Łapami. Dzień następny ma być wykorzystany na uzupełnienie wyposażenia ludzi i uzbrojenia. W drużynach podoficerowie przeprowadzą instruktaż korzystania i obsługi broni ręcznej i maszynowej.

Załadowanie pułku na lory i wagony odkryte zostało przeprowadzone bardzo sprawnie, w porządku i przy zachowaniu względnej ciszy. Pewne kłopoty wystąpiły przy załadowaniu koni dla oddziału zwiadowczego oraz taczanek dla ciężkich karabinów maszynowych.

Niepokoili wszystkich, a szczególnie dowództwo pułku dwukrotne przeloty samolotów zwiadowczych niemieckich nad stacją kolejową podczas załadowania. Przeleciały dalej na południe w stronę Lidy. Liczyliśmy się z tym, że lotnicy powiadomią drogą radiową swoje eskadry bombowców o ruchach wojsk na naszej stacji i otrzymamy wizytę

tę ze wszystkimi konsekwencjami bombardowania. Obeszło się ~~jed-~~ jednak strachem. Czy to lotnicy nie zauważyli naszego pociągu, czy mieli określone zadania na dalszym terenie, dość, że do momentu ruszenia pociągu nie ukazała się na niebie straszliwa zapowiedź śmierci. ~~Był to jakby pierwszy chrzest bojowy o charakterze negatywnym, gdyż jedyną naszą akcją mogło być tylko rozproszenie ludzi i schronienie się.~~

Odetchnęliśmy wszyscy gdy rozległ się donośny gwizd parowozu i powtarzany wzdłuż całego pociągu rozkaz wsiadania do wagonów.

Pociąg powolutku ruszył z miejsca nabierając stopniowo szybkości.

Stację minęliśmy i wjechaliśmy w dolinkę między wysokimi pagórkami, które Wilnianie nazywają górami Ponarskimi. Jechaliśmy w zupełnych ciemnościach. Miasto, które rozpościerało się w dole nie dawało żadnego znaku życia, światła były wszystkie wygaszone. Wzbudzało to jakąś grozę i niepokój.

Pociąg rozwijał teraz znaczną szybkość, bo łapy musiały być przed brzaskiem osiągnięte.

Nad ranem, kiedy już na wschodzie niebo zaczęło się rozjaśniać, a monotony ruch pociągu spowodował drzemkę żołnierzy, rozległ się zgrzyt hamulców i pociąg stanął.

- Dowódcy kompanii do sztabu! - biegł wzdłuż pociągu rozkaz, powtarzany z ust do ust.

Staliśmy w szczerym polu, bez żadnej osłony w razie nalotu, a godzina bez mała oczekiwania na dalsze wiadomości stawała się wiekiem. Jak można stwarzać takie beznadziejne sytuacje - odzywały się słowa krytyki pod adresem dowódcy transportu.

Wreszcie jest porucznik - dowódca naszej kompanii.

Rozkaz natychmiastowego rozładowania pociągu.

Ruch niesamowity. Krzyżujące się okrzyki i rozkazy.

Budujemy prowizoryczne pomosty dla sprowadzenia sprzętu z wa-

gonów na ziemię. Nasza kompania bardzo szybko znalazła się na ziemi i w odległości około 100 metrów stanęła gotowa do odmarszu.

~~Na horyzoncie, przy lekkiej mgie poranka, rysował się pas zadrzewienia. Trudno było ustalić czy był to las czy też zarośla w pobliskiej wsi. To był kierunek naszego marszu i tam szybkim krokiem ruszyliśmy. Nie nie zakłócało całej akcji wyładowania i wymarszu.~~

~~Okazało się wreszcie, że doszliśmy do stosunkowo dużego lasu liściastego o przewadze dębów i brzoź, z gęstym podszyciem. Utrudniało to wprowadzić nasze ruchy ale jednocześnie dawało minimum bezpieczeństwa przed możliwymi nalotami, pod warunkiem, że samoloty niemieckie nie odkryją tej koncentracji ludzi i sprzętu.~~

Pod jednym rozłożystym dębem zmieściła się cała nasza kompania ze swoim sprzętem.

Co dalej? dlaczego zatrzymano pociąg i rozładowano? Gdzie się znajdujemy - jak daleko od Łap? Oto pytania, na które odpowiedź otrzymaliśmy na odprawie kompanii.

Do stacji kolejowej Łapy pozostało zaledwie pięć kilometrów, po całkowitym rozjaśnieniu i przy dobrej widoczności z miejsca naszego postoju widać było budynki stacyjne i wieżę cieniów wodociągu na stacji kolejowej.

Dziś w nocy Łapy zostały zbombardowane, tory kolejowe zniszczone i dalsza trakcja kolejowa uniemożliwiona. Trzeba ominąć stację i pieszo dotrzeć do następnej stacji kolejowej, gdzie podobno znajduje się pociąg przygotowany dla naszego pułku.

Była godzina 9<sup>00</sup> rano, gdy na zachodzie dał się słyszeć zrazu słaby i stopniowo nasilający się szum i warkot samolotów. Było zrozumiałe, że po zwiadzie samolotów myśliwskich nadlecą bombowce, a czym to się może skończyć - wiadomo.

Pięć "messerschmitów" przeleciało niemal nad nami, na wysokości chyba 300 lub 500 metrów. Czy zauważyli nas? Pociąg widzieli na-

pewno bo stał w szczerym polu, a przy nim jeszcze się poruszało kilkunastu ludzi.

Czekamy w napięciu. Cisza jak makiem zasiał.

Długo to trwało, tak przynajmniej nam się zdawało.

Na twarzach żołnierzy widoczny niepokój i natężenie. Nie słychać ani słowa. Każdy rozumiał, że cisza to jedyna nasza obrona.

Pieczęto rozpoczęło się dopiero w 45 minut po przejściu myśliwców. Pociąg nasz pod działaniem bomb fruwał po prostu w powietrzu. Bombowce wykonały trzy nawroty obrzucając wszystkie wagony masą bomb. Zaślepieni tępą niemawością lotnicy bombowców ześrodkowali cały wysiłek na zniszczenie pociągu, a stosunkowo niewielki lasek uniknął ich uwadze. ~~ani jedna bomba nie została zrzucona na miejsce naszego schronienia. Po prostu cud, na który zapewne złożyło się kilka przyczyn. Jedną to nasz wyraz szybkie i sprawne przemieszczenie pułku, drugą to /nieświałome wprawdzie/ pozorowanie ruchu pociągu. Trudno przewidzieć co by zostało z nas po zbombardowaniu lasu gdzie znajdował się cały pułk w egramnym skupieniu.~~

~~Mimo jasnego i pogodnego dnia, po spożyciu suchego prowiantu, który każdy z żołnierzy miał w chlebaku na drogę, pędziliśmy lecąc w sposób zorganizowany ruszyła kolumna pułku w kierunku miasta~~

Zatrzymaliśmy się w mieście, starając się zamaskować nasze pozycje postojowe. Wokół stacji kolejowej <sup>tapy</sup> kilka potężnych lejów po wybuchu bomb, gdzie w każdym z nich mógł się zmieścić dwupiętrowy domek. Doły te były wypełnione do połowy głębokości wodą gruntową, a na dnie widać było zniszczony różny sprzęt domowy. W jednym z lejów tkwił wywrócony do góry kołami drabiniasty wóz chłopski i obok padły konie ze sterczącymi w górę kopytami - to wszystko świadczyło o bardzo intensywnym bombardowaniu stacji kolejowej.

Mieliśmy tu pozostać do zmroku i na noc wyruszyć do następnej stacji kolejowej Czyżew w kierunku na Warszawę.

Pod wieczór zmiana rozkazu. Dowódca kompanii zakomunikował nam, że kolej na Warszawę jest uszkodzona i dotarcie pociągiem do stolicy niemożliwe. Jedziemy przez Brześć i Kowel do Lwowa, aby zorganizować tam opór i obronę miasta. Kilka pułków już tam zostało skierowanych. Będzie to stanowiło naszą ostatnią redutę w walce z Niemcami, aż do czasu rozwinięcia się drugiego frontu na zachodzie. Należy zachować ostrożność i ubezpieczenie, gdyż jakoby ferpoczty zmechanizowanych oddziałów hitlerowskich docierają aż do Rzeszowa.

Elektryzującą wiadomość podało radio z Wilna, że na granicy wschodniej jest skoncentrowana olbrzymia armia sowiecka, której przeznaczenie i zamiary trudno przewidzieć. Podobno Sowiety deklarują pomoc wojskową armii polskiej, co znów wobec niedawno podpisanego traktatu o nieagresji między Rosją i Niemcami wydaje się mało prawdopodobne.

Czyż znów w naszej historii zaistniał zdradziecki rozbiór Polski między dwoma naszymi sąsiadami? W jakim stopniu są szczere deklaracje rządu radzieckiego?

~~Na razie czeka nas droga do Lwowa i tam walki, kto wie czy nie z dwoma przeciwnikami równocześnie. Oto nasz polski los,~~

~~Do stacji załadunek, gdzie jakoby czeka już pociąg mamy, około 25 km. Po drodze mamy lasy, wprawdzie niewielkie ale w każdym razie jakąś osłonę dające.~~

~~Zbliżamy się do wsi Juchnowice.~~

~~Nasza kompania znów idzie jako straż przednia, a pluton mój w szpicie.~~

~~Idziemy marszem ubezpieczonym, chociaż nie posiadamy ostrej amunicji do karabinów. Jedynie oficerowie mają pełne magazynki do ręcznej broni palnej - rewolwerów. Nie rozumiem dlaczego nie dają nam ostrej amunicji!~~

~~Ze wsi Juchnowice, w momencie zbliżania się mojej szpicie, wy~~

~~Ku żołnierzom odprawiając zbiega do dowódcy kompanii.~~

~~Nie wiem co się z nim dalej stało, poza tym, że został pod konwojem odprawiany do sztabu batalionu. Podobno był to szpieg niemiecki; tylko po co do licha tak krzycząco był ubrany w mundur oficerski i dlaczego ani słowa nie powiedział na zadane pytania? Brzeską podobnych tajemniczych sytuacji w tej wojnie miało być bardzo wiele.~~

Dalszy marsz całej kolumny pułku trwał bez zakłóceń.

Mieszkańcy wsi z zaciekawieniem przyglądali się maszerującym oddziałom<sup>om</sup>. Czasem podawano nam w kubeczkach mleko, czasem owoce, pomidory.

Jakąś małą stacyjką kolejową o ciekawej nazwie Strabla, położona na skraju wysokie piennego lasu mieszanego. Na torze bocznym stoi pociąg złożony z kilkunastu wagonów - platform. Parowóz do-czepiony do pociągu. Cisza. Niema znaku życia, nie widać aby parowóz był czynny.

Rozesłałem kilku żołnierzy aby wyszukali kogoś i uzyskali jakies wiadomości.

Zmierzchało gdy jeden z żołnierzy przyprowadził dwóch starszych mężczyzn, którzy okazali się być jedyną obsługą tego stojącego pociągu.

Wysłałem meldunek do dowódcy kompanii.

Okazało się z dalszych informacji, że pociąg ten już stoi od dwóch dni i czeka na transport wojskowy. Został on wysłany ze stacji Brześć na skutek telefonicznej wiadomości. W zasadzie pociąg ten był przygotowany do ruchu, wymagał tylko podpalenia pod kotłami, <sup>dla</sup> uzyskania odpowiedniej temperatury i potrzebnego ciśnienia pary.

Zarządziłem natychmiastowe przystąpienie do uruchomienia pociągu przez dwóch mechaników, którym przydzieliłem dwóch żołnierzy do pomocy.

Kolumna pułku podchodziła do stojącego pociągu i po uprzednim rozplanowaniu całego transportu przystąpiono energicznie do załadowania na platformy. Cztery godziny stracono na szybkie załadowanie, a w międzyczasie parowóz uzyskał pełną sprawność.

~~Była godzina 23<sup>00</sup> gdy ruszyliśmy w drogę na Lwów przez Kowel. Czekaliśmy przebycie około 300 Km /?/, w nieznane, gdyż żadnych rozkazów ani komunikatów poza radiowymi nie mieliśmy. W warunkach wojennych, bez niespodziewanych komplikacji podróż ta może trwać 10 do 15 godzin.~~

Wreszcie po 13 godzinach jazdy i czekania nie wiadomo po co na niektórych stacjach kolejowych lub na trasie, docieramy do stacji kolejowej na północnych przedmieściach Lwowa.

Zawiadowca stacji nie puścił dalej pociągu, twierdząc, że linia kolejowa jest opanowana przez jakieś oddziały, przypuszczalnie są to zorganizowane bandy ukraińskie, zajmujące przedmieście północno-zachodnie. Naszych oddziałów tam nie ma, chociaż są wiadomości, że od strony północnej zbliża się dość duże zgrupowanie polskiego wojska.

Była godzina 12<sup>00</sup> dnia 8 września.

Słońce prażyło niemiłosiernie.

Nastąpiło szybkie wyładowanie transportu i cały pułk został postawiony w stan gotowości bojowej.

Podoficerowie - zbrojmistrze rozdzielali amunicję do karabinów ręcznych i maszynowych, granaty oraz naboje do rewolwerów.

Nasz batalion dostał rozkaz ubezpieczenia całego pułku od czoła, nasza kompania znów znalazła się w straży przedniej. Pluton podporucznika Zagozdona ruszył dla ubezpieczenia od czoła. Mój pluton na ubezpieczeniu z prawej strony, a pluton trzeci patrolował lewą stronę marszu.

Ruszyliśmy w stronę miasta z zadaniem dotarcia do mostu na rzece Pełtwi, przez którą ma nastąpić przeprawa naszego pułku.



Według mapy porucznika było to około 6 Km.

Była godzina 3 po południu gdy po przejściu chyba 4 Km ukazały się z dala zabudowania. Przed nami pole zarosłe jakimś zbożem, niezbyt gęstym, a całe połacie zboża leżały na ziemi. Dlaczego zostawiono to zboże niezżęte trudno zrozumieć. Obok tego łanu, dalej na południe - duże pole z plantacją pomidorów o wysokich gęstych krzakach obwieszonych czerwonymi owocami.

Spokojny i powolny marsz w szyku ubezpieczonym został nagle zakłócony, bo od prawej strony, na przedpolu mojego plutonu zaterkotał niespodziewanie karabin maszynowy, siejąc ogniem po czołowym plutonie podporucznika Zagodzona.

Kierunek strzałów wskazywał, że stanowisko karabinu maszynowego lekkiego lub ręcznego, znajdujące<sup>go</sup> się przed<sup>o</sup> czołem mojego plutonu. Drużyny rozsypały się w tyralierę i żołnierze zaczęli posuwać się skokami do przodu.

Mój kaprał obserwator wyszukał jakiś punkt w terenie i wskazał go podając mi moją lornetkę.

W odległości 100 do 150 metrów, za niewielkiego wzniesienia widać wyraźnie dwie głowy w czapkach cywilnych. W miejscu tym ukazywały się błyski ogników, widoczny<sup>e</sup> dzięki padającemu od sąsiedniego krzaka cieniowi.

Skierowałem w to miejsce ogień ręcznego karabinu maszynowego i w chwilę później ustało strzelanie.

Wysłałem do przodu patrol z kapralem i dwoma żołnierzami celem spenetrowania terenu. To samo uczynił mój kolega w plutonie pierwszym. Cisza zalegała dokoła i zdawało się, że można posuwać się dalej. Żadnych sygnałów od wysłanego patrolu nie było.

Wydałem rozkaz posuwania się skokami po 15 do 20 kroków.

Cisza.

Przed nami wysokie krzaki pomidorów, podparte gęsto kołkami. Widoczność bardzo ograniczona. Na lewo od mojego oddziału widać

było posuwających się pojedynczych żołnierzy pierwszego plutonu.

Naraz, z lewego flanki<sup>i</sup> otrzymaliśmy gęsty ogień karabinu maszynowego. Było to jednak pojedyncze gniazdo i wydaje się, że nieprzyjaciel, który przed paru minutami siał ogniem po naszym lewym skrzydle, niezauważony przez nasze patrole, zaatakował mojego sąsiada. Skryliśmy się ~~xxgaf~~ w gęstych krzakach, nie przestając posuwać się skokami do przodu.

W pewnej chwili, w przodzie na lewo ode mnie, a szedłem skrajem swojego plutonu, utrzymując wzrokowy kontakt z pierwszym plutonem, w odległości około 20 kofoków wyłania się z gęstwiny głowa naszego żołnierza, następnie tułów z wyciągniętą do góry ręką i zaczyna niesamowicie wrzeszczeć, co na tle panującej <sup>było</sup> ciszy niezwykle i wstrząsające. Coś krzyczy, woła, ale dochodzą do mnie tylko słowa "Jezu...urwali mi rękę". Podbiegłem do niego, lękając się aby ten wrzask nie spowodował jakiejś paniki wśród żołnierzy. To przecież pierwsze rany, pierwsza krew. Rzeczywiście, rękę miał zakrwawioną ale żadnego członku nie brakowało. Zobaczyłem mnie. Zaczął znów wrzeszczeć i machać poranioną ręką, wpadł w histerię. Podskoczyłem i nie namyślając się wyrzuciłem go pięścią w szczękę. Zamilkł w jednej chwili, zdziwiony, zupełnie spokojnie pyta: "panie podchorąży, rannego się bije po głbie?"

Posypała się znów seria z karabinu maszynowego. Obaj padliśmy na ziemię. Wyciągnąłem z kieszeni podręczny opatrunek z bandażem, nałożyłem na ranę tampon waty i obwiązałem bandażem. Kazałem mu wycofać się do punktu opatrunkowego, który zresztą nie wiadomo gdzie się znajdował.

Zaległa znów kompletna cisza.

Była już godzina 16<sup>00</sup>, słońce dalej operowało, gdy powoli wyszliśmy z krzaków pomidorów, a w odległości 150 metrów ukazały się nam zabudowania. Nie były to wiejskie gospodarstwa lecz domki kolonii robotniczej, jednorodzinne, otoczone zielenią i

ogrodzone płotami lub siatką drucianą.

Otrzymałem przez gońca rozkaz dowódcy kompanii spenetrowania tego osiedla i przysłania meldunku.

Bez przeszkód dotarłem do pierwszych zabudowań.

Biegła tu szeroka droga-ulica, niebrukowana, posiadająca jedynie chodnik z płyt betonowych. Jednopiętrowy budynek, znajdujący się z lewej strony drogi wyglądał na kompletnie niezamieszkały. Zastanawiające było, że przed tym domem stał na ulicy wóz zaprzężony w dwa dorosłe konie, czymś załadowany i przykryty plan deką.

Rozrzuciłem pluton dla ubezpieczenia, sam zaś skierowałem się z wyciągniętym rewolwerem do wejścia tego domu. Za mną podążał mój kaprał. Nagle z otwartych drzwi wybiegł starszy mężczyzna. Już miałem pociągnąć za spust rewolweru, lecz zobaczyłem przerażoną minę tego człowieka i pozwoliłem podejść. Zaczął szepem mówić żeby nie wchodzić do piwnicy bo tam są uzbrojeni ukraińcy.

Stałem z jednej strony wejścia, kaprał-Wojtek z ręcznym karabinem maszynowym z drugiej i krzyknąłem:

- Wychodzić! Będę strzelał! Czekam trzy minuty!

Cisza.

Albo tamci w piwnicy zaszyli się i czekają na nasze wejście, albo nasz informator wprowadza nas w błąd, aby zyskać na czasie.

Nie próbowałem wejścia, nie chciałem ryzykować. Kazałem memu kapralowi wrzucić po kolei dwa granaty. Dwie detonacje spowodowały ogłuszający huk i dym wydobywał się z piwnicy.

Na podwórzu, przed budynkiem zebrała się duża grupa żołnierzy i to nie tylko z mojego plutonu lecz i pierwszego. Ukazał się również dowódca kompanii.

Zanim się zorientowałem w sytuacji, gdy rozległy się dwie potężne detonacje. Okazało się, że podporucznik Zagozdon kazał odprowadzić zaprzężony wóz na kilkanaście metrów dalej i wysadzić

~~granatami~~ granatami w powietrze. Wóz był załadowany po brzegi ręcznymi karabinami niemieckiej produkcji. Ani jednego naboju. Konie naturalnie wyprężone i odprowadzone do batalionu.

Z piwnicy domu wydobyto zwłoki jakiegoś cywila, bez żadnych dokumentów, a następnie wyprowadzono jeszcze trzech młodych ludzi. Byli to nacjonaści ukraińscy.

Po pewnym czasie zaczęli się schodzić i gromadzić mieszkańcy tego osiedla, którzy wychodzili z ukrycia, piwnic i schronów na dźwięk mowy polskiej.

Wreszcie, po stwierdzeniu całkowitego bezpieczeństwa w tym osiedlu, zebrał się cały batalion<sup>n</sup>, a nasza kompania wyruszyła dalej, ubezpieczając od czoła. Z informacji mieszkańców i według mapy sztabowej znajdowaliśmy się około 1,5 Km od mostu na rzece Pęłtwi, a przed nami były zabudowania następnego osiedla pomiejekskiego. Należało więc osiągnąć te zabudowania, ubezpieczyć się ze wszystkich stron i przygotować przeprawę przez most.

Most był zerwany, chyba przez naszą obronę miasta, lecz pozostała konstrukcja stalowa pozwalała z trudem przejść na drugi brzeg, gdzie zaczynają się już zabudowania miejskie.

Jakiś chłopiec na rowerze podjechał do podporucznika Zagodzona i oznajmił mu, że następne osiedle w odległości ponad jednego kilometra jest obsadzone przez zmotoryzowany oddział niemiecki. Są tam dwa samochody i sześć lub osiem motocykli. Niemcy całkiem spokojnie zakwaterowali się w domach i wydaje się o naszych oddziałach nie wiedzieli.

~~Po miał być chyba ten pierwszy skrzest bojowy naszych żoł-~~  
~~nierzy~~

Dowodzenie akcją natarcia na nieprzyjaciela przejął dowódca batalionu. Rozkazał jednej kompanii zająć od strony północnej, drugiej od strony południowej. Nasza kompania, wyprzedzana przez Kompanię ciężkich karabinów maszynowych, i przy jej osłonie

ogniowej miała nacierać od czoła, to jest od strony wschodniej. ~~Nasza kompania, pozostając nieco w tyle miała odwód dla dwóch pozostałych kompanii.~~

Była już godzina 19<sup>00</sup>, gdy skrzydłowe kompanie, rozsypane w tyraliery, rozpoczęły równocześnie natarcie. Byliśmy zaledwie 200 metrów od pierwszych zabudowań, gdy ze strony nieprzyjaciela rozległ się pierwszy strzał karabinowy, jakby alarmujący, ostrzegawczy. Jednocześnie słychać było wyraźnie wzniesiony ruch w zabudowaniach. Nasze natarcie posuwało się dalej bez jednego strzału. Ciężkie karabiny maszynowe zajęły stanowiska, ustalając cele obstrzału.

W jednym momencie, jakby za dotknięciem różdżki, rozpoczęła się kanonada, wywołując niekto ognia karabinów maszynowych z obu stron. Na południu było jakby spokojniej, i chociaż i tam słychać ogień karabinowy. Nasilenie ogniowe naszych karabinów maszynowych umożliwiło od strony północnej stopniowe natarcie kompanii trzeciej. Dały się słyszeć jęki rannych.

Nagle, tak jak się rozpoczęła strzelanina, wszystko ucichło.

Za chwilę dał się słyszeć wzmożony warkot silników samochodowych i motocyklowych, które zapewne zaczęły się szybko oddalać.

Kompania trzecia od strony północnej, z okrzykiem "Hurra" wdarła się do osiedla.

Zwycięstwo to dodało ducha naszym żołnierzom.

Osiedle było wolne od nieprzyjaciela, mieszkańcy wychodzili z piwnic, z radością witając naszych żołnierzy.

Rozpoznawczy oddział niemiecki wycofał się niemal bez walki.

U nas jednak było paru żołnierzy lekko rannych, przeważnie w nogi. Ale największą stratę poniosła kompania trzecia, ta właśnie, która z okrzykiem "Hurra" wpadła do osiedla. Jeszcze bowiem, w czasie natarcia, gdy zdawało się, że na tym odcinku jest

najspokojniej, seria z karabinu maszynowego raniła kilkoma trafieniami dowódcę kompanii, który osobistym przykładem chciał poderwać swój oddział do ataku. Strata o tyle przygnębiająca, że niepotrzebna. Raniony w brzuch i biodro, w naszych warunkach - bez ratunku. Ostrożnie założono prowizoryczne opatrunki i ułożono rannego na taczance<sup>n</sup> oraz wolno skierowano się w stronę mostu. Zmarł z upływu krwi. Pochowany przy drodze. (Nie znam jego nazwiska.)

Przeprawa przez rzekę była niezmiernie utrudniona, szczególnie dla wozów, koni, taczanek. Trwało to przez całą noc i następny dzień, bo dopiero o godzinie 8<sup>00</sup> rano dnia 10 września cały pułk znajdował się po drugiej stronie rzeki, już we właściwym mieście Lwowie.

Na brzegu znalazł się stojący tam i oczekujący samochód osobowy, do którego wsiadło naszych dwóch oficerów, dowódca pułku i zdaje się major kwatermistrz.

## Rozdział 2. WALKI WE LWOWIE

Wreszcie pułk nasz w ~~zaw~~ zwartej kolumnie przemaszerował przez ulice Lwowa, przy całkowitym nienal braku zainteresowania ze strony mieszkańców. Ulice naogół były wyludnione, z rzadka tylko można spotkać na chodnikach mężczyzn, którzy zaaferowani szybko przemierzali drogę, jakby za czymś goniąc.

Dopiero gdy wkroczyliśmy na duży plac "NN", otoczony ze wsząd okazałymi gmachami, ruch pieszych znacznie się zwiększył. Szczególnie przytłaczały swą ilością mundury wojskowe, a zwłaszcza oficerskie i podoficerskie.

Na środku placu znajdował się niewielki skwer z jakimś postumentem. Jedna strona tego placu była zajęta, przynajmniej w

trzeciej swej części przez piękny gmach hotelu "NN", w stylu późnego renesansu. Na szerokim chodniku przed hotelem stały grupy wyższych oficerów, a na <sup>o</sup>jzdni zajeżdżały od czasu do czasu duże limuzyny wypełnione wojskowymi i ich różnymi skrzyniami lub walizami. Hotel wchłaniał w swoich czeluściach wszystkich przybywających.

Do placu orzylegał duży park-skwer o starym pięknym zadrzewieniu, pokrytym jeszcze gęstym listowiem. Oprócz tego starodrzewia park był pokryty gęstymi krzewami ozdobnymi. Dwie alejki krzyżowały się po środku tego parku.

Park był miejscem przeznaczonym na pomieszczenie naszego pułku na dzisiejszą noc. Nie byliśmy tutaj jednak sami, bo już przed nami zaparkowanych było wiele samochodów wojskowych, motocykli. Ustawione tam już były namioty i stały kuchnie polowe. Było ciasno, ale zmieścić się musieliśmy, zajmując miejsce pod wysokimi drzewami, jako najlepiej maskującymi nasze stanowiska. Na namioty już miejsca zabrakło. Nasze kwatery na dzisiejszą noc znajdowały się pod gołym niebem.

Dzień 10 września miał się ku końcowi. Była godzina 22<sup>00</sup> gdy po ciemku, zmęczeni żołnierze układali się na ziemi, rozkładając koce i przykrywając się płaszczami. Szum i zgiełk panował przez całą noc, co jednak nie przeszkadzało chłopcom zapasć w głęboki, mocny sen.

Obszedłem z zapaloną latarką legowiska żołnierzy - zrobiło mi się okropnie smutno i tak jakoś beznadziejnie, że zamiast ~~się~~ ułożyć się do snu powędrowałem samotnie na słabiutko oświetlony plac. Usiadłem pod drzewem i patrzyłem na sylwety budynków pobawionych światła. Gdzieś z daleka dochodziły głębokie, przygłuszone odgłosy strażaków artyleryjskich. Podświadomie wyczuwalna groza panowała nad miastem.

Zdrzemnąłem się. Zbudziło mnie mocne szarpnięcie za ramię

~~11~~ 11  
= ~~11~~ =

i głos mego kaprała.

- Panie podchorąży, szukam pana już od godziny, ma pan natychmiast zgłosić się do dowódcy kompanii.

Teraz dopiero poczułem przenikające zimno, zacząłem z lekka drżeć, nie mogąc wymówić słowa.

- Idziemy - mówi kaprał.

Sprawdzam czas. Jest godzina 12<sup>00</sup> w nocy, a więc już jest ~~11~~ 11 września.

Porucznik siedzi na ławce ogrodowej a obok podporucznik Zagzdon i podchorąży, dowódca trzeciego plutonu. Jest również sierżant - szef kompanii i jakiś nieznamy oficer.

- Czekamy na pana, gdzie się pan podziewał? - i nie czekając na moją odpowiedź rozpoczął odprawę.

- Załoga Lwowa już od wczoraj, 8 września /powinien powiedzieć - od przedwczoraj/ znajduje się w walce z Niemcami. Są to na razie jakieś luźne oddziały nieprzyjaciela ale należy się spodziewać natężenia natarcia. Będziemy w ciągłym stanie pogotowia. Jutro przechodzimy na przeznaczone nam kwatery, skąd będziemy dokonywać wypadów przeciwko Niemcom i luzować inne nasze oddziały na stanowiskach obronnych. Jutro pobudka o godzinie 5<sup>00</sup>, posiłek już przygotowany. Do mojej dyspozycji - mówi porucznik - proszę przydzielić z każdego plutonu gońca dla bezpośredniego przekazywania rozkazów. Dobranoc panom.

Po powrocie do plutonu położyłem się na rozpostartym płaszczu, ale nie mogłem zupełnie zmrzyć oka, czy to z chłodu czy też emocji.

Był 11 września 1939 roku.

Półmrok wczesnego poranka. Rozglądam się wokół jakbym tu dopiero co przyszedł. Tak jakoś inaczej to wszystko wyglądało. Szczególnie wrażenie robili żołnierze leżący na gołej ziemi, zwinęci w kłębek lub przytuleni do siebie. Chrapanie słychać było



zawszą. Gdzieniegdzie grupka żołnierzy siedząc, w skupieniu coś rozprawiła, czasem rozlegał się beztroski głośny śmiech.

Pobudka, śniadanie i stan gotowości do wymarszu trwał nie dłużej niż pół godziny. Zaraz grupować się zaczęły zwarte oddziały i szybko oddalały się z miejsca dzisiejszego noclegu. Nasza kompania, okrażając park, skierowała się w stronę południowo-zach<sup>o</sup>odnią. Marsz trwał chyba z pół godziny. Znaleźliśmy się gdzieś na przedmieściu, wśród zabudowy willowej, o domach z płaskimi dachami i z reguły z obszernymi werandami lub tarasami.

Mój pluton zajął obszerną willę, zupełnie opuszczoną przez mieszkańców. Szeroki taras na wysokości pierwszego piętra obrałem jako miejsce obserwacji, jako że z tarasu tego rozpościerał się widok na duży obszar terenu zupełnie <sup>o</sup>wolnego na odległość przynajmniej 150 metrów. Cała pierwsza drużyna zajmuje narożny pokój znajdujący się na parterze, gospodarując w kuchni, spiżarni i dużym pokoju sypialnym.

Obszedłem drużyny, wydałem krótkie dyspozycje, określiłem miejsce gdzie należy mnie szukać i wyszedłem na ulicę. Wiedziałem, że pobliskie domy zajęły inne plutony naszej kompanii. Skierowałem się do dużego budynku o dwóch piętrach, stojącego przy samym chodniku ulicy. Szerokie okna z zasuniętymi żaluzjami żelaznymi wskazywały na użytkowy charakter pomieszczenia. Wszedłem do środka. Była to dawna kawiarnia, w której jedna z sal posiadała dwa stoły bilardowe, a <sup>o</sup>wokół nich kręciło się kilku oficerów. Słychać uderzenia kul bilardowych. Za kontuarem w kawiarni stał zarzynny, wąsaty jegomość i serwował pieniące się piwo, napełniając kufle wprost z beczki za pomocą ręcznej pompki. Nastrój zda się niefrasobliwy.

I ja skorzystałem z okazji - wypiliśmy cały kufel jasnego piwa. Smakowało jak najwspanialszy eliksir. ~~Pełnie jak na wy-~~  
~~czasach~~

Na dworze już było zupełnie jasno, niebo pogodne, powietrze czyste i rześkie. Tylko gdzieś z daleka ~~słychać~~ słychać grzmot ~~nixx~~ strzałów artyleryjskich.

Wracam do swego plutonu. Goniec czeka z wiadomością od dowódcy kompanii. Rozkaz wyraźny?

- Wieczorem, o godzinie 21<sup>00</sup> cała kompania wyrusza na nocny wypad dla rozpoznania stanowisk nieprzyjaciela. Pluton<sup>N</sup> drugi /to znaczy mój/ - w odwodzie.

Koło godziny 15<sup>00</sup> przyjechała kuchnia polowa i spożyliśmy obiad, na który składało się pół menażki zupy grochowej na słoninie i pajda chleba. To był~~by~~ jednak wprost królewski obiad... - czy ~~zaj~~ jutro powtórzy się taka uczta? Chłopcy znaleźli w spiżarni suchą herbatę i przygotowali wspaniałe napitki.

Zmrok. W zupełnej ciszy wyruszamy ze swych wygodnych kwater, uzbrojeni po zęby, obciążeni tylko bronią i chlebakiem wypełnionym nabojami, za pasem granaty. U boku dynda się bagnet i krótka saperka łopata.

Kilka kilometrów marszu w ciemnościach i docieramy do jakiegoś osiedla domków jednorodzinnych. Zajmujemy stanowiska na skraju tego osiedla. Jacyś żołnierze zbierają się na ulicy i odmaszerowują do miasta.

Cała noc upływa spokojnie. Nic nie wskazuje na bliskość stanowisk wroga. Rakiety oświetlają przedpole błyskając w znacznej odległości z naszej prawej strony. Słychać tylko dalekie pojedyncze strzały karabinowe.

Około godziny 9<sup>00</sup> rano w dniu 12 września przybywa nowa kompania i zajmuje nasze stanowiska. Zluzowano nas. Trochę to dziwne, że tak bez żadnej akcji spacerujemy sobie tam i nazad. Bo rzeczywiście powracamy na nasze kwatery.

Ale niestety nie był to długi wypoczynek.

Jeszcze przed obiadem, w samo południe - alarm kompanii i wy-

marsz na stanowiska wyjściowe dla nocnego wypadu przeciw nieprzyjacielowi. Docieramy znów do luźno rozrzuconego osiedla jednopiętrowych i parterowych domków. Ludzie w piwnicach. Czuje się stan naprężenia. Słychać z dala pojedyncze strzały karabinowe i głuchoe wybuchy pocisków artyleryjskich.

Przed nami przestrzeń nad brzegiem jakiegoś kanału czy strumienia. Ukrywamy się poza murami budynków i obserwujemy przedpole. Nic się nie dzieje. Gryziemy suchary i ćmimy papierosy. Niektórzy drzemią. Nadchodzi wieczór. Gęsta mgła spowija nas wokół, uniemożliwiając wgląd w teren. Zapada szybko zmierzch.

Plutonami podchodzimy nad brzeg kanału przez który przerzucone są w kilku miejscach kładki drewniane. Jest i mostek, no którym można nawet przeprowadzić wózki.

Pociski świetlne zaczynają szybować w przestrzeni, krzyżują się ich tory w trzech kolorach - zielony, czerwony, biały. Od czasu do czasu rozkwita na niebie wspaniała pióropusz światła rakiety, powoli spadają oświetla ziemię. Każdej spadającej rakiecie towarzyszy wzmożony ogień karabinów maszynowych. Ta zabawa świetlna i ogniowa jest prowadzona przez nieprzyjaciela z poza drugiego brzegu kanału.

Rozkaz natarcia.

Rozsypujemy się w tyralierę i skokami, korzystając z ciemności pomiędzy okresami poszczególnych rakiet, posuwamy się, przekraczając kanał. A kanał ten, o ścianach niemal pionowych z betonu, wypełniony jest do brzegu tej obudowy wodą czy ściekami o silnym <sup>przenikliwym</sup> nieprzyjemnym odorze.

Pojedynczo po kładkach i mostku przeskakujemy na drugi brzeg i przylegamy do ziemi, czekając na kolejną rakietę świetlną.

Jeszcze dwadzieścia kroków. Jeszcze dziesięć.

Nagle... jasno jak w dzień. Nad nami równocześnie kilka rakiet. Padamy plackiem, przylegamy szczelnie do ziemi. Rakiety

spadają wolno a nam się zdaje, że zaraz nam na głowy posypie się grad iskier. Posypał się ale grad pocisków karabinowych. Trudno ustalić kierunek i źródło tego piekielnego ognia.

Deprymująco działa na psychikę żołnierza kiedy w nocy migają pociski świetlne i bzykają uporczywie koło ucha. Leżymy przygwożdżeni do ziemi.

Rozkaz pojedynczego wycofywania się do tyłu. Zbiórka przy budynku na skraju osiedla.

Żołnierz nieobyty z warunkami bitwy ulega łatwo panice. Trudne to do opanowania. Do kładek i mostku na kanale już trafić nie sposób, trzeba próbować przebrnąć przez wodę wbród. Skok z brzegu do kanału. Głębokość wody sięga do piersi, dno kanału twarde, jakby również wybetonowane. Piekielnie zimno. Ogromnego wysiłku fizycznego wymaga wydobyć się z kanału na brzeg po prostopadłej betonowej ścianie, a potem po stromej skarpie ziemnej. Już po osiągnięciu górnej krawędzi skarpy, ręce tracą punkt zaczepienia i całe ciało zsuwa się do wody i znów od nowa trzeba pazurami wdrapywać się na górę.

Temu bezplanowemu odwrotowi towarzyszy nieprzerwany deszcz pocisków karabinowych oraz błyski rakiet na niebie. Nie wiemy gdzie nieprzyjaciel, gdzie jego gniazda karabinów maszynowych. Kompletny brak rozpoznania.

Zebrałem pluton w jakimś głębokim dole. Wszyscy zmęczeni i przemoczeni leżymy obok siebie. Rozglądam się. Pytam o dowódców drużyn - są wszyscy trzej. Pytam o stan ludzi w drużynach - po sprawdzeniu okazuje się brak jednego żołnierza. Wysyłam dwóch zuchów na poszukiwanie - wracają w kilka minut prowadząc zagubionego. Szok spowodował u niego utratę orientacji i nawet trudność mowy.

Goniec z kompanii. Wracamy na punkt wyjściowy, zajmujemy stanowiska w skrajnych zabudowaniach.

Noc ma się już ku końcowi. Ranek - świt. Wzmógł się ogień karabinów maszynowych.

Znajduję się na tarasie, który posiada balustradę betonową na wysokości kolan stojącego człowieka. Widać stąd zupełnie wyraźnie nacierającą tyralierę niemiecką. Odległość coraz bliższa, chyba nie więcej niż 100 metrów. - Niemiec w hełmie wyskakuje z poza węgła murowanego domu i przebiega w poprzek ulicę. Biorę spokojnie ręczny karabin maszynowy i skierowuję na miejsce gdzie zniknął żołnierz niemiecki. Nie odczuwam w tym momencie żadnych emocji. Ten człowiek musi być zabity. Wreszcie widzę jak powoli unosi się do góry hełm i cała postać wykonuje skok wzdłuż ulicy. Pociągam za spust, wypuszczam serię pocisków. Obserwuję, jak żołnierz niemiecki zrywa się i natychmiast pada na ziemię. Pierwszy zabity przeze mnie człowiek... I teraz dopiero następuje wstrząs psychiczny. Nic wokół nie widzę, czuję jak cały drzę niczym z zimna. Nie mogę dalej strzelać. Po chwili zaczynam rozpoznawać z daleka tyralierę niemiecką. Kapral mój, stojący obok i cała drużyna rozpoczynają gęsty ogień w kierunku nacierających Niemców. Odzywa się nasz ciężki karabin maszynowy. Ogień się wyraźnie nasila. Nie widać już posuwających się Niemców.

Dowódca kompanii wydaje rozkaz przeciwuderzenia. Kierunki natarcia ustalone pierwotnie. Mój pluton zbiega na ulicę. Pierwsza drużyna z gotową bronią do strzału - wzdłuż lewego chodnika, drużyna druga - z przeciwnej strony, trzecia - z tyłu. Idę z drużyną pierwszą.

Bez walki docieramy do skrajnej zabudowy. Natarcie wrogą naszym odcinku załamało się. Nieprzyjaciel wycofał się poza wolną niezabudowaną przestrzeń. Widać jeszcze sylwetki żołnierzy niemieckich skaczących przez rów. Posyłamy za nimi kilka serii z karabinów maszynowych.

Pozostawiam na miejscu czujkę z trzech żołnierzy i z resztą

plutonu wracamy na stanowiska wyjściowe do opuszczonych budynków.

Cisza aż do wieczora.

Koło godziny 18<sup>00</sup> jesteśmy zluźowani przez inną kompanię naszego batalionu. Wracamy na nocne kwatery.

Głęboka noc z 13 na 14 września.

Jest godzina 1<sup>00</sup>. Alarm. Zagrożenie nieprzyjacielskie od strony północno-zachodniej. Przedmieścia silnie atakowane przez Niemców. Duże straty w ludziach. Wyruszamy na odsiecz naszym oddziałom. Mamy przed sobą ponad 5 Km marszu przez zabudowę przedmieścia. Szybko maszerujemy - niemal biegiem.

Jest ciemna noc. Wąskie uliczki ~~obramowane~~<sup>2)</sup> niskimi, luźno stojącymi domkami. Osiedle robotnicze.

Gdzieś z daleka słychać gęstą strzelaninę, a wybuchy pocisków artyleryjskich przerywają na chwilę odgłos ognia karabinowego. W regularnych odstępach czasu, około 10 minut, ukazuje się błysk wystrzelanych rakiet i spadający pióropusz światła, pozwalający rozróżnić otaczające nas zabudowania. Pomiędzy błyskami światła rakiet zalegają egipskie ciemności.

Zbliżamy się do linii frontu. Już nawet złowieszczy syk pocisków rozlega się koło uszu. Posuwamy się wzdłuż uliczek, skokami od jednego do drugiego domu. Z za węgła obserwujemy przedpole, a raczej podsłuchujemy i dalej naprzód. Zajęcie każdego budynku poprzedzane wysłaniem pojedynczych patroli.

Zatrzymujemy się. Zajmujemy pozycje obronne grupkami po 2 lub 3 żołnierzy. Zalega nagle kompletna cisza. Tylko rakiety oświetlają przedpole. Ale to niestety nie nasze rakiety lecz niemieckie.

Swit. /14.IX/.

Z dala, około 200 metrów wyłania się z gęstej mgły wstęga szosy. a za nią pas wzgórz lekko sfałdowanych. Od szosy oddziela nas otwarta przestrzeń. Tylko z lewej strony w odległości

50 metrów widnieje gospodarstwo z domkiem mieszkalnym, otoczone niskim płotem drewnianym. W zagrodzie budynki gospodarcze.

Dowódca kompanii przeprowadza krótką odprawę, podaje sytuację wyjściową do natarcia.

Z lewej strony zajmuje pozycje jakaś jednostka piechoty innego pułku, (brak jest bliższego rozeznania co to za oddziały). Z prawej strony - druga kompania naszego batalionu. Dowódca naszej kompanii - przy pierwszym plutonie, zajmującym lewe skrzydło natarcia kompanii, mój pluton znajduje się w środku, mając z prawej strony trzeci pluton podchorążego. Kierunek natarcia - wprost na widoczne przed nami wzgórze, gdzie się znajduje okopany nieprzyjaciel. W pierwszej fazie natarcia - zdobycie pozycji przed szosą, gdzie się znajdują rowy strzeleckie, wykopane jeszcze wczoraj w nocy przez inne nasze oddziały pod silnym ostrzałem wroga ze wzgórza.

Odległość natarcia 200 metrów, wykonać skokami pojedynczo w tyralierze przy skutecznej osłonie ogniowej.

Taki był rozkaz. - A wykonanie?

Pierwszy skok wykonujemy całą tyralierą na odległość 20 kroków. Sypie się na nas grad pocisków z karabinów maszynowych. Odległość strzelania jest znaczna, to też i skuteczność prawie żadna. Z mojego plutonu jeden żołnierz został trafiony w rękę i musi się wycofać, ~~do tyłu~~.

Nie otwieramy ognia. Nie widać stanowisk wroga. Zajmujemy rowy strzeleckie na 20 kroków przed szosą. Pozycja wyjściowa do skoku przez szosę i dalej w kierunku wzgórza.

Z prawej strony widzimy skok przez szosę kilkunastu ludzi, chyba drużyna. I znów rozpoczyna się potężny ogień maszynowy ze wzgórza w naszą stronę. Teraz nad nami słychać świst przelatujących pocisków. Chłopcy z tyłu szosy przygwożdżeni do ziemi, są ranni. Nie ma mowy w tej sytuacji o dalszym posuwaniu się. Czekamy

rozkazów.

W pewnym momencie na szczycie wzgórza pojawiają się gejezy wybuchów pocisków artyleryjskich. To nasza artyleria z dalekiego zaplecza, cudownym sposobem odrazu wstrzelała się w pozycję wroga. Ogień karabinów maszynowych na chwilę ucichł zupełnie. Chłopcy z poza szosy korzystają z tej przerwy i wycofują się do okopów przed szosą. Zdarzyli, bo cisza trwała zaledwie parę minut. <sup>Ale</sup> Jeden z chłopców pozostał bez ruchu na szosie. Widzimy jak czołga się ku niemu inny żołnierz, już, już chwytającego rannego za nogę i ciągnie po ziemi. Nagle nieruchomieje, krzyczy - na pomoc! Już następny z wykopu podczołguje się ku leżącym na szosie. Ściąga jednego, potem drugiego. Niestety obaj trafieją śmiertelnie - umierają.

Nagle daje się słyszeć od strony wschodniej warkot czołgów. Z dala ukazuje się żelazne cielsko, za nim drugi czołg i trzeci. Pod słońce nie można rozpoznać znaków. Chyba to sowieckie, bo były wiadomości o zbliżaniu się pod Lwów Armii Czerwonej.

Nasza artyleria gra dalej. Niemcy na wzgórzu przerywają ogień. Czołgi po szosie zbliżają się do nas. Zatrzymują się przed nami, skierowują wyloty działek w naszą stronę. To jednak Niemcy. Pierwszy strzał po naszych stanowiskach. Strzelają granatami, ogniem bezpośrednim. Nad nami rozrywają się szrapnele. Są ranni w wykopach.

Rozkaz pojedynczego wycofywania się do najbliższych zabudowań. Nagła panika wśród naszych żołnierzy, bezładnie wyskakują z okopów i biegną do tyłu. Nie ma żadnych możliwości opanowania chaosu pod gradem pocisków. Zostaje sam jeden w wykopie, wszyscy się wycofali. Wyczołguję się z dołu, rozglądam się. Widzę uciekających naszych żołnierzy bez zachowania jakichkolwiek ostrożności. Widzę jak padają pod razami pocisków i nie



podnoszą się z ziemi. Teraz ogień karabinów maszynowych z trzech czołgów sieje grozę i zniszczenie. Stwach mnie zaczyna chwytać za gardło. Tak... to pewnie moje ostatnie minuty... żona... syn... No to zegnaj życie...!

Robię skok do tyżu - jeszcze żyję...

Znow skok, ale dłuższy, chyba ze 20 kroków...

Sucho w gardle. Spoglądam w prawo. Ocho!... już tylko 50 metrów do tego zabudowania.

Zryw... skok... padam na ziemię pod progiem budynku.

Nikogo nie widzę. Wstaję, opieram się plecami o drzwi do obory. Nagle... przepaść... padam bezwładnie do tyżu poza progiem wejścia. Obejmuje mnie przenikający smród obory. Powoli rozglądam się w mroku. Jedna krowa i ryk... druga krowa i szarpanie łańcuchem, w kącie najspokojniej leży owieczka. Ryk krowy nie ustaje, klęka na przednie nogi, pochyla łeb i zwała się całym ciężarem na bok, łamiąc oddzielającą drewnianą poprzeczką. Trafiona pociskiem przez ścianę budynku drewnianego. Niepewnie wygląda taka osłona przed pociskami karabinowymi.

Oprzytomniałem całkowicie. Strzelanie jakby ucichło. Wycho-dzę powoli z obory, rozglądam się. Z drugiej strony budynku leży człowiek, mój plutonowy, dowódca pierwszej drużyny, rzeźnik. Jęczy. Podchodzę, pytam co mu jest, wskazuje na brzuch. Ukazuje się skądś żołnierz, przenosimy rannego do pobliskiego budynku mieszkalnego. W sieni leży ranny. Wchodzimy do dużej izby. Pełno żołnierzy leżących lub siedzących na podłodze. Na jedynym łóżku leży jakiś żołnierz. Podchodzę do niego, stwierdzam, że nie żyje, zmarł z upływu krwi, bo wokół na pościeli pełne kałuże. Każę chłopcom zabrać trupa na zewnątrz budynku. Wyrzucam pokrwawioną pościel i układamy w łóżku naszego plutonowego. Co robić dalej?

Na zewnątrz strzelanina nie ustaje, chociaż natężenie jej poważnie się zmniejsza.

Wchodzi do izby podchorąży - dowódcy 3-go plutonu. Zmęczony, utyłkany w jakimś wapnie czy farbie.

Rannemu plutonowemu nakazuję spokojnie leżeć, bez ruchu, dopóki nie wrócę z karetką pogotowia - sanitarką. Naturalnie fantazjuję, bo przecież nie wiem gdzie szukać pomocy. Proponuję koledze podchorążemu wspólną wyprawę do miasta po pomoc dla ranne-  
go.

Wahanie... Decyzja....

Ustalamy. Ja z jednym żołnierzem na ochotnika idę do miasta po karetkę. Kolega pozostaje, obejmuje dowództwo nad pozostałymi żołnierzami i gdy zapadnie zmrok wycofa się na nasze ostatnie kwatery, złoży meldunek dowódcy kompanii względnie dowódcy batalionu.

Wychodzę. Mój towarzysz, młody inteligentny chłopiec rwie się bez zastanowienia do przodu. Zatrzymuję go i ustalamy plan naszego marszu.

W odległości około kilometra widnieją budynki miejskie, a przestrzeń do nich zabudowana parterowymi domkami podmiejskimi. Na prawo, w odległości 50 metrów biegnie szosa-ulica w kierunku miasta. Widać wyraźnie rów odwadniający wzdłuż tej szosy. Od strony północnej słychać strzały, przypuszczalnie ostrzeliwany<sup>a</sup> jest ta droga w kierunku miasta. Na drodze niema żadnego ruchu.

Biegniemy do szosy, wskakujemy do rowu i pochyleni kierujemy się w stronę miasta. Wreszcie przyzwyczajamy się do pojedynczych strzałów i nawet do bzykania pocisków nad głowami. Idziemy już lekko wyprostowani szybkim marszem.

Wchodzimy w ulicę zabudowaną zwarto muirowanymi piętrowymi i dwu piętrowymi domami. Jakiś żołnierz z karabinem w ręku pełni wartę. Pytamy o punkt sanitarny. Jest o kilka domów w przodzie. Wbiegamy do jakiegoś pomieszczenia, jesteśmy kompletnie wyczerpani, nie możemy złapać tchu, wreszcie w dużym hallu łapiemy

officera w białym fartuchu. Tłumaczę mu o co chodzi. Słucha jakby zdziwiony, ale wyrowadza nas na podwórze, gdzie stoją dwa chłopskie wozy wymoszczone sianem.

- Zabieraj pan jeden wóz i sanitariusza i wal pan po swoich rannych.

- Dziękuję.

Jak jechać szosą, która jest nieprzerwanie ostrzeliwana? Ale jechać trzeba. Furman - żołnierz i sanitariusz w jednej osobie zacina batem i koń rusza z kopyta.

Strzelanina nie pozwala nam dalej jechać, obawiamy się, że lada moment koń zostanie trafiony i cała nasza eskapada spali na panewce. Zjeżdżamy do rowu, próbujemy jechać po dnie wzdłuż tego wykopu. Opóźnia to naszą jazdę, wjeżdżamy na pobocze rowu z drugiej strony. Tutaj pociski nie dochodzą, powoli ale posuwamy się dalej, idąc wszyscy trzej obok wozu. Zatrzymujemy się poza ścianami pierwszego spotkanego domu, chwytamy dwoje noszy i biegniemy chyłkiem w kierunku pozostawionych rannych.

Niestety, mój plutonowy wyzionął ducha i został przez towarzyszy pochowany w ogódku.

Zabraliśmy czterech rannych żołnierzy, z których tylko jeden wymagał użycia noszy, pozostali ranni w rękę lub w nogę, z pomocą kolegów dotarli do czekającego na nas wozu. Stan żołnierza na noszach był poważny, wymagał natychmiastowej operacji.

Wóz nasz znajdował się już na szosie, skierowany w stronę miasta i po załadowaniu rannych ruszył galopem, nie zważając już na strzały. Ja z kilkoma żołnierzami, powolnym marszem poszliśmy do miasta.

Było już ciemno gdy udało nam się znaleźć kwatery naszego batalionu. Była tu mieszanina ludzi z różnych batalionów i różnych pułków, ale trudno było po nocy szukać swoich oddziałów, wszyscy oni pozostali na razie z nami. Dowódca kompanii był już

ale nie pozwolono go budzić, bo zmęczony spał jak zabity.

Poszliśmy w ślady porucznika i gdzie kto mógł znaleźć względnie wygodne miejsce, rzucał się w ubraniu i butach i natychmiast zasypiał. Nie dbaliśmy wtedy o sytuację bojową ani o stopień zagrożenia.

Załoga obrońców Lwowa była bardzo liczna, wyżywienie i uzbrojenie, oraz zaopatrzenie w amunicję było wystarczające. Odczuwaliśmy brak broni towarzyszących, jak samolotów i czołgów, a szczególnie artylerii, która była zbyt szczupła aby zapewnić wsparcie na stosunkowo szerokim froncie obrony.

Fakt jednak pozostaje faktem, że Niemcy czuli respekt do naszej obrony i nie zapuszczali się zbyt odaleko w granice miasta.

Właściwie cały czas trwały walki na przedmieściach ~~miasta~~ od strony północnej i zachodniej. Od strony wschodniej nie było żadnych utarczek, jedynie od południa pojedyncze zmotoryzowane niemieckie patrole próbowały wdrzeć się do miasta.

Otrzymaliśmy aż dwa dni oddechu pozostając w pogotowiu na kwaterach, organizując swoje oddziały i uzupełniając wyposażenie.

Dni płyną ospale, ludzie zaczynają się nudzić.

Na przedpolu stanowisk obronnych zupełnie wyczuwalnie zmniejsza się aktywność natarcia Niemców.

Rócho<sup>z</sup>odzi się niesprawdzona pogłoska o przekroczeniu polskiej granicy wschodniej przez Armię Czerwoną. Stało się to jakoby 17 września. Wiadomości radiowe sprzeczne, w zależności kto je nadaje

Raz się mówi, że wojska radzieckie w porozumieniu z naszymi władzami państwowymi idą nam na pomoc i że rozpoczyna się nowa faza wojny z Niemcami.

Innym razem mówi się, że doszło do porozumienia między Rosją i Niemcami o podziale między nimi naszego kraju i na linii Bugu ma przebiegać między nimi granica.

Gdzie tu prawda? Bo przecież, w zależności od wiarygodności

tych wersji, dowództwo obrony Lwowa musi zająć odpowiednie stanowisko.

Czekamy dalszego rozwoju wypadków.

Jest 19 września 1939 roku, godzina 18<sup>00</sup>.

Dowódca batalionu robi odprawę wszystkich oficerów. Wygłasza ~~niej-istotny~~ takie przemówienie:

- Panowie oficerowie! Sytuacja na froncie jest po prostu tragiczna. Warszawa kapituluje. Nasza Armia na całej linii frontu wycofuje się na wschód przed przeważającym naporem Niemiec hitlerowskich. Naczelny wódz marszałek Rydz-Śmigły ze swoim sztabem znajduje się na terenie Rumunii, Prezydent i władze państwowe wyemigrowały do sąsiednich krajów. Tutaj na wschodzie pozostał jedyny bastion<sup>n</sup> - obrona Lwowa.

6 Dowództwo garnizonu postanawia uratować od zagłady załogę miasta Lwowa drogą ewakuacji żołnierzy przez południową granicę do zaprzyjaźnionej Rumunii. Naturalnie możemy się spotkać z przeszkodą na tej drodze ze strony wojsk niemieckich, a może nawet i rosyjskich. Przeszkody te będziemy musieli pokonywać siłą.

- Akcja ta zostanie dokonana na zasadzie dobrowolności.

- Zarządza się:

1/ Przeprowadzić we wszystkich oddziałach ustalenie składu ochotników do przejścia przez granicę do Rumunii.

2/ Dopilnować wyposażenia patrolowego - strój możliwie lekki, bez płaszczy i bez plecaków, w chlebakach i ładownicach tylko naboje i granaty, suchy prowiant na jeden dzień.

3/ Zbiórka do wymarszu jutro 20 września, godzina 5<sup>00</sup> rano, wzdłuż ulicy NN /obecnie - Lenina/, poza rejonem starego miasta / od ulicy Podwale na wschód/

4/ Broń ma być należycie przygotowana.

5/ Dalsze rozkazy, odnośnie sposobu marszu, ubezpieczenia i ewentualnego zbrojnego przebicia się przez nieprzyjacielskie

okrażenie - zostaną wydane dowódcom grup w ramach organizacyjnych batalionów.

A więc rozpoczynamy nowy etap naszego udziału w tej strasznej wojnie. Jesteśmy wszyscy, a szczególnie kadra dowódcza w niebywałej rozterce. Co i jak powiedzieć żołnierzom? Jak zaagitować do możliwie najliczniejszego <sup>w przebiegu</sup> udziału? - Oto główne pytania przesładujące nas oficerów w drodze do swoich kwater. Dziwne, ale nikt nie miał ochoty ani się radzić, ani rad udzielać kolegom.

Zaraz po powrocie zwożuję wokół siebie na podwórku domu gdzie były kwatery mojego plutonu wszystkich chłopców. Patrzą na mnie z wyczekiwaniem co też będę miał do powiedzenia.

Mówię.

- Chłopcy! Za kilka dni będą tu we Lwowie Niemcy lub Rosjanie. Jutro wychodzimy ze Lwowa i maszerujemy do Rumunii. Może przyjdzie nam się bić dla przebiccia ~~się~~ przez okrażenie. Pójdą tylko ci co się na ochotnika zgłoszą, nikt nie będzie miał żalu ani pretensji do tych co zostaną. Chcę wiedzieć kto z was decyduje się na ten wypad. Ochotnicy niech podniosą rękę do góry.

Policzyłem. Było nas razem 28 na 30 obecnych. Z ogólnego stanu plutonu w ciągu dotychczasowych walk pod Lwowem ubyło 8 ludzi, poległych, rannych lub zaginionych. Mieliśmy pewne wiadomości o trzech zabitych, o reszcie nie było żadnych danych.

- Dobra! - powiadam - idziemy spać. Pobudka o godzinie 4<sup>00</sup>, ubieramy się ciepło ale bez płaszczy, wszystkie manele zostawiamy w jednym pokoju pod opieką tych co zostają. Chlebak a w nim cośkolwiek do jedzenia. Wyfasować granaty ręczne i dużo amunicji, z broni bierzemy karabiny ręczne i maszynowe, bagnety i łopaty, o ile kto ma. Ja będę dowodził dwoma plutonami - I i II /podporucznik Zagozdon - zaginął/

Nie było jeszcze 5<sup>00</sup> rano gdy nasza kompania w zwartym szyku, w stroju polowym stanęła jako któraś tam z rzędu na jezdni

ulicy NN /obecnie Lenina/

Punktualnie o godzinie 5<sup>00</sup> ruszył pochód do przodu. Mimo wczesnej pory, mimo zmroku, na chł<sup>o</sup>wnikach ulicy zebrało się sporo ~~dużo~~ wojskowych i cywilów, którzy w milczeniu zegnali nasze oddziały. Znajdowaliśmy się mniej więcej w środku długiej kolumny. Od czasu do czasu przebiegał tam i z powrotem, wzdłuż trasy oficer na koniu - adiutant pułkownika, który dowodził całością.

W pewnym momencie, gdy upłynęło już ponad pół godziny marszu, rozległ się głos z tyłu, wzywający do zatrzymania się kolumny. Konsternacja ogólna, jakaś niepewność, brak informacji. Galopem od tyłu pędzi na koniu pułkownik ze swoim adiutantem, mijają nas i znikają w przodzie. Stoimy chyba znów pół godziny. Wreszcie od czoła kolumny powstaje nieskoordynowany ruch, jakieś entuzjastyczne okrzyki. Nic nie rozumiem.

Biegnę do przodu do swego dowódcy kompanii, niema go, poszedł wezwany do majora. Wraca, jakiś rozpromieniony. Co się stało? Ale już nie potrzebuje wyjaśniać, bo wokół żołnierze powtarzają ostatni komunikat radia wileńskiego.

- Hitler zwariował. Rewolucja w Niemczech. Wojska niemieckie wracają do swego kraju. Sowiety wycofują się na linię granicy.

- Panowie! - wołam - To bujda! Nie dajmy się zwariować! Jakże rozkazy naszych dowódców?

- Wracamy na swoje kwatery we Lwowie - wydaję na własną odpowiedzialność rozkaz swemu oddziałowi - i czekamy rozwoju dalszych wypadków.

Jesteśmy znów we Lwowie, znów na swoich kwaterach, ale jakże w zupełnie innym nastroju. Cały dzień 20 września i cała noc upływa bez żadnych wypadków. Przeważnie leżymy wszyscy gdzie padło i wyczekujemy. Jemy co się da gdzie zdobyć, zaopatrzenie prawie wyczerpane.

Jest 21 września 1939 roku godzina 21<sup>09</sup>//wieczorem/

Odprawa u dowódcy batalionu przy udziale wszystkich oficerów podoficerów i podch<sup>e</sup>ráżych.

Odprawę prowadzi major NN. Wszyscy obecni stoją. Dowódca batalionu grobowym głosem oświadcza.

- Przed chwilą wróciłem z odprawy u dowódcy naszego pułku, gdzie otrzymałem następujący rozkaz:

- "W dniu dzisiejszym odbyły się pertraktacje dowódcy obrony Lwowa, generała Langnera z generałem rosyjskim, działającym z upoważnieniamarszałka ZSRR Timoszenki w sprawie kapitulacji wojsk polskich, stanowiących załogę obrony miasta Lwowa, na następujących warunkach:

- 1/ Złożenie broni przez wszystkich żołnierzy i oficerów polskich na placu NN w dniu 22 września do godz. 12<sup>00</sup>
- 2/ Zapewnienie naszym oddziałom wolnego przejścia granicy rumuńskiej.
- 3/ Pozostawienie na wolności w Kraju tych, którzy nie wyrażą chęci marszu do Rumunii.
- 4/ Zapewnienie wyżywienia zarówno jednym jak i drugim w okresie przebywania na terenie Polski.
- 5/ W dniu 22 września o godzinie 15<sup>00</sup> oficerowie mają się zgromadzić po złożeniu broni przed gmachem Dyrekcji Kolei i w zwartym szyku wymaszerować ulicą Łyczakowską w stronę miejscowości Winniki. Żołnierze mają iść wzdłuż torów na Równe, gdzie będą czekały pociągi w kierunku na północ i na zachód, do swoich rodzin. /"na rodinu"/

Odprawa została zakończona słowami podziękowania wszystkim żołnierzom za ich bohaterstwo w walkach z Niemcami. Obecni odśpiewali hymn polski Jeszcze P<sup>o</sup>lska nie zginęła!

Cisza kompletna zaległa wśród zebranych. Po chwili ktoś krzyknął "zdrada", ale nie znalazło to oddźwięku.



Zaczęliśmy powoli wychodzić spoglądając na siebie nawzajem, szukając w myślach jakiegoś logicznego uzasadnienia tych wypadków.

Po powrocie na kwatery, dowódca kompanii kazał zebrać wszystkich żołnierzy i próbował do nich przemówić. Nagły ścisk w gardle i łzy w oczach nie pozwoliły wydobyć żadnego słowa.

W imieniu dowódcy kompanii podałem do wiadomości ostatni rozkaz Sztabu Obrony Lwowa i nakazałem zbiórkę o godzinie 10<sup>00</sup> rano następnego dnia na podwórzu w pełnym uzbrojeniu i oporządzeniu, w pełnej gotowości do wymarszu ze Lwowa.

Wydałem rozkaz: "Rozejść się" - i sam poszedłem kompletnie rozbity do pokoju dowódcy kompanii. I tu byłem świadkiem targedii. Bo oto porucznik NN nasz dowódca, korzystając, że go zastąpiłem w przemówieniu do żołnierzy, oddalił się do swego pokoju i wpa- kował sobie w skroń kulę z pistoletu.

Było to straszne przeżycie.

Nikt na zewnątrz nie słyszał i nie wiedział o samobójstwie naszego dowódcy. Ciałem jego i dokumentami zaopiekował się przygodnie spotkany cywil.

Na swojej kwaterze zastałem niespodziewanie podporucznika Zagozdona, który po dwóch dniach zaginięcia w czasie walk z Niemcami, dotarł zmaltretowany do miejsca naszego pobytu, ale już nie miał sił stawić się na odprawie w batalionie. Nigdy już nie dowiedziałem się o historii podporucznika Zagozdona, nie zdążył mi ją opowiedzieć w nawale dziejących się zjawisk i orzeźwić. Zwaliz się na łóżko i natychmiast twardo zasnął, zupełnie nieczuły na wiadomość o naszej kapitulacji.

Wyszedłem na miasto. Było już po północy. Ciemności egipskie. Wszystkie okna na parterze i witryny sklepowe pozamykane na żaluzje lub kraty żelazne. Po ulicach przetaczały się całe "tabuny" żołnierzy ze śpiewami i okrzykami. Dały się słyszeć huk rozbijanych szyb i krat z wystaw sklepowych. Żołnierze grabili co im po-

deszko pod rękę. Byli tacy co dźwigali na plecach duże walizy wypełnione różnym towarem.

Przystanąłem i spoglądałem na to z uczuciem jakiegoś obrzydzenia, z uczuciem zdziwienia. Po co im to? Przecież do domu tego nie doniosą, a sprzedać chyba też nie będą mieli komu. Skąd ta bezmyślność, skąd ten instynkt grabieży? Kiedy zbliżyłem się do jakiegoś żołnierza, siedzącego i odpoczywającego na ogromnej walizie i zapytałem go dlaczego grabi - odpowiedział:

- A komu mam to zostawić?... może bolszewikom?...

Wróciłem na kwaterę i jak stałem, zwałikiem się na łóżko i prawie natychmiast zasnąłem.

Już o godzinie 6<sup>00</sup> rano byliśmy wszyscy na nogach.

W moim pokoju zebrali się wszyscy podoficerowie, podchorąży i kilkunastu żołnierzy. Jedliśmy na śniadanie co kto miał, dzieląc się z innymi. Każdy wyciągał zapasy papierosów i dzielił się z towarzyszami.

Spojrzałem na Zagozdona i mówię:

- No chłopcy, zrywać dystynkcje i naszywki, bolszewicy nie lubią szarży w polskim wojsku.

Wszyscy podoficerowie natychmiast pozrywali naszywki i odznaki. Tylko Zagozdon i podchorąży nie dokonali tej degradacji. Powiedzieli, że im honor polskiego oficera na to nie pozwala. Widocznie miałem inny pogląd na sprawę honoru, bo z mundura i płaszcza odprułem wszystkie odznaki podchorążego - sierżanta. Zdawałem sobie sprawę, że się żegnam nie tylko z wojną ale i z wojskiem, było mi jednak okropnie smutno.

Kiedy w dniu tym, o godzinie 10<sup>00</sup> rano poprowadziłem <sup>oddział</sup> na plac, przeznaczony na składanie broni, zastaliśmy tam już górę karabinów ręcznych, maszynowych, pistoletów, szabel oficerskich i bagnatów, bezładnie leżących razem z pakami amunicji.

To był widok dla żołnierza przerażający.

Tym straszniejszy, że nieznanym był nasz los i ta świadomość całkowitej bezradności.

~~Wszyscy teraz chłopcy każdy na własną rękę śpieszy do swoich~~

- No a teraz chłopcy każdy na własną rękę śpieszy do swojej mamy lub żony. Bądźcie zdrowi i pamiętajcie, że wojna się jeszcze nie skończyła, kto wie czy znów gdzieś na froncie nie spotkamy się.

- Rozejść się ! - padł mój ostatni rozkaz w "kampanii" września.

Na placu tumult. Pełno ludzi, krążących z miejsca na miejsce, jakby bez celu. Wielu z nich z walizkami lub wypchanymi workami na plecach.

### Rozdział 3. POWRÓT Z WOJNY

Strumień postaci ludzkich kierował się w ulicę Łyczakowską, wychodzącą na Brody i Zdołbunów.

Stałem, spoglądając na tłumy żołnierzy i medytowałem jaką wybrać drogę powrotną, bo o przejściu granicy rumuńskiej w świetle warunków jakie się w tej chwili wytworzyły, nie było mowy. Zresztą wiedzieliśmy, że jesteśmy traktowani jako jeńcy wojenni i nikt nam nie pozwoli na przekroczenie granicy.

Koło mnie zebrało się jeszcze czterech towarzyszy, którzy jak ja kierowali się w stronę Wilna.

Ruszyliśmy z tłumem żołnierzy. ~~Ja~~ Ja szedłem pierwszy, za mną, trzymając się z tyłu mojego paska, szedł mój obserwator<sup>F</sup> - kapral Konrad, za nim w podobny sposób kapral Zenek Kardasz i dalej dwóch żołnierzy. Kroczyliśmy wolno gęsiego, gdyż ciasnota w marszu była niesamowita, szczególnie gdyśmy z placu weszli w u-

licę. Marsz ten trwał z przystankami ponad <sup>d</sup> godzinę, a uszliśmy nie dalej niż 2 kilometry.

Napotykałyśmy na drodze pierwszy rów przeciwczołgowy przez który trzeba było nie lada ekwilibrystyki żeby go przejść. Drugi rów, przekopany w poprzek ulicy był już nieco płytszy. Przed nami gęsta chmara żołnierzy, za nami tłumy. Nasza piątka idzie przy samych ścianach budynków i ogrodzeń.

Nagle, z drugiego piętra przeciwległego budynku odzywa się ogień karabinu maszynowego, a na środku ulicy padają ranni i zabici nasi żołnierze. Krzyk bólu i wściekłości, tumult niesamowity. Kilku żołnierzy wpada do tego domu i po chwili wywlekają dwóch chłopaków w cywilu. Zlinczowano ich na miejscu. Byli to nacjonalisci ukraińscy.

Ruszamy dalej. Zdaleka widać jak cała kolumna rozdziela się na strony, a w środku ukazują się potężne czołgi sowieckie.

I znów z okna drugiego czy trzeciego piętra jak<sup>oś</sup> ręka wyrzuca na środek ulicy kilka granatów. Wybuchają na kilka kroków przed nami. Padamy na ziemię, leżymy pod samym murem. Nie<sup>y</sup>ma gdzie się skryć, a wybuchy granatów dalej słychać. Jęki i krzyki.

Słyszymy jak rusza czołg do przodu, podjeżdża aż do nas, do miejsca wybuchów granatów, kieruje lufę działka na do<sup>m</sup>i daje ognia. Padają trzy strzały, a w murze między oknami tworzy się dziura. W czołgach, w otwartych włazach stoi dwóch bojców, zaśmiewają się i machają przyjaźnie do nas rękami. Żołnierze nasi odpowiadają im na powitanie i powoli wszystko się uspakaja. Ruszamy dalej.

Bezładna kolumna żołnierzy polskich, idąca całą szerokością ulicy, atoniowo rozciąga się i zagęszczenie maleje. Idziemy już swobodnie, nie trzymamy się już za pasy i nie skrobimy sobie po piętach. Robi się ciepło. Słońce zaczyna przygrzewać i jakoś jaśniej się robi na sercu. Współczujemy tym, którzy z chciwości dźwigają na plecach ciężkie walizki.

Znajdujemy się już na skraju miasta. Po lewej stronie naszego marszu ukazuje się mała, piękna cerkiewka, ogrodzona niskim drewnianym płotkiem. Za ogrodzeniem stoi kilkudziesięciu oficerów. Machamy im rękami i wzywamy by szli razem z nami. Z branki wyskakuje Stefan Zagozdon, podbiega do nas i namawia mnie bym się przyłączył do grupy oficerów. Niema mowy. Kategorycznie odmawiam i ruszam z moimi kumplami dalej. Jeszcze pozdrowienia i machanie rękami. Cerkiewka znika nam z oczu.

Ale ja teraz jestem nawiedzony poważnymi refleksjami. Bo przecież moim moralnym obowiązkiem było iść z kadrą oficerów. Nie mogłem jednak wzbudzić w sobie poczucia dokonania przestępstwa ani wobec prawa ani wobec etyki. Nie wiedziałem wówczas, że oficerowie ci zostali osadzeni w obozie w Kozielsku, a co znaczyło to - ujawniło się w późniejszym czasie. Hasło "Katyń" tłumaczy wszystko.

Teraz wzdłuż torów kolejowych maszerują grupki po kilku lub kilkunastu ludzi. Każde odgałęzienie dróg na północ pociąga w tym kierunku niektórych uchodźców, że to niby bliżej do domu niż na Równe i Zdołbunów. Może tak, ale tu są możliwości trafienia na pociąg idący w stronę Baranowicz i Lidy. Zresztą w większym skupisku czujemy się bezpieczniejsi wobec pogłosek o napadach uzbrojonych grup ukraińskich.

Idziemy drogą bitą wzdłuż torów kolejowych, w przydrożnym rowie spotykamy pozostawione przez żołnierzy różne ciuchy, które wyrzucali z walizek żeby zmniejszyć ciężar przez nich dźwigany. Czego tam nie było? Najwięcej jednak garderoby i bielizny damskiej, nie wyłączając różnokolorowych jedwabnych majteczek i biustonoszy. Były również całe męskie garnitury i płaszcze, a buty, półbuty i pantofle rozrzucone na wszystkie strony. Były całe walizki częściowo wypełnione różnym dobrem.

• Dzień ma się ku końcowi, a do stacji kolejowej Krasne jesz-

cze ze 20 Km. Postanawiamy iść mimo nocy żeby jaknajszybciej do-  
trzeć do tej stacji. Jest godzina 12<sup>00</sup> w nocy, gdy zatrzymujemy  
się dla odpoczynku koło przydrożnej figury, usytuowanej na małym  
wzgórku i otoczonej płotem. Jest nas teraz tylko siedmiu. Siada-  
my na leżących głazach, zmęczenie daje o sobie znać, chyba brac-  
two zaraz zaśnie. A może warto parę godzin się przespać? Diabli  
wiedzą co nas czeka w dalszej drodze. Zdrzemnąłem się. Nie wiem  
ile czasu ta drzemka trwała, bo postawił nas wszystkich na nogi  
tętent koni. Jakiś konny patrol sowiecki nadjeżdżał galopem od le-  
wej strony naszej drogi.

- A wy kto? - pyta po rosyjsku dowóca patrolu.

- Polacy - odpowiadamy

- Kakijs Polaki? nawierno fryce. Pokaży bumagi.

- Nie mamy żadnych dokumentów, idziemy po kapitulacji Lwowa.

Przecież tam jest wasza armia.

- Tak idzicie damoj.

I odjechali

Poza siódmką zebrała się koło nas w czasie naszego snu spo-  
ra gromada żołnierzy, którzy jak my postanowili noc dzisiejszą  
przespać. Świt zastał pod świętą figurą znaczną ilość młodych lu-  
dzi. Podniesienie <sup>zię</sup> z ziemi naszej grupki dało sygnał dla pozosta-  
łych.

Nie posiadamy żadnej mapy, kompletny brak orientacji na w  
terenie, jedynie linia kolejowa, o której wiemy, że biegnie przez  
Brody, Rąbno, Zdołbunów i dalej przez Równe, Sarny Łuniniec do  
Baranowicz. A więc tylko tory kolejowe mogą być dla nas drogo-  
wskazem. Coś nam się kojarzyło z miejscowością Winniki, ale ktoś  
informował, że leżą one na kierunku do Tarnopola, a potem przez  
granicę sowiecką do miasta Winnicy. I znów skojarzenie: dlaczego  
więc wydany został rozkaz dla rozbrojonych polskich oficerów  
zbiórki w Winnikach?

Rozjaśniło się już zupełnie, gdy osiągnęliśmy nasyp kolejowy i maszerujemy wzdłuż lewego rowu odwadniającego. Szło się nam zupełnie rażno. Nawet niektórzy zaczęli <sup>e</sup>śpiewać żołnierskie pieśni.

W pewnym miejscu, na skarpie nasypu kolejowego spotykamy siedzących tam trzech ludzi, którzy nas dosłownie wprowadzili w osłupienie, bo mimo rannego chłodu byli oni rozebrani do bielizny. Całe ich odzienie to kalesony i koszula, bo nawet na stopach nie mieli obuwia. Zerwali się na nasz widok i podbiegli do nas haotycznie opowiadając.

Nakazałem spokój. Moi chłopcy pożyczili im płaszcze i teraz dopiero pytam co się stało. Opowiadają jak to wczoraj z wieczora czując głód i widząc w dali zabudowę wsi, postanowili we trójkę coś tam przehandlować na żarcie. Gdy tylko weszli na podwórko pierwszego gospodarstwa, zostali otoczeni przez zgraję wyrostków. Natychmiast powyrywali im siłą cały dobytek, pobili kijami, a potem pościągali z nich buty, spodnie, bluzy i zostawiwszy w bieliźnie rozbiegli się na wszystkie strony.

Sytuacja nie wesoła... Trudno przecież wracać do wsi dla odzyskania zagrabionej odzieży. Żeby chociaż była jakaś broń palna.

- Panie podchorąży, ja mam rewolwer, nagan z nabojami, możeby spróbować?

Zgłosiło się na ochotnika z dziesięciu chłopaków.

Poszli.

Pozostali, a było tego już wokół <sup>9</sup>/<sub>10</sub> chyba setka, postanowili ~~z~~ zbliżyć się do wioski i tam w pewnej odległości czekać dalszego rozwoju wypadków.

Trwało to chyba z godzinę.

Widzimy jak nasi chłopcy wracają, niosąc plik ubrań i butów, naturalnie nie były to sorty wojskowe, ale pozwoliły okryć ciało przed zimnem i kompromitacją. Żołnierz z rewolwerem raportował słuźbiście, że nie mieli żadnych kłopotów z uzyskaniem zdobyczy,

ba, jeszcze przytaszczyli trzy ogromne bochny chleba i pozęć wędzonej słoniny.

I znów na marginesie tego wypadku refleksja, która nasunęła mi się ~~to~~ jak były złudne nadzieje ukrycia mojej szarży - sędzia wojskowego wobec towarzyszących mi żołnierzy. Przecież nie miałem żadnych odznak a zewsząd tytułowano mnie podchorążym.

No więc zwycięstwem zakończyła się eskapada, ale było to również ostrzeżeniem o grożącym niebezpieczeństwie ze strony nacjonalistów ukraińskich.

Zresztą na potwierdzenie tych obaw zaszedł inny, bardziej tragiczny epizod.

W odległości około 3 Km od stacji kolejowej Krasne znajduje się niewielka wieś o zwartej zabudowie. Wieś ta przylega niemal do torów kolejowych, a drzewa niektórych gospodarstw podchodzą do nasypu na odległość nie większą niż 10 metrów. Na jednym z takich drzew zobaczyliśmy dyndającego na sznurze człowieka. Był to polski żołnierz, w mundurze i butach wojskowych. Wrażenie było okropne. Twarz zsiniała z językiem na wierzchu, ręce dziwacznie rozcapierzone.

Wrzask się poñniósł wśród żołnierzy, przekleństwa, groźby.

- Podpalić te wszystkie chaty!

- Chłopczy! Nie czas na zemstę! Musimy walić do swoich domów! - wołam.

- Zdjąć wisielca - wydaję rozkaz - zbadać czy niema jakich dokumentów i szybko pogrzebać. Jazda do roboty, bo dzień krótki, a w Zdołbunowie podobno stoją pociągi na wschód i północ. Jeszcze przyjdzie czas na zemstę.

Ale do Zdołbunowa mamy jeszcze ponad 150 Km, czyli w najlepszym razie to 5 do 6 dni szybkiego marszu. Dzień jak dzień, ale co robić w nocy, jak się ubezpieczyć od napadów okolicznej ludności, przecież to mogą być nawet uzbrojone watahy.



Nie wiem dlaczego ale jakoś czułem się odpowiedzialny za bezpieczeństwo tych ponad stu ludzi, którzy z taką ufnością garnęli się do naszej grupy, podporządkowując się moim zarządzeniom.

Okazało się, że nie wszyscy byli kompletnie rozbrojeni, znaleźli się nawet tacy co mieli przy sobie karabiny, a rewolwerów znalazło się chyba z 15 sztuk.

Nakazałem broń ukryć pod płaszcami na wypadek spotkania patroli sowieckich. Wszystkich uzbrojonych w broń palną i bagnety zorganizowałem jako straż przednią, pozostałym kazałem się zaopatrzyć w mocne kije.

Teraz mogliśmy maszerować zupełnie śmiało, ubezpieczając się na boki, zwłaszcza gdy przechodziliśmy obok zabudowań lub przez zagajniki <sup>cały</sup> las.

Stacja kolejowa Krasne, w odległości około 40 Km od Lwowa. Na jednym z dwóch torów stoi pociąg, składający się z lokomotywy i pewnie 6 osobowych wagonów. Wszystkie wagony, nie wyłączając stopni, breków, zderzaków i dachu były po prostu oblepione ludźmi. Parowóz stał bez obsługi, pod kotłem nie ma ognia.

Grupa nasza stanęła i przygląda się temu zjawisku. Żadnego ruchu na peronach, mimo kilku tysięcy ludzi. Sciśnięci byli do tego stopnia, że nie mogli na moment zmienić miejsca. Rozmowa z jednym z żołnierzy znajdujących się wewnątrz wagonu, uświadomiła nas, że siedzą tu załadowani już od wczoraj rano, ~~le tej pory ani jeść ani spać nie mogli~~. Podobno są wypadki omdlenia, a nawet śmierci. - Oto leżą tam delikwenci.

- No, kto ma ochotę to idziemy dalej - wołam i ruszam przodem, a za mną niemal wszyscy, których doprowadziłem do Krasnej. Zapewne trochę ludzi zostało, zdając się, że pociąg ten kiedyś ruszy.

~~Do następnej stacji kolejowej Brody było 65 Km. Zbliżał się wieczór, a po ciemku nie zamierzaliśmy maszerować. Należało dojść~~

~~do jakiegoś korzystnego miejsca i urządzić się do przenechania.~~  
~~Doszlismy tego dnia jeszcze 15 Km i w pobliżu przejazdu kolejowego~~  
~~postanowiliśmy rozłożyć się obozem. Pogoda sprzyjała, więc można~~  
~~było wprost na polu po zżętych zbożach ułożyć pod siebie co się da-~~  
~~ło i próbować zasnąć. Naturalnie wyznaczono wartowników, którzy~~  
~~mieli się zmieniać co 2 godziny.~~

~~Niewielu, jak się zdaje, zasnęło. Dokuczliwe zimno trzęsło~~  
~~całym ciałem. Tak późno drząc, doczekaliśmy się w spokoju świtu~~  
~~i przy słabym jeszcze brzasku ruszyliśmy dalej.~~

~~Okazało się, że w środku nocy kilka grup odmaszerowało.~~

I znów stopniowo cała nasza gromada topniała, a po kilku dniach marszu został<sup>a</sup> nas tylko grupka 10 osób. Zmęczenie i brak snu dawał się nam coraz bardziej we znaki.

Wreszcie ominęliśmy Dubno od strony południowej, weszliśmy znów na tory i ~~po~~ po 5 dniach od momentu wyruszenia ze Lwowa znaleźliśmy się w pobliżu stacji kolejowej Zdołbunów.

Już na kilka kilometrów przed budynkami dworcowymi spotykaliśmy mniejsze i większe oddziały Armii Czerwonej, które rozłożyły się obozem wzdłuż torów. Nikt nas nie zatrzymywał, nie widziało się najmniejszego zainteresowania ze strony bojów. Zwróciliśmy uwagę na to, że żołnierze ci byli stosunkowo dobrze ubrani, posiadali automaty i jakoś nie widziało się tak charakterystycznych dla piechoty sowieckiej worków na sznurkach zawieszonych na plecach. Okazało się, ale to już później, że była to służba wojskowa na tyłach frontu, złożona z oddziałów NKWD - co znaczy "narodny komisariat wntrennich dzieł" - ~~po prostu żandarmeria.~~

Im bliżej dworca tory rozgałęziały się coraz bardziej, tworząc wachlarz na znacznej powierzchni. Nie spotkaliśmy po drodze żadnego pociągu ani nawet wagonów. Wchodzimy w coraz bardziej zagęszczający się tłum polskich żołnierzy. Wreszcie, przeciskając się znaleźliśmy się na dużym placu przed dworcem, na którym tłoczyli

ustawieni w trzech kolejkach nasi żołnierze. Pytamy co to znaczy? Jakiś żołnierz informuje nas, że dalej stoja stoliki, przy których urzędują rosyjscy oficerowie, wpisują na jakieś listy, dają przepustki na dalszą drogę. Przy tym ciekawe tylko to, że przepustki są w kilku kolorach i na przykład: kolor biały - to Białorusini, czerwony - Litwini, niebieski - Żydzi a brązowy - Polacy. Możliwe, że w tych kolorach coś mi się pomyliło, ale nie o to chodzi. Jest zastanawiające dlaczego taki podział na nacje, przecież wszyscy znajdujący się tu żołnierze to żołnierze polscy.

- A nie wiesz po co to wszystko? - pytamy tego kolegę.

- Wiadomo. Grupy poszczególnych narodowości są odprowadzane przez bojców do składów pociągów, a co jest w tym ciekawe, że Polaków prowadzą dość daleko, podobno są szerokie tory.

Pozostało przy mnie tylko dwóch, a mianowicie kapral Konrad i kapral Kardasz. Krótka narada. Nie rejestrujemy się.

Idziemy w ślad za grupą Białorusinów. Mijamy budynek dworca. Ukazuje się pociąg towarowy, już częściowo wypełniony ludźmi. Oglądamy czy nie znajduje się na szerokich torach - ale nie. Podchodzimy do parowozu. Maszyna pod parą. Maszynista wychylony przez okno.

- Panie mechaniku, jaki kierunek jazdy?

~~skrzak~~ - Siadajcie prędko. Jędziem do Baranowicz, a dalej nie wiadomo.

- Siadamy chłopy - mówię - potem będziemy myśleć co dalej.

Wgramoliliśmy się do pierwszego za lokomotywą wagonu towarowego, przy czym wciągnęli nas do góry znajdujący się tam żołnierze.

- Gdzie jedziemy? - pytam

- Podobno do Wilna przez Baranowicze.

- To fajno, bo my trzej z samego Wilna.

- Chłopaki, macie co jeść? - pyta nas jakiś bardzo sympatyczny żołnierz - nam tu wyfasowali po pół bochenka chleba, podzie-

~~...~~

limy się. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie. To jakoś trudno było sobie uświadomić ten odruch życzliwości, tę oznakę jakiejś wielkiej solidarności w trudnych chwilach. Ja miałem chlebek wypchany cukrem w kostce, bo na jednym z noclegów zatrzymaliśmy wóz chłopski załadowany workami cukru, wtedy to wszyscy zaopatrzyli się w ten produkt.

Był 29 września. Bez żadnego sygnału pociąg zaczął się wolniutko posuwać do przodu. Wzdłuż pociągu biegali "bojcy" z karabinami z osadzonymi na lufy bagnietami - pikami i wrzeszczeli na całe gardło - "zakrywaj dziery... zakrywaj dziery...".

Nie wszystkie drzwi wagonów dawały się zamknąć. Spaczone od wilgoci z zardzewiałymi kółkami i przewodnicami. Niektóre uległy naciskowi wielu rąk i jakoś trochę przymknięto. Całkiem zamknąć nikt nie miał zamiaru, bo w takim zatłoczeniu wagonów zabrakłoby powietrza do oddychania.

Stopniowo każdy starał się uplasować w tej ciasnocie, czy to kucając, czy siadając na podłodze z podkurczonymi nogami. Większość jednak stała na obolałych nogach, kiwając się na wszystkie strony przy lada wstrząsach wagonu. Ktoś tam zaintonował pieśń żołnierską, ale jakoś nie było amatorów do podchwycenia melodii.

I tak w mękach trwaliśmy przez całe dwa dni i dwie noce, bo na każdej najmniejszej stacji pociąg zatrzymywał się, czasem<sup>m</sup> kilka godzin czekając na dyspozycje dalszej jazdy.

W dniu 1 października, w Baranowiczach, pociąg nasz został zaraz po zatrzymaniu się otoczony zewsząd przez uzbrojonych żołnierzy sowieckich. Nie wolno było wychodzić z wagonów. Rozległo się nawet kilka strzałów karabinowych ostrzegawczych dla tych, którzy nie chcieli usłuchać rozkazu. Bojcy jednak nie dali rady utrzymać porządku, nikt nie zważał na gnoźby ani nawet na strzały, wszyscy pasażerowie naszego pociągu wyskakowali i gdzieś się rozpraszali.

Należało teraz zrobić rozeznanie, bo jakos nie zanosilo się na to żeby nasz pociąg miał jechać dalej.

Na sąsiednim torze stoi jakiś pociąg z wagonami osobowymi. To chyba coś dla nas. Pakujemy się do pierwszego z brzegu przedziału. Krzyki znajdujących się w wagonie pasażerów, naturalnie w polskich mundurach, bo ciasno, bo niema miejsc.

Konrad wdrapał się od razu na półkę, jako że był najmniejszy, Kardasz przez siłę wśladował się między dwóch siedzących na ławce, a ja musiałem usadowić się na kolanach Kardasza. No to ni-  
by siedzimy w pociągu i czekamy. Pozostało tylko jedno <sup>pytanie</sup> ~~zadanie~~ <sup>alg</sup>  
- dokąd jedziemy? Nikt z obecnych nie mógł jednoznacznie dać na to odpowiedź. Jedyne, to nadzieja, że chyba do Wilna.

~~Kardasz~~ - Słuchajcie - powiadam - ja wyjdę na rozpoznanie, może coś wyważam.

Poszedłem wzdłuż pociągu aż do parowozu. Obok lokomotywy stoi usmarowany sadzami i olejem starszy pan i rozmawia z oficerem sowieckim. Czekam. Wreszcie Sowiec poszedł, a nasz mechanik zabierał się do wejścia na parowóz.

- Panie, powiedz pan prywatnie dokąd pan ten pociąg poprowadzi?

- Nie wiem - odpowiada.

- Czy nie w kierunku Wilna?

- Zdaje się na Mińsk - sciszył głos.

- Prędko odjazd?

- Zeraz.

Wracam szybko do swego wagonu, nie chcę krzyczeć więc wdrapuję się do środka i powiadam, że ten pociąg idzie na wschód a nie na północ, Wilno zaś leży niestety na północy.

Zapada szybko zmrok.

Nie wiadomo jak to się stało ale momentalnie wszystkie drzwi do wagonów /a nie były to "pulmany"/ obsadzone zostały

przez żołnierzy sowieckich.

Przeciskam się niemal po głowach siedzących na podłodze wagonu, ciągnę za sobą Kardasza i wołam Konrada. Dochodzimy do przeciwległego okna, ja i Kardasz, bo Konrad powiedział, że zostaje, że będzie miał czas dać drapaka pod Stołpcami. Skąd on wiedział, że ten pociąg pójdzie przez Stołpce?

Ja wyskakuję przez okno i podbiegam pod ustawione wzdłuż torów sągi szczap drewna i w cieniu przylegam do ściany. Za mną wyskakuje Kardasz. Słychać repetowanie zamka karabinu i głos: stoj, budu strielat. Kardasz leży płackiem w odległości kilku kroków od wagonu, czeka co będzie dalej. Cisza. Omijam jeden sąg drewna i wybiegam poza niego. Przerazenie ogarnia mnie gdy włożę niemal nogami na ognisko, wokół którego siedzą żołnierze sowieccy. Moment i skok do tyłu, chwytam za rękę Kardasza i chyżkiem przebiegamy około 50 metrów wzdłuż ustawionych stosów drewna.

Nic się nie dzieje. Wstajemy i wyprostowani walimy wprost na czerwone światełko przed nami. Lamy przy rozjazdach kolejowych. W lewo wolna przestrzeń, w prawo światła dworca kolejowego. Idziemy w lewo i dochodzimy do szosy. Przechodzimy na drugą stronę. Jakaś budowa, widać przez okno dużą salę a w niej stoły i sporo siedzących ludzi. To pewnie jakaś karczma lub jadłodajnia. Wejść czy nie? A może coś do jedzenia da się wykombinować? Kardasz wkracza pierwszy, ja za nim. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Przy stołach przeważnie polscy żołnierze, drzemą opierając głowy na stołach. Zbliżamy się do lady, z za której wychodzi wspólniały brodaty Żyd. Wskazuje nam wolne miejsce i obiecuje, że coś przyniesie do zjedzenia. Stawia przed nami dwa kubeczki gorącej wody i po dwie kromki razowego wiejskiego chleba z kawałkiem białego sera.

- Jedzcie prędko i uciekajcie - powiada.

Chcę płacić, bo przecież mamy trochę polskich złotych, ale poczciwe Żydzisko poklepuje nas po plecach i odmawia przyjęcia zapłaty.

- Jak zjecie - dodaje - to zaraz idźcie szosą w kierunku przejazdu. Miniecie przejazd kolejowy i skróćcie drogą w lewo. Będzie to kierunek na Nowogródek. Szczęśliwej drogi. Oddalił się za swój szynkwias.

- Zenek - mówię - to chyba opatrność czuwa nad nami. Ile masz przy sobie złotówek?

- Niewiele, może 150.

- Jęj mym 320 zł. może się na coś przydadzą.

Wypiliśmy duszkiem gorącą wodę, chleb wzięliśmy ze sobą i wychodzimy gryząc go po drodze ze smakiem.

Mijamy przejazd kolejowy. Zaczyna świtać.

Za torami biegnie brukowany kamieniem polnym droga i rozgałęzia się niemal prostopadle, a na skrzyżowaniu stoi drogowskaz. Na lewo - Nowogródek 50 Km, w prawo - Baranowicze 3 Km. Jesteśmy więc na naszej trasie. Z dala widać ciemny pas lasów. Ledwie wleczemy nogami, zmęczenie i brak snu obezwładnia nas, szczególnie po spożyciu "sutej" kolacji, zakrapianej gorącą wodą. Dotrzeć do widniejącego przed nami lasu, tam zaszyć się w gęste krzaki i przespać się chociaż ze dwie godziny.

Tymczasem słońce wschodzi i zaczyna przyjemnie grzać. Nabieramy otuchy i nowych sił. Na szosie pustka, nie spotykamy nikogo.

Była już pewnie 12<sup>00</sup> w południe kiedy budzę się szarpany silnie za ramię. Nie był to jednak Zenek. Jakiś wąsaty, potężny chłop przygląda się nam i stara się nas doprowadzić do przytomności. Zdawało się nam, że w tych krzakach sam diabeł nas nie wykryje, a tu masz, zwykły chłop ze wsi trafił na nasz ślad.

- Panowie żołnierze, nie idźta szosą tylko lasem, bo na szo-

sie pilnują chłopaki ze wsi Geszkiele, wyłapują polskich żołnierzy i odprowadzają do wsi.

- A pan kto ? - pytam

- Ja osadnik wojskowy tutejszy, idę do Baranowicz do szpitala, do chorej żony.

- Dziękujemy panu za ostrzeżenie.

Poszedł. A my ruszyliśmy w głąb lasu, rozglądając się na wszystkie strony. Postanawiamy iść nocami, a w dzień odpoczywać.

Ale teraz po pokrzepiającym śnie rażno idziemy naprzód, chcąc możliwie szybko odbić od niebezpiecznego miejsca. Nie zdajemy sobie sprawy co to za akcja wyłapywania polskich żołnierzy, z czyjej to inicjatywy i jaki los czeka zatrzymanych. Lepiej nie ryzykować. Zeby tak jeszcze było coś do zjedzenia, to jakoś by można wytrzymać.

Nie wiem ile już tych kilometrów zrobiliśmy od wyjścia z Baranowicz, ale w nogach czujemy zmęczenie. Las się przerzedza, zmierzch zapada, zbliżamy się więc do szosy i brzegiem posuwamy się naprzód.

- Zenek, wyskocz na szosę, może jaki drogowskaz będzie, albo albo może słupek kilometrowy.

Wraca po kilku minutach. Na słupku wyczytał liczbę 18 kilometrów do Nowogródka. Ale obok jest drogowskaz, a na nim "folwark Krynki 3 Km"

Chwila wahania i skręcamy w aleję świerkową. Nadzieja zdobycia jedzenia przyspiesza nasze kroki i w niespełna pół godziny stajemy przed ogrodzeniem. Brama wjazdowa o jednym skrzydle, zwalona i tarasująca wjazd.

Przed nami okrągły trawnik, za którym stoi okazały budynek w stylu spotykanych tu na kresach wschodnich dworców drewnianych,

Tylko w jednym oknie, przesłoniętym zasłoną pali się światło. Żadnego ruchu. Zbliżamy się do budynku, ale zamiast zastu-



kać do drzwi frontowych, obchodzimy go z prawej strony i zatrzymujemy się na podwórku gospodarskim. Jest to plac prawie kwadratowy i ze wszystkich stron otoczony zabudowaniami gospodarczymi.

Zaskrzypiały drzwi do dworku i wyszła z nich jakaś postać kobieca.

- Kto tam? - zawołała i zaczęła zbliżać się odważnie w naszą stronę. W ręku trzymała słabo palącą się lampę naftową.

- Co jest? - opryskliwie nas powitała, widząc dwóch drabów w mundurach.

- Proszę się niczego nie obawiać - mówię - jesteśmy polskimi żołnierzami, wracamy z frontu do domu. Prosimy o możliwość przenoctowania. Jesteśmy okropnie zmęczeni i zziębnięci. Jutro pójdziemy dalej.

- Za mną! - Rozkazała i poprowadziła nas do szopy.

Poświeciła nam, pokazała klepisko pokryte snopkami słomy, zakazała palić i wyszła.

No cóż, spanie to nawet i nie najgorsze, bo i ciepło i miękko, ale głód w kiszkaach gra najwspanialszego marsza.

Dwa snopy pod siebie, drugie dwa na siebie, przytuleni do siebie już zaczynamy zasypiać. Nie wiem czyśmy spali kilka minut czy kilka godzin. Drzwi do szopy zaskrzypiały i snop światła w jednej chwili postawił nas na nogi.

- Dobra... dobra chłopaki - słychać już życzliwy głos tej samej kobiety. - przyniosłam coś niecoś do zjedzenia.

Za nią stał chłopiec, trzymając przed sobą dwie wielkie patelnie, z których unosił się niebiańsko smakowity zapach smażonej słoninki. Postawiła na szupku lampę, oświetlając w ten sposób wnętrze szopy, na słomie ustawiła przede mną i przed Zenkiem patelnię a w nich jajecznicę z 12 jaj. obok położyła bochen chleba razowego /chyba ze 40 cm średnicy/ i pięciolitrowy dzban mleka oraz dwa kubeczki.

- Jedzcie - powiada i wyszła.

Daliśmy nieprawdopodobny koncert obżarstwa. Po tym posiłku już ani stać ani siedzieć nie mogliśmy, tylko pozycja leżąca nam odpowiadała. Ja nawet <sup>u</sup> obawiałam żeby jakiegoś skrętu kiszek nie dostać. Wstaliśmy jednak i wyszliśmy na zewnątrz. Powoli wprawiliśmy w ruch nasze członki i po obejściu całego podwórza naokoło poczuliśmy się dobrze.

- No to idziemy spać - powiadam.

Niestety, nie danym nam było w spokoju strawić tej kolacji.

W drzwiach szopy stoi nasza gospodyni, trzyma puste naczynia i czeka na nasz powrót.

- Pani dziedziczka zaprasza panów żołnierzy na herbatę z konfiturami. ale zaraz - dodaje władczo.

Oj, jak mi ta herbata nie w sosie, jak ja bym sobie teraz chrapnął, jakbym wyciągnął kończyny i odpoczywał. Ale czy wolno było odmówić na to zaproszenie? Ano... trudno...

Wchodzimy za naszym przewodnikiem do obszernego salonu, o staroświeckim wystroju, z mnóstwem rozwieszonych na ścianach portretów. Pośrodku pokoju długi stół, pokryty w połowie białym obrusem. Za stołem, na jego końcu siedzi staruszka siwiuteńka, jak z obrazka.

- To są ci polscy żołnierze!? A gdzie epolety? Pozdrawiam panów. Oj jak dawno nie widziałam polskich żołnierzy.

Podchodzimy do starszej pani, całujemy wyciągniętą rękę i siadamy po obydwu jej stronach za stołem.

- Opowiedzcie mi proszę jak to żeście wojowali, jak dużo zabiliście moskali, dlaczego wracacie do domu, przecież się wojna jeszcze nie skończyła?

- Pijcie herbatę z konfiturą.

Nie dała nam dojść do słowa.

Jak tu jej wytłumaczyć sens całej dzisiejszej wojny, starusz-

ka żyła zdaje się jeszcze dawną przeszłością.

Okazało się, jak to nam później wyjaśniła gosposia, że na tym folwarku zostały ich tylko dwie kobiety. Właściciel, wnuk staruszki, przed wybuchem wojny wyjechał z rodziną do miasta, zdaje się do Wilna. Staruszka ~~za~~ nic nie chciała opuścić majątku. Siedzą tu ale już jakiś komitet ze wsi Krynki uprzedzał, że majątek ten zostanie przejęty przez państwo. Stara kobieta nie rozumiała nawet co za państwo, które zabiera ich własność. Pytała ~~na~~ nawet kto teraz jest królem czy naczelnikiem Polski, bo słyszała, że Józef Piłsudski już nie żyje.

Pocałowała nas w czoło na pożegnanie i zrobiła nad nami znak krzyża.

Pozostało nam do świtu jeszcze kilka godzin, które przespaliliśmy w szopie na słomie.

Skoro świt, nie uprzedzając nikogo i nie żegnając się, wyszliśmy, biorąc ze sobą pozostały po wczorajszej uczcie kawał chleba.

Idąc drogą do szosy na Nowogródek ujrzeliśmy przeświecającą przez gałęzie przydrożnych drzew piękną tafłę jeziora. Woda połyskiwała na tle ciemnego masywu boru na przeciwległym brzegu. Było to jezioro Świtez, tak pięknie opiewane przez naszego wieszczka. Nie było czasu ani ochoty na podziwianie piękna przyrody, ~~770~~ przed nami szmat drogi.

Po kilku kilometrach wzdłuż szosy skręciliśmy boczną drogą na zachód, aby dotrzeć do głównego traktu na Lidę, gdyż tylko na tym kierunku znajdował się most drogowy i kolejowy na rzece Niemien.

Zapadał zmierzch. Na prawo od szosy ukazuje się duża zwarta wieś o szerokiej brukowanej ulicy. Drogowca mówi, że to wieś Wielkie Sioło. Chcemy szybko minąć skrzyżowanie dróg, gdy ~~z~~za kępy rosnących przy drzewie krzaków wychodzi czterech młodych męż-

czyn, kierując się wprost na nas.

- Serwus chłopaki - mówi do nas jeden z nich - jak to dobrze, że was spotykamy. Pewnie idziecie do Wilna, to dobrze, jutro będzie samochód ciężarowy i może was zabrać, będziecie prędzej

Skąd taka troska, myślę sobie, coś tu jest podejznanego, ale jak wybrnąć z tak atrakcyjnej propozycji.

- Pójdziemy pieszo - mówię - chcemy jeszcze po drodze wsta-  
pić do huty Niemen, mamy tam krewnych - fantazjuję na poczekaniu,  
bo coś mi się o uszy obijała ta nazwa miejscowości czy zakładu prze-  
mysłowego.

- Nie ma mowy - powiada chłopak ze wsi - mamy tu dla was  
przygotowane noclegi, a i do żarcia też się coś znajdzie. Idzie-  
my.

Poprowadzili nas do pierwszego z brzegu obejścia, wprowadzili do stodoły, gdzie ómiła się słabo lampka naftowa. Klepisko zasłane słomą a na niej śpi już, mimo wczesnej pory kilka osób. Zostaliśmy w stodole a nasi konwojeńci zamknęli drzwi na antabę i poszli.

Budzę jednego z mężczyzn i pytam co się tu dzieje. Opowiada, że oni tu czekają już dwie noce na jakiś transport samochodowy i bez skutku. Owszem, przynoszą im dwa razy dziennie gorące mleko i kawałek chleba ale nie pozwalają wych<sup>o</sup>dzić ze stodoły.

To mi wystarczyło. Bierzemy się z Żenką do roboty. Podważamy wrota, robimy od dołu szeroką szparę i z trudnością przeci-  
skamy się przez nią na zewnątrz. Nikogo nie widać. Chyżkiem ob-  
chodzimy stodołę i z tyłu, czołgając się oddalamy się w stronę  
traktu. Nikt jakoś nie zakłóca naszej ucieczki. Posuwamy się  
wzdłuż szosy, bacznie obserwując na boki.

Do rzeki pozostało około 4 kilometry. Nie wiadomo czy przej-  
ście przez most jest wolne czy kontrolowane.

Po polnej drodze, z prawej strony, posuwa się wóz chłopski.

Kazałem Zenkowi zatrzymać się, wychodzę na drogę i zagaduję woźnicę. Pytam o nazwę osiedla, o odległość do mostu, wreszcie biorę na odwagę i wyjaśniam kim jesteśmy i gdzie podążamy. A może by nam mógł pomóc.

- Ja, polski Tatar - powiada - ja mogę was dowieść aż do Lidy, bo tam mój brat-mieszka i gospodaruje. Wy tu spokojnie siedźcie w krzakach a ja wrócę do domu, zabiorę obrok dla konia, wymoszczę wóz i przyjadę po was. A pieniądze macie? Bo to was będzie trochę kosztować, no na przykład 100 złotych.

- Zgoda - powiadam - pieniędzy to nawet więcej wam gospodarzu damy. Czekaamy na was.

Nie minęło pół godziny gdy nasz wybawca zjawił się w towarzystwie kilkunastoletniego chłopca - swego syna.

Bez przeszkód już nad samym ranem znaleźliśmy się na przedmieściach ~~miasta~~ Lidy. Wjechaliśmy na jakieś podwórze i weszliśmy do chaty, gdzie już cała rodzina naszego Tatara siedziała przy śniadaniu.

Bez słowa kazano nam usiąść przy stole i jeść co "chata bogata". Rozpytywałem się o sytuację w mieście. Dowiedziałem się, że jest tu dużo sowieckiego wojska, ale też i dużo chodzi po mieście żołnierzy w polskich mundurach. Jakoś nikt ich nie zaczepia i nie kontroluje. Podobno wyłapują żołnierzy na stacjach kolejowych i gdzieś ich tam gromadzą.

Serdecznie podziękowaliśmy miłym gospodarzom, zostawiliśmy 200 zł naszemu woźnicy i ruszyliśmy do miasta.

Warto przypomnieć, że w Lidzie mieszkali moi krewni, o czym wspominałem w pierwszym rozdziale.

A więc "ciocia Marynia" Drewnikowska zamieszkiwała przy ulicy Suwalskiej, w domu, który był położony w głębi podwórka, a dalej znajdował się zakład rzemieślniczy wyrabiający walonki - to takie buty zimowe z wełny specjanie prasowanej.

Radość i konsternacja równocześnie były następstwem nagłego zjawienia się dwóch wymizerowanych wojskowych, w wymiętych i brudnych mundurach. ~~Żadnych pytań, żadnych wyjaśnień. Mycie się, su-~~  
~~te śniadanie i natychmiastowy spoczynek na rozłożonych na podłodze~~  
~~materacach.~~ Przedtem Krysia, jedna z dwóch siostrzenic, ofiarowa-  
ła się dostarczyć nam od swojego profesora ubrań cywilnych, bo  
przecież po mieście i w drodze do Wilna nie będziemy paradować w  
mundurach.

Spaliśmy z przerwami cały dzień i całą noc, aby rano w dniu  
5 października wstać i przygotować się do odjazdu.

W międzyczasie uzyskaliśmy ważne informacje.

Lida jest zajęta przez duży garnizon wojsk radzieckich, ko-  
szary wojskowe na lotnisku są zamieszkane przez ekipy eskadr lot-  
niczych. Po ulicach krążą patrole sowieckie, ale żadnych przykro-  
ści Polakom nie powodują. Pociągi bardzo nieregularnie kursują  
tylko na linii Lida-Wilno i Lida-Mołodeczno, a na południe do-  
chodzą do Wołkowyska i Białegostoku. Bilety kolejowe sprzedaje ka-  
sa bez ograniczeń. Na stacji kolejowej krążą stale patrole wojsko-  
we i NKWD, są słuchy że zatrzymują wszystkich wojskowych polskich  
i odprowadzają do oddzielnej sali dworcowej.

~~Przez długi czas, odległy od opisywanych tu wypadków, zasta-~~  
~~nawiałem się nad lekkomyślnością, czy też naszą głupotą, a może wo-~~  
~~góle bezmyślnością. Oto w poczuciu oszczędności zapakowaliśmy do~~  
~~dużej walizy nasze mundury i z tym ciężarem udaliśmy się na dwo-~~  
~~rzec kolejowy.~~

Na torach nie było żadnego pociągu. Bilety do Wilna za ruble  
rosyjskie /których trochę dostaliśmy u "cioci"/, sprzedano nam bez  
kłopotów. Przejścia na peron nikt nie kontrolował. <sup>Zostawiliśmy</sup> ~~Postanowiliśmy~~  
~~wstawić~~ naszą walizkę na uboczu pod ścianą, a sami obserwowaliśmy  
ją z daleka <sup>nie</sup> i nie będziemy się do ~~jej~~ <sup>niej</sup> ~~własności~~ przyznawać, gdyby  
ktoś się nią zainteresował.

m

Wszedliśmy do wagonu, a Zenek powoli zbliżył się do naszej wa-

lizki i szybko mi ją podał, sam pozostał chwilę na peronie, rozej-

rzał się wkoło i wskoczył na stopnie wagonu. W jednym przedziale  
umieściliśmy na półkach walizkę, w drugim ulokowaliśmy się sami.

I znów ponad dwie godziny trwało denerwujące oczekiwanie na moment odjazdu.

Odległość do Wilna niewiele przekracza 100 Km, ale za to ja-  
zda trwała równo cztery godziny. Pociąg zatrzymywał się na każdej  
najmniejszej stacyjce, a nawet bez stacyjki. Obserwowaliśmy jak  
na każdym postoju wskakiwali do pociągu nasi Żołnierze. Skąd ich  
się tyłu brało? - wprost nie zrozumią.

Stacja Porubanek. Już tylko 15 Km do Wilna. Jeszcze tylko  
przystanek kolejowy na przedmieściu, Wilcza Łapa i Wilno.

Na stacji Porubanek wysypał się z naszego pociągu tłum zie-  
lonych mundurów, wszyscy rozpięchali się na lewo i prawo od to-  
rów i szybko znikali. Coś ~~jest~~ w tym <sup>było</sup> zagadkowego. \* Jakiś cywil  
siedzący z nami w przedziale informuje, że na stacji w Wilnie ~~xxxx~~  
wszystkich w polskich mundurach sowieci wyłapują do transportów  
na wschód. Ile w tym prawdy trudno przewidzieć.

A my ~~dwaj~~? Cywile. Trochę może podejrzanego <sup>sa</sup> nasze ubrania,  
zbyt opięte jak z młodszego brata, no i ta przeklęta walizka.

Może ją zostawić w wagonie?

Jedziemy dalej - na ryzyko!

Z peronu do budynku dworca w Wilnie ja dźwigam walizkę, te-

raz trzeba przejść szpalerem "bojcow<sup>w</sup>", przyglądających się badawczo podróżnym. Walizkę bierze na plecy Zenek i prz<sup>e</sup>pycha się wprost na prz<sup>e</sup>ście między dwoma słupkami. Widzę tak jakiś wojak sowiecki chce zatrzymać Zenka, ale tuż na nim kroczy gruby jegomość, który na wzwanie sowieta zatrzymuje się, a Zenek przyśpiesza kroku i znajduje się już na schodach zewnętrznych dworca kolejowego.

Władujemy walizkę na kozioł dorożki konnej, z nami siadamy z tyłu i z miejsca ruszamy po brukach miasta Wilna. Ile nas to kosztowało nerwów, tego nikt chyba nie zrozumie. I pytam się po co to było?

Rozparci na kanapie dorożki, założywszy nogą na nogę bohatersko pędzimy co koń dorożkarski wyskoczy przez ulicę naszego przepięknego miasta Wilna.

Rozglądamy się na strony jak turyści, brak nam tylko aparatu fotograficznego. Ruch w Wilnie, zarówno pieszy jak i konny, bo samochodów to nie było widać, prawie normalny.

- Kiedy wreszcie będziemy w domu? Co tam zastaniemy? Jakie wrażenia? - Oto pytania na które oczekujemy odpowiedzi.

Zenek wziął mój adres i przed mostem Kalwaryjskim, na ulicy Mickiewicza wyskoczył, aby się udać do swojego mieszkania.

Zajechałem dorożką z fasonem przed sam dom na ulicy Sosnowej i z walizką na plecach wkroczyłem do swego mieszkania.



II/856

ARCHIWUM WŚRODNI

II. K O N S P I R A C J A -

- P A R T Y Z A N T K A.

- Rozdział 4. Okupacja rosyjska  
5. Okupacja litewska  
6. Okupacja niemiecka  
7. Partyzantka.

#### Rozdział 4. OKUPACJA ROSYJSKA

17 września 1939 roku, o godzinie 4 rano wojska sowieckie przekroczyły polską granicę wschodnią na całej jej długości. Jeszcze tego samego dnia, tuż po północy Armia Czerwona wkroczyła do Wilna.

Niemcy, poza nalotami bombowców, nie prowadzili żadnej akcji zbrojnej na terenie Wileńszczyzny.

Z wojskami polskimi właściwie żadnych walk o Wilno nie było. Jakies tam sporadyczne utarczki oddziałów polskich, które znajdowały się w odwrocie przed nacierającą nawałą hitlerowską.

Armia Czerwona wkroczyła do Wilna równocześnie od strony północnej wzdłuż ulicy Kalwaryjskiej i od strony wschodniej przez Antokol a następnie wzdłuż ulicy Mickiewicza.

Rozproszone oddziały polskie, uciekając przed nacierającymi Niemcami, szukały punktu oparcia, a tłumy naszych żołnierzy znajdowały się na ulicach Wilna. Podobno był rozkaz aby wszystkich wojskowych kierować na północ przez granicę litwską do Kłajpedy albo jakiegoś mniejszego portu na Bałtyku, gdzie miały czekać okręty dla przerzucenia uciekinierów do Szwecji. Ile w tym było praktyki trudno dociec. Faktem jednak było, że przez granicę władze litewskie przepuszczały tylko polskich oficerów, których internowano w jakimś obozie. Żołnierzy i podoficerów~~ów~~ polskich nie przepuszczano przez granicę.

Opowiadała mi żona o pewnym epizodzie, dość charakterystycznym dla ówczesnej sytuacji.

Oto w momencie krytycznym, bo 17 września, kiedy było wiadome o posuwaniu się wojsk sowieckich w stronę Wilna, na podwórku zjawia się kilku polskich oficerów, a wśród nich porucznik Ziaziuli<sup>w</sup>, syn właściciela domu, w którym mieszkaliśmy.

Zgłasza się pan porucznik do żony i powiada, że rekwiruje

motocykl jej męża, znajdujący się w komórce. Żona bez oporu, a nawet zupełnie chętnie podała mu klucz od kłódki. Ten wyprowadził motocykl na podwó<sup>ko</sup>, obejrzał go, ruszył starterem i zajrzał do baku. Niestety bak był pusty, bo gdy przyjechałem z delegacji całkownie go opróżniłem. Ze złością przewrócił motocykl na bok i razem z dwoma innymi oficerami wybiegli na ulicę.

W ten sposób motocykl mój został uratowany, a że nie na marne, to się okaże w dalszej relacji tych wspomnień.

W chwili gdy wróciłem do domu, w mieście panował już zupełny spokój i zdawało się, że życie powraca na swoje normalne tory.

Moje powitanie z rodziną było naturalnie ogromnie wzruszające, wszyscy płakali z radości, nie wyłączając półtorarocznego synka i służącej. Przecież nie chodziło tu tylko o czas nieobecności w domu ale coś bardziej ważnego, chodziło o powrót jakby z tamtego świata, bo czy można było żu<sup>dić</sup> się, że z tej strasznej wojny wyjdzie się z życiem.

W mieszkaniu, z pozoru, nic się nie zmieniło. Wszyscy domownicy byli cali i zdrowi. Patrzyłem jak żona zdenerwowana krąży po mieszkaniu nie wiedząc w jaki sposób mnie przyjąć i ugościć, tak jakbym tylko przejazdem znalazł się w domu. Tylko <sup>n</sup>syn siedział mi na kolanach i przyglądał mi się ze zdziwieniem. Rozmowa rwała się, nie wiadomo o co pytać, o czym opowiadać - wszystko wydawało się takie błahe wobec faktu obecności wśród swoich. Wtedy to właśnie czułem jak mi są drogie te istoty.

Po przeminieciu tej euforii, przyszedł czas na refleksje i rozmyślania nad najbliższą przyszłością.

Nareszcie zrzuciłem z siebie ła<sup>chy</sup> ludzkie i ubrałem się w swoje cywilne ubranie.

Przebąkiwano tu i ówdzie, według relacji żony, że władze rosyjskie mają przekazać Wilno - Litwie. Poprawić to <sup>to</sup> powinno /sytu-

ację żywnościową, bo Litwini będą chcieli w ten sposób utrwalić swoją władzę. Na razie jednak cała władza spoczywała w rękach dowództwa wojskowego radzieckiego i ono starało się wprowadzić ład i porządek w urzędach i instytucjach.

Postanowiłem następnego dnia zgłosić się do swego biura i tam zorientować się w sytuacji. W każdym razie jestem dalej pracownikiem Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych, a o ile wiem żadna instytucja nie uległa likwidacji.

Dla jaśniejszego obrazu zachodzących dalej wypadków, pozwolę sobie na krótką retrospekcję.

W 1932 roku pracowałem jako t.zw. technik szacunkowy w Inspektoracie Powiatowym PZUW w Szczuczynie k/Lidy. Jako młody chłopak<sup>ki</sup> żywy i ruchliwy, brałem udział w pracach społecznych. Prześiąknięty od dzieciństwa duchem lewicowym, bo ojciec mój był socjalistą i rewolucjonistą z 1905 roku, zacząłem w swoich wystąpieniach radykalizować. Nadarzyła się wówczas po temu okazja, bo w Kraju powstała młodzieżowa organizacja - Legion Młodych, której początkowo patronował nawet sam marszałek Piłsudski.

Jako komendant Powiatowego Oddziału L.M. w Szczuczynie, występowałem często na publicznych zebraniach, wygłaszając jak na ówczesne stosunki dość radykalne poglądy. Trzeba dodać, że byłem wtedy na obowiązkowej służbie wojskowej i jako sierżant podchorąży miałem przydział do 79 pułku piechoty w Słonimie.

Pewnego razu otrzymuję urzędowe pismo z Inspektoratu Wojewódzkiego w Wilnie, bym się tam stawił. Pojechałem. W rozmowie z dyrektorem dowiedziałem się, że na skutek żądania władz wojskowych mam być przeniesiony służbowo aż do Wołożyna nad samą granicę sowiecką, ma to być przeniesienie karne, gdyż jakobym w Szczuczynie zagrażał porządkowi publicznemu. Otrzymuję równocześnie ostrzeżenie, że o ile nie zaprzestanę działalności politycznej, to mogę się pożegnać z pracą w PZUW.

Tego rodzaju zmiany w mojej sytuacji osobistej nie były mi <sup>na</sup> rękę, gdyż znajdowałem się właśnie w przededniu ślubu, a moja przyszła małżonka za żadne skarby nie chciała się zgodzić na <sup>m</sup> zmianę miejsca zamieszkania. No ale to już inny rozdział mojej historii i nie będę się nad tym rozwodził.

Od tego czasu minęło już przeszło sześć lat i w międzyczasie zaistniało szereg sytuacji i zmian, tak że w momencie wybuchu wojny byłem już zastępcą inspektora powiatowego w Wilnie i zamieszkiwałem z rodziną w tym mieście.

No więc 6 października 1939 roku, wypoczęty i odświeżony znalazłem się w swoim biurze. Miałem tu sporo życzliwych kolegów, a ponieważ byłem członkiem rady zakładowej jako mąż zaufania, poinformowano mnie dokładnie o sytuacji służbowej na terenie miasta i całego województwa.

W naszej instytucji najważniejsze było to, że w gabinecie dyrektora urzęduje z nim razem pełnomocnik sowiecki, który akceptuje wszystkie posunięcia naszego zwierzchnika. Istnieje konflikt między dyrektorem a całym personelem Oddziału z wicedyrektorem Józefem Bilińskim na czele. Chodzi mianowicie o natychmiastowe <sup>zaj</sup> rozwiązanie stosunków służbowych jako pracowników polskich i przyjęcie ich na nowo do powstającej nowej instytucji. Wiązało się to z wypłaceniem wszystkim trzech miesięcznej odprawy. Pan Biliński, sekretarka związkowa i ja, jako mąż zaufania, meldujemy się w gabinecie naczelnego dyrektora.

Widzę przed sobą zupełnie innego człowieka niż ten, którego pożegnałem idąc na front. Był to teraz stary, zmęczony mężczyzna, o smutnym wyrazie twarzy. W gabinecie nie było jeszcze pełnomocnika sowieckiego.

Wyjaśniamy o co chodzi. Dyrektor twierdzi, że nie może wypłacić odprawy bez akceptacji <sup>o</sup> sowieckiej, bo zagrożono mu daleko idącymi konsekwencjami.

Pytam, czy są w kasie polskie pieniądze - okazuje się, że chyba wystarczy. Przedkładam gotową listę wypłat do podpisu z datą wsteczną o całe siedem dni, kiedy jeszcze pełnomocnika nie było. Tłumaczę, że mu nie grozi, że to jest jego obowiązek ludzki, obywatelski i patriotyczny. Podpisał i kompletnie złamany siadł ciężko w fotelu.

W tym momencie wchodzi do gabinetu pełnomocnik sowiecki, wita się ze wszystkimi po kolei. Nie widzi już listy wypłat, bo przeznornie schowałem ją do kieszeni.

- No i jak, macie już kandydata na Święciany? - mówi sowiet czystą polszczyzną.

Chwila konsternacji, którą przerywa pan Biliński.

- Oto kandydat. Młody, energiczny i dobry fachowiec - mówi, wskazując na moją osobę.

Nic nie rozumiem, patrzę zdziwiony na Bilińskiego, gdy ten znacząco do mnie mruga.

- Haraszo - proszę przyjść do mnie za pół godziny - zwraca się do mnie.

Po półgodzinie otrzymałem delegację do miasta Święciany, pismo polecające oraz specjalne pismo od dyrektora. Z tymi dokumentami miałem nazajutrz z rana pojechać do Święcian i tam zorganizować biuro Inspektora Powiatowego.

Święciany, miasteczko małe i ciche, zrobiło na mnie przygnębiające wrażenie. Znalazłem się na ryneczku, przy którym stał zupełnie ładny domek z czerwonej cegły z dużym szyldem PZUW.

Wszedłem do pomieszczenia biura, w którym mimo wczesnej pory urzędował już jakiś wojskowy sowiecki, a wokół jego biurka stało chyba z pięciu cywilów, wszyscy w chłopskich okryciach i różnych czapkach na głowie. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Podeszedłem do biurka i stanąłem słuchając jak po rosyjsku jeden ze stojących ludzi wygłaszał sprawozdanie.

✗ Młody chłopak w sowieckim mundurze wojskowym ~~szedł~~ spojrział na mnie z za biurka bez zbytniego zainteresowania.

- A wy kto ? - spytał

Podałem mu swoje dokumenty i czekam.

- Nu da... bierzcie się <sup>do</sup> roboty - powiada łamaną polszczyzną - ja wam tu nic nie pomogę.

- Chciałbym na początek przejść <sup>o</sup> budynek stanowiący własność PZUW, a dalej to będę się starał sam sobie dawać radę.

✗ Budynku nie do<sup>g</sup>tniecie, zajęty jest przez przewodniczącego Rady Powiatowej, przez NKWD i przez milicję. Szukajcie sobie innego pomieszczenia.

Byłem bezradny. Nie miałem żadnej władzy aby zarekwirować jakieś prywatne mieszkanie. Obszedłem pomieszczenia biura PZUW, walały się wszędzie papiery i dokumenty, szafy zniszczone, biurka rozbite. Obraz nędzy i rozpacz. Kto to mógł dokonać takiego spustoszenia?

Wyszedłem na ulicę, zamyśliłem się, bo trzeba przecież było znaleźć jakieś wyjście, jakieś rozwiązanie, trzeba było podjąć decyzję. Wreszcie nerwy nie wytrzymały. Zakładem szpetnie i nie wracając do "prezesa" po dokumenty poszedłem na dworzec aby jak najszybciej dostać się do Wilna.

Napisałem krótki raport i złożyłem go w kancelarii Inspektora Wojewódzkiego PZUW w Wilnie. Na tym się urywa kontakt mój z moim zakładem pracy.

No może nie zupełnie się urywa, bo składając raport spotkałem na korytarzu dyrektora Bilińskiego, który zaprosił mnie do siebie do domu, aby omówić ze mną pewien projekt. Następnego dnia byłem u niego, ale nie skorzystałem z propozycji otwarcia do spółki sklepu papierniczego. Nie widziałem szans prowadzenia jakiegokolwiek handlu. Ale postanowiliśmy utrzymywać ze sobą kontakty.

Któregoś dnia, wędrując po mieście, spotkałem pannę Szydłową

ską, znajomą jeszcze ze Szczuczyna, gdzie była nauczycielką w szkole powszechnej i była członkiem Legionu Młodych i moją podkomendną. Serdeczne powitanie, a następnie informacje o sobie. Ona, jeszcze w 1937 roku poznała młodego człowieka, będącego w delegacji w Szczuczynie, tam się w sobie zakochali i w ciągu dwóch czy trzech miesięcy wzięli ślub. Mąż jej to ni mniej ni więcej, bratanek Melchiora Wankowicza - Bohdan Wankowicz, z zawodu inżynier agronom. Otrzymałem ich adres i zaproszenie do złożenia wizyty.

Data 10 października 1939 roku była dla Wilna i Polaków tu zamieszkujących ważna i znamienna. W dniu tym władze Sowieckie oficjalnie przekazały Wilno i część Wilenszczyzny ówczesnym władzom burżuazyjnej Republiki Litewskiej.

Widomym tego znakiem stało się wkroczenie wojsk litewskich do Wilna i przejęcie wszystkich agend i urzędów przez władze litewskie.

W dniu 28 października, już od rannych godzin, po ulicach miasta krążyły patrole policji litewskiej, składające się z trzech ludzi. Policjanci ci nazywani byli przez przekupki z targu "każakutasami" - co oznacza w języku litewskim - indyk. Nazwa ta powstała nie bez powodu. Do Wilna przystano jako policjantów chłopów o ogromnym wzroście, podobno wszyscy mieli powyżej 185 cm. Ponadto umundorowanie ich było wręcz operetkowe. Białe spodnie i kolorowe kurtki, szamerowane złotem i wyszywane srebrem, błyszczące naramienniki i akselbanty, a na głowie wspaniałe kolorowe czapki ze sznurami srebrnymi i frędzlami. W ręku ~~trzymały~~ pałki - buławy. Charakterystyczne, że pozbawieni byli broni palnej - podobno taki warunek postawiły Sowiety.

Któregoś dnia, gdy już <sup>się</sup>żeśmy (do tego widoku przyzwyczaili, byłem po jakiejś sprawunki na targu bukiskim i tam obserwowałem śmieszny widok. Oto stoi olbrzym barwnie wystrojony, otoczony



wyrostkami i babami z targu. On trzyma za rękaw jakąś babę, a je-  
go za poły ciągną chłopaki. Baba się wyrwała swemu prześladowcy,  
podparła się pod boki i zarecytowała wierszyk:

- "Śliż ni ryba, szkarpetka ni ubranie, a Litwa ni panstwo"  
- i szybko się ulotniła.

No więc jak się rzekło w dniu 28 października wkroczyło do  
Wilna wojsko litewskie.

~~Weszli od strony Kalwarii, przeszli przy grzmocie werbli  
przez Zielony Most /Kalwaryjski/, ulicą Mickiewicza do mostu Zwie-  
rzyńskiego, potem ulicą Zwirzyńską do ulicy Kalwaryjskiej.  
Podobno naszerowali  
sznurami trojkami, rozciągając się wzdłuż i tak kra-  
zili przez ulice kilkakrotnie. Może to prawda, może złośliwa fan-  
tazja~~

## Rozdział 5. OKUPACJA LITewska

A więc znajdujemy się znów pod nową władzą. Dla Polaków przy-  
szły ciężkie czasy.

Przyszli do Wilna urzędnicy litewscy nastawieni byli do  
Polaków wrogo, a nawet wręcz prześladowczo. Ze wszystkich insty-  
tucji poljskich usunięto bez skrupułów całe kierownictwo, często  
proponując kompromitujące stanowiska. A żyć trzeba. Jeść trzeba,  
więc i pracować gdzieś trzeba. Żądano od Polaków natychmiastowej  
nauki języka litewskiego. Prowadzono akcję deklaracji przyjęcia  
obywatelstwa litewskiego.

Naturalnie objęcie władzy przez burżuazyjny rząd litewski  
wcale nie oznaczało niepodległości Litwy. Cała bowiem Litwa była  
zajęta przez wojska radzieckie, które miały przemożny wpływ na  
wszystkie posunięcia polityczne i społeczne.

Wreszcie stało się to, co się stać musiało.

Na jednej z ulic miasteczka Szaule, na terenie dawnej Litwy, zamordowano dwóch oficerów radzieckich. Reakcja była natychmiastowa. Wojska sowieckie wkroczyły oficjalnie do stolicy Litwy - Kowna, zawiesiły działalność centralnych władz litewskich, a nawet aresztowano kilku dygnitarzy, znanych ~~z~~ przed wojny ze swych poglądów skrajnie nacjonalistycznych. Ogłoszono stan wyjątkowy i wydano zarządzenie zwołania nadzwyczajnej sesji sejm litewskiego. Dotychczasowe ekscesy przeciwko ludności polskiej natychmiast ustały. Wyczuwaliśmy wyraźną opiekę ze strony władz i wojska sowieckiego.

Sejm litewski uchwalił jednomyślnie przyłączenie Litwy do Związku Radzieckiego jako Litewską Socjalistyczną Republikę Ba-dziecką. Ustalony został nowy Rząd Republiki i nowe władze tere-nowe. Zdziwiająco szybko akcja ta została przeprowadzona, co na-szuwało przypuszczenie, że była ona już przygotowana znacznie, znacznie wcześniej.

Skutek tych zmian rzutował w sensie dodatnim, szczególnie na terenach przyłączonych do Litwy.

W pierwszym rzędzie zaczęły się przekształcać sklepy prywat-ne na sklepy spółdzielcze i tak: cały dział spożywczy objęty zos-tał przez spółdzielnię "Ruta", dział drobiarsko-mleczny - "Pie-nocentras" i dział mięsny - "Majstas". Trzeba przyznać, że w pier-wszych dniach można było wszystko nabyć, ale tylko za "lity" /li-tewska złotówka/ lub ruble rosyjskie.

Taki "raj" trwał jednak ~~nie~~ niedługo. Przecież wszystkie pro-dukty trzeba było przywozić z głębi Litwy, a lity i ruble wię-k szość Polaków zdobywała przez sprzedaż swego dobytku przybyszom. Wprowadzono kartki żywnościowe i w ten sposób trochę uporządko-wano chaos panujący w handlu.

W czasie jednej z wizyt u państwa Wańkowiczów wypłynęła pro-

pozycja wyprowadzenia się poza miasto, ewentualnie wydzierżawienie kawałka ziemi no i uprawianie jakichś atrakcyjnych roślin. ~~Myśl ta miała swoje podłoże w posiadanej przez Wańkowieza wiadomości, że jego daleka krowna, pani Sławińska chce komuś zaufanemu oddać w dzierżawę małą posesję w Jerozolimce, około 8 Km od Wilna.~~

~~Posesja ta składała się z trzech hektarów ziemi, na której znajdowała się przestronna willa, otoczona ogrodem warzywno - owocowym. Dobrze pogospodarować to mogłoby stanowić podstawę egzystencji.~~

~~Nas było dwoje z dzieckiem i ich dwoje. Czworko dorosłych rąk do roboty - to dużo. Trzeba chyba poważnie się wziąć za zrealizowanie tego zamierzenia. No ale to dopiero na wiosnę, a tu koniec października, czyli mamy jeszcze bez mała pół roku. W każdym razie musimy już rozpocząć wsiadki dla zmobilizowania gotówki.~~

Spotykam na ulicy swego towarzysza z frontu - Zenka Kardasza i znów nowa propozycja.

- Skuchaj! chcesz dobrze płatną robotę?

- No pewnie!

- Na placu Rodziewiczówny otwierają nocny lokal. Jest to polsko - litewska spółka, ma się nazywać "Arizona". Znam dyrektora - Polaka. Poszukują kandydata do prowadzenia szatni, ale warunek weksle w oparciu o listy zastawne na jakąś własność - nieruchomości jako zabezpieczenie gwarancyjne. Szczegóły do omówienia.

~~]- Kiedy odpowiedź? Jaki twój udział?~~

~~- Dla mnie fakcyjne - 50 litów. Termin możliwie prędko, nie później niż do niedzieli - a był to już czwartek.~~

~~Omówiłem następane spotkanie i zacząłem kombinować skąd tak-  
kie wytrzymać weksło. A może pan Biliński ma jakąś nieruchomość?  
- trzeba się dowiedzieć.~~

~~Pan Biliński zapalił się do tego projektu, a jego żona, znacznie od niego młodsza osoba, również przyklasnęła, bo to i za-~~

~~robek powinien być niezły, no i nieczy lokal - atrakcja - słowem coś się będzie działo.~~

~~Ustalamy, że obaj z panem Bilinskim, przy udziale Zenka jako protektora, udajemy się do dyrektora rewstającego lokalu. Wszystkie sprawy związane z dzierzwą szatni w lokalu nocnym "Arizona" zostały szczegółowo ustalone, zarówno od strony finansowej jak i organizacyjnej. Ostatecznie przyjęto, że 25% brutto z wpływów szatni, uzyskanych z dobrowolnych opłat za pozostawione płaszcze, ma być odrowadzane do prywatnej kieszeni pana dyrektora, reszta wpływów - do naszej dyspozycji.~~

Postawiono nam trzy warunki:

- pierwszy - rozliczenie w oparciu o wzajemne zaufanie.
- drugi - dwie osoby w szatni, a przy większym ruchu trzy
- trzeci - przynajmniej jedna osoba powinna znać perfektnie język litewski.

~~Nastaje ostatecznie ustalone, że uroczyste otwarcie lokalu odbędzie się na Sylwestra - Nowy Rok i do tego czasu trzeba wszystko kapiąc na ostatni guzik.~~

Wszystko to dobre, ale skąd wziąć tego Litwina? i tu nastąpiło olśnienie. Przecież Bohdan Wańkiewicz zna język lit<sup>2</sup>wski, przecież był on na praktyce agronomicznej na Litwie, tylko czy on się zechce angażować do tak, skądinąd, "nikczemnej" pracy. Ano spróbujemy. Bohdan zgodził się. Podział zarobków ustaliliśmy uczciwie w równych częściach na trzech, z tym, że w zasadzie cała praca będzie się opierać na nas dwóch, to znaczy ja<sup>i</sup> Bohdan, pan Bilinski będzie w charakterze pogotowia. Żona pana Bilińskiego z ochotą zadeklarowała swój udział w pracy. Jednym słowem wszystko zagrało.

A jednak wielka gala otwarcia "Arizony" mogła się dla nas, a zwłaszcza dla mnie skończyć tragicznie.

~~Lokal przedstawiał się imponująco.~~

Parter budynku był przeznaczony na reprezentacyjny hall, biura administracji, pokój dla obsługi no i nasze królestwo - szatnia. Szatnia była oddzielona od reszty hallu szeroką ladą, a z obu stron zawieszono ogromne lustro. Wszystko oświetlone jasno żyrandolem i kinkietami.

Z hallu prowadziły szerokie schody na piętro, gdzie znajdowała się główna sala restauracyjna i balowa. <sup>Począ</sup> Na <sup>A</sup> jednej <sup>A</sup> ścianie <sup>A</sup> umieszczonych było sześć wygodnych łóż, druga ściana posiadała obramowane wnęki, w której znajdował się bufet, a właściwie bar z wysokimi stołkami. Jeden róg sali był zajęty przez podium, na którym znajdowała się orkiestra.

Z sali głównej prowadził korytarz, w którym znajdowały się drzwi do kilku pokoi - separatek.

W "Arizenie" mogło się bawić jednocześnie ponad 250 osób. Personel również był odpowiednio duży, a najważniejsze, że były tam zatrudnione ładne i zgrabne fordanserki.

Jednym słowem, proletariacka Litwa wyszykowała nocny lokal na wysoki poziom.

Już o godzinie 5<sup>00</sup> po południu cały zespół obsługi był na miejscu. Nas w szatni było trzech, a więc oprócz mnie stanął za ladą Warkowicz, znający język litewski i reprezentacyjny starszy pan Biliński, wszyscy naturalnie odświętnie ubrani. Pierwszy nasz występ - to też i ciekawość nasza była uzasadniona.

Otwarcie miało nastąpić o godzinie 20<sup>00</sup>, ale już od kilku godzin służba była na stanowiskach, a pięknie wystrojone fordanserki siedziały w swojej garderobie. Dwaj dyrektorzy lokalu niecierpliwie oczekiwali w swoich gabinetach na nadejście pierwszych zaproszonych gości.

Goście przybywali początkowo pojedynczo, a następnie grupami i robiło się przed naszą szatnią co raz tłoczniej, trzeba

siębyło dobrze uwijać żeby nadażyć w odbieraniu nakryć i umieszczeniu na właściwych wieszakach. Sekundowała nam dzielnie pani Bilińska, która koło godziny 21<sup>00</sup> zjawiła się w pięknym stylowym stroju, tak, że robiła wrażenie fordanserki. Obawiałem się, że przez nieporozumienie może jakiś zawiany gość zaproć ją do tańca, a może i do towarzystwa.

Zbawa trwała do godziny 9<sup>00</sup> rano 1 stycznia 1940 roku. Trochę się już w szpitalu przeredziło, pani Bilińska już poszła do domu a pan Biliński drzemał w kącie za paltami.

Ruch wychodzących zwiększał się, roboty mieliśmy dużo, bo to trzeba było biegać po płaszcze, pomagać w ubraniu płaszcza i pobrać należność.

Zrobiło się już dość luźno, gdy po schodach z góry zeszło dwóch litewskich oficerów w mundurach lotniczych. Byli z lekka zawiani. Przyjąłem od jednego z nich numerek, odszukałem płaszcze i podaję panu porucznikowi. Klient mój zrobił nagły skręt ciała, a wtedy ręka mi się zsunęła z trzymanego płaszcza i grzbietem ręki uderzyłem dość silnie oficera w policzek w okolicy ucha. Odwrócił się do mnie z zaczerwienioną twarzą i zkrzywionymi oczami. Sięgnął do kieszeni jakby szukał rewolweru, ale na szczęście pas z rewolwerem znajdował się przy płaszczu, który trzymałem. Chciałem się wytłumaczyć, ale przecież nie znałem litewskiego, wołam Bohdana do pomocy i ten powoli przekonał Litwina, że to było zupełnie przypadkowo, bez winy z mojej strony. Wyrwał mi płaszcze z ręki, ubrał się sam bez mojej pomocy<sup>po</sup>, groził mi ~~się~~ pięścią i coś tam wymamrotał po litewsku. Bohdan mi potem wyjaśnił, że porucznik odgrażał się, że się jeszcze spotkamy. Najpocieszniej wyglądała mina przestraszonego w najwyższym stopniu pana Bilińskiego.

~~Wszystkie zebrane pieniądze umieściliśmy w woreczku płóciennym~~

~~nym i obaj moi współnicy obdarzyli <sup>mnie</sup> ~~mię~~ zaufaniem, prosząc bym to  
zabrał do domu i tam dokonał obliczenia zysków.~~

Innym razem, w kilka dni po inauguracji, po zamknięciu lo-  
kalu o godzinie 5<sup>00</sup> rano, wyszedłem sam, bo Bohdan już o północy  
poszedł do domu.

Zima w tym roku była w Wilnie wyjątkowo ostra, nocą mróz docho-  
dował do -30°C, a przy tym wiał silny wiatr, co razem dawało się  
nam wszystkim we znaki. Ubrany byłem dość ciepło, miałem palto  
na futrze i czapę narciarską.

Razem ze mną z lokalu wyszła jedna z fordanserek w ubraniu  
napewno nie zupełnie odpowiednim na taki mróz. Mieszkała na Zwie-  
rzyńcu, szliśmy więc w jednym kierunku. Na moście Zwierzynieckim  
moja towarzysza stanęła, chwyciła się za kolana i w płacz. Nie  
może zrobić kroku, kompletnie ma zmarznęte kolana i stopy. Co  
robić? Zdjąłem rękawice i zacząłem nacierać energicznie śniegiem  
nogi piętej pani. Powoli dochodziła do formy. Kazałem jej szybko  
biec przez most, zakrywając nos i usta. Biegnę za nią. Za mostem  
wiatr ucichł i zrobiło się trochę lżej. No więc miałem przyjem-  
ność masowania <sup>pięknych</sup> (skądinąd nóżek dziewczęcych, szkoda tylko że w tak  
niesprzyjających warunkach.

W nocnym lokalu pracowaliśmy do końca marca. Z nieznanых  
przyczyn przedsiębiorstwo zaczęło kuleć, jakieś nieporozumienia  
między współnikami, podobno poważne nadużycia jednego z dyrekto-  
rów i naciski podatkowe, to spowodowało likwidację lokalu po nie-  
spełna 3 miesiącach. Ale zarobiliśmy całkiem nieźle, wystarczyło  
nie tylko na codzienne dobre utrzymanie ale nawet trochę tych li-  
tów odłożyło się na trudniejsze czasy.

~~Nie pamiętam już za jaką sumę sprzedałem swój motocykl ja-  
kiemuś Litwinowi.~~ W każdym razie wspólnie z Wańkowiczem zebraliśmy  
odpowiednią kwotę aby zapłacić pani Sławińskiej za całoroczną  
dzierżawę jej willi w Jerozolimce.

Należało jeszcze zbadać na miejscu <sup>w Jerozolimce</sup> warunki, a następnie ustalić termin przeprowadzki.

Okres ten w moim życiu, to znaczący okres "jerozolimski", odegrał niepoślednią rolę, to też warto zatrzymać się na topografii tej miejscowości.

Była to miejscowość letniskowa, pięknie położona na wzniesieniu po obu stronach niewielkiego wąwozu przy głównym trakcie na Rzeszę, Podbrodzie i Uciany. Jerozolimka znajduje się w pobliżu miejscowości Kalwaria, która posiada zabudowania klasztorne i pięknie usytuowany cmentarzyk. Odległość od centrum Wilna do osiedla Jerozolimka wynosi około 8 Km czyli do granic miasta nie było więcej niż 6 Km.

Rzeka Wilia, w odległości jednego kilometra, robi zakręt o 90° stopni na <sup>ch</sup> wschód i w pobliżu folwarku i wsi Werki tworzy precudną panoramę koryta i doliny przepływającej rzeki pomiędzy, z jednej strony wysokim brzegiem, porośniętym wysokopiennym lasem, z drugiej strony rozległymi łąkami, które szczególnie wiosną pokryte są kobiercem różnobarwnych kwiatów. Wilia jest rzeką żeglowną, chociaż spotkać na niej można tylko niewielkie stateczki spacerowe i flisaków spławiających tratwy.

Sama Jerozolimka składała się z dwóch części, z których jedna to osiedle p dmiejskich domków o charakterze półrolniczym, druga, znajdująca się przy drodze do wsi Zgoda, <sup>owl</sup> stanowiła zabudowę szeregu domków letniskowych, ładnie usytuowanych wśród ogrodów.

Na krańcu tego osiedla stały dwie posesje, jedna z nich należała do pana Bohdanowicza, polskiego Tatara, druga to właśnie willa pani Sławińskiej <sup>(willa ta)</sup> i ona to była punktem naszego zainteresowania. Duży przestrzenny dom parterowy z facjatką o wysuniętym w dachu oknie nad oszkloną werandą, stanowiącą ochronę i ozdobę wejścia frontowego do willi. ~~Niewielka przestrzeń między drogą~~



i domem, odgradzona drewnianym płotem, zajęta była na ogródek kwiatowy z klombami i krzaki bzów i morwy.

Poza domem znajdował się dość duży ogród owocowo - warzywny, dochodzący do krawędzi terenu o znacznej pochyłości, ze spadkiem w kierunku wąwozu porośniętego na dnie gęstymi krzakami.

W odległości około 30 metrów od willi stały budynki gospodarcze, składające się z chaty drewnianej, krytej gontem i dobudowanej do niej obórki. Trochę z boku stała dość obszerna szopa - zwana tutaj z białoruska "drewutnią"

Cała posiadłość obejmowała 3 ha terenu i była do końca tego roku wdzierżawiona Tomaszewskiemu, miejscowemu chłopu, który mieszkał tu ze swoim bratankiem Józkiem. Żyli obaj na tej dzierżawie od trzech lat, ale nie płacili nic, bo liczyło się to za opiekę i nadzór nad całą nieruchomością.

Willa była tylko wykorzystywana przez 2 - 3 miesiące letnie, a wogóle to była mocno zaniedbana i opuszczona.

Z panami Tomaszewskimi dogadaliśmy się. Ustaliliśmy warunki dalszej dzierżawy i wynajmu mieszkania z oborą za ileś tam litrów mleka dziennie i ewentualną pomoc przy orce i bronowaniu ziemi. Bo trzeba wiedzieć, że Józek był również woźnicą, zarobkowo zatrudniającym się u okolicznych właścicieli.

A więc, ja ze swoją rodziną wprowadzamy się do Jerozolimki już pod koniec marca, a Wańkowiczowie w połowie kwietnia. Cały gry plan dalszej działalności omówimy po sprowadzeniu się naszego współnika.

Dom mieszkalny posiadał duży hall, do którego wchodziło się z frontu przez oszkloną werandę. Z hallu tego było szereg drzwi prowadzących do dużej kuchni oraz do trzech pokoi. Jeden z nich zajęliśmy dla naszej rodziny, drugi został przeznaczony dla Wańkowiczów, a trzeci miał być pokojem wspólnym, jakby salonem.

Z kuchni drugie wyjście wprost do ogrodu na zewnątrz domu

prowadziło poprzez dużą sień.

No więc jak widać pod względem samego pomieszczenia wszystko było na medal. Istniało zagadnienie opału dla gotowania i ogrzewania, ale i to przy pomocy Józka Tomaszewskiego dało się rozwiązać, bo po prostu kupiliśmy karcze z poręby w pobliskim lesie, zwieźliśmy na podwórko i rąbaliśmy.

Posiadane środki finansowe, przy niezbyt zachęcających widokach na jakieś dochody z naszego rolnictwa, które dla mnie i żony było nieznaną domeną, zmuszało do pomyślenia o jakiejś pracy czy zajęciu zabezpieczającym minimum egzystencji.

W połowie kwietnia następuje uroczyste wprowadzenie się mojego wspólnika do wspólnej willi w Jerozolimce. Odybyła się ogólna narada "bojowa" celem ustalenia programu działania w zakresie uprawy stosunkowo jednak znacznego obszaru terenu.

Wysunięto szereg koncepcji, jak:

- prowadzić uprawę warzyw i kartofli
- prowadzić uprawę "kozłka lekarskiego" - surowiec do wyrobu waleriany
- hodowla kur i kurcząt
- hodowla królików

Naturalnie Wańkiewicz miał być fachowym kierownikiem produkcji, a pozostała trójka towarzystwa - siłą roboczą.

Było również szereg innych pomysłów związanych z prowadzeniem kuchni i wyżywienia, ale to żeśmy jednak wykluczyli z naszego "Kozłochozu", jako potencjalne źródło mogących powstać zgrzytów. Trzeba przyznać, że przystąpiliśmy wszyscy z ochotą i entuzjazmem do tych nowych form bytowania. Czy jednak na długo nam wystarczy entuzjazmu? Nasze plany wiązałyśmy dość szeroko z pomocą ze strony panów Tomaszewskich, którzy deklarowali wiele czynności wchodzących w zakres naszych przedsięwzięć.

Wiosna i lato 1940 roku były na Wileńszczyźnie piękne, pogo-

~~Ja sprzyjała, wszystko rosło i rozwijało się wspaniale.~~

Władze jakoś nie interesowały się specjalnie nami, tak że panował względny spokój. Produkty spożywcze można było otrzymać z "Ruty", "Pienocentrasu" i "Majstasu" w ograniczonych wprowadzie ilościach. Jakoś życie płynęło.

Gdzieś tam na zachodzie toczyła się wojna, wiadomości radiowe były niepokojące, bo Francja padła, Belgia i Holandia opanowane, w Portugalii Niemcy prowadzą zwycięskie walki, w Afryce Romel odnosi sukcesy, Anglia bombardowana.

A u nas względny spokój. Chociaż tu i ówdzie słychać, że odbywają się rewizje w polskich domach, że coraz częściej następują aresztowania i wywożenie ludności polskiej i nie tylko polskiej. Podobno NKWD wyłapuje naszych byłych policjantów, tak zwanych granatowych, oficerów polskich, osadników wojskowych oraz ludzi zajmujących w Polsce jakieś stanowiska. Nasilenie tego rodzaju zjawisk obserwuje się już od miesiąca czerwca i lipca.

Napięcie i stan nerwów w społeczeństwie polskim wzrasta, gdy któregoś dnia rzucono znaczne ilości samochodów ciężarowych, z krytymi plandeką skrzyniami, gdy szybko ładowano na nie kobiety i mężczyzn i jeszcze szybciej odjeżdżano. Przy takich okazjach znów się wyzywają elementy nacjonalistyczne litewskie.

Naturalną reakcją społeczeństwa polskiego było konspiracyjne organizowanie samoobrony. Było to jednak na razie tylko działanie bierne poprzez wywiad celem umożliwienia w odpowiednim czasie ukrycia się przed łapankami.

W okresie jesiennym zdarzały się przypadki przechwytywania do transportów na wschód chłopów pracujących w polu, którym nie pozwolono nawet pożegnać się z rodziną.

Tak mijały tygodnie i miesiące, a w naszym domu w Jerzolińce życie nasze toczyło się bez większych perturbacji. Panie chowały kury, sadzały po kilka kwok na jajach, panowie pielęgowali

pole z ziołami lekarskimi, karmili króliki, a od czasu do czasu najmowali się do piłowania i rąbania drewna na opał.

W środku lata, piękna duża kwoka poprowadziła swoje pisklęta do ogrodu i tam się nimi opiekowała. Mój syn, w wieku niespełna trzech lat, miał ambicje pomagać kwoce w wychowaniu piskląt, biegał za nimi po ogrodzie. Zaniepokojona tym mama-kura rozpostarła skrzydła i zaatakowała intruza, skacząc mu na piersi. Malec w krzyk i już leży na wznak w grzędzie ogrodu, a kwoka nad nim trzepoce skrzydłami. Na szczęście byłem w pobliżu i zdołałem wyratować syna ze szponów napaśniczki. Nie było to takie śmieszne, bo na policzku chłopca kwoka już zdążyła zrobić krwawiącą ranę. Strachu jednak było sporo.

Według instrukcji i wskazówek profesora biofilologii U.S.B. Leszka Muszyńskiego, z którym nawiązałem bezpośredni kontakt w jego majątku Gulbiny, przeprowadziliśmy zbiory korzeni kozłka. Odrobodziło pięknie. Każdy krzak miał wspaniałą brodę korzeni. Wypłukaliśmy korzenie i rozłożyliśmy na dachu i na podłodze salonu, który nie był przeznaczony na zamieszkanie w czasie zimy, ze względu na oszczędność opału. Nie mieliśmy na razie czasu na dalszą obróbkę tych korzeni do stanu jaki jest wymagany przy skupie. Zrobimy to w zimie.

Nasze króliki rozplodziły się nieprawdopodobnie, nie można było ich pomieścić w klatkach. Na wniosek Wańkowicza wpuściliśmy taką zgraję królików do pokoju, gdzie była właśnie rozłożona waleriana. Nie trzeba było długo czekać aby się przekonać, że oprócz liści kapusty i buraków, króliki zasmakują w walerianie. Chyba czwartą część naszych zbiorów zwierzaki te skonsumowały, zanim spostrzegłszy się przerwaliśmy im tę ucztę.

Zbiory waleriany, po spreparowaniu, ledwie pokryły koszty nakładawę na sadzonki, co naturalnie było skutkiem niewłaściwego podejścia naszego do całej technologii.

A wogóle to zima 1940/1941 roku nie była zbyt przyjemnym okresem naszego pobytu i zajęć rolniczych w Jerozolimce. Wańkiewiczowie jeszcze przed końcem roku wyprowadzili się, rezygnując ze spóźki, a na ich miejsce wprowadziła się rodzina Kearneyjów, składająca się z Zygmunta i Władysławy małżonków oraz dwojga maleńkich dzieci, Danusi i Roberta.

Współpraca z tą rodziną układała się bardzo harmonijnie, szczególnie panie jakoś się do siebie dopasowały.

Zygmunt był bardzo przedsiębiorczy, bo kupił konia i wóz i wspólnie z Józkiem Tomaszewskim obrabiali niemal<sup>W</sup> wszystkim gospodarzo<sup>W</sup>ich ziemię. Poza tym najmowali się do wożenia z lasu drewna na opał i do budowy.

Ja jako technik z wykształcenia, a wodniak i wodociagowiec z wstępnej praktyki po szkole, zacząłem przemyśliwać nad możliwością wykorzystaniu swojego fachu.

I oto spotykam znów na ulicy Kardasza, który powiada, że jakiś instytut poszukuje hydrotechnika. Okazało się, że na zlecenie władz lit<sup>e</sup>wsko-rosyjskich, polski profesor geologii uniwersytetu Stefana Batorego organizuje Instytut Badań Geologicznych, co w języku litewskim brzmiało: Geologiniu Tyrynejamui Tarnybos.

Nastawienie tego instytutu było w kierunku poszukiwań najważniejszych surowców kopalnych, przy zastosowaniu starych wypróbowanych metod pionowych wierceń i wykopów szybowych.

Na czele tego Instytutu stało aż trzech dyrektorów: rosyjski - ogólny nadzór i kontrola działalności, litewski - profesor Packunas do spraw organizacyjnych i personalnych, oraz polski profesor Passendorfer - do spraw naukowych i produkcyjnych. Z polskim profesorem współpracowało małżeństwo Halickich - oboje docenci czy nawet profesorowie Uniwersytetu.

Moje zgłoszenie przyjęto bardzo życzliwie i z miejsca zatrud-

dniono, z tym, że miałem przejść kurs Wiertniczo-geologiczny <sup>cy</sup> na Uniwersytecie dla tak zwanych "kolektorów". Kurs ten był prowadzony w gmachu Uniwersytetu przez panią profesor Halicką, która szczególnie serdecznie zajęła się moją osobą. Równocześnie ze mną szkolili się niejaki Piotr Wyszkowski, były kapitan zawodowy w polskim wojsku. Wyjątkowo miły i towarzyski pan, trochę ode mnie starszy, żonaty, posiadający dwie córki, 16-letnią i 14-letnią. Mieszkał gdzieś przy ulicy Mickiewicza.

W początkach maja, 2 lub 3, otrzymaliśmy dyplomy kolektorów oraz delegacje w teren z określonym zadaniem.

Ja mam jechać do wsi Pakrucje na Żmudzi, aż pod samą granicę Łotewską, a kapitan na północny wschód od miasta Szaule. Moim zadaniem były poszukiwania dolomitów jako surowca do wyrobu cementu, a pan Wyszkowski miał zbadać miąższość warstwy torfu, jako opału dla <sup>o</sup> takiej wytwórni cementu. Zadania ciekawe, obliczone na <sup>okres</sup> trwania około dwóch lat, a więc na dłuższy czas miałem zapewnić materialne podstawy egzystencji.

No ale to w teorii, praktyka okazała się wręcz odmienna.

W każdym razie, z dyplomem i delegacją w ręku zjawiłem się jak triumfator w domu w Jerozolimce.

Pozostało jeszcze dwa tygodnie do wyjazdu i czas ten należało wykorzystać na ustabilizowanie rodziny na okres mojej nieobecności. Skontaktowałem się z Mietkiem Ciszewskim, synem pana Tomaszka, zaproponowałem mu <sup>wsp</sup> wspólny wyjazd na Żmudź, on w charakterze robotnika specjalisty do wierceń - wyraził zgodę.

15 maja 1941 roku zapakowałem najpotrzebniejsze ubranie i wyposażenie, zaopatrzony w poważny zapas gotówki służbowej, pozostawiając trochę litów żonie, wyruszyłem na podbój świata.

Moja sytuacja osobista była nader korzystna, bo jako kierownik ekipy poszukiwań geologicznych na Żmudzi, miałem dużą swobodę działania i możliwość inicjatywy.

Poza podstawowym zadaniem, jakim były roboty badawcze i analiza wyników, otrzymałem upoważnienie do zawierania umów z drobnymi przedsiębiorstwami i warsztatami rzemieślniczymi, angażowania robotników i zakup narzędzi. Rozliczenia miały się odbywać albo przez bezpośrednie wypłaty gotówką albo na podstawie czeków płatnych w Oddziale Banku Spółdzielczego w Szawlach.

Miało to jeszcze o tyle dobrą stronę, że mogłem raz na dwa tygodnie, a nawet raz na tydzień wyjeżdżać do Wilna dla dokonywania rozliczeń. Towarzyszący mi Mietek Ciszewski miał pełnić w czasie mojej nieobecności rolę zastępcy. Był to chłopiec lat 19, ale inteligentny i rozgarnięty, który odegrał w tym okresie mojego życia ważną rolę.

No więc jak się rzekło, w dniu 16 maja <sup>wraz z Mietkiem Ciszewskim</sup> wyruszyliśmy w drogę koleją na Kowno, Kiejdany, Szawle do stacji kolejowej Możejki /Mażeiki/ . Po drodze zwiedziliśmy Kowno i wstąpiliśmy do "Domu Polskiego" - ośrodka kultury polskiej i miejsca spotkań Polaków w Kownie. Tak, ale to było dawniej, w tej chwili dozorca Polak nie chciał nas wpuścić do wewnątrz twierdząc, że władze litewskie działalność tego Towarzystwa zawiesiły. Radził nam prywatnie byśmy się zbytnio polskością nie afiszowali, bo sporo Polaków już z Kowna gdzieś wywieziono. Smutne to ostrzeżenie; przecież nasza znajomość języka litewskiego ~~była~~ była tak mizerna, że porozumiewanie się nim nie miało większych szans.

Następnym pociągiem w stronę Szawli pojechaliśmy dalej. W Szawlach nie zrobiliśmy przerwy podróży, mieliśmy bowiem w pamięci ekscesy nacjonalistów w czasie pierwszych dni okupacji Wilna.

Od stacji kolejowej Możejki do docelowego punktu naszej podróży, wsi Pakruoje było jeszcze około 4 kilometrów, dokąd udaliśmy się na piechotę.

Pakruoje nie było wsią skupioną z główną ulicą i wzdłuż niej stojącymi zabudowaniami, lecz gospodarstwa były rozrzucone

w terenie, tworząc oddzielne kolonie. Przez tereny tej wsi przepływał wartko strumień o brzegach z rzędka porośniętych krzakami. Miałem adresy dwóch gospodarzy, którzy znają zagadnienie, bo w swoim czasie jakaś komisja tu na miejscu ustalała wstępnie usytuowanie przyszłego zakładu przemysłowego. Byli to /o ile sobie przypominam/ pan Grzegorz Pakauskas i pan Léon Markas. Panowie ci byli polskiego pochodzenia, dobrze wkładali językiem polskim, chociaż nie przyznawali się oficjalnie do polskiej narodowości.

Tego samego dnia /16 maja/ , a już w późnych godzinach, trafiliśmy na gospodarstwo Grzegorza Pakauskasa. Przyjął nas bardzo serdecznie, oddał do dyspozycji oddzielny duży pokój z dwoma łóżkami, stołem pośrodku i dwiema ławami przy stole. Na oknach wiele kwiatów doniczkowych, które wyglądały bardzo dekoracyjnie, ale za to w dzień zabierały całe światło, tak że w pokoju panował stale półmrok. Światło mieliśmy z dużej lampy naftowej, zawieszanej u sufitu.

Następny dzień /chyba niedziela/ spędziliśmy na odpoczynku, konferując z gospodarzem, ustalając warunki naszego u niego zamieszkania, i przygotowując plan pracy na najbliższe dni.

W dniu 18 maja 1941 roku rozpocząłem oficjalnie naszą działalność. Zaangażowałem na dniówkę miejscowego wiertnika, który posiadał najpotrzebniejszy sprzęt do wykonywania próbnych otworów w ziemi. Przynitywne narzędzia i sprzęt nie pozwalały na przedsięwzięcie poważniejszych wierceń, z których urobek mógł stanowić podstawę do obliczeń miąższości warstwy dolomitów.

Pierwszą naszą czynnością były oględziny terenu, szczególnie wzdłuż potoku i opracowanie szczegółowych szkiców. Miało to być wstępem dla usytuowania punktów wykonania badawczych szybów pionowych, których według wstępnego ustalenia miało być w początkowej fazie 15 sztuk. Głębokość tych szybów mogła dochodzić do



25, a nawet 30 metrów.

Problemem numer jeden było zawodnienie szybów w trakcie głębienia, pochodzące z pobliskiego potoku, który według mojego rozeznania wił się w spękanych skałach dolomitowych, bowiem skały te zalegały niemal na całej powierzchni tuż pod warstwą ziemi uprawnej.

Uniwersalny niwelator z kołem poziomym przywieźliśmy ze sobą z Wilna, stół mierniczy zbudowaliśmy sami na miejscu, łąki miernicze zrobiliśmy z wygładzonych kantówek. Jednym słowem można powiedzieć, że daleko nam było do precyzyjnych pomiarów geodezyjnych, ale pomysłowość i doświadczenie pozwoliły na rozwiązanie różnych innych zagadnień.

Szybkość przepływu wody w strumieniu mierzyliśmy spławikiem /na ryby/ z ciężarkiem, a czas - przy użyciu stopera sportowego.

Mimo tych wszystkich komplikacji pracowaliśmy z ochotą, zupełnie się nie zniechęcając trudnościami.

Narazie cała nasza załoga składała się z dwóch brygad po 4 ludzi i nas dwóch, czyli razem dziesięciu, przy czym w charakterze brygadzistów byli dwaj wymienieni wyżej gospodarze, Pakauskas i Markas.

Obydwa szybiki, po czterech dniach, a więc 22 maja miały już znaczną głębokość, coś kiedy nie można się było głębiej posunąć, bo bez przerwy zalewała je woda. Równocześnie zupełnie widoczne było obniżenie się stanu wody w potoku. Kazałem przerwać głębienie. Należało, z jednej strony ująć przepływ w potoku poprzez rury /stalowe, żeliwne czy kamionkowe/, o betonowych nie mogło być mowy wobec deficytu cementu, z drugiej zorganizować użycie pomp dla ciągłego usuwania <sup>napływającej</sup> nasuwająca wody ~~z~~ szybów. Obydwie sprawy wymagały wyjazdu do miasteczka Szawli dla dokonania odpowiednich zakupów.

Zostawiłem na gospodarstwie naszym Miecicia, a sam wyruszyłem wozem do Możejek, a dalej pociągiem do Szawli.

Był to więc 23 maja. Pociąg w Szawlach zatrzymał się ze 200 metrów poza budynkiem stacyjnym. Na peronach dziwna cisza, snują się tylko bojcy z pikami i kolejarze. Wracam wzdłuż torów do dworca. Na trzecim od budynku torze stoi długi zestaw wagonów towarowych. Są to tak zwane wagony bydlęce, skrzyniowe, kryte, z zasuniętymi drzwiami. Jakies głosy i jęki dochodziły z wnętrza tych wagonów. Zbliżam się do jednego z nich. Pytam stłumionym głosem.

- Kto tam jest ?

Naraz chór głosów męskich i kobiecych, płacz dzieci. Z pośród skłębionego wrzasku można wyłowić, że to Polacy i Litwini, że zabrano ich z domów, że dzieci, że proszą o ratunek.

Boże mój - myślę - co się dzieje ? dlaczego aż tu sięgają macki NKWD ? Na kogo właściwie polują ? Czego chcą od tych ludzi ?

W głowie mi się kręci, mam ży w oczach, nie poradzić nie jestem w stanie, a tu nade mną ostry głos konwoj<sup>u</sup>ta.

- A wy tu czego ? Chcesz z nimi ? No to paszoł k czortu.

Wolno ruszyłem do budynku dworca. Przypadek zdarzył, że spotykam tam swego kolegę, o którym wyżej wspominałem - Piotra Wyszkwoskiego - kapitana. Bez głębszego zastanawiania się kupujemy bilety kolejowe do Wilna i nie uprzedzając nikogo najbliższymi pociągami jedziemy do domu. Wyszkwoski miał skądś informacje, że na całym terenie Litwy odbywa się masowa wywózka obywateli na wschód. Nie było rozeznania kogo właściwie wywożą, bo dotyczyło to dosłownie wszystkich, że chodziło podobno o jakąś określoną liczbę. Nasz niepokój o rodziny był tak wielki, że nie mogło być nic ważniejszego od natychmiastowego powrotu.

W drodze nie podejmujemy z nikim rozmowy. Zresztą jadą przeważnie Litwini, a nasz litewski język nie zbyt poprawny.

W Wilnie byliśmy o godzinie 18<sup>00</sup>. Było jeszcze zupełnie widno. Żadnej dorożki na podjeździe nie spotkaliśmy, dopiero w odległości około kilometra stała dorożka i woźnica dobrze podsmarowane litami zgodził się nas zabrać.

- Co się tu dzieje ? - pytamy dorożkarza

Ten macha ręką, milczy, wreszcie cedzi przez zęby

- Panowie przyjezdni, to nie wiecie co za piekło nasi "sojuźnicy" zrobili tej nocy. W Nowowilejce i Święcianach stoją załadowane pociągi. Samochody ciężarowe z plandekami krążyły przez całą noc. Wyciągali ludzi z domów.

Na ulicy Mickiewicza przed jakimś domem zatrzymujemy się, Wyszkowski wyskakuje w biegu i pędzi co siłą do swego mieszkania. Chwilę czekamy, nie wraca. Ruszamy więc dalej. Mamy jeszcze kawałek drogi do Jerozolimki.

Zostawiam dorożkę w dolince na drodze, a sam biegiem pędzę po stromym wzniesieniu do swojego domu. Wpadam do pokoju, wołam na żonę, wychodzi z pokoju ubrana jak do wyjazdu. Zjawia się Włada, również w płaszczu i chustce na głowie.

- Co się tu dzieje ? - pytam mocno przestraszony.

- Poprzedniej nocy - mówią panie jedna przez drugą - zabrali z Jerozolimki kilkanaście osób, od Bohdanowicza zabrali jego syna z żoną i córką. Koło naszej willi stał samochód przez dwie godziny. Zygmunt /mąż Włady/ gdzieś się chowa w pobliskich krzakach. Dzisiaj zarżnęliśmy 4 kury, ugotowałyśmy, zapakowałyśmy do walizek. Najpotrzebniejsze rzeczy z ubrania i bielizny są spakowane w tobołkach. Nie wiadomo co będzie dzisiejszej nocy.

Znalazłem Zygmunta i postanowiliśmy obaj czuwać przez całą noc, z tym, że w razie ukazania się lub usłyszenia warkotu silników samochodowych, żony z dziećmi natychmiast będą uciekać, prowadzone przez Józka Tomaszewskiego, a my skryjemy się w pobliskich zabudowaniach.

Ja wysunąłem się w stronę traktu wileńskiego, Zygmunt w stronę wsi Łgoda. Spotykamy się w zbożu poza w<sup>o</sup>wozem.

Noc minęła bez większych wstrząsów, owszem dwukrotnie podjechał samochód ciężarowy ze zgaszonymi reflektorami, ale zatrzymał się w znacznej od nas odległości, więc żeśmy nie niepokoili swoich rodzin. Podobno zabrali tej nocy Litwina, który rzekomo współdziałał z szaulisami. Zdawało się, że natężenie łapanek zmalało i chyba jakiś czas będzie spokój.

Rano dnia 24 maja zgłosiłem się do swego biura. Wszyscy pracownicy byli tak roztrzesieni, że trudno się było dogadać. Podobno zjawiło się w biurze NKWD z gotowymi listami, na których figurowało między innymi moje nazwisko i Wyszkwoskiego. Co było robić?

Wyszkwoski przeżywał tragedię. Po pożegnaniu się ze mną i przyjeździe do swego mieszkania, zastał tylko leżącą na łóżku chorą matkę. Jego żonę i obydwie córki Sowieci zabrali ze sobą, przykazując chorej matce, że jak się zgłosi pan kapitan to jego rodzina pozostanie w Wilnie. Całą noc szukał ich po wszystkich dworcach kolejowych i bocznicach. Spotykał całe zestawy pociągów załadowanych ludźmi. Zgłaszał się do NKWD, mówiąc kim jest i prosząc o zwolnienie rodziny. Wszędzie pędzili go precz, nie wchodząc w żadne pertraktacje. Złamany, wrócił do domu i nie wie co dalej począć.

Profesor Passendorfer poradził mi abym natychmiast jechał z powrotem na budowę, bo tam nie będą napewno mnie szukać.

- A co z moją rodziną? - pytam.

- Powinna zmienić na jakiś czas miejsce zamieszkania.

Tak też zrobiłem.

Po południu wyruszyłem pociągiem do Możejek. Po drodze wstąpiłem do Szawli i tam zamówiłem u miejscowego rzemieślnika pompę typu strażackiego, o znacznej wydajności, t.zw. samozasysającą. Zamówienie miało być wykonane w ciągu 10 dni z dostawą firmy.

Na miejscu, w Pakruojach, w czasie mojej nieobecności ~~##~~ nie się nie zmieniło. Miecio wykonał moje zlecenia, a dalsze głębienie rozpoczętych szybów zostało przerwane. Uruchomiłem wykopy dla pozostałych 13 szybów, miałem więc roboty cał najmniej na dwa tygodnie, czyli dalsze głębienie będę mógł wykonywać po otrzymaniu pompy. W międzyczasie wysłałem do Wilna pocztą zamówienie na trzy pompy spalinowe, bez których nie mógłbym prowadzić robót.

5 czerwca pojechałem do Wilna dla rozliczenia finansowego i pobrania nowego zapasu gotówki. Życie w mieście wróciło do normy, aresztowania i wywózki zdarzały się sporadycznie na podstawie donosów różnych szpiclów.

W Jerozolimce pędzono życie z dnia na dzień, Zygmunt dzielnie opiekował się swoją i moją rodziną. Jakichś specjalnych braków żywności nie odczuwało się, tym bardziej, że warzywa i owoce były własne w dostatecznej ilości. Przywiozłem trochę produktów ze sobą, zasilając w ten sposób śpiżarnie domowe.

Dwa dni zrobiłem sobie przerwę. Nastroje wśród Polaków w Wilnie były jednak minorowe. Nie widzieliśmy perspektywy zmiany sytuacji politycznej na lepsze. Na zachodzie Niemcy w dalszym ciągu odnosiły na wszystkich frontach sukcesy. Czuło się jednak, że Hitlerowi nie wystarczy zagarnięcie części Polski, że jego apetyty są znacznie większe. Rosja Radziecka nie czuła się zbyt pewna, mimo podpisanego paktu o nieagresji. Coś jednak w powietrzu wisiało. Spotkani w Wilnie znajomi szepotali na ucho, że powstała w konspiracji polska organizacja pod nazwą Związku Walki Zbrojnej, której centrala znajduje się w Warszawie, a ośrodek decyzyjny aż w Londynie. Mówiło się o istnieniu Polskiego Rządu na emigracji, z siedzibą w Londynie. Naturalnie ostrze działania konspiracji było skierowane przeciwko okupantowi niemieckiemu. Na tutejszym terenie, zadaniem tego ruchu był tylko wywiad. Nie było wtedy żadnych konkretnych dyspozycji odnośnie stosunku

~~Władze~~<sup>dy</sup> władz sowieckich.

Nie byłem w owych dniach zainteresowany osobiście działalnością podziemnej organizacji, mając na głowie prowadzenie prac badawczych na Żmudzi i ciągłą troskę o bezpieczeństwo swojej rodziny w Wilnie.

Pamiętny dzień 21 czerwca 1941 roku.

Jest godzina 6 rano. Gospodarz mój pan Pakauskas wpada do naszego pokoju i głośno, z przerażeniem oświadcza, że przed chwilą podało radio z Kowna o napadzie wojsk niemieckich na granicę z Rosją /nowa anektowana granica/ i trwających walkach z wojskami sowieckimi.

Nie wydawało mi się to prawdopodobne, ale na wszelki wypadek postanowiłem się przygotować do ewakuacji. Naturalnie straciłem wszelką ochotę do podejmowania w tym dniu jakiejś pracy. Należało jednak utrwalić na brzegu potoku kilka reperów oraz pomierzyć spadek zwierciadła wody.

Była godzina 11<sup>00</sup> rano, znajdowałem się z Mietkiem nad potoczkiem i robiliśmy pomiar długości między reperami, gdy usłyszałem głucho, dalekie wybuchy strzałów artyleryjskich, jednocześnie nad nami przeleciał klucz samolotów pościgowych i zginął gdzieś na północy. Nie ulegało wątpliwości, że inwazja niemiecka postępuje na wschód i nabiera co raz większego nasilenia.

Nie było co się zastanawiać. Rzucamy wszystko, biorąc tylko niwelator ze statywem i biegniemy do domu. Ładujemy plecaki, biorąc co ważniejsze, ograniczając się tylko do chleba, kiełbasy i kawałka żółtego sera, zostawiamy za pokwitowaniem instrumenty miernicze i sprzęt pomiarowy pod opieką pana Grzegorza, żegnamy się pośpiesznie z zacnymi gospodarzami i ~~szybkim~~<sup>szybkim</sup> marszem walimy wprost na stację kolejową, licząc, że może jeszcze złapiemy jakiś pociąg idący na południe lub na wschód. Do Wilna już niestety nie dotrzemy, Wilno zostało zajęte przez Niemców.

Natarcie niemieckie szło na wschód całą szerokością wzdłuż rzeki Niemen, na północy w ciągu dwóch dni forpoczty niemieckie znajdowały się na wysokości Kłajpedy, a więc nie dalej niż 100 Km od stacji kolejowej Mażejki.

W Mażejkach naturalnie żadnego pociągu nie zastaliśmy, pozostało nam maszerować pieszo w stronę Szawli, może tam coś się znajdzie, ale to przeszło 80 Km, czyli co najmniej 24 godziny forsownego marszu, Droga prowadziła wzdłuż torów no i najważniejsze wzdłuż prawdopodobnego frontu.

O godzinie 16<sup>00</sup> po południu następnego dnia /22. VI/, straszliwie zmęczeni, z obolałymi i ~~rozchwiejnymi~~ <sup>spuchniętymi</sup> nogami, zgłodnieli docieramy aż do stacji kolejowej Radwaniszki. Trafiamy tam na stojący pod parą pociąg osobowy kolejki wąskotorowej, z wagonami wypełnionymi ludnością żydowską. Niemal w 100% - Żydzi.

Pakujemy się na siłę do jednego z wagoników, w którym jak na ironię zastajemy dwa wolne siedzenia. Wokół nas zastraszone twarze brodatych Żydów i grube postacie Żydówek. Siedzi to wszystko nie tylko na ławkach, ale i na walizach, tżok, że trudno przejść do okna.

Z dziwną atencją zwracają się do nas, najpierw po litewsku a potem po polsku, pytają o różne rzeczy ale głównie o to jak daleko są Niemcy. Dowiadujemy się, że jest to pociąg specjalnie opłacany przez jadących Żydów i to w wysokości nieprawdopodobnej obsłudze litewskich kolejarzy w złocie i biżuterii. Ciuchcia ma jechać natychmiast przez Poniewież, Uciany do Święcian, gdzie mają na nich czekać pociągi do Rosji. Walizy ich napełnione są wypełnione wartościowymi rzeczami, bo tylko to mogli w pośpiechu zabrać. Żydzi, jadący pociągiem, to przeważnie kucy z Szawli. Zachowywali się jak na Żydów dość spokojnie, słychać było tylko przyciszone szwargot żydowski.

Powiedziano nam, że pociąg ten jest konwojowany przez oddział

KTERY JEDZIE W OSTATNIM WAGONIE I JEST  
który jedzie w ostatnim wagonie i jest po zęby uzbrojony w karabiny ręczne i maszynowe.

1 4 2 3 5  
Nie ruszyliśmy tak natychmiast z miejsca, bo dopiero o godzinie 18<sup>00</sup> rozległ się przeciągły gwizdek konduktora i wagony powoli zaczęły się posuwać do przodu.

Ruch pociągu, jednostajny stuk kół/złącza szyn, nasze krańcowe wyczerpanie - to sprzyjające warunki twardego snu, jaki nas dwóch opanował. Nawet ciche modlitwy Żydów nie przeszkadzały nam w sennym odrętwieniu. Minęła tak cała noc, bez przeszkód pociąg toczył się do przodu, zatrzymując się przez kilka minut na małych stacyjkach po drodze.

Był świt. Chyba 4<sup>00</sup> godzina rano. Budzę się nagle zdziwiony, że ruch pociągu ustał i jakaś złowieszcza cisza panowała wokół. Pasażerowie żydowscy siedzieli skuleni z otwartymi oczami.

Na zewnątrz widać było z okna zabudowania małej stacyjki. W powietrzu słychać oddalone głucho pomruki strzałów artyleryjskich. Na budynku stacyjnym widnieje napis ~~Idźcie się~~: Użużele

- Dlaczego nie jedziemy? - zwraca się do mnie jeden z pasażerów, jakbym mu mógł dać na to odpowiedź.

- Pewnie zbierają datki dla palacza - mówię pół żartem - ale trzeba się dowiedzieć.

Nikt się nie poruszył. Ochotnika nie było.

6 Idź Mieciu, zobacz co w trawie piszczy - tylko zaraz wróć, żebyśmy cię nie zostawili.

Nie zdążył wyjść z wagonu, gdy rozległy się nagle strzały karabinowe. Nie mogłem się zorientować skąd i w jakim kierunku. Trzask w szybę wagonu i bzyk pocisku spowodował nieprawdopodobne poruszenie wśród pasażerów.

- Padnij! - krzyknąłem, sam podsunąłem się do drzwi, uchyliłem i wyjrzałem. Z prawej strony torów rzadki las, a z za



drzew widać jakieś postacie. Nagle z lewej strony toru, gdzie się znajdował budynek dworca, rozległ się gęsty ogień z karabinu maszynowego, a potem lecące pociski zaczęły przebijać ściany wagonu. Padam na podłogę i odczuwam niesmowity ciężar. Dźwigam na sobie potężnej wagi, chyba najgrubszą w całym przedziale Żydówkę. Nie mogę ruszyć ani nogą ani ręką. Wreszcie z wielkim wysiłkiem wydobywam się z pod zważów miękkiego ciała, które bezwładnie stacza się pod ławkę.

Jesteśmy więc teraz w sytuacji niemal w dosłownym znaczeniu między młotem i kowadłem. ~~tylko nie wiemy co zacz jest młotem a kto stara się być kowadłem~~. Nie miałem wątpliwości, że byliśmy ~~świ~~ <sup>świ</sup>świakami, a może nawet uczestnikami spotkania partyzantki szaulisowskiej z cofającymi się oddziałami sowieckimi. Dlaczego jednak nie ~~nie~~ słychać żadnego ruchu w wagonie NKWD?

Zapanowała chwilowa cisza. Wskoczyłem z wagonu, zakładając, że strzelanina z lasku pochodziła od oddziałów sowieckich, stoczyłem się po skarpie do przydrożnego rowu i chyłkiem podbiegłem do przodu pocągu. Na wprost parowózika leżał w rowie człowiek, na którego upadłem całą długością swego ciała. Obaj leżymy przestraszeni.

- Kto pan? - pytam po polsku.  
- Jestem maszynista - odpowiada, leżąc teraz przy mnie  
- Co się stało? - pytam ni w pięć ni w dziesięć.  
- Litwini kazali mi się zatrzymać i nie ruszać z miejsca, Ruski kazali natychmiast ruszać.- zwałem z parowozu, <sup>tu</sup> gdzieś mój pomocnik.

- Wlazimy do parowozu - mówię spokojnym głosem - próbujmy odjechać, oni są sobą zajęci.

- No to skacz - mówi maszynista - ja za tobą.

Wskoczyłem, obok stanął mechanik.

- Ruszaj, nie czekajmy na palacza, ja będę żądował do pęca.

Powoli parowóz rusza z miejsca.

Ogień karabinowy z obu stron pociągu rozprętuje się na dobre, ale do parowozu jakoś nie strzelają.

Zwiększamy stopniowo szybkość pociągu, mijamy wszystkie rozjazdy zostawiając za sobą budynki stacyjne.

Nagle do parowozu wskakuje dwóch ludzi w cywilu, celują w nas rewolwerami i każą natychmiast stanąć. Coś tam wrzeszczą po litewsku i wymachują nam rewolwerami przed nosem. W jednej chwili cały pociąg został otoczony przez zgraję uzbrojonych cywilów, a oddziału sowieckiego nie widać. Nie wiem co się działo na tyłach pociągu. Dwaj nasi prześladowcy wyskakują z parowozu na tory i krzyczą.

- Ważoje - co oznacza po litewsku - odjeżdżać.

Ruszamy, nabieramy szybkości, zjeżdżamy po pochyłości i pędzimy w dal aż migają rosnące przy torach drzewa.

Po kilku kilometrach zwalniamy biegu. Ja wyskakuję z parowozu i wskakuję do swojego wagonu. W moim przedziale niesamowity smród, którego sprawcami są żydowscy pasażerowie. Okna i ściany podziurawione pociskami. Jakiś Żyd jęczy ranny w szyję, nikt mu nie stara się pomóc. Mojego Mietka niema w przedziale. Pytam gdzie mój przyjaciel - bez odpowiedzi. Pociąg stanął. Wskoczyłem i wołam Miecicia, który wychyla się z sąsiedniego wagonu.

Dopiero Miecicio opowiedział mi co się tu działo w czasie mojej nieobecności.

Szaulisi wpadli do ich wagonu, zaczęli strzelać w sufit i ściany, porywali żydowskie walizy i ulatnieli się. Ostatni wagon z żołnierzami sowieckimi odczepili od pociągu i zrobili straszliwą masakrę, strzelając ze wszystkich stron przez ściany wagonu. Żadnej reakcji oddziałów sowieckich, znajdujących się w pobliskim lasku. No i to wszystko.

Jedziemy dalej.

Minęliśmy szczęśliwie Uciany i szereg innych małych stacyjek i zbliżamy się do końca jazdy tego pociągu. Osiągamy wreszcie miasto Święciany.

Dworzec kolejki znajduje się w pobliżu rynku miasta, w środku którego usytuowana jest studnia publiczna, uruchamiana długą, wygiętą dźwignią, zakończoną ciężką metalową kulą.

Wszyscy pasażerowie pociągu wysypali się na rynek i bezradnie zgromadzili się wokół opisanej wyżej studni. Niektórzy posiadali jeszcze walizki uratowane z grabieży szaulisów. Jakiś młody Żyd wezwał wszystkich do przejścia na dworzec kolei normalnej i ruszył pierwszy, a za nim cały tłum mężczyzn, kobiet i dzieci.

Ja z Mietkiem, po umyciu się pod studnią, poszliśmy w przeciwnym kierunku, przewidując, że trafimy na tory biegnące w stronę Wilna.

Ledwie wyszliśmy poza Rynek, gdy usłyszeliśmy za sobą, najpierw niesamowity wrzask ludzki, a następnie gęste strzały karabinowe. Widzieliśmy z daleka jak tłum pozostawionych przez nas Żydów rozpierzcha się po całym Rynku, dźwigając swoje tobozki i walizki. Z jednej strony ulicy wybiegła zgraja cywilów na Rynek z karabinami i rewolwerami strzelając w powietrze dla wywołania strachu i popłochu wśród Żydów. Przyspieszyliśmy kroku i szybko opuściliśmy miasteczko, kierując się ku widniejącemu w oddali toru kolejowego.

Do Wilna pozostało nam przeszło 40 Km idąc wzdłuż torów. Po drodze mieliśmy miasteczko Niemęc<sup>n</sup>czyn. Gdzieś na tej trasie jest linia frontu między natarciem Niemców i obroną Sowietów. Nie wiemy gdzie.

Było już ciemno, marsz nocą w tych warunkach był niebezpieczny, ale ruszyliśmy dalej aby dojść do jakiejś dyżurki drogowej.

Po godzinie w oddali majaczyły jakieś zabudowania. Zachowując ostrożność podchodzimy bliżej. W oknie światło lampy naftowej, a przy stole widać siedzącego mężczyznę. Wejść czy nie wchodzić? Postanawiamy ukryć się gdzieś w szopie i przedrzemać do rana. Około ołnocy słyszymy głosy litewskie, jacyś ludzie chodzą, biegają, ale żaden nie wchodzi do szopy z drzewem gdzieśmy się ukryli. Trwało tak przez denerwujące pół godziny, poczym nastąpiła cisza. Za chwilę słyszeliśmy turkot wozów ~~przechodzących~~ <sup>przejeżdżających</sup> przez przejazd kolejowy.

Ledwie świtało gdy ostrożnie opuszczaliśmy dyżurkę, a na drodze spotykamy dróżnika, który zbliża się do nas.

- Toście się w mojej drewni nie bardzo wyspali - powiada - A uważajcie, bo szaulisi tropią pojedynczych żołnierzy sowieckich i mogą was wziąć za przebranych bojców. Oni zabijają na miejscu. Już kilka trupów widziałem w okolicy.

- A gdzie front? - pytamy

- Pewnie w Niemenczynie, bo tutaj jeszcze Niemców my nie widzieli.

Idziemy na ryzyko do Niem<sup>cy</sup>eczyna. Mamy przecież przy sobie polskie dowody osobiste, delegacje i trochę papierów, wypełnionych różnymi danymi z wykonywanych prac badawczych. Okazało się dalej, że tylko te ostatnie uratowały nam życie, a przynajmniej ustrzegły od ekspoltacji do obozu koncentracyjnego.

A było to tak.

Przed miasteczkiem stały wojskowe posterunki niemieckie. Zatrzymał nas jeden z wartowników, zażądał dokumentów. Zabrał wszystkie nasze papiery i kazał iść za sobą. Naturalnie odbywało się to w języku niemieckim. Niewielka znajomość niemieckiego pozwalała jednak cokolwiek zrozumieć i trochę powiedzieć.

Zaprowadził nas do jakiegoś domu, chyba dawnego urzędu gminnego, zostawił nas w jednym pokoju, w którym było już kilkanaście

osób, a sam poszedł po schodach na piętro. Czekaliśmy ponad dwie godziny, byliśmy zdenerwowani, bo inni czekali tu już po kilkanaście godzin.

W pewnym momencie wchodzi do pokoju młody mężczyzna w cywilu i wywołuje nazwisko i imię Mietka, prowadzi go na górę. I znów denerwujące czekanie. Widzę jak Mietek schodzi z góry, trzyma jakąś karteczkę, pokazuje mi ręką znak, że wychodzi i będzie na mnie czekał na ulicy.

Ten sam młody człowiek wywołuje po chwili moje nazwisko i prowadzi mnie na górę.

Podłużna sala. Pośrodku tej sali stoi duży długi stół, za którym siedzi kilkunastu mężczyzn. Na końcu, za stołem siedzi mężczyzna z krótko przystryżoną brodą i w okularach. Patrzy na mnie siedząc, po czym wstaje i zaprasza do zajęcia miejsca obok siebie. Zaczyna się dochodzenie w języku polskim.

- Kto? Kiedy? Gdzie urodzony? Ojciec, matka?

- Gdzie pan był i co pan robił?

Opowiadam po kolei przebieg mojej pracy na Zmudzi, mówię o rodzinie, która mnie oczekuje w Wilnie.

- Jak na imię?

- Henryk - odpowiadam.

- A nie Marian?

- Nie znam tego imienia, zresztą przecież wyraźnie podano w dokumentach.

- A kiedy pan kończył studia na Uniwersytecie Warszawskim?

- Ja jestem z wykształcenia technikiem wodnym i kończyłem szkołę w Warszawie w 1928 roku.

- Co pan robił na Litwie?

- Ostatnio prowadziłem badania geologiczne dla budowy cementowni, proszę, tu są papiery.

- Panie Konstanty, proszę pana Płaskiemu wystawić przenust-

kę do Wilna - zwrócił się do siedzącego obok osobnika.

- Jest pan wolny - mówi do mnie.

Wstałem, skłoniłem się głową i ruszyłem do drzwi, gdy usłyszałem za sobą.

- Panie Marianie!

Nie zareagowałem, dopiero przy drzwiach, jakby chcąc się jeszcze raz skłonić obecnym, odwróciłem się i usłyszałem sciszony głos:

- To ten... ?

Siedzący przedtem obok mnie mężczyzna zaprzeczył bez słowa kręcąc głową.

W ten sposób udało się nam przejść linię frontu niemiecko-sowieckiego, którego zresztą właściwie nie było.

Rozdział 6. OKUPACJA NIEMIECKA

KONSPIRACJA

Podczas mojej nieobecności w domu, żona z synkiem przez pierwszych kilka dni zamieszkiwali kątem u różnych znajomych w Jerozolimce. Potem, gdy wydawało się, że niebezpieczeństwo łapanek już minęło, wrócili do willi pani Sławińskiej. Zygmunt z rodziną zmienił mieszkanie, tak że zostaliśmy znów na gospodarstwie sami.

W początkowym okresie okupacji niemieckiej, zarówno Niemcy jak i Litwini zachowywali się dość spokojnie. Jeszcze panowania nie objęto w swe posiadanie Gestapo, jeszcze władze wojskowe niemieckie miały zasadniczy głos we wszystkich sprawach. Szaulisi i tajniacy litewscy jeszcze nie rozpoczęli swojej zbrodniczej działalności.

Z wyżywieniem było niemal z dnia na dzień gorzej. Obowiązywały kartki żywnościowe na wszystko, chociaż i wtedy trudno było coś kupić. Kolejki ludności już od północy oczekiwały otwarcia kilku sklepów, w których szybko wyczerpywał się zapas produktów limitowanych na ten dzień. Było i tak, że wracało się do domu z pustymi rękami, bo tuż przed tobą zabrakło towaru. Nie było zupełnie mięsa i tłuszczów, no i naturalnie brak soli. Sól stanowiła w tym czasie monetę wymienną.

W gotówkę byłem na jakiś czas zaopatrzony, bo przecież pozostałe z delegacji lity, zresztą w niewielkiej ilości, nie zamierzyłem zwracać nieistniejącemu już Instytutowi. A wogóle to postanowiłem nie zgłaszać się do biura ze względów bezpieczeństwa.

W tej sytuacji, po naradzie z żoną i znajomymi, należało podjąć jakieś działania dla zdobycia środków żywnościowych. Pierwsza myśl to handel wymienny na wsi, która miała pewne zapasy żywności, a nie miała różnych wyrobów przemysłowych. Postanowiłem zrobić pierwszą próbę..

Nie pamiętam już jakie rzeczy zabrałem ze sobą, była tam здаje się chustka na głowę, koszula męska, guziki, nici, igły i coś tam jeszcze. Niewielki to był majątek, ale jakąś wartość użytkową posiadał.

Wyruszyłem pieszo z tobołkiem na plecach, przewidując tę eskapadę na cztery dni i odległość marszu około 30 km od Wilna. Obrałem kierunek na Wierszuliszki, Popiszki i Suderwę, licząc się ze znaczną odległością tych miejscowości od głównych traktów.

Szczęście mi sprzyjało, bo już w Popiszkach, małej wsi o charakterze dawnego zaścianka szlacheckiego, zaledwie 14 km od Jeruzolimki, gdzie zatrzymałem się na nocleg u bardzo miłych gospodarzy, cały swój towar rozprzedałem w zamian za kurę, kilkanaście jaj, kawał słoniny, kilo mąki gryczanej - w sumie ogromne bogactwo, które mnie wprowadzało na szczyty radości, tymbardziej, że

to tak łatwo się odbyło.

Nazajutrz po sutym śniadaniu, z poczęstunku gospodarzy, udalem się już w powrotną drogę.

Jakiś chłopak uprzedzał mnie abym omijał osady, bo policja litewska takich jak ja wędrowców rewiduje i wszystko im rekwiruje. Obleciał mnie strach. Wraciałem inną trasą, trochę naddając drogi dla bezpieczeństwa. Ominąłem Wierszuliszki i bocznymi drogami dotarłem na Zwierzyniec, gdzie zrobiłem przystanek u państwa Ciszewskich. Tego samego dnia byłem z całym swoim skarbem w Jerozolimce, szczęśliwy, że wszystko jakoś mi się udało.

Z miejsca, przy udziale Zygmunta Kearneya i jakiejś znajomej pani, robiłem plany następnej wycieczki handlowej.

Nadchodziła jesień, w Jerozolimce robiło się nieprzyjemnie, ludzie jakoś zamykali się w sobie. Ogrzewanie takiej landary jak nasza willa w okresie zimy, wobec kompletnego braku opału, było nie do pomyslenia. Trzeba chyba uciekać do miasta.

Zupełnie przypadkowo nawiązałem znajomość z panią Marią Iwanowską, nauczycielką, która zajmowała duże mieszkanie na ulicy Mała Pohulanka, zdaje się na drugim czy nawet trzecim piętrze. Propozycja z jej strony i pomoc Zygmunta z koniem no i przewożymy nasze graty na nową siedzibę.

Bardzo sympatycznie ułożyły się stosunki z państwem Iwanowskimi. Jej mąż, Aleksander, był wysokim urzędnikiem w Okręgowej Dyrekcji Kolei Państwowych w Wilnie, mieli troje dzieci, najstarsza Terenia miała 12 lat, a Jurek 10 i Piotruś 8 lat. W domu był zawsze harmider bo łącznie z naszym chłopcem, który też już miał przeszło 4 lata, towarzystwo było wprost rozszalałe. Kobiety rady sobie dać nie mogły, tymbardziej, że pan Aleksander był z natury gołębiego serca i prawie się nie wtracał do różnych konfliktów wśród dzieci.

Ja po całych dniach byłem poza domem, bo zaczynałem się co



raz bardziej wciągać do pracy konspiracyjnej.

Któregoś dnia sierpniowego przyszedł do pani Iwanowskiej jakiś młody przystojny pan. Nie zastał jej, czekał w naszym pokoju. Poznaliśmy się. Też był, jak pani Maria, nauczycielem. Przedstawił mi się jako Zbigniew Rotkiel. Mówiliśmy o różnych sprawach, szczególnie o polityce, o sytuacji na frontach, o działalności i wyczynach Niemców i Litwinów, wreszcie o konieczności walki podziemnej z najeźdźcą. Naturalnie były to rozmowy bardzo ogólnikowe, ale wyczuwałem, że mój rozmówca jest w tym jakoś szczególnie emocjonalnie zaangażowany.

Gdy pani Iwanowska wróciła z miasta, mój nowy znajomy pożegnał się ze mną, proponując spotkanie w jakiejś kawiarni. Wyraziłem zgodę. Odtąd zaczyna się moja działalność w Ruchu Oporu.

Zdawałem sobie doskonale z tego sprawę, że praca<sup>a</sup> w konspiracji przeplata się stale z normalnym tokiem życia osobistego. Wiedziałem o tym, że życie to będzie występować o zwiększonym napięciu nerwowym i psychicznym wobec niebezpieczeństwa grożącego nie tylko mnie osobiście ale i mojej rodzinie. Takie refleksje nie wynikają z uczucia strachu, to tylko pełna świadomość stanu faktycznego.

W kilka dni później, koło 19 sierpnia <sup>1941 r.</sup> zostałem zaprzysiężony w Z.W.Z. - Związku Walki Zbrojnej. Odbyło się to bez żadnych uroczystych i oficjalnych ceremonii. Po prostu Zbyszek - pseudonim "Lassota" na jednej z ławek w ogrodzie przy Katedrze Wileńskiej odebrał ode mnie przysięgę zgodnie z formą ustaloną przez "Centralę" w Londynie. Centrala ta to ośrodek wywiadu na kraj w powiązaniu z angielskim wywiadem "Inteligent Serwis".

Moim zadaniem ma być organizacja kontaktów i przerzutów dla kurierów idących przez miasto Wilno. Nie wolno mi było prowadzić bezpośrednich obserwacji ani akcji wywiadowczych. Działalność ~~to~~

moja była podporządkowana kapitanowi "Onufremu", który miał być ze mną w konspiracyjnym kontakcie. Poza tym mam się rozejrzeć nad ulokowaniem nadawczej stacji radiowej. Dobór ludzi do pomocy pozostawiono do mojej dyspozycji.

Na razie więc ~~nie~~ miałem powiązania tylko z górą, to znaczy z moim szefem "Lassotą" i szefem wywiadu "Onufrym". Z pierwszym z nich miałem kontakty osobiste, z drugim poprzez punkty kontaktowe. Teraz musiałem przystąpić do organizacji dołów.

Pierwszy punkt kontaktowy ustaliłem na skutek rekomendacji "Lassoty" w małej księgarni na ulicy Zawalnej, na wprost Hali Targowej. Był to sklep o jednym oknie wystawowym i oszklonymi drzwiami wejściowymi obok. Witryna w oknie do wysokości 80 cm. była przesłonięta płytą z dykty, a na niej zawieszono były barwne reprodukcje. Po środku płyty została zawieszona duża reprodukcja Chełmońskiego "Babie lato". Obraz ten miał stanowić znak kontaktowy. Brak tego obrazu na wystawie oznaczał niebezpieczeństwo, ostrzegał przed wejściem do sklepu. Hasło i odzew ustalony był przeze mnie w każdy poniedziałek na cały tydzień. Materiały i korespondencja znajdowały się w jednej z książek, która była zmieniana raz na tydzień względnie częściej, w miarę konieczności.

Osobą, wtajemniczoną w ustalone warunki konspiracji, była właścicielka tej księgarni, pani Elwira Znaczyńska /nazwisko fikcyjne - nie pamiętam prawdziwego nazwiska/, oddana duszą i ciałem walce z hitlerowcami. Mąż jej, polski lotnik, zginął w walkach powietrznych w pierwszych dniach wojny pod Krakowem.

Zostało ustalone, że w przypadku, gdy któregoś poniedziałku nie zjawię się, wówczas należy całą działalność zawiesić do czasu zgłoszenia się mnie lub "Lassoty", którego pani Elwira znała osobiście.

Jeden punkt to za mało, należało szukać następnego. A poza ~~+~~

tym muszę mieć pomocnika i zastępcę na wypadek jakiejś "kraksy".

Innym niezmiernie<sup>ie</sup> ważnym elementem powinno być zalegalizowanie mojej osoby. Muszę mieć jakiś "auswajs" i świadectwo zatrudnienia.

Pierwszą taką próbą była praca fizyczna w charakterze robotnika przy budowie drogi nad brzegiem Wilii w okolicy Wołokumpi. Roboty prowadził Państwowy Zarząd Drogowy. Dostałem taczki, kopatę i kazano mi ziemię z wykopu przewozić na nasyp. Jeździłem po torze z desek na odległość 50 metrów, a płacono mi w akordzie od każdej taczki. Do tej roboty dobierano się parami, a ja jakoś byłem samotny, nie mogłem dobrać sobie współnika. Wreszcie podchodzi do mnie starszy wąsaty pan, potężnie zbudowany i powiada mi, że o ile zechcę to on będzie woził a ja mam nakładać ziemię na taczki. Zarobek w ten sposób był nawet niezły, ale po ośmiu godzinach pracy wracałem kompletnie skonany. Mój kontrahent w akordzie okazał się być dorożkarzem, któremu Niemcy zabrali dwa konie i dorożkę, pozostał więc z rodziną bez środków do życia.

Trzeciego dnia mój współnik nie przyszedł do pracy i zostałem znów samotny przy taczce. Zmęczyłem ten dzień ale na fajerant zrobiłem rozliczenie, pożegnałem się z brygadzystą, gdyż nie miałem zamiaru już wracać.

W czasie jednej z codziennych inspekcji punktu kontaktowego na ulicy Zawalnej, nie widząc żadnego ostrzeżenia, wszedłem do sklepu gdzie zastałem eleganckiego mężczyznę oglądającego jakąś książkę, a warto podać, że był to również antykwariat oraz sprzedaż komisowa książek. Poprosiłem o słownik polsko-francuski Kaliny.

- Nikt prosił pana do komisum nie przyniosł - mówi pani Elwira - a ten pan również takiego słownika poszukuje - dodała.

- Jestem "Karol" - przedstawiam się, bo taki pseudonim nosiłem w kontaktach z punktami.

- "Onufry" - powiada krótko i ściskamy sobie dłonie.

- Pójdziemy się przejść, może zajdziemy do kościoła Św. Katarzyny - mówię

- Nie jestem wprawdzie katolikiem, ale chętnie zobaczę ten kościół.

Poszliśmy.

Usiedliśmy w ławkach niedaleko ołtarza. Kościół był zupełnie pusty, jedynie para staruszków klęczała przy konfesjonale. No więc osobiście poznałem "Onufrego", który figurował dotychczas tylko na kartkach dyspozycyjnych. Wyglądał na naukowca, o ruchach powolnych jakby odmierzanych.

- Panie poruczniku - zwraca się do mnie sciszonym głosem.

- Jestem tylko podchorążym - przerywam mu.

- Wniosek awansowy już poszedł do Londynu i można uważać, że jest załatwiony. No więc panie <sup>Robereie</sup> "~~Karola~~", w tych dniach, a dokładnie 29 sierpnia będzie przejazdem przez Wilno ze Smoleńska kurier z ważnymi dokumentami do Warszawy, a następnie 1 września - łączniczka - kurier zatrzyma się w Wilnie w drodze z Warszawy do Mińska. Oboje zatrzymają się tylko jedną noc. Spotka ich pan osobiście i wręczy małe paczki, które znajdzie pan na punkcie kontaktowym. Obydwa hasła : Czy są śledzie w Majstasie ? - Odzew: Tylko uliki. Kurier będzie się posługiwał pseudonimem "Figura", łączniczka - "Mariola". Niech pan zapamięta, pisać nie wolno. A teraz do widzenia panu, życzę powodzenia. Niedługo się zobaczymy w związku z krótkofalówką.

Poszedł krokiem dostojnym, a za chwilę i ja wyszedłem z kościoła.

Nadszedł dzień 29 sierpnia. Kurier nie zjawił się na punkcie kontaktowym. Kazałem zdjąć z wystawy "Babie lato", zabrałem cały materiał pozostawiony przez "Onufrego" i zarządziłem przerwę w działaniach na przeciąg dwóch tygodni. Pamiętałem równocześnie

nie o łączniczce, która miała się zjawić w dniu 1 września. Nakazałem w tym dniu i tylko w tym, wywiesić ustalony obraz, a zgłoszonej pod znanym hasłem łączniczce polecić spotkanie się ze mną przed tą wystawą o godzinie dokładnie 16<sup>00</sup> tego dnia. Będę tam stał z rozłożoną gazetą niemiecką.

Sprawa się jednak skomplikowała.

Kurier, który z ważnymi dokumentami miał się stawić w dniu 29 sierpnia, dostał się zupełnie przypadkowo w kocioł na dworcu kolejowym i tylko dzięki powstałemu ogromnemu zamieszaniu udało mu się z tego po prostu <sup>c</sup>zudem wydostać. Nie znając przyczyny zajścia na dworcu, udał się do swego kuzyna w mieście i dopiero ~~na~~ następnego dnia był na punkcie kontaktowym, gdzie umówiony znak ostrzegał o niebezpieczeństwie, gdyż poprzedniego dnia kazałem zdjąć "Babie lato". Kurier pozostał w Wilnie, codziennie sprawdzając czy w witrynie ukaże się umówiony znak. W dniu 1 września i on i łączniczka skontaktowali się, każde oddzielnie, z panią Elwirą, która odnośnie łączniczki wykonała moje polecenie, zaś kuriera umówiła ze mną w kościele Św. Katarzyny, w trzeciej ławce od ołtarza z prawej strony patrząc od wejścia. Jego znak - jasny szalik wokół szyi na płaszczu.

Ale i teraz nie obyło się bez niespodzianek.

Wchodząc do kościoła ujrzałem przy wejściu stojącego mężczyznę, jakby na kogoś czekającego. W kościele, na umówionym miejscu siedział młody człowiek, mający z tyłu opuszczony jasno-beżowy szalik. Tak to napewno ten. Usiadłem obok niego. Wymieniłem jakby do siebie półgłosem hasło. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Nie znam hasła ani odzewu. Skierował mnie tu punkt kontaktowy. Mój brat poważnie zachorował i prosił mnie o skomunikowanie się z panem poprzez punkt kontaktowy.

- Radzę panu przejść przez zakrystję, pewnie tam jest koś-

cielny, przed wejściem stoi podejrzany typ.

Cała ta historia wydała mi się jakaś skomplikowana, coś tu nie pasowało. Obawiałem się prowokacji.

Mój rozmówca wyszedł przez zakrystię, ja zaś postanowiłem przez kwadrans pozostać ukryty wewnątrz kościoła. Udałem się na chór i z poza organów obserwowałem co się dzieje w kościele na dole.

Po godzinie, pozostawiwszy w jakimś schowku na chórze otrzymany materiał, zachowując ostrożność wyszedłem przez główne wejście i udałem się wprost do księgarni.

Na wystawie obrazu nie było. O godzinie 16<sup>00</sup> stałem po przeciwnej stronie ulicy obserwując wejście do księgarni. Przed oknem wystawowym stanęła pensjonarka z warkoczykami i w nich duże kokardy. Postąła chwilę, odeszła i znów stanęła. Przeszedłem w poprzek ulicę i skierowałem się do sklepu. Zauważyła mnie natychmiast i szybko się ulotniła. Wyjąłem gazetę i udaję że czytam.

- Wujaszk! co tu robisz? - woła z daleka i biegnie z wyciągniętymi ramionami.

Powitanie dwojga nieznajomych było bardzo serdeczne.

- Masz przy sobie jakie dokumenty? - pytam.

- Nie, nie mam, wszystko ukryte do następnego spotkania.

- Czy masz się gdzie zatrzymać, nocować?

- Wszystko w porządku.

Porozumienie nastąpiło bez podawania hasła a odzewu.

Moi kurierzy już następnego dnia wyjechali z Wilna, mimo rzekomo poważnej choroby kuriera "Figury". Nie udało mi się wyjaśnić jego zagadkowego zastępstwa.

Któregoś dnia, w towarzyskiej rozmowie z panem Iwanowskim, zgadało się, że mam trudności z zatrudnieniem i uzyskaniem "auswajsu". Okazało się, że w Wilnie zamieszkuje jego stryjeczny brat, plastyk z zawodu, który uruchomił zakład wyrobów arty-

stycznych z drzewa. Możeby tak porozumieć się z nim, bo przecież zatrudnia on kilku pracowników.

Zaraz następnego dnia, z listem polecającym, udałem się do artysty plastyka pana Jana Iwanowskiego, o ile pamiętam na ulicę Zarzecze, tuż za mostem na rzece Wilejce. Trafiałem na niego w jego pracowni. Pracownia znajdowała się na parterze. Był to duży pokój z oknami wychodzącymi na podwórze. Wyposażenie pracowni miało pewne cechy mechanizacji, bo znajdowały się tam aż trzy stanowiska obróbki mechanicznej drewna, pod oknem stał duży stół do trasowania i dwa stoły z uchwytyami. Z maszyn widać było szlifierkę do narzędzi i wiertarkę pionową, a ponad to obrabiarki do drzewa jak mechaniczna laubzega o wąziutkich piłeczkach, niewielka tokarenka i heblarka. Na pierwszy rzut oka wyposażenie pracowni robiło wrażenie bardzo pozytywne, tylko, że nie widać było w tym warsztacie ruchu. Pracował tu starszy pan przy tokarce.

Moje wejście do pracowni spowodowało natychmiastową przerwę w robocie, a inny starszy pan <sup>dj</sup>pośzedł do mnie. Przedstawiliśmy się sobie, wręczyłem mu list od Aleksandra Iwanowskiego, weszliśmy do małego kantorku i tam całą sprawę dokładnie omówiliśmy. Firma pana Iwanowskiego była zarejestrowana w "arbejtsamcie" jako wytwórnia figurek-fetyszów dla żołnierzy niemieckich na froncie, zapewniała więc pewne przywileje zatrudnionym u niego ludziom, a przede wszystkim zwalniała od przymusowej rekrutacji robotników na wyjazd <sup>ażd</sup> do Niemiec.

Stało na tym, że będę zatrudniony jako stolarz-tokarz przy wyrobie różnych artystycznych figurek z drzewa według projektu szefa Iwanowskiego.

Mój pryncypał natychmiast domyślił się, że będzie to dla mnie parawa <sup>v</sup> przy innej <sup>e</sup>działalności, ale nie dał na razie tego po sobie poznać. Tak się złożyło, że mój poprzednik, właśnie ten

starszy pan, pracujący na tokarce, zwalnia się z pracy za kilka dni więc muszę objąć wakujące po nim miejsce. Przed Odejściem zobowiązałem się wyszkolić mnie w tym rzemiośle.

Przyznam się, że nawet mi ta praca bardzo odpowiadała, bo to i trochę sztuk pięknych, trochę rzemiosła artystycznego, a najważniejsze, że coś konkretnego z tej roboty wychodziło. Po tygodniu szef mój był całkowicie ze mnie zadowolony, a i parę litów też się zarobiło. Prosił mnie przy jakiejś okazji, żebym nie angażował jego zakładu w swojej działalności poza zawodowej.

Uzyskanie zaświadczenia, potwierdzonego przez niemiecki "arbeitsamt" kilkakrotnie wyratowało mnie z poważnych tarapatów.

Następnego dnia po moim zaangażowaniu zjawił się <sup>do</sup> właściciela zakładu młody człowiek z prośbą o zatrudnienie go. Nic nie umiał, ale chciał się nauczyć. W ten sposób miałem towarzysza w pracy.

Po kilku dniach z nowym przybyszem nawiązała się nić sympatii i w miarę upływu czasu coraz pogłębiało się obopólne zaufanie. Dyskusje polityczne pozwalały na wysondowanie stosunku do rzeczywistości. Już po kilku godzinach pogawędek staliśmy się prawie przyjaciółmi.

Stefan Zawadzki, bo takie nosił nazwisko, miał 28 lat, urodzony w Nowogródku, do Wilna przybył w 1938 roku, gdzie po rocznej nauce w szkole rezerwy policji, na wiosnę 1939 roku pracował w Wilnie jako plutonowy w służbie kryminalnej. Nie badałem na czym ta praca w kryminalistyce polegała, za to intuicyjnie wyczuwałem, że można go wykorzystać w naszej pracy wywiadowczej. Należało jednak podejść do tych spraw ostrożnie, bo przecież nie wiedziałem o nim nazbyt wiele. Muszę go przez jakiś czas obserwować.

Któregoś dnia Stefan zwraca się do mnie.

- Z czego żyjesz? Bo chyba nie z tych drewnienek?

- Różnie bywa. Trochę handel, trochę złoto...



- A cukierki? nie próbowałaś?

Spojrzałem na niego zdziwiony.

b - Kalkulacja prosta. Kilo cukru daje 2 Kg cukierków, cena 1 Kg cukierków to wartość dwóch Kg cukru. Saldo - czterokrotny zarobek. Dochodzi do tego naturalnie koszt 2 litrów mleka na 1 Kg cukierków. Różnice pokrywają robocizną własną - to się opłaca. Źródło zakupu cukru - posiadam, mogę ci odstąpić.

- Porozumiem się z żoną - powiadam - spróbujemy.

Przyjaźń między nami, poparta wspólnym zainteresowaniem handlowym, pogłębiała się z dnia na dzień. Zostałem zaproszony do jego domu, gdzie matka jego i żona zajmowały się gotowaniem mlecznych cukierków t.zw. krówek.

Słuchaj Stefku - zaczepiłem go kiedyś, czy ty nie masz jakich kontaktów z polską organizacją podziemną?

- Nie mam żadnych chodów. A warto by coś robić. Bo, że coś się dzieje to niema wątpliwości.

Innym razem starałem się wysondować czy można na niego liczyć w razie konieczności - zapalił się do roboty. Postanowiłem zaryzykować i wyłożył karty na stół. <sup>Po kilku dniach</sup> Złożył przysięgę na moje ręce i przybrał pseudonim - "Pers"

Ulica Ostrobramska biegnie od placu Ratuszowego, aby przed wyjściem na ulicę Bazyliańską ~~przebiega~~ przejść pod kaplicą Matki Boskiej Ostrobramskiej, dalej ulica ta przecina Bazyliańską i plac Ostrobramski i dochodzi do ulicy Kolejowej.

Za placem Ostrobramskim, po stronie wschodniej ulicy Ostrobramskiej stoi jednopiętrowy dom, ciągnący się aż do ulicy Kolejowej na długości około 250 metrów. Były to właściwie trzy czy nawet cztery domy bliźniacze, posiadające dwie bramy przejazdowe, prowadzące na wewnętrzny dziedziniec. Charakterystyczne dla tych domów były strychy pod dachami o stosunkowo dużym spadku. Strych

ten wykorzystywano na susznię bielizny i składowisko różnych rupieci, jak stare stoły, szafy, kanapy itp. Gdy przeprowadziłem wizję lokalną tego strychu widziałem tam doskonałą kryjówkę dla tajnej radiostacji nadawczej, tymbardziej, że strych ten posiada kilka wyjść na zewnątrz na podwórze i doskonałą komunikację z placu Ostrobramskiego aż na ulicę Kolejową.

Wszystko to omówiłem z "Persem", który wcale nie był zaskoczony moją propozycją. "Pers" zajmował mieszkanie w pierwszym segmencie od ulicy Bazylińskiej, na pierwszym piętrze. Z klatki schodowej było wejście tylko do jego mieszkania, a na strych wchodziło się po stalowej drabince przymocowanej do ściany. Upiekłem więc dwie pieczenie, a nawet trzy przy jednym ogniu: miałem zaufanego zastępcę, ustaliłem miejsce na ulokowanie radioaparatu no i uzyskałem nowe źródło dochodów przez podjęcie produkcji krówek śmietankowych.

- Czy czasem nie za dużo szczęścia?

Podjęta, opisana wyżej działalność, wymagała jednak okresu tymczasowego, próbnego, który według mnie należało przeczekać ze względów konspiracyjnego bezpieczeństwa, po którym mogłem przystąpić do uruchomienia ~~nowych~~ nowych punktów kontaktowych. W międzyczasie udało mi się zorganizować jeszcze jedno miejsce przy ulicy Trockiej. Był to sklep spożywczy, którego właściciel za takim parawanem robił niezłe interesy. Między innymi zaopatrywał nas w cukier po cenach hurtowych. Nie był to wprawdzie całkowicie odpowiedni punkt kontaktowy, ale na razie postanowiłem z niego skorzystać, zresztą w bardzo ograniczonym zakresie.

Przynajmniej raz na tydzień miałem wizyty różnych kurierów, którzy wymagali opieki i odpowiedniego ulokowania, a bywało czasem że przez kilka dni i nocy. Korzystałem z uprzejmości kolegów z dawnej mojej pracy. Ludzie domyślali się celów tych odwiedzin, ale patriotyzm Polaków w tym czasie był na każdym kroku

potwierdzany daleko posuniętym współdziałaniem.

"Lassota" zasygnalizował, że w tych dniach, to znaczy 14 września otrzymam przesyłkę z Warszawy w postaci dwóch dość dużych paczek. Będzie to radiostacja nadawcza, którą należy troskliwie ukryć i czekać na zjawienie się operatora. Daty przybycia radiotechnika nie mógł podać, gdyż możliwe, że będzie to mieszkaniec Wilna. Stacja nadawcza ma rozpocząć pracę w dzień Sylwestra, na fali oznaczonej przez Centralę w Londynie. Komunikaty oczywiście będą zaszyfrowane.

Już od rannych godzin w dniu 14 września pełniliśmy naprzemian z "Persem" dyżury przed punktem kontaktowym w sklepie spożywczym na ulicy Trockiej. Punkt ten w naszej nomenklaturze nosił kryptonim "Venus 3".

Dopiero jednak o zmroku, koło godziny 17<sup>30</sup> "Pers" podjął przesyłkę, lokując paczki do dwóch walizek. Jedną z nich przeniósł do swojego mieszkania, drugą ja po godzinie przeniosłem do jego domu. Dostaliśmy się na strych i tam ukryliśmy obydwie walizki między gratami.

Któregoś dnia chciałem się bezpośrednio skomunikować z "Lassotą" i udałem się do jego miejsca zamieszkania na ulicę Zarzecze. Raz już przedtem byłem u niego, poznałem jego żonę, która była wówczas w ciąży, i jego ojca czy teścia. Mieszkali w ładnym domku, zdaje się, że własnym, na pierwszym piętrze. Firanka w umówionym oknie była zasunięta - a to znak niebezpieczeństwa. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i z daleka obserwowałem wejście do tego domu. Ukryłem się w krzakach bzu rosnących przed jakimś domkiem i postanowiłem przynajmniej przez godzinę tak pozostać.

W pewnej chwili podjechał samochód osobowy, zatrzymał się przy samych drzwiach, z których wyprowadzono ojca "Lassoty". A więc jakaś wsypa. Wracam do "Persa", którego zastaję w domu, polecam natychmiast, lecz z zachowaniem ostrożności uprzedzić obydwu

punkty kontaktowe, sam powracam do siebie na Małą Pohulanę.

W domu żona wręcza mi karteczkę od "Lassoty", który uspaka ją w niej, wyjaśniając, że to nie wyspa lecz jakieś sprawy nielegalnego hadlu złotem. Alarm należało odwołać, chociaż to nie wymagało natychmiastowej akcji. Dokonaliśmy tego z "Persem" następnego dnia.

Ale prawo serii i tu występuje. Tego samego dnia o godzinie 16<sup>00</sup> w punkcie kontaktowym "Venus 2" otrzymuję rozkaz natychmiastowej likwidacji wszystkich punktów aż do odwołania. Wszyscy ludzie z konspiracji mają się zamelinować gdzieś poza Wiłnem. Rozkaz podpisany przez "Onufrego".

Dalsze losy związały nas z "Persem" jeszcze ściślej.

Gdzieś na szosie do Oszmiany, w stronę południowo-wschodnią, na 10 Km od miasta, w pobliżu wsi Rukojnie, znajduje się koszarka drogowa zawiadowcy odcinka drogowego. Zawiadowcą był tam technik, dobry znajomy "Persa". Pojechaliśmy jakimś przypadkowym samochodem ciężarowym do tej koszarki aby przygotować drewno opałowe na zimę. Angaż przewidywał robotę na trzy do czterech dni.

Koszarka składała się z małego, dwuizbowego domku mieszkalnego, niewielkiej obórki i dużej szopy na sprzęt drogowy. Obok stała mała "drewutnia", w której pod samym dachem urządziliśmy sobie spanie na słomie. W szczycie znajdowało się małe okienko bez szyby. Duży dziedziniec mieścił jakieś konne pługi śniegowe i stosy zwiezionych szczap drewna opałowego, bezładnie rzuconego na dwie wysokie kupy. Wszystko ogrodzone płotem drewnianym tak zwanymi sztachetami.

Naszym zadaniem było popiłowanie szczap na krótkie odcinki, porabianie i ułożenie w stosy między szopą i drewutnią. Z miejsca ochoczo wzięliśmy się do roboty, przygotowując szczapy do rąbania.

Po szosie przebiegały stale transporty niemieckie na wschód,

czasem rozlegał się ogłuszający huk i warkot ciężkich czołgów. Jakiś samochód osobowy zatrzymał się przed koszałką, zawołali na dróżnika. Oficer niemiecki wysunął głowę z okna samochodu, zamienił kilka zdań po niemiecku z naszym gospodarzem i odjechali.

Pracowaliśmy tego dnia do zmroku. Gorącej stawy w postaci kapuśniaku na słoninie przygotowała nam żona dróżnika. Zmęczeni poszliśmy spać na nasz stryszek, zawijając się szczelnie kocami i nakrywając jeszcze snopkiem słomy.

Całą noc słychać było warkot pojazdów mechanicznych na szosie. Była godzina 5<sup>00</sup> rano, gdy obudził nas strażak karabinowy i jakiś harmider poza ogrodzeniem. Zerwałem się, wysunąłem głowę przez okienko i widzę jak zgraja chłopów przerzuca szczapy poza ogrodzenie a inna zgraja ładuje na chłopskie furmanki i natychmiast odjeżdża. Nie zważają ani na krzyk i wymyślanie dróżnika, nie reagują nawet na strażak, tylko z ogromnym pośpiechem wykradają szczapy.

Wreszcie wszystko cichnie. Wychodzimy z szopy żeby się dowiedzieć co tutaj zaszło. Dróżnik tłumaczy nam, że drzewo to pochodzi z wyrębu niewielkiego lasu stanowiącego własność chłopów ze wsi Rukojnie. Wyrębu dokonali ludzie sprowadzeni przez żołnierzy niemieckich, którzy nadzorowali robotników i bronili ich przed atakami chłopów.

Skonczyło się na tym, że dróżnik zapłacił nam zawiązką za wykonaną robotę, ale kazał natychmiast zbierać się i uchodzić gdzie pieprz rośnie, bo spodziewa się nalotu Niemców na wieś i masowych aresztowań wśród ludności. W takiej sytuacji możemy się znaleźć w niebezpieczeństwie. Radził nam byśmy przeszli około 3 Km w stronę Miednik, tam są robotnicy tłuścacy szaber dla naprawy drogi, możemy się na niego powołać u brygadzysty. Jest tam barak noclegowy i możemy tam kilka dni przepracować.

Co było robić? Walimy do tłuczenia kamieni. Jeszcze jeden fach człowiek zdobędzie w życiu. Nie wiemy tylko jak to się robi.

Tylko jeden dzień do wieczora zajmowaliśmy się tłuczeniem kamienia. Brygadziśta dokładnie pomierzył nasze przyzmy tłuczonego szutru, wypłacił należność i pokazał nam miejsce noclegowe.

Barak o małych okienkach a w nim drewniane prycze, na których leżały sienniki wypchane słomą. Żadnych prześcieradeł, żadnych koców. Nic. Torby pod głowę, dwa płaszcze i kożuszek na wierzch i tak przytuleni do siebie staraliśmy się zasnąć. Głodni, bo tylko mieliśmy kawałek chleba ze słoniną w ustach, klęliśmy los, który nas tak prześladowa.

Z samego rana, nie mniej <sup>zmęczeni</sup> po nocnym "wypoczynku" niż przed nim, nie myjąc się bo nie było gdzie, wyszliśmy z naszymi tobożkami na plecach na szosę, czekając na jakąś okazję do Wilna. Na nasze znaki zatrzymał się samochód ciężarowy z Niemcem za kierownicą. Kierowca krzyknął tylko - "auf" - i już w biegu wciągnęliśmy się z tyłu pod plandekę. Samochód był zupełnie pusty. Leżeliśmy na podłodze jak kłody podrzucane na każdym wyboju. Wysadził nas, kompletnie pobijanych ze wszystkich stron, na placu Katedralnym, w samym sercu Wilna.

Weszliśmy do bramy pierwszego z brzegu budynku, gdzie doprowadziliśmy się do względnego porządku, lękając się by swoim wyglądem nie wzbudzić podejrzeń tajniaków. Najbliżej była Mała Pohulanka, więc tam skierowaliśmy nasze kroki.

W domu wywożaliśmy lekki ponoch, ale jakoś powoli wszystko się uspokoiło. "Pers" wyruszył do swego domu, a ja po umyciu się padłem na łóżko jak nieżywy. Przespałem bez przerwy, bez jedzenia całe 20 godzin.

Pani Maria Iwanowska, u której ześmy byli sublokatorami, pamiętała moją opowieść o wypadzie na wieś dla zdobycia produktów.

Któregoś wieczoru przy wspólnej herbatce zaproponowała bym się z nią wybrać w taką podróż, ale gdzieś dalej na Litwę.

No cóż, warto spróbować, bo z zaopatrzeniem w żywność było coraz trudniej.

Omówiliśmy tę eskapadę, przewidując jej trwanie na cały tydzień, ustaliliśmy dokładną trasę. Myśle, że zdecydowało o tym w równej mierze pragnienie przeżycia przygody jak i zdobycie produktów. Przewidywana odległość do docelowej miejscowości wynosiła prawie 40 Km. Naturalnie transport - pieszy, a ponieważ na całym terenie Wileńszczyzny spadły obfite śniegi, więc zaprzęgniemy się do sanek sportowych i cały ekwipunek będzie łatwiej przetrzącić, zwłaszcza, że mamy zamiar wziąć ze sobą po 10 Kg mydła własnej roboty. Mydło mieliśmy otrzymać w komis, bo mój znajomy niejaki Błasik, były oficer zawodowy, chemik z wykształcenia, prowadził gdzieś w okolicach ulicy Kalwaryjskiej potajemnie gotowanie i wyrób mydła do prania. Zresztą dostarczyłem mu kilkadziesiąt kilogramów sody kaustycznej, kradzionej z transportów niemieckich.

Jednym słowem, gdzie palcem nie tkniesz, tam powiązania o najprzeróżniejszym charakterze.

No więc mieliśmy zapewniony główny towar i to na warunkach komisowych. Zebraliśmy ponad to trochę różnych ciuchów i drobiażgów, no i wyznaczaliśmy termin wyruszenia w drogę zaraz po Bożym Narodzeniu.

Zima na Wileńszczyźnie, jak zresztą zwykle, była prześliczna. Cały czas trzymał mróz w okolicy -10°C i dużo spadło śniegu. A wszystko to razem objęte było jaskrawo świecącym słońcem. Za to noce naogół siarczyste, z silnymi podmuchami wiatru.

Byliśmy ubrani bardzo ciepło, a na nogach mieliśmy nieprzenikliwe dla mrozu walonki z kaloszami.

Wycieczka zapowiadała się wspaniale.

Wyszliśmy 2 stycznia 1942 roku, skoro świt. Kierunek ogólny - zachodni, na Koszedary. Orientacją naszej drogi ma być tor kolejowy z jednej strony, a rzeka Wilia z drugiej. Teren pokryty na całej niemal trasie mniejszymi i większymi <sup>3/4</sup>placami lasów.

Pierwszy odpoczynek przewidywaliśmy około 16 Km od Wilna, we wsi Waka Kowieńska, a dalej bitym traktem do miasteczka Rykonty, aby przenoć w pobliskiej wsi. Już po drodze, w spotykanych wsiach udało się nam sprzedać część naszego towaru, ale handel ten <sup>miał</sup> tę złą stronę, że strasznie opóźniał nasz marsz. Zaczęło się ściemniać, gdy droga, która pozostała poza nami nie przekraczała 15 Km. Musieliśmy się zdecydować na nocleg we wsi Kunigiszki, odległej niecały kilometr od Waki Kowieńskiej. Zaszliśmy do jakiegoś gospodarstwa usytuowanego na kolonii, czyli w odosobnieniu od wsi, Zagroda była otoczona zewsząd pięknymi drzewami owocowymi. Gospodarz przyjął nas bardzo życzliwie, uważając nas zresztą za małżeństwo. Trochę było głupio prostować ten jego mylny pogląd i tak zostaliśmy w jego oczach małżonkami, naturalnie bez dalszych i bliższych konsekwencji. Na czysto wyszorowanej podłodze urządził nam wspólne legowisko. Pani Maria zaśmiewała się z mojej miny i mojego skrępowania, szantażowała mnie wydaniem tajemnicy mojej żonie, bo o swojego męża to się jak<sup>o</sup>ś nie obawiała.

Wczesnym rankiem zbudzono nas, bo kilka bab ze wsi już czeka na towar. I znów trwał ten handel niemal do południa. Niewiele już towaru zostało nam do dalszych operacji, ale też i sporo produktów żywnościowych mieliśmy w workach. Najgorsze, że trzeba to było na saneczkach ciągnąć najpierw w jedną stronę a potem z powrotem.

Nie przekroczyliśmy i tym razem starej granicy Polsko-Litewskiej. We wsi Malowanka nocowaliśmy u gospodarza, który pędził samogon. Miał tego towaru sporo wyprodukowanego i zaproponował nam wymianę na koszule męskie i ręczniki. Było tego ponad 15 li-



trów spirytusu, a że ofiarował się wypożyczyć nam kankę od mleka więc radę postanowiliśmy to zabrać. Teraz objuczeni jak wielbłądy mogliśmy z samego rana 4 stycznia wyruszyć w drogę powrotną.

Z tej wsi jechał aż do Wilna inny gospodarz saniami z uбитym nielegalnie cielakiem. Okazja niebywała. Cielak pod słomą, my na słomie, a obok zagrzebane w słomie nasze dwa worki z towarem. Jechaliśmy traktem po wspaniałym torze śnieżnym, kilometry mijały, Wilno co raz bliżej. Już możnaby zrobić obrachunek zysków, gdyby nie ale ...

I tu się stała rzecz straszna.

Mińliśmy wysokopienny las sosnowy Borki i na skraju zatrzymaliśmy się gdyż w miejscu tym droga się rozwidlała i w prawo szła na wieś Garny, skąd wzdłuż brzegu Wilii możnaby się dostać do Wilna. Radziłem naszemu furmanowi obrać tę trasę, ale ten zbagatelizował to i ruszył wprost traktem na góry Ponarskie.

Koło cegielni wychodzi dwóch litewskich policjantów, zatrzymują nas, rewidują i każą zajechać pod biuro cegielni. Całą naszą trójkę zabierają i zamykają w szopie, gdzie już kilka osób leżało na słomie. Po kilku godzinach wyprowadzają nas, mnie oddają sanki i dwa puste worki, a naszemu gospodarzowi oddają pusty wóz z koniem. Reklamujemy, kłócimy się, ja po polsku oni po litewsku. Ogólny śmiech policjantów litewskich, groźba użycia broni i wypychają nas poza ogrodzenie.

Nasz furman stanął markotny przy swoich saniach, a ja i moja towarzyszka zanieśliśmy się płaczem. Nie wiedziałem, że można tak płakać ze złości i z bezsilności.

Upłynęła chyba przeszło godzina, gdy powoli opanowaliśmy się.

Gospodarz wspaniałomyślnie odwoził nas do naszego domu na Małą Pohulanę. Była to moja ostatnia eskapada dla zdobycia żywności.

Niełatwo było odzyskać równowagę finansową po takiej stracie, nie mówiąc o żalu z powodu zmarnowanego wysiłku.

Znacznie pewniejszy i skuteczniejszy był zarobek z handlu i z pośrednictwa. A więc kupno i sprzedaż ~~szarych sody kaustycznej~~ sody kaustycznej, jakaś transakcja z ~~żelazem~~, wymiana na sól czy też inne manipulacje okazjonalne. Ewentualnie powrót do produkcji drewnianych bibelotów upana Jaha Iwanowskiego.

Działalność konspiracyjna, przyjmowanie kurierów, lokowanie i przekazywanie przesyłek, rozwijała się bez większych wstrząsów.

W ciągu całej zimy na naszym punkcie był radiotechnik ~~tylko~~ tylko trzy razy, przy czym raz dla zmontowania aparatury, a dwa razy nadawał zaszyfrowane komunikaty. Zdaje się, że Niemcy trafili na fale naszego nadajnika. Nawet w pobliżu placu Ostrobramskiego zauważyłem dwukrotnie samochód, który prawdopodobnie robił jakieś namiary, ale nasz aparat szczęśliwie w tym czasie przestał nadawać i ślad zaginął. Widocznie Opatrzność Boska czy może tylko przypadek nad nami czuwały.

Na wiosnę 1942 roku Niemcy zaczęli po prostu szaleć. Aresztowania i deportacje przybierały na sile. Mnożyły się egzekucje uliczne. Więzienie na Łukiszkach było wypełnione do granicy możliwości.

Równocześnie, co raz częściej słychać było o akcjach sabotażowych dokonywanych przez polskie organizacje podziemne.

Ze względu na bezpieczeństwo rodziny, jak również z uwagi na polepszenie warunków dla dziecka, postanowiliśmy przeprowadzić się znów do Jerozolimki, wynajmując mieszkanie u pewnej znajomej. Dom był usytuowany po wileńskiej stronie waw<sup>o</sup>żu.

Z wiosną tego roku została uruchomiona komunikacja po rzece Willi. Ukazały się dwa małe, zgrabne stateczki <sup>motorowe</sup> ~~motorowe~~, łączące Wilno z miasteczkiem Niemanczyn. Przystanek ~~położony w~~ <sup>dla jerozolimki znajdował się</sup> znajdował się w Werkach, przy wysokim brzegu, porośniętym kosa kawi, a

dalej pięknym wysokopiennym lasem mieszanym iglasto-liściastym. Werki to osiedle przyfabryczne oraz majątek należący do czeskiego obywatela pana Spineka.

Z Werek do Jerozolimki było niewiele ponad jeden kilometr uroczej leśnej drogi.

A ja, poza konspiracją musiałem coś robić by zarobić na chleb powszedni. Robiłem więc w dalszym ciągu drewniane figurki u pana Iwanowskiego, równocześnie zaś uruchomiłem wytwórnię cukierków. Podróże do Wilna wykorzystywałem na zakup i dostarczanie cukru oraz powrotny przewóz gotowych cukierków i ich sprzedaż w ustalonych punktach. Trudności w tej produkcji wynikały szczególnie przy zdobyciu etykietek - czyli papierków z nadrukiem do zawijania cukierków. Początkowe obroty, mimo znacznego zapotrzebowania były niewielkie.

W połowie lata<sup>0</sup> 1942 roku aresztowania i łapanki znów się nasiliły. Niemcy szykowały się do ostatecznego ataku na wschodzie, tymbardziej że front południowy /Afryka/ i zachodni zaczęły trzeszczeć. Już i w Jerozolmce był nalot gestapo, byli ranni i zabici, a wielu chłopców zagarnięto na przymusowe roboty.

Którejś nocy, na szosie przed obejściem zamożnego gospodarza, zatrzymał się duży ciężarowy samochód. Wyskoczyło z niego ze 20 uzbrojonych niemieckich żołdaków, otoczyli dom i wywlekli wszystkich mężczyzn, których tam znaleźli. Syn gospodarza wyskoczył przez okno i chciał przebiec poza stodołę, lecz otrzymał serję z pistoletu maszynowego.

Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności spowodował, że do tego kotła nie wpadł mój konspiracyjny szef "Lassota", który na letnie wakacje umieścił w tym domu żonę z synkiem. Był tam "Lassota" poprzedniego dnia, ale wiedziony intuicją wieczorem pojechał do Wilna.

Na początku lipca otrzymuję przez punkt kontaktowy rozkaz na-

natychmiastowego zawieszenia jakiejkolwiek działalności i równocześnie sugestie byśmy z "Persem" /moim zastępcą/ wyjechali do Grzegorzewa, do fabryki papieru, w pobliżu Waki Kowieńskiej nad samą Wilią. W fabryce tej kierownikiem zaopatrzenia w opał był zaprzysiężony Akowiec, pan Zygmunt Gottowt. Dostać się tam można było koleją do stacji Landwarów, a dalej pieszo drogą bitą przez Wakę do Grzegorzewa.

Niema czasu do stracenia. Zawiadamiam żonę o tej delegacji, nie podając adresu i skoro świt dnia 8 lipca 1942 roku jestem na dworcu kolejowym gdzie spotykam się z "Persem" i pierwszym pociągiem jedziemy do celu.

Pan Gottowt, po usłyszeniu pseudonimu "Onufry", bez dalszych wyjaśnień zatrudnił nas obojga jako robotników przy kopaniu torfu, wyznaczając równocześnie miejsce zamieszkania we wspólnej koczarni. Była to wydłużona sala o rozmiarach ponad 10 metrów na 5 metrów z ustawionymi po dwóch stronach pod ścianami łózkami żelaznymi, a na każdym wypchany sianem siennik i także poduszka. Na i po dwa węglane koce na łóżku. Było tu względnie ciepło, choć czuło się tu charakterystyczny zapach palącego się w piecyku torfu.

Otrzymaliśmy "Arbeitsbescheinigung" w języku niemieckim i litewskim z oficjalną pieczęcią "Ostland - Faser Gesellschaft m.b.H. Papier u. Kartonfabrik in Grigischken", podpisany przez Kommissarischer Leiter - W. Kurec, Direktor - J. Grigoliunas.

Okazało się później, że oprócz nas dwóch było sporo innych uciekinierów, ukrywających się przed łapankami.

Do pracy wydano nam gumowe buty z długimi cholewami i płucienne rękawice. Jak w każdej kopalni torfu, praca była wykonywana metodą "potokową", czyli przez ustawienie trzech grup robotników a mianowicie: odspajaczy, a więc tych którzy za pomocą spec-

jalnych łopat <sup>1/2</sup> kroili torf w stanie naturalnym i wyrzucali kostki torfu na pobocze wykopu; taczkarzy, których zadaniem jest ładowanie kostek na taczki i przewiezienie na miejsce składowania; wreszcie układacze, którzy przywiezione kostki torfu układają w szachownicę dla wysuszenia na słońcu i wietrze.

Ja znalazłem się w grupie układaczy, zaś "Pers" w grupie odspajaczy. Zarobki obliczane były codziennie na fajerant metodą akordową, podział solidarnie, w równych częściach. Naszym wspólnym interesem było dopilnowanie aby żaden z członków zespołu akordowego się w pracy nie ociągał.

Po kilku dniach mojej tam pracy, kierownik Gottowt zwraca się do mnie abym udał się z nim na inne stanowiska robót. Nie było <sup>to</sup> dla mnie na rękę, ale nie mogłem się przeciwstawić. Poprowadził mnie na kraniec wykopów eksploatacyjnych gdzie znajdowała się duża grupa, chyba ze 40 osób, Żydów, posiadających na plecach żółtą gwiazdę sjonu. Zawołał staroetę tej grupy, młodego Żyda i powiedział, wskazując na mnie.

- To wasz kierownik, jego macie słuchać.

Mnie zaś uświadomił gdzie i co mają Żydzi wykonywać. Wszystko mógłbym przewidywać, ale żeby stać się nadzorcą nad pracującymi Żydami, tego mi się nie mógł spodziewać.

- Panowie! - zwracam się do stojących gromadnie Żydów - Ja będę wam wyznaczał miejsca roboty i dawał wskazówki techniczne. Sprawy wydajności i wykonania wyznaczonych codziennych norm będziecie sami pilnować. Ja nie chcę być poganiaczem. Ale pamiętajcie, że skutki waszej abnegacji ja będę przed władzami fabryki ponosił.

Ustawiłem wszystkich na stanowiskach roboczych, a sam wlażem w pobliskie krzaki i zdrzemnąłem się. Zła krew mnie zalała, gdy po pewnym czasie spojrzełem na nich i na ich robotę. Najwy-

zej czterech ludzi z pośród całej 40 -to osobowej grupy krzątało się przy robocie, pozostali zbici w grupki prowadzili ożywione rozmowy. Wszedłem z krzaków i podszedłem do nich bliżej. Zobaczyli mnie, ale nawet nie ruszyli się z miejsca. Zawołałem starostę i kazałem mu ich uprzedzić, że to się źle może skończyć.

A tu jeszcze na dodatek, jakież było moje zdziwienie, gdy wieczorem, będąc już w swoim baraku, otrzyma<sup>nie</sup>łem wezwanie do gabinetu pełnomocnika niemieckiego Kureca, który bez wstępu skoczył do mnie zamierzając się pięścią. Nie uderzył, za to rozwrzeszczał się po polsku i po niemiecku, naprzemian. Groził, że mnie każe rozstrzelać, a wogóle to włączy mnie do grupy żydowskiej, żebym miał nauczkę na przyszłość. Nie wiem o jakiej to przyszłości myślał.

Wreszcie, gdy się trochę uspokoił, pytam o co właściwie chodzi.

Okazuje się, że jakiś Żyd po pracy przyszedł do niego i doniósł mu, że ja Żydom kazałem w ich robocie udawać, że zwymyślałem ich gdy brali się za łopaty i wogóle sabotowałem całą ich robotę.

Tłumaczyłem pełnomocnikowi, że to wszystko kłamstwa, że to jakaś mała złośliwość czy chęć zemsty, ale nie udało mi się go przekonać. Kazał mi wracać do baraku, a jutro pogadamy.

Gdy tylko wszedłem na swoją salę już na mnie czekał Gottowt.

- Bierz dupę w troki i jazda do domu i to zaraz, nie pytaj o nic. bo te żydowskie bydlaki cię nieźle urządziły.

Natychmiast zebrałem swoje "graty" i poszedłem do Landwarowa, na stację kolejową.

Byłem po prostu wściekły, że nie udało mi się zamelinować na dłuższy czas w fabryce papieru i dykty, tymbardziej, że nastały dla młodych Polaków chwile bardzo niebezpieczne.

Wróciłem do Wilna. W kilka <sup>dnij</sup> po mnie znalazł się w Wilnie i Zenek "Pers".

Cały tydzień nie byłem w domu. Co za niespodzianka, gdy moje

mieszkanie w Jerozolimce zastałem puste, a żona z synkiem przeprowadzili się na nowe miejsce. Naturalnie adres dostałem od gospodyni.

Okazuje się, że żona otrzymała propozycję od wspólnych znajomych zamieszkania w willi państwa Pławskich. Właścicielką była pani Anna Hryniewska, z pierwszego małżeństwa - Pławska.

Willi była ogromna, jednopiętrowa, posiadająca na piętrze wolny duży pokój i kuchnię. Dom ten posiadał piękną dużą oszkloną werandę na parterze oraz taras-balkon na piętrze. Był usytuowany na wzniesieniu nad małym jeziorkiem, z widokiem na szosę i mostek nad strumieniem łączącym jeziorko z rzeką Wilią.

Nigdy tam nie byłem, ale jakoś dostałem się na miejsce, gdzie przywitał mnie sympatyczny pan z czarnym wąsikiem. Interesującą przedstawiała się sytuacja w momencie wzajemnej prezentacji.

- Płaski jestem - powiadam

- Pławski jestem - słyszę odpowiedź.

Patrzmy na siebie, on zdziwiony, ja z humorem.

- Czy ja tu mieszkam? - ściskam podaną mi dłoń.

- O ile pan nie wie to tym bardziej ja nie mogę wiedzieć, zresztą zaraz się dowiemy co to za rodzina wprowadziła się wczoraj do nas.

- Zenia! Jak się ta pani nazywa, no ta z chłopczykiem, na piętrze?

- Płaska Eugenial - słyszymy gdzieś z głębi mieszkania - a co się stało?

- Mąż przyjechał z zagranicy i poszukuje swojej rodziny.

Dość głośna rozmowa spowodowała, że moja pani przez ciekawość wyjrzała z poza otwartych drzwi i spokojnym głosem <sup>wyglosiła</sup> ujawniła powitalną sentencję.

- Chodź na górę! Nie wygłupiaj się! Wszystko ci wytłumaczę.

A więc znów mieszkamy na nowym miejscu.

Wyjątkowo szybko nawiązała się nić sympatii między moją rodziną a wszystkimi domownikami.

Pani Hryniewska, jak się wyżej rzekło, nosiła z pierwszego małżeństwa nazwisko - Pławska. Zdawna tu zamieszkiwała, zajmując całą ogromną willę, do której na okres letni zjeżdżali na urlop różni dobrze usytuowani ludzie. Od wybuchu wojny wprowadził się do niej z Wilna i to już na stałe jego syn - sędzia sądu wojewódzkiego z żoną Janiną, znaną z audycji radiowych śpiewaczkę solową i z synem Sewerynem, uczniem gimnazjalnym. Oprócz nich mieszkała dwuosobowa rodzina państwa Szelałów, Tadeusz i Marta oraz panna Zenajda Szelał. Tadeusz był rodzonym bratem a Zenia rodzoną siostrą pani Janiny Pławskiej.

Na piętrze, oprócz nas zajmował jednopokojowe mieszkanie pan Piórko z żoną i dwojgiem dzieci.

I to był zdaje się cały zespół mieszkańców tej willi.

Budynki gospodarcze znajdowały się na niewielkim dziedzińcu poniżej posadowienia willi, tak że spowodu stromego podejścia trzeba było pobudować schody z drewnianą poręczą. Te budynki gospodarcze składały się z małego, jedno izbowego domku, spełniającego niegdyś rolę letniej kuchni oraz z kilku komórek drewnianych, w których <sup>(których)</sup> mieścił się opał na zimę oraz były pomieszczenia <sup>a</sup> dla <sup>z</sup> klatki <sup>(ami)</sup> dla hodowli kur i królików.

W domku letnim mieszkała samotnie staruszka Stefania, dawna niania Bohdana Pławskiego - syna pani Hryniewskiej. Staruszka za żadne skarby nie chciała zamieszkać w <sup>w</sup> willi, chciała być zupełnie samodzielna do końca życia.

Zaraz po uplasowaniu się w nowych warunkach <sup>lokalowych</sup>, a przede wszystkim towarzyskich, zabrałem się do urządzenia warsztatu pracy, jakim była kuchnia, kocioł, duża stolnica, wałki drewniane, noże, a ponad to dzbany na mleko.



Chodziło o produkcję śmietankowych krówek.

Należało zapewnić sobie stałą dostawę mleka i tu przyszedł nam w sukurs stary nasz znajomy Józek Tomaszewski, bratanek dzierżawcy u pani Sławińskiej. Produkcja rozwinęła się na całą parę. Co drugi dzień wychodziło z naszej ~~wytwórni~~ <sup>wytwórni</sup> 10 do 15 Kg wspaniałych krówek. Trudno sobie wszakże wyobrazić aby jedna osoba czy dwie nawet mogły taką masę cukierków zrobić. Bo to, zważywszy na technologię w oparciu na wyłącznej pracy rąk, trzeba było zatrudnić większą ilość osób. A jednak jakoś dało się to zrealizować i na zasadzie dobrowolności i nawet bez żadnych kosztów robocizny. No może nie zupełnie tak bezpłatnie, bo cała pracująca ekipa, po skończonym "wytopie", brała udział w spożywaniu tak zwanych wyskrobków, przy czym największą frajdę miały dzieci, chociaż i starsi też chętnie próbowali śmietankowej <sup>ok</sup> ciagut <sup>ek</sup> ~~ciagut~~.

Ażeby już wyczerpać temat produkcji "krówek" warto tu przytoczyć kolejne czynności, które składały się na produkcję, a nie było to takie proste. Każda taka czynność to nie tylko dokładna znajomość technologii ale i to przede wszystkim ogromny wkład pracy fizycznej, nie mówiąc o dobrym kręceniu główką dla pozyskania potrzebnych materiałów.

Najpierw więc trzeba było dostarczyć do kuchni suchego drewna opałoweg<sup>o</sup>, rozalić ogień i ustawić wielki kocioł miedziany. Wlać mleko, stale mieszając drewnianą kopyścią, by się nie przypaliło, wsypywać według recepty cukier, cały czas mieszając. Gotować tak przez kilka godzin /5 do 8 godzin/ nie przerywając mieszania, bo przypalenie się mleka mogło zniszczyć cały wytop. Brać co jakiś czas próbki gęstości masy. Zakończenie gotowania<sup>a</sup> następowało po stopniowym ostudzeniu przy zachowaniu ciekłego stanu m<sup>a</sup>sy.

Od tej chwili rozpoczynała się już właściwa produkcja cukierków. Całą zawartość kotła wylewało się na wielką Stolicę, rozkładało się równą warstwą na całej jej powierzchni. Po dalszym ostu-

zarys

o. 2. 10. 133 : 136

dzeniu przystępuje się do krojenia w nasy potem w taśmy. Potem wałkowanie dla otrzymania wałeczka o właściwej średnicy, krojenie na drobne odcinki odpowiadające długości jednego cukierka.

Pozostaje teraz każdy cukierek zawijać w podwójny papierek - jeden biały, drugi z nadrukiem firmowym, pakowanie w torby po 1 Kg. Teraz tylko trzeba przetransportować do Wilna i sprzedać.

Nabycie i dostarczenie cukru do Jerozolimki dla następnego wytopu to już zakończenie całego cyklu.

Wszystko to czytając czy słuchając opowieści może się wydawać bardzo proste i nader romantyczne, ale każda z tych czynności to jednak poważny problem dla chałupniczej wytwórni. Proszę sobie tylko wyobrazić ile to pracy trzeba było w to włożyć. Razem Pomagali nam wszyscy domownicy, czy to przez życzliwość, czy może z ciekawości, a może po prostu dla zabicia czasu i towarzyskiej pogawędki.

Naturalnie należało pamiętać o tym, że wytwórnia była nielegalna, a ujawnienie jej mogło pociągnąć bardzo przykre następstwa. Obowiązywała nas tu wszystkich pełna konspiracja. Żadnej sprzedaży sąsiedzkiej, obowiązuje tylko hurtowa dostawa do sklepów spożywczych w Wilnie.

Ale raz mieliśmy wszyscy z tego powodu wielki strach.

Oto przychodzi do naszej willi jakiś człowiek, przyzwyczajony ubrany, spotyka Tadzia Szelęga i z miejsca prosi o sprzedanie mu 2 Kg krówek. Tadzio zdziwiony tłumaczy, że tutaj niema żadnej sprzedaży ani krówek ani innych produktów, wskazuje na sklepiki przy szosie. Jednak ten pan zapewnia, że on tu zupełnie prywatnie i nikt o tym się nie dowie, a on to znaczy ten pan wie doskonale, że pani Płaska Eugenia takie cukierki wytwarza. I co było robić? Cała sprawa wyglądała podejrzanie. Gość ten też wyglądał podejrzanie. A ja na górze słucham tej dziwnej rozmowy. Wziąłem dwie torby cukierków i zszedłem na dół. Zwracam się do Tadzia.

- Przywiozłem z Wilna dzieciom trochę krówek, więc o ile temu panu tak zależy na tym to mogę 2 Kg odstąpić.

Na pytanie ile to kosztuje, odpowiedziałem, że tyle co cukier. Zapłacił, podziękował i zapewnił, że nikomu o tym nie powie.

Po jego odejściu pan Piórko, który pracował jako monter w majątku Werki, poinformował nas, że był to ni mniej ni więcej tylko tajniak policji litewskiej.

Zrobiło mi się gorąco. Kazałem na kilka dni zlikwidować warsztat, pochować sprzęt i obserwować. Jakoś się to rozeszło po kościach.

Na początku września 1942 roku Zygmunt Kearney, który zamieszkiwał z rodziną w jednym z sąsiednich domków letniskowych w Jeruzolimce, a z którym utrzymywałem stosunki, zaproponował aby na zimę zabezpieczyć się wwarzywa i to rzekomo uproszczonym sposobem. Polegać to miało na zaangażowaniu się w charakterze robotników rolnych w państwowym gospodarstwie rolnym i tam wypracować sobie deputaty w postaci kartofli, kapusty, buraków, marchwi itp. Dwa miesiące pracy i mamy \* zapas na całą zimę. No więc jest myśl, trzeba ją będzie zrealizować.

Walimy więc obaj pieszo do Rzeszy, a stamtąd do majątku Bujwidziszki. Idziemy na pełne ryzyko, bo przecież nikt tam nas nie kierował, nie polecał.

Administratorem był Polak, który zarządzał majątkiem z rąk władz niemieckich. Miał natomiast przy sobie pełnomocnika - Litwina. Bez żadnych pytań i wyjaśnień zostaliśmy przyjęci do pracy na okres dwóch miesięcy. Otrzymaliśmy "Bescheinigung" - zaświadczenie. Warunki były ciężkie. Jakaś wspólna izba mieszcząca razem z nami 8 osób. Smród w tej izbie niesamowity. Każdy miał swoje łóżko żelazne i szafkę zbitą z desek. Typy towarzyszy pracy jakies mocno podejrzone. Robota trwała przez 10 godzin dzien-

nie, żadnych posiłków, jedynie codzienny przydział 2 Kg chleba, 2 litry mleka i nieograniczona ilość dowolnych warzyw. Mięsa ani kawałka a raz na tydzień ćwierć kilograma słoniny. Sposób przygotowania posiłków według własnego uznania.

Jak myślicie - długo tak można wytrzymać?

Tydzień jakoś minął. Nasze "menu" to: na śniadanie - gotowane kartofle, mleko i chleb, na obiad<sup>o</sup> - kapusta, buraki lub marchew, zabielaane mlekiem i chleb, na kolację - znów kartofle, mleko i chleb.

Mleko i kartofle wprost nam wychodziły z gardła w czasie jedzenia. Był moment, że mimo głodu nie można było przełknąć takiej strawy, całym ratunkiem był chleb.

Przez cały tydzień każdy z nas zbierał sporo warzywa, bo chcieliśmy w niedzielę przetransportować te zdobycze do domu. W sobotę, zaraz po fajerancie, nie gotując już kolacji, pakujemy do worków co się dało, a było tego na wagę ponad 25 Kg, dwie litrowe butelki mleka i wyruszamy w drogę do domu.

Trudna to była droga, bo to i daleko - około 15 Km i ciężar niemały, ale jakoś po kilku godzinach docieramy wreszcie do domu. Zmęczeni do niemożliwości i wściekli na cały świat rozkładamy nasze zdobycze przed swoimi żonami, aby zobaczyć ich zdziwione miny i idiotyczne stwierdzenie braku nie tylko radości ale nawet zwykłego zadowolenia.

- I czy warto było? - skwitowały nasz wysiłek i intencje.

Stanął po głębokim namyśle na tym, że do tej roboty już się nie wybierzemy, rezygnując nawet z należnego nam deputatu, bo niby w jaki sposób ten cały towar mieliśmy przewieźć.

Natomiast, ponieważ był to czas wykopków, najęliśmy się do kopania kartofli. Tym razem nasze żony dotrzymały nam towarzystwa. Po kilku dniach pracy zdobyliśmy parę metrów kartofli jako wyna-

~~grudzień akardowe. Na ale krzyża to każde z nas nie mogło wypro-  
stować przez następne kilka dni.~~

W gotowaniu cukierków musiała nastąpić przerwa, bo przed no-  
wą kampanią cukrowniczą nigdzie nie można było dostać cukru.

Pozostało jeszcze zatrudnienie przy rąbaniu drewna na zaro-  
bek i dla siebie na nadchodzącą zimę.

Wojna na arenie świata przybierać zaczynała teraz najkrwawsze  
formy. Jeszcze rozszalały zwierz hitlerowski straszliwie kasał,  
mimo że był zewsząd mocno szarpany. Nadchodziła zima, która dla  
Hitlera stawała się przedsiönkiem piekła. Potworna idea zniszcze-  
nia milionów istnień ludzkich, ta idea ludobójstwa zdawała się  
być przez siły alianckie upięstwi<sup>a</sup>na.

Rok 1943 to klęska Niemiec w Afryce, ~~to desant w Normandii~~ i  
wreszcie klęska armii Paulusa pod Stalingradem.

Wiosna 1944 roku to bezustanna defensywa hitlerowców na zgó-  
ry wyznaczone "dogodniejsze <sup>to desant w Normandii,</sup> do obrony" stanowiska.

Jesień i zima 1943 roku a potem wiosna 1944 roku to nasile-  
nie się akcji bojowych oddziałów partyzanckich na tyłach wojsk  
hitlerowskich na wszystkich frontach.

W Polsce działają intensywnie brygady leśne i partyzanckie  
o róż<sup>o</sup>nych zabarwieniach politycznych oraz desantowe oddziały par-  
tyzantki sowieckiej.

Na Wileńszczyźnie niemal wyłącznie walczyły partyzanckie bry-  
gady Armii Krajowej, chociaż w głębokich lasach i p<sup>u</sup>szczach Pole-  
sia i Nowogródziny wyst<sup>e</sup>powowały znaczne grupy partyzantów rosyj-  
skich.

## Rozdział 7. PARTYZANTKA

Już na przedwiośni 1943 roku, jak grom z jasnego nieba, komunikat radia moskiewskiego ogłasza całkowitą klęskę prawie półmilionowej armii hitlerowskiej generała Paulusa pod Stalingradem. Od tego dnia, a było to na początku lutego, zaczyna się na całym terenie Wileńszczyzny wzmożony ruch.

Jeszcze trwa wyjątkowy transport wojsk i sprzętu niemieckiego na wschód, ale w odwrotnym kierunku, na zachód, przemyka coraz więcej pociągów wypełnionych rannymi i chorymi żołnierzami niemieckimi. Dworce kolejowe i tory są pod ścisłą kontrolą. Nie chroni to jednak przed ciągłymi zamachami na transporty, czy też przed zrywaniem torów kolejowych. Na ten temat komunikaty niemieckie dyskretnie milczą, a informacje tego rodzaju podawane z ust do ust przenikają do ogólnej wiadomości.

Na odcinku działalności wywiadu i informacji Armii Krajowej wzrasta z dnia na dzień ruch kurierów w obu kierunkach. Są dni, kiedy obaj z "Persem" ledwie możemy dać sobie radę w przyjmowaniu i lokowaniu łączników. Niebezpieczeństwo naszej pracy zwiększa się, bo przy takim natężeniu trudno zachować wszystkie warunki konspiracyjnej ostrożności. A poza tym atmosfera taka coraz bardziej rozzuchwala nie tylko konspiratorów ale i całą ludność cywilną. Za niepotrzebną brawurę i nieprzemyślane działania trzeba niestety czasem płacić wysokimi stratami, co działa jednak jak prysznic na rozpalone głowy i studzi zapal oraz przywołuje do porządku.

W naszym domowym zbiorowisku również wyraźne ożywienie.

~~Bohdan zdobywa skądś spore ilości doskonałego samogonu, Ładzio, który od pewnego czasu zajmuje się handlem mięsem wieprzowym, pochodzącym z własnego tajnego uboju, wyrabia przy tym pysz-~~

ne kiełbasy i kiszkę kaszaną - dostarcza nam mięsiwa, żona moja zawsze tam wygospodaruje trochę odpadów z gotowanych przez nią krówek, ja zaś dostarczam różnych wiadomości, czasem dobrych czasem złych.

Całość składała się na <sup>e</sup>prmanentnie urządzone wspólne picie.

- Za Kursk ! - jedzie pół litra.
- Za Biełgorad i Rżew ! - następne pół litra.
- Krasnograd, Wiaźmę, Charków ! - znów leci litr samogonu.

Ale były i smutne momenty.

Oto z nieznanych przyczyn, pod koniec kwietnia nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych ZSRR z naszym Rządem w Londynie, albo wiadomość o straszliwej masakrze w getcie warszawskim, czy też komunikat radia niemieckiego o odkryciu mogił kilku tysięcy zamordowanych polskich oficerów w Katyniu.

W maju 1943 roku nastąpiła całkowita kapitulacja wojsk "osi" w Afryce na przylądku Bone.

Czerwiec 1943 roku był okresem/zwrotnym w mojej działalności konspiracyjnej.

Gdzieś w połowie czerwca zaszedłem do mieszkania "Persa", aby omówić z nim plan przyjęcia równocześnie czterech kurierów. Otrzymałem również sygnał, że w najbliższych dniach trzeba będzie nadawać komunikat radiowy do Londynu. Miałem nawet ze sobą na cieniutkiej bibułce zaszyfrowaną treść.

Była godzina 11<sup>00</sup>, gdy w mieszkaniu "Persa", przez okna od ~~ukin~~ ulicy wtargnął nasilony warkot kilku samochodów. Wystarczyło jedno spojrzenie przez okno aby się zorientować w sytuacji. Obaj z "Bersem" wdrapujemy się po drabince stalowej na strych. Siostra Zenka zamyka za nami od zewnątrz klapę włazową i zakłada potężną kłódkę. Za chwilę słyszymy dobijanie się do drzwi mieszkania. Nie czekamy dalej. Pośpiesznie przebiegamy wzdłuż poddasza. Po drodze

zawalamy różnymi gratami/schówek z krótkofalówką i biegniemy do końca strychu aż do ulicy Kolejowej. Nie mogliśmy przewidzieć czy tam nie będzie czasem obstawy Gestapo. Ryzykować chyba nie warto. Ja wyskakuję przez klatkę nad ostatnią klatką schodową, po drodze umieszczam posiadane dokumenty pod jedną z krokwi dachowych. Ostrożnie wchodzę na podwórko. Podejrzana cisza. Pod murem kieruję się do drewnianego płotu, spoglądam przez szparę w deskowaniu. W odległości kilku kroków stoi ~~gestapowiec~~<sup>Sandarm</sup> z blachą na piersiach i trzyma w pogotowiu (maszynowy) pistolet. Tędy drogi niema. Biegnę cichutko wzdłuż parkanu. W pewnym miejscu widzę u samego spodu przy ziemi wyrwaną deskę. Odrywam ostrożnie jeszcze jedną i przeczołguję się na zewnątrz. Z daleka stoi ten sam Niemiec, którego poprzednio widziałem. Krótki skok. Jestem znów na jakimś nowym podwórzu.

Wyprostowuję się i śmiało walę do bramy wyjściowej. Otwarta. Przede mną ulica Nikodemka. Kierunek w lewo do Ostrej Bramy, w prawo - torów kolejowych. Chwila wahania. Idę w stronę torów. Jestem sam. "Persa" zgubiłem na strychu, pewnie pobiegł poddaszem aż do ulicy Kolejowej, gdzie było zejście bezpośrednio na chodnik uliczny.

Słyszę z daleka terkotanie broni maszynowej. Biegnę wzdłuż torów do zaułka Rossa i tutaj dopiero, po uporządkowaniu ubrania, zachowując pełny spokój ruszam w stronę ulicy Bivnej.

Tu już normalny ruch uliczny. Mogłem się teraz zastanowić nad sytuacją i wyciągnąć pierwsze wnioski. Postanowiłem okrężną drogą dotrzeć w pobliże niedawnej akcji. Na placu Ostrobramskim grupki ludzi rozprawiwały o czymś z ożywieniem. Zbliżyłem się do jednej z nich. Z urywanych zdań wywnioskowałem, że całe mieszkanie mego przyjaciela zostało kompletnie zrujnowane, gestapowcy wyprowadzili jakiegoś starszego mężczyznę i młodą kobietę. Zabrali ich samochodem. A na Kolejowej leży zabity młody człowiek.



Jest w tej chwili nie do pomyślenia zająć się tym zabitym, przynajmniej do czasu zakończenia obławy, a i potem byłoby to wielkim ryzykiem, bo przecież Niemcy mogli tam zastawić pułapkę. Trzeba poczekać do wieczora a potem razem z innymi ludźmi tam się wybrać.

Moje przypuszczenia, że zabitym młodym człowiekiem był "Pers" stały się faktem. Późnym wieczorem przenieśliśmy wspólnie z kilku przygodnie spotkanymi chłopcami ciało zamordowanego na podwórze domu i tam pogrzebaliśmy, zakopując razem z ciałem butelkę z nazwiskiem i adresem oraz pseudonimem.

Najbliższy mój współpracownik i przyjaciel zginął, płacąc wysoką cenę za swoją odwagę i determinację.

Właściwie to całą moją siatkę należało uważać za spaloną. Nie znana mi była przyczyna tej wpadki i zasięg dekonspiracji. Przypuszczalnie musiała to być wpadka któregoś kuriera, który zdekonspirował mieszkanie "Persa", ~~któremu było~~ znane jako jeden z punktów kontaktowych. To był oczywisty błąd z naszej strony, błąd, który nas bardzo drogo kosztował. Faktem stała się konieczność zmiany kierunku działania konspiracyjnego. Straciłem kontakt z "Lassotą" i z "Onufrym". Zdaje się, że obaj wyjechali do Warszawy.

Tymczasem w Jerozolimce, sam nie wiem jak to się działo, co jakiś czas zgłaszali się młodzi ludzie z prośbą o przyjęcie ich do Armii Krajowej. Byli chętni do natychmiastowego udziału w walkach oddziałów leśnych i tych, mając własne kontakty, kierowałem bezpośrednio do Brygad partyzanckich, mających w pobliżu swoje miejsca postoju.

Oddziały partyzanckie Armii Krajowej na Wileńszczyźnie były zorganizowane w dwóch Okręgach - Wileńskim i Nowogródzkim, a na czele tych dwóch Okręgów stał wówczas przedwojenny podpułkow-

nik Aleksander Krzyżanowski, w randze generała i noszący pseudonim "Wilk".

W skład Okrę<sup>e</sup>gów wchodziły Zgrupowania, obejmujące zasięgiem dawne powiaty. Posiadały one dowódców Zgrupowania i swoje sztaby.

Dowódcą Zgrupowania, któremu ja byłem podporządkowany był major dyplomowany Mieczysław Potocki, ps. "Węgielny", zaś jego szefem sztabu był porucznik Jan Drozdowicz, ps. "Gerwazy". Było to Zgrupowanie Nr 2, obejmujące teren na północ od Wilna, oraz pełniące rolę opiekuna i zwierzchnika całej organizacji wojskowej w konspiracji na terenie miasta Wilna.

Część północna miasta poza rzeką Wilią, a więc i dzielnice Kalwaryjska, Zwierzyniec, Sołtaniszki, Snipiszki oraz przyległe osiedla, znajdowały się terenowo pod zwierzchnictwem kapitana "Jan" - Bolesława Zagórnego, który był dowódcą i organizatorem garnizonu powstańczego miasta.

Nie/szysztkie powyższe wiadomości od razu były mi znane, dopiero po pewnym czasie mogłem od kolegów i towarzyszy walk te informacje uzyskać. Daleko sięgająca konspiracja mogła być uchylona z chwilą wcielenia do oddziałów leśnych i to dopiero na szczeblu dowódczym.

Kontakt z kapitanem "Janem" uzyskałem za pośrednictwem, wspomnianego wyżej w poprzednich rozdziałach, kapitana Stanisława Błasika.

Po zameldowaniu o stanie organizacyjnym mojego niewielkiego oddziału, o warunkach terenowych i sytuacji w mojej działalności, otrzymałem rozkaz dalszego zwiększania liczbowego oraz poszukiwania i zdobywania uzbrojenia no i utrzymania z nim kontaktów. Uprzedził mnie, że prawdopodobnie, gdy brygada "Żejmiana", dowiedzona przez porucznika "Wujka" - Witolda Kiewlicza zbliży się pod Wilno, będę musiał się tam zameldować celem współdziałania

w ewentualnych akcjach tego oddziału.

Jeszcze w tym czasie gdy po Wilii kursowały statki motorowe, a było to chyba we wrześniu 1943 roku, płynąłem pod prąd w górę rzeki z Wilna do Werek. Poza 20 Kg cukru, który wiozłem dla produkcji cukierków, żadnego "trefnego" towaru nie miałem. To też czułem się wyjątkowo pewny siebie. Ale już powyżej Antokola zauważyłem na statku jakiś podejrzany ruch wśród jadących tam kilku młodych ludzi. W pewnym momencie z kabiny kapitańskiej wyszło szybkim krokiem czterech, ubranych w skórzane płaszcze cywilów, trzymających prawe ręce w kieszeniach. Zbliżyli się nagle do grupy chłopców, zachodząc ich od tyłu i zmaszając do podniesienia w górę rąk. A na dziobie statku stała sobie parka w sportowym ubraniu, gwarząc wesoło niczym dwoje zakochanych. Rozległ się suchy krzask strzał rewolwerowy i nagle dwie postacie spadały z dwóch stron burty do rzeki. Odnosiło się wrażenie, że oboje zostali trafieni i ranni lub zabici wpadli do wody. Posypały się gęsto strzały w kierunku płynących, którzy na skutek odwrotnego biegu statku, szybko znaleźli poza odległość skuteczną ognia rewolwerowego. Statek nie zwolnił biegu chociaż podniósł się wrzask litewskich tajniaków o zatrzymanie. Dwojgu pływakom udało się zbiec, nie wiadomo tylko czy nie zostali zranieni w czasie strzelaniny.

Sześciu młodych mężczyzn zostało zakutych w Rajdanki i odprowadzonych do kajuty.

W Werekach znajdował się posterunek policji litewskiej i tam zapewne zaprowadzą ujętych.

Statek powinien przed Werekami zatrzymać się na przystani wodnej w Bołtupiu, ale czy się w tej sytuacji zatrzyma - nie wiadomo. Postanowiłem wysiąść na najbliższej przystani. Może mi się uda natrafić na ćwiczący w tym czasie pluton na cmentarzu w Kalwarii, a jeśli jeszcze szczęście dopisze, że chłopcy będą po-

siadali ostrą amunicją, to możnaby zorganizować w lesie Werkowskim zasadzkę na konwojujących policjantów litewskich. Małe to możliwości ale spróbować trzeba.

Niestety, całe te plany moje spaliły na panewce. Nikogo na cmentarzu nie zastałem, a kaprala mieszkającego niedaleko kościoła nie było. Zrezygnowany poszedłem szosą do Jerozolimki. Na drodze bocznej do osiedla, nie dochodząc skrzyżowania spotykam Antka Czaplickiego, narzeczonego Zeni, zamieszkałego i pracującego w tartaku w Wądkach. Wzburzony ale z radością w oczach komunikuje mi, że w lesie werkowskim, w pobliżu przystani wodnej Akowcy zrobili zasadzkę i odbili bez jednego strzału sześciu partyzantów, którzy udawali się do swojej brygady pod Niemenczynem. Litwini byli tak przestraszeni, że nie reagowali w tej całej akcji. Musieli jeszcze oddać za karę swoje płaszcze, buty i rewolwery. To bracie zuchy te chłopaki. Pytanie tylko skąd wiedzieli o konwojowaniu schwytych partyzantów. Możliwe, że to ta parka zakochanych, która tak szczęśliwie i tak wspaniale uniknęła aresztowania na statku.

W samej Jerozolimce wprawdzie posterunku policji litewskiej nie było, jednak przedstawiciel władzy zamieszkiwał u miejscowego bogatego gospodarza, niejakiego Kurtulisa. Był to chyba Litwin, ale zarówno on jak i cała jego rodzina byli zawsze lojalni wobec władz polskich jak też wobec przedwojennej rzeczywistości. Byli zresztą zaprzyjaźnieni z szeregiem rodzin polskich w osiedlu. Mieszkał więc u państwa Kurtulisów wraz z żoną i córeczką ten policjant litewski w stopniu zdaje się sierżanta, a nazywał się Baniewiczus. Posiadał nawet do dyspozycji urzędową bryczkę z zaprzęgiem. Ukazywał się to raz w mundurze, to innym razem w cywilu.

Najciekawsze w tym wszystkim było to, że syn Kurtulisa, imieniem chyba Bartek, pełnił służbę w polskim wojsku i w rezer-

wie posiadał stopień kaprała. Teraz starał się nawet o kontakty z polską konspiracją, ale jakoś trudno mu było zdobyć zaufanie wśród jego polskich kolegów. W tym to właśnie domu kwaterował litewski policjant Baniewiczus.

Regularne przejazdy tego policjanta bryczką, czasem samotnie, czasem zaś z jednym lub dwoma pasażerami, nasunęły mi myśl wykorzystania tego dla naszych konspiracyjnych celów. Ryzyko było duże, ale korzyści nie mniejsze, należało więc sprawę zbadać i przygotować.

I tu wypłynęła rola młodego Kurtulisa. Umówiłem się z nim na spotkanie w ogrodzie Bohdanowicza i tam starałem się wysondować jego stosunek do spraw naszego ruchu oporu. Po długim kluczeniu w przeróżnych tematach społecznych i politycznych, zdecydowałem się postawić na jedną kartę. Wyjawiłem mu, że wpływowy członek sztabu Armii Krajowej polecił mi wykonanie pewnego zadania o ściśle tajnym charakterze. Młody człowiek/słuchał uważnie.

- Czekam rozkazów - powiedział zdecydowanie.

- Czy jesteś gotów złożyć na moje ręce zaprzysiężenie jako zgody na przystąpienie do naszej organizacji, czy nie przeszkadza ci to że jesteś Litwinem?

- Jestem Polakiem litewskiego pochodzenia. Jestem gotów.

- Akt przysięgi został zawarty. Pseudonim - "Ruch" - stwierdziłem po wypowiedzeniu wspólnie treści roty przysięgi.

Teraz przystąpiłem do sprawy zasadniczej.

- Chodzi w tej chwili o możliwość wykorzystania bryczki Baniewiczza do przewiezienia większego transportu broni i amunicji z Wilna do majątku Gulbiny. Jak widzisz realizację tego zamierzenia.

- Baniewicz to polski Litwin albo litewski Polak. Pójdzie na każdą współpracę z polskim ruchem oporu. Naturalnie przy ści-

szej konspiracji.

W ten sposób bryczka wyładowana różnym sprzętem uzbrojenia, pochodzącym z zakupu od przebywających na terenie miasta w służbie wojsk hitlerowskich żołnierzy węgierskich, mogła być bezpiecznie przerzucona do folwarku Gulbiny, gdzie przedstawiciel jednej z brygad partyzanckich oczekiwał na przejęcie transportu. Były tam karabiny ~~rezerwy~~ ręczne, jeden karabin maszynowy lekki oraz skrzynki z amunicją i granatami.

Czas płynął. Odpadła możliwość komunikacji statkiem po Wilii, raz, że występowały przymrozki, a powtóre władze litewskie zakazały żeglowania statków po Wilii.

Na początku marca 1944 roku posiadałem na terenie Jerozolimki zorganizowany oddział złożony z 24 ludzi. Był w tym oddziale porucznik Rakowski, starszy już pan, oraz jego zięć, czy narzeczony jego córki. Ten młody chłopak o skrajnie prawicowych poglądach lubił często podkreślać je przy okazji rozmowy na temat zbliżających się wojsk sowieckich.

Oddział mój, wielkości plutonu, był okropną zbieraniną, w której nie brakowało i kobiet. Trudno mi już teraz odtworzyć nazwiska moich podwładnych żołnierzy.

Moim zastępcą, a więc zastępcą dowódcy plutonu, był właśnie porucznik rezerwy Rakowski, pseudonim "Marcin" /imienia nie pamiętam/. Trochę taka sytuacja nie była normalną, gdyż on, porucznik miał podlegać mnie podporucznikowi /czasu wojennego/, a właściwie podchorążemu-sierżantowi. Moja propozycja by odwrócić nasze role nie została przyjęta przez Rakowskiego. Tłumaczył on to tym, że w obecnej sytuacji dowodzić powinien młody, energiczny człowiek, gdy on tymczasem jest już starszym panem. Najbliższa przyszłość potwierdziła w pełni słuszność jego stanowiska.

Miałem w swoim plutonie sympatycznego i inteligentnego ka-

prala rezerwy, który przybrał pseudonim "Lech" - nazwiska nie znam  
Z pośród moich żołnierzy mogę wyliczyć niewiele osób, jak:

- Bohdan Pławski, sędzia z cywila, syn właścicielki willi, w której mieszkaliśmy. Seweryn Pławski syn Bohdana, mający zaledwie 17 lat, ale strasznie rwący się w ślad za swoim ojcem. Janina Pławska, żona Bohdana, znana śpiewaczka radiowa, która uparła się, mimo przekonywania z naszej strony o konieczności pozostania w domu dla opieki nad starą już matką Bohdana panią Hryniewską. Janka jednak uważała, że w najcięższej chwili, gdy jej najbliżsi idą w pole, nie wolno jej pozostawiać w bezpiecznym ustroniu. Nie były to argumenty prawdziwe bo właśnie ci co pozostawali znajdowali się w najniebezpieczniejszej sytuacji.

- Czaplicki Antoni, kapral rezerwy, narzeczoną Zeni Szelaż. Zenia Szelaż, szwagierka Bohdana, rodzona siostra Janiny Pławskiej, zamieszkująca razem z nimi.

- Józio Tomaszewski, bratanek dzierżawcy willi pani Sławińskiej, stały dostawca mleka przy naszej produkcji cukierków.

Mogę jeszcze wymienić kilku chłopców, których nazwisk i imion albo wogóle nie znałem względnie dziś już nie pamiętam, a o jakimś spisie personalnym nie było mi wtedy w głowie.

Oto "Kopań" - jeden ze wspinających chłopców, lat 19, o brawurowej odwadze i ogromnej subordynacji. "Lutek", "Zych", "Czajka" - to dalsi moi żołnierze, których pseudonimy związane zostały z moimi działaniami bojowymi. "Marcin", porucznik rezerwy, niefortunny mój zastępca. "Malarz" - krewny, czy zięć porucznika Rakowskiego - "Marcina".

Wielu, wielu innych, których teraz ani nazwisk ani pseudonimów wymienić nie potrafię, a było ich poza mną razem 24.

Uzbrojenie mojego oddziału było nader nędzne. Dwa rewolwery małego kalibru, jeden nagan, jeden sprawny karabin ręczny i je-

~~ten karabin z obrotową~~

den karabin z obciętą lufą. Było też kilka ręcznych karabinów, ale niezdatnych do użytku. A przy tym zaledwie kilkadziesiąt sztuk naboju karabinowych i niewiele amunicji do rewolwerów. Tak, mieliśmy jeszcze dwa granaty obronne. Liczyliśmy na dozbrojenie nas przez Brygadę "Zejmiana", <sup>e</sup>względnie w jakiś inny sposób.

Od kwietnia nawiązałem stały kontakt z kapitanem "Wujkiem" - Witoldem Kiewliczem, a stałym łącznikiem był młodzieńki chłopiec wiejski, lat nie więcej niż 15, sprytny, ruchliwy, noszący groźny pseudonim "Ostry Róg".

Na zachodzie powstaje z dawna oczekiwany II-gi front. Lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość o desancie i inwazji Aliantów w Normandii, we Francji w dniu 7 czerwca 1944 roku. Klęska Niemiec to tylko kwestia czasu.

Nadchodziły znamienne dla Wilna i Oddziałów Armii Krajowej dni lipcowe 1944 roku. Następują nieprzerwanie kolejne zwycięstwa wojsk radzieckich na północnym froncie, gdzie ofensywę prowadzi Armia Białoruska pod dowództwem <sup>6</sup>generała Iwana Czerniachowskiego. Dnia 1 lipca 1944 roku Armia Czerwona - 3 front Białoruski przekracza dawną granicę Polski.

Front się zbliża w szybkim tempie w rejon miasta Wilna. Ruch odwrotowy cofających się wojsk hitlerowskich trwa nieprzerwanie. Przez Wilno ciągną transporty pociągami i samochodami.

Dziś z rana, 2 lipca, łącznik "Ostry Róg" nie przyszedł na spotkanie by przekazać dyspozycje Brygadiera "Wujka" dalszej akcji w związku z wydanym rozkazem "Burza". Nierozumiały był powód tego przypadku.

Straciłem kontakt z Brygadą "Zejmiana", a z tym i dyspozycje udziału w walkach tej Brygady. A widoczne było, że zachodzą wypadki zapowiadające rozpoczęcie działań, w których inicjatywa



pozostanie w moich rękach, ktoś bowiem musi podjąć decyzję odnośnie mojej osoby i mojego Oddziału. Muszę dziś jeszcze dotrzeć do sztabu dowódcy powstańczego w Wilnie, aby uzyskać informacje o sytuacji i otrzymać rozkazy dalszego działania.

Wracałem właśnie od porucznika "Marcina", mego zastępcy, z którym ustaliliśmy czas i miejsce zbiórki całego oddział, gdy przypadkowo spotkałem "Sławka". Rozmawiałem z nim kilkakrotnie o różnych sprawach konspiracji i wiedziałem, że przez niego będę mógł dotrzeć do sztabu kapitana "Jana".

Punktualnie o godzinie 6<sup>30</sup>, spotykamy się ze "Sławkiem" przy moście na szosie w Jerozolimce i bez słowa szybkim krokiem ruszamy szosą w stronę miasta.

Już o tej godzinie, wzdłuż szosy od strony Wilna ciągną sznurami szeregi uchodźców z węzełkami na plecach, ocierający, mimo ранego chłodu, kroplisty pot z twarzy.

Wstrząsający jest widok idących kobiet zdrepczającymi obok małymi dziećmi. Małeńkie te postacie ledwie nadążają swym dziecinnym truchcikiem za idącą ciężkim krokiem matką. Czepiają się matczynych sukienek i spoglądają z niepokojem na swoje opiekunki. Ich oczka nad miarę powiększone, a niezrozumiały dla nich strach na twarzyczkach. Nie mieści się w ich małeńkich główkach ten cały koszmarny, a jednak to musi być coś strasznego skoro ta ich duża mamusia i inne mamusie uciekają zostawiając za sobą cały swój dom. Idą i idą... aż nóżki boją. Nie płaczą, nie skarżą się, tylko cały czas biegną i biegną.

Korowód ten ciągnie się bez przerwy aż do miasta. Mijamy ich szybkim krokiem i tylko pięści zaciskamy, a straszliwe przekleństwa cisną się na usta.

Ze wzgórza Bołtupskiego rozciąga się widok na całe miasto, okryte teraz tumanami czarnego dymu. Nad miastem rozpościera się

groza wybuchów i pożarów.

Szosa zbiega w dół aż do podmiejskiego osiedla Trynopol - Cegielnia. Stąd nie widać miasta, bo zakrywa je przed naszymi oczami następne wzniesienie. W dali nad niewidocznym teraz miastem zawisła czarna chmura, ~~jak przed wojną nocami rozciągała się jasna łuna na niebie.~~

Jakiś młodzieniec z ogromnym plecakiem na ramionach idzie szybko, pochylając się do przodu. Zatrzymuje się przed nami, zdejmując z pleców ciężar i ociera spływający pot z twarzy. Podchodzimy do niego bliżej i zagadujemy.

- Co słyhać w mieście? - pytam

Ó Cóż, ludzi na ulicach prawie nie widać, niemieckie patrole krażą, przy lada okazji strzelają. Nierzadko zobaczycie panowie zabitych leżących na chodnikach. Pożary i grabieże. Ludzie rozgrabiają w biały dzień magazyny, nawet z płomieni wyciągają różne rzeczy.

- A przez most można przejść?

- Można, chociaż jest podminowany i powiadają, że dziś lub jutro wysadzą w powietrze.

- A na szosie jest jakie wojsko?

- Koło cegielni stoi czołg i samochód pancerny, a w okopach żołnierze niemieccy, ze 30 jest ich chyba, mają ciężkie karabiny maszynowe. Za cegielnią jest jakiś duży oddział, a w oddali, za strzelnicą widać wkopane w równych odstępach czołgi.

- A pan dokąd maszeruje?

Spojrzał na nas, uśmiechnął się znacząco i odpowiedział.

- Ja idę tam skąd idziecie panowie.

- No to szczęście Boże. Cześć! - rzekliśmy obaj i ruszamy w drogę.

Miraliśmy mostek na strumyku o nazwie ze starego testamen-

tu, Bożtupie, gdy ujrzałem na przeciw nam idącą parę, młodego mężczyzny i kobietę. Mężczyzna trzymał na rękach dziecko. Z rysów twarzy, mimo że głowa tego mężczyzny obwiązana była bandażem, rozpoznałem swego znajomego lekarza, z którym zetknąłem się u państwa Ciszewskich podczas ostatnich Świąt Wielkiej Nocy.

- Dzień dobry państwu - zagadnałem. A gdy zostałem poznany przez doktora, dodałem - jakaż to przyczyna tych bandaży?

- A! - machnął ręką z rezygnacją - dużoby trzeba o tym mówić.

- Pewnie nocne bombardowanie?

*Wzrost, wytrzymałość*

- Niśch pan posłucha, jak wielkie nieszczęście, ale zarazem i szczęście spotkało nas dzisiejszej nocy. Wie pan gdzie mieszkamy. Od szeregu nocy spaliśmy wszyscy w ubraniach, rozbierając do snu tylko dziecko. Od szeregu dni w każdą niemal noc, podczas alarmów schodziłem z całą rodziną do piwnicy, na prędcie przerobionej na schron przeciwlotniczy. Wczoraj, jak zwykle, wieczorem ułożyliśmy z żoną dziecko w łóżeczku a sami jeszcze siedząc przy stole gwarzyliśmy. Moi starzy rodzice nie rozbierając się zasnęli. Była godzina 11<sup>00</sup> wieczorem, gdy zrazu głucho gdzieś z oddali usłyszeliśmy warkot sowieckich bombowców. Ucho nasze było tak wyczulone, że z całkowitą pewnością odróżnialiśmy samoloty sowieckie od niemieckich. Obudziłem swoich staruszków, dziecko zawinąłem w kołderkę i wolno zeszedliśmy do piwnicy. Nasz schron był niewielki, bo wymiary jego nie przekraczały 3 na 4 metry, posiadał jedną ławę wzdłuż ściany przeciwległej do małego piwnicznego okienka. Ściany zbudowane z cegły, chyba ze dwie cegły grubości, a sufit sklepiony był z cegieł na stalowych relsach. Robiło to wrażenie względnego bezpieczeństwa. Nic więc dziwnego, że po wejściu do wnętrza schronu rozpoczęliśmy przyciszone lecz swobodne rozmowy.

Tej nocy jednak jakaś dziwna zmora zaciążyła nad mieszkańcami schronu, bo trzeba dodać, że oprócz mojej rodziny znajdowała

się tu jeszcze jedna rodzina, składająca się z pięciu osób. Pano-  
wała kompletna cisza, gdy przez małe okienko wdarła się smuga  
jasnego światła, ukazując zupełnie wyraźnie całe wnętrze naszej  
kryjówki. Po chwili rozległy się silne detonacje. Samoloty sowiec-  
kie rozpoczęły bombardowanie. Wybuchy następowały jeden po drugim  
w krótkich i równych odstępach czasu. Jakiś wybuch musiał nasta-  
pić w pobliżu, gdyż odczuliśmy wtedy silne drżenie ziemi. Ciśnie<sup>nie</sup>  
wdzierającego się przez okienko powietrza utrudniało oddech. Na-  
gle dał się słyszeć potworny huk, trzask i zapanowała kompletna  
ciemność.

Nie wiem jak długo trwało moje omdlenie i nieświadomość. Obu-  
dziłem się jak ze snu, poczułem lekkie swędzenie na policzku. Po-  
dniosłem rękę i potarłem twarz, poczułem pod ręką lepką maź. To  
była krew, a świadomość tego spowodowała odczucie silnego bólu  
głowy. Wrażenia te trwały sekundy, natychmiast się zorientowałem  
co się stało.

Cisza i ciemności ogarniały całe wnętrze schronu. Macałem  
wokół rękami szukając dziecka, które przed eksplozją trzymałem na  
kolanach - teraz owinięte kołderką leżało na ziemi przy moich no-  
gach. Żył! - bo gdy zbliżyłem twarz do jego twarzyczki wyczułem  
lekki ale wyraźny oddech. Nie mogłem usłyszeć żadnego dźwięku, są-  
dziłem, że się znajduje w stanie omdlenia. Było gorzej... na sku-  
tek przestrawu czy też wstrząsu utraciła córeczka mowę.

- Tamara! Ojciec! Mamo! - wołałam, ale ani słowa odpowiedzi.

Przeszła długa pauza, gdy usłyszałem jęk, potem ciche głąbo-  
kie westchnienie, a wreszcie głos jakby z pod ziemi wymówił mo-  
je imię. A więc żona mój żyje! - wstąpiła we mnie nowa energia.

Alin<sup>kę</sup>, moją córeczkę, położyłem na ławce a sam, macając po  
gruzach rękami dotknąłem żony.

- Tamara!... żyjesz? - zadawałem głupie pytanie.

- Zorż - co się ze mną dzieje?... chyba nie mam nóg, bo ich zupełnie nie czuję. Nie mogę ich podnieść w górę....

- Czekaj... nie ruszaj się.... - zapalam zapałkę. Widok, który w tym momencie ukazał się moim oczom zmroził mnie całkowicie. Stałem znów na chwilę władzę nad sobą.

Oto w pobliżu okienka wyrwana w murze dziura a gruz ceglany i ziemia przywaliły przeciwległą ścianę, wzdłuż której wszyscy siedzieliśmy. Żona moja po pas przysypana leżała na wznak z okropnie umorusaną twarzą. O pół kroku od niej, skrzycona w kłębek leżała moja matka, a ojciec klęczał zwrócony twarzą ku mamie, wsparty o nią czołem, z roztrzaskaną z tyłu głową. W samym rogu piwnicy leżały trzy ciała, a dwie osoby rozciągnięte w kierunku do środka.

Nie było czasu do stracenia. Z ogromnym pośpiechem rozpocząłem rękami rozgrzebywać gruz i ziemię z nóg żony. Jak długo trwała ta praca? - chyba kilka minut. Głęboka cisza panowała wokół, tylko od czasu do czasu pojękiwała żona. Wyniosłem z piwnicy dziecko. Wtedy dopiero znalazło się na zewnątrz dwóch mężczyzn, którzy pomagali mi w dalszej pracy ratowniczej.

Siedem ofiar wynieśliśmy na podwórze i tam na trawniku wszystkich pogrzebaliśmy.

- Także to w ciągu jednej nocy straciłem i ojca i matkę. To ogromne nieszczęście! Ale cóż za szczęście, że dóreczka i żona pozostały przy życiu. Nie mogliśmy pozostać w Wilnie. Idziemy do krewnych na koloniach.

- Głęboko współczuję państwu i życzę szczęśliwego dotarcia do krewnych - powiedziałem na pożegnanie.

Rozstałem się z nimi głęboko wstrząśnięty i w bolesnej zadumie ruszyłem za "Sławkiem" w stronę Wilna. Weszliśmy na niewielkie wzniesienie. Oczom naszym ukazał się widok, zmuszający nas do zatrzymania się. Oto zaraz za mostkiem, na następnym wznie-

sieniu zarysowały się linie okopów, a przy samej drodze stały dwa czołgi niemieckie ze skierowanymi wzdłuż szosy lufami działek karabinów maszynowych.

Wahania nasze trwały krótko. Ruszyliśmy pewnym krokiem na przód. Było nas dwóch idących w stronę miasta wobec setek idących z Wilna. Niemcy ciekawie przyglądali się nam gdyśmy obok nich przechodzili, lecz jakoś nie decydowali się nas zatrzymać.

Miasto miało charakter jakby przez niego przeszła dżuma wydłużająca. Na peryferiach miasta spotykało się ludzi ciekawie rozglądających się w koło i jakby czegoś wyczekujących.

Doszliśmy aż do Zielonego mostu i nie spotkaliśmy ani jednego Niemca. Dopiero przed mostem stało ubezpieczenie niemieckie.

Most Zielony w niczym nie zdradzał swego krótkiego żywota, dopiero spojrzenie w dół pod filary ujawniało <sup>dzwiganie</sup> ich podminowanie.

Bez przeszkód przeszliśmy most i znaleźliśmy się w śródmieściu. Tu był również całkowity spokój. Rucho prawie żadnego, poza przejeżdżającymi z rzadka samochodami niemieckimi. Szybkim krokiem dotarliśmy do celu. Krótka rozmowa z adiutantem "Jana". "Jan" był wówczas na odprawie. Instrukcje o akcji "Ostra Brama" gotowe, mam je otrzymać od por. "Mocnego", który jest również na odprawie, gdzie ma zapisać ostateczną decyzję.

Następnego dnia, skoro świt, otrzymałem z rąk "Mocnego" dyspozycję przyłączenia się do Brygady "Wiktora", która znajduje się w stanie organizacji i kwateruje w folwarku Gulbiny.

Zostawiam "Sławka" w Wilnie a sam wracam do Jerozolimki. Powrót przez most Zielony a także i / przez most Zwierzyniecki jest wysoce niebezpieczny. Podobno Niemcy strzelają tam do każdego próbującego wejść na mosty. Ryzyko ogromne. Trzeba szukać innej drogi. Trafiam w dowództwie na łączniczkę, młodzutką, może 15-to letnią dziewczynkę, która ma za zadanie przedrzeć się przez kordon ubezpieczeń niemieckich i dotrzeć z meldunkiem do sztabu

majora "Węgielnego" w okolicy Mejszagoży. Mam więc towarzyszkę bo idziemy w jednym kierunku.

Droga nasza prowadziła przez dzielnicę Zakret, aby w pobliżu cmentarza przeprowić się łądką przez Wilię na Zwierzyniec. Czekał nas długi i trudny marsz. Przeprowę przez rzekę powinniśmy wykonać późnym wieczorem. Mamy więc przed sobą dużo czysu. Postanawiamy przeczekać ukryci między grobami cmentarza na Zakreciu.

W samo południe 3 lipca kroczyliśmy we dwójkę z "Halszką", towarzyszącą mi łączniczką, ulicą Mała Pohulanka a dalej ulicą Zakretową. Doc-hodzimy do przecznicy ulicy Lubelskiej, gdy przed nami wyrasta tłum ludzi, biegających jakby bez celu tam i z powrotem. Mijają nas kobiety i mężczyźni dźwigający jakieś paczki na plecach, niektórzy trzymali pod pachami butelki jakichś gathkowych wódek czy win.

- Co się tam dzieje? - pytamy.

- Idź i zobacz! - odpowiada nam jakiś starszy mężczyzna i szybko się oddala.

Podchodzimy bliżej zbiegowiska.

Przy zbiegu ulicy Sierakowskiego, po prawej stronie naszego marszu, przy ulicy Zakretowej znajduje się kompleks murowanych dwu i trzy piętrowych budynków. Do wojny mieściły się tam Zakłady Uniwersyteckie oraz Muzeum Przyrodnicze. Obecnie Niemcy ulokowali tam magazyny żywnościowe dla potrzeb załogi niemieckiej. W ogólnym rozgardiaszu, gdy wartownicy hitlerowscy, bojąc się o własną skórę gdzieś się ulotnili, pozostawili magazyny zupełnie bez opieki. Ludność okoliczna dobrze wiedziała jaka jest zawartość tych magazynów. Trudno sobie wyobrazić jak straszliwe było pustoszenie wszystkich pomieszczeń magazynowych podczas grabieży produktów żywnościowych.

Staliśmy po drugiej stronie ulicy przyglądając się tragicomicznej sytuacji. Patrzyliśmy oboje po prostu zafascynowani.

Oto ukazuje się w oknie drugiego piętra młody chłopiec, dźwiga przed sobą jakąś skrzynkę z butelkami, opiera o parapet okna i wyrzuca to wszystko na ulicę. Naturalnie ani jedna butelka z luksusowymi wódkami czy koniakami nie ostała się cała. Szczęście, że nie spadła na głowy stojących przed budynkiem ludzi.

Oto wychodzi z drzwi frontowych budynku potężnej budowy człowiek, dźwiga na plecach worek, chyba stu kilowy, ugina się pod jego ciężarem, docłodzi do chodnika i zwała to za siebie do tyłu, sam padając na worek na wznak. Worek pęka a z niego sypie<sup>nie</sup> chmura białej jak śnieg mąki. Stojący ludzie zagarniają rękami i pakują do woreczków i koszyków, a niektórzy wypańniają kieszenie marynarki i płaszcza.

Z okna na trzecim piętrze, na grubej linie spuszcza ktoś jakiś pojemnik blaszany, chyba o pojemności z 50 litrów. Ktoś inny na dole robi w tym pojemniku gwoździem dziurę i wysacza do różnych naczyń olej jadalny.

Masło w małych paczkach fruwa z innego okna na ulicę.

No ale dość tych atrakcji. Obawiamy się, że wreszcie może najdejsó jakiś patrol niemiecki i zrobi taką masakrę, że to wszystko nie będzie warte takiej ceny.

Szybko oddalamy się w stronę cmentarza.

Jesteśmy już przy bramie cmentarnej, gdy dobiega nas bezładna ~~strzelanina~~ strzelanina od strony opuszczonego przez nas zbiegowiska ludzi. Biegniemy szybko alejkami między grobowcami, znajdujemy ustronne miejsce w pobliżu rzeki i tu postanawiamy czekać nastania zmróku.

Cmentarz od strony rzeki nie posiadał żadnego ogrodzenia. Kończyły się groby i zaczynała się piękna plaża. Tylko z lewej strony, w odległości około 30 kroków majaczyła nad samą rzeką kępa krzaków. Jedyne miejsce skąd możnaby próbować przeprawy. Na brzegu cisza i spokój, nie widać żadnych możliwości zdobycia



łodzi. Po drugiej stronie rzeki, nad samą wodą widnieją dwie małe ch<sup>o</sup>łtki, koło których można zauważyć jakiś ruch. Pewnie są one zamieszkałe przez rybaków.

Po powrocie z tego krótkiego rekonesansu do naszej kryjówki, przedstawilem "Halszce" nieprzyjemną sytuację. Była jednak na to przygotowana.

- Jak zapadnie zmrok mam dać sygnał latarka przez wielokrotne machanie światłem na boki - informuje. - Przewoźnik zna to hasło i z drugiej strony przyplynie.

- A ja już miałem stracha, myślałem, że trzeba będzie wpław przekraczać rzekę.

A więc pożywiliśmy się jakimś kanapkami i spokojnie ułożywszy się w gęstej trawie, próbowaliśmy się zdrzemnąć.

Silne potrząsanie moim ramieniem przerwało mi przyjemną drzemkę. Zmrok już panował, chociaż wokoło jeszcze była zupełnie widoczność. Chłodek ogarniający ciało natychmiast przywołał mnie do całkowitego otrzeźwienia. Zmęczenie jednak dawało mi się we znaki. Jakie to szczęście, że "Halszka" cały czas niemal czuwała.

Była godzina 23<sup>00</sup> gdy na skutek sygnałów świetlnych z tamtego brzegu oderwała się mała łódeczka i cichutko podążyła do naszej plaży przy kąpie krzaków. Bez słowa zajęliśmy miejsca i w parę minut znaleźliśmy się na drugim brzegu. Przewoźnik zapraszał nas na herbatę, ale nie chcieliśmy marnować drogiego czasu. Podziękowanie było jedyną zapłatą za przewóz, bo żadnych pieniędzy rybak nie chciał przyjąć. Udzielił nam rady aby kierować się po zachodniej stronie Zwierzycy, trzymając się blisko brzegów Wilii i dopiero przy jezioru skrócić na północ przez Sołtaniszki. Upowiedział, że na wysokości Nowe Zórawice - Plac Broni, między szosą Wilkomierską i ulicą Kalwaryjską znajdują się pozycje niemieckie w postaci rowów strzeleckich, nie obsadzo-

nych jeszcze, może więc uda się nam przez nie przeskoczyć. Ale tylko w nocy, bo w dzień są one pod obstrzałem z czołgów. znajdujących się przy szosie Kalwaryjskiej.

Zgodnie ze wskazówkami naszego przewoźnika ruszyliśmy przy samym brzegu rzeki, korzystając z przesłaniających nas urwistych brzegów. Cisza panowała wokół więc raźno maszerowaliśmy, ja w przedzie. "Halszka" w odległości 10 kroków za mną.

Przekroczyliśmy mostek nad strumykiem w ulicy Dzielnej i dalej zaszliśmy się w młody lasek otaczający Sołtaniszki od strony zachodniej. A dalej, koło folwarku Justynówka, dużym zakresem omińliśmy Sn-ipszki i Nowe Żórawice, chcąc się dostać do lasu koło wioski Nowosiółki, porastającego teren aż do ulicy Kalwaryjskiej.

Niemieckie rowy strzeleckie znajdowały się poza lasem Żórawic-kim i frontem były nastawione na wieś Nowosiółki. Podchodząc <sup>całymi</sup> chyłkiem, a następnie podczołgujemy się aż do brzegu słynnych wykopów. Nic nie wskazuje na obecność Niemców w tych rowach. Robimy skok przez rów i biegiem w stronę wsi. Nagle błysk rakiety i silny ogień karabinów maszynowych. Tylko jakoś nie słyszemy nad sobą bzykania ani świstu pocisków. Chyba strzelanina była skierowana nie w naszą stronę.

Chwila przerwy w strzelaniu i wykonujemy następny skok. Cisza. Powstajemy i szybkim krokiem oddalamy się od okopów niemieckich. Ale to jeszcze nie koniec zagrożenia. Pamiętam przecież o posterunkach czołgów przy ulicy Kalwaryjskiej na wysokości cegielni.

Z Nowosiółek odbijamy na zachód w stronę dużej zwartej wsi Fabianiszki, nie dochodząc do niej skręcamy białą drogą na Jerolimkę.

Już widniało gdy dotarliśmy do mojego domu w Jerolimce.

Tutaj moja towarzyszka odpoczęła ze dwie godziny i po sutym śniadaniu wyruszyła w dalszą drogę.

~~grodzkiego wydziału dnia 21 lipca 1944 r. Dowództwo Okręgu Wileńsko-Mowogródzkiego~~  
W pierwszych dniach lipca Dowództwo Okręgu Wileńsko-Mowogródzkiego wydało znamienny rozkaz Nr 3, podpisany przez generała "Wilka".

Treść Rozkazu była następująca:

" Obywatele i Żołnierze Armii Krajowej Północno-Wschodnich Ziem Rzeczypospolitej.

Wybiła godzina dziejowa. Barbarzyńskie hordy hitlerowskie w popłochu uchodzą. Klęska ich we Francji, we Włoszech i na Wschodzie jest nieunikniona i nieubłagana. Tutejsza umęczona ziemia jeszcze raz nawładza pożoga wojenna. My dzieci tej naszej świętej ziemi musimy do końca wytrwać na posterunku, a swoim czynem zbrojnym i postawą przyczynić się do zwycięstwa. W ten sposób wywalczymy sobie Wolność i Niepodległość.

Żołnierze Armii Krajowej!

Rozkazuję Wam przy napięciu wszystkich sił prowadzić dalej dzieło naszych bohaterów z pod Kutna, Warszawy, Westerplatte, Kocka... Pomścimy śmierć milionów naszych rodaków poległych w walce i wymordowanych przez hitlerowskich siepaczy. Nadal, tak jak i poprzednio bijcie i niszczone każdy napotkany oddział niemiecki. Zwycięska Armia Sowiecka idzie w ślad za odchodzącymi Niemcami jako sprzymierzeniec naszych wielkich Aliantów. Wierzymy, że uszanuje nasze umiłowanie Ojczyzny, Jej Wolność, Niepodległość i Niepodzielność. Spotkamy Armię Sowiecką jako sprzymierzeńca naszych Aliantów i nadal wesprzemy Jej zbrojny wysiłek w walce z Niemcami, bijąc oddziały wroga i udzielając wkraczającej Armii Sowieckiej poparcia i pomocy.

Polecam dowódcom Armii Krajowej przy spotkaniu Armii So-

wieckiej ujawniać się celem uzgodnienia akcji wojskowej w walce ze wspólnym wrogiem.

Ludność cywilna wzywam do zachowania spokoju i pozostawania na miejscu. Zagrożeni przez działania wojenne, bombardowania czy przez napady ~~na~~ bandytów i maruderów - winni wyjechać lub wyjść do miejscowości mniej zagrożonych, przeczekać tam zawieruchę odwrotu armii niemieckiej i wrócić do swych siedzib.

Wojna wielkimi krokami zbliża się do końca. Musimy wytrwać i przetrwać tak, jak wytrwali i przetrwali nasi ojcowie i dziadowie na tych Północno-Wschodnich Ziemiach Rzeczypospolitej.

Niech żyje Wolna i Niepodległa Rzeczpospolita Polska!

Podpisał: Dowódca Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego

" W i l k " generał.

Rozkaz ten był jedyną wskazówką zachowania się żołnierzy Armii Krajowej i ludności cywilnej wobec Armii Sowieckiej.

Gdy Armia Czerwona zbliża się pod samo Wilno, gdy masy wojsk hitlerowskich w stanie częściowej dezorganizacji cofają się pod naciskiem wojsk radzieckich, gdy poważne siły piechoty zmotywowanej niemieckiej przedarły się poprzez pierścień oddziałów partyzanckich do miasta - wówczas Brygada "Żejmiana" pod dowództwem kapitana "Wujka" - Witolda Kiewlicza znajdowała się w okolicy Niemeczyna. Wysłany zwiad przyniósł z Wilna ciekawą wiadomość, że hitlerowcy zdeorganizowani uciekają z miasta na północ wzdłuż traktu wileńskiego oraz na wschód wzdłuż rzeki Wilii. Podobno większe siły przeprowadzały się przez rzekę w okolicy Waki Kowieńskiej.

Otrzymuję rozkaz przeprowadzenia wywiadu i nawiązania kontaktu z nieprzyjacielem, bez wszczynania walki. Według informacji okolicznych wieśniaków, luźne oddziały piechoty niemieckiej i na motocyklach znajdują się w okolicy Rzeszy.

Dobrałem ze swego plutonu najlepiej uzbrojonych chłopców i ruszyliśmy z Jerozolimki szybkim marszem od strony wsi Bojary wzdłuż drogi polnej na Lendzieniszki.

Była godzin-a 4 nad ranem dnia 7 lipca. Było już zupełnie widno i w odkrytym terenie istniała możliwość dalekiego wglądu. Nie się naokoło nie działo. Widniejący w oddali jakiś nieduży folwarczek dawał już oznaki życia, bo z komina unosił się pionowo w górę słup dymu. Postanowiłem dotrzeć do tego folwarku, a z tamąd zrobić skok na główną szosę, ewentualnie zasięgnąć języka, a potem skierować się w stronę Wilna na spotkanie z oddziałami hitlerowskimi.

Drogę tą znałem jeszcze ze z czasów przedwojennych i wiedziałem, że wzdłuż tej drogi są rozsiane laski i zagajniki, które mogą ukryć niewielki oddziałek.

Zabudowania zagrody osiągnęliśmy przeskakując pojedynczo poprzez niepokryty teren. Koło stodoły pozostawiłem swoich chłopców, a byli to: "Lech", "Kopań", "Lutek", "Zuch" i "Czajka. Sam podszedłem pod dom mieszkalny i spojrzałem przez okno. W mieszkaniu znajdowała się tylko staruszka. Siedziała przy piecu i coś gotowała.

- Czy warto wchodzić - myślę.

Wchodzę jednak do kuchni, staruszka nie przestraszyła się zupełnie moim wtargnięciem bez pukania.

- Panoczku! Synów niema, oni dawno do Wilna pojechali.

- Mamusiu, a Niemców tu niema?

- To wy nie "miemieć"? Mój Boże! - A toż nie więcej godziny jak tutaj byli. Przewrócili wszystko, nie wiem czego szukali i strasznie prędko odeszli.

- A dokąd? - pytam

- Chyba na Mejszagołę.

No więc było jasne, że znajdujemy się albo na tyłach oddzia-

łów niemieckich albo w momencie ich przemarszu.

Wzmogłem ostrożność.

~~Skok do~~ Skok do szosy na odległość 2 Km był bardzo ryzykowny, przypuszczałem bowiem, że szosa po obu jej stronach jest silnie obserwowana.

"Czajka" wdrapał się na dach stodoły i przez lornetkę zlustrował całe przedpole. Nic nie zauważył.

Najbliższa kępa zarośli znajdowała się w odległości około 300 metrów. Postanowiłem tam przeskoczyć.

Powodzenie naszego zadania polegało na zamaskowanej obserwacji, bo wdawanie się w walkę nie miało sensu wobec niewielkiej naszej siły, no bo cóż można zrobić z pięcioma słabo uzbrojonymi ludźmi.

Pojedynczo, w odstępach pięciominutowych, wszyscy chłopcy znaleźli się w zaroślach. Tutaj sytuacja wyglądała jeszcze gorzej niż poprzednio. Tylko znaczna odległość mogła utrudniać obserwację z szosy na przyległe do niej tereny.

Jeszcze musimy wykonać długi skok na odległość około 800 m., aby osiągnąć widniejącą stojącą samotnie chatkę. Dom, częściowo zrujnowany, wybite szyby, wewnątrz nieporządku. Rozglądam się w terenie. Zdawała rysują się na tle nieba, stojące szeregiem słupy telefoniczne. Wskazują one kierunek biegnącej tam szosy, a w lewo, nie więcej niż 150 m. znajduje się piękny, młody sosnowy las, który chyba opiera się o samą szosę. Wymarzony punkt obserwacyjny.

"Czajka" znów wdrapał się na dach chaty i dokładnie metr po metrze lustrował całą okolicę. Przez lornetkę było widać wyraźnie szosę. Żadnego na niej ruchu nie było.

Po dłuższym badaniu terenu ruszamy pojedynczo do pobliskiego lasu. Kazałem cały lasek dokładnie spenetrować, a następnie zbliżamy się do szosy. W Schronienie było rzeczywiście idealne.

Lasek dochodził do szosy na odległość 20-30 metrów, a szosa w tym miejscu biegła w niewielkim wykopie, co dawało możliwość łatwego zaskoczenia.

Nagle przybiega do mnie "Lutek", młody 16 letni chłopak, obwieszony granatami i uzbrojony w ręczny karabin. Zdenerwowany mówi, że z daleka, od strony Wilna, słycać jakieś głośy i widać grupę maszerujących rowem żołnierzy niemieckich. Wycofujemy się natychmiast do lasku, zachowując możliwość wglądu na szosę. Ułożymy się na skraju lasku zajmując najwyższy punkt wzniesienia, skąd mogłem obserwować wyraźnie co się na szosie dzieje.

Wysłany na zwiady "Zuch" zdaje po powrocie relację, że gęsięgo maszeruje niewielki patrol niemiecki, w ilości 9 żołnierzy, a każdy z nich ma na szyi wiszący pistolet maszynowy. Wygląda to na samodzielny patrol, bo nie widać w pobliżu żadnych oddziałów. Dwóch Niemców kroczy przodem na 10 kroków przed resztą, trzymając pistolety przed sobą skierowane na lasek i gotowe do strzału.

Szybko zajęliśmy stanowiska w tyralierce. Nie kazałem otwierać ognia do czasu pierwszego, oddanego przeze mnie strzału.

Przepuszczamy przed sobą cały patrol niemiecki i z tyłu dajemy serię ognia. Kilku Niemców pada rannych lub zabitych, reszta bez namysku podnosi ręce do góry. Podbiegamy do nich, rozbrajamy i rewidujemy. Było ich tam jeden podoficer i pięciu szeregowych, wszystkich kazałem "Czajce" i "Zuchowi" poprowadzić do majątku Gulbiny, gdzie powinien być "Wujek" ze swoją Brygadą. Przekazałem również meldunek o sytuacji, a resztę wiadomości powinni dać jeńcy. Broń i amunicję naturalnie zabrałem dla swego Oddziału w Jerozolimce.

Dogadałem się z pewną trudnością z podoficerem niemieckim, który bez oporu poinformował, że główne oddziały z Wilna będą wkrótce przechodziły szosą Wiłkomierską, a w Mejszagole znajdu-

ja się tylko niemieckie oddziały straży przedniej. Główne siły wycofującego się nieprzyjaciela wynosić mają 2000 ludzi, pod dowództwem niemieckiego generała Stahela. To były bardzo cenne wiadomości dla oddziałów partyzanckich. Dane dołączyłem do mojego raportu do dowództwa Brygady "Złjmiara" - kpt. "Wujka"

Powróciłem do Jerozolinki aby przygotować swój pluton do dalszej akcji przeciw wycofującym się Niemcom. Tużaj dowiaduję się, że w nocy 6 na 7 lipca została dokonana koncentracja oddziałów powstańczych w dzielnicy Kalwaryjskiej na przedmieściu Snipiszki i że oddziały Armii Krajowej rozpoczęły akcję bojową przeciwko załodze niemieckiej w mieście.

W czasie mojej nieobecności w Jerozolimce zjawili się dwaj partyzanci na koniach, zostawili dla mnie informację o działaniach na terenie dzielnicy Kalwaryjskiej i odjechali. Miał to być zwiad konny 2 Zgrupowania.

Już 3 lipca nastąpiła całkowita ewakuacja z Wilna władz i litewskiej ludności cywilnej pociągami i samochodami na zachód.

Naloty bombowców sowieckich na miasto i stację kolejową wzniesły pożary i niszczyły tory kolejowe. Z Jerozolinki widać wieczorami pióropusze rakiet świetlnych przy wtórze wybuchów bomb lotniczych.

6 lipca 1944 roku skoncentrowane Brygady partyzanckie Armii Krajowej prowadzą od strony wschodniej natarcie na umocnienia niemieckie w Wilnie. Akcja ta zakończyła się niepowodzeniem, ponosząc za sobą ogromne straty w ludziach, szczególnie wśród żołnierzy 3 Brygady "Szczerbca".

W nocy 6 na 7 lipca zostaje wysadzony przez hitlerowców most Zielony a w dniu 9 lipca most Zwierzyniecki.

A tymczasem główne walki 2 Zgrupowania z poważnymi siłami wojsk hitlerowskich toczyły się na zachód od Jerozolinki, w re-



jonie Nowosiółki~~x~~ Dolne - Krawczyny - Płocieniszki, gdzie były skoncentrowane wszystkie Brygady Zgrupowania. W walkach tych nasze oddziały poniosły bardzo duże straty w ludziach, a szczególnie ucierpiały Brygady "Żejmiana", "Juranda" i "Ronina". 14 lipca odbył się pogrzeb 16 poległych pod Nowosiółkami partyzantów na cmentarzu w Kalwarii. ~~Każ~~ Wśród poległych znajdował się dowódca Brygady "Jurand" .

Przez Jerozolimkę w dniach 7 i 8 lipca, szosą na Niemenczyn przeszły większe oddziały niemieckie, a silny patrol na motocyklach ośsadził mostek na strumyku. Mój pluton przez kilkanaście godzin znajdował się w gęstych krzakach nad jeziorkiem w pobliżu mostu, lecz wobec ogromnej przewagi niemieckich wojsk nie podejmował akcji.

Już 8 lipca po południu ruch na szosie zupełnie ustał, a obsada niemiecka ~~na~~ przy mostku na strumyku wycofała się z powrotem do miasta. Pod wieczór przeżyliśmy w Jerozolimce nalot samolotów sowieckich. Były to samoloty myśliwskie, zwiadowcze, lecące nisko nad zabudowaniami, okrążały osiedle i odlatywały w stronę miasta Wilna, gdzie dostawały się pod silny ogień karabinów maszynowych.

Dnia 9 lipca, skoro świt, zebrałem w zaroślach w dole wąwozu swój pluton. Brakowało tylko porucznika "Marcina" - Rakowskiego. Jeden z chłopców, mieszkający w pobliżu Rakowskiego, zaszedł po drodze do niego ale ten podobno leżał w łóżku i w ordynarny sposób kazał się żołnierzowi "wypierdalać". Mówi mi o tym, a mnie zła krew zalewa. Biorę ze sobą dwóch uzbrojonych partyzantów i biegniemy do domu pana porucznika. Walę kolbą rewolweru w drzwi drzwi, ale nikt na to nie reaguje. Każę strzelić w zamek. Po chwili otwierają się drzwi i ukazuje się w nich przestraszona dziewczyna, córka Rakowskiego. Wpadamy do środka. Pan poru-

cznik leży w bieliźnie n-a kółku i bezczelnie w nas się wpatruje.

- Ty podły tchórzul - wołam - Rozprawimy się z tobą po woj-  
nio. Teraz nie mam czasu i szkoda mi kuli. Dawaj swój rewolwer,  
amunicję i karabin, który chowasz pod progiem. Ale już! - i re-  
petuję rewolwer celując mu w twarz.

Zbladł cały. Ociągając się wstał, oddał rewolwer i dwa ma-  
gazynki, lornetkę i pokazał miejsce ukrytego karabinu.

Dziś się zastanawiam czy postąpiłem słusznie, ale wściekłość  
wypełniała mnie po brzegi. Zabraliśmy wszystko i powróciliśmy do  
oddziału.

Tego dnia znów od samego rana przelatowały nad Jerozolimka  
samoloty sowieckie, a koło południa zjawił się na dziedzińcu na-  
szego domu kilku osobowy patrol sowiecki. Rozłożyli się w pobli-  
żu jeziora. Było ich dziewięciu i dowodził nimi młodziutki sier-  
żant. Wszyscy oni szli bez żadnego zaopatrzenia, bez płaszczy, w  
swoich typowych bluzach ujętych skórzanym pasem. Przez jedno ra-  
mie przewieszony był worek z płótna na sznurku, w rodzaju nasze-  
go c-blebaka, n-a plecach również na sznurku torba płócienna, a-  
le za to każdy miał pepeszę z tarczowym magazynkiem.

Zupełnie, położyli się na trawie, a dwóch z nich podeszło  
do mnie bo zbliżałem się ku nim żeby zaoferować pomoc. Od razu  
wiedzieli kim jestem, bo jeden z nich wyciągnął rękę do powita-  
nia i rzekł.

- Partizan? Wot haraszol

- Nam nužno nieczto pokuszać - dodaje drugi.

Idziemy do kuchni, gdzie na stół wysypuje z chlebaka kaszę  
jaglaną i każe ugotować.

Ogromny sagan staje na płycie kuchennej a w nim Zenia i Mar-  
ta przygotowują gęstą pożywną zupę, zresztą z dodatkiem kaszy,  
która nam żołnierze przynieśli.

A tymczasem nad naszymi zabudowaniami krąży samoloty. Jeden z nich, chyba myśląc, że ma pod sobą jakichś niemieckich maruderów, chwiłyż lot i puścił serję z karabinu maszynowego. Na szczęście bez przykrych skutków.

Żołnierze sowieccy zjedli w pośpiechu przygotowaną strawę, dostali po kawale chleba i szybko oddalili się na zachód, gdzie jak informował mnie sierżant znajduje się ich batalion.

Znaleźliśmy się więc już w strefie frontowej.

Na południe od nas toczyły się walki Armii Czerwonej z pozostałą załogą wojsk hitlerowskich.

O północy 9 na 10 lipca zdecydowałem się z całym oddziałem dołączyć do macierzystej Brygady "Wiktora", która w tej chwili znajdowała się w majątku Gulbiny, gdzie po stoczonych zwycięskich walkach z Niemcami w okolicy Suderwy, oczekiwała dalszych rozkazów. Była godzina 5 rano, gdy zameldowałem swoje przybycie z plutonem u majora Makowskiego, który pełnił obowiązki dowódcy Brygady "Wiktora", gdyż dowódca w tym czasie znajdował się na odprawie u "Węgielnego".

2 Brygada partyzancka Armii Krajowej porucznika "Wiktora" została zmobilizowana dopiero na początku lipca w okolicy miasteczka Rzesza. Była ona zorganizowana w zasadzie w ramach 1-go Zgrupowania Armii Krajowej pod dowództwem majora "Pohoreckiego", jednak na skutek trudności w skomunikowaniu się z dowódcą Zgrupowania, została do odwołania podporządkowana majorowi "Węgielnemu".

Major Makowski, zastępujący "Wiktora", to starszy pan, ponad pięćdziesiątkę, ale dobrze się trzymający, miał ogromnie odpowiedzialne zadanie, gdyż jako najstarszy ranga oficer na terenie koncentracji oddziałów partyzanckich w Gulbinach, pełnił zwierzchnictwo, szczególnie wobec nieobecności dowódców Brygad. W tym właśnie czasie odbywała się "słynna swym charakterem" odprawa u generała "Wilka".

Oczekiwaliśmy rozkazów dalszej akcji oddziałów partyzanckich w związku z podejściem frontu Armii Czerwonej pod Wilno.

Wreszcie do sztabu 2 Zgrupowania w dniu 14 lipca dotarł łącznik z rozkazem generała "Wilka" o odwołaniu wszystkich oddziałów Armii Krajowej z frontu wspólnych walk z Armią Czerwoną i koncentracji całego Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego w rejonie wsi Skorbuciany-Tatary - Czarny Bór.

Poprzedniego dnia, 13 lipca major "Węgielny" w porozumieniu z generałem Armii Sowieckiej Gładyszewem, przy udziale wszystkich Brygad, znajdujących się na zachód od traktu Wilkomierskiego, stoczył największy chyba bój z wycofującymi się wojskami generała Stahela.

~~Rozkaz dnia 13 lipca 1944 r.~~

13 lipca na miejsce również wkroczenie wojsk sowieckich do Wilna, pod osłoną zmasowanego potężnego ognia artyleryjskiego.

Tego samego dnia wieczorem Zgrupowanie "Węgielnego" rozpoczyna wykonywanie rozkazu gen. "Wilka" o wycofaniu naszych oddziałów z frontu. O tej decyzji został powiadomiony dowódca sowiecki.

A tymczasem znaczne ilości partyzantów zbierały się w majątku Gulbiny, gdzie szykowano się do marszu w rejon koncentracji to jest do wsi Woźkorabiszki. Tam się znajdowała kwatery generała "Wilka" i jego sztab.

Nie pamiętam kto dowodził wówczas naszym całym wojskiem w Gulbinach, wydaje mi się, że to spadło na barki majora Markowskiego. Około 2000 ludzi obozowało pod gołym niebem na wielkiej polanie nad jeziorami Krzyżackim i Zielonym. Jeszcze dziś mam przed oczyma wspaniałe koloryt szmaragdowych jezior.

Zbliżał się wieczór. Rozpalone ogniska mają służyć dla spierzania jakiegoś pożywienia, bo przecież każdy z nas miał przy sobie trochę różnorodnej żywności.

Janka Pławska w trosce o syna i męża dźwigała wspólnie z Zenią jakieś wiktuały. Czuliśmy się wszyscy beztrosko, bezpieczni, przecież Sowieci byli już u wrót miasta, wojska hitlerowskie na zapleczu frontu zlikwidowane, nasi dowódcy dogadują się z władzami radzieckimi o dalszy udział Armii Krajowej w walkach.

Major jednak przezornie kazał wystawić wokół naszego obozowiska zbrojne placówki dla ochrony przed napadem jakiejś bandy maruderów niemieckich czy litewskich. Noc jednak minęła spokojnie, spaliśmy jak w domu, było ciepło i tak jakoś przytulnie.

Następnego dnia, wczesnym rankiem ruch w obozie był już w całej ~~pełni~~ pełni.

Zgłasza się do mnie Antos Czaplicki i coś mi zawile tłumaczy, że to niema sensu, że diabli wiedzą co myśla bolszewicy, że chyba najlepiej będzie gdy pojedynczo wrócimy do domów i tam przesiedzimy do czasu wyjaśnienia się sytuacji politycznej. Byłem zdziwiony i nawet oburzony takim stanowiskiem, ale bez słowa wymówki zaproponowałem mu aby zabrał ze sobą Zenię, swoją narzeczoną i koniecznie Jankę, żonę Bohdana i zaraz wyruszył do Jerozolimki. Antos z Zenią rzeczywiście od nas odeszli, ale Janka ~~nawet~~ słuchać nie chciała, mówiąc że póki jej syn i mąż są w oddziale ona również pozostanie. Razem z Antosiem poszedł jeszcze jeden mój żołnierz.

Koło godziny 16<sup>00</sup> /11.VII.44 r/ Brygada nasza przemaszerowała do wsi Lubawy, gdzie mamy zamiar przeczekać do powrotu naszych wódców. Wieś Lubawa znajduje się przy ~~tr~~trakcie na Niemenczyn, w pobliżu rzeki Wilii. Obrany kierunek na Niemenczyn wynikał z możliwości przeprawy przez Wilie po moście drewnianym, znajdującym się w tym miasteczku.

13 i 14 linie zaczęły w okolicę wsi Lubawy napływać oddziały które brały udział w walkach koło Suderwy i zostały rozkazem "Węgielnego" wycofane

celem udania się w stronę puszczy Rudnickiej.

Dochodziły nas niepokojące wiadomości od przybyszów z siatki konspiracyjnej w Wilnie o stosunku Sowietów do naszych żołnierzy. Podobno zamknięto całkowicie wstęp uzbrojonym partyzantom do Wilna. Podobno były aresztowania Polaków w mieście. A wogóle to niepokoił nas los naszych dowódców, o których nie mieliśmy żadnych wieści.

14 lipca o godzinie 3<sup>00</sup> nad ranem został wydany rozkaz szybkiego marszu w rejon koncentracji. Część oddziałów przeprawiła się mostem pontonowym, zbudowanym przez Sowietów na rzece Wilii, a część poszła do Kojran aby tam przenoć.

15 lipca zjawił się nasz dowódca Brygady "Wiktor" i wygłosił krótkie przemówienie do żołnierzy. W swoim przemówieniu sugeruje, że między naszymi oddziałami i władzami sowieckimi zastrza się sytuacja, że są jakieś nieporozumienia. Wzywa wszystkich do czujności, a w każdym razie nie dopuszczenia do rozbiorzenia. Nakazuje marsz ubezpieczony i ubezpieczanie się na postojach. Nie podaje nam nic konkretnego. Informuje natomiast, że wszyscy dowódcy Brygad i sztab "Wilka" zostali <sup>cy</sup> zaproszeni przez dowództwo frontu Białoruskiego na odprawę do wsi Bogusze. Ma się to odbyć 16 lipca. Do tego czasu należy wykonać rozkaz koncentracji Armii Krajowej w nakazanym rejonie.

Dnia 16 lipca "Wiktor" udał się do wsi Bogusze na spotkanie z generałem "Wilkiem". gdzie miało się odbyć <sup>narada</sup> ~~spotkanie~~ z dowódcą wojsk radzieckich. Nie było <sup>żadnej</sup> ~~żadnej~~ <sup>narady</sup> ~~spotkania~~, jak się później okazało, ale zwykła ohydna zasadzka i aresztowanie przez NKWD.

Dziś <sup>to zmierz 15j</sup> mieliśmy całą kolumną, łącznie z posiadanym przez Brygadę taborem, przejść przez miasteczko Niemieżyn i most na rzece Wilii. Przemarsz oddziałów partyzanckich przez miasteczko miał bardzo uroczysty charakter, chociaż <sup>nie było</sup> ~~żadnej~~ defilady ~~nie było~~ tam <sup>nie było</sup> ~~miejsca~~. Miejscowa ludność entuzjastycznie nas witała, przy tym

było dużo radości i humoru.

Jedna z Brygad prowadziła przy swoim taborze młodego byczka. Był ten byczek uwiązany sznurem do wozu i siedł sobie spokojnie, spuściwszy łeb do dołu. Jednemu wojakowi zachciało się przejażdżki wierzchem i do tego celu unatrzył sobie właśnie potulnego zwierzaka. Wskoczył mu na grzbiet. Ale byczek nie okazał się znów taki bardzo potulny. Szarpał sznurem, zerwał go i pogalopował ze swym jeźdźcą środkiem ulicy. Śmiech i oklaski wtórowały temu triumfalnemu przejazdowi. Mniej miał do śmiechu dzielny partyzant, bo po krótkiej jeździe w podskokach, został przez wesołego byczka zrzucony na ziemię.

Po przybyciu naszej Brygady do wsi Tunany dowiedzieliśmy się o aresztowaniu "Wilka" i wszystkich dowódców przez NKWD na zwołanej przez sowieckie władze wojskowe odprawie. Jak nas informowano, odprawy ani żadnych rozmów tam nie ~~była~~ prowadzono. Pod groźbą wycelowanych karabinów nastąpiła <sup>o</sup>rozbrojenie, a następnie przygotowanymi ~~zawczasu~~ samochodami ciężarowymi wywieziono wszystkich w stronę Wilna. Jak się później okazało, umieszczono naszych wodzów w więzieniu na Łukiszkach.

O godzinie 15<sup>00</sup> dnia 17 lipca, na odprawie oficerów, zapada decyzja marszu ubezpieczonego w kierunku puszczy Rudnickiej przez wieś Roszańce, Turgięle i Taboryszki. Mamy nadzieję, że w międzyczasie wyjaśni się sprawa aresztowania dowódców i dojdzie do porozumienia z wojskowymi władzami sowieckimi.

Maszerujemy więc polnymi drogami, nie niepokojeni przez wojska radzieckie.

W Roszańcach spędzamy noc bezsennie licząc się nawet z możliwością podjęcia nierównej lecz honorowej walki z sowietami, w obronie przed rozbrojeniem. Cała noc z 17 na 18 lipca krążyły nad nami samoloty t.zw. "kukuruzniaki", a nad ranem, koło go-

~~dojmy~~ ~~do~~ ~~stojąc~~ ~~było~~

dzin-y 4<sup>00</sup> słychać było ze wszystkich stron warkot czołgów i samochodów.

Jeden z polskich oficerów zwołał błyskawicznie odprawę i zakomunikował, że sowieci żądają natychmiastowego złożenia broni, bo w przeciwnym razie rozpoczną przeciw nam ogień karabinów maszynowych i artylerii. Jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni przez wojska NKWD.

Było to wyraźne postawienie sprawy. Nasza rola w tej wojnie dzięki interwencji ZSRR - z a k o Ń c z o n a.

Na skraju wsi Rosłańce ustawiono<sup>o</sup>, z jakichś jakiejś chaty wyciągnięte dwa stoły.

Nasi chłopcy podchodzą gęsiego i składają na stół cały swój ekwipunek. Ale to sowietom nie wystarczyło. Zażądali składania na stół zawinięte w chusteczki do nosa wszystkie dokumenty oraz przedmioty takie jak zegarki, klucze, scyzoryki, żyłетки i.t.p.

- Chto eto za klucz? - pyta mnie sierżant rosyjski, widząc że choć mały klucz "Yale" zachować.

- Od mojego mieszkania - odpowiadam

- Niczewo. Wam eto nie nužno.

Zarzekowałem. Nie oddaję im dokumentów, które posiadam oddzielnie w portfelu w tylnej kieszeni spodni. Był tam również, darowany mi przez żonę na szczęście, obrazek Sw. Teresy, który odbył razem ze mną całą gehennę aż do powrotu z wygnania do Ojczyzny.

Po rozbrojeniu ustawiono nas wzdłuż drogi w kolumnie czwórkowej. Tak staliśmy do godziny 13<sup>00</sup>. Otoczeni przez uzbrojonych bojów, konwojowani przez kilku żołnierzy na koniach, pomaszewaliśmy dalej ku swemu przeznaczeniu.



I/856

ARCHIWUM WSCHODNIE

III. DROGA NA WSCHÓD

Rozdział 8. Miedniki

9. Więzienie na Łukiszkach

10. Droga na "wschód"

Rozdział 8. - M I E D N I K I

Spoglądam i widzę jak obok stolików, za którymi usadowili się podoficerowie sowieccy, zwiększa się stos przeróżnej broni.

A jednak nie było to całe uzbrojenie, stos ten wcale nie odpowiadał ogólnej ilości rozbrajanych chłopców. Tam wśród stodół, obór i ogrodów warzywnych, płytko pod powierzchnią ziemi znajdował się cały arsenał, który starali się nasi żołnierze w jakiś sposób zamelinować. Był to odruch nieprzemysłany, odruch wynikający z uczucia upokorzenia i bezsilności. Odruch ten świadczył o zupełnym braku zaufania dla zapewnień pochodzących od naszych "sojuszników".

A potem ten powolny ociężały krok młodych ludzi w stronę bitej drogi, na której w złowrogiej ciszy zbierał się tłum żołnierzy. Trudno tu było dopatrzeć się jakiegoś aktu przyjaźni ze strony tych, którzy, świadomi swej przewagi fizycznej, niepomni ponoszonych przez Polaków trudów i cierpień, okazywali stale swój wrogi do nas stosunek. Przecież ci młodzi chłopcy w równym, a może nawet silniejszym stopniu pałali nienawiścią do wspólnego wroga.

Cały dzień trwało to dziwne misterium. Cały dzień do późnego wieczóra dnia 18 lipca słychać było piskliwe pokrzykiwania boj-ców próbujących wprowadzić porządek w tłumie ludzi na drodze.

Było nas tam chyba z/pięć tysięcy. Cała ta gęstwa ludzka bez przerwy kotłowała się jak we wrzącym garnku. Powstał niesamowity hałas, bo zaczęto spontanicznie organizować grupy według przydziału do polskich oddziałów. Brak dowódców wyższego szczebla pogłębiał ten chaos. Bojcy krążyli wokół tej gromady, jedni z nich pieszo z pikami na karabinach, inni na koniach z nachajkami w rękach.

Droga z-a wsią, na długości około 150 metrów wchodziła do

wykopu, którego skarpy sięgały na 10 do 15 metrów wysokości.

Na takim wzniesieniu, z lewej strony, oddalona o 20 metrów od brzegu wykopu stała szczytem do drogi drewniana chata kryta dranicą, czyli rodzajem gontu wyrabianego przez rolników na miejscu przez rozszczepianie drewna wzdłuż słoików.

Dom ten posiadał w szczycie jedno okno z widokiem na drogę, dwa inne oraz drzwi wychodziły na ogrodzony dziedziniec. W pewnej odległości znajdowały się zabudowania gospodarcze - stodoła, obora i niewielki śpichrz.

Na dworze robiło się szaro, zmrok ogarniał całe otoczenie.

Zanosiło się, że pewnie będziemy tak stać na drodze i organizować się przez całą noc.

- Będę próbował uciekać - mówię przyciszonym głosem do Bohdana, z którym trzymaliśmy się dotychczas razem. Zresztą jego żona i syn byli również w pobliżu.

Oddalam się do przodu kolumny, dochodzę do jej czoła, a potem raptownie ścęcam w lewo i spokojnie wdrapuję się po skarpie na górę do widniejących zabudowań.

Nikt absolutnie nie zainteresował się moim manewrem. Znajduję się przed domem i wchodzę do środka.

Spotyka mnie młoda kobieta, która bez zdziwienia radzi mi iść koło stodoły, skąd tylko pół kilometra jest do najbliższego kompleksu leśnego a dalej już puszcza Rudnicka, którą można dojść wzdłuż raki Merezanki aż do Olkienik.

- Och proszę pan-a - dodaje - przez cały dzień koło mojego domu przeszło pewnie z tysiąc chłopów.

- Czy można u pani odpocząć z pół godziny? - pytam.

- Proszę. Tylko nie odpowiadam za pana jak wpadną tu bolszewicy.

Usiadłem na ławie i spoglądałem przez okna na dramat rozgrywający się na drodze. Byłem w rozterce. Wiać czy wracać do ko-

lumny, do swoich.

Z jednej strony problematyczna wolność, wolność zwierzaka, na którego polują bezwzględni myśliwi, a w konsekwencji w razie złapania poniesienie nieprzewidzianych skutków. Z drugiej strony istnieje nadzieja zwolnienia do domu, bo przecież trudno się doszukać u nas jakiejś winy czy przestępstwa na szkodę nowych władców. No i poczucie ambicji osobistej i obowiązku żołnierskiego, nakazującego mi pozostać do końca ze swoimi chłopcami, którzy przecież idac ze mną - zaufali mi.

Zdecydowałem wrócić do swoich.

Spokojnym krokiem, przechodząc obok stojącego bojca, wchodzi w tłum żołnierzy. Wolno posuwam się do tyłu kolumny, która zaczyna przybierać coraz bardziej prawidłowe formy. Rozglądam się w koło szukając twarzy moich towarzyszy. Mam to o tyle ułatwione, że większość siedzi lub leży na drodze i przez to mam dość daleki wgląd. Tylko, że robi się coraz ciemniej. Słyszę z wymówione z daleka moje imię i poznaję po głosie Bohdana. Jestem znów między swoimi. Wyjaśniam im cały przebieg mojego działania i moją filozofię. Uzyskuję potwierdzenie słuszności zajętego przeze mnie stanowiska.

W pewnym momencie przychodzi mi na myśl, że mam przy sobie jakieś dokumenty osobiste. Bohdan też coś tam przy sobie zostawił. Przewiduję, że najprawdopodobnie gdzieś poddadzą nas dokładnej rewizji. Przecież nie musimy występować pod naszymi prawdziwymi nazwiskami - trzeba więc wszystko to w oznaczonym miejscu zakopać.

- Oj, naiwni z nas ludzie! Zdawało się nam że za kilka lub kilkanaście dni wrócimy tutaj i swoje papiery zabierzemy.

No więc lżejsi o wagę mniej lub bardziej obciążających nas dokumentów, sadowimy się w kolumnie i czekamy na sygnał odmasze-

rowania.

Wreszcie o północy dnia 18 na 19 lipca zaczyna się ruch. Migają letarki kieszonkowe i słychać wrzaski w rosyjskim języku. Kolumna od czoła ustawia się czwórkami, piątkami a czasem nawet ósemkami i powoli rusza do przodu.

Nie znamy ani kierunku ani też punktu docelowego naszego marszu. Bardziej otrząskani w tym terenie twierdzą, że idziemy w stronę Wilna, inni znów przypuszczają, że jest to kierunek na Oszmianę. Naturalnie każdy z tych kierunków nasuwa różne skojarzenia i różne prognozy.

Wilno... no to zrozumiałe. Dom i rodzina, a może wolność.

Oszmian-a ... to coś wręcz przeciwnego - to marsz ku nieznanym przyszłości.

Idziemy przez wieś Pawłowo i Turgiele, jakieś 15 Km od miejsca wymarszu znajdujemy się w niewielkim folwarku, zdaje się Makuciszki, czy coś w tym rodzaju. Folwark jest zupełnie wyludniony. Nie ma tu dziś ~~raz~~ właścicieli, tylko w małym <sup>m</sup>domku przy drodze zamieszkuje stary dozorca.

Było jeszcze kilka godzin do świtu, gdy nasi konwojeńcy zarządzają jednogodzinny odpoczynek, pod warunkiem, że nie wolno się z kolumny oddalać. Każdy siada gdzie popadnie, niektórzy natychmiast zasypiają.

Zostawiamy na miejscu Jankę a sami, to znaczy ja, Bohdan i Seweryn, idziemy do przodu kolumny.

Po prawej stronie naszego marszu widzimy wysoki parkan, do którego jest dobudowana szopa-drewutnia. O okap tej szopy oparte są grube, dwu calowe szerokie deski, tworząc przedłużenie spadku dachu.

- A może zostaniemy w tym folwarku? - pyta Bohdan - właściciele to moi dobrzy znajomi.

- Ale jak? - zastanawiam się.

- Sewerynku! Wal do mamy i powiedz żeby na nas czekano za kilka dni w Wilnie. w domu.

Seweryn z pewnymi oporami, czekając potwierdzenia rozkazu przeze mnie, odwraca się i idzie do kolumny.

Bohdan chwyta mnie za rękę i wciąga momentalnie pod osłonę z desek przy drewni. Układamy się obok siebie i przez szparę między deskami obserwujemy co się na zewnątrz dzieje. Zaczyna powoli świtać.

- Padninasia! Szagom marsz - rozlegają się głosy konwojentów.

A my dwaj w ukryciu siedzimy jak trusie. Bez ruchu, bez szmeru. Patrzymy tylko co się tam dzieje.

Na dziedziniec, gdzie się znajduje nasza kryjówka, wchodzi na koniu sowiecki podoficer. Objeżdża całe podwórko i raptem zatrzymuje się tuż przed nami. Czujemy zapach potu końskiego. Jeździec przechyla się z konia i zagląda pod deski i wrzeszczy.

- Wychadi!... Swożocz!... Ja tiebia si czas pad stienku!

Wychodzę pierwszy i biegiem wpadam w tłum naszych żołnierzy, którzy natychmiast mnie ukrywają wśród siebie. Bohdan chce powtórzyć mój manewr ale mu się to nie udaje, bo jeździec zabiega mu drogę i już celuje w niego z rewolweru. Złowroga cisza zalega nad całą kolumną. Groza wisi w powietrzu.

Nagle z szeregów wybiega Janka, staje między bojcem i mężem. Zaczyna prosić i przekonywać bolszewika. Ten jeszcze wrzeszczy, jeszcze wymachuje pistoletem, ale powoli się uspakaja i każe wspaniałomyślnie wracać do kolumny.

Maszerujemy dalej.

Druuga próba wyrwania się z rąk prześladowców - nieudana.

Ile jeszcze takich prób będzie? Która z nich będzie ostatnią. niezależnie od tego czy będzie pomyślna czy nie?

Jaskrawy, złocisty blask od wschodu ogarnia świat, a na nim zmęczone, idące drogą długie szeregi polskich żołnierzy, którym los i zła ludzka wola nie pozwala przelać krew w walkach o Niepodległość Kraju. Obcy najeźdźca, mieniający się naszym przyjacielem i sprzymierzeńcem postawił nieprzebytą zaporę na drodze ku naszej Polsce, ku rodzinnym stronom, nie pozwala cieszyć się zwycięstwem sprawiedliwości nad straszliwymi zbrodniami znienawidzonego hitleryzmu.

To jasne słońeczko, wychodzące z nad wierzchołków widocznego na wschodzie lasu, oświetlało niesamowity obraz ręki i rozpacz ludzkiej, tym większej, że przeniknięty świadomością żołnierza o jego bezsilności. To nieprawdopodobne aby jakiegokolwiek względy polityczne mogły się stać przyczyną fizycznego i moralnego prześladowania.

Wschód słońca w dniu 19 lipca zastał naszą kolumnę na skrzyżowaniu dróg. Widocznie prowadzący zastanawiali się którą drogę wybrać, bo marsz został zatrzymany. Po kwadransie ruszyliśmy dalej boczną drogą na wschód. Zbliżaliśmy się do głównego traktu, a lepiej znający ten teren stwierdzili, że jest to szosa na kierunku Wilno-Oszmiana.

Znajdujemy się więc zaledwie 30 Km od Wilna.

Minęła jeszcze jedna godzina czasu, gdy wkraczamy na szosę, przechodzimy ją w poprzek i idziemy drogą polną dalej.

Zatrzymujemy się przed jakimiś ruinami. Ale nie... to nie były ruiny, to był wysoki mur z cegły ogradzający, znaczną powierzchnię terenu. Z jednego boku tego muru, od strony północnej znajdowało się szerokie wejście, zamykane mocną żelazną bramą. Droga nasza biegła w pobliżu tej bramy wzdłuż muru.

Z daleka widoczne były zabudowania wsi. Były to Miedniki.  
Miedniki!

Słowo to jeszcze dzisiaj po bezmała czterdziestu latach ko-

jarz-y mi się z niewyobrażalną sytuacją ludzi. Stworzone nam tutaj warunki fizyczne i psychiczne mogły doprowadzić niejednego człowieka do kompletnego załamania.

Słowo to jest wyrazem i świadectwem niesłychanej wprost odporności psychicznej tych młodych żołnierzy.

Miedniki!

W odległości około 50 Km od Wilna znajduje się wieś o schludnych i zasobnych gospodarstwach, zamieszkała przez dawną szlachecką szlachtę. O zasobności mieszkańców świadczą ładne domy mieszkalne z ogródkami pełnymi różnobarwnych kwiatów od frontu ulicy oraz schludne zabudowania gospodarcze, a szczególnie stodoły o wysoko wznoszących się dachach, krytych dranicą lub gontem,

Przy drodze między wsią i szosą znajdują się ruiny dawnego klasztoru o bardzo ścisłej klauzurze, czego świadectwem był właśnie okalający go wysoki mur. Tylko ten mur został po nieistniejącym klasztorze.

Duża powierzchnię obejmował otoczony murem teren, a wewnątrz znajdowało się szereg baraków zbitych z desek i służących na składowisko jakichś towarów. Trudno dziś ustalić jaką rolę spełniał do czasu wojny ten wydzielony teren.

Wprost z szerokiej, dwuramiennej bramy biegnie wewnątrz tego obmurowania twarzą żwirowana droga dochodząc aż do przeciwnego muru, aby przy nim skrócić w lewo pod kątem prostym.

Z prawej strony tej drogi, przy samym murze postawiono dużych rozmiarów drewniany barak, do którego prowadziło troje szerokich drzwi. Wewnątrz baraku znajdowały się tylko wysokie i grube drewniane słupy, podpierające widoczne więzary dachowe. Dach był pokryty jeszcze zupełnie nowymi gontami. Podłoga z grubych, nieheblowanych bali.

Ten to barak stanowił lokum dla 600 oficerów partyzantki



Armii Krajowej.

Z lewej strony tej samej drogi, na wprost baraku oficerskiego, w odległości około 50 metrów znajdował się ~~ustęp~~ latryna. Tutaj nasi chłopcy zostali zapędzeni do wykonania ogromnego wykopu, o głębokości ponad 3 m. który przykryto grubymi balami. Na jednym z brzegów tego dołu kloaczego ustawiono niezdarnie osłonięte "kabiny", z podziałem na męskie i żeńskie. Jako sedesy służyć miały grube bały z otworami w kształcie trójkąta, zamocowane na skrzyżowaniach<sup>ych</sup> oporach z drzewa kantowego. Żadnych ścianek<sup>ek</sup> przedziałowych poza tymi, które stanowiły konstrukcję nośną dla sedesów. Osłona przed wzrokiem przechodźców<sup>n</sup> znajdowała się tylko od strony frontowej. Przedział dla kobiet posiadał jednak osłony solidniejsz-e, chociaż nie stanowiły one w żadnym przypadku wystarczającego zabezpieczenia przed wzrokiem ciekawskich.

Z dala, poza latryna, pod przeciwległym murem znajdowały się tak zwane "wiaty". Były to szopy, posiadające tylną ścianę a dach pokryty gontem wspierał się na kilkunastu słupach drewnianych. Było to miejsce, bo trudno je nazwać pomieszczeniem, zajmowane przez tłumy żołnierzy. Zapełnienie było tak okropne, że miejsca siedzące na podłodze stawały się luksusem, masy ludzi lokowały się worost na ziemi poza tymi wiatami.

Dla kobiet przeznaczono dość dużą stróżówkę, ale i tu ciasnota wprost niewypowiedziana

Spędzone tu w takich to warunkach ciasnoty znajdowało się ponad pięć tysięcy ludzi, mimo, że część żołnierzy została ulokowana w kilku stodołach pobliskiej wsi. Pociągało to jednak za sobą konieczność zaangażowania znacznej ilości bojów dla pełnienia nadzoru.

Niemożliwością było ustalenie ścisłej ilości rozbrojonych i tutaj zatrzymanych żołnierzy, raz dlatego, że nikt żadnej ewiden-

cji nie przeprowadzał, a po drugie kompletny chaos wśród naszych konwojentów sprzyjał przeciekom naszych chłopców z obozu. Były również przypadki gdy dostawiano złapanych gdzieś w terenie uciekinierów.

Cały dzień do wieczora i całą noc robiliśmy porządek w swoim ubraniu i wyposażeniu. Długo w noc toczyły się rozmowy i dociekania na temat różnych zjawisk, które przeżyliśmy w ostatnich godzinach naszego życia. Robiliśmy tak fantastyczne projekty, takie przewidywania, że niejednemu mroziło to krew w żyłach. O zaśnięciu w całym obozie nikt nie myślał.

Koło północy do baraku oficerskiego zjawia się jakiś polski żołnierz z partyzantki. Po skontaktowaniu się z jednym z naszych oficerów, powołuje się na "Gerwazego", szefa sztabu 2 Zgrupowania Armii Krajowej i przekazuje poufną dyspozycję jakoby naszego sztabu. Dyspozycja ta była tak fantastyczna, że aż niewiarygodna. Oto wszyscy oficerowie i podoficerowie mają zostać na miejscu w obozie i czekać przybycia specjalnego wysłannika armii amerykańskiej, gdyż jesteśmy przeznaczeni dla ochrony misji amerykańskiej w Wilnie.

Smieszne ~~ale~~ dla nas frapujące, no i wielu w to uwierzyło, co zresztą odbiło się na usztywnienie stanowiska naszych oficerów w rozmowach z przedstawicielami tworzącej się polskiej armii w Rosji. Ale o tem potem.

Wewnątrz muru pozostawiono nas w zasadzie samym sobie. Z rzadka ukazywał się na terenie obozu żołnierz lub podoficer sowiecki.

Następnego dnia, 20 lipca od samego rana wrzało w obozie jak w ulu. Wyznaczeni dyżurni krażyli pod eskortą poza obóz, nosząc lub wożąc wodę z studni we wsi. Przywieziono wreszcie cały chłopski wóz chleba żytniego, który trzeba było jakoś sprawiedliwie rozdzielić.

Już od pierwszego dnia, zresztą był to przecież gorący lipiec, z dożu kłópacznego roznosił się na całej przestrzeni smród. Wanno nie wysracało dla dokładnej dezynfekcji dożu. O myciu ~~nie~~ się nie było mowy wobec ograniczonej ilości wody. Rozpacz ogarniała wszystkich, tymbardziej, że żadnych informacji od władz sowieckich nie można było uzyskać.

Pod koniec dnia zjawia się w baraku oficerskim młody leutnant z ~~czernym~~ <sup>niebieskim</sup> otokiem na czapce - NKWD - i zawiadamia nas, że jutro z rana przyjeżdża tutaj polski przedstawiciel Armii Berlinga i będzie z nami rozmawiał o dalszych naszych losach. Mogliśmy się tylko domyślać treści tych rozmów. W każdym razie z niepokojem i ciekawością oczekujemy tego spotkania.

Dnia 21 lipca, koło godzin y 10<sup>00</sup> rano, przed barakiem oficerskim ustawiono skądś zdobyty stolik i taboret. Staje za tym stolikiem wysoki, dobrze zbudowany oficer w polskim mundurze i rogatywce polowej z orzełkiem o rozcapierzonych skrzydłach, naturalnie bez korony.

Powoli, jakby z ociąganiem się, zbierają się mieszkańcy baraku oficerskiego i stają w półkolu przed stolikiem. Dalej ustawiają się tłumy żołnierzy. Jest to właściwie pierwsze spotkanie z polskim oficerem ludowego wojska polskiego. I oto następuje szok i zdziwienie.

Ten polski oficer przedstawia się nam w języku rosyjskim jako kapitan Soroka, delegat z ramienia dowództwa Armii Berlinga i Związku Patriotów Polskich. Treść wstępnego przemówienia kapitana Soroki można ująć w tłumaczeniu na język polski w ten sposób.

- "Przysłał mnie do was wasz naczelny dowódca abym przeprowadził w jego imieniu zaciąg do Armii Polskiej, która powstała na terenie Związku Radzieckiego na prośbę waszego Związku Patriotów Polskich. Zostaniecie przewiezieni do polskiej szkoły oficerskiej, po ukończeniu której zostaniecie wcieleni do oddzia-

żółw skierowanych na front do walki z hitlerowskimi hordami. Niech jeden z was zrobi spis tych, którzy potwierdzają swój akces do Armii Berlinga.

Jeden z naszych oficerów prosi o głos.

- My t-u wszyscy i żołnierze i oficerowie jesteśmy gotowi do wzięcia udziału w wojnie przeciw hitlerowskim Niemcom. Nie mamy żadnych zastrzeżeń do utworzonej w Rosji Armii Berlinga. Jesteśmy takimi samymi patriotami jak wszyscy Polacy będący w Związku Radzieckim.

- Żadnych deklaracji ani podpisów nie będziemy składali dopóki nasz dowódca Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego osobiście nie wyda odpowiedniego rozkazu. Składaliśmy bowiem przysięgę na wierność Rządowi Polskiemu w Londynie i nikt nas z tej przysięgi nie zwolnił.

- Prosimy aby generał "Wilk" przybył tutaj i wydał odpowiednie rozkazy. Do tej pory nie może być mowy o wcieleniu nas do Armii Berlinga.

- Nu, tak haraszo! - odpowiedział kapitan Soroka. - Tak na z-awtra przyjadu z waszom "Wołkiem". A paka do świdania tawariszezi!

Na tym całe spotkanie zostało zakończone.

Czekaliśmy na kapitana Sorokę aż do końca lipca. Myśleliśmy, że ju-ż chyba więcej go nie zobaczymy.

W międzyczasie <sup>ca</sup>wyprowadzono z obozu coraz grupę żołnierzy, którzy już t-u n-ie wracali. Obóz powoli zaczął się wyludniać.

Pozostał tylko wypełniony po brzegi dół kłaczny, z którego smród opanował całą przestrzeń na zamkniętej wysokim murem powierzechni.

Któregoś dnia przez bramę do obozu wchodzi gromada uzbrojonych w krótką broń bojową. Z nastawionymi do strzału napezami biegną wprost do baraków oficerskich. Wszystkim mieszkańcom nakazują natychmiast wyjść z baraków, pozostawiając wszystkie swoje rzeczy

na miejscu. Popędzono nas pod bramę, gdzie otoczeni przez uzbrojonych żołnierzy sowieckich, musimy opróżnić kieszenie ze wszystkich drobiazgów i dokumentów, które wyrzucamy na jedną kupę. Odprowadzają nas na odległość 15 kroków, a kupę tę oblewają benzyną czy naftą i podpalają.

Powracamy do swego baraku i tu zastajemy straszliwy bałagan, niemożliwy do jakiegoś uporządkowania. Teraz już nie jesteśmy sobą - jesteśmy porzuconym bez żadnej indywidualności przedmiotem. Pozostają nam tylko jedna świadomość, że należymy jednak do rodzaju o nazwie - człowiek. Ale czy nie wyłącznie w naszej świadomości? - Dobrze i to.

Nowa niespodzianka.

Przychodzi do naszego baraku dwóch sowieckich oficerów i z listy wyczytują kilkadziesiąt nazwisk z tytułami stopni oficerskich. Były to przeważnie nazwiska byłych polskich oficerów zawodowych lub podchorążych ze szkół zawodowych. A jednak jakiś tam porządek u nich jest skoro mieli gotowe listy.

Wyczytanych natychmiast wyprowadzono za ogrodzenie i poprowadzono drogą przez wieś. Po kilkunastu dniach, będąc już w więzieniu, dowiedzieliśmy się skądś, że był to transport oficerów przeznaczonych do szkoły podchorążych Armii Polskiej. Maszerowali oni pieszo do stacji kolejowej Szumsk i jakoby pojechali na wschód przez Mołodeczno do kaługi. Razem z tą grupą oficerów wysłano pociągami do kaługi ponad tysiąc żołnierzy.

A tymczasem, pod koniec lipca, chyba gdzieś 28 czy 29, ~~zax~~ zjawia się nagle ~~zax~~ nie zapowiedziany kapitan Soroka. Na pytanie nasze czy przyjechał z nim generał "Wilk", zaczął się śmiać i powiada:

- No wot. Sa wsiem ja zabył prywieści waszego Wołka.

Podniósł się przeraźliwy gwizd kilkuset ludzi.

- Nu, tak i nada wam wsiem k Wołku pabieżyć - starał się

przekrzyczeć ogólny hałas. Zakręcił się i szybko opuścił teren.

Dokładnie 2 sierpnia wpada do naszego baraku jakiś polski żołnierz i wywołuje mnie po nazwisku i imieniu. Pytam zdziwiony co się stało, skąd zna moje nazwisko.

- Panie poruczniku! Za bramą jest pana żona! Niech pan prędko idzie.- Potem wywołuje jeszcze kilka nazwisk z taką samą wiadomością.

Biegniemy co sił w nogach do bramy, krótka konferencja z wartownikiem i wyskakujemy na drogę.

Rzeczywiście. Mam oto przed sobą żonę w towarzystwie Zeni. Obie wolno zbliżają się do mnie. Ja biegnę naprzeciw. Żona miała chustkę na głowie i w ręku trzymała pantofle. Na plecach przewieszona torba. Spoglądam na nogi i widzę jej gołe stopy. pytam - dlaczego?

Powitania... ucałowania... i brak tematu do dalszej rozmowy. Szok i nerwowe napięcie stwarzają pustkę w głowie.

Powoli wraca jaka taka równowaga psychiczna i możemy już coś mówić.

- Grupa kobiet - opowiada mi żona - składająca się z żon i siostr żołnierzy będących w <sup>ucie</sup>partyzanckiej, zdecydowała się pojechać do Miednik, bo dowiedziały się, że są tam ich mężczyźni. Otrzymały tę wiadomość od tych, którym się udało uciec i którzy dotarli do Wilna. Naturalnie żadnych nazwisk nie zdołali podać. Przyjazd więc kobiet był dla nich wielką loterią.

- Wyszliśmy z Wilna pieszo, zdejmując przytym niewygodne obuwie. Miałymy nadzieję spotkania jadącego w tym kierunku samochodu. Przypadek okazał się łaskawy. Całą grupę kobiet, chyba ze 20 osób zabrał młody kierowca ciężarówki sowieckiego samochodu i wysadził je na skrzyżowaniu drogi do klasztoru w Miednikach.

Zmęczone, pokryte kurzem, zdenerwowane niepewnością w skutkach ich eskapady, z poświęceniem szukały swych mężów i braci. Niewie-

le z nich miało szczęście spotkać się najbliższymi, ponad połowa nie zastała nikogo bliskiego w obozie.

Wartownicy sowieccy jakoś mało interesowali się tą całą historią. Mogliśmy swobodnie iść w stronę wsi, gdzie pod najbliższą stodołą usiedliśmy na trawie i prowadziliśmy rozmowę.

Bohdana już w obozie nie było, został w jednym z transportów wywieziony do kaługi. Seweryn zachorował i nasi lekarze partyzanci podejrzewali tyfus. Natychmiast zabrano go i przewieziono do szpitala w Wilnie na Antokolu. Janka wyszła z obozu pod jakimś pretekstem i już nie wróciła. Dotarła do Wilna, gdzie zaopiekowała się synem w szpitalu a potem zabrała go do domu.

No więc Zenia, która przybyła razem z moją żoną, już nikogo ze swojej rodziny nie zastała.

Tego dnia już się mocno w obozie przerzedziło. Właściwie to poza barakiem oficerskim były pustki. Zapewne władze sowieckie zastanawiały się co zrobić z resztą zatrzymanych oficerów.

Z pod stodoły we wsi Miedniki odprowadziłem obie panie aż na szosę i tam jakiś samochód ciężarowy zabrał je do Wilna.

Zostałem sam. Trzymam w ręku ofiarowaną mi paczkę, rozglądam się dookoła. Najbliższe zabudowania w odległości ponad 100 m., mury klasztoru jeszcze dalej. Przede mną, po prawej stronie drogi rozciągają się ukwiecone łąki z sięgającą po kolana trawą. Rzucam się w trawę, oddycham pełną piersią i myślę co dalej zrobić. Kusząca jest ta cisza. Z jakąś nieprzewyciężoną mocą włacza się w moją świadomość. kusząca, bo kierująca myśl na pojęcie próby oswobodzenia się z czekającej niechybnie niewoli.

Uciekać!.. Uciekać!... byle gdzie, aby tylko daleko od tego koszmarne obozu. Uciekać bez względu na to co się może dalej zdarzyć.

Biegnę po ~~pochyłości~~ lekkiej pochyłości poprzez łąkę wydeptaną ścieżką. W dole nad niewielkim strumykiem widnieje kę-

pa gęstych krzaków. Biegnę skokami do przodu i nagle wpadam po pas w jakieś grzęzawisko. Ścieżka omija to podmokłe miejsce, ale gdzieś znika wśród łąki. Strumyk o 20 kroków przede mną, nieco dalej na prawo widać mostek dla pieszych, ale przy nim stoi grupa sowieckich żołnierzy.

Wracać... - to znaczy dać sygnał, że się czegoś obawiam. Iść dalej... - to nieuchronnie oddać się w łapy sowieckim bojcom. Paść w trawę... przeczekać do nocy - to chyba najwłaściwsze.

Niestety, ledwie padłem w głęboką trawę, gdy nade mną ukazują się dwie ludzkie postacie i czekają na reakcję z mojej strony.

- No! Tawariszcz! Nie ładno! Oj nie ładno! A tam zdut waszi kolegi - tak to łagodnie przemawiają do mnie.

- Pazałsta! Pajdzio<sup>m</sup>/w mi<sup>e</sup>stie. My wam daragu ukażom.

No i poszedłem z nimi, bo nic więcej w takiej sytuacji nie mogłem zrobić. Rzeczywiście moi koledzy w baraku oficerskim już się zaczęli niepokoić o mój los.

Pod wieczór 2 sierpnia gruchnęła wiadomość, prosto z radia moskiewskiego, że w Warszawie wybuchło powstanie. Podawano, że bandyci polscy bez porozumienia się z sowietami wszczęli walki na ulicach Stolicy. Byliśmy pewni, że to Armia Krajowa na rozkaz z Londynu rozpoczęła ostatni etap narodu polskiego w niewoli hitlerowskiej. Byliśmy pewni, że Warszawa w ciągu kilku dni będzie całkowicie ~~o~~<sup>a</sup>wobodzona.

3 sierpnia o godzinie 17<sup>00</sup> wpada na teren obozu oddział sowieckich żołnierzy, otaczają barak oficerski, a lejtnant NKWD gromki~~m~~ głosem oświadcza.

- Sabierties z wieszczami. Wasie. Skoro.

Było nas wówczas ponad 300 oficerów. Ustawiają nas czwórkami frontem do bramy wjazdowej. Otaczają cały oddział gęsto konwojentami, którzy trzymają w rękach karabiny z nałożonymi na lufy bagnietami.



Wychodzimy za bramę. Podjeżdża 6 dużych samochodów ciężarowych, pod plandekami. Opuszczają tylne klapy i kolejno wdrapujemy się do środka.

- Sadiś - wrzeszczą bojcy. Rozkaz ten okazuje się fizycznie niemożliwy do wykonania ze względu na straszliwą ciasnotę. Do każdego samochodu wtłoczono po 60 ludzi. Nie można było się ruszyć na samochodzie, nie można zmienić pozycji ciała i nóg. Jedynie ręce mogły wykonać nieznaczne ruchy.

Przeciągnęły gwizd i samochody ruszyły, skręcając na szosę w prawo, w kierunku na Wilno.

Ktoś z kolegów dał sygnał aby, jeżeli ma kto kawałek papieru i coś do pisania, sporządzał grypsy i wyrzucał na zewnątrz, gdy będziemy przejeżdżać przez jakieś osiedla. Podać w tym grypsie - kto, a więc imię i nazwisko lub dwa nazwiska, podać że partyzant AK, że jedziemy z Miednik w stronę Wilna, podać datę a nawet godzinę.

Zapadał zmierzch.

Było jeszcze zupełnie widno gdy nasze <sup>chodzą</sup> ~~samolety~~ przejeżdżały przez całe Wilno.

Bez zatrzymania się wjeżdżamy poprzez bramy o stalowych wrotach na dziedziniec więzienia na Łukiszkach w Wilnie.

## Rozdział 9. W I Ę Z I E N I E

### N A Ł U K I S Z K A C H

Łukiszki!

To plac targowy w Wilnie, na który przyjeżdżający z okolicy wieśniacy sprzedawali różne produkty żywnościowe. Plac ten dwa razy w tygodniu tylko był przeznaczony wyłącznie na ten cel, co nie znaczy wcale, że w inne dni targowisko świeciło pustkami. I tak jak w Warszawie były przekupki z Różyckiego, a w Krakowie kwiaciarki z pod Ratusza, tak na Łukiszkach baby z Łukiszek stanowiły ciekawe zjawisko folkloru wileńskiego.

Na straganach sprzedawano niemal wszystko.

Szczególne nasilenie tego rodzaju handlu wystąpiło w czasach okupacji litewskiej i niemieckiej.

Tutaj niejednemu z konspiracji udało się <sup>winnik</sup> ~~uniknąć~~ wśród ciżby sprzedających i kupujących <sup>przed</sup> ~~skutków~~ łapanek <sup>zami</sup> Gestapo.

Tu~~t~~aj rozgrywały się tragedie i masakry hitlerowskich siepaczy.

Tutaj znajdowało się miejsce strace<sup>li</sup> powstańców 1863 roku.

Plac Łukiski, od północy okalała ulica nosząca tę samą nazwę. Biegła ona w kierunku zachodnim aż do mahometańskiego cmentarza. Ulica Łukiska, mijając przecinającą ją skośnie ulicę Pańską, miała z lewa odgałęzienie jako ulica Więzienna. <sup>li'a</sup> U~~ł~~cy ta o małym ruchu, wybrukowana kocimi łbami, posiadała tylko po jednej stronie chodnik z płyt betonowych. Druga strona ulicy nie nadawała się dla pieszych spacerów ze względu na znajdujące się przy niej zabudowania więzienne. Otaczający teren więzienia wysoki ceglany mur był na swoich narożnikach uzbrojony w t.zw. "bociany", stanowiska punktów obserwacyjnych dla wartowników więziennych.

Niewiele okien wychodziło na ulicę więzienną. Okna na parterze zaopatrzone były w grube stalowe kraty, zaś na trzech pię-

trach, obok krat posiadały zamocowane w oknach świetliki w formie skrzyń zbitych z desek z otwartą górną ścianką dla przepuszczenia okruszków światła dziennego i powietrza do celi.

Kompleks zabudowań więziennych od strony ulicy Więziennej posiadał w okalającym je murze szeroką bramę stalową. Obok tej bramy znajdowała się furtka z wizjonerem dla pieszych.

Główny jednak wjazd na teren więzienia znajdował się od strony wschodniej. Prowadziła do niego biegnąca od ulicy Pańskiej specjalna uliczka. Brama wjazdowa znajdowała się w murze, który łączył narożnik ulicy Więziennej z parterowym budynkiem. Budynek ten to murowany dom był pokryty czerwoną dachówką i posiadał okratowane okna, wychodzące na duży plac od strony ulicy Pańskiej. W budynku tym mieściła się administracja więzienna. Od frontu znajdowały się okute grubą blachą wejściowe drzwi z zasuwany okienkiem - "judaszem".

Brama wjazdowa na teren więzienia posiadała dwa skrzydła okute żelaznymi sztabami.

Przez tę właśnie bramę wjechało sześć samochodów pod plandekami<sup>w</sup> których znajdowali się polscy oficerowie z partyzantki.

Samochody zatrzymały się na obszernym dziedzińcu, gdzie rozkazano wszystkim natychmiast wysiadać. Grupa z każdego samochodu została otoczona przez uzbrojonych cywilów. Opróżnione samochody odjechały za bramę więzienną, która ze zgrzytem i hałasem została zatrzaśnięta.

Teraz nie wolno nam było rozmawiać ani się na krok oddalać. Zewsząd słychać głośnie nakazy strażników.

- Tisze! Tisze! Swołocz! Małczy!

Czekaliśmy tak kilka godzin.

Więzienie na Łukiszkach to właściwie dwa ogromne kompleksy budynków cztero piętrowych usytuowanych w kształcie litery "Y" /igrek/ w planie. Ustawione rozwartymi ramionami ku sobie two-

rzyły w tym rozwidleniu jakby kwadratowy plac, służący jako miejsce "spacerów" dla więźniów.

Gmachy te na całej powierzchni zabudowy były podpiwniczone, ale okna do piwnic nie miały już osłon w postaci drewnianych skrzynek, lecz były zaopatrzone w potężne kraty żelazne.

Poza budynkiem administracyjnym z lewej strony bramy wjazdowej, już na terenie więziennym, znajdowały się budynki gospodarcze oraz pokoje służbowe dla wartowników i służby. W jednym z tych budynków miała pomieszczenie kuchnia więzienna, co łatwo było poznać po nieprzyjemnym, jakimś zatęchłym smrodzie, wydobywającym się z wywietrzników na dachu.

W odstępach półgodzinnych wprowadzano grupę więźniów do wnętrza prawego bloku budynków więziennych.

Przyszła wreszcie kolej i na moją grupę, z którą przyjechałem samochodem. Było nas 45 osób.

Po przejściu przez drzwi wejściowe ogarnął nas gęsty mrok i dopiero po kilku minutach mogliśmy rozpoznawać pomieszczenie i oraz przedmioty tam się znajdujące. Była to obszerna klatka schodowa, w której okratowane zejście prowadziło do piwnic oraz drugie wejście na schody, oddzielone kratą ażurową z małą furtką i zawieszoną na niej potężną kłódką.

Na wprost wejścia do klatki schodowej znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi. Rozwarły się przed nami i ukazał się w nich ogromny, na dwa piętra wysoki haal, robiący wrażenie wielkiej areny cyrkowej.

Po przejściu wzdłuż wąskiego korytarza, przed wejściem na tę arenę, zatrzymano nas. Z lewej strony otworzyły się wąskie drzwi, przez które kazano nam wejść do następnego pomieszczenia.

Była to tak zwana "cyganka", spełniająca rolę przystani, w której więźniowie oczekiwali na dokonanie różnych formalno-

ści związanych z przejściem pod opiekę władz więziennym. "Cyganek" stanowiło kiszkowate pomieszczenie o lekkim łuku w planie. Nie było tam absolutnie żadnych przedmiotów, a podłogą była cementowa posadzka. Panowało tu przejmująco zimno mimo upalnego dnia na zewnątrz. Ściana od strony haalu wykonana była z pionowo ustawionych prętów stalowych, i stanowiła ażurową przegrodę od cyrkowego kształtu areny. W tym ażurowym ogrodzeniu znajdowała się mała żelazna furтка z zamkiem, zamykanym od zewnątrz pomieszczenia.

Poprzez te kraty mieliśmy zupełnie swobodny wgląd na salę.

Połowa obwodu wewnętrznego koła sali posiadała cały szereg takich jak nasza "cyganek".

Pośrodku tej wielkiej sali stało kilka stolików i taboretów. Dwa stoliki były obsadzone po trzy osoby, przy tym przy każdym stoliku siedziała jedna kobieta. Po sali kręciło się kilkunastu cywilów, którym przy pasach zwiisały kabury z ciężkimi rewolwerami.

Z poza krat, znajdujących się po przeciwległej stronie "cyganek", wzyierały głowy naszych oficerów, jedne w czapkach inne bez czapek. Cały ruch na haalu odbywał się w powolnym tempie i z zachowaniem względnej ciszy, co w sumie stwarzało pewien obraz grozy.

Gdzieś z głębi sali dał się słyszeć zgrzyt zamka i z jednej z "cyganek" wyprowadzono dwóch naszych oficerów, ustawiając każdego z nich przed oddzielnym stolikiem. Rozkazy ze stolików były wydawane w języku rosyjskim lub polskim. Słyszeliśmy zupełnie wyraźnie przebieg tego dramatu.

-- Rozdzielaj się - pada pierwszy rozkaz

- Wsie wieszczej łażi na stoł - dodaje głos kobiety.

- Znimaj! Znimaj! Wsio! Skarej!

Przed naszymi oczami, zwrócony tyłem do nas, stoi nagaś.

Jeden z rewidujących podchodzi do niego, ogląda na wszystkie strony, ręką ~~mierzi~~ mierzi włosy, patrzy między palcami stóp, każe otworzyć usta. Wreszcie kilka przysiadów i delikwent wypina tyłek a rewidujący spogląda w otwór odbytnicy.

Obaj, tak skrupulatnie zrewidowani oficerowie otrzymują pozwolenie ubrania się w swoje ciuchy, które przed tem zostały dokładnie obmacane. Wszystkie drobiazgi, nie wyłączając chusteczek do nosa, zostały zwinięte w mały tobołek i z kartką z nazwiskiem odłożone na podłodze obok.

I tak, niby na scenie teatru, przed naszymi oczami ciągnę<sup>ie</sup> się ten poniżający ludzką godność dramat polskiego żołnierza.

Niech nikt nie stara się mnie przekonywać, że zabiegi te i tym podobne wynikać mogły z konieczności zachowania bezpieczeństwa, tymbardziej wobec rzekomego zagrożenia bezpieczeństwa państwa.

Skład osobowy naszych opiekunów w więzieniu, którymi okazali się partyzanci białoruscy i rosyjscy budził zastanowienie, a już zupełnie było niezrozumiałe, dlaczego obie kobiety biorące udział w rewizji osobistej były Żydówkami. Trudno zrozumieć dlaczego właśnie kobiety i to Żydówki wybrane były dla spełniania takiej poniżającej roli.

Wszystko to przyjęliśmy począ<sup>o</sup>tkowo z ogromnym oburzeniem, a w jednej z "cyganek" chłopcy zaczęli gwizdać i wyć. Kilka strzałów rewolwerowych w powietrze uciszyło te oznaki buntu. Powoli ogarniał nas dziwny straceńczy humor. Od czasu do czasu z jakiejś "cyganki" doniosły głos wyrażał cały komizm i tragizm sytuacji. Nasi oficerowie w sposób ordynarny udzielali rad przesładowcom.

A tymczasem w naszej "cygance", w momencie gdy się wyraźnie zbliżała kolejka do rewizji, zrobił się zagadkowy ruch i słychać szepty. Wreszcie zorientowałem się o co tam chodzi. Oto je-

den z moich towarzyszy niedoli ujawnił kolegom, że udało mu się zachować w czasie poprzednich rewizji aż dwie monety, zdaje się tak zwane "świnki", czyli pięciorublówki z czasów carskich. Liczył na to, że mogą mu się one przydać na coś. Teraz nie było już szans na przeszmuglowanie tych pieniążków przez dzisiejszą rewizję. Co robić? Padają różne rady, jedne fantastyczniejsze od drugich. Wreszcie jedna rada zdawała się być najrealniejsza. Było to po prostu połknięcie złota, a ponieważ złoto jest odporne na działanie kwasów żołądkowych więc jest szansa, że monety zostaną w stanie nienaruszonym z organizmu usunięte. Jedyna trudność, zdawałoby się, polegała na tym, że nie można było przewidzieć ani terminu ani warunków takiego momentu. Właściciel monet zrezygnował z tego sposobu ochrony swego majątku, ale znalazł się inny i jeszcze inny, którzy na połowę wartości złota są gotowi monety połknąć.

I stało się. Złoto znalazło się ludzkich żołądkach, a co z tego wynikło okaże się w dalszej części tego rozdziału.

Po rewizji, której przebieg opisałem wyżej, nic już przy sobie nie posiadałem poza ubraniem, które składało się ze spodni drellichowych, bluzy gabardinowej, uszytej na wzór wojskowy, furazerki z naszytą biało-czerwoną chorągiewką lecz pozbawionej orzełka, który podczas rewizji poprzedniej został oderwany i rzucony na kupę odpadów, no i kamasze typu żołnierskiego. Z bielizny pozostałem w jedynych kalesonach i koszuli.

Zresztą wszyscy moi koledzy byli w zupełnie identycznej sytuacji, z tym że kilku z nich posiadało płaszcze żołnierskie i zgrabne buty z cholewami, zwane "oficerki"

Pierwszych dziesięciu zaraz po dokonanej rewizji poprowadzone no szerokimi schodami na drugie piętro do celi numer 166 /a może inny/. Byłem w tej pierwszej dziesiątce, wśród której znaleźli się również między innymi: Władysław Gortyński, Saturnin Houwald,

Zygmunt Zublewicz, ksiądz Józef Prejser - Piotr Orlicki, Mirek Lelewski, ja i jeszcze trzech, których nazwisk sobie nie przypominam.

Weszliśmy do wnętrza celi.

Było to pomieszczenie przeznaczone normalnie dla <sup>je</sup> jednego lub najwyżej dwóch więźniów. Miało ono kształt kiszki o długości przeszło 4 metry i szerokości niecałe dwa metry, tylko wysokość była dość znaczna, bo wynosiła około 3 metrów. Na wprost drzwi, w górze, na wysokości ponad 1,8 m. znajdowało się małe okratowane okno, które nie przepuszczało światła dziennego bezpośrednio, a tylko w górnej części tego okienka była widoczna smuga promieni świetlnych. Okno to bowiem posiadało zawieszoną na zewnątrz skrzynkę drewnianą bez górnej ścianki, co dawało jedyną drogę wpadającym <sup>ok</sup> promieni świetlnych i strugom powietrza. Była to jedyna wentylacja wnętrza celi.

A więc dziesięciu dorosłych mężczyzn w klatce o powierzchni niecałe 8 m<sup>2</sup> i kubaturze około 20 m<sup>3</sup> zostało zmuszonych do przebywania wielu dni i nocy. Można sobie wyobrazić oddychanie tych ludzi przy tak ograniczonej wymianie powietrza.

W kącie celi, przy samych drzwiach, stoi wysoki kubeł blaszany z dwoma uszami i blaszaną pokrywą. Była to, nazywana przez nas, nie wiem dlaczego "parasza", czyli więzienny kibiel, a służyła jako miejsce załatwiania potrzeb fizjologicznych.

Znaleźliśmy się wszyscy wewnątrz celi, gdy zatrzaśnięte zostały za nami drzwi. Staliśmy tak ściśnięci na niewielkiej powierzchni, nie wiedząc co dalej robić, jak się urządzić. Nie wytrzymamy przecież długo w pozycji stojącej. Nikt nam dotąd ani słowem nie zdradził czy i kiedy coś się zmieni.

- No! Panowie oficerowie! - zabiera głos kolega Lelechowski - grunt to "organizacja i elektryczność", jak głosił Lenin. Zaczynamy od organizacji.



- Pierwsza rzecz to jak się zmieścić nam wszystkim na tej powierzchni. Proszę o wnioski.

- Siadamy po obydwu stronach, opierając się plecami o ściany, naprzemian tak aby między dupami jednego rzędu znajdowały się nogi rzędu drugiego. Da nam to znaczną oszczędność miejsca.

• Spać będziemy tak samo.

- Wszyscy mamy równe prawa do powietrza. Jest ono wyczuwalne jedynie przy ścianie, w której znajduje się okno. Ponadto należy przewidywać, że największy fetor będzie przy samej paraszy. Proponuję stałą rotację parami przy zmianie miejsc. Najlepsza pora będzie podczas opróżniania "paraszy".

- Oznacza to, że dwóch kolegów, którzy zajmują miejsca przy samym kiblu i pełnią dyżur przy jego wynoszeniu i opróżnianiu oraz podają posiłki pozostałym kolegom, przechodzą na nowe miejsca przy ścianie pod oknem.

A więc jedna sprawa została teoretycznie pomyslnie rozwiązana. Nie było żadnej dyskusji, wszyscy uznali to rozwiązanie za słuszne i sprawiedliwe.

Drugi ważny element naszego życia - to elektryczność. Na to nie mieliśmy żadnego wpływu, ale i to się jakoś rozwiązało. Po środku celi, przy samym suficie znajduje się żarówka o mocy nie większej niż 15 wat.

Zbliżał się ku końcowi pierwszy dzień naszego pobytu w więzieniu. Wyczuwaliśmy to raczej intuicyjnie, przecież nikt z nas nie posiadał zegarka, a żaden promyk światła już z zewnątrz nie docierał. Zajęliśmy miejsca zgodnie z planem. Nastąpiła denerwująca cisza. Nikt z nas w tej chwili nie miał nic do powiedzenia. Każdy przeżuwał to wszystko co zdołał wchłonąć z całego ~~era~~ przebiegu przyjęcia nas do tego gmachu.

Czekaliśmy co będzie dalej.

Mijały godziny a o śnie nikt z nas nie myślał.

O naszym głodzie nasi prześladowcy też nie pomyśleli. A głód dosłownie skręcał nam kiszkę, bo przecież od wczorajszego wieczora nie mieliśmy nic w ustach, nawet łyka wody. Niestety, tego dnia i tej nocy żadnego posiłku nam nie podano.

Za drzwiami, na korytarzu dał się słyszeć jakiś ruch. Szczyk zasuw i trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Słychać rozkazujące głosy: " pod stieniu!".

Rozpoczął się drugi nasz dzień w więzieniu. Wszystko to cośmy tu obserwowali i słyszeli było dla nas zupełnie nowe, dotąd nieznanne, nawet w literaturze tak to nie wyglądało.

Po dwóch chyba godzinach tego ruchu na korytarzu, słyszymy zgrzyt w naszym zamku i drzwi się otwierają.

- Wychadi! Pod stienku!

Popychani przez strażników, ustawiamy się w korytarzu rzędem, twarzą do przeciwległej ściany. Widzę jak Władek Gortyński zafasował cios kolbą w plecy za to, że obrócił się aby zobaczyć co oni tam z tyłu robią.

- Dizurnyj! Biery paraszu i w ubornuju!

Lelewski i jego sąsiad chwytają za uszy paraszę i niosą ~~wzdłuż~~ wzdłuż korytarza kilkadziesiąt kroków, poczym znikają. Po kilku minutach wracają, obaj zlanii wodą. Jeden z nich otrzymuje miotkę i zamiata podłogę w celi, wzniecając gęsty kurz. Jeszcze chwila i wchodzimy do celi. Stajemy gdzie kto może, wykonujemy ograniczone ruchy gimnastyczne, pada jakiś mocno słony dowcip.

Znów się otwierają na całą szerokość drzwi do celi i ukazuje poza nimi cała grupa więźniów pod konwojem.

To "kalifaktor" - taki więzień dyżurny, posiadający przywilej rozdzielania pożywienia innym więźniom. Ma on do pomocy dwóch ludzi, którzy niosą za uszy wysoki kocioł, zresztą podobny jak dwie krople wody do naszej paraszy. W kotle tym znajduje

się parująca ciecz nazwana szumnie "kawą", a przypominająca pomyje naczyni kuchennych o obrzydliwym smaku i woni. Jeszcze jeden pomocnik trzyma koszyk z przygotowanymi kromkami czarnego chleba, a jeszcze inny podaje aluminiowe kubki.

Wszystkie czynności śniadaniowe nie mogą trwać dłużej niż 10 minut, bo następne cele czekają na kubki, które są w tej chwili u nas w użyciu.

Każdy z nas otrzymał pół kubeczka, co się równało niepełnej szklance tej niby kawy i jedną kromkę chleba grubości 1,5 cm. Chleb pochłonęliśmy natychmiast, ale te pomyje nie mogliśmy przełknąć. Jeden całą zawartość wylał do paraszy, za co został przez całe gremium zwymyślany. Płynem tym bowiem polewaliśmy sobie ręce i myli twarz, bo przecież nikomu nie wolno było iść do ustępu, oprócz tych dwóch dyżurnych. Tylko oni zetknęli się bezpośrednio z wodą i mogli się jej dowolnie napić.

Kubeczki nam odebrano, drzwi zatrzaśnięto i zostaliśmy znów odcięci od świata.

Czekamy teraz na następny etap naszego dnia, czyli obiad. Ale do obiadu trzeba czekać cztery lub pięć godzin. Trzeba bowiem wiedzieć, że czas więźnia liczy się od posiłku do posiłku, co stanowi właściwie jeden dzień. Niema możliwości obserwowania kalendarza bo go po prostu niema. Zresztą niema żadnej różnicy między dniem powszednim a dniem świątecznym. Każdy więzień stara się zająć swoje myśli czymś coby go odrywało od rzeczywistości. Brak jakiegokolwiek zajęcia, przy skandalicznych warunkach sanitarnych <sup>jest</sup> to znęcanie się nad człowiekiem. Poczucie braku wi-ny potęguje cierpienia i stawia człowieka na granicy wytrzymałości psychicznej.

A oto obiad. Ale tylko z nazwy.

Przebieg czynności - identyczny jak przy śniadaniu. Różnica polega na tym, że zamiast kubeczków każdy otrzymuje używaną

już przed nim przez innego więźnia miskę aluminiową i łyżkę.

Zupa ma podobny smak do porannej kawy, z tą różnicą, że kawa nie była słodzona a zupa nie była solona. Czasem na dnie miski pozostawało kilka ziaren kaszy albo jedna nitka makaronu, a najgorsze że było to wszystko w chwili jedzenia zimne. Kromka chleba jak z rana.

Któregoś dnia, nie wiem czy było to 5-tego czy 6-tego dnia od przybycia, dyżurny zebrał po obiedzie miski i łyżki i oddał obsługującemu. Ten doliczył się tylko 9 łyżek, brak było jednej łyżki. Kalifaktor upomina się u dyżurnego, ten niema pojęcia jak to się stało. Z początku prosi kalifaktor aby mu tę dziesiątą łyżkę zwrócić ale bez skutku. Tłumaczy, że to on zostanie za to ukarany, może nawet dostać kilka dni karceru, niechże mu nie robią przykrości. Cisza. Żaden z nas się nie przyznaje. Kalifaktor zwraca się do strażnika-konwojenta i melduje mu o tym.

O nieszczęsny "złodzieju" łyżki! Ileś ty nam wszystkim narzążył kłopotów.

- Wsie wychadi! Pod stieniu!

Wpada do celi dwóch strażników i skrupulatnie badają wszystkie kąty, nawet do paraszy zaglądnają i grzebią patykami. Niema.

Ustawiono nas przy ścianie z podniesionymi rękami i rozpoczyna się szczegółowa rewizja osobista.

Łyżka się znalazła. Była zatknięta za cholewę Saturnina, który od razu powędrował na trzy dni do tak zwanej ciemnicy, o chlebie i wodzie.

Pierwsze dni w celi przeszły bez specjalnych zdarzeń. Zaczęliśmy już się przyzwyczajać do tych warunków. Najdokuczliwiej oddziaływał na nas okropny smród, ogarniający całą celę. Szczególnie dawał nam się we znaki po każdorazowym korzystaniu z paraszy przez więźnia. A było tego sporo razy. Chociaż wyżywienie a niezbyt sprzyjało częstemu używaniu paraszy, to jednak licząc

skromnie, te pięć razy cela była narażona na atak gazów. Tego się nie da opisać, to trzeba samemu przeżyć. W takich momentach następuje utrudniony dostęp tlenu do płuc, występują oznaki duszności i nawet omdlenia. Jedyne ratunek w takich momentach to kilkuminutowy pobyt pod ścianą z oknem, z przysuniętymi do ściany ustami i nosem.

Podsadzaliśmy wtedy jeden drugiego pod same okno, próbowaliśmy wyrwać chociaż jedną deskę z osłaniającej skrzynki poza okiennej. Nie było sposobu, bo nie mieliśmy żadnych narzędzi, żadnego przedmiotu, który by mógł być użyty a tym celu.

Wobec naszej bezsilności, postanawiamy że potrzeby fizjologiczne będziemy się starali uskutecznić z samego rana, tuż przed opróżnianiem paraszy. Ale czy to tak łatwo planować potrzeby żywego organizmu.

Jednym słowem sprawa "paraszy" stała się problemem numer jeden. Szczególnie wysunął się on na czoło naszej egzystencji w związku z połknięciem złotej monety przez jednego z naszych współlokatorów.

Na trzeci czy czwarty dzień pobytu jeden z tych dwóch, którzy połknęli pięciorubłąkę, nagle dostał okropnych bólów żołądka. Po prostu wił się na podłodze. Alarmujemy strażnika, że u nas jest chory na tyfus. W ciągu pół godziny mamy wizytę lekarza, którym okazał się jeden z naszych kolegów z partyzantki,

zdeje się nazywał się dr. Frzeciak. Obejrzał chorego, obmacał mu brzuch, uspokoił że to nie tyfus, ale bez operacji wyrostka robaczkowego się nie obejdzie. Jeden z naszych szepnął na ucho doktorowi, że delikwent połknął złotą monetę.

Doktor zarządził natychmiastowe przeniesienie chorego do lazaretu szpitalnego.

Już więcej z tym naszym kolegą się nie widzieliśmy. Wiadomość, jaka później jakimś cudem do nas dotarła, podawała, że

że został on poddany operacji w szpitalu więziennym a następnie już w pełnym zdrowiu zwolniony do domu.

I bądź tu mądry. Spróbuj zgadnąć co może być dla ciebie zgubą a co może przynieść wybawienie. Ciekawe tylko kto skorzystał z wydobytego skarbu.

Następnego dnia po opisanym wyżej incydencie, przez cały dzień niemal zmuszeni byliśmy być świadkami próżnych wysiłków drugiego amatora łatwego zarobku. Parasza była przez niego stale zajęta. Ostatecznie oglądanie gołego tyłka naszego kolegi nie byłoby specjalnie strasznym, gdyby nie ten smród, wydobywający się z paraszy. A nadewszystko pożałowania godni byli ci dwaj, którzy zrzędzeniem losu zajmowali miejsce przy samej paraszy. Ale to nie wszystko. Czy jest bowiem sposób aby zainteresowany mógł stwierdzić fakt opuszczenia jego organizmu przez połknięte uprzednio złoto? Zdaje się, że jest tylko jeden - a mianowicie dokładne zbadanie wydzieliny. Ale jak to zrobić? Żeby chociaż był jakiś patyk, a tu nic, dosłownie nic. I teraz to dopiero ujawniła się przyczyna próby zatrzymania łyżki przy obiedzie, o co było tyle hałasu.

Ogólną uchwałą całego naszego zespołu zdecydowano, że zabrania się dalszego poszukiwania złota w paraszy.

Żeby już zakończyć tę sprawę należy dodać, że nieznany nam był los drugiej pięciorublowki, a "złotnosiec" jakoś przez cały czas nie skarżył się na bóle żołądka.

Może to i śmieszne, ale tylko z perspektywy czasu, w świetle normalnych warunków życia. Dla nas wtedy nie było to śmieszne.

Tak to mijał dzień za dniem beznadziejnego czekania na jakąkolwiek zmianę w naszym położeniu.

Bezmyślna nuda, mimo doznawanych różnych <sup>(niesamowitych)</sup> [nam] dotychczas wrażeń, stawała się czasem źródłem niesamowitych pomysłów i tylko

zawdzięczać należy przebywaniu w całej grupie, że nie nastąpiło jakieś psychiczne załamanie czy nawet tragedia.

Nastrój ten potęgowały nieludzkie warunki bytowania. Pozbawiono nas tego najprymitywniejszego prawa do tak zwanych spacerów na powietrzu, ba! - naturalne światło słoneczne stawało się dla nas czymś nie z tego świata, a przeraźliwa cisza wytwarzała jakieś irracjonalne wrażenie ciągłego szumu w uszach.

Przez te kilka dni poddawano nas torturze moralnej nie reagując na nasze żądania widzenia się z naczelnikiem więzienia lub sędziego czy prokuratora. Żadnego oświadczenia władz o naszej winie i losie w najbliższej przyszłości.

A warunki sanitarne stawały się wręcz groźne dla naszego życia.

I nie trzeba było zbyt długo czekać żeby brud, w którym stale przebywaliśmy nie spowodował następstw, zresztą zupełnie możliwych do przewidzenia.

Pokazały się wszy i to te najbardziej niebezpieczne bo tak zwane odzieżowe. Wykrył je, wcale nie przypadkowo, jeden z kolegów, czując silne swędzenie ciała. Badanie czy wykonywanie insektów stawało się koszmarem, bo przecież przez cały dzień i całą noc panował w celi półmrok.

Podnieśliśmy alarm, żądając zjawienia się lekarza lub sanitariusza. Widocznie władze więzienne były wyczulone na możliwość powstania epidemii tyfusu, bo w kilka godzin przysłała do celi sanitariuszka.

Wchodząc zatykała nos i usta chusteczką.

Miała ze sobą silną latarkę elektryczną przy pomocy której dokładnie przejrzała spodnie i kalesony u zainteresowanego.

Natychmiast zarządziła kąpiel i dezynsekcję ubrań wszystkich mieszkańców celi. Odbyło się to z całym rytuałem, wzbudzając i śmiech i złość.

kazano nam się w celi rozebrać do naga i złożyć całe nasze ubranie na jedną kupę i takich narusów poprowadzono przez zimny długi korytarz. Z jednej strony, na wysokości około 2 metrów znajdowały się okratowane okna bez szyb, oświetlające korytarz i dopuszczające świeże powietrze z zewnątrz. Z drugiej strony korytarza znajdowały się w odstępach co 2 metry ciężkie, okute drzwi do poszczególnych cel, z judaszami.

Szliśmy boso, wywołując zaledwie ciche kłapanie stóp o posadzkę, a mimo to, poza zamkniętymi drzwiami do cel dały się słyszeć krótkie informacje, podające nazwę oddziału partyzanckiego, jakieś nazwiska względnie pseudonimy.

Słyszeli w swoich celach nasze kroki na korytarzu ale nie wiedzieli przecież co jesteśmy za jedni i dlaczego nas prowadzą. A może jesteśmy zwolnieni z więzienia? – mogli pomyśleć.

Wprowadzono nas do dużej sali o posadzce z jasnych płytek. W dwóch kątach zwisały sitka pryszniców. Ustawiono nas po czterech pod każdym prysznicem i puszczono wodę. Najpierw płynęła gorąca, że trudno było wytrzymać, a potem powoli przechodząca w zimną jak lód. Trwało to nie dłużej niż 5 minut, mimo to sprawiło nam niewypowiedzianą rozkosz. Mydła nie dano nam ani kawałka.

Po powrocie do celi nie<sup>1</sup>zaszliśmy naszych ubrań. Dopiero po dwu godzinnym oczekiwaniu na golasa, otwierają się drzwi przez które wrzucono do celi górę kompletnie pomieszanych ciuchów. Wiele czasu i <sup>trudu</sup> ~~zobety~~ zużyliśmy aby wybrać z tej kupy swoje ubrania.

Pomimo tych wstrętów dzień ten zaliczyliśmy do jednego z atrakcyjniejszych. Szczególnie kąpiel, jaka by ona nie była, stanowiła dla nas przyjemne przeżycie i to pod względem fizycznym jak i psychicznym. I nie wierz tu w teorię względności nawet w dziedzinie przeżyć psychicznych.

I znów minęło szereg dni, a żadnych wiadomości z zewnątrz nam nie mieliśmy, aż któregoś dnia ksiądz Prejser zostaje wywołany



po nazwisku. Wszedł i za chwilę wraca dźwigając pod pachą jakąś paczkę, z której wystają skrawki bielizny. Postawił to pośrodku celi i powiada.

- To paczka dla wszystkich. Proszę ją sprawiedliwie podzielić.

Co tu dzielić skoro wewnątrz znaleźliśmy <sup>a</sup>dw~~ie~~ podkoszulki i jedną parę długich kalesonów, oraz kilka chusteczek do nosa. Było tam trochę z żywności. Bochenek czerstwego białego chleba, rozdrobnionego jakimś tępym nożem. I to wszystko. Co prawda, tekturowa paczka mogłaby pomieścić przynajmniej drugie tyle rzeczy, ale przecież po drodze ktoś też musiał mieć z tego jakąś korzyść.

Radość ogólna ogarnęła nas, a z nią wstąpiła nadzieja na zmianę naszego położenia, a może nawet i losu w ogóle.

Najstarszy z nas, Zygmunt Zublewicz zaproponował podział zawartości paczki, mimo że byliśmy przekonani, że adresowana była osobiście na księdza Józefa.

No ale niewypowiedzianą rozkosz sprawiło nam spożywanie cebuli. Chyba to największy przysmak, tak nam się wydawało, jaki może być dostępny w naszych warunkach. Płakaliśmy łzami radości, które płatki cebuli wyciskały z oczu.

Innym razem słyszę w otwartych drzwiach wymówione moje nazwisko i imię. Zaraz potem strażnik wrzuca do celi tobół bez opakowania, związany sznurkiem. Wszystko się rozlatuje po podłodze. Sznuerek musimy oddać strażnikowi. Koledzy pomagają zbierać do kupy i spoglądają zazdrosnym okiem na te skarby. A były to rzeczy naprawdę ogromnej wartości.

Najpierw płaszcz, bez którego ciężkie jest życie każdego żołnierza, a tymbardziej jeńca czy więźnia. Następnie ciepła bielizna, rękawiczki, chusteczki do nosa. Były to przedmioty

dla wyłącznego użytku adresata, a więc moje. Ale ponad to znalazły się w paczce suchary, boczek wędzony, cebula, czosnek, no i ze 20 cukierków - krówek, prawdopodobnie własnej produkcji. Żadnego listu, żadnej wiadomości. Jedynie z pisma odręcznego na adresie można poznać rękę nadawcy. Tak, to były skutki mojej ukochanej żony.

Jasne, że wszystkie produkty żywnościowe uległy sprawiedliwemu rozdziałowi między kolegów.

Takie atrakcje w postaci paczek nie były nazbyt częste. Powtórzyło się to jeszcze może ze dwa, trzy razy w czasie całego naszego pobytu w więzieniu.

Tego dnia siedziałem w środkowej części celi, oparty plecami o ścianę. Jakieś regularne stukanie w ścianę z zewnątrz zwróciło moją uwagę. Nakazałem ciszę. Słucham tych odgłosów. Odnoszę wrażenie, że to sygnały ~~xxxxxx~~ "Morsa". Jedno uderzenie - to kropka, dwa uderzenia - kreska. Dużo lat upłynęło od czasu gdy jako harcerz miałem z tym alfabetem do czynienia. Jednak przecież odznaka sprawności jako telegrafista coś znaczyła.

Powtarza się stale "a" i "k" - chyba to sygnał wywoławczy "AK".

Odpowiadam tym samym sygnałem. Przerwa.

Wystukuję: "co chcecie". Cisza.

Proszę Budrewicza, żeby pamiętał kolejne, odczytywane przeze mnie litery.

Nadaję kilka razy sygnał "AK".

Wreszcie wolno zaczynają z tamtej strony podawać cały komunikat, którego treścią, mniej więcej, było:

- " Tu oficerowie ze sztabu. Jesteśmy od wczoraj. Podajcie brygady. Nazwiska. Pseudonimy"

Teraz już się nie nudzimy. Cały dzień wypełnia nam korespondencja przez ścianę. Próbujemy z kolei nawiązać kontakt ze ścianą przeciwległą, ale nikt tam nie daje znaku życia.

W naszej celi jest teraz tylko 8 osób. Czekamy powrotu Saturnina, który już powinien wrócić od dwóch dni. Co się z nim dzieje?

Minęło już pewnie dziesięć dni naszego "pierdła", czyli według naszych obliczeń powinien to być 12 lub 13 sierpień. Żadnych badań, żadnego dochodzenia. Na nasze pytania strażnicy wymijająco odpowiadają: "podażdi, podażdi". Żądamy widzenia się z rodzinami, żądamy przedstawienia nas do naczelnika więzienia. Wszystko bez skutku.

Któregoś dnia przyszedł do celi wyższy oficer NKWD w towarzystwie ubranego w biały kitel, lekarza. Wysłuchał naszych żądań i próżb i wyszedł. Lekarz każdego z nas obsłuchał i obstukał. Mruknął coś pod nosem, że pewnie wkrótce stąd nas zabiorą. Nie powiedział jednak kiedy i dokąd.

Tej samej nocy rozległ się na korytarzu przeraźliwy krzyk mężczyzny, wołaj<sup>o</sup>cego pomocy. Wymyślał ordynarnymi słowami od zbrojów, bandytów, oprawców. Chwila ciszy i znów ten przejmujący krzyk. Jakieś szamotanie na korytarzu, odgłosy bicia i ... cisza.

Z samego rana następnego dnia słyszimy u samego spodu drzwi lekkie pukanie. Na korytarzu słychać szum zamiatających mioteł.

- Co tam? - pyta cicho Władek.

- Nasze kobiety z brygad partyzanckich są na tym piętrze -  
- w drugim korytarzu - odpowiada głos kobiecy. - Jest Marysia i Wiola. <sup>uk</sup>Szja Stefana Kordana. Trzymajcie się chłopaki. Niedługo nas wypuszczą.

- Skarej... skarej... - rozlega się głos strażnika.

Po ceremonii opróżniania "paraszy", gdy już zajęliśmy w celi swoje miejsca w oczekiwaniu na śniadanie, zjawia się "starszyna" - według naszej nomenklatury - sierżant, ze straży więziennej i proponuje zgłoszenie się na ochotnika czterech ludzi do pomocy "kalifaktorowi" przy roznoszeniu obiadu i to na przeciąg trzech

kolejnych dni.

Zgłosiłem się natychmiast, miałem bowiem w perspektywie trochę ruchu i świeżego powietrza.

Po śniadaniu, którego menu nie ulega zmianie, a kawa służy raczej do mycia niż do picia, otwierają się drzwi i starżnik ka-  
~~że~~ wychodzić ochotnikom do roznoszenia obiadu. Na korytarzu przed naszą celą stoi kocioł po kawie. Chwytamy z Władkiem kocioł za uszy i maszerujemy za strażnikiem. Obok idzie z warząchwią na ramieniu jeden z więźniów, niez<sup>w</sup>żany nam, który pełnić ma rolę "kalifaktora", a za nim dwóch luzaków, niosących koszyk teraz jeszcze pusty i dziesięć kubeczków aluminiowych.

Schodzimy bez pośpiechu po schodach z drugiego piętra i wychodzimy na dziedziniec.

Dzieje się z nami coś nieprawdopodobnego. Robi się przed ~~niek~~ oczami ciemno, ręce szukają jakiegoś oparcia, a nogi jak z waty uginają się same w kolanach. Jeszcze chwila a będę leżał jak długi na podeście wejściowych schodów betonowych. Mur, który zdolałem dosięgnąć ręką i oprzeć się uchronił mnie od upadku.

Wraca świadomość, widzę, że moi towarzysze siedzą na stopniach betonowych, trzymając się za głowy, a strażnik spokojnie czeka ~~za~~ aż minie szok, który nas dotknął. Nadmiar tlenu w powietrzu gdyśmy całą pierś zaczęli oddychać spowodował niespodziewaną przez nas reakcję organizmu. Okazuje się, że organizm nasz już zaczął się przyzwyczajać do niedostatku tlenu w powietrzu. Ciekawe, ile czasu trzeba aby organizm ludzki w tych warunkach przestał funkcyj~~o~~nować.

Och! jak niezmiernie trudno jest zejść z tych kilku schodków do poziomu podwórka. Przejście przez dziedziniec już pokonujemy łatwiej, a do pomieszczenia kuchni już niemal swobodnie wnosimy kocioł, kubki i koszyk. Czekamy w sąsiedniej sali, gdzie już takich jak my ochotników zebrało się więcej, bo każde piętro w

każdym bloku miało swojego kalifaktora.

Siedzieliśmy na podłodze pod ścianami i nie wolno nam było prowadzić żadnych rozmów. Strażnicy chodzili środkiem sali i rugali po rusku przy najmniejszym ruchu czy słowie. Mimo to, jakos tu było przyjemniej niż w celi i ciekawe, że nastąpiło jakby o odprężenie nerwowe i każdy z nas niemal po prostu zaczął drzemać.

Wreszcie po długim czekaniu wzywano kolejno poszczególne zespoły aby zabierały zupę z kuchni i zanieśli do bloków dla rozdzielenia więźniom. W kotle mieści się ponad 40 litrów zupy, a to okazało się, że ciężar ten jest prawie nie do pokonania ~~przez~~ przez dwóch mężczyzn. A przecież każdy z nas, w normalnych warunkach mógł te 50 kilogramowy ciężar swobodnie przenieść. A tu musieliśmy włożyć ogromny wysiłek. Co cztery kroki zatrzymywaliśmy się, a co 10 kroków musieliśmy zmieniać ręce na uchwytach.

Przed wejściem na schody betonowe, przy drzwiach do bloku więziennego, postawiliśmy kocioł i ciężko oddychamy. Stoimy tak przy ścianie budynku i widzimy jak przez kraty w oknie piwnicznym wyglądają ostrzyżone do zera głowy z bladymi jak płótno twarzami. Oczy zamglone spoglądają na nas z wyrazem jakiegoś strachu.

- Kto wy? - zadaję trochę nielogiczne pytanie
- Litwini!... Szaulisi... mówi jeden po polsku.
- Jesteśmy w celi śmierci ... po wyroku...- dodaje drugi.
- Niema obawy - pocieszam bez przekonania- Bolszewicy nie rozstrzeliwują. Pojedziecie napewno na dożywotnie zesłanie na Syberię - fantazjuję.

A jednak to przecież nasi wrogowie, którzy zbrodniczo wykonywali wyroki śmierci, masowo rozstrzeliwali w Ponarach Żydów i prześladowali Polaków na rozkaz hitlerowców i z własnej inicjatywy. A jednak my Polacy nie potrafimy pozbyć się współczucia gdy wróg nasz stoi w obliczu nieuchronnej śmierci.

Te trzy dni pracy przy roznoszeniu obiadów, bo śniadania dzieliła inna grupa ochotników, stanowiła dla mnie i moich kolegów rzeczywistą atrakcję, tymbardziej że mieliśmy możliwość nawiązania kontaktu z oficerami przebywającymi w innych celach.

Warunki w tych celach były podobne. Spotykaliśmy oficerów którzy byli aresztowani razem ze sztabem "Wilka". O "Wilku" dowiedzieliśmy się tyle, że został on po kilku dniach dochodzenia przewieziony do więzienia w Moskwie, razem z kilkoma jeszcze oficerami ze sztabu Okręgu.

Niemniej ciekawych wiadomości uzyskaliśmy o sytuacji na frontach. Ofenzywa Aliantów na Zachodzie posuwa się naprzód. Francja już wolna od najazdu Hitlerowskiego, Belgia i Holandia niepodległe.

Armia Czerwona znajduje się pod Warszawą, na prawym brzegu Wisły, obejmuje kleszczami Niemców od północy i południa. Powstanie Warszawskie krwawo odpiera kolejne natarcia Niemców. Podejmowane są próby desantu oddziałów Armii Berlinga na pomoc powstańcom.

Wyglądało na to, że wojna jest już w fazie końcowej, no i chyba nasz los również powinien się zmienić. Nie możemy w żaden ludzki sposób zrozumieć dlaczego nas tu jeszcze trzymają, dlaczego nie użyją nas w ostatnich walkach z wrogiem.

Koniec sierpnia nie przyniósł w naszej sytuacji żadnych zmian. W dalszym ciągu nie prowadzą żadnych badań, niema żadnych rozmów, zdaje się, że nikt nami się nie interesuje. Nie reagują na nasze próby ani żądania.

Któregoś dnia, zaraz po śniadaniu dał się słyszeć z korytarza jakiś alarmujący hałas. Potem skandowanie chóralne.

- ... otwierać .... otwierać ..... Otwierać! ....

Tupot biegnących strażników po korytaru, szamotanie, wrzask ludzki i .... cisza.

Jak piorun z jasnego nieba spada na nas wieść o klęsce powstania warszawskiego, o straszliwych zniszczeniach miasta i masakrze ludności cywilnej. I to wszystko na oczach znajdujących się na Pra-dze Armii Sowieckiej i polskiej Armii Berlinga.

Nieprawdopodobne. A jednak...

6 września 1944 roku zaczyna się w więzieniu coś dziać.

Wzmógł się ruch stażników i bojców na korytarzu, jakieś dyspozycje i rozkazy w języku rosyjskim.

Obiad jakby cokolwiek lepszy, coś w zupie pływa, jakieś kawałki kapusty i kartofli, wyczuwało się nawet smak zjełczałego tłuszczu. Chleba jakby większe kromki. Więzień wyczuwa natychmiast najdrobniejsze odchylenia od normalnego stanu, a to z kolei zmusza do myślenia i przewidywania.

Jakiś wewnętrzny niepokój zaczyna nas opanowywać.

Jest koło godziny 14<sup>00</sup>, według naszego szacunku, drzwi się naościę otwierają, wchodzi oficer NKWD, wyczytuje nasze nazwiska, każe szybko zabierać "wsiu wieszce" i wychodzić na korytarz. Tutaj przed innymi celami gromadzą się również grupy więźniów ze swoimi osobistymi rzeczami. Wszyscy ubrani są jak do wyjścia.

Stoimy tak na korytarzu i czekamy ze dwie godziny.

Wreszcie wprowadzają nas do dużego pomieszczenia, posiadającego cztery duże widne okna z potężnymi kratami, ale bez świetlików. Wszystkie szyby w oknach były powybijane.

W tej zbiorowej celi znajdujemy już znaczną ilość naszych oficerów. Tutaj spotykamy naszych dowódców Brygad partyzanckich. Jest tu "Wiktor", jest "Szczerbiec", "Wujek", "Ronin" "Świętołdycz" i wielu innych. Było to wprost jakieś uroczyste spotkanie.

Całą salę, w której znajdowało się ponad stu ludzi, wypełniał szum i gwar, okrzyki entuzjazmu i oznaki współczucia. Wszystko to jednak przesyczone nadzieją na koniec naszej mordęgi.

Powoli stan euforii ustępował miejsca spokojnej, zimnej rozwadze. Analiza naszej sytuacji nie nastrajała optymistycznie. Najgorsze w tym, że władze polityczne, ani władze wojskowe po prostu nie chciały z nami wogóle rozmawiać. Nie znany nam był bliżej los generała "Wilka", nie wiedzieliśmy dokładnie co zrobiono z tysiącami naszych żołnierzy.

Wszystkie okna tej ogromnej, zbiorowej celi były obwieszane i wypełnione szczelnie głowami mężczyzn, którzy przez ponad pięć tygodni tęsknili do szerszego spojrzenia w świat. Wydawało się nam, że już wieki całe znajdują się poza obrębem życia, tego normalnego ludzkiego życia.

Za oknami było zupełnie widno i można było jeszcze swobodnie obserwować widoki rozpościerające się na zewnątrz więzienia. W odległości nie większej niż 50 metrów znajdował się wysoki, z czerwonej cegły mur, uzbrojony na jego wierzchu siatką z drutu kolczastego. Za murem, w odległości dalszych 20 czy 30 metrów przebiegała wzdłuż ogrodzenia ulica, a właściwie droga o charakterze ulicy we wsi. Stały tam mełe domki drewniane z kwiatowymi ogródkami od frontu. Jedena taki domek posiadał od strony ulicy duży ganek, którego dach stanowił jednocześnie balkon.

W pewnym momencie jeden z więźniów tkwiących w oknie zawołał do środka celi.

- kto zna dobrze alfabet "mörsa"?

Ja Ja znam - krzyknąłem, pamiętając o podjętej przeze mnie łączności przez ścianę celi.

Przeciskam się do okna. Na balkonie domku znajdującego się akurat naprzeciwko naszego okna, widać grupę 5 lub 6 kobiet.

Pośrodku stoi kobieta z rozportartymi na boki rękami i macha w bok to jedną to dwoma ramionami.

Podnieśli mnie koledzy w górę i dwóch z nich posadziło na swoich ramionach. Zacząłem ręką prawą dawać znak "błąd"



przez obracanie ramionami w koło.

Nadaję sygnał "nadawaj".-

é Pisać! Będę podawał kolejne litery! - wołam do swoich.

Sygnalizacja trwała przez całą godzinę, a trzęść depeszy była mniej więcej taka:

- "Dziś lub jutro wychodzicie z więzienia. Transporty kolejowe przygotowane. Jedźcie na wschód. Robimy starania, żeby pozwolono widzieć się z rodzinami. Po drodze dostarczymy wam paczki i listy. Żadnych buntów. Bądźcie dobrej myśli. Pozdrawiamy was. Podajcie listę znajdujących się w więzieniu. Czywamy przy dwóch bramach więziennych przez 24 godziny. Nadawajcie."

Przez następną godzinę, a może i dłużej, nadawałem nazwiska i pseudonimy obecnych. Zmrok zmusił nas do przerwania tej nad wyraz fascynującej korespondencji. Kobiety długo jeszcze stały na werandzie. Myśny również wyglądali przez okna aż zmrok zapanaował całkowity.

Niewielu z nas tej nocy zasnęło. Przyciszone rozmowy trwały bez przerwy. Jedyną słabiutką żarówką przy samym suficie pośrodku celi nieznacznie tylko rozpraszała ciemności. Każdy z nas był przygotowany do drogi. Nie odczuwaliśmy zupełnie głodu, mimo że żadnej racji od wczorajszego obiadu nie otrzymaliśmy. Czekałiśmy świtu, bo przecież ma on nam przynieść coś nowego, coś nieznanego ale zmieniającego naszą dzisiejszą sytuację.

No i rzeczywiście znów coś się zaczęło dzieć.

Powoli świt rozpraszał nocne ciemności, a już i cela i ludzie siedzący wokół ścian zaczęli się wyłaniać z mroku, gdy głośny zgrzyt otwieranych zamków i zasuw poderwał na nogi wszystkich więźniów. Przejotwarte drzwi wtargnęło z piętnastu uzbrojonych bojców ze starszyną NKWD na czele.

- Ostanawliwatsia po dwoch - krzyknął starszyna, a bojcy ustawiali nas parami.

- Wychadzi... po oczeredzi... dziesiat ludziej...

Wyprowadzono dwie grupy po pięć par. Drzwi zamknięto. Bojcy ustawieni wzdłuż stojącego w dwójkach szeregu więźniów. Co dziesięć minut wyprowadzano nowe dwie grupy. Zagęszczenie w celi szybko się zmniejszało. Wreszcie i ja ze ~~w~~ swojną dziesiątką kolegów znalazłem się na zewnątrz zbiorowej celi. Teraz była to już znacznie mniejsza izba mająca tylko dwa zakratowane okna. Ustawiono nas w jednym rzędzie. Paczki z rzeczami kazano położyć przed sobą i odwrócić się plecami. Każdy z nas był dokładnie obmacywany przez bojca, a rzeczy w zawiniątku przemieszane.

Na rozkaz oficera NKWD wyprowadzono nas na korytarz, skąd po szerokich schodach zeszliśmy z drugiego piętra na parter, a następnie wyszliśmy na obszerny dziedziniec otoczony naokoło murami. Nie było widać żadnego wyjścia na zewnątrz tego dziwnego placu.

Na dziedzińcu tym znajdowała się już masa ludzi, której liczbę trudno określić. Spoglądałem na twarze chcąc w nich wyczytać nastrój i nadzieje. Nic z tych rzeczy. Wyczuwało się jakąś dziwną apatię.

Szukałem znajomych, ale nie widziałem nikogo.

Zbiorowo, na pierwszy rzut oka, okropnie zróżnicowane, co było skutkiem posiadanego ubrania, niewiele przypominało to tych dzielnych chłopców, a przecież byli oni prawie wszyscy oficerami lub podchorążymi.

Smutno mi się zrobiło w tym momencie. Czyżby pobyt przez kilka tygodni w więzieniu mógł spowodować załamanie psychiczne tych wspaniałych ludzi?

Zebrano nas tu chyba ponad trzystu oficerów, ale gdzie reszta? Jaki los spotkał tych innych, których tutaj w tej chwili nie ma?

Wczesny ranek dnia 4 września 1944 roku.

Ustawiono nas na dziedzińcu czwórkami, a przy każdej czwórce stanął żołnierz sowiecki z pepeszą w rękę, wycelowaną na sze-

regi więźniów.

Oficer NAWD wygłosił mniej więcej takie przemówienie.

~~gł~~ - "Nu wot. Tie pier wy pajdiocie czeres gorod Wilno na stancju. Ja was predupreżdaju. Nie nada udalatsia iz szeregi. Kto odejdiot - budiom strielat. Jasno? ~~szaxam~~ Nu tak szagom marsz"

I wolno, krok za krokiem, czwórkami od czoła, korowód zaczął wychodzić przez jedyne szerokie drzwi w budynku więziennym, korytarzem do drzwi następnych, a potem na inny dziedziniec, gdzie znajdowała się brama wjazdowa do kompletu więziennego.

Wierzeje bramy rozwarły się ze zgrzytem i na ulicy ukazał się nam tłum kobiet i dzieci. Były to rodziny więźniów, którzy w tej chwili opuszczali mury więzienia i to wcale nie na wolność.

Zrobił się lekki harmider, szyki więźniów zaczęły się trochę rozluźniać i czuło się, że jeszcze trochę a cały tłum wychodzących z więzienia ludzi rozbiegnie się. Kilka strzałów z pistoletów maszynowych przywołały nas do porządku i już w miarę grzecznie przekroczyliśmy granicę między więzieniem a swobodą, która przecież nie była nam dana.

każdy waciągał szyję i szukał wśród zgromadzonego tłumy kobiet znajomej i kochanej twarzy. Niejeden nie mógł powstrzymać łez na widok syna czy córki, prowadzonych za rączkę lub na rękach żony.

Z tłumy tego dały się słyszeć głosy:

- Tatus?... Tatus!...

Była to smutna i tragiczna w swym wyrazie defilada chłopców z lasu przed oczami tych, którzy nie byli pewni czy nastąpi kiedyś taki dzień, gdy będą mogli ich objąć i <sup>u</sup>ściskać

Komu zależało na zadawaniu tego bólu ludziom, którzy mieli na sumieniu takie przestępstwo jak miłość Ojczyzny.

Droga nasza prowadziła rzeczywiście przez całe miasto, chociaż omijaliśmy samo śródmieście. Szliśmy bardzo wolno, przedłużając w ten sposób czas marszu, ulicami Sierakowskiego, Archan-

nielską do ulicy Ponarskiej, przy której znajdowała się kolejowa stacja towarowa.

Przez całą drogę towarzyszyły nam kobiety. Wielokrotnie podbiegały do naszej kolumny kilkunasto letnie dzieci i mimo wrzasku konwojentów, a nawet strzałów w powietrze, doręczały niewielkie paczki więźniom. Od czasu do czasu padały do naszych stóp dobrze opakowane zawiniątka z adresami. Skrzętnie to wszystko zbieraliśmy i w miarę możliwości oddawaliśmy adresatom.

Na bocznicę stacji towarowej stały <sup>u</sup> j<sup>u</sup>ż wagony t.zw. bydłące, to znaczy przeznaczone do przewozu bydła, koni i trzody chlewnej. Było tych wagonów nie więcej niż pięć. Wszystkie one posiadały zasuwane drzwi i zamknięcia na sztabę z zatyczką. Przy każdym drzwiach stał zбитy z desek stołek, spełniający rolę schodów z terenu do wnętrza wagonu.

Natychmiast po przyjeździe na bocznicę i podejścia do wagonów, wpędzono ludzi jak bydło kolejno do każdego wagonu, lokując w nim po 60 ludzi.

W każdym wagonie, w części środkowej, znajdował się wycięty otwór o średnicy 20 cm. Łatwo się można domyśleć, że przeznaczony był do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Jeden otwór na 60 osób, bez żadnej osłony, bez żadnego sedesu. Narazie był to jednak tylko otwór, który mógł się ewentualnie przydać do innego celu. A rzeczywiście się przydał.

W odległości 20 do 30 metrów od wagonów, w których załadowano ludzi i zamknięto drzwi, zostawiając jedynie wąską pionową szparę dla wentylacji, ustawiła się gromada naszych kobiet.

Jakieś "konszachty" z <sup>o</sup> b<sup>o</sup>ćcami pozwoliły niektórym kobietom lub dzieciom podejść do naszych wagonów i od spodu, w miejscu wylotu otworu kloacznego, podać małe paczuszki i listy. Nasi chłopcy usprawnili tę drogę łączności wypuszczając przez otwór sznurki czy tasiemkę, którymi wciągano korespondencję na górę.

Czas mijał, dzień się kończył, a towarzyszące nam rodziny

nie odchodziły. Odczuwaliśmy już okropne zmęczenie. Zaczęliśmy w wagonie szukać sobie najwygodniejszego miejsca, mościliśmy sobie legowisko. Nie było <sup>to</sup> zbyt łatwe, bo ciasnota w wagonie była niesamowita. Żadne chyba zwierzęta, przewożone tym wagonem nie wytrzymałyby długiego przebywania w takiej ciasnocie, przy braku powietrza, o głodzie i pragnieniu.

Około północy, z 4 na 5 września nastąpił silny wstrząs wagonu od zderzenia lokomotywy przy jej dołączaniu do wagonów i w niecałe pół godziny "eszalon" ruszył dla nas w nieznaną.

Na zewnątrz ~~my~~ słychać było krzyki pożegnania stojących jeszcze na stacji naszych rodzin.

Rozpoczął się następny etap naszej gehenny.

Pociąg nabierał stopniowo szybkości.

Zmęczenie i miarowy stukot kół o złącza szyn kolejowych odsuwały w naszej świadomości na plan dalszy złożoność położenia.

Z każdą chwilą oddalały się miejsca rodzinne, coraz dalej znajdowały się życzliwe nam i kochające nas osoby. Gdzieś poza nami pozostały nasze żony i nasze dzieci. Gdzieś głęboko w nas zapadał ból rozłąki i żal z powodu niezawinionych skutków. Nie złość, nie nienawiść ale właśnie żal przenikał całą naszą świadomość.

W wagonie panowała nieprzenikniona ciemność. Prąd świeżego powietrza z trudem przeciskał się do wnętrza przez niedomkniętą drzwi. Na podłodze wagonu, bez żadnej podściółki zalegały zmęczone postacie polskich oficerów.

Tajemnicą była trasa tego koszmarnego pojazdu. Nie mogliśmy w żaden sposób określić nawet kierunku naszej jazdy. Stron świata nie udało się choćby w przybliżeniu ustalić. Czekaliśmy świtu i wschodu słońca aby w ten sposób zorientować bieg pociągu. Zatrzymujemy się wielokrotnie na zupełnym pustkowiu, na zewnątrz kompletna cisza, żadnych zabudowań. Na takich postojach słychać tylko przyspieszone kroki konwojentów, sprawdzających przy każdym wagonie zamknięcia na skoble i potężne kłódki. Nikt nie odpowiada na nasze pytania- "co to za stacja"?

Wreszcie świt. Światło od wnętrza wagonu wdziera się przez maleńkie okratowane okienko w górnej części ścian bocznych wagonu i przez szparę w niedomkniętych, zasuwanych drzwiach.

Po długim, bo trwającym kilka godzin postoju pociąg nasz powoli rusza. Kto tylko może płasuje się, z nosem przy szparze drzwi, inni znów stają na zgłębionych plecach kolegów, spoglądają <sup>przez</sup> (odrutowane okienka. Mijamy rozległe pola, żadnego śladu życia. Gdzieś w oddali majaczą kikuty kominów spalonej wsi. Pustka wołało.

Mijamy rżyny budynków stacyjnych. ktoś zauważył napis<sup>si</sup> po post-  
sku - "Mołodeczno". Nareszcie jest jakiś ślad kierunku jazdy.  
Wschodzące słońce, którego promienie padały naprzeciw naszej jaz-  
dy, wyraźnie wskazuje kurs - na wschód. Teraz już wiemy napewno,  
że wiozą nas do Rosji. Dokąd i po co ?.

Przy punktach obserwacyjnych w okienkach i szparze drzwi  
znajdują się stałe dyżury kolegów. Oni też podają na bieżąco ko-  
munikaty o zauważonych miejscach i zjawiskach wzdłuż toru kolejo-  
wego. W wagonie robi się duszno. Słońce nagrzewa ściany wagonu.  
wewnątrz panuje stęchlizna i zaduch na skutek oddawanego w otwór  
w podłodze kału i moczu, pomimo że każdy jest zobowiązany po wy-  
korzystaniu otwór oczyścić. Niewiele to jednak pomagało.

Daje się nam we znaki pragnienie. nie otrzymaliśmy dotych-  
czas ani picia ani jedzenia. Zaczynamy ujawniać złość, podnosząc  
wrzask na każdym postoju. Postanawiamy, że przy przejeździe przez  
zamieszkałe miejsca będziemy krzyczeć ze wszystkich sił.

Zapadał znrok, w wagonie znów zapanowała nieprzenikniona  
ciemność. Pragnienie i głód osiąga niemal szczytów wytrzymałości.

Zgrzyt i pisk kół o szyny, boczne uderzenia oraz zmniejszo-  
na znacznie szybkość, wskazują że przejeżdżamy przez perony ja-  
kieś dużej stacji. Przez szpary w drzwiach widać jedynie miga-  
jące ~~znaki~~ z dala światła.

Pociąg nasz raptownie staje.

**ki** Na zewnątrz rozlegają się głosy konwojentów. Sprawdzają zam-  
ki przy drzwiach.

- kakaja eto stancja ? - pytamy bojca

- Mińsk - odkrzyknął i poszedł dalej.

Staliśmy bez ruchu. Poza ścianami wagonów kompletna cisza.  
Czas płynął, ale my nie orientujemy się jak szybko bieżą godzi-  
ny. W pewnym momencie daje się słyszeć zgrzyt zamka, drzwi się  
z lekka rozsuwają i podają nam dwa wiadra wody i jeden aluminiowy

kubek. Dwa wiadra wody czyli około 40 litrów dla 60 ludzi. Ustawia się kolejka w wagonie, bo przecież mamy tylko jeden kubeczek. Pojenie ludzi trwało napewno kilka godzin, tymbardziej, że każdy z nas mógł otrzymać wodę dwukrotnie.

Nad ranem znów się otwierają drzwi wagonu i przez szparę wrzucają dziesięć bochenków białego chleba. Wybrani przez nas "szafarze", którzy nie wiadomo w jaki sposób zachowali przy sobie długi, zrobiony z kosy nóż, podzielili skrupulatnie na 60 części. Nie była to łatwa sprawa bo liczył się każdy okruch chleba, a przy krojeniu tępym nożem tych okruczków było sporo. Kilkanaście par oczu śledziło z uwagą ruch tych krojących. Spokój przy tym panował wzorowy, a powaga wyzierała z twarzy świadków tej ceremonii.

Napewno trwało to znów parę godzin, bo zaczynał nam już dokuczać zwiększający się zaduch i upał. Słońce nagrzewało dach i ściany wagonu, powietrze stawało się tak gęste, że płuca z trudnością mogły je pobierać. Koło południa, bez żadnej zapowiedzi, pociąg nasz szarpnął do tyłu, potem do przodu, po czym powoli ruszył z miejsca. Spowodowało to zbawienny ruch powietrza, które strumieniami poczęło wdzierać się poprzez szparę w drzwiach i przez okienka. Swobodniej mogliśmy odetchnąć.

Pociąg posuwał się bardzo wolno, ale monotony stukot kół, zmęczenie po nieprzespanej nocy, zwały niemal wszystkich pokonem na podłogę wagonu. Rozpoczął się prawdziwy koncert chrapania śpiących kilkudziesięciu mężczyzn.

Minęło dalszych 3 dni i nocy w tej ślimaczej podróży.

Przez te dni otrzymaliśmy zaledwie raz jeszcze po kawałku chleba i trochę wody. Odczuwaliśmy jakiś dziwny zanik energii. Siły fizyczne i odporność psychiczna były na krańcach wyczerpania.

W samo południe, 8 września, pociąg nasz przystanął. Kilka



razy ruszył do przodu i znów stanął. Zachowanie się konwojentów wskazywało na to, że tutaj chyba zatrzymamy się dłużej. Drzwi wagonu rozsunięto o jeden ząbek w zapadce sztaby więcej, tworząc w ten sposób większą szparę. Prawie wszyscy znaleźliśmy się przy samych drzwiach i oglądaliśmy znaczną przestrzeń, rozpościerającą się przed nami na zewnątrz. A widok był rzeczywiście intrygujący.

Tuż przed nami, wzdłuż torów rosły niskie krzewy, z poza których widać było skośnie biegnącą bitą drogę. Lewa strona tej drogi, w odległości około 50 metrów posiadała wysokie ogrodzenie z metalowej siatki. Dalej, też chyba z 50 metrów widniała brama. Po obydwu stronach tej bramy powiewały na wietrze dwie flagi, jedna z nich była polską - białoczerwoną, druga całkowicie czerwoną flagą sowiecką.

Długo patrzyliśmy na to zjawisko, doszukując się znaczenia.

Przed naszym wagonem stanął uzbrojony bojec.

- Tawariszcz! Czto oto?

- Katyń!... Nie znajesz?... Job... Siej czas budiom was wygrużat - i poszedł do następnego wagonu.

Strach i groza zaparkły nam oddech. Nie padło ani jedno słowo. Nagle jeden z naszej grupy, zrazu cichutko, potem coraz głośniejsze, wreszcie cały wagon zaczął mu wtórować.

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna ... - nasilała się modlitwa, granicząc z jakąś zbiorową histerią.

- Milczeń!... Milczeń!... - wrzasnął jeden z naszych starszych oficerów, bluzgając najordynarniejszymi wyrazami.

Kiedy całe towarzystwo zamilkło, spokojnie wygłosił ten sam oficer krótkie przemówienie, tej mniej więcej treści.

- Przepraszam was koledzy za mój wyskok. Musiałem wam przerwać te objawy hysterii zbiorowej. Powinniśmy po męsku przyjmować wszystkie przeciwności losu. Nie wiemy przecież nic o naszym

przyszłym losie. Siły psychicznej nam potrzeba do przetrwania, bo przecież chcemy chyba żywi powrócić do domu.

Nastąpiło ogólne odprężenie.

Po upływie zaledwie dwóch czy trzech godzin pociąg ruszył w dalszą drogę. Wiedzieliśmy już, że jedziemy przez Smoleńsk w stronę Moskwy.

Dalsza podróż trwała jeszcze trzy dni i trzy noce.

Na stacji Możajsk tkwiliśmy przez całe dwie doby. Podobno, jak nam zradził jeden z konwojentów, nie było decyzji dokąd nas skierować, a Moskwa zakazała wjeżdżać do miasta.

Skandaliczne warunki sanitarne i brak pożywienia powodowały coraz częstsze omdlenia. Z sąsiedniego wagonu wyniesiono zwłoki zmarłego w drodze więźnia, o czym dowiedzieliśmy się później. Bezpośrednią przyczyną był atak serca. Smutny miał biedaczysko pogrzeb, bo żadnego z kolegów nie dopuszczono do wzięcia udziału w pochowaniu. Nikt nie wie gdzie się znajduje jego grób.

Nareszcie po 8 dniach koszmarnej jazdy pociąg nasz zatrzymuje się na stacji kolejowej Diagielewo. Na bocznych torach tej małej stacyjki stoi 7 wagonów, tak zwanych "ciepłuszek", dla przewożenia bydła. Duży oddział NKWD, z pepeszami czy też innymi automatami, otacza szczelnie teren, na którym znajduje się nasz pociąg.

We wszystkich wagonach równocześnie odblokowują zamknięcia i rozsuwają ze zgrzytem drzwi na całą szerokość.

- Wychydi!- rozlega się rozkaz.

Wyskakują z wagonu ci, którzy są w najlepszej kondycji fizycznej i pomagają wychodzić pozostałym kolegom. Teraz dopiero, gdy znajdujemy się na powietrzu, widzimy co można zrobić po tygodniu czasu z istoty ludzkiej.

Nie możemy dłużej ustać na nogach, które natychmiast się uginają. Straszliwy zawrót głowy powoduje omdlenia. Siadamy gdzie

kto może, niektórzy leżą na ziemi ciężko dysząc.

"Wygrużanie" to trwało ze dwie godziny, zanim organizm nie przystosował się do zmienionych warunków.

- Padnijcie! stanowić w oczeredzi po pięci ludiej ! -  
pada rozkaz.

Powoli podnosimy się z ziemi i stajemy w kolumnie po pięciu w każdym rzędzie.

Rozglądamy się wokoło. Teraz dopiero zaczynamy rozróżniać otaczający nas świat.

Przed nami tory kolejowe, za którymi stoi niewielki budynek murowany z widniejącą na froncie nazwą stacji. Prostopadle do torów biegnie szeroka bita droga. Po jednej stronie drogi - pola obsadzone kapustą i innymi warzywami, po drugiej stronie aż po horyzont ciągną się przestrzenie niczym nie obsiane. Gdzie niegdzie monotonię krajobrazu przerywają kępki krzaków. Z daleka widnieją pojedyncze chaty. Żadnego żywego człowieka. Smutny to był widok.

Noga za nogą, ledwo się poruszając, kroczyliśmy drogą wznosząc kurz wokół siebie.

Nie wiem ile godzin maszerowaliśmy drogą, której odległość nie przekraczała 6 km. Dwa razy zatrzymywaliśmy się dla odpoczynku. Byli tacy, którzy symulując potrzebę fizjologiczną, wyrwali z ziemi parę buraków lub marchwi. Po wytarciu o spodnie z ziemi, natychmiast spożywali. Mało brakowało, aby kolumna nie zwalika się na te warzywa. Kilka strzałów w powietrze przywołało naszych do porządku.

Stanęliśmy przed wysokim na 2 metry parkanem, z ustawionych pionowo szczelnie desek. Drewniana, okuta żelazem brama stała otworem. Żadnego szyldu, żadnej wskazówki co to jest.

A był to kres pierwszego etapu naszej drogi z Ojczyzny na wschód do Rosji Sowieckiej.

II / 856

HENRYK PŁASKI

 ARCHIWUM WSCHODNIE

OFICEROWIE

ARMII KRAJOWEJ

W RIAZANIU

TOM IV.

O B O Z Y

== ! ==  
WARSZAWA 1979 r.

IV Ś O B O Z Y

- Rozdział: 11. Diagielewo - obóz pod Riazaniem  
12. Ciepielewo - obóz NKWD Nr 178

Rodział 11. DIAGIELEWO

- OBÓZ POD RIAZANIEM

Riazań.

Czy znacie to "hasło"?

Czy wiecie, że ma ono podwójne znaczenie?

Posłuchajcie więc.

Riazań.

Miasto, którego nazwa już wielokrotnie obijała się o nasze uszy. Jeszcze w obozie w Miednikach, a później w więzieniu na Łukiszkach miasto to kojarzyło się z Polakami w ZSRR.

Stoimy przed bramą jakiegoś hermetycznego odosobnienia, nie przeczuwamy, że blisko bo zaledwie kilkanaście kilometrów znajduje się miejsce gdzie są przygotowywane kadry polskich oficerów do ostatecznej rozgrywki z najeźdźcą niemieckim. Zresztą po tak potwornie uciążliwej podróży opanowała nas kompletna apatia, a jedynym pragnieniem było zaspokoić przejmujący głód i móc zważyć się gdziekolwiek do snu.

Stacja kolejowa Diagielewo pozostała za nami. Nowy obóz, gdzie mamy być zakwaterowani nosi nazwę właśnie tej stacji kolejowej.

Dzień 11 września 1944 roku miał się ku końcowi.

Poprzez furtkę ogrodzenia, z dyżurki, znajdującej się na terenie obozu <sup>poza</sup>ogrodzeniem, wychodzi jakiś wyższej rangi oficer NKWD. Był on dobrej tuszy, więc chyba to co najmniej major. Trzeba bowiem wiedzieć, że szarże oficerskie NKWD poznawać można niezależnie od noszonych przez nich dystynkcji, po wielkości brzucha. Ten to oficer, na czele grupy niższych rangą i młodych oficerów, staje przed naszą kolumną i wygłasza po rosyjsku przemówienie.

Czego w treści tego przemówienia nie było. I wspaniałomyślność władz sowieckich, które chcą uchronić nasze życie od zagłady

na froncie, i bohaterstw<sup>o</sup> żołnierza radzieckiego, który po kolei wyzwala wszystkie narody europejskie z okupacji hitlerowskiej. Była mowa o socjaliźmie i komunizmie, który w końcu opanuje cały świat i całą ludzkość. No i wreszcie o wspaniałej postaci genialnego wodza państwa radzieckiego Stalina.

Na zakończenie oświadczył nam, że pozostaniemy tu, w odosobnieniu aż do końca zwycięskiej wojny, a potem władze państwa polskiego zadecydują co z nami zrobić. Będziemy tu sobie spokojnie i dostatnio żyli i nic się nam złego nie stanie.

- Waprosy jest? - pada pytanie na zakończenie tego powitania.

- Kalkda my ujeżdżajom na rodinu? - pyta jeden z naszych oficerów.

- Nie znaju - odpowiada major i oddala się do czekającego na niego samochodu.

Było nas ponad 300 ludzi. Podzieleni na trzy kompanie, t.zw. "roty", zostajemy kolejno wprowadzeni na teren obozu.

Obóz ten nosił nazwę "Speclager NKWD Nr 178"

Jak trudno teraz po 35 bez mała latach odtworzyć topografię miejsc, które przecież dzień w dzień przez długi okres czasu były naszą siedzibą i wycisnęły swoje piętno na naszej psychice. Postaram się jednak przynajmniej w głównych zarysach naszkicować obrazy, które jednak pozostały w mojej pamięci.

Obóz w Diagielewie nie należał do obozów wielkich, miał raczej charakter odosobnienia dla ludzi, w stosunku do których prowadzone było dochodzenie. Świadczy o tym chociażby wysoki, ponad dwa metry parkan z grubych desek, których styki były od zewnątrz zabite listwami, aby ani z tej ani z tamtej strony nie było wglądu, <sup>ol na)</sup> (ni<sup>o</sup> druk/kolczasty wieńczący górne krawędzie parkanu. Nie przypominam sobie czy na rogach ogrodzonego terenu znajdowały się t.zw. "bociany", czyli strażnice na wyżkach, co by znów wskazywało na

dyskretny charakter tego odosobnienia.

Sam obóz składał się z podstawowych czterech baraków mieszkalnych, baraki mieszczące część gospodarczą, a więc magazyn, kuchnię oraz oddzielnie ustawiony barak z łaźnią i desynsekcją. Przy samej bramie wejściowej znajdowała się, zbudowana z grubych bali dyżurka, gdzie miała pomieszczenie komendantury sowiecką obozu oraz koszary wartowników. I tu ~~byli~~ wbrew przyjętej zasadzie, żołnierze sowieccy zamieszkiwali nie na zewnątrz ogrodzenia lecz na terenie obozu.

Z tyłu, poza koszarką znajdowała się piwnica, która spełniała rolę t.zw. "bunkra" - czyli karnego pomieszczenia, o czym później mieliśmy się przekonać na własnej skórze.

■ A więc każda kompania, składająca się z około 100 ludzi otrzymała oddzielny barak.

Była to właściwie jedna wielka sala o jednym wejściu i dwóch niedużych oknach z maleńkimi szybami. Ściany tego baraku były zbudowane z dwóch warstw desek na szkielecie z grubych słupów. Podsufitka z desek przybitych do wystających podciągów z belek wspartych pośrodku sali na dwóch słupach pionowych.

Dwupiętrowe prycze drewniane ustawione w czterech rzędach, dwa przy podłużnych ścianach oraz dwa rzędy biegnące środkiem wzdłuż sali.

Między środkowymi rzędami prycz a wejściem znajdowała się wolna przestrzeń, pośrodku której stał nieduży żelazny piec-koza. Podwieszane pod sufitem, w kierunku jednej z podłużnych ścian rury blaszane miały odprowadzać dym i spaliny poza barak. Na tej wolnej przestrzeni stał również niewielki stół i dwa taborety.

Żadnej instalacji oświetleniowej.

Tak to wyglądała sceneria naszej pierwszej siedziby na ziemi rosyjskiej.

Przygnębiające wrażenie, jakie odczuwał każdy z nas po wkro-



czeniu do baraku, granoczyło z jakimś wewnętrznym wstrząsem. Dopiero teraz opanował nas bezgraniczny lęk przed czekającą nas tu wezwycacją. Zdawałoby się, że po przeżyciach więziennych na Łukiszkach nic już nie powinno nas zaskoczyć - a jednak.

Tam byliśmy we własnym kraju, tam tliła się w nas iskierka nadziei, że jakieś nieprzewidziane wypadki, jakieś interwencje z zewnątrz otworzą przed nami bramy więzienia.

Tutaj... obczyzna... Daleko od świata prawdziwej kultury, daleko od jakiegokolwiek możliwości ingerencji w naszej obronie.

Tam żyliśmy nadzieją wykorzystania okazji, aby przy pierwszej nadarżającej się korzystnej sytuacji próbować ucieczki, nawet z narażeniem życia. Tutaj, wśród obcych i wrogich ludzi, przy tak ogromnych przestrzeniach, ucieczka stawała się utopią.

Rozglądamy się po tej obszernej sali. Stoimy stłoczeni na wolnej przestrzeni przed gołymi leżami z nieheblowanych desek, nie wiedząc co dalej począć.

Jest nas tu około sto osób, znajdujemy się w pierwszym z brzegu baraku jako 3 kompania - trzecia rota.

Podchodzimy wolno do prycy i kładziemy na nich swoje skromne tobołki. Wszyscy już teraz ruszyli się z miejsca i każdy zajmuje jedno miejsce na prycy w swoje niepodzielne władanie.

Ja zajmuję górną prycę w drugim szeregu przy szczytowej ścianie. Wdrapuję się na górę i w skąym oświetleniu, padającym z niewielkich okien oglądam swoje legowisko. Ale niewiele już można było zobaczyć. Resztki światła dziennego ledwie docięrało do środka przez obydwa okna. Zapadał zmierzch. Ogromna sala, licząca około 18 do 20 metrów długości i pona 10 metrów szerokości, wypełniona szczelnie przez drewniane rusztowania prycz, musiał<sup>a</sup> teraz być cała niemal w mroku. W tej chwili, gdy zmrok ogarnął całe wnę<sup>e</sup>trze sali, na przeciwległym od okien końcu sali panowała zupełna ciemność.

Chłopcy poruszali się po omacku. Niektórzy posiadali zapalniczkę z resztkami benzyny, niektórzy mieli jeszcze po kilka zapalek, ale ogień należało oszczędzać, nie wolno było stosować tych środków dla oświetlania.

Wyczerpanie nerwowe i zmęczenie fizyczne wzięło górę nad jakimkolwiek rozumowaniem. Każdy z nas, bez zdejmowania z siebie ubrania, zwałił się na swoje leże. Bardziej odporni wychodzili na zewnątrz budynku aby zebrać myśli i odpocząć na powietrzu w świetle krwawo zachodzącego słońca. Wzrok biegł w tym kierunku, ale myśl go jeszcze wyprzedzała. Tam przecież, oddalona ponad tysiąc kilometrów była Ojczyzna, był dom, była rodzina. Niejednemu mgłą zachodziły oczy, a niejedni i łzy miał w oczach. Nie usłyszałeś żadnych rozmów, tylko w tej ciszy, jak zerzyt zarzewiających zawiasów dochodziły z kądś krótkie rosyjskie słowa, których znaczenia nikt z nas nie starał się zrozumieć.

Pozostawiono nas samym sobie. Problemem nie<sup>do</sup>zrealizowania było zdobycie choćby kilku łyków wody, a tymbardziej jakiegoś pożywienia.

Tak to przeminęła noc z 11 na 12 września 1944 roku. Pierwsza noc spędzona w obozie na terenie Związku Radzieckiego. Noc bezsenna, bo nowa sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy nasuwała taką moc różnych myśli, że trudno je było w jakiś sposób usystematyzować.

Na gołych deskach prycz, z tobołkiem skromnego bagażu pod głową, leżeliśmy z otwartymi oczami, czekając rannego brzasku. Czas włókł się jak ślimak, myśli przebiegały błyskawicą przez mózg, a o jakichś wnioskach czy zamierzeniach nie mogło być mowy. Jedna myśl, jak sztylet raziała nasze poczucie rzeczywistości, myśl, którą można wyrazić w pytaniu: "co oni z nami zrobią".

W tę ciszą nocną zaczął przenikać, początkowy słaby szum i szepty, stopniowo nasilające się do ogólnego gwaru, a przyczyną tego były najzwyczajniejsze potrzeby fizjologiczne. Przez dalszą część nocy odbywał się ruch pojedynczych cieni w poszukiwaniu ubi~~l~~acji. Ruch ten jeszcze o świcie stawał się ciągłą wędrówką ludzi, kroczących przez wolną przestrzeń baraku. Drzwi bezustannie skrzypiały, wzbudzając dreszcze całego ciała. Nikt się ~~na~~ w tej wędrówce nie zatrzymywał, apatia na twarzach i tępy wzrok były świadectwem nieprzespanej nocy.

Wyszedłem i ja. I ja również szedłem nie widząc nikogo obok siebie. Powiew chłodnego powietrza orzeźwił nieco, a konieczność spoglądania pod stopy powodował powrót jakiejś takiej świadomości.

Niekończące się szeregi, w odstępach 3 do 4 kroków sunęły w dwóch przeciwnych kierunkach wzdłuż ściany baraku aż na jego tyły.

W odległości około 50 kroków zbiegały się drogi z trzech pozostałych baraków. Już tylko pozostało 30 kroków do szopy ze zbitych ażurowo desek. Szopa ta była ustawiona nad otwartymi doramai kloacznymi. Dramaturgia załatwiania swych naturalnych potrzeb odbywała się ze śmiertelną powagą.

Ranek dnia następnego wtargnął nagle do wnętrza baraku poprzez obydwa okna. Było ciemno i na-raz bez żadnych faz przejściowych zrobiło się zupełnie jasno. Przed naszymi oczami ukazał się jakby całkowicie odmienny obraz od tego, który powitał nas w chwili pierwszego przekroczenia progu baraku. Widok był właściwie ten sam, ale odczucie rzeczywistości stawało się nieco inne, ~~Stąd~~ i wrażenia jakby odmienionego obrazu otoczenia.

A na sali mieszkalnej rozpoczyna się ruch postaci w wojskowych mundurach i przybiera stopniowo na wyrazistości. Każdy zaczyna coś tam robić na swojej pryczy.

Wreszcie zjawia się władza sowiecka w postaci młodego oficera NKWD w asyście dwóch bojców.

Padają rosyjskie słowa programu na najbliższe godziny, a więc:

- kompania /rota/ nytychmiast wybierze z pośród siebie "komandira" roty,

- kolejno, po dziesięć osób, zgodnie z zajętymi pryczami, pomaszerujemy do magazynu dla pobrania sienników i napełni ich je słomą, pobranie prześcieradeł i podglówek,

- wyznaczenie prowiantowych dla pobierania z magazynu żywności na dzień dzisiejszy,

- fasowanie tej żywności i jej rozdział,

- uporządkowanie swoich leży,

- kąpiel w łaźni,

- zgłoszenie na ochotnika robotników do obsługi kuchni,

- zgłoszenie się do "san-czasci" polskich lekarzy,

Dalsze zarządzenia będą podawane w miarę potrzeby.

- Nu wot! Eto wsio. Waprosy jeść?

- Skażycie, pażauستا, kakda ujeżdżajem w Polsce? - pada pytanie z gromady naszych oficerów.

- Nie znaju - na tym się kończy rozmowa.

Programowane wyżej czynności stanowiły dla nas przedsmak zupełnie nowych, niecodziennych przeżyć. To wszystko było czymś nowym, mimo że dotyczyło zupełnie normalnych spraw.

Warto może zatrzymać się chwilę nad poszczególnymi zjawiskami, stanowiącymi doskonałą charakterystykę sytuacji.

Nie pamiętam już kogo kompania wybrała na swego komendanta. Zdaje się, że był to major Kowalski - Aleksander Wasilewski. Tylko, że nie został uznany przez władze obozu, które nie wiadomo na jakiej podstawie wyznaczyły komendantem porucznika Michała Sielickiego - zresztą ten porucznik zgłosił się do obsługi kuchni, tak że faktycznie komendantem pozostał Kowalski.

Znalazłem się w pierwszej dziesiątce, która miała pomaszero-

rować za bojcem do magazynów. Była to wielka szopa, stojąca poza budynkiem komendantury sowieckiej. Szopa, w której znajdowała się kupa zmierzwionej słomy, a obok sterta sienników. Każdy z nas wyciągał ze stosu worek z szarego płótna. Szukając możliwie czystej sztuki, trzeba było dobrze się natrudzić. Nie było to łatwe gdyż wszystkie one nosiły ślady używania ich poprzednio, a nie trudno stwierdzić, że poddane praniu nie~~były~~. Niektóre miały na sobie jakieś podejrzane plamy. Ilość ~~ładownej~~ przez nas do sienników słomy była kontrolowana przez towarzyszącego nam bojca, który w kilku przypadkach nakazał zwrócić część wziętej słomy.

Operacja ta trwała przez cały dzień, a ruch "pensjonariuszy" ze wszystkich baraków był wielce natężony. Komu się udało wypchać swój worek kroczył z nim, trzymając go na głowie, dumny z takiego zwycięstwa. Słoma przeznaczona do sienników ~~nae~~ była świeża. Zmierzwiona i pozbawiona swego naturalnego ~~słoneczno-żółtego~~ koloru, nosiła wyraźne znaki powtórnego jej użytkowania. kurz, unoszący się z kupy słomy wypełniał bez reszty całe pomieszczenie, wdzierając się do ust, nosa i w oczy straszliwą masą, kaszel i kichanie grzmiało naokoło.

W międzyczasie, kilku wyznaczonych przez komendanta dyżurnych udało się z kocami do magazynu kuchennego dla pobrania prowiantu na dzień dzisiejszy. Prowiant ten składał się z chleba przenego, przeraźliwie białego, pieczonego w forenkach podłużnych, margaryny i cukru. Tak zwani "prowiantowi" otrzymywali sumaryczne ilości według stanu całej kompanii "roty"- baraku. Było tego stosunkowo dużo, tak że czterech ludzi ledwie to wszystko przódźwigało na sale sypialne.

Bez mała 24 godziny nie mieliśmy nic w ustach, głód skręcał kiszki, a poniekąd nawet omdlewali, szczególnie ci, których natura obdarzyła dobrą tuszą - bo ~~ch~~dzielnicy jakoś łatwiej znosili brak pożywienia.

Chleb był pieczony z mąki otrzymanej ze Stanów Zjednoczonych w ramach UNRY. Piękna pszenna mąka była tak biała i tak miła, że najprzedniejsze bułki nie wytrzymałyby porównania z tym chlebem. Poza tym bochenki były lekkie, a każdy z nich ważył 600 gramów, co stanowiło rację dzienną dla czterech ludzi. Było to powodem, że pobieraliśmy prowiant ryczałtem dla czterech ludzi, tym bardziej, że i margarynę również jedną kostkę należało dzielić na czterech. Do tego dochodziło po dwie kostki cukru na osobę. I to wszystko na cały dzień.

Naturalnie technika przydziału porcji dobranym ad hoc czterem ludziom nie przedstawiała trudności. Dopiero podział bochenka chleba i kostki margaryny nastroczał wręcz piramidalnych trudności. Każda drobina chleba czy margaryny stanowić mogła źródło ogromnych nieporozumień. Tutaj rozwiązanie polegało na podziale na "równe połowy" i to w ten sposób, że jedna para udziałowców dokładnie dzieliła na dwie części, druga para miała prawo wyboru jednej z połówek.

Były takie czwórki, które nie przywiązywały wielkiej wagi do skrupulatnego podziału, ale i tutaj stosowano metodę kolejnego wyboru podzielonych kawałków chleba i margaryny.

No więc dorosłe dzieci miały przy tej okazji źródło zabawy i swarów, co jednak odbywało się w nastroju raczej humorystycznym. Wypełniało to czas i pozwalało na krótko zapominać o wymaganiach pustego żołądka.

W każdym razie pierwsze odczucia związane z wyżywieniem były chyba optymistyczne. Otrzymywane ilości były po prostu mikroskopijne, ale ostatecznie z głodu nie pozwalały umrzeć. Ba, byli nawet tacy co i tymi racjami uprawiali spekulacyjny handel, ale o tym później. Największe powodzenie miały dwa artykuły: cukier i papierosy. Bo trzeba wiedzieć, że na każdego z nas przypadła dzienna racja po 5 sztuk papierosów marki "białomor kanał". Wyobraźcie sobie co za wspaniała perspektywa dla niepalących.

No i jeszcze jedna atrakcja czekała nas tego dnia. Oto przyniesiono aż cztery wiadra herbaty. Najgorszy szkopał wypływał z braku naczynia do picia, bo niewielu z nas posiadało jakąś blaszaną puszkę, manierkę czy menażkę. Herbata tylko barwą trochę przypominała ten napój, bo w smaku raczej podobna była do popłuczyn przy zmywaniu naczyń. Była dość ciepła i to było jej główną wartością.

Tego dnia, według jakiegoś tam sowieckiego rozdzielnika oczekiwaliśmy nas nie lada uroczystość.

Do obiadu pozostało 5 godzin i czas ten mamy zużytkować na generalną kąpiel i dezynsekcję. Zrozumiecie zapewne, że była to niebywale wspaniała perspektywa, zważywszy, że przecież ponad tydzień nikt z nas nie tylko się nie mył ale nawet nie zdejmował z siebie ubrania i bielizny. Zapowiedź kąpieli wprowadziła nas w stan jakiejś euforii. Był to bowiem nie tylko akt sanitarno - fizjologiczny ale przede wszystkim możliwość rozwiązania niepojętego absurdu i paradoksu sytuacji. Wiedzieliśmy bowiem, że znajdujemy się niedaleko miasta Riazania, miejsca polskiej podchorążówki. Świtła nam myśl, że chyba przygotowują nas do przejścia do tej wojskowej szkoły.

Zobaczymy jak to wyglądało w rzeczywistości.

Zjawili się w baraku żołnierze sowieccy.

Sierżant ryknął - "smirno!" - i zapanowała w baraku kompletna cisza.

Wchodzi leitinant. Bez słowa kroczy między rzędami łóżek; bacznie ogląda każde legowisko, obserwuje twarze "pensjonariuszy", wraca na środek sali i wydaje rozkaz - "swobodno".

Dalsze jego przemówienie, wygłoszone w języku rosyjskim, wygląda tak w polskim przekładzie:

- podzielić kompanię na grupy po 20 osób.
- każdy zabiera ze sobą tylko ubranie, reszta pozostaje na

pryczach. .

- każda grupa dostaje jednego opiekuna w postaci "bojca".
  - idziemy kolejno grupami do baraku-łazienki
  - w poczekalni rozbieramy się do naga.
  - będą tam ruchome wieszaki, na jednym kołku wieszka każdy z nas wszystkie swoje ubrania, buty stawia się na dolnej desce pod swoim wieszakiem z ubraniami.
  - następnie cała grupa przechodzi do sąsiedniego pomieszczenia gdzie odbywać się będzie kąpiel.
  - na ścianie wiszą ręczniki, którymi należy się wytrzeć po kąpielu.
  - potem wychodzimy drugimi drzwiami do innej poczekalni, gdzie będą już stały wieszaki z naszymi ubraniami po przeprowadzonej dezynsekcji.
  - należy się szybko ubierać i wracać całą grupą do swojego baraku.
  - Eto wsio! Waprosy jeść? - pada stereotypowe zakończenie jego przemówienia
  - Tawariszcz komandir! Skażycie pażausta kakda my ujeżdżajom w Polszu?
  - Nie znaju! - odpowiada
- Ale teraz prześledźmy jak ten wspaniały program został zrealizowany.
- Najpierw zastanawialiśmy się co ze sobą zabrać do dezynsekcji. Wprawdzie nie było tego wiele, ale zawsze ten płaszcz czy zapasowa koszula, czy furażerka, to jednak majątek. Zabrać czy zostawić na pryczy? I tu i tam zagraża niebezpieczeństwo rekwizycji. Może jednak lepiej to wszystko mieć przy sobie. Naturalnie takie zagadkowe przedmioty jak żyłotka, szpileczka czy dolary USA należało bez wątpliwości zabrać ze sobą.



A w międzyczasie zebrała się już pierwsza grupa 20 chłopców i pod dowództwem nieuzbrojonego "bojca" pomaszerowała do stojącego pod samym płotem garaku. Już z daleka można było stwierdzić, że barak ten był ożywiony, bo z jednego z istniejących tam dwóch kominów unosiły się kłęby czarnego, śmierdzącego dymu.

Nie!... Nie!... To nie był trupi smród, to był smród palącego się torfu. I to było dla nas zjawiskiem radosnym.

W pierwszej sali, zaraz za drzwiami ustawione były przy dwóch ścianach długie ławy. Jedna z pozostałych ścian, z jowej strony, posiadała dwa zamknięte otwory drzwiowe, a przed nimi dwa ruchome rusztowania na stalowych kółkach. Rusztowania z drewnianych kantówek posiadały wieszaki na ubrania, gęsto obok siebie zamocowane a u spodu jakby płytka wanna czy koryto.

Każdy z nas mógł wykorzystać aż dwa wieszaki, zaś buty, skarpety i onuce ustawiało się w tym właśnie korycie.

Dwudziestu chłopca, kompletnie nagich, trzymających w rękę jakieś małe zawiniątka, czekało na otwarcie podwójnych drzwi do następnego pomieszczenia.

Ta sala miała swoistą specyfikę.

Jedna ściana posiadała kilka dużych okien z parapetami, a niżej rzędem ustawione były drewniane stołki. Na przeciwległej ścianie przebiegało kilka rur doprowadzających wodę zimną i gorącą. Tak jest - naprawdę gorącą. Zaraz na lewo od wejścia znajdowało się podium na wysokości jednego stopnia od podłogi, a na nim jakby drewniana balia, nad którą tkwiły dwa krany czerpalne. Obok podłużny stolik, na którym leżała kupa małych kawałków mydła, a dalej sterta różnego rodzaju szmat, mających spełniać rolę ręczników. Wzdłuż tego stolika ustawione były drewniane skopki.

Ustawieni w długą kolejkę czekamy na zjawienie się cerbera w mundurze wojskowym i w niby białym lecz brudnym fartuchu.

- Adin! dwa! tri! czytyry! pięć! - wyliczał ten/szafarz czas wypływu wody gorącej do podstawionego skopka. I tak dwadzie-

ścia razy.

Wody tej było niewiele, ledwie przykrywała dno drewnianego naczynia, przy tym była tak gorąca, że nie sposób z niej korzystać. Na razie więc każdy mydlił całe ciało pobranym kawałkiem mydła. Szcrowano sobie nawzajem plecy i w ten sposób woda zdążyła dostatecznie ostygnąć, aby móc ją wykorzystać do opłukania ciała.

- Biery zimnuju wadu! - ryknął żołnierz.

Każdy chlusnął resztkę wody na siebie i biegiem, ślizgając się po pokrytej mydlinami podłodze, stawał znów w kolejce przed kranami czerpalnymi. Tutaj bojec liczył tylko do trzech, to też i wody zimnej wypływało znacznie mniej, ale była tak przeraźliwie zimna, że człowiek pod jej wpływem niemal cały drętwiał. Byli tacy jednak, co chlusnąwszy całą zawartość na siebie, stawali powtórnie w kolejce. Ale tylko kilku ten kawał się udał, bo w pewnej chwili bojec zamknął kłany i przestał wodę wydzielać.

Jeszcze tylko kilka przysiadów i wycieranie ciała ręcznikiem. Zresztą nie bardzo skuteczne było to wycieranie, szmaty były już wilgotne i podejrzanie brudne, woleliśmy obeschnąć metodą naturalną.

- Wychadi! Wychadi! - Krzyczał przez otwarte drzwi nasz konwojent.

Tutaj już czekał na nas transport naszego ubrania, na tych smyich wieszakach i rusztowaniach. Wszystko piekielnie gorące, tak że nie można było od razu się ubierać. każdą sztukę ubrania trzeba było studzić przez wachlowanie.

- Skarej! Skarej! Wychadi! -

Teraz już pojedynczo szliśmy bez eskorty do swoich baraków. Uroczystość "bani" została zakończona, chociaż dla innych trwała przez cały dzień do późnej nocy.

Jest godzina 14<sup>00</sup>. Odpoczywamy leżąc lub siedząc na swych pryczach. Jednak ta "kąpiel" poważnie wyczerpała nasze siły, tym-

bardziej, że pusty żołądek dopominał się swoich praw.

Wreszcie, gdy już cały barak powrócił z "bani", zjawia się polski kuchcik w białym fartuchu, zapraszając grzecznie na pierwszy gorący posiłek w tym obozie. Teraz to w równym stopniu jak głód przenikała nas ciekawość. Gremialnie cała setka ludzi udała się do oddzielnego baraku przeznaczonego na spożywanie obiadów, a znajdującego się w tym samym budynku co kuchnia. Dwa stoły, ustawione wzdłuż całej sali, z ławami po obydwu stronach, wypełniały niemal całkowicie powierzchnię pomieszczenia. Stoły to dwa szerokie bale oparte na krzyżakach; bale były z wierzchu heblowane ale nie przylegały do siebie tworząc podłużną szczelinę.

Każdy stół wyznaczył po 4 ludzi dla obsługi, która polegała na przynoszeniu blaszanych misek z zawartością zupy z okienka kuchennego na stoły oraz płaskich talerzy z kupką kaszy jęczmiennej. Do każdej miski dołączona była drewniana łyżka, często z wyszczerbionym brzegiem.

Zupa, to właściwie ciepła ciecz, w której pływał lub nie pływał zablakany liść kapusty. Zdarzało się czasem, że niektórzy wyłowili kawałek kartofla. Ciecz w naszej misce nie była znów tak bardzo przezroczysta, miała jednak szare zabarwienie i jakąś mętność, prawdopodobnie pochodziło z całkowitego rozgotowania kartofli. Żadnej okrasy nie uświadczysz.

Drugie danie, a jakże, to dosłownie dwie łyżki stołowe kaszy bez tłuszczu i na dobitkę niemal bez soli.

I to wszystko miało wystarczyć na całodzienne wyżywienie.

Po spożyciu tego "obiadu" głód jeszcze bardziej skręcał nam kiszki, a niektórzy ulegli omdleniu. Z otrzymanych rano racji nic nam nie zostało, więc nie mogło być mowy o jakimś uzupełnieniu.

Przygnębieni wracamy do baraku aby w pozycji leżącej na pryczy snuć marzenia o pełnym talerzu tłustego krupniku. A do wieczora daleko... ach jak daleko. Przecież to perspektywa jakiegoś posiłku. Większość drzemała, z głębi baraku płynęło ciężkie

chrapanie.

Siedzę w kuc~~ki~~ na swym barłogu, opierając brodę o skulone kolana i spoglądam w przestrzeń nic właściwie nie widząc. Cza~~dem~~ powraca świadomość i mogę obserwować to ~~się~~<sup>ie</sup> znajduje w promieniu mojego wzroku. Robię przegląd każdej p~~ryczy~~<sup>ie</sup>, przypominając sobie nazwiska poszczególnych towarzyszy. Nie znam ich wwzystkich, mimo to nie byli mi obcy, jakaś więz irracjonalna łączyła nas ze sobą, zdawali się być jedną wielką rodziną.

Obok mnie na p~~ryczy~~ leży książdz "Protazy" - Józef Prejser, który w cywilu nazywał się Piotr Orlicki. Jeszcze nie raz będę miał okazję o nim pisać. Kryształowy człowiek, który był dla nas niejednokrotnie moralnym oparciem.

Za przerwą była p~~rycza~~ Władzia Gortyńskiego, technika wodnego, a podporucznika w partyzantce wileńskiej.

Pod nim leżał jego przyjaciel Saturnin Houwaldt.

A dalej doktor Bohdan Kopec, zupełnie jasny blondyn z kocią śmieszna bródką.

Martini Stanisław - malutki, ruchliwy i cichutki.

Damrosz Rysio - nasz kompozytor i dyrygent chóru.

Durka Antoni - cichy, milczący kapral podchorąży.

Sielicki Michał - porucznik "Gil" - mianowany przez władze sowieckie komendantem "roty", tajemniczy "demokrata", przebywający stale na terenie kuchni obozowej.

Ciechanowicz Witold - podchorąży kawalerii "Żaba", jeden z "trzech budrysów" obozowych.

Ciecierski Józef - ppor. "Rokita" - tyczkował~~ę~~, chudy, ale zawsze w humorze i dowcipny, rodzony brat znanego aktora warszawskiego Jana Ciecierskiego; miał on w Suwałkach, czy gdzieś tam cukiernię i kawiarnię, a był w sztabie "Wilka" oficerem informacyjnym.

Błażejewski - por. Zygmunt Gobert "Gnom", w partyzantce rot-

mistrz kawalerii, dowódca oddziału rozpoznawczego w 1 Zgrupowaniu, zawsze pełen wigoru i prężności wojskowej.

Smoliński Dobiesław - "Dobek"

Suchorzewski Władysław - "Kruk"

Łuczynski Stanisław - podchorąży zawodowy, sprytny, mały ale poważny.

Zublewicz Zygmunt - starszy pan, typ polskiego szlachetki, zawsze honorowy i stale głodny.

Kisiel Witold - por. "Świ~~to~~łodycz" - wódz jednej z Brygad wileńskich, okropnie apodyktyczny, ranny w ramię w czasie akcji zbrojnej o Wilno. Ni~~z~~agojona rana z odłamkami pocisku wewnątrz ciała stale mu dokuczała, a były momenty, że poprzez ropiejący otwór rany "rodził~~ę~~ się jakiś małeńki odprysk, powodując natężenie gorączki.

Budrewicz Czesław - podchorąży kawalerii, drugi z "trzech Budrysów"

Pawłowski - starszy pan, inżynier chemii z zawodu, jakiś dygnitarz w delegaturze londyńskiej na kraj.

Dzierżyński Jerzy - bratanek s~~z~~ływnego z rewolucji rosyjskiej Feliksa Dzierżyńskiego.

Lelewski Mirosław - nasz technik - radiota, niezastąpione źródło wiadomości.

Pieniążek Stanisław - typ artysty żyjącego w świecie mitu, czasem bigot, medium spirytystyczne i trochę poeta ale o tematyce ~~na~~ na wskroś religijnej.

Manteufel Ryszard - myśliciel, naukowiec, poliglota - trochę dziwak.

Wojciechowski Longin - porucznik a potem kapitan "Ronin", dowódca brygady wileńskiej; typ trochę tajemniczy, jego pobyt w obozie to interesujący rozdział historii życia obozowego.

Kiewlicz Wit<sup>o</sup>ld - "Wujek", porucznik zawodowy z Suwałk, w

partyzantce kapitan, dowódca Brygady "Żejmiana", mój osobisty przyjaciel i oddany kolega.

To mnie zobowiązuje, abym w tych moich wspomnieniach nie pominął możliwości podkreślenia niezwykłych wartości moralnych tego człowieka, zwłaszcza jego bezgranicznego poświęcenia sprawom walk o niepodległość Ojczyzny.

Jego bohaterska postawa w Wojnie Obronnej budzi podziw i niewyczerpalne źródło dowodów udziału polskiego żołnierza w całej kampanii Wrześniowej 1939 roku.

Jako oficer zawodowy, w stopniu porucznika piechoty, w 1939 roku został przydzielony do Batalionu Fortecznego w Twierdzy Osowiec. Twierdza ta stanowiła człon obronnej linii wśród bazien nad rzeką Biebrzą. W kompanii, w której dowódcą był kapitan Władysław Raginis, mój przyjaciel Witold Kiewlicz pełnił obowiązki zastępcy dowódcy.

kompania otrzymała rozkaz już 27 sierpnia <sup>o</sup>osadzenia odcinka obrony "Wizna", a Kiewlicz został dowódcą pododcinka "Giełczyn".

A oto jak wyglądały ostatnie chwile walk obronnych i osobisty udział Kiewlicza według jego relacji własnych, które w 1969 roku zostały zamieszczone w tygodniku "WTK".

- W pewnym momencie spostrzegłem, że na moim odcinku Niemcy nie posuwają się, że natarcie utknęło. Czyżby zabrakło im sił?

Na to pytanie odpowiedział mi mój obserwator. Meldował on że na naszym prawym skrzydle, daleko poza zasięgiem naszego ognia z mego ~~prawy~~ prawo skrzydłowego schronu ukazała się tyraliera, wsparta licznymi czołgami.

Sprawdziłem otrzymaną wiadomość. Jest tyraliera, są też i czołgi. Usiłuję je policzyć. Widzę dziesięć lub piętnaście. Ale jest ich więcej. Nikną za wsią Kołodzieje.

Po chwili nad wioską wykwita płomień ognia. Dowiedziałem się później, że w ten sposób Niemcy sygnalizowali osiągnięcie jakiejś miejscowości.

To był początek końca. Przeszkodę sforsowano. Teraz nadejdzie ostatni akt dramatu, likwidowanie od tyłu prawie bezbronnych fortów. Spojrzałem<sup>m</sup> na przedpole. Niemcy chociaż wolno posuwali się, byli już w odległości 400 metrów. Za pół godziny nastąpić powinien szturm.

Otworzyłem na nich ogień, ale teraz już na upatrzonego. Na najbliższe grupki. Niestety, nie długo cieszyłem się walką. Widocznie nastąpiło ześrodkowanie ognia na kopułę naszego schronu. Odłamki dzwoniły po niej coraz częściej. Dla zaoszczędzenia powietrza w kopule odesłałem w dół obserwatora.

Po pewnym czasie nastąpiło gwałtowne uderzenie w kopułę. Coś gorącego zalewa mi twarz, a ja nic nie widzę. Oczy pieką niemiłosiernie, w głośnym szum. Nie widzę - jestem ślepy. Po pewnym czasie zaczynam rozróżniać światło, widzę kontury przedmiotów. Ogarnia mnie radość, że nie utraciłem wzroku. Widzę. Ale spostrzegam, że wylot lufy ckm-u jest utracony, strzelnica otwarta, chłodnica karabinu pocięta.

I w tej chwili, czyja to z radości, że żyję, czy też od cza-  
du, utraciłem przytomność, zwałem się z kopuły w dół schronu.

Gdy odzyskałem przytomność, leżałem nie opodal wejścia, gdzie było względnie świeże powietrze. Natomiast nic nie słyszałem, nawet wybuchów pocisków. Za to widziałem, że żołnierze szykowali się do opuszczenia schronu, a ja nie mogłem im w tym przeszkodzić, nie byłem w stanie podnieść się.

Wyskakiwali grupkami po trzech. Najpierw poszła pierwsza trójka, potem druga. Ktoś mnie podnosi i daje znaki abym wychodził ze schronu. Zostało ze mną trzech żołnierzy. Dwaj schwycili mnie za ręce i zmuszają do biegu. A to mi nie wychodzi, zaledwie

mogę iść. A idąc nie padam, gdy słycać nadlatujący pocisk. Moja trójka wycofuje się zgodnie z regulaminem. Zrywamy się do skoku, kilkanaście kroków biegu, padamy. I znów to samo. Trzymają się oni jednak nie opodal mnie. Po pewnym czasie znaleźliśmy się we względnie bezpiecznym miejscu.

Rano w moim schronie było 22 ludzi. Teraz jest ich tylko dziewięciu. Reszta została tam na zawsze.

Odprawiam żołnierzy, daję im znaki by szli dalej. Ja pragnę pozostać. Wyciągam pistolet z kabury. Zrozumieli co miałem chęć uczynić. Wnet jestem rozbrojony, ujęty pod rękę i marsz w drogę.

Jakimś przypadkiem trafiliśmy na nasz telefon, a przy nim sierżant gospodarczy i dwóch ludzi... O dziwo, telefon działa! Jakaś rozmowa, nierealna dla mnie, gdyż jej nie słyszę. Sierżant pisze coś na kartce. Czytam. Rozkaz z Osowca: zniszczyć most w Strękowej Górze i z resztkami ocalałych żołnierzy wycofać się w kierunku Jeżewo-Białystok.

Zgromadzono więc znaczną ilość siana u filaru mostowego, na szczęście drewnianego. A ja tymczasem poruszałem się coraz swobodniej i utracony chwilowo słuch zaczął powoli powracać.

Przed zapaleniem stosu moje wojsko przeszło na przeciwny brzeg. Przy moście pozostałem z dwoma chłopcami. Podpalony ~~stos~~ stos zapłonął natychmiast, ale w tej chwili na przyczółek mostowy został skierowany ogień niemieckiej artylerii. Nawała ognia trwała dość długo, a gdy ustała, znalazłem się z moimi ludźmi pomiędzy przysłowiowym młotem i kowadłem.

Z jednej strony nadjeżdżają małe czołgi i pociski z ich karabinów maszynowych brzęczą nam koło uszu, a z drugiej strony ściana ognia na szerokość mostu i około 5 metrów wysoka. Nie chciałem dać się zabić lub wziąć do niewoli. Była jedyna droga przez ogień.

Przebiegając przez ogień miałem wrażenie, że znalazłem się w piekle. Ale równocześnie obawa przed upadkiem na jakiejś dziurze



i spalenie się żywcem opanowała całą moją świadomość.

Przez ogień przeszliśmy. W efekcie utraciłem skórę na rękach i na twarzy. Mundur i buty były tak popalone, że nie nadawały się do użytku.

Mimo szalonego bólu i przygnębienia po doznanej klęsce nad Wizną, dodawała mi ducha świadomość, że jednak nie puściłem wroga przez most.

Następnego dnia, mimo doznanych kontuzji, które okazały się powierzchownymi ranami, na rozkaz pułkownika Szafranowskiego, dowódcy obrony Białegostoku, ~~zabrałem~~ wokół siebie niedobitków spod Wizny i osadziłem rejon obrony wsi Żółtki i Choroszczy. W dwa dni później natarcie niemieckie wyrzuciło mnie z naszych stanowisk, zmuszając do schronienia się na terenie miasta Białegostoku.". Tyle jego relacji własnych.

Niestety,, poważne oparzenia twarzy i rąk pozostawiły na moim przyjacielu przez dłuższy czas niezatarte ślady. Udało mu się z pomocą kilku jego żołnierzy skryć się w Białymstoku, gdzie przez kilka tygodni dochodził do zdrowia.

Już w 1940 roku zameldował się w dowództwie ZWZ, odkąd działał w konspiracji na terenie województwa Wileńskiego.

W roku 1944 stanął na czele partyzantki Brygady Leśnej "Żejmiana", prowadząc szereg potyczek i walk z odstępującymi z pod Wilna wojskami hitlerowskimi.

W lipcu tego roku został aresztowany przez NKWD, więziony przez władze okupacyjne sowieckie, podzielił los wszystkich dowódców partyzanckich Okręgu Nowogródzkiego i Wileńskiego, o czym piszę wyżej.

Powracam do dalszego wyszczególnienia moich towarzyszy z prycz na sali trzeciej "roty".

W separacie, w baraku "san-czasci" kwaterowało trzech generałów, a mianowicie:

Generał Filipkowski

Generał Bittner Ludwk - "Halka"

Generał Grabowski Kazimierz - "Tumidajski"

Wymienieni wyżej to tylko część tych, którzy wyraźnie utkwi-  
li mi w pamięci. W uzupełnieniu tych wspomnień podaję jeszcze tro-  
chę nazwisk, chociaż i to nie wyczerpuje całości. A jednak aby  
być w zgodzie z sumieniem postaram się wymienić nazwiska z innych  
kompanii, które mi pozostały w pamięci.

Oto one:

Żebryk Roman - "Aorab"- porucznik, dowódca Brygady po śmier-  
ci "Juranda", historyk oddziałów Armii Krajowej na Wileńszczyźnie.

Sławomirski Mścisław - "PrawdziC" - poeta, o którym będę  
mówił na dalszych kartach tych wspomnień.

Połośki Adolf.

Błachowicz Jerzy - oficer kawalerii, zdaje się, że adiutant  
rotmistrza "Groma", zawsze wesoły i elegancki.

Kozakiewicz Janusz - organizator uniwersyteckiego kształce-  
nia w dziedzinie rolnictwa i leśnictwa

Puzyna Stanisław - organizator kultury fizycznej, znany  
polski piłkarz.

Pecul Wacław - kapitan rezerwy.

Kalwejt - "Borówka" - po powrocie do kraju znany operator  
filmowy.

Pieklikiewicz Kazimierz - schorowany, zgorzkniały.

Plechocki Janusz.

Mościcki Janusz - major

Tuszyński - major

Wendorf.

Truskowski Stanisław - major, po powrocie autor kilku pu-  
blikacji i książek o Armii Krajowej na Wileńszczyźnie.

Błażejczyk Ludwik.

Przybyszewski Józef.

Sałak Piotr - sierżant zawodowy.

Mainlich Franciszek -

Dziatlik - porucznik rezerwy, starszy pan, twórca piosenek obozowych.

Ałapin Bolesław - doktor medycyny o specjalności psychiatrycznej, syn znanego warszawskie lekarza chorób wenerycznych, ideowy komunista polski, na terenie obozu propagator ustroju radzieckiego, wykładowca na kursie o historii komunistycznej Rosji Sowieckiej.

Aleksandrowicz Antoni - inżynier leśnik, organizator wyższych kursów leśnictwa, porucznik kawalerii.

Gajewski Tadeusz - inżynier

Wędziński Mieczysław - inżynier

Zaremba Andrzej.

Strzęciwilk Józef.

Dzień 13 września miał się ku końcowi. Jeszcze tylko kilka wader gorącej kawy zbożowej o konsystencji mętnych popłuczyn, stanowiące tego dnia ostatnią posiłek. Niestety posiłkiem tego nazwać nie można, bo przecież poza tą odrobiną nieszkodzonego mętnego płynu nic więcej nie mieliśmy. Dobrze jeśli ktoś przezorniejszy pozostawił sobie kostkę cukru z porannego przydziału.

A zmrok następował niemal raptownie, ciemności w baraku stawały się wprost nieprzeniknione. Wzrok nasz niezmiernie ciężko przystosowywał się do takiego mroku, niczym ociemniali odnajdowaliśmy przedmioty tylko przez zmysł dotyku. W całej sali słychać jedynie prowadzone szetpem rozmowy. Czasem głośniejszą wypowiedź imię czy nazwisko dawało sygnał poszukiwania określonej osoby względnie w celu odzyskania właściwego kierunku.

A jednak i tu zdarzały się wyjątki. Oto jakiś przezorny, je-

szcze przy świetle dziennym naszczepał sobie suchych patyczków i zapalając jedno drewnienko od drugiego oświetlał swoje leże. Przy ogólnej ciemności ten promyk rozjaśniał całą salę o tyle, że już można było rozróżnić z grubsza niektóre przedmioty.

Jedyną ucieczką od otaczającej rzeczywistości było ułożenie się do snu i próba zaśnięcia.

Ale i to okazało się tylko marzeniem.

Nie danem nam było tej nocy zapaść w nieświadomość snu, dać wytchnienie od narastającej nostalgii i nabrać sił psychicznych dla zwalczania dalszych niespodziewanych przeciwności.

Ułożyłem się na pościeli, westchnąłem głęboko, naciągnąłem prześcieradło z leżącym na nim płaszczem. Oczy zaczęły się kleić i człem jak opanowuje mnie całkowity bezwład ciała, podświadomy zwiastun nadchodzącego snu.

Z nieznanego mi zrazu powodu siarczyście kichnąłem, przerywając skutecznie drogę do sennych marzeń. Poczułem jak pod nosem coś wolno przesuwają się po moich wąsach. Potarłem palcem i poczułem obrzydliwy zapach zgnięcionej pluskwy. W tej samej chwili czuję, że coś posuwają się środkiem mego nosa. Znowu ruch dłońmi i pod palcami czuję obce ciało. Zgniotłem w palcach i wącham. Smród pluskwy.

Następuje istna inwazja tych insektów. Już nie dają rady przy rzucaniu i gniecieniu z rąk i twarzy. Nakrywam głowę prześcieradłem. Słyszę tylko pojedyncze uderzenia spadających górze pluskiew. Jakis czas korzystam z azylu pod prześcieradłem, ale trwa to niedługo, bo zycynam już czuć łożenie, a nawet ukąszenia w różnych miejscach całego ciała.

Co robić?

Zrywam się na pościeli, przesuwam się na sam brzeg pryczy, siedzę w kuc~~ki~~ki z podciągniętymi kolanami i metodycznie, po ciemku gniotę podsuwające się mi pod palec pluskwy. Już nawet nie

czuję ukąszeń, ale ten ciągły ruch mądrych zwierzków doprowadza mnie niemal do szału.

Na innych pryczach słyszę również ruch. Niektórzy, zupełnie nie czuli na atak insektów, śpią ciężko chrapiąc, większość jednak cały czas się na swoich legowiskach porusza. Kilku schodzi z pryczy, siada pośrodku sali pod piecykiem, koło stolika, wprost na podłodze. W ten sposób czekamy świtu, mając nadzieję, że we dnie pluskwy pozwolą nam trochę odpocząć.

Koszmarne noc mija, brzask powoli rozświetla wnętrze baraku. Powracamy do swoich barłogów.

Przypadkowe spojrzenie na twarz sąsiada wywołuje spazmatyczny śmiech. W pewnej chwili cała sala wypełnia się homerycznym śmiechem. Wystarczy, że spojrzy jeden na drugiego i ujrzy całą twarz umazaną krwią, nieświadom, że jego maska jest podobnie usmarowana, nō i ten wyraz twarzy o znamionach kompletnego krety-nizmu, to wszystko stwarza obraz jakiejś niesamowitej tragifarsy.

No ale za to prycze są już niemal wolne od najazdu podstęp-  
nego wroga. kładziemy się, całkowicie nerwowo wyczerpani i na-  
tychmiast zasypiamy śmiertelnie twardym snem.

Trudno określić jak długo ten sen trwał - może pół godziny, może trochę więcej.

- Pobudka wstać! taka wasza mać!
- Ja tu tra<sup>bię</sup> od godziny, a wy śpicie takie syny!
- Śniadanie! Śniadanie!

To się rozlega przeraźliwy, piskliwy głos jednego z naszych, który pierwszy <sup>przełaził</sup> ten błogi sen.

Wyznaczeni wczoraj dyżurni udali się z kocami po prowiant na dzień dzisiejszy. Doktor Kopeć dopilnował aby ci dyżurni umyli ręce po tej koszarnej nocy.

A my? - Co my?

Gdzieś tam w pobliżu kuchni znajduje się ręczna pompa, ale czy to mogło wystarczyć przynajmniej na powierzchowne umycie się?

Ręce wytarło się o spodnie, twarz o prześcieradło, no i koniec -  
- higienie stało się zadość.

Cały wysiłek tego dnia był skierowany na wyprodukowanie i przygotowanie cieniutkich i suchych drewniaków do walki nocnej z inwazją pluskiew. Okazało się w dzień, że najbardziej narażeni na ~~atak~~atak insektów byli ci co spali na górnych piętrach pryczy, pod sufitem. Z tego właśnie sufitu, ze szpar między deskami pod-sufitki spadały jak spadochroniarze te owady na rozpostarte jasne prześcieradła, a co charakterystyczne, że największe nasilenie skoków odbywało się na odkrytą twarz i ręce. Podobno ciepło, emanujące z ciała nadawało kierunek ich natarcia. Z racji podobieństwa, pluskwy tutaj nosiły znamienne nazwę: "paraszuty" - co prawda nie bardzo wiem dlaczego i co to miało wspólnego w języku polskim ze spadochronem.

No więc każdy z górnej pryczy miał wiązkę cieniutkich patyczków sosnowych; czego tam nie wykorzystano dla produkcji tej broni. Gdyby tak zebrać wszystkie te patyczki to chyba starczyłoby na wykonanie połowy pryczy. Strach pomyśleć na czym będziemy spać po kilku miesiącach codziennej produkcji tego łuczywa.

Tego dnia czekały nas jeszcze inne atrakcje.

Okazało się, że kilku naszych kolegów spędzało dzień do późnego wieczora w pomieszczeniach kuchennych. Dochodzenie poufne ustaliło, że byli to ochotnicy do wszystkich prac przy sporządzaniu posiłków. Do dziś nie mogę dociec dlaczego tych panów nazywaliśmy "demokratami". Byli tacy co twierdzili, że wypływa to ze skojarzenia pracy w służbie społecznej dla dobra swoich współtowarzyszy, chociaż złośliwi dowodzili, że to po prostu lęk przed głodem, czy też pogoń za sytością. Ja myślę, że wszyscy mieli rację

Inną atrakcją było oddelegowanie lekarzy medycyny i sanitariuszy do miejscowej izby chorych. Z naszej sali w pierwszym zrywie

zgłosiło się trzy osoby. Był to doktor Trzeciak, doktor "Walek" - lekarz weterynarii i jeden podchorąży, podający się za sanitariusza. Byli to nasi ambasadorzy i sprawozdawcy, bo też spełniali oni naprawdę pożyteczną misję. Doktor Kopeć nie zgłosił się tego dnia do "san-czasci", uważając, że bardziej będzie potrzebny tu na miejscu.

Poza tym dzień ten upływał bez większych zakłóceń.

Zaraz po t.zw. śniadaniu, a więc po rozdziale prowiantu, całe nasze bractwo wyległo na zewnątrz baraków. Tereny między budynkami wypełniły się ludźmi, snującymi się pojedynczo lub parami. Nikt z władz sowieckich nie ingerował w formę tych spacerów. Zatrzymywaliśmy się przed wysokim parkanem poszukując w nim jakiegospary lub otworu, ale bez skutku. Wszystkie styki między deskami zabito od zewnątrz listwami.

W pewnym momencie, gdzieś z daleka, ale względnie wyraźnie, słyszemy piosenkę, tak charakterystyczną dla polskiego wojska, a pochodzącą jeszcze z czasów legionowych.

- " O mój rozmarynie rozwijaj się...." - brzmiało jak najpiękniejsze organy niebieskie. Staliśmy nieruchomo, zasłuchani w płynące gdzieś w oddali polskie słowa piosenki.

Tak, to śpiewali żołnierze podchorążówki Riazańskiej na ćwiczeniach polowych. Nie domyślali się nawet, że za widniejącym z dala wysokim parkanem znajdują się ich starsi koledzy, tak samo jak oni przeniknięci pragnieniem walki ze znienawidzonym wrogiem. Paradoksalna sytuacja, w której obywatele tej samej Ojczyzny znajdują się w tak różnych warunkach - wolności i niewoli. Paradoksalna, bo nie dająca się w żaden sposób wytłumaczyć logiką faktów, w których gubiao się zwykle ludzkie rozumowanie.

Jeszcze zwrotka tej piosenki i zalega za płotem cisza. Jeszcze zabrzmiał niedziękny głos rozkazu " w tyraliery"...

Czekamy i słuchamy, ale już dalszego ciągu tego spektaklu nie było.

Noc dzisiejsza <sup>zapoczątkowała</sup> się bardzo atrakcyjnie. Ledwie zapada mrok, już zaczynają migać pod sufitem maleńkie ogniki. To rozpoczyna się batalia ludzi przeciwko pluskwom.

Palący się płomień zaczyna posuwać się wolno wzdłuż szpar między deskami podsufitki. Gwałtownie uciekające pluskwy pokrywają deski i smażąc się w ogniu spadają w dół. Metodycznie, szpara po szparze, centymetr po centymetrze podlega działaniu ognia. Już nawet ewentualność pożaru nie straszy w tej walce na śmierć i życie. Śród smażących się insektów i kurzu oraz tłącego się wysuszonego drewna roznosi się po całym pomieszczeniu. Na ręce aktywistów spoglądają z dołu dziesiątki oczu. Dowcipy, śmiech wtóruje całej akcji.

Tęczało to chyba ze dwie godziny, po czym zgarnięto przy pomocy szmatki trupy i wyniesiono uroczyście na zewnątrz baraku. Zdawało się, że ludzie odnieśli zwycięstwo. Czy aby nie złudzenie? Idziemy spać.

Około północy budzimy się nagle z głębokiego snu, aby stwierdzić niewielką skuteczność naszego wysiłku. Ba! Odnosi się wrażenie większego jeszcze nasilenia rozgniewanych pluskiew. Pocieszamy się, że po drugim i trzecim całopaleniu odniesiemy wreszcie zwycięstwo.

Niezależnie od opisanych zmagania czasu <sup>biegnie</sup> beznadziejnie dzień za dniem. Na dworze słońce coraz krócej i słabiej grzeje, a w nocy występują przymrozki. W baraku robi się coraz zimniej. Niema się czym przykryć. Ludzie tulą się do siebie w nocy grzejąc się wzajemnie. Nikt się do snu nie rozbiera. Rzadko myjemy ręce, a do "kąpieli" pędzą nas regularnie raz na tydzień - w sobotę lub w niedzielę.

Któregoś dnia, pod koniec września 1944 roku "Ronin" przy-



nosi całą, nieuszkodzoną gazetę rosyjską "Izwestia". Dzierżyński czyta na głos od razu w relacji polskiej. Czyta po kolei, jesteśmy spragnieni wiadomości z zewnątrz, ze świata.

Jest w tej gazecie dość obszerna relacja z walk powstańczych w Warszawie.

Warszawa w ogniu. Nad miastem unoszą się gęste dymy z walących się w gruzy domów. Na praski brzeg dobiegają z Warszawy odgłosy detonacji, a co raz w różnych punktach miasta wybucha gejzer dymu i ognia na skutek bombardowania z powietrza i ostrzału artyleryjskiego. Nawet poprzez szeroką Wisłę na prawym jej brzegu czuje się drżenie ziemi - Tak to opisywała rosyjska gazeta "Izwestia". Nic, poza krótką wzmianką o zajętych pozycjach przez Armię Czerwoną na Pradze. Nic, coby świadczyło o jakiejś, choćby niewielkiej akcji pomocy walczącym powstańcom Warszawy.

Słuchamy z zapartym oddechem, a bezsilna wściekłość ogarnia nas nie tylko na hitlerowskiego wroga ale i na naszych "sojuszników". Jak można patrzeć na to wszystko i czekać na dokonanie straszliwych zbrodni i zniszczeń. Jak można, z jakichś tam względów politycznych, unieruchomić znaczny potencjał fizyczny i moralny żołnierzy Armii Krajowej, wyrwanych po prostu ze środka wiru bitewnego. Dlaczego tak bezwzględnie unieruchomiono będącą w akcji Armię Krajową. I oto odzyskanie przez Ojczyznę wolności stawało się jednocześnie dla żołnierzy Armii Krajowej - wkroczeniem w nową niewolę.

Była w tej gazecie również krótka wiadomość o istnieniu w Związku Radzieckim - Związku Patriotów Polskich z panią Wandą Wasilewską na czele oraz o organizowaniu, z przebywających na terenie Rosji Polaków, dalszych oddziałów wojskowych. Była nawet wzmianka o podchorążówce w Riazaniu.

Minął wrzesień.

W początkach października dociera znów do nas "Izwestia",

datowana chyba 3 października 1944 roku. Hiobowa wiadomość spada na nas niczym masa walącego się gmachu. Niejednemu łzy spływają z oczu, a bezsilna wściekłość całkowicie paraliżuje wszystkich.

Oto w dniu 2 października nastąpiła kapitulacja powstańczej Warszawy. Oto w tym dniu przerwano ogień karabinowy i artyleryjski, ale ~~szalały~~ naloty samolotów przez cały czas prowadzone nad palącym się miastem, potężne detonacje i gejzery dymu i ognia unosiły się w górę. Niemcy metodycznie niszczyli naszą stolicę, nie oszczędzając zabytkowych gmachów.

Tego dnia, wieczorem, jak na urągowisko, przychodzi do nas oficer NKWD i w dobrym nastroju ogłasza nam że Niemcy zamienili Warszawę w jedno morze ruin, dodając, że jesteśmy szczęśliwcami, bo trzymają nas tutaj, gdy będąc tam napewno byśmy wszyscy poginęli.

Na sali podniósł się w jednej chwili gwałtowny krzyk i gwizdy, a następnie zaczęto w oficera rzucać wszystkim co kto miał pod ręką. Leciały buty, czapki, naczynia za uciekającym jak nie pyszny funkcjonariuszem obozowym.

Złęła cisza. Czekaliśmy jakie zastosują sankcje za ten nasz wyczyn. Rozeszło się po kościach - nikt tej sprawy nie ruszał.

W październiku zdarzały się dni mroźnej pogody, czasem śniegiem pruszyło.

Już nie przymrozki ale normalne mrozy zaczęły wkraczać coraz częściej. Pod koniec października zdarzały się już mrozy  $-20^{\circ}\text{C}$ , a w nocy to i niżej. Podobno bywały tu temperatury poniżej  $-40^{\circ}\text{C}$ . Brrr... - nie wyobrażalne.

Długie i mroźne wieczory dawały się nam najbardziej we znaki. Ciemności nie pozwalały na jakiegokolwiek zajęcia. Bezczynność i beznadziejne oczekiwanie jakichś nieokreślonych zmian zmuszało do szukania możliwości "zabicia" czasu, szczególnie między ustalonymi z góry normalnymi zajęciami, jak fasowanie prowiantu z rana, potem

obiad i niby kolacja.

Nie było to łatwe, bo przecież nie dysponowaliśmy żadnymi pomocami, nie mieliśmy żadnych materiałów.

Witek Kisiel miał dzisiejszej nocy silną gorączkę, tracił chwilami przytomność. Ramię miał spuchnięte i obolałe. Doktor kopeć zrobił mu opatrunek z mokrym okładem soli kuchennej, którą dostarczył "Ronin". Przyniosło to choremu nieznaczny ulgę, ale gorączki nie zmniejszyło. Nad ranem ubraliśmy Witka w ciepłe ciuchy, okryliśmy kocem i tak zanieśliśmy go do izby chorych. Po dwóch dniach powrócił na własnych nogach, ale kompletnie osłabiony. Zaproponowałem Witkowi Kisielowi następującą umowę: ja codziennie będę mu dawał dwa kawałki cukru dla podtrzymania jego stanu zdrowia, on za to, po powrocie do kraju zrekompensuje to w jakiś atrakcyjny i możliwy sposób. Nie określamy co to może być, bo przecież nie można przewidzieć warunków w jakich się tam znajdziemy. Trochę się certował, chyba dla zasady, ale wreszcie z wdzięcznością przyjął ten nieprawdopodobny dar i co tu mówić - wyraz sympatii i przyjaźni.

Zapytacie pewnie skąd z mojej strony taka wspaniałomyślność i wyrzeczenie. Sprawa jest nader prosta.

Od kilku dni przerwano przydział papierosów, a w zamian otrzymywaliśmy porcję machorki t.zw. "Kariszki". Były to drobniutko posiekane odpady liści tytoniowych przy produkcji papierosów. Były to żyłki z liści tytoniowych i drobne gałązki. Naturalnie, na wagę było tego trochę więcej niż tytoniu w papierosach. Paliło się to w "skrętach" z gazety, a śmierdziało niesamowicie. No więc zdecydowałem w pewnym momencie rzucić palenie, a przydzieloną machorkę mogłem zamienić z kolegami na cukier - oto w ten sposób stałem się posiadaczem podwójnej porcji cukru, co w warunkach naszego obozu dawało mi znaczne możliwości dalszego handlu wymiennego.

Może to i głupie i niedorzeczne, może wręcz bez sensu, ale na tle tych cukrowych manewrów wyłoniła się u mnie dziwaczna myśl. Kto wie - myślałem sobie - czy tam w kraju mój mały synek nie musi pić herbaty gorzkiej, a ja tu mam przecież trochę tego produktu. Może nie<sup>u</sup>zługo powrócimy do swoich, więc cóż ja im tam w prezencie przywiozę. Muszę z<sup>e</sup>brać chociaż ze dwa kilo cukru w kostce i ładnie z<sup>a</sup>pakowane w papier wręczone mojemu małemu chłopcu.

W ten to sposób w moim tobołku pod głową znalazła się skarbonka w postaci torby z cukrem, <sup>z</sup>(codziennie zwiększającym się zapasem o dwie kostki. Bowiem po zamianie machorki posiadałem aż 8 kostek, z czego ~~zjadałem~~ spożywałem z chlebem, dwie otrzymywał Witek, i dwie szły do skarbonki. Warto tu zaznaczyć, że kostki te były znacznie mniejsze od spotykanych u nas w cywilu, stanowiły one chyba nie więcej niż połowa normalnej wielkości.

Potrzeba jest matką wynalazków. Nabrzmiwały u nas dwie potrzeby, nie licząc ciągłego uczucia głodu.

Jedna to konieczność zachowania w sali znośnej temperatury, co można było uzyskać przez stałe utrzymanie ognia w naszej "kozie". Był to piecyk żelazny o kształcie pionowej stojącego walca, z drzwiczkami z boku na opał i niżej na czyszczenie z popiołu. Na górze znajdował się otwór i trzy żeliwne krążki spełniające rolę "fajerek". Długa blaszana rura, biegnąca górą i podwieszona drutem do sufitu, była ona dodatkowym źródłem ciepła, chociaż nie ~~śmiało~~ zdarzało się aby czerwieniła się od żaru piecyka. Cała trudność tkwiła w zdobyciu opału. Nie można powiedzieć abyśmy nie mieli czym palić, bo dyżurny sali miał prawo i obowiązek przynosić codziennie pół wiadra węgla lub torfu z magazynów obozowych. Tylko że to stanowiło "dla psa mucha".

Wynalazek nasz w tym przedmiocie polegał na nałożeniu obowiązku na każdego z nas wysz<sup>u</sup>kiwania i nawet wbrew przepisom dostarczanie każdego najdrobniejszego kawałka drewnia. Skutek był

taki, że nagle któregoś ranka znikła cała ściana którejś szopy, co szczególnie tyczyło osianających latrynę desek. Już zaczęły nawet ginąć całe deski sedesowe. Nikt wtedy się nie zastanawiał w jaki sposób przyjdzie mu uskutecznić potrzeby fizjologiczne. Nie pomagały ostre strzeżenia władz sowieckich. Już się dobierano do baraków gospodarczych. Komendantura obozu ustawiła wartowników, całą noc chodzących po terenie obozu.

Drugą, niemniej istotną potrzebą stawała się konieczność jakiegoś oświetlenia w ciągu długich zimowych wieczorów. Byłoby zapewne pomówieniem w stosunku do gospodarki radzieckiej gdyby powiedzieć, że obóz był pozbawiony elektryczności. Owszem, komendantura, izba chorych i kuchnia posiadały światło elektryczne. Ba, nawet naokoło obozu, poza jego ogrodzeniem, wzdłuż parkanu paliły się lampy. Przecież krążące wokół patrole sowieckie musiały coś widzieć.

Nie wiem dziś kto wpadł na ten pomysł.

Z kuchni przyniesiono stare puszki od konserw /ale co się stało z konserwami - sam diabeł nie wiedział/. Jeden z kolegów z cennej dla naszego organizmu margaryny konstruował świece typu cementarnego, a do tego celu knoty wytwarzając z nitek wyciąganych z koszul i gaci.

Kto chciał mieć takie światełko musiał na ten cel przeznaczyć skrawek wycięty z płótna bielizny, jeden kawałek margaryny no i ćwiec pajdki chleba za robociznę. Nie każdego stać było na tak horendalny wydatek, ale i tu, idąc po rozum do głowy, organizowano się w grupy po dwóch lub trzech czy nawet czterech dla pokrycia kosztów.

Jednak w rezultacie tego na pryzkach w całej sali migotało kilka lub kilkanaście ogników, które stwarzały iluzję oświetlenia, chociaż nie można zaprzeczyć, że one rozpraszały panujące ciemności i pozwalały względnie bezpiecznie poruszać się po baraku.

Naturalnie, wprowadzenie "oświecenia" pozwalało na rozwój życia towarzyskiego i kulturalnego. Teraz mogły się odbywać wizyty i rewizyty z odległych od siebie przecz, ba, nawet miały miejsce wieczorne wizyty do sąsiednich baraków.

- "Żyźń stała wiesielej" - krążyły słowa powitania.

A nostalgia coraz bardziej opanowywała nas i sprowadzała cały szereg, czasem niedorzecznych, zjawisk.

Staś Piniązek, popularny wśród nas poeta. Jego poezje były przepojone głębokim mistycyzmem. Wiersze opiewały różne epizody z życia Jezusa i Marii. Czasem były to żenujące wytwory mieszaniny skrajnej bigoterii i niezrozumiałej pornografii. Już nawet ksiądz kapelan zakazał mu tworzenia takich dzieł, które budziły ogólny śmiech z rzeczy skądinąd świętych. Trudno było jednoznacznie stwierdzić czy mamy tu do czynienia z geniuszem, filozofem czy też po prostu kompletnym idiotą.

Nie był on zresztą tylko poetą. Miał również zdolności manualne, szczególnie pięknie starannie wykonywał rzeźby w drzewie. naturalnie tematyka tej rzeźby była również związana z kultem religijnym.

Jeszcze dziś posiadam w swoim archiwum domowym piękną płaskorzeźbę Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Największe jego dzieło rzeźbiarskie, ~~wprowadzie~~ z okresu przebywania w innym obozie, miniatura ołtarza, w formie tryptyku, w którym część środkową stanowiła płaskorzeźba Matki Boskiej Ostrobramskiej, jedno skrzydło zawierało rzeźbę postaci średniowiecznego rycerza w zbroi, hełmie, z mieczem i tarczą, drugie skrzydło posiadało postać żołnierza partyzantki leśnej.

Gdzieś ten ołtarz znajduje się w Kraju. Wiem tylko, że przewiezienie go było związane z dużym nakładem trudu. Zdaje się, że znajduje się pod opieką księdza Piotra Orlickiego w Kaliszu.

Robił Staś i inne rzeźby na zamówienie. Miał z tego tytułu pewien profit w postaci pajdki chleba.

Ale przy tych jego zdolnościach i zdawało się religijności, graniczącej z bigoterią, występowała w nim zabobonność, ujawniająca się w uprawianiu wróżb przez wywoływanie duchów. Skąd on zdobył potrzebne utensylia do prowadzenia spirytystycznego seansu z latającym spodkiem, z tego chyba on sam nie zdawał sobie sprawy.

Bo to przecież musiał być i stoliczek o niskich nóżkach, aby się zmieścił na górnej pryczy, i spodeczek, chyba porcelanowy z namalowaną czarną strzałką, no i cały rysunek na blacie stoliczka, obejmujący dokładne koło ze wszystkimi literami alfabetu i cyframi od 0 do 9. Jednym słowem warsztat magika gotowy do eksperymentu.

Naogół niemal wszyscy podatni byliśmy na wróżby, co wynikało z morzy<sup>ck</sup> niewiadomych, a zwłaszcza w odniesieniu do spraw ogólnej natury.

Wokół dwóch najistotniejszych pytań krążyły nasze myśli.

Pierwsze z nich to: czy i kiedy wrócimy do Polski?

Drugie, jeszcze ważniejsze: czy Polska stanie się którąś tam z rzędu republiką sowiecką, czy też będzie państwem niepodległym.

Ponad to każdy z nas pragnął przeniknąć tajemnicę własnego życia i życia swych najbliższych.

- "Pytań bez liku a odpowiedź w stoliku" - to dwuwiersz innego naszego poety obozowego - Działka.

I oto teraz, gdzieś na początku grudnia, gdy w perspektywie oczekiwań miał się zjawić uroczysty dzień Bożego Narodzenia, a potem Nowy 1945 rok, nasz "wieszcz" i "prorok" postanowił dać spektakl o najwyższej wadze.

Było już dobrze ciemno. Na pryczy Stasia już znajdował się stoliczek na wysokich podstawkach, z czterema zapalonymi zniczami. Przy stoliczku, w pozycji "tureckiej" siada czterech wtajemniczonych i piąty sam mistrz ceremonii. Wokół zromadzony

tłum mieszkańców, a nawet goście z innych baraków. Nie widać tylko księdza "Protazego" - ten to sceptyk z natury i profesji.

Cisza zaległa kompletna<sup>a</sup>. Jedyne przyspieszone oddechy i wpadający jak zgrzyt w tę ciszę kaszel jakiegoś przeziębionego.

Nastrój napięcia, niby oczekiwanie cudu.

A jednak jakie to dziwne, że kilkudziesięciu twardych, trzeźwych ludzi, stoi zasugerowanych przez jednego niezupełnie normalnego człowieka.

- Duchu Mickiewicza... Duchu Mickiewicza... Duchu Mickiewicza.... zjaw się tu wśród nas ....

- Wierzę Adamie.... wzywamy cię.... daj znak swojej tu obecności....

Cisza. Żadnego objawienia.

Już zaczynają się szmery na widowni tego niezwykłego przedstawienia. Zniecierpliwienie i sceptycyzm zawiedzionych w swym oczekiwaniu. Ale jeszcze nie odstępuje nadzieja, że może ten duch da o sobie znać.

- Daj spokój Stasiu Mickiewiczowi. Spróbuj innego ducha. Może Piłsudskiego.

- Duchu Marszałka.... Duchu Marszałka.... Duchu Piłsudskiego.... Duchu Naczelnika .... daj znak o sobie....

Delikatny stukot nóżki stolika, powtórnie, aż trzy razy... to jest napewno znak przybycia ducha.

Połączone w zamknięty pierścień, złożone na brzegu stolika ręce zaczynają lekko drżeć. Media delikatnie układają dwa palce na odwróconym spodeczku, który zaczyna drgać.

- Duchu Marszałka.... daj znać, że tu jesteś...

Spodeczek obraca się wokół swej osi o 90°

- Powiedz nam.... czy wyjdziemy z tej niewoli żywi i cali?

Spodeczek robi ruch, a następnie zdecydowanie nakierowuje strzałkę na wypisane po środku stolika słowo "tak".



- Powiedz nam duchu, czy to nastąpi w tym roku?

Spodeczek także zdecydowanie mówi - "nie".

- Powiedz nam, czy w przyszłym roku będziemy w domu?  
i znów spodeczek wskazuje na "nie"

Świadkowie zawiedzeni w swych nadziejach nie przyjmują do wiadomości tej przepowiedni. Przecież zbliża się zwycięski koniec wojny, więc prognozy "ducha w spodeczku" są bez sensu.

Ale czekamy jeszcze, czy duch nie da nam jakichś ciekawych wiadomości.

Teraz zaczynają się pytania bardzo osobiste.

- Powiedz Marszałku, czy moja rodzina żyje? - pyta jeden z czterech siedzących przy stoliku.

- "tak"... ale zaraz potem - "nie"...

Co to może znaczyć?

- Czy moja matka żyje?

Padła tragiczne słowo - "Nie",...

Zrywa się z miejsca zainteresowany tą odpowiedzią, krzyczy - "bujda"- i złazi rozgoryczony na podłogę z górnej pryczy.

Nastrój prysnął. Zaczęliśmy się rozchodzić. Przy stoliku pozostało jeszcze parę osób, które prowadzą w <sup>trwale</sup> dalsze rozmowy z duchem.

Czego się oni tam dowiedzieli?

A to, że będzie sroga zima, że będzie głód, że w Rosji zaczną się rozruchy, że będziemy mieli dzień trwający pół roku i cała masa różnych głupstw i niedorzeczności.

W każdym razie seans ten nie przyczynił się do uspokojenia nastrojów, a wręcz odwrotnie, spowodował szereg incydentów między poszczególnymi ludźmi, a szczególnie nastroił wrogo przeciw tak zwanym "demokratom". Tytuł ten przykleił się <sup>do</sup> wszystkim, którzy poszli na jakąkolwiek współpracę z władzami sowieckimi obozu. Byli to przede wszystkim nasi kucharze, kuch-

ciki, sanitariusze. Jedyne nasi lekarze, pracujący w izbie chorych, cieszyli się naszym zaufaniem.

Minął listopad, wkraczaliśmy w grudzień, śniegi i mrozy zapanowały całkowicie. Nierzadko temperatura spadała niżej  $-40^{\circ}\text{C}$ . W barakach zimno przejmowało całe ciało, "koza", stojąca pośrodku sali, mimo ciągłego podtrzymywania w niej ognia przez całą dobę bez przerwy, obsługiwana przez dyżurnych, w słabym tylko stopniu łagodziła przejmujący chłód. Noce, kompletnie bezchmurne, wyiskrzane gwiazdami na niebie i ze wspaniałą tarczą Księżycową, dawały się nam szczególnie we znaki.

Otuleni wszystkimi ciuchami jakie kto posiadał, leżąc na swojej prycy, utrzymujemy znośną temperaturę ciała; skurczeni lub przytuleni we dwóch, staramy się zasnąć. Jednak przemożne ciśnienie na pęcherz moczowy nie daje spokoju. W gaciach lub spodniach, z narzuconym na przód płaszczem, wyruszasz bracie na zewnątrz baraku. Mróz jest siarczysty, w nosie natychmiast krzepnie, całe ciało zaczyna dygotać z zimna. Biegiem robimy z pięćdziesiąt kroków poza barak i wdrapujemy się na górę lodową, która została utworzona przez 300 chłopów oddających ze szczytu tej góry urynek. Powrót następuje jeszcze szybciej, bo z tej góry lodowej zjeżdża się poślizgiem.

Długo teraz trzeba czekać, leżąc na prycy, aby uzyskać względnie ciepłe legowisko. Mękę każdej takiej nocy nie da się opisać. To przechodzi wogóle ludzkie wyobrażenia.

Któregoś dnia, zaraz po śniadaniu, a więc koło godziny  $8^{00}$ , przychodzi na barak "starszyna" i zbiera ośmiu ochotników do przywiezienia sankami ~~xxxxxxxx~~ lodu z zewnątrz obozu. Naturalnie zgłasza się nas wielu. Jestem jednym z tych ośmiu szczęśliwców. Po raz pierwszy jest okazja wyjścia poza ogrodzenie obozu.

Ranek pochmurny i mroźny, chociaż temperatura "zaledwie" poniżej  $-20^{\circ}$ , czyli na tutejsze warunki wcale ciepło. Zakładamy

na siebie co tylko mamy, ręce owijamy jakąś szmatą i tak zabezpieczeni czekamy na konwojentów przed bramą wyjazdową.

Dwóch bojców eskortuje naszą grupkę. Są oni uzbrojeni w pistolety maszynowe, opatuleni, w ogromnych uszatyh czapkach i w obszernych szynelach. Dobroduszne twarze rosyjskich żołnierzy, ich słaba ruchawość z powodu długiego szynela i jakiś dziwny brak zainteresowania się nami, stwarzało pozory raczej wycieczki krajoznawczej niż roboty.

Sanki stały przed bramą. Były to właściwie tak zwane "rozwalonki", czyli pleciony z wikliny kosz na prostych chłopskich przozach. Czterech nas zaprzęgiło się do dwóch dyszli, a pozostałych czterech pchało sanie z tyłu. Naturalnie w tamtą stronę była to zupełnie lekka praca, tak że pchający wdali się w rozmowę z naszymi bojcami. Doszło nawet do tego, że zaczęto poklepywać się nawzajem po plecach, częstować papierosami, a w pewnym momencie bojec oddał swoją pepeszę jednemu z naszych, gdy musiał się zatrzymać na stronie dla załatwienia potrzeby. Wprawne wojskowe oko naszego chłopca od razu stwierdziło, że broń po prostu nie była nabita.

Teraz, znajdując się poza ogrodzeniem, omiatając wzrokiem całą przestrzeń, stwierdziliśmy, że obóz nasz znajdował się na całkowitym odludziu. Otaczająca nas pustka była tymbardziej przenikliwa w zimowej szacie, gdy ogromne połacie aż po horyzont były pokryte białym śniegowym prześcieradłem i to niemal w dosłownym znaczeniu tego słowa wobec zupełnie wyrównanej powierzchni, bez większych wyraźnych pofałdowań.

- Droga wzdłuż ogrodzenia była ledwie przetarta. Śnieg nie był głęboki, ale na skutek naszego marszu kłęby białego puchu tworzyły lekką mgławicę. Ruch i wysiłek fizyczny wprawił nas w przyjemny nastrój. Ba, nawet zachciało się nam śpiewć jakąś wojskową piosenkę. Ale nie trwało to zbyt długo. Łykanie zimnego

powietrza sprawiało nam jednak wyraźny ból w płucach.

Mijamy narożnik ogrodzenia. Droga skręca raptownie w lewo. Przed nami daleko na horyzoncie ukazuje się sylweta miasta. To Riazan'~~/~~Maszerujemy jeszcze ze dwa kilometry aby się zatrzymać w jakiejś dolince, w której płynie, gdy mrozy nie skują lodem, niewielka rzeczka.

Chwytamy drągi i bosaki z sanek i wchodzimy na gładką tafle lodu. W pobliżu stoją już przygotowane uprzednio kawały lodu. Bosakami i drągami przesuwamy je do samych sanek i ładujemy na nie. Robimy to bez żadnego pośpiechu, a eskorta nas zupełnie nie popędza. Trwa to więc kilka godzin.

Mija południe, słońce znika poza chmurami, robi się nagle półmrok i zaczynają spadać ogromne płyty śniegu. Opad jest tak gęsty, że przesłania nam jakikolwiek widok. Robi się coraz zimniej, mróz zaczyna na wskroś nas przenikać. Postanawiamy wracać.

Powrót już tak przyjemny nie był. Ciężkie sanie zapadały głęboko w śniegu, ludzie kopali się w miękkim puchu, a ruszyć sanie z miejsca nie można. Wreszcie i dwaj bojcy pomagają i powolutku posuwamy sanie do przodu. Oj, jak teraz strasznie długo trwał ten powrotny marsz.

Utyłkani w śniegu po dziurki nosa, spoceni, mimo zwiększającego się mrozu, docieramy po dwóch godzinach do obozu. Pozostawiamy nasz transport przybyłej zmianie a sami biegiem do swoich baraków. Rozcieramy twarze i ręce aby nie odmrozić je, skaczemy w miejscu, robimy prześmieszne ruchy aby doprowadzić się do jakiegoś znośnego stanu. Patrzą na nas koledzy bez współczucia, a z oczu ich wyczytać <sup>można</sup> słowa nagany.

- A dobrze wam tak. Zachciało się wycieczki. Nie lepiej to było posiedzieć u siebie na pryczy?

Przywieziony przez nas lód został zapakowany do specjalnej piwnicy - ziemianki jako zapas na gorące dni lata.

Ciekaw jestem czy będziemy z tego lodu korzystali w przyszłym roku. A może nie jestem wcale tak bardzo ciekawy, bo wolałbym przecież tutaj nie przebywać.

W miarę upływu czasu wyżywienie stawało się coraz gorsze. Skończył się chleb z mąki amerykańskiej, bochenki nie były już jak dawniej tak duże, chociaż waga odpowiadała poprzednim przydziałom. Chleb z mąki żytniej, przeważnie nie wypieczony, aby utrzymać obowiązujący ciężar, nieraz przesiąknięty zapachem spleśniałej mąki. Bywało, że któregoś dnia transport nie dostarczył pieczywa, nie otrzymaliśmy więc swego przydziału dziennego, chociaż następnego dnia jednak dostaliśmy podwójne porcje. Zabrało margaryny i przez kilka dni dawano nam po kawałeczku zjełczałej słoniny, a potem i tego nie stało, więc otrzymywaliśmy po kilka wędzonych maleńkich rybek, wielkości małego palca u ręki lub jeszcze mniejszych. Nazywała się ta rybka "komsa-komsa".

Nie wiadomo było jak te rybki spożywać, bo to i mało tego, że po oderwaniu łebków prawie nic nie zostawało. Stosowano dwie metody konsumpcji: jedna to po prostu wkładało się całość do ust i ~~żuło~~ żuło z dodatkiem kawałka chleba, druga, bardziej wyrafinowana polegała na drobniutkim siekaniu nożem, a następnie zmaserowaniu na deseczce i posmarowaniu tą masą kromek chleba.

Bywało, że przez kilka dni nie dostawaliśmy machorki, co szczególnie dla palaczy stawało się dokuczliwe.

Na obiad dawano nam przezroczystą polewkę z jednym lub dwoma płatkami kapusty, a na drugie danie pół łyżki zatęchłego, prawie surowego pęczaku.

I oto naraz, tuż przed naszymi świętami Bożego Narodzenia generalnie coś się wszystko zmienia.

Otrzymujemy w całości zaległe racje margaryny i machorki, w tym po 10 papierosów. Na obiad dają nam gęstą zupę z kaszy jęczmieńnej, a na drugie danie dużą porcję tej samej kaszy na sucho

Spożywamy to z niebywałą rozkoszą i staramy się przeniknąć przy-  
czyny tak nagłej pozytywnej zmiany.

Takie "d<sup>o</sup>lice vita" trwało ponad tydzień, ale po kilku dniach  
kaszowego "menu" wystąpiło ogromne zapotrzebowanie na zwykłą  
kredę. Początkowo przynoszono kawałki kredy z sanitariatu, ale  
szybko się tam zapasy wyczerpały. Zaczęto uprawiać spekulację z  
sowieckimi żołnierzami za pośrednictwem naszych Kuchennych am-  
badorów. Ten run na kręde wynikał z zakwaszającego działania  
w naszych żołądkach na skutek nadmiernego spożywania kaszy. Zga-  
ga w gardle w przerażający sposób występowała powszechnie, powo-  
dując ogólne przygnębienie. Byli tacy co na samo wspomnienie o  
kaszy dostawali mdłości, a w miskach po obiedzie pozostawały całe  
porcje tej potrawy nie ruszone.

Któregoś dnia zdarzył się następujący incydent.

Był między nami, w którejś kompanii, przystojny, postawny  
starszy pan, w stopniu porucznika. Nie znam nazwiska. Jakiś ~~pre-~~  
<sup>potomek</sup> ~~teplasta~~ hrabiów czy książąt śląskich, o wytwornych manierach,  
traktujący z góry innych kolegów.

Kończyliśmy właśnie obiad w oddzielnym baraku, na stole le-  
żały różne odrzuty ze spożytych przez nas potraw, a w miskach  
pozostałości przeklętej kaszy.

Do sali wchodzi ten hrabia, ale taki jakiś dziwny, zanied-  
bany, w zapeczanym mundurze, a na ramiennikach dwie gwiazdki.  
Podchodzi do długiego stołu i zbiera po drodze wszystkie obiado-  
we odpady i zachłannie pakuje do ust, nie gryzie, nie żuje, ale  
natychmiast połyka.

Patrzymy na~~ś~~ to i robi się nam niedobrze, cz<sup>u</sup>jemy, że cały  
obiadowy posiłek zwymiotujemy. Wreszcie jeden z naszych szybko  
do niego podchodzi, chwyta z tyłu za kark, odwraca i zadaje kil-  
ka mocnych razów w twarz pana hrabiego. Ogólna konsternacja. Za-  
krywa on twarz rękami i wybucha spazmatycznym płaczem. Wyprowadza-  
my go z baraku i puszczamy wolno. Chwiejąc się lekko oddala się

w stronę ustępów.

Mimo tak wyraźnych pozorów polepszenia się naszej sytuacji żywnościowej, przygnębienie ogólne wzrasta, zwłaszcza w świetle zbliżających się Świąt. Tu i ówdzie przebąkuje się o zorganizowaniu jakiejś demonstracji celem zmuszenia władz sowieckich do ujawnienia zamiarów w stosunku do dalszego naszego losu. Jedyne wyrażenie buntu to ogłoszenie głodówki. Na razie chodziło tylko o demonstrację, bez dalszego planu działania.

Z każdej kompanii, jeden z wyższych oficerów wchodzi do komitetu dla przeprowadzenia rozmów z naszymi generałami. Pertraktacje miały miejsce w pokoju generalskim, ale o wynikach nie komunikowano nam z uwagi na konieczność stworzenia sytuacji zaskoczenia, co byłoby niemożliwe wobec istnienia wtyczek sowieckich w naszych szeregach.

- Na pytanie co dalej? - była jedyna odpowiedź - czekać, będzie rozkaz.

A tu tymczasem ~~z~~ skończył się okres "prosperity" kaszowej i powrócił do tradycyjnych "kapuśniaków". Zamiast tłuszczy znów przydziały "komsy-komsa". Po palącej w gardle zjadłszy przysła kolejną na głodową czkawkę. Marzeniem stawała się dowolna ilość zupy, w której jednak mogło znajdować się kilka zielonych liści lub kawałek głąbu kapuścianego.

Każdego dnia, koło południa, żołnierz sowiecki wymieniał jakieś nazwisko i prowadził na przesłuchanie do "śledziela" - tak się bowiem w naszym obozowym języku nazywał sowiecki oficer dochodzeniowy NKWD. Z relacji wzywanych kolegów można było wywnioskować, że władze sowieckie posiadają już pewne wiadomości o organizowanej głodówce, o czym zresztą nie mówią wyraźnie. Czuło się, że chodzi o wyszkolenie prowodyrów, aby w ten sposób zapobiec powstaniu kłopotliwej dla nich sytuacji w obozie. Swoją ostrożność posunęli do tego stopnia, że pod jakimś pretekstem z cza-

sów konspiracji przy partyzantki, zamknięto w bunkrze wszystkich delegatów konspirujących z generałami. Generałów jednak nie ruszono, mimo, że ci odmówili składania jakichkolwiek zeznań.

Już tylko kilka dni pozostało do Wigilii. Należało przygotować się do uroczystego spędzenia tego wieczoru. Tworzyły się grupki po kilku kolegów i w takim gronie planowano organizowanie tej uroczystości.

Nasza grupa składała się z pięciu osób, a mianowicie: Henryk Piński /autor niniejszych wspomnień/, Witold Kisiel, Aleksander Wasilewski, Zygmunt Zublewicz i Witold Kiewlicz.

Jeszcze dzisiaj w żaden sposób nie mogę sobie wyjaśnić ani zrozumieć dlaczego właśnie ci a nie inni, bo żadne osobiste więzy z cywila ani z partyzantki nas nie łączyły. No ale fakt pozostaje faktem. Za to od tej chwili przez ciąg obozu, zarówno tego jak i innych, aż do powrotu do Kraju i nawet w Ojczyźnie, więź ta pozostała a nawet zmieniała się w prawdziwą żołnierską przyjaźń. Zresztą na dalszych kartach tych wspomnień niejednokrotnie nazwiska te będą się przewijać.

No więc nasza piątka szykowała się do obchodu świąt Bożego Narodzenia.

Pierwszą decyzją było aby przez cztery dni do wigilii każdy, oprócz Kisiel, odkładał ze swej porcji ćwierć pajdki chleba, pół kostki margaryny, słoniny lub "komsa-komsa" i jedną kostkę cukru. Zebrało się tego sporo. Zublewicz jako najstarszy z nas miał przygotować całą zastawę. Ja za swój tytoń kupiłem od jakiegoś kuchcika całego ogromnego czerwonego buraka. Z ostatniej kolacji mieliśmy zafasować możliwie dużo t.zw. herbaty ziołowej.

Uroczystość odbyła się na legowisku Wasilewskiego, bo znajdowało się ono obok Kisiel, przez co mieliśmy większą przestrzeń do wykorzystania. Przygotowaliśmy również, bardzo rozrzutnie, aż



dwie lampki nagrobkowe.

Przed zajęciem miejsc zaprosiliśmy do siebie księdza Protazego - Józefa Prejsery, który najpierw poświęcił wodą nasze nakrycie, a potem wziął udział w tej naszej uczcie, zreszłą sumiennie składając cały dzisiejszy przydział do wspólnego "stołu".

Najpierw była krótka modlitwa, potem kilka toastów na cześć i za zdrowie, no i rozpoczęła się prawdziwa uczta.

Zygmunt spisał się znakomicie. Stół był bogato zastawiony. Każdy dysponował kwadracikiem gazetowego papieru, imitującego talerzyk deserowy. Na nim kromka chleba, na której była odrobina margaryny i kawałeczek słoninki, obok plasterek pieczonego w popielniku buraka, no i prawdziwa ziołowa herbata z kawałkiem cukru. Pośrodku stolika, na podstawce z kawałka drewna rozstaczały się wokoło żółtawe światełka lampek margarynowych.

którym zębem należało gryźć te wspaniałe kanapki aby przedłużyć czas ich spożywania, pozostawiono uznaniu poszczególnych biesiadników. Herbata jak boski nektar rozplýwała się w ustach, pozostawiając przyjemny posmak i zapach.

Najpierw zaintonował nasz kapelan kolędę "Wśród nocnej ciszy". Cichutko popłynęła melodia z naszej pryzy, aby za chwilę potężnie rozbrzmiewać w całym baraku. Sto gardzieli składało się na rozległy grzmot, absolutnie nie odpowiadający nastrojowi "nocnej ciszy". Potem były inne kolędy, jak "Lulajże Jezuniu...", "Przybieżeli do Betlejem...." - ale najlepiej udała się melodia ludowa "Jezus malusieńki....".

Idy już, zda się, wyczerpano kolędy, gruchnęła ze wszystkich ust polska pieśń "Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy..."

A potem to już tylko wspomnienia.

Ktoś wpadł na głupi pomysł aby każdy opowiedział, jak tylko potrafi pięknie i obrazowo jakąś potrawę ze stołu wigilijnego. Pomyłono przy tym zupełnie "menu" wigilijne z menu ogólnie świą-

tecznego. Roztaczano wspaniałą panoramę nieograniczonych rodzajów potraw, sposobów przygotowywania i wyrafinowanych możliwości podawania na stół. Ten rodzaj zabawy "Wujek"-Kiwlicz nazwał trywialnie - onanizmem psychicznym, czyli samogwałtem moralnym.

Uroczysość zakończyła się koło godziny 12<sup>00</sup> w nocy, gdy nasza kopciałka mignęła po raz ostatni i zgasła, roztaczając wokół nieprzeniknione ciemności.

Już i te smutne święta przechodzą do historii, dzień Nowego Roku 1945 minął prawie niepostrzeżenie. Coraz częściej docierają do nas różne wiadomości ze świata. Naturalnie relacje te nie mogliśmy przyjmować dosłownie, płynęły przecież ze źródeł oficjalnych sowieckich, a to, jak to było powszechnie wiadome, były fabrykowane na potrzeby radzieckiej polityki. Niemniej wprowadzały nas one w aktualną sytuację wojenną i polityczną w Europie.

którejś nocy w połowie stycznia, bez widocznej przyczyny z zewnątrz, zerwałem się niemal na równe nogi, na ile pozwalała nato ograniczona przestrzeń między pryczą s sufitem. Nieprzytomny starałem się przeniknąć wzrokiem otaczające ciemności. Powoli wracała przytomność i zacząłem dochodzić do świadomości co mogło być przyczyną nagłego przerwania snu. Oto najwyraźniej przeżywałem powtórnie ale już na jawie dziwny koszmarny sen.

"Udaję się wraz z żoną do tadzika z wizytą. Szosa. Przy szosie niski, z kamienia polnego murek. Przechodzimy przez ten mur. Lekkie wzniesienie terenu w stronę budynku. Dróżka wijąca się między krzewami i żywopłotem. Dom, ładna lecz skromny "wiejska willa" z oszkloną werandą, przez nią wejście do przedpokoju. Wchodzimy, niema nikogo, pukamy do wszystkich drzwi po kolei - milczenie. Obchodzimy wszystkie pokoje i wracamy do przedpokoju - nigdzie niema nikogo. W tym momencie z podwórza wchodzi gospodarz Tadzik. Wita nas i zaprasza do pokoju. Za nim ze łbem spuszczoneym aż do ziemi, z oklapłymi uszami, wolno wchodzi pies - wilk. Ja jestem ubrany w ciemny elegancki wizytowy garnitur, żona zaś w białej sukni, we włosach biała szeroka przepaska. Nie podobał się mojej żonie potężny pies i prosi Tadzika aby ten wyprowadził go za drzwi. Do pokoju wchodzą żona Tadzika, zamienne z nami kilka słów i wychodzi. Wchodzi teraz jego matka, która również zaraz się oddala, aby przygotować coś do zjedzenia. Po pewnym czasie drzwi się do pokoju powoli uchylają i ukazują się w nich pies. Łeb wilka pokrywa posklejana zaschlą krwią szerść, a rozstawione szeroko łapy drżą jakby lada moment miały się ugiąć a zwierzę paść na ziemię. Żona moja zwraca się do gospodarza i prosi go:

- Panie Tadziku, weź pan "wisa" i dobij go, niech się pies nie męczy.

Tadzik bierze rewolwer, wypędzy z pokoju psa i klękają na

marino zarysowane

moje  
zrozumienie!  
↓

jedno kolano we drzwiach oddaje strzał, potem jeszcze dwa następne. W tej chwili żona moja leży blada na otomanie, głowę ma ułożoną na białej poduszce i półgłosem powtarza : Och... ile krwi .... ile krwi... Poduszka wokół jej głowy przybiera czerwony kolor świeżej krwi... "

Już do świtu nie mogłem zmrużyć oka, cały czas myśląc o znaczeniu makabrycznego snu.

Na początku lutego, lotem błyskawicy rozeszła się wśród naszej kompanii i innych wiadomość o rozpoczęciu indywidualnej głodówki przez jednego z naszych generałów.

A było to tak.

Generał "Załęski" zażądał widzenia się z komendantem obozu.

Wezwano generała do pokoju prokuratora, gdzie był obecny również sowiecki komendant, oficer NKWD.

Generał oświadczył im, że z dniem dzisiejszym rozpoczyna indywidualną skrajną głodówkę, że będzie głodował aż do śmierci o ile nie zostaną spełnione jego warunki, a mianowicie: powrót jego i wszystkich, uwięzionych w tym obozie Polaków do Kraju. Tylko ten jeden warunek. Jest zdecydowany oddać w tym celu swoje życie.

- Padumajom, uwidim - była jedyna odpowiedź Sowietów. Nawet nie starano się przekonać o niewłaściwości drastycznego kroku polskiego generała.

Przez dwa dni już trwała głodówka generała. Wiadomość ta zbulwersowała cały polski obóz. Zaczęły się pokątne rozmowy, jakieś konspiracyjne ruchy, co nie mogło nie być zauważone przez władze sowieckie.

Trzeciego dnia, zaniepokojone władze obozu, starały się różnymi sposobami przerwać głodówkę generała. Nawet ukazał się jakiś wyższy stopniem oficer NKWD. Odbyła się ważna narada w komendanturze obozu.

Pod wieczór tego dnia wtargnęli do pokoju generałów dwaj sowięcy sanitariusze z noszami. Na zewnątrz zebrała się gromada naszych ludzi. Bojcy chcieli się wiaować na nosze głodującego i przenieść go na izbę chorych. Szamotanie i krzyki dochodzące z pokoju wywołały natychmiast reakcję tłumu na zewnątrz. Podniósł się niesamowity wrzask, a krzyki: biją!...bija!... - rozlegają się po całym placu.

Na wartowni obozu ogłoszono stan alarmowy, a kilkunastu uzbrojonych żołnierzy stało w pogotowiu przed bramą obozu.

Oficer NKWD tłumaczył spokojnie zgromadzonym ludziom, że nikt nikogo nie bije.

Na naszych oczach wyniesiono na noszych delikwenta i umieszczono w oddzielnym pomieszczeniu w "san-czasci"

Czekaliśmy cały czas na dworze, mimo przejmującego zimna. Po dwóch godzinach wyszedł na własnych nogach generał i oświadczył, że major NKWD, w porozumieniu z Moskwą, obiecał mu, ~~xxx~~ pod "czasnym słowem oficera NKWD", że do 1 maja wszyscy wyjedziemy do Kraju.

- Ustąpiłem - mówi nam - oświadczając, że o ile jeszcze raz, już nie wiadomo który, skłamię, nie będę żałował swego życia.

Głodówka przerwana. Względny spokój został przywrócony. Wracamy do swoich kwater.

Życie obozowe toczy się swoim torem.

Walka nocna z inwazją pluskiew nie została przerwana, groziło to nawet pożarem od penetrujących szpary w drewnianym suficie ogników.

Posiłki obiadowe przestały być jakimś pożywieniem, traktowano je jako pewną atrakcję w naszej codziennej egzystencji. Racje dzienne łaskotały jedynie nasze podniebienia, stwarzając tym większe łaknienie. W zastraszającym tempie chudliśmy, co

można było łatwo zauważyć w co miesięcznych t.zw. kąpielach. Niektórym żebra sterczały w piersiach, a łopatki odstawały od pleców niczym skrzydła.

Zorganizowana została grupa ochotników do robót remontowych i instalacyjnych w mieszkaniach dygnitarzy sowieckich. Z tej to racji zaczęły do nas dopływać najnowsze wiadomości ze świata i z pobliskiego miasta Riazania. Codziennie mieliśmy "Iz-  
wiestia, a czasem i inne gazety.

Trudno dociec skąd ci ochotnicy zdobywali ruble rosyjskie, bo przecież aby kupić znaczki pocztowe trzeba było mieć pieniądze obiegowe. A była to niezwykła okazja dla wysłania listu do rodziny. Chętnych na korespondencję było setki, lecz listów ilość ograniczona, bo to znaczków brakowało, a to papieru na kopertę nie było skąd dostać.

Podobno jakieś pojedyncze listy do Polski dotarły, chociaż żadnego z trzech wysłanych przeze mnie listów w kraju nikt nie otrzymał. Któregoś dnia gruchnęła po obozie wiadomość, że w komendanturze jeden z naszych "demokratów" widział na stole plik naszej korespondencji. Plotka nie sprawdzona, ale zupełnie prawdopodobna. Kontrwywiad sowiecki osiągał wtedy szczyty w dziedzinie inwigilacji swoich obywateli, a cóż dopiero "wrogów" z zaprzyj<sup>o</sup>żnionego państwa.

Kompletna bezczynność, szczególnie na skutek krótkich dni i bezkresnie długich nocy, skłaniała do cichych i tajemnych rozmów, dyskusji i snucia czasem niedorzecznych planów.

Coraz częściej, ten i ów, przycisnięty uczuciem ciągłego głodu, zgłaszał się na ochotnika do roboty w kuchni. Sprzyjającą tu okolicznością było to, że członek naszej kompanii, "Ronin" zajmował odpowiedzialne stanowisko starszego kucharza. On to angażował sobie pomocników. Praca w kuchni polegała na skrobaniu kartofli, siekaniu kapusty, myciu kotłów i naczyń, wynoszeniu popiołu i dostarczaniu opału itp. Naturalnie do takich produk-

tów jak kasza mąka czy jakieś tłuszcze nikt z naszych ludzi dostępu nie miał. Nawet zaufani kucharze - Placy wykonywali czynności fasowania pod baczynym okiem sierżanta sowieckiego.

Uwagi te nasunęły mi się na podstawie własnych obserwacji, gdyż i ja tam brałem również udział - może trochę przez ciekawość, a trochę i dla doraźnej korzyści, miałem bowiem nadzieję, że może i mnie się uda raz w życiu napełnić czymkolwiek swój żołądek. Do dziś nie mogą zrozumieć, jak to się działo i w jaki sposób bez śladu znikają w drodze ~~z~~ od magazynu do kotła wszystkie przydzielone produkty. Nigdy w kotle nie uświadczysz kawałka słoninki, ani na powierzchni tak zwanej zupy - oczka tłuszczu, a ziarenka kaszy niemal nigdy się nie zdarzały. Zupa to zawsze jakaś brudna woda z zawieszonymi w niej kawałkami liści kapuścianych.

No więc jak się rzekło, stałem się któregoś nocy pełnoprawnym pracownikiem kuchni. Oprócz mnie było jeszcze pięciu kolegów. Wieczorem, po kolacji, zgłosiliśmy się do szefa kuchni, którym był Polak, porucznik Sielicki Michał, wielki zaufany władz sowieckich.

Czterech nas posadzono przy koszach z kartoflami i kazano jak najoszczędniej obierać je z łupin. Nas dwóch ustawiono przy długim stole, wzięto potężne ostre noże i kazano szatkować najpierw górę zielonych liści a potem główki kapusty. W ogromnych koszach nosiliśmy pokrojoną kapustę do pieców i tam wrzucaliśmy do wrzącej wody. Przy każdym kotle, na podwyższeniu stał stał polski kucharz z warząchwią na długim kijku i stale mieszał. Po co mieszał nikt mi nie mógł tego wytłumaczyć. W międzyczasie donosiliśmy drewno na opał i stale dokładaliśmy do paleniska.

Do każdego kotła dostarczono po kilka wiader kartofli, co nie wpływało zupełnie na zagęszczenie zupy.

Na pytanie, kiedy do kotła wrzuca się jakiś tłuszcz czy kasze, kucharz z uśmiechem odpowiadał, że "na predumku", jako że

cały zapas tych produktów szedł bezpośrednio do specjalnego kotła dla obsługi sowieckiej.

Całą noc trwała praca w kuchni, chociaż były takie chwile, że nie mieliśmy co robić i prawie wszyscy gdzieś skuleni w kątku zasypialiśmy.

Już chyba nad ranem budzi nas z drzemki gromki okrzyk jednego z kucharzy.

- Zupa gotowa!

Nie rozumiem po co było się śpieszyć z gotowaniem, skoro jak się okazuje, była to zupa przeznaczona na dzisiejszy obiad.

Każdy z nas pracujących otrzymał do rąk głęboką miskę metalową i stanął w kolejce dla pobrania pierwszej próby. Naturalnie zupę otrzymywaliśmy od dna, a więc najgęstrzą, co się sprpwadzało do kilku większych, źle pokrojonych liści kapusty. Ale woda posiadała pewną konsystencję, bo nie była już tak przeraźliwie przezroczysta.

Zjadłem całą miskę tej strawy, a było tego chyba z półtora litra. I nic.... zupełnie nic - nie miałem wrażenia wypełnionego żołądka. Wziąłem drugą porcję, ale już stojąc na stronie, połowę płynu wylałem, resztę momentalnie wchłonąłem. I... nic... znowu nic... O przepraszam, to nie było jednak zupełnie nic... Ucisk na pęcherz moczowy stał się tak silny, że natychmiast wybiegiem na zewnątrz baraku aby się pozbyć nadmiaru wody z organizmu. Brzuch, który niebezpiecznie się wydał przy jedzeniu, teraz powracał do swego stanu normalnego. Wracam do kuchni, z zamiarem rozpoczęcia tej zupowej uczy. A tu niespodzianka. Pan Sielicki, sekretnie prowadzi mnie na zaplecze i z szafy wyciąga pół miski gęstej kaszy jaglanej. Oczy mi niemal wylazły z orbit, ślina wypełniła całe usta, a gdy zacząłem woychać w siebie tę kaszę, miałem trudności z jej przełknięciem. Dopiero po pewnej chwili udało mi się wprowadzić wartościową masę do żołądka.



Przez długi czas zastanawiałem się co mogło być przyczyną takiego wyróżnienia z pośród innych kolegów.

Nie było nam zbyt śpieszno wracać do naszych baraków, bo to i trochę nad normę obciążony żołądek, no i przyjemne ciepło w pomieszczeniach kuchennych wprowadzało nas w stan błogiego rozleniwienia, a następnie senności.

Niestety, był to jedyny dla mnie raz takiej ucztę, bo wypadki które nastąpiły całkowicie przekrzyły jakieś w tym kierunku możliwości.

Na początku marca zaczęło dojrzewać ogólne przekonanie, że sytuacja międzynarodowa oraz organizowanie Państwa Polskiego jest korzystnym momentem generalnej akcji całego obozu na rzecz zwolnienia.

Odbywały się konspiracyjne rozmowy wyższych oficerów z generałami celem ustalenia formy i zakresu walki.

W ostatecznej konkluzji zostało bezspornie stwierdzone, że jedynie totalna głodówka całego obozu może stanowić liczącą się akcją. W tym też kierunku szły dalsze zamierzenia i działania.

Podobno jeden z trzech generałów przeciwstawił się ogólnej opinii, twierdząc, że strajk głodowy spowoduje zastosowanie przez władze rosyjskie zaostrzonego prześladowania. Nie miało to jednak żadnego wpływu w rozwoju dalszych wypadków.

Generał Bittner poparł całym swoim autorytetem plan przeprowadzenia głodówki.

Wkrótce odbyły się konspiracyjne wybory delegatów strajkowych. Na naszej sali jakoś trudno było wybrać takiego człowieka. Zgłaszani kandydaci rezygnowali z tego zaszczytnego wyróżnienia. Głupia sytuacja. Zabieram głos.

- O ile wypłynie moja kandydatura - chętnie podejmę się roli delegata strajkowego sali.

Cisza zapancwała na sali. Nikt się nie wypowiedział. Wreszcie "Wujek", gromkim głosem, pyta?

- kto jest przeciwko tej kandydaturze?
- Niema sprzeciwu! Bierz "Robert" byka za rogi. Kropka.
- Dobrze - powiadam - ale żadam całkowitego podporządkowania się naszym decyzjom.

Wieczorem dnia 2 marca 1945 roku odbyła się na drugiej kompanii narada delegatów, na której zapadła decyzja, że w dniu 4 marca 1945 roku cały obóz bez żadnych wyjątków przystępuje do strajku głodowego. Rozpoczęcie głodówki ma być poprzedzone złożeniem przez czterech delegatów memoriału do władz NKWD w Moskwie za pośrednictwem komendanta obozu.

Należało w szybkim tempie opracować ten memoriał, podać do wiadomości wszystkich kolegów, uzyskać akceptację generałów i złożyć w sowieckiej komendanturze - i to wszystko powinno być wykonane w ciągu jednego dnia.

Znalazł się papier do pakowania, który po wyrównaniu go miał służyć za papier podaniowy. Atramentu ani pióra nie było, natomiast znalazł się kłopiowy ołówek. Najgorzej przedstawiała się sprawa oświetlenia - musieliśmy użyć do tego celu "lampek margarynowych".

W rezultacie powstało krótkie ale węzłowate pismo w języku rosyjskim, którego treść w tłumaczeniu na język polski można przedstawić w przybliżeniu następująco:

" Obóz internowanych Polaków w Diarielewie pod Riazaniem Nr. 178 proklamuje od rana dnia 4 marca 1945 roku protestacyjną głodówkę, przedstawiając następujące warunki:

a/ natychmiastowe przeniesienie nas do innego, bardziej humanitarnego obozu i stworzenie lepszych warunków bytowych.

b/ przybycie do obozu przedstawiciela polskiej ambasady w Moskwie

~~cdy~~ nieskrępowanej możliwości korespondencji z Krajem.

~~zsk~~ d/ natychmiastowe zwolnienie na wolność i odesłanie do Pol-

ski zatrzymanych generałów.

e/ ustanowienie na okres przejściowy polskiego kierownictwa obozu i wybieranych kontrolerów kuchni.

f/ natychmiastowe powiadomienie NKWD w Moskwie o podjętej przez oficerów polskich w tym obozie głodówki.

g/ głodówka będzie trwała aż do śmierci ostatniego oficera polskiego w obozie, w przypadku nie spełnienia zgłoszonych postulatów."

Jednocześnie zapadła umowa między delegatami, że w przypadku prowadzenia przez władze NKWD badań i dochodzeń należy odmówić jakichkolwiek wyjaśnień i pertraktacji.

Nazajutrz, skoro świt, z każdej kompanii wywołano po ~~zastępcę~~ jedną osobę, które poprowadzono do sowieckiego oficera dochodzeniowego. Wywołani nie znali jeszcze treści memoriału, nie byli wtajemniczeni w szczegóły, to też władze sowieckie nie mogły się nic dowiedzieć, poza tym że się strajk głodowy szykuje.

Na salę wpada oficer sowiecki z dwoma żołnierzami i zaczyna wymyślać w soczystym rosyjskim języku, a takie zwroty jak: "No wot pany, sawsiem nie budiom toleriwowat kakoj budź miateżi". "My was wsiech unicztożim kak budiet treba", czy "Pany - sukin-syny..." itd były treścią jego wystąpienia.

Ale wreszcie odszedł, a nam się zdawało, że słońce jakby jaśniej wtargnęło poprzez małe okna baraku. A jednak sprawa głodówki nie jest im obojętna i to tymbardziej utwierdziło nasze postanowienia.

Wiadomości o rozpoczęciu w dniu jutrzejszym głodówki rozszła się lotem błyskawicy wśród wszystkich ludzi w obozie, nie wyłączając naturalnie władz i załogi wartowników. Cały dzień cała się w powietrzu napięcie nerwowe, a rozmowy prowadzono szeptem.

W godzinach popołudniowych, po krótkiej konferencji w pokoju generałów, postanowiliśmy proklamować głodówkę od samego rana dnia 4 marca 1945 roku.

Porozumiałem się z doktorem Kopeć, który miał podać ogólne warunki zachowania się w czasie głodówki, tak aby nie tracić na próżno energii, szczególnie, że było między nami kilku kolegów w stanie osłabienia fizycznego.

Podaję do ogólnej wiadomości decyzję delegatów, akceptowaną przez generałów, że rozpoczynamy ostateczną walkę na śmierć i życie o nasze prawo do wolności. Odczytuję postulaty całego obozu jako warunki przerwania strajku głodowego.

Doktor Kopeć w kilku punkt<sup>ch</sup> wymienił warunki zdrowotne, a mianowicie:

1. Wszyscy leżą na swoich pryczach, bez zbytniego ruchu. Jedynie usprawiedliwionym ruchem będzie przejście do ubikacji, przy czym nie należy się zbytnio oddalać od baraku dla oddania moczu.

2. Zachować całkowity spokój, bez jakichkolwiek wystąpień w formie śpiewu, dyskusji i głośnych rozmów.

3. Zachować dzisiejszą porcję cukru, którą po jednej kostce spożywać każdego dnia rano.

4. Zorganizować dyżury dla podtrzymania ognia w żelaznym piecyku oraz ciągłego utrzymania gorącej przegotowanej wody.

5. Dwóch ludzi powinno podawać gorącą wodę poszczególnym kolegom na prycze.

6. Wszyscy koledzy mają się wzajemnie obserwować i o każdym wyraźnym zaskłabnięciu zawiadamiać lekarza.

Niespodzianką było wystąpienie księdza "Protazego", który powiadomił, że na swojej pryczy będzie spowiadał chętnych.

Zaraz po obiedzie, czterej panowie delegacji zbliżali się do budynku komendantury sowieckiej. Zatrzymani przez wartownika, proszą o zameldowanie ich u komendanta obozu, którym był major NAWD. Jakoś bez specjalnych trudno<sup>ci</sup> stajemy przed obliczem naszego pana i władcy, siedzącego w samym rogu dużego pokoju za szerokim stołem, ustawionym w największej odległości od drzwi

wejściowych. W przeciwległym kącie pokoju stoją dwa taborety. Jest nas czterech, więc żaden nie siada na taborecie, zresztą nikt nas do tego nie zaprasza.

- Grażdanin komandir - zagaja jeden z nas, wiedząc że nie wolno nam było się zwracać do sowietów per "towarzysz" - na zutrom naczynajom zabastowku gaładojuszczich. Nie budiem prynimać sawsiem piszczy. Predłagajem wam, grażdanin kamandir naszuju postulaty i b<sup>u</sup>diom żdać atwietu iz NkWD w Maskwu"

Orację tą wygłosił polski kapitan i złożył na stole papier, który był wypełniony naszymi żądaniami w języku rosyjski.

- Eto wsio. Można li adejci? - dodaje na zakończenie.

- Da... - pada jedyne słowo komendanta.

W ten sposób zakończyła się misja pierwszego wystąpienia delegatów strajkowych. Teraz tylko czekać kiedy wpadną na sale baraków bojcy i zagarną do bunkra wszystkich delegatów.

Aż do wieczora jednak nic takiego się nie stało. Panował całkowity spokój.

Nazajutrz, z samego rana, gdy panował jeszcze zupełny mrok, cichaczem, pojedynczo wysunęli się z baraku wszyscy pracownicy kuchni. Zatrzymany przez Witka - "Wujka" jeden z nich tłumaczył, że oni będą również głodować nie przerywając pracy w kuchni, bo przecież trudno przewidzieć jaka będzie reakcja sowietów. Nikt naturalnie takiego gadania nie brał poważnie. Dla nas był to jeszcze jeden dowód wyłamania się z ogólnych postanowień.

A jednak, dzisiaj w świetle zaistniałych w następnych dniach okoliczności, "zdrada" ich okazała się bardzo użyteczną, gdyż mimo tak stanowczych decyzji głodowania aż do śmierci, w całym szeregu przypadków należało ratować życie niektórych kolegów, a ci właśnie odstępcy byli jedynym źródłem dopływu żywności. Poza tym, byli oni najbardziej sprawni fizycznie i trzeba to przyznać, ofiarnie pełnili dyżury przy piecyku i roznosili leżącym na przy-  
czach gorącą wodę.

Pierwsze kilka dni głodówki nie przyniosły żadnych nowin. Zdawało się, że nikt się nami nie interesuje. Czasem w ciągu dnia wpadał z nienacka oficer NAWD, zadając dobrodusznie i humorem pytanie:

- Nu kak, pany, niczewo wam nie nužno?

- Nužno...- pada z głębi sali odpowiedź - nužno, czto by wy nas wsiech w żopu pocełowali.

Moje zobowiązanie w stosunku do Witka Kisiela, odnośnie codziennej dodatkowej racji cukru nie mogły być realizowane. Miałem wprowadzić pod podgłówką zapas około jednego kilograma cukru w kawałkach, ale dla dobra sprawy przekazałem całość do dyspozycji Bohdana Kopcia. Okazało się, że nie tylko ja jeden miałem pewne oszczędności w cukrze, bo na moje wezwanie aby wszystkie zapasy cukru oddać na cele ogólne Bohdanowi, jeszcze dwóch kolegów z sali zgłosiło pewną ilość do wspólnego banku.

Bohdan, sam się słaniając z wycieńczenia, chodził od pryczy do pryczy, badał puls i wręczał pół kostki cukru, gdy tylko ustalił słabe działanie serca.

Ksiądz Józef Prejser, raz na dzień obchodził kolejne prycze, przyjmował od chętnych spowiedź i udzielał komunii świętej okruchami chleba, który w postaci kromki dostarczył mu jeden z kuchcików.

Już pięć dni minęło od momentu rozpoczęcia głodówki. Ja jakoś zupełnie dobrze znoszę głód. Jedynie pierwsze dwa dni sprawiły mi ogromny ból w żołądku, występujący kilka razy dziennie. Potem jakoś zatraciłem zupełnie uczucie łaknienia, prześladowało mnie jedynie pragnienie, w gardle mi po prostu zasychało, a śliny w żaden sposób nie potrafiłem wytworzyć. Z rana, po spędzonej w gorączce nocy, odczuwałem okrutne zawroty głowy. Wszystko wprost kręciło mi się przed oczami. Ale i to mijało, a dodatkowy wysiłek związany z koniecznością codziennych kontaktów z innymi barakami jako delegat kosztował mnie poważną stratę ener-

gii.

Któregoś dnia na jednej z odległych od "centrum" pryczy rozlega się przeraźliwy, nieludzki śmiech, śmiech wariata. Jakiś dreszcz grozy przeniknął wszystkich, dołyczas zupełnie zrezygnowanych ludzi. Zamilkł ten śmiech tak nagle jak się pojawił. Zaraz potem dała się słyszeć modlitwa-litania do Matki Boskiej. To nasz nadworny mistyk rozpoczyna swoje występy. W chwilę później z drugiego końca sali, w wesołym rytmie, jakiś dwugłos zaintonował piosenkę żołnierską "O mój rozmarynie rozwijaj się...". Na sali powstał straszliwy harmider, bo dwa obozy starały się siebie przekrzyczeć.

Stanąłem bezradny na środku sali, zastanawiając się nad sposobem zareagowania w tej natężającej się psychozie, której podłożem był jednak głód.

Stojący obok mnie "Marcin" wpakował dwa palce w usta i przeraźliwie zagwizdał, dominując w ten sposób nad ogólnym gwarem. Powoli zanikały melodie na sali, aż wreszcie nastąpiła cisza, wśród której słychać było wydobywający się z głębi piersi szloch.

- Koledzy! Zachowajmy spokój. Nie wiadomo jeszcze jak długo będzie trwała nasza walka. Nie wolno nam dać się sprowokować. Oszczędzajmy swoją energię - To były moje słowa, gdy zapanała całkowita cisza.

Dr. Kopeć natychmiast znalazł się na pryczy tego <sup>który</sup> tak niespodziewanie zakłócił spokój swoim śmiechem, a potem spazmatycznym płaczem. Leżał na pryczy półkorzytomny, nawet ostatni kawałek cukru nie był w stanie go ożywić. Dwaj nasi ambasadorzy kuchenni przytaszczyli z izby chorych nosze, na których zanieśli nieprzytomnego kolegę. Była to pierwsza ofiara głodówki, gdyż człowiek ten zakończył życie na udar serca. Ofiara pierwsza, ale dzięki Bogu jedyna.

Tego samego dnia zaszedł jeszcze jeden znamieny incydent,

o którego przebiegu dowiedzieliśmy się po zakończeniu głodówki.

Oto do pokoju generałów wkroczyło czterech bojców, z których dwaj byli w białych chałatach.

- Grażdanin gienierał idiom wraz k wraczom. Nużno zdiełał wam ukoł.

- Paszli wont! - mówi ten generał

Wszyscy czterej chwycili go i zanieśli do izby zabiegowej, gdzie posadzili na specjalnym ginekologicznym fotelu. Gdy się zbliżali, aby go rozebrać ze spodni, ten wyprężył się i całą siłą obiema nogami kopnął jednego z żołnierzy, który jak długi rozłożył się na podłodze. W tym momencie wchodzi lekarz sowiecki i komendant obozu. Zaczyna się towarzyska rozmowa, której celem miało być przekonanie o konieczności przerwania głodówki, wobec jego /tego generała/ moralnej odpowiedzialności za życie ponad trzystu polskich oficerów.

Odpowiedź była jednoznaczna. Generał oświadczył, że jego miejsce jest wśród jego żołnierzy podkomendnych i żadne manewry władz sowieckich nie spowodują zmiany jego decyzji.

Pozostawiono generałów w spokoju.

Następnego dnia zjawia się oficer NKWD na naszej sali i podaje nam do wiadomości, że nasi generałowie przerwali głodówkę i wzywają nas do tego samego.

- Na zawtra budiet u nas tawariszcz pałkownik iz Maskwu. NKWD w Maskwie znajot waszi przedłożeni.

- Tak poażdiom na etogo Pałkownika.

~~Oficer~~ Oficer oddalił się nie uzyskawszy zgody na przerwanie głodówki.

Naturalnie nie daliśmy wiary zapewnieniu oficera sowieckiego. Udałem<sup>m</sup> się do pokoju generałów, ale wstępu broniło aż dwóch uzbrojonych bojców. To był wyraźny dowód kłamstwa tego oficera.

Jeszcze w tym samym dniu, pod wieczór, odbyła się w sąsiednim baraku odprawa delegatów strajkowych. Z ogólnej sytuacji i



szeregu drobnych zjawisk wynikać mogło, że chyba będzie to przedostatni dzień naszych głodowych zmagania. Bo też i nasza wytrzymałość psychiczna oraz sta<sup>w</sup>/kompletnego wyczerpania fizycznego dobiegał krańca. Mimo to świadomość i umysłowa aktywność naogół nie budziły obaw jakiegoś załamania.

§ Z pierwszej kompanii, koło północy, przeniesiono na noszach aż dwóch kolegów do izby chorych.

Całą noc nie zmrużył nikt oka. Sen nie chciał nam użyć choćby najmniejszej ulgi.

Świt dnia 11 marca 1945 roku powitał nas wyjątkowo piękną pogodą, a jaskrawo wchodzące słońce przynosiło wraz ze swymi promieniami jakąś podświadomą nadzieję pozytywnej zmiany.

Dyżurni, przygotowujący wodę na żelaznym piecyku "kozio", zauważyli wzmożony ruch przy bramie wejściowej do obozu i przy budynku komendantury.

Jakaś potężna limuzyna wtoczyła się do obozu i wysiadło z niej kilku grubych i w białych czapach dygnitarzy.

Wpada do baraku "Ronin", który tę noc spędzał w kuchni i z daleka wrzeszczy, że przyjechał z Moskwy sam generał NKWD.

Do komendantury sowieckiej wezwano delegatów. Z naszego baraku udaliśmy się we dwóch z doktorem Kopciem. Zostawiliśmy na sali rozgorączkowanych kolegów oczekujących skutków naszej wizyty u władz sowieckich.

W wielkim pokoju zastaliśmy już dwóch naszych generałów oraz majora Mościckiego. Wkrótce znaleźliśmy się tam w komplecie.

Wkracza świta NKWD. Co jeden to grubszy, a medale i krzyże ledwie się mieszczą na piersiach. Dygnitarze wystąpili w pełnej gali, co przy zniszczonych i brudnych mundurach naszych oficerów, stwarzało przygnębiające wrażenie.

Staliśmy naprzeciw siebie. Oni wygoleni, pachnący "duchami" sowieckimi, my zdala śmierdzący brudem i potem. Oni uśmiechający się - my ponurzy i znudzeni.

Zaczyna się przemówienie samego generała NKWD. Trudno mi ustalić jego nazwisko. Treść jego mowy możnaby ująć w streszczeniu i węgry polskiej tak:

- "No więc towarzysze, towarzysze Stalin uznał wasze racje do wyjazdu do waszej Ojczyzny i kazał przygotować was do takiego wyjazdu. Ja, generał radziecki gwarantuję wam, że do końca maja opuścicie nasz kraj aby ~~wyjechać~~ pracować w swojej Ojczyźnie. Przedtem jednak musicie przejść odpowiednie przeszkolenie polityczne, aby służyć jaknajlepiej socjalizmowi. Za dwa tygodnie, a może wcześniej, zostaniecie przeniesieni grupami do innych specjalnych obozów lub do szkoły podchorążych w Riazaniu. Teraz udacie się do swoich kolegów, przekażecie im naszą decyzję i spowodujecie przerwanie głodówki. Służba sanitarna i lekarska czuwać będzie nad waszym zdrowiem."

No i stereotypowe: Waprosy Jest?

- Towarzyszu generale! - mówi po rosyjsku jeden z naszych generałów - już tyle razy wasi oficerowie okłamywali nas, że trudno nam uwierzyć w wasze słowa. Jeszcze raz chcemy wam uwierzyć, bo to jest dla nas jakaś nadzieja, bez której żyć nie podobna. Przyjmujemy wasze oświadczenie, chociaż ono zupełnie nie odpowiada naszym postulatom. Nie rozumiemy zupełnie waszego postępowania, nie rozumiemy celu ku któremu dążą władze sowieckie, trzymając nas w tak nieludzkich, prymitywnych warunkach. Nie chcemy od was żadnego tłumaczenia, bo będzie to znów zbiór niedorzecznych kłamstw i wykrętów.

- Czekamy dalszego biegu wypadków - dodał nasz generał.

Z tym rozeszliśmy się do swoich baraków, gdzie zrelacjonowaliśmy możliwie dosłownie przebieg tej dziwacznej konferencji.

Doktor Kopeć wytypował pięciu czy sześciu kompletnie osłabionych głodówką, których natychmiast odprowadzono na izbę chorych. Najsilniejsi skierowani zostali do magazynu, gdzie wyfasowali podwójne racje żywnościowe, a pote rozdzielili wśród kole-

gów.

Trudno sobie wyobrazić ile dymu tytoniowego wypełniało salę, gdy palacze otrzymali podwójną ilość papierosów. Oni zanim wzięli do ust kawałek chleba, zdołali wypalić po dwa papierosy. Skutek był natychmiastowy, większość ciężko dysząc leżała pokotem na swoich pryczach. Trzeba było ponad jednej godziny, aby doszli oni do względnie normalnego stanu.

Nastroje poprawiły się szczególnie, gdy przyniesiono pełne kocioty kotły gorącej i trochę słodzonej herbaty. Po raz pierwszy piliśmy prawdziwą herbatę. A gdy nadszedł czas obiadu i część ludzi nie miała siły przejść do baraku jadalni, przyniesiono na salę kocioł z zupą. Co to była za wspaniała zupa - tego jest trudno opisać. A był to po prostu krupnik, w którym wyraźnie czuło się smak gotowanego mięsa, nawet kartofle i ziarna kaszy jęczmiennej, t.zw. pęczaku, można było widzieć na łyżce niesionej do ust.

Obaj z doktorem patrzyliśmy ze zgrozą jak nasi koledzy zachłannie spożywali podane posiłki i opanował nas strach przed skutkami, jakie mogą wyniknąć z raptownego przerwania głodówki. Naogół skończyło się to na kilku przypadkach niestrawności, a natychmiastowym wypróżnieniem. I nie chodziło tu nawet o stosukowo nieznaczny ból żołądka, ale okrótny żal, że takie fajne żarcie tak się marnuje.

Obiady tego dnia i kilku następnych dni były wręcz luksusowe. Nie brakowało nawet kraszonej rozpuszczoną margaryną kaszy manny na drugie danie.

Naturalnie, zaległych racji żywnościowych z okresu głodówki już nam nie wydano, napewno rozeszło się to po "kościach" całego personelu kuchennego i magazynowego. Jedyne machorki nie brakowało, a cena jej w wartościach wymiennych kostki cukru okropnie zmalała, tymbardziej, że cukier był przez wszystkich zachłannie konsumowany.

Ja, natomiast po zakończeniu głodówki, popadłem w jakiś stan

odrętwienia. Cały otaczający mnie świat, łącznie z pluskwami, wydał mi się jakiś nierealny. Coś jakby przeczucie zawisło nade mną. Nawet żarcie nie stanowiło dla mnie atrakcji. Stan ten musiał być na zewnątrz widoczny, bo moi najbliżsi przyjaciele starali się mnie przywrócić rzeczywistości.

Rehabilitacja pogłódówkowa nie trwała zbyt długo. Warunki naszego życia wracały po trzech dniach do tak zwanej normy, czyli nędzy z przed głodówki. Jednak jakoś trudno było zwalczyć ogólną apatię, wynikającą z beznadziejności czekania na dalszy nasz los. Nic nie zapowiadało jakichkolwiek zmian w naszym położeniu. Jak dawniej, wywoływane pojedynczych kolegów na badania do oficera dochodzeniowego. Z relacji badanych można było się przekonać jak daleko i głęboko sięgał wywiad sowiecki. Zнали oni ze szczegółami działalność niektórych z nas i starali się dociec czy czasem na terenie obozu nie organizuje się ruch podziemny. Aż dziw bierze, w jaki sposób tutaj pod Riazaniem, wiedzieli o różnych epizodach z naszego życia partyzanckiego.

I tu nagle "bomba". Któregoś dnia, pod koniec marca, zaraz po północy jakiś dziwny ruch na zewnątrz baraków zrywa wszystkich na nogi. Wychodzimy przed barak i obserwujemy niezrozumiałe zjawiska.

Nasi trzej generałowie i dwóch majorów Mościcki i Wasilewski, całkowicie ubrani, z "wieszczami" w rękach, podążają pod eskortą dwóch bojców do bramy wyjściowej.

Witek podbiega do nich, łapie za rękaw Olka Wasilewskiego i pyta co się dzieje?

- Gdzieś nas wywożą... mówią, że na "rodinu"... ale to kłamstwo... trzymajcie się... - szybko informuje Olek w momencie przekroczenia furtki głównego wejścia do obozu.

Słychać warkot silnika samochodowego a po chwili zalega cisza. Wracamy do baraku, nie wiedząc co o tym sądzić. A może to rzeczywiście pierwszy transport do Polski? Tej nocy znów nikt już

nie zmrużył oka.

Minęło znów kilka dni.

Do baraku wkracza oficer NKWD i dwóch bojców.

Oficer wyciąga z mapnika jakąś listę, pisaną na maszynie i odczytuje nazwiska. Byli to nasi oficerowie w stopniu kapitana i majora oraz kilku dowódców Brygad. Zebrało się tych ludzi z naszego baraku chyba sześć czy siedem osób. Z innych kompanii również wyczytali niektórych oficerów, tak że zebrało się tego ponad 30 osób.

Kazano im przygotować się z "wieszczami" do opuszczenia obozu. Na pytanie dokąd ich wiozą nie otrzymujemy odpowiedzi. Stan podenerwowania w całym środowisku, różne przypuszczenia, gwałtowne pisanie listów do rodzin w Polsce, podawanie adresów i różnych poleceń. Wszywanie w ubrania grypsów. Czekaemy na dalsze posunięcia władz sowieckich.

Minęło dalszych cztery dni. Dni napiętej sytuacji. Było to zdaje się 27 czy 28 marca, gdy ledwie brząskocokolwiek rozrzedziły nocne ciemności, doleciały do naszych uszu, jeszcze poprzez sen, podejrzane hałasy z zewnątrz baraków. Oddelegowani do pracy w kuchni i magazynach zjawili się niespodziewanie na ogólnej sali.

Wpada do baraku kilku bojców z sierżantem na czele. Stają przy drzwiach, każdy z pepeszą w ręku.

- Wsie! Gatawitsia z wieszczami! Stanowiteś riadom piered barakom. - pada rozkaz sierżanta.

Każdy z nas, z ociąganiem się, zakładał na siebie posiadane ubranie i buty, zbierał do tobołka wszystkie swoje rzeczy. Nikt z nas nie mógł przewidzieć dalszego ciągu tego dramatu.

Staliśmy w dwóch rzędach a przed każdym leżała kupka naszych rzeczy.

Pada rozkaz - " w tył zwrot" i z obydwu stron między naszymi rzędami wkracza zgraja bojców, którzy skrupulatnie przeglądają

ją wszystkie tobołki, wybierając z nich wszelkie ostre przedmioty i wszystko to mogło zawieść jakieś notatki. Osobistej rewizji tym razem nie robiono, tak że czy to przez przezorność czy też z przypadku ocalały przed rekwizycją te przedmioty, które znajdowały się przy nas.

Było już zupełnie widno, gdy zakończono tę upokarzającą ceremonię. Ustawiono nas w kolumnie po trzy osoby w rzędzie, frontem do bramy wyjściowej.

Nie mogliśmy sobie uprzytomnić skąd nagle otoczyli nas żołnierze sowieccy z karabinami uzbrojonymi w długie ostre bagnety. Obok nich w pewnych odstępach stali bojcy z NKWD z pepeeszami skierowanymi na naszą kolumnę.

Ta niepr<sup>o</sup>wdopodobny<sup>a</sup> sceneria sprawiła na nas wstrząsające wrażenie. Trudno sobie przecież wyobrazić aby to wpływało z jakichś przyjaznych zamierzeń. Raczej nasuwało jaknajgorsze przeczucia.

Brama wyjściowa otwiera się na całą szerokość.

Pada rozkaz - "szagom marsz"

~~Przy-<sup>o</sup>puszczamy wolno~~ do wyjścia. Poza bramą stoi cała rota żołnierzy z karabinem u nogi.

Opuszczamy nasze dotychczasowe odosobnienie bez żalu, ale podążamy w nieznaną.

Żadnych informacji, żadnych znaków, a sytuacja rokuje jaknajgorszą przyszłość. Wali się w gruzy cała nadzieja nie tylko powrotu do Polski, ale nawet polepszenia warunków bytowych.

Wszystko to odbywa się w nastroju głębokiego przygnębienia, ale też bez ostr<sup>o</sup>go i ordynarnego zachowania się naszych prześladowców.

A jednak już sam ruch, sam fakt zmiany w naszym położeniu stawał się w pewnym stopniu pozytywnym czynnikiem dla naszego ożywienia, tymbardziej po niedawn<sup>o</sup> przeżytych sensacjach głodówki.

Rozdział 12. C I E P I E L E W O -- SPEC LAGER N.k.W.D. Nr. 1 7 8O B Ó Z I N T E R N O W A N Y C H P O L S K I C H O F I C E R Ó W

29 marca 1945 rok.

Dzień był pochmurny, powietrze prz<sup>e</sup>sycone wilgocią, chociaż deszcz nie spadł jeszcze na ziemię.

Staliśmy wtedy przed wysokim parkanem ogrodzenia obozu. Miejsce dotychczasowego odosobnienia pod Riazaniem pozostawiamy z pewnym rozczarowaniem, bo sytuacja nasza w tej chwili daleka jest od oczekiwań po dramatycznej walce głodowej.

Teraz czekamy na rozkaz odmarszu. Cisza w naszych szeregach, napięty nastrój. Jakaś podświadoma wrogość stojących naprzeciw siebie - oddziału żołnierzy NKWD i kolumny polskich oficerów. Na twarzach jednych i drugich nie widać nawet cienia życzliwości, ba... nawet w powietrzu czuło się jakąś grozę tego oczekiwania.

Wreszcie po dwóch godzinach takiego niepokoju ruszamy bez żadnego rozkazu, wolno maszerujemy wzdłuż drogi o tłuczniowej nawierzchni, wzbijając wokół siebie tumany kurzu. Nie mieliśmy ani ochoty ani energii unosić nóg do góry.

Ten marsz trwał chyba ze cztery godziny, a odległość nie przekraczała 10 km. Droga ciągnęła się w zupełnym pustkowiu, nie spotkaliśmy ani jednego człowieka, żadnego budynku, a pola po obydwu stronach drogi leżały odłogiem.

W odległości około 300 metrów ukazuje się nam jakiś obszerny teren ogrodzony siatką z drutów kolczastych, rozpiętych na wysokich drewnianych słupach. Zdaleka mającą tak zwane "bociany", czyli ustawione na wysokich drewnianych rusztowaniach zadaszone platformy. Robiły one wrażenie zawieszonych w przes-

tworzu koszy, w których wyraźnie była widoczna sylwetka strażnika.

To chyba <sup>y</sup> już będzie cel naszego dzisiejszego marszu.

Droga teraz biegła wzdłuż wysokiego ogrodzenia. Dwa rzędy drutów kolczastych stanowiły granicę między swobodą i niewolą.

Poza ogrodzeniem widać było jakiś ruch ludzi, krążących tam i z powrotem, ukazujących się i znikających poza stojącymi tam barakami.

Zatrzymano nas przed szeroko otwartą bramą, wykonaną z drewnianych żerdzi oplecionych drutem kolczastym. A nic tak uparcie nie wdzierало się w naszą świadomość jak właśnie ten kolczasty drut. Tam w poprzednim obozie takiego ogrodzenia nie było. Ten drut, te jego ostre kolce wprowadzał jakiś inny nastrój w zestawieniu z tamtą scenerią. Rzutowało to na jakiś inny, nieokreślony nastrój duchowy u większości kolegów.

Tuż przed opuszczeniem poprzedniego ~~z~~ miejsca pobytu, jeden z oficerów sowieckich w którąś z naszych kompanii zakomunikował nam, że pójdziemy teraz do obozu "na wolno", co miało oznaczać zupełnie swobodny wgląd do obozu i nieograniczony z niego widok na zewnątrz - wtedy jednak myśmy tego nie rozumieli.

Widocznie przekazanie nas w ręce władzy innego obozu było związane z szeregiem formalności, bo jakoś dość długo kazano nam czekać przed bramą wejściową. Większość kolegów legło lub usiadło na drodze, niektórzy zabierali się do drzemki, a nieliczni tylko obserwowali z zaciekawieniem dalszy rozwój wypadków.

Oto po drugiej stronie drutów, w pewnej odległości od bramy wejściowej, poza murowanym budynkiem komendantury i wartowni, zaczęli się zbierać jacyś ludzie, a co najdziwniejsze były między nimi nawet kobiety. Stali i uważnie nas oglądali. Odległość między nami była znaczna, co utrudniało jakiegokolwiek porozumienie. Fakt, który nam się udało stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, to to, że byli to Polacy, co potwierdzały wykrzykiwane przez



nich polskie słowa.

Po długim czekaniu, z budynku komendantury wysypała się grupa oficerów sowieckich w różnych stopniach i w różnym wieku. Równocześnie jakby wyrósł z pod ziemi, stanął przed nami z bronią w ręku oddział bojców w ilości conajmniej jednego plutonu czyli ponad 20 ludzi. Każdy z nich trzymał przed sobą pepeszę ze skierowanymi w naszą stronę lufami.

Wprowadzono nas do środka. Brama została zamknięta i zaryglowana, a oddział żołnierzy, który nas tu konwojował, szybko oddalił się na zewnątrz w stronę skąd przybyła nasza kolumna.

Wbrew rozkazom, kilku z naszych podbiegło do grupy nas witających Polaków, ale oddany w górę strzał ostrzegawczy przywołał do porządku.

No więc staliśmy tak zgrupowani przed wartownią mając naprzeciw siebie stojących w szeregu uzbrojonych żołnierzy i czekamy. Słuchamy następnie wspaniałego przemówienia samego "komandira łagiera", który po wygłoszeniu całej ideologii komunistycznej, zapewniał nas, że będziemy tu bezpieczni, podczas gdy tam na froncie giną nasi towarzysze i bracia, że zdrowi i cali pojedziemy gdy przyjdzie czas "na rodzinu", aby tam budować nową socjalistyczną Polskę. Nie sądzę jednak aby te piękne słówka przemawiały do naszej świadomości, zwłaszcza po stereotypowym zakończeniu tej rozmowy.

- No wot. Waprosy jeść?

- Skażycie pażausta, kakda wiernimsia na rodinu?...w Pol-szu ? - pytał któryś z naszych oficerów.

- No, ja tewo nie znaju.

Świadcami tej ciekawej sceny były już tłumy ludzi, tak się nam przynajmniej zdawało, mężczyzn i kobiet, przeważnie w cywilnych ubraniach

Gdzieś za nami, w znacznej odległości stała oddzielnie gru-

pa żołnierzy w charakterystycznych niemieckich mundurach. Również oni stali tam przyglądając się ciekawie tej całej ceremonii.

Wreszcie pada rozkaz po polsku:

- W lewo zwrot. Naprzód marsz.

I poprowadzono całą naszą grupę wzdłuż ogrodzenia do baraków stojących w odległości pewnie ze sto metrów od budynku wartowni.

Znajdujemy się więc na nowym miejscu, w nowym zupełnie innym obozie.

A oto orientacyjna topografia tego obozu.

Niemal idealna płaszczyna. Żadnego lasu w pobliżu, poza pojedynczymi drzewami. Żadnych zabudowań w zasięgu wzroku. Przestrzeń o wymiarach 600 na 250 m. a może i więcej, ogrodzona, jak to już powiedzieliśmy wyżej, dwoma rzędami wysokich słupów drewnianych, podpartych z kilku stron drewnianymi zastrzałami, oplecione gęstą siatką drutu kolczastego. Między tymi rzędami ogrodzenia gładko zaorana ziemia i ręcznymi grabiami dokładnie wyrównana, tak by zostały wyraźne ślady grabionych zębów. Na tak wyrównanej ziemi łatwo stwierdzić<sup>a</sup> jakiegokolwiek ślady stóp ludzkich. Na ustawionych co 1,5 m. wzdłuż ogrodzenia, na wysokości około 25 - 30 cm nad powierzchnią ziemi, naciągnięty jest stalowy<sup>o</sup> drut, spełniający rolę "potykacza". Wiecie co jest? - nie wiecie. Ano jest to takie zabezpieczenie, szczególnie w porze nocnej, przed możliwością ucieczki więźniów. Naogół, przy ostrych reżimach nadzoru, są to przewody pod napięciem elektrycznym, tak aby przy ich dotknięciu powodowały alarm w wartowni i na "bocianach". Tutaj jednak, jak się przekonałem, tak wysokiej techniki nie zastosowano

"Bociany", czyli napowietrzne punkty obserwacyjne i wartownicze były ustawione na wszystkich rogach ogrodzenia; posiadały silne reflektory no i ustawioną na pionowej osi obrotowej<sup>o</sup> gron maszynową. Obsada "bociana" zasadniczo składała się z jednego żoł-

nierza, który musiał obsługiwać reflektor, karabin maszynowy, lornetkę no i ręczny pistolet maszynowy, nie mówiąc o słuchawce telefonicznej - co w sumie chyba dla jednego wartownika było wystarczającym obciążeniem. W każdym razie, ogólnie biorąc, był to widok dość ciekawy, zważywszy, że ponad pół roku nie mieliśmy żadnego kontaktu z żywą przyrodą.

Poza obozem, od strony północnej, w odległości ponad 500 m, na nieznanym wzniesieniu widać było poszatkowane na maleńkie prostokąci pole. W tej chwili robiły wrażenie odłogów, ale stanowiły prawdopodobnie pracownicze ogródki działkowe. Charakterystyczne, że na tych działkach nie widziało się drzew owocowych ani krzewów.

Cały obszar wewnętrzny obozu był podzielony w poprzek na dwie równe części za pomocą niskiego płotka ze słupków i drutu, ale już nie kolczastego. Połowa zachodnia była w zasadzie nie zamieszkała, w każdym razie jeńcy i internowani mieli zakaz przechodzenia na tamtą stronę. Owszem, było tam szereg drewnianych baraków, ale były one zupełnie puste.

Jedynie piwnica - "ziemlanka" znajdowała się przy samej granicy podziału. Piwnica w połowie swej wysokości była zagłębiona w ziemię a w ścianach bocznych znajdowały się po dwa maleńkie okratowane okienka. To nie była przechowalnia produktów, to po prostu "bunkier" przeznaczony dla przestępców, ukaranych aresztem o "chlebie i wodzie". Wokół tego bunkra całą dobę bez przerwy krążył wartownik sowiecki.

Punktem centralnym, ale nie dlatego, że znajdował się w środku obozu, lecz dlatego, że był najważniejszy - to komendantura obozu. Tu się zbiegały wszystkie meldunki i donosy, stąd wychodziły wszystkie rozkazy i dyspozycje - po prostu komendantura i wartownia oraz koszary żołnierzy. Budynek komendantury składał się z dwóch poziomów: parter i piętro. Cały był podpiwniczony. Obszerny dom murowany z cegły czerwonej, posiadający dwa

wejścia - jedno wychodzące na zewnątrz obozu poza ogrodzeniem, tuż przy głównej bramie wjazdowej, drugie, szerokie, dwuskrzydłowe, wychodzące bezpośrednio na teren obozu.

Parter zajmowali bojcy, piętro stanowiło domenę władzy obozowej, a więc "komandir", jego zastępcy oraz t.zw. "prokurator", czyli oficer polityczny. Tam posiadali oni świetlicę i każdy miał swój gabinet, którą to nazwę trzeba ująć w cudzysłów ze względu na specyficzny charakter tych pomieszczeń. Zresztą o tym w dalszej części tego rozdziału.

Zasiedlona część obozu, a więc <sup>ta,</sup> w której znajdowały się nasze mieszkalne pomieszczenia, posiadała w sumie 10 baraków, z których kilka mieściło różne gospodarcze urządzenia jak kuchnia, magazyny, stołówka; ponad to wydzielony barak na izbę chorych.

Pośrodku zabudowanej przestrzeni znajdował się "majdan". Było to miejsce apeli i spacerów o udeptanym podłożu, na którym nawet trawa nie rosła.

Wzdłuż płotu rozgraniczającego całą przestrzeń obozu znajdowały się mikroskopijne zagoniki, już dzisiaj skopane i pięknie zgrabione, czekające prawdziwej wiosny dla rozpoczęcia uprawy zieleniny. Niestety my należący do świeżo przybyłej grupy oficerskiej, już nie mogliśmy liczyć na przydział kawałek <sup>ka</sup> tego ogródka, chociaż po pewnym czasie na skutek jakichś spekulacji nasi oficerowie wchodzili w prawa własności skrawka upragnione uprawy.

Tak to wszystko wyglądało z naszego punktu obserwacyjnego, ale głównym indywidualnym odczuciem i jakby schwytniem pełnego oddechu w piersiach to był niemal nieograniczony wgląd w daleki horyzont ponad i poza ażurowe ogrodzenie obozu. Jakiś nowy duch wstąpił w nas w tych dniach i aczkolwiek nieprzenikniona była historia dalszego naszego tu istnienia, to jednak pragnienie życia zaczynało wyraźnie górować nad wzmagającym się w nas w ostatnich dniach po koszmarnej głodówce przygnębieniem i zniechęceniem.

Musimy żyć! A jak to ma wyglądać? - napewno najbliższy czas

nam to ukaże. Wszak jeszcze nic nie wiemy jakie warunki egzystencji nam tu stworzą nasi prześladowcy i opiekunowie; jakie będziemy mogli przedsięwziąć środki dla zachowania kondycji fizycznej i psychicznej.

Rozpoczyna się nowy rozdział naszego życia.

Koniec marca. Dzień 29 miał się ku końcowi.

Zmęczeni fizycznie i wyczerpani nerwowo wkraczamy do baraku.

Wnętrze baraku to jedna ogromnych rozmiarów sala, w której ma się pomieścić ponad stu ludzi. Dwa takie baraki przeznaczone są na zamieszkanie około 250 oficerów. Urządzenia w każdej sali raczej typowe. Dwa rzędy dwupiętrowych drewnianych rusztowań, których konstrukcja tworzyła jakby oddzielne cztero miejscowe prycze. Całe ściany podłużne i poprzeczne były szczelnie zastawione "kojcami", z których każdy składał się z czterech leżanek. Na deskach tych prycz leżały sienniki, na których znajdowały się po dwa lniane prześcieradła i podgłówek wypchany słomą. Posłanie ~~było~~ wyglądało na pierwszy rzut oka względnie czyste, co nas jakoś optymistycznie nastrajało.

Znaczna wolna przestrzeń między pryczami zajęta była przez dwa żelazne piecyki /"kozy"/ oraz stół z kilkoma taboretami.

Pomiśczenie było stosunkowo widne, gdyż po obu stronach podłużnych ścian znajdowało się, wprawdzie niewielkich rozmiarów, chyba z dziesięć okien. Z sufitu zwieszały się aż cztery żarówki elektryczne, tylko że włączniki znajdujące się w ścianie baraku jakoś nie włączały światła. Jak się potem przekonaliśmy - światło było włączane centralnie w komendanturze obozu.

No więc nasza nowa siedziba, w porównaniu z pomiśczeniem w poprzednim obozie, odznaczała się już pewnym "komfortem". Bo to i znacznie większa przestrzeń i znacznie więcej powietrza. Można się tu było po sali poruszać. Było tu widno zarówno w dzień kiedy światła słonecznego dostarczały okna, jak i wieczorami, gdy jarzyły się elektryczne żarówki, wprawdzie o niewielkim na-

tężeniu, ale zawsze jednak rozjaśniały otaczający nas mrok - co prawda punktualnie o godzinie 22<sup>00</sup> światło elektryczne ze względów oszczędnościowych gasło.

Następujący szybko zmrok zmuszał nas dzisiaj do zajęcia się osobistymi sprawami, odkładając do jutra zaspokojenie rozsadzającej nas ciekawości odnośnie dalszych rejonów obozu.

Każdy z nas przede wszystkim zajmował na własny użytek jedną z prycz. Ja miałem jakąś inklinację do wysokich lotów i obsadziłem pryczę na piętrze, mimo że było to związane z pewnymi utrudnieniami i kłopotami w korzystaniu. Bo to i wspinać się trzeba było po przybitych do słupa szczeblach, a i przebywanie na górze miało swoje niewygody, szczególnie gdy chciałeś sobie odpocząć w pozycji siedzącej i nie miałeś co zrobić ze swoimi nogami, a w kucuki czy po "turecku" długo przecież nie wytrzymasz. Ale miało to również i cechy dodatnie. Legowisko stawało się bardziej osobiste, indywidualne, bo nikt nie będzie próbował tam się usadowić dla odbycia konferencji czy też w gościnie. No i odpoczynek mógł być spokojniejszy wobec braku jakiegos ruchu zewnętrznego na tej wysokości.

I znów na wspólnej pryczy znalazłem się obok Zygmunta Zublewicza, a na prawo uplasował się Wacław Luto, na niższej kondygnacji, pode mną zajął miejsce Ryszard Manteufel, a obok niego Jerzy Dzierżyński. Gdzieś w pobliżu leżał Tadzio Budny i doktor Bohdan Kopeć i ksiądz Józef Prejser.

No więc znalazłem się niemal w tym samym doborowym towarzystwie co w poprzednim obozie.

Wszystkie te okoliczności byłyby do przyjęcia gdyby nie jeden niewielki drobiazg. Oto w nocy, w tej właśnie pierwszej inauguracyjnej nocy wystąpiło takie zmasowanie pluskiew, że nie mogło być nawet mowy o śnie, a nowością tego zjawiska było to, że inwazja tych insektów była skierowana nie tylko przeciwko lokato-

rom piętra, ale i to chyba ze szczególną siłą atakowany był parter. Przez całą noc odbywał się ruch ciał na pryczach i poza nimi, a trzeszczenie rusztowań i soczyste klątwy wypełniały bez reszty całą przestrzeń baraku.

Ranek dnia ~~30~~<sup>30</sup> marca <sup>1945r</sup> powitaliśmy z ogromną ulgą. Obiecywaliśmy sobie, że chociaż w dzień można będzie trochę odespać tę kosztowną noc.

Organizacja dnia w nowych warunkach, w nowym obozie była w zasadzie podobna do obserwowanej w poprzednim miejscu.

A więc tak samo dyżurni szli po chleb, margarynę, cukier i machorkę, tak samo o ściśle określonej godzinie należało być w baraku stołówkowym i tak samo na kolację otrzymywaliśmy dwa wiadra gorącej wody zamiast herbaty czy kawy. A więc i tutaj niezmiernie ważnym zagadnieniem było dokonywanie sprawiedliwego podziału prowiantów a potem jego powolne i poważne spożywanie.

Podział rannego fasunku, na który składało się 200 gramów białego chleba, dwie kostki cukru, pięć papierosów "Białomorkanał", oraz kostka, może 5 gramów margaryny - trwał dzisiaj wyjątkowo krótko. Czekaliśmy na rozwiązanie niebywale ważnego zadania.

Narada, która się odbyła w naszym baraku była krótka a zdecydowano na niej natychmiastowe przystąpienie do walki z pluskami. Postawione zadanie nie było tak proste i łatwe do wykonania jakby się to mogło wydawać.

Wyrażono zgodę na gigantyczne przedsięwzięcie, polegające na rozebraniu wszystkich prycz, wyniesienie poszczególnych desek i rusztowań na zewnątrz baraku, a następnie wyparzenie w gotującej się wodzie. Tak, ale w jaki sposób zdobyć potrzebne środki takie jak kocioł, wodę no i drzewo na opał?

Nawiązane stosunki z już przebywającymi w innych barakach "pensjonariuszami" pozwoliły z wielkim trudem wszystko to zmo-

bilizować. Narzędzia jak siekiery i młotki dostarczyli nasi kucharze i kuchciki z magazynów obozowych.

Pozostało teraz tylko zaangażowanie naszej pracy fizycznej, której skutkiem miało być spokojne spanie.

Zdobyliśmy aż trzy wielkie, stare kotły kuchenne, tak ciężkie, że czterech ludzi ~~le~~ <sup>nie</sup> zdołało je przenieść. Ułożyliśmy pod każdy kocioł trzy słupki z cegły, tak aby powstało palenisko, w którym można będzie palić zebrane zewsząd odpady drewniane z niezamieszkałej części obozu.

~~Sk~~ Huk rozbijanych prycz zapanował niepodzielnie w baraku, uniemożliwiając porozumiewanie się. Kurz kłębił się w ~~powietrzu~~ <sup>powietrzu</sup> ~~powietrzu~~ <sup>powietrzu</sup> i z potężną siłą wtłaczał się w nosy i gardło, kaszel suchotniczy rozlegał się wokół, konkurując z hukiem młotków i siekier.

Naturalnie musieliśmy, rozbierając te drewniane konstrukcje, pamiętać o tym, że przecież trzeba będzie z powrotem montować, a wtedy nie może zabraknąć jakichś części, bo nie łatwo wtedy będzie je uzupełnić.

Stu dwudziestu mężczyzn, półnagich, uwijało się jak w ukropie. Jedna grupa była przydzielona do tak zwanej brygady szatanów, których zadaniem było podtrzymywanie ognia pod kotłami, a w kotłach - by nie zabrakło wody.

A zdala, stojąc koło swojego baraku, przyglądali się tej bieżącej Niemcy, zdziwieni, że polscy oficerowie podjęli tak potworną i bezcelową, ich zdaniem, syzyfową pracę. Ten wyraźny sceptycyzm i wyraźna kpina wrogiego nam elementu, spowodowała, że podchorąży Jóźio Parkot, wyprowadzony z równowagi, podskoczył do szkopów i rozkraczywszy się przed nimi ryknął:

- Was wollen sie?... Paszli wont gudłaje! ...

Taka mieszanina języków wywołała wśród Niemców huralny śmiech, a jeden z nich podszedł do naszego bohatera, poklepał go po ramieniu i przemówił po polsku:

- Durny Polaku, te pluskwy i tak was zjedzą bez reszty



zanim się stąd ruszycie.

A tymczasem woda w kotłach zaczynała wrzeć. Zorganizowani parami, zanurzyliśmy każdą deskę oddzielnie w ukropie, skrobaliśmy jej powierzchnię i parząc sobie ręce płukaliśmy przez parę minut aby po wyjęciu z kotła układać na swoją kupkę. Po pewnym czasie na powierzchni wrzącej wody tworzyła się ciemna warstwa insektów. Co jakiś czas trzeba było deską zbierać ten dziwaczny kożuch i zgarbiać pod kocioł.

To była obrzydliwa lecz pełna poświęceń robota. Ratowało nas przy tym tylko ogólne poczucie humoru.

Akcja walki z pluskwami nie skończyła się jednego dnia. Do późnej nocy trwało to działanie, aż wreszcie postanowiliśmy iść spać. Każdy gdzie kto mógł układał siennik i okutany czym tylko miał starał się zasnąć.

Znalazłem i ja jakieś miejsce na majdanie. Ułożyłem się na rozłożonym sienniku ale zasnąć nie mogłem. Do rana kręciłem się na postaniu, wstawałem i znów się kładłem, a zimno bez przerwy trzęsło całym ciałem - ale pluskwy nie kęsały.

Ledwie zaczęło świtać gdy połowa nas zabrała się do zakończenia porządków. Powrotny montaż ciągnął się z przerwami na posiłki, znów do późnej nocy. Przepajała nas jednak duma i świadomość zwycięstwa oraz perspektywa spokojnych nocy. I rzeczywiście, odtąd przez dłuższy czas spaliśmy bez zakłóceń.

Po kilku dniach, gdy już życie nasze ulegało pewnej normalizacji, gdy zachowywamy być zwykły unormowany dzień naszego bytowania, gdy nuda już zaczynała wywierać wpływ na naszą psychikę, - wystąpiła chęć poznania wszystkiego co się znajdowało na terenie obozu, a przede wszystkim z jakich to ludzi składało się otoczenie nasze poza barakami oficerskimi. Zresztą już niektórzy nawiązali kontakty ze znajdującymi się w tym obozie mieszkańcami.

Interes<sup>na</sup>oli nas Niemcy, zajmujący oddzielny barak, znajdujący się w sąsiedztwie naszego. Jak wynikało z informacji tych którzy tu przed nami przybyli, Niemcy ci zostali ulokowani przejściowo, w drodze do jakiegoś obozu jenieckiego, w związku z budową czy uruchomieniem fabryki maszyn. Podobno przywieziono ich z frontu północnego, z Estonii czy Łotwy.

A wogóle to należało się zorientować w jakim się znajdujemy towarzystwie.

No więc według danych orientacyjnych, potwierdzonych dokładnym przeliczeniem ilości baraków, pryczy i miejsc tak zwanych obsługiowych - było nas, oprócz Niemców, około 1500 ludzi, w tym ponad 500 oficerów, podchorążych i wyższych stopniem podoficerów. W obozie tym znajdowała się pewna ilość kobiet, chyba koło 50. Pozostali to żołnierze Armii krajowej, różni funkcjonariusze konspiracyjni, spora liczba cywilów o nieokreślonym zaangażowaniu w działalności podziemnej.

Kuchnia i funkcje gospodarcze obsadzone były przez Polaków pod baczna kontrolą sowieckich podoficerów. Naturalnie nasi "demokraci" z poprzedniego obozu niemalże automatycznie awansowali na stanowiska kierownicze, jak na przykład starszy kucharz, starszy magazynier czy brygadzysta od przygotowania kartofli i kapusty. Nasz kapitan Longin Wojciechowski - ps. "Ronan" - znów stanął na czele polskiej kuchennej czeladzi.

Część szpitalna była tu bardziej rozbudowana, bo znajdował się tam nawet gabinet dentystyczny. Naturalnie z całego zespołu oficerskiego i podoficerskiego wyłuskano wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z medycyną. Nasze panie sanitariuszki z partyzantki i nie tylko one, znalazły zajęcie w przychodni i izbie chorych.

Tam to nawiązywały się przyjaźnie i miłości. Przy tak wysokim stosunku mężczyzn do kobiet na brak powodzenia, nawet te najbrzydsze, nie mogły narzekać.

Na czele sanitariatu i szpitala stała "żeńszczyzna - wracz",

o polsko brzmiącym nazwisku i mówiąca trochę naszym językiem. Podejrzewaliśmy nawet, że była to Rosjanka pochodzenia polskiego, ale to nie udało się potwierdzić.

Nasi lekarze to: dr. Trzeciak, dr. Bohdan Kopeć, dr. Alfred Paczkowski, dr.wet. Walicki i dr. Bolesław Ałapin oraz dwóch podchorążych - oni to zgłosili się ochotniczo do sanitariatu, przyczym dr. Ałapin i dr. Paczkowski znajdowali się w tym obozie już przed naszym przybyciem.

Z "kopyta" rozpoczęła się działalność kulturalno - oświatowa. Równoległe z tym zaczęły się badania "prawomyślności", prowadzone przez starszego lejtnanta, który zajmował wysokie stanowisko oficera politycznego obozu, nazywanego przez nas "prokurorem".

Każdego dnia po dwóch z każdej kompanii było wzywanych na "doprosy". Zastanawiające było to, że po przebadaniu i powrocie, nasi koledzy jakby nabierali wody w usta, niechętnie ujawniając przedmiot tych dochodzeń. Chociaż jednak było kilku odważnych, co szeroko opowiadali o przebiegu rozmów z "prokurorem".

Z relacji tych nie sposób było dociec co stanowiło dla władz sowieckich najważniejsze.

Raz wydawało się, że chodzi o wyłuskanie pracowników wywiadu i kontrwywiadu Armii Krajowej, innym razem dopytywali się o nazwiska i pseudonimy ważniejszych postaci z konspiracji, to znów o udział w oddziałach partyzanckich, o walkach i starciach nie tyle z Niemcami co sowieckimi oddziałami partyzanckimi.

Gdy któryś z naszych odżegnywał się od udziału w "Leśnych Brygadach A.K." - został okropnie sponiewierany, zwymyślany od najgorszych "...synów", że gdy cały naród polski krwawił się w walkach z hitlerowcami to on sobie spokojnie i grzecznie czekał końca wojny. Naturalnie były to tylko "tryki", chwytły propagandowe, bo gdy ktoś się przyznał do udziału w Ruchu Oporu został

zwymyślany za to, że konspirował przeciw armii i władzy sowieckiej. Taki sobie polityczny kołowrotek.

Któregoś dnia został wezwany do ~~xx~~"prokurora" Jerzy Dzierżyński. Poszedł i zniknął. Nie było go pewnie ze dwa tygodnie. Jak się potem okazało, Jureczek ujawnił się jako bratanek słynnego Feliksa, bohatera Związku Radzieckiego. Nie sprawdzałem jakimi motywami kierował się nasz Jerzy Dzierżyński, ale fakt zdaje się być bezsporny, że w tajemnicy został on specjalnym samochodem osobowym powieziony do Moskwy. Według jego relacji był on najpierw osadzony w jakimś więzieniu za to, że miał czelność podszywać się pod pokrewieństwo z Feliksem, ale już następnego dnia wielce go uhonorowali wspianiałym obiadem w hotelu. W rezultacie jednak upomnieli go surowo aby nie podszywał się pod niewłaściwe nazwisko, bo jego przynależność do buntowniczej Armii Krajowej nie przynosi chwały jego wspianiałemu przodkowi. Ile w tym wszystkim jest prawdy i ile fantazji - nie wiadomo. W każdym razie po powrocie do obozu nie zauważyliśmy ze strony władz sowieckich najmniejszej oznaki faworyzowania naszego kolegi.

Innym razem, o północy wywołano nazwisko jednego z polskich oficerów, którego dwaj bojcy NKWD poprowadzili do komendy. Już go więcej nie widzieliśmy. Jak się później dowiedziałem był on oficerem dalekiego wywiadu w siatce angielskiej "Intelligent Service".

Znajdował się w naszym gronie doktor medycyny - Bolesław Ałapin. Był to syn znanego lekarza chorób skórnych i wenerycznych w Warszawie przedwojennej. Sam specjalizował się w chorobach nerwowych i psychiatrii. Zaangażowany politycznie w Polsce międzywojennej w konspiracyjne partii komunistycznej, a w kampanii wrześniowej został zmobilizowany jako lekarz. Udziału w walkach partyzyckich nie brał, za to zajmował w konspiracji stanowisko jakiegoś starosty. Jednym słowem człek bardzo ruchliwy i operatywny, o zapatrywaniach komunistycznych i co ciekawe zabarwieniu nacjonalistycznym. Bez wątpienia dobry Polak.

xx. I oto ten pan doktor znalazł się w obozie jako kontrrewolucjonista czy wręcz trockista. Nasi prześladowcy nikomu nie dowierzali, nawet ideowym komunistom. Pan doktor Ałapin, po przeprowadzonych rozmowach z oficerem politycznym NKWD, przystąpił do uświadamiania polskich żołnierzy w dziedzinie materializmu dialektycznego i historii W.K.P.b. Otrzymał od władz sowieckich zezwolenie na zorganizowanie specjalnego kursu politycznego i prowadzenie wykładów.

Zgłosiło się chętnych około 30 osób, czemu nie można się zbyt dziwić, wobec silnego pragnienia wiedzy, niezależnie od przedmiotu, bez wnikania w temat z ideologicznego punktu widzenia. Zresztą nie jeden ludził się, że może to przyspieszyć termin wyjazdu do kraju, co przecież nie mogło mieć ceny. Znalazłem się i ja w gronie słuchaczy tego "uniwersytetu".

Kurs ten trwał z przerwami chyba przez sześć miesięcy, z wykładami dwa razy w tygodniu po 2 godziny. Wykładowcą i lektorem był sam Bolesław Ałapin; raz tylko oficer NKWD wygłosił prelekcję w języku rosyjskim na temat "wojny ojczyźnianej". Studia te miały jedną dobrą stronę, bo dzięki nim otrzymywaliśmy regularnie pismo codzienne "Izwestia", co prawda z dwudniowym opóźnieniem, ale zawsze były to jednak wiadomości ze świata.

Czas leciał, dzień za dniem uchodził, a tu żadnych wiadomości, żadnych sygnałów zmian.

Każdy z nas szukał własnych sposobów wypełniania godzin między posiłkami, które jednak stanowiły zawsze atrakcję w naszym życiu. I to z przeróżnych powodów.

Sposób spożywania rannych przydziałów stanowił źródło doznań nie tylko fizycznych ale nawet duchowych. Bo w czasie powolnego przeżuwania chleba z odrobiną margaryny można było szeroko snuć marzenia, robić plany na bliską i daleką przyszłość, względnie podejmować jakieś twórcze przedsięwzięcia.

"Bohaterstwen" w pewnym sensie było regulowanie spożywania

racji chleba, który był wyżywieniem podstawowym. Ja na przykład dzieliłem porcję chleba, 200 gram na dwie części, z których jedną spożywałem natychmiast po wyfasowaniu, drugą zaś chowałem pieczołowicie pod podgłówką aż do kolacji, bo przecież wieczorem otrzymywaliśmy tylko gorącą ~~w~~ wodą lub namiastkę herbaty.

Mój sąsiad z ~~domu~~ dołu, kolega Ryszard Manteufel urządzał z tej okazji całą ceremonię. Miał on pięknie wygładzoną deseczkę, na której całą porcję chleba dzielił na nieskończoną ilość kawałeczków, przy czym musiał to robić bardzo ostrym nożem, żeby nie powodować zbyt dużo okruchów. Trzeba wiedzieć, że nóż robiono z jakiegoś kawałka stalowej blachy, był on skrupulatnie ostrzony na kamieniu-piaskowcu, a ostrze było tak subtelne, że mogło służyć jako brzytwa do golenia.

Proszę sobie wyobrazić z jednej strony niezwykle silną wolę, a z drugiej strony przyjemność jedzenia przeciągającego się w czasie. Kiedy ja już zapominałem o smaku chleba, mój towarzysz jeszcze ruszał szczękami przy przeżuwaniu mikrosk<sup>o</sup>pijnych kąsków.

Nie myślcie, że Ryszard bezmyślnie tracił czas przy spożywaniu chleba, była to bowiem dla niego okazja do czytania lub nawet pisania.

Zastanawiające, skąd on brał lekturę, a była ona różnojęzyczna, zdawało się, że w każdym istniejącym języku mógł on studiować. Pamiętam, jak któregoś dnia zapytałem go jakie on zna języki obce - byłem oszołomiony gdy mi zaczął wyliczać. A już wręcz dostałem zawrotu głowy gdy opracował ogólne zasady gramatyki języka hiszpańskiego tylko na podstawie przeprowadzonych rozmów z innym oficerem, niejakim Działkiem, który przez 6 lat przebywał w Hiszpanii i brał udział w walkach wyzwoleńczych przeciw generałowi Fran<sup>co</sup>. To było fascynujące obserwować i słuchać ich gdy tworzyli teorię gramatyki.

Ryszard Manteufel to wybitny umysł, co znajduje potwierdzenie, gdy po powrocie do kraju pełnił obowiązki profesora zwyczaj-

nego w Warszawskiej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Byli i tacy, którzy połowę porcji natychmiast zamieniali na papierosy lub machorkę; a monetą obiegową i przeliczeniową przeważnie był cukier.

Wiosna 1945 roku. Miesiąc maj przyniósł nam przepiękną słoneczną pogodę. Noce wprawdzie były przejmująco chłodne, ale za to w ciągu dnia słońce zsyłało na ziemię tyle ciepła, że jakieś beztroskie lenistwo zaczęło przenikać nasze codzienne życie.

Powolnym krokiem odbywały się nieprzerw<sup>o</sup>nie marsze pojedynczo, parami czasem w grupce po trzech ludzi. Były w zasadzie dwie trasy tych spacerów. Jedna to wokół majdana, druga wzdłuż drutów kolczastych ogrodzenia. Możliwy z góry określić osobowość zwolenników tych dwóch różnych tras.

Majdan<sup>o</sup> stanowił teren naukowych, kulturalnych, trochę romantycznych przemyśleń i dyskusji. Tam rozlegał się cichy wprawdzie lecz nieustanny gwar rozmów. Tam powstawało szereg koncepcji światotwórczych, programów przebudowy świata, organizacji życia w niepodległej Polsce.

Ta druga trasa miała swoich zwolenników ~~wśród~~ wśród aktywistów, ludzi niecierpliwych, a niekiedy pałających zemstą przeciw tym, którzy byli sprawcami naszego położenia. Spacerowicze zapadali często w głęboką zadumę i milczenie. Wzrok ich przebijał siatkę drutów kolczastych i błędził po bezmiernych polach pokrytych dzisiaj wspaniałą zielenią, wśród której wyłaniały się drobniutkie różnobarwne kwiaty. Ta otwarta przestrzeń była źródłem ~~z~~ różnych <sup>myśli</sup> mniej lub bardziej utopijnych. Fantazja urzędzała <sup>a</sup> niebywałe galopady. Wszystko to jednak było ukierunkowane na możliwość ucieczki i tu umysły miały największe pole działania.

W czasie takich spacerów, jeden z naszych oficerów wpadł na ~~gł~~ genialny, tak mu się przynajmniej zdawało, pomysł.

Z wykształcenia farmaceuta, z zamiłowania zielarz, posta-

nowiż przekonać "wraczichę" o możliwości zebrania, właśnie teraz wiosną, ziół leczniczych. Roztoczył przed nią tak wspaniałą perspektywę, nakreślił nadzwyczajną skuteczność polnych ziół na różne choroby, że nasza pani doktor podjęła się wyrobić zezwolenie na wycieczkę specjalistów od ziół, celem zbioru na pobliskiej łące tych skarbów.

No i stało się. Nasz farmaceuta dobrał sobie jeszcze czterech pomocników, pouczył ich w zakresie rodzaju i jakości ziół. Domyślaliśmy się, że za tą akcją kryją się jakieś tajemnicze zamiary. Czekaliśmy niecierpliwie rozwoju tego przedsięwzięcia, bo przecież było dla nas niewątpliwe, że nasi zielarze będą próbować ucieczki. Nie była to sprawa prosta, zważywszy niewyobrażalne odległości, z drugiej wrogość miejscowej ludności. Przygotowania więc musiały potrwać dość długo, bo to i ubranie i pieniądze, dokumenty i prowianty.

Osobiście zapatrywałem się bardzo sceptycznie na to przedsięwzięcie, chociaż absolutnie nie znałem warunków tych przygotowań, które zresztą były otoczone absolutną tajemnicą.

Nie wiem dlaczego wybrano niedzielę jako dzień zbioru ziół. Przypuszczam, że pewnie był to dzień słabszej, nawet wśród bojów sowieckich, uwagi, jako że i oni szukali okazji do jakiegoś relaksu. Do dziś nie mogę zrozumieć jak to się stało, że pięciu internowanych żołnierzy z workami na plecach wyszło z obozu zupełnie bez eskorty sowieckiej.

Długo z poza drutów obserwowaliśmy ich jak oddalali się w głąb terenu porośniętego wysoką, jakby stepową trawą. Zniknęli nam wreszcie z oczu i przestaliśmy się nimi interesować.

Zaraz po posiłku popołudniowym, a więc koło godziny 14<sup>00</sup> zauważyć się dało jakiś podejrzany ruch przed komendanturą obozu. Okazuje się, że do bramy zgłosiło się tylko trzech ludzi z wypchanymi workami ziół, zaś pozostałych dwóch gdzieś w drodze



jakoby zabłądziło.

Wysłano natychmiast trzy patrole z psami w pogoni za uciekinierami. Następnego dnia, koło północy władze sowieckie zarządziły alarm i powszechny apel wszystkich obecnych w obozie, oprócz jeńców niemieckich. Aż do rana odbywało się sprawdzanie list, z równoczesną rewizją w barakach.

Staliśmy, szcękając zębami z zimna, w dużym czworoboku na majdanie, otoczeni ze wszystkich stron uzbrojonymi żołdatami NKWD. Po kilku godzinach oczekiwania wprowadzono dwóch uciekinierów i postawiono w środku majdanu w towarzystwie eskortujących ich dwóch uzbrojonych bojców. Teraz nastąpiło długie przemówienie oficera politycznego NKWD, w którym wyjaśniał nam wszystkim jak bezcelową jest każda próba ucieczki, bo ludność miejscowa jest tak wyszkolona, że natychmiast wyłapie i dostarczy do obozu każdego uciekiniera. Ogłoszono nam, że ponieważ była to pierwszy taka próba, to przestępcy zostaną ukarani tylko 7 dniami bunkra o chlebie i wodzie.

Innym razem, dodał na zakończenie, o ile w czasie ucieczki nie zostaną zastrzeleni to czeka ich specjalny karny obóz w kamieniołomach lub gdzieś daleko na północy Rosji.

Mogliśmy się teraz rozejść do swoich baraków. Nikt nas nie zapytał czy mamy jakieś "waprośy" - za to nasze legowiska były przewrócone do góry nogami, a ostre narzędzia, jak noże i brzytwy oraz jakiegokolwiek ksi<sup>u</sup>żki i notesy - zniknęły.

A jednak po tygodniu znów się odbyła wycieczka zielarzy, z tym, że towarzyszył im jeden żołnierz sowiecki z karabinem. Ale tym razem powrócili grzecznie wszyscy uczestnicy.

To już prawdopodobnie początek końca naszej udręki na obczyźnie. Pewne oznaki na to by wskazywały.

10 maja <sup>1945!</sup> otrzymaliśmy za pośrednictwem "klubu" demokratów, którym to tytułem obdarzono kursantów doktora Ałapina, a więc otrzymaliśmy nietylko "Izwestia" ale nawet moskiewską "Prawdę".

Rewelacje tych gazet zostały równocześnie potwierdzone przez nasze tajne radiostacje odbiorcze, których w obozie było kilka.

Wiadomości były jednoznaczne i rewelacyjne, a dotyczyły bezwarunkowej kapitulacji Niemców w Berlinie. Szczegółowe opisy z tego aktu były wielokrotnie powtarzane.

Obóz ogarnęła ży<sup>w</sup>iołowa euforia, wyrażająca się w postaci tłumnych manifestacji, z przemówieniami, patriotycznymi śpiewami - jednym słowem radość przenikała wszystkich nas bez wyjątku. Nawet przed barakiem jeńców niemieckich panowało poruszenie.

W ciągu najbliższych dni, gdy przeminęło zrozumiałe podniecenie a żadne oficjalne oświadczenie nie wyszło z komendantury obozu, życie obozowe zaczynało powoli powracać w swoje utarte specyficzne tory.

Owszem, były z naszej strony wystąpienia do władz sowieckich dla otrzymania jakichś wiadomości, ale zbywano to stereotypowym - X "padażditie", "uwidim", "nie znaju", "ukazu niet" itp.

Pod koniec maja przed barakiem niemieckim zaczął się ruch. Uzbrojeni bojcy, ustawieni w luźnym szeregu na wprost wejścia na coś czekali. W pewnej chwili wysypali się na zewnątrz Niemcy ze swoimi tobożkami i szykowali się do wymarszu. Wyprowadzono ich trójkami przez bramę, skąd drogą polną oddalili się w "siną" dal. A więc można by z tego sądzić, że zawarcie pokoju dla pokonanych agresorów oznaczało powrót do swego kraju.

A co my?... Zwycięscy?...

Na tym tle rozpoczęły się powszechne rozmowy i zaciekle dyskusje. Niezależnie od podstawowego tematu, który pobudzał do aktywnego udziału w dyskusji, nawet najmniej skorych w wyrażaniu swego poglądu, występowało zjawisko, które można by nazwać jałową dyskusją.

W normalnych warunkach, gdy normalni ludzie mają coś do powiedzenia, powiadamy wtedy, że nastąpiła wymiana zdań. Naturalnie dotyczyć to może zarówno kwestii ważnej jak też spraw

zwykłych, codziennych. W naszych warunkach nie przyjdzie nikomu na myśl nazwać to zjawisko - dyskusją, gdyż z tym pojęciem niemal zawsze łączymy jakiś problem. Dyskusja bowiem naogół powinna rozstrzygać lub dawać mniej lub bardziej decydujące rozwiązania, względnie powinna wyjaśniać meritum przypadku.

Tutaj bardzośmy odbiegli od tych normalnych warunków, bo przecież anormalność wynikała z różnych przyczyn, które <sup>trudno</sup> ~~nie~~ ~~można~~ ~~było~~ ~~szkarakteryzować~~ ~~od~~ ~~kątem~~ ~~w~~ ~~właśnie~~ ~~perspektywy~~ ~~powstawania~~ ~~tematu~~.  
*tu*

A oto przypadki, które mogą stanowić punkt odniesienia dalszego rozumowania

1. Jest nas gromada, bo sala o wymiarach około 20 x 10 m. mieści w sobie ponad 100 ludzi, którzy jednak stanowią taką dziwną rodzinę. A czy można sobie wyobrazić możliwość uzgodnienia spraw w rodzinie i to tak licznej?

2. Jest nas tutaj około 500 oficerów w pięciu barakach, a każdy barak - sypialnia kieruje się jednak przeważnie względami tak zwanego "lokalnego patriotyzmu"

3. Jest nas w obozie ponad 1,5 tysiąca, a więc nie każda sprawa i nie każde zagadnienie mogą dotyczyć wszystkich jednakowo

4. Jesteśmy z różnych środowisk: dzielnicowych, zawodowych, kulturowych, politycznych, a poziom unysłowy i wykształcenie jest różne, to też i światopoglądy różnią się czasem diametralnie.

5. Obóz, którego cechuje niewola i niepewność jutra, wyciska piętno na naszej umysłowości, co się ujawnia często nerwowym stanem, który jest przeciw przemożnym czynnikiem sposobu rozumowania.

6. System polityczny w jakim kazano nam tutaj żyć, mimo że bezpośrednio nas nie dotyczy, to w życiu obozowym ujawnia się w sposób nadwyraz nieprzyjemny, jak : donosicielstwo, intrygi, wazelinarstwo. Wytwarza to psychę nieufności i zamykanie się w sobie.

7. Dyletantyzm dość powszechny, którego źródła nie wiem do-

*Moją uwagę*

prawdy gdzie szukać, bo przecież nigdy w swoim życiu na wolności nie spotykałem w tak widocznych objawach jak tutaj. Myślę, że wynikało to z braku pola do współzawodnictwa w pracy zawodowej lub działalności społecznej, co w konsekwencji mogło wyzwać pragnienie imponowania swoim towarzyszom błyskotliwością umysłu czy wytrząsywaniem jak z rękawa wszechstronnych, czasem nieprawdopodobnych kompetencji.

8. Nagninne mylenie pojęć, brak wyczucia wagi pewnych zagadnień, przez co następuje błędna hierarchia celów i wartości zjawisk, a czasem o odwrotnym wręcz układzie, niżby to wskazywało logiczne rozumowanie. Temat to bardzo szeroki i kiedyś, gdy znajdę się w innych warunkach to wydawało mi się można będzie to bardziej wnikliwie rozwinąć w świetle obserwowanych zdarzeń z życia obozowego.

9. Nostalgia i pragnienie powrotu do Kraju i rodziny, do życia czynnego, tak kontrastowo innego od tutejszych warunków bycia - to bodajże największe źródło błędów i fałszywego pojmowania.

10. Wspomnienia czasów minionych, wspomnienia życia i warunków, w jakich nam dziś każą tu przebywać, nadaje piętno ustosunkowaniu się wzajemnym między towarzyszami obozowymi.

Możliwe, że nie wyczerkałam wszystkich elementów wpływających na tok rozumowania obozowicza. Nie jestem przecież profesjonalnym psychologiem, nie mam ambicji tworzenia naukowych teorii, chodzi mi jedynie o wypuklenie spostrzeżeń pewnych jaskrawo występujących zjawisk dla uzyskania jakiegoś tła rozwijającym się wydarzeniom.

Nie chodzi mi tutaj o poruszanie straszliwie poważnych tematów natury społecznej, ~~poruszam tutaj takie zjawiska, które w normalnych warunkach nie mogłyby stać się nawet tematem do dyskusji.~~ A oto jeden z przykładów, który <sup>a</sup>możn<sup>y</sup>by zaliczyć do

Możliwe energyjne

śmieszność życia obozowego.

Wielką zdobyczą naszą było posiadanie z wyboru społecznego "kontrolera kuchennego", którego zadaniem był nadzór nad uczciwością personelu kuchennego.

Taki pewien "kontroler kuchenny" prosi salę o chwilę uwagi. Chce on mieć "czyste sumienie" i odwołuje się do opinii swych mocodawców.

Pobrał on, mianowicie, z magazynu rybę i nie może się zdecydować jak ją przygotować do spożycia - czy jako gotowaną czy może smażoną.

Głosy na sali są różne.

- Gotowana... smażona... faszerowana... w galarecie... surowa na rękę ...

Obserwator, nie znający warunków życia obozowego byłby zdumiony słysząc to, a może pomyślałby, że pierwszorzędne pożywienie przewróciło w głowach tych ludzi. Lecz musiałyby być naprawdę obserwator <sup>em</sup> przypadkowy <sup>ym</sup> i naprawdę zupełnie się nie orientujący <sup>ym</sup> w naszej sytuacji. Nie wiedziałyby przecież, że wyfasowanej ryby mogło wystarczyć na jeden a może na dwa zęby. Jakaż więc mogła być różnica w sposobie jej przyrządzenia.

- Jestem stanowczo za usmażeniem ryby - mówi jeden - bo proszę panów tylko w tym przypadku będziemy tę rybę czuli na zębie. No bo jakieby to nie były porcje to jednak muszą wogóle być, czyli tym samym jest mniejsza możliwość tak zwanego "rozbazarowania" przez naszych "demokratów".

- Słusznie!... słusznie... - słychać głosy z sali.

- A ja uważam - mówi drugi - że tę rybę należy bezwzględnie ugotować, chociażby dla tego tylko, że jest to ryba "świeża", a więc może być przecież nadpsuta. Zjadając w stanie smażonym możemy się wszyscy zatruć.

- Słusznie!... słusznie!... - krzyczą słuchacze.

- Ja proszę kolegów daleki jestem od żartów - zabiera głos trzeci dyskutant - Aby połączyć argumenty obydwu moich przedmówców, a więc aby się nie zatruć i aby otrzymać jakąś tam porcję, proponuję naszą rybkę zjeść w galarecie.

- Pewnie!... To jest racja!...- padają głosy zewsząd.

- Mój przedmówca to oryginał i nudzień - oto argumenty czwartego mówcy - Jemu się zdaje, że tę rybkę będzie spożywał pod duży kielich polskiej wódki. Uważam jego projekt za absolutnie nierealny i proponuję przyrzadzić rybę jednak smażoną, a to z tego względu, że stanowić będzie wielką atrakcją dla naszego podniebienia no i żołądka, co może mieć kolosalne znaczenie przy naszym jednostajnym pożywieniu.

- Idiota!... Idiota! ... krzyczą koledzy.

- Słuchajcie koledzy - grzmi piąty uczestnik tego forum - Toż przecież rybkę w smażonej postaci nie odczujemy w smaku z powodu jej <sup>ty</sup>znokomej ilości, a kapuśniak będzie kompletnie jałowy.

- Ten argument - zabiera wreszcie głos "kontroler" - jest nie istotny, bo kapuśniak ugotuje się na łbach, ogonach i wnętrznościach, obawiam się tylko czy ta rybka nie jest już dostatecznie zepsuta.

- Rób pan jak tam uważacie "lordy kuchenne" i nie zabierajcie nam drogiego czasu. Moglibyśmy w tym czasie rozegrać ze dwa robry. -

- Smażona!... gotowana! ... smażona! - rozwrzeszczał się tłum, leżących na pryczach stołowników.

Wzr<sup>u</sup>sz<sup>y</sup>ł ramionami biedny kontroler kuchenny i nie otrzymawszy uzgodn<sup>y</sup>ch rad - poszedł do swych odpowiedzialnych czynności.

Niech się wam nie zdaje, że nasze myśli krążyły wyłącznie wokół tak przyziemnych spraw jak żarcie. Powiedziałbym nawet, że mimo odczuwania ciągłego głodu, mimo ~~nie~~ niejednokrotnie zdarzających się przypadków omdlewania, nachodziły nas wzniosłe myśli

ba, nawet częściej niżby to mogło się wydawać. Myśli nasze zwracały się do Boga, w Nim szukając obrony przed możliwością całkowitego skostnienia.

Byli między nami aż dwaj księża, a mianowicie ksiądz kapelan Antoni Piotrowski oraz nasz wspaniały kapelan z partyzantki ksiądz Piotr Okulicki, działający pod pseudonimem "księdza Józefa Prejsera", <sup>(moje)</sup> ~~ni~~ mieliśmy naszego nadwornego "dziada kościelnego" Stasia Pieniążka.

Ci trzej przy udziale dziesiątków wiernych postanowili odprawić mszę polową. Przedsięwzięcie to łączyło się z poważnymi pracami przygotowawczymi.

Przez długie dni toczyły się rozmowy i przekonywanie naszych sowieckich opiekunów, aż nasz kochany "Józik" tryufalnie obwieścił, że komendantura obozu uzyskała z Moskwy zgodę na odprawienie mszy polowej, byle bez kazania. Rozpoczęły się intensywne przygotowania.

Miejsce na ołtarz wybrano na samym środku majdanu, frontem <sup>do</sup> zabudowań komendantury. Budowa ołtarza poszła niezwykle sprawnie, bo nasi żołnierze dostarczyli ~~skądś~~ narzędzia:, gwoździe uzyskało się z rozbiórki jakiegoś baraku, deski zaś z rozmontowanych kilku prycz z baraku poniemieckim. Naturalnie wszystko robiono bez zezwolenia komendantury, która na szereg naszych przedsięwzięć spoglądała przez palce.

Wszystko to razem wyglądało po zakończeniu robót nad wyraz ciekawie.

Na drewnianych legarach ułożono szczelnie podłogę, pokryto ją kilkunastoma kocami niczem dywanem.

Sam ołtarz wykonano w starym stylu, to znaczy tyłem do audytorium. Pokryty został białym obrusem wykonanym przez nasze panie z dwóch prześcieradeł, z wyhaftowanymi obrzeżami, o jakichś kwiatowych kompozycjach. Jak to panie zrobiły i kiedy - historia przemilcza. ale pozostaje to faktem.

Najwięcej kłopotu było z tabernakulum, most<sup>o</sup>trójcą i kieli-  
chem, ale i to jakimś cudem pokonano. Naturalnie aktywnością  
wprost kipiał Staś Pieniążek.

Innym poważnym zagadnieniem, to było zorganizowanie chóru  
i orkiestry. Tutaj odegrali główną rolę dwaj koledzy. Ryszard  
Damrosz, który stworzył wspaniały Chór kościelny i Mirosław Le-  
lewski, który gdzieś odkupił z kompanii żołnierskiej mandolinę  
i stworzył jednoosobową orkiestrę. Dzwonek dla ministranta dos-  
tarczył jakiś żołnierz po przerobieniu starego brzęczyka tele-  
fonicznego.

Gdzieś, którejś niedzieli, w połowie czerwca 1945 roku wy-  
znaczono termin uroczystej mszy polowej. Termin został zatwier-  
dzony przez władze rosyjskie, które jakoś nie stwarzały większych  
trudności. Naturalnie cały obóz był bez przerwy zbulwersowany.  
Podniecenie opanowało wszystkich bez wyjątku.

Czuło się, że i władze obozowe czyniły w tajemnicy różne  
przedsięwzięcia dla ~~zapewnienia~~ bezpieczeństwa. Od pewnego cza-  
su ~~na~~ można było zauważyć znaczne zwiększenie wartowników. Na  
bocianach znajdowało się zamiast jednego teraz dwóch a czasem  
trzech bojców, wszyscy oni byli uzbrojeni w "pepesze", a refle-  
ktory jak nigdy dotąd omiatały cały teren obozu.

Plac przed ołtarzem był już przygotowany w przeddzień. Od  
samego rana wykańczano urządzenia ołtarza. Znalazły się nawet  
kwiaty polne w zaimprovizowanych wazonach. Już od godziny 6 ra-  
no krążył Staś dopilnowując wszystkiego. Gdzieś na tyłach bara-  
ków oficerskich Damrosz intensywnie ćwiczył swój chór - bo też  
miał wiele pracy wobec niezmiernie bogatego programu.

Znalazło się również prawdziwe wino, a opłatki na komunika-  
ty jakimś przedziwnym kunsztem wykonali nasi kucharze.

Od godziny 9<sup>00</sup> rano zbierały się przed ołtarzem tłumy pol-  
skich żołnierzy w mundurach i w cywilu, co kto miał najlepszego



zakładał na siebie. Z boku, w pobliżu ołtarza, z prawej strony, stała gromadka w bajecznych barwach - to uplasowały się panie. Wszystkie panie były piękne i pociągające. Panowie spoglądali łakomie na niebywały obrazek.

Z lewej strony, przy samym ołtarzu ustawił się dwudziesto paro osobowy chór ze swym wodzem - dyrygentem Damroszem.

Punktualnie o godzinie 10<sup>00</sup> rano na podium przed ołtarzem wkroczył z powagą korowód celebrujących nabożeństwo.

~~Na przodzie, ubrany w białą komżę ze stułą na szyi szedł~~  
Na przodzie, ubrany w białą komżę ze stułą na szyi szedł celebrant ksiądz Józef, mając u swego boku księdza Antoniego, za nimi szło aż czterech ministrantów, z których jednym był Staś Fieniążek drugim zaś major Mościcki, dwaj pozostali byli żołnierza rzami z innych baraków.

Po pierwszy błogosławieństwie rozległ się potężny, wydobywający się z ponad tysiąca gardzieli, śpiew "Boże coś Polskę". Nie liczyłem, ale napewno co najmniej połowa jeśli nie płakała, to miała pełne oczy łez. To było naprawdę niesamowite przeżycie.

Byłem członkiem chóru, śpiewałem w tonacji drugiego tenora. Sam nie wiem czy miałem jakieś zdolności do śpiewania i czy odznaczałem się dobrym głosem - ale miałem to w naturze, że zawsze ja tam musiałem być gdzie się coś działo. Teraz stałem twarzą do całego audytorium i obserwowałem to <sup>to</sup> się działo na placu przed ołtarzem. W pewnym momencie, podczas naszego śpiewania "Boże coś Polskę", z komendantury wyszło pojedynczo pięciu oficerów sowieckich, którzy szybko zbliżyli się do wiernych i wtopili się w tłumie naszych żołnierzy. Widziałem ich wyraźnie bo odróżniali się jako jedyni w czapkach na głowach. Napewno nie przyszli na nabożeństwo z nakazu ducha, niemniej pozostawali tam aż do końca mszy świętej. Obserwowałem ich w czasie podniesienia kiedy zerwali czapki z głowy, razem z całym tłumem wiernych klekali na kolana i pochylali głowy. Przyznac trzeba, że było to z

ich strony znaczne poświęcenie.

Długo trwało nabożeństwo. Spiewano bez przerwy wszystkie możliwe pieśni kościelne. Zaledwie kilka razy udało się Damroszowi zapanować nad tłumem pieśnią liturgiczną w języku łacińskim.

W pewnym momencie trwania mszy świętej, ksiądz Prejser odwraca się twarzą do zebranych, podnosi do góry ręce i na placu zapada kompletna cisza. Spokojnym lecz donośnym głosem rozpoczyna kapłan swoje kazanie.

Trudno mi odtworzyć treść tego kazania, ale wiem doskonale, że dominowały tam pojęcia patriotyczne, głos jego stopniowo potężniał aby zakończyć słowami:

- Ojczyzna czeka na nas. Musimy tam wrócić bo Polska nas potrzebuje. Sprawiedliwość musi zwyciężyć i bojownicy o niepodległość nie mogą zginąć na obczyźnie. Módlmy się aby nasi przesładowcy zrozumieli ile krzywdy i bólu zadają tym, którzy ukochali swoją Ojczyznę - na zakończenie zaintonował: Jeszcze Polska nie zginęła...

Takiego entuzjastycznego śpiewu chyba nikt nie słyszał na całym świecie.

Na długi czas msza ta zapadła w naszą świadomość. Długo jeszcze przeżywaliśmy tamte chwile, projektując następną taką uroczystość. Niestety, władze sowieckie nie pozwalały na tego rodzaju manifestacje. Obawiały się zapewne możliwości wybuchu jakichś buntów. Dopiero po pół roku od tego czasu udało się zorganizować mszę świętą, ale to nie miało już z różnych względów, o których niżej, takiego wydźwięku.

Działalność Rysia Damrosza nie przerwała się z chwilą zakończenia opisaną wyżej mszy świętej. Był to początek dalszej pracy chóru, którego repertuar stawał się z każdym miesiącem bogatszy i ciekawszy.

Raz na tydzień, przeważnie w soboty lub niedziele odbywały się koncerty chóru, organizowane przed oficcerskim barakiem, przy

udziale setek wdzięcznych słuchaczy. Każdy taki koncert zaczynał się i kończył "Jeszcze Polska nie zginęła" lub "Hej kto Polak na bagnety"

Podczas jednego koncertu naszego chóru, gdy już się zebrał tłum słuchaczy a na podium weszli chórzyci pod wodzą Damrosza, szybkim krokiem podeszło do nas 15 uzbrojonych bojców. Komandir młodszy leitinant podchodzi do Damrosza i ~~z~~<sup>z</sup> biera go do komendantury. Tłum zdziwiony i zaskoczony tym jednak nie rozchodzi się.

Wtedy z pośród zgromadzonych wychodzi mężczyzna ubrany w żołnierski mundur, staje przed zdezorjentowanym chórem, podnosi ręce do góry i wzywa nas aby nie przerywać koncertu. Bierze od jednego z nas nuty, ustawia nasze głosy i fachową ze znawstwem zaczyna dyrygować. Melodie płyną, śpiew się rozlega, aż stojący przed komendanturą Damrosz przysiadł na przymurku z wrażenia.

Okazało się później, że przypadkowym dyrygentem był inżynier Turski czy Turewicz, znany w Polsce organizator chórów wiejskich.

Damrosz wrócił po pół godzinie. Incydent polegał na nieporozumieniu, a raczej niefortunnym tłumaczeniu słów jednej z naszych piosenek. Dotyczyło to bajki "Bocian i żaba", gdzie bocian na długich i "czerwonych" nogach kroczył po mokradłach i ulitował się nad małą żabką. Naszym opiekunom nie podobało się to, że bocian nie na innych lecz właśnie na czerwonych nogach dokonywał swoich polowań. Zakończyło się to szczęśliwie śmiechem.

A wogóle to muszę w tym miejscu oddać cześć Rysiowi Damroszowi za jego wkład w podtrzymywaniu zarówno ducha patriotycznego jak i utrzymania wśród nas poczucia piękna i kultury. Poezja, śpiew to niezmiernie ważne czynniki w naszym życiu, wypełniają lukę straszliwej nicości. Człowiekowi temu zawdzięczamy, że zarówno chórzyci jak i słuchacze mogli przeżywać wzniosłe uczucia

Oprócz znanych, klasycznych pieśni polskich wykonywaliśmy szereg piosenek wojskowych i partyzanckich, z których sporo było autorstwa naszych towarzyszy.

W formie aneksu do niniejszej pracy dołączam tekst niektórych popularnych w obozie pieśni. Nie wiem, które z nich powstały w naszym obozie, a które zostały przyniesione przez chłopów z lasu. Tutaj podaję jedynie tytuły tych piosenek, oto one:

- Nie przestraszy nas wróg...
- Modlitwa partyzanta
- Przebojem iść
- Wierzby
- Matczyne ręce
- Czym chata bogata...
- Moralistom ku przestrodze
- Ona
- Fraszki
- Abnegatom
- Nożyce
- Aforyzmy
- kask
- A kiedy przyjdę...
- " Pa tamu czto my pioty" - po rosyjsku
- " Wintowka" - po rosyjsku
- " Hediek woldiek" - po węgiersku
- " Lorelei" - po niemiecku

Wymienione wyżej tytuły to nie tylko piosenki ale również poezja, którą deklamowano podczas koncertów Damrosza.

Obok tych działań na rzecz kultury prowadziliśmy w szerokim zakresie samokształcenie. Warto tu przytoczyć szereg takich akcji. Trudno mi teraz odtworzyć te różnorodne formy, to też podaję tylko charakterystyczne dla życia obozowego zjawiska, które naogół spotykały się ze znacznym zainteresowaniem. Naturalnie

do niepodobnych

wszystkie sprawy organizacyjne oraz tematyczne spoczywały na barkach, a może raczej na głowach korpusu oficerskiego, chociaż i wśród szegowych i cywilów było wielu zdolnych i wykształconych ludzi.

I tak w czasie od 1 listopada 1945 roku do 31 marca 1946 r. trwał Wyższy kurs Pedagogiczny, zorganizowany przez członków Z.N.P. Ukończenie tego kursu zostało potwierdzone odpowiednim zaświadczeniem i uroczystie wręczone jego uczestnikom.

Innym kursem, również na poziomie wyższym, a więc dla posiadających maturę, był Wyższy kurs Leśnictwa. Założycielem tej uczelni był inżynier Antoni Aleksandrowicz, nadleśniczy lasów państwowych, a następnie prywatnych lasów księcia Radziwiłła, kierownikiem był inżynier Mieczysław Wędziński.

Jako członkowie komisji egzaminacyjnej występowali inżynierowie i magistrowie prawa i tak: inż. Antoni Aleksandrowicz, inż. Mieczysław Wędziński, inż. Kazimierz Pawłowski - chemik, inż. Tadeusz Gajewski - mechanik, mgr. Andrzej Zaręba i mgr. Józef Strzęciwilk.

Kurs Leśników trwał od 1 lipca 1945 r. aż do 1 października 1946 r. Ja niestety nie brałem udziału w studiach na tych dwóch kursach.

Charakterystyczne było, że tak jak na kurs Pedagogiczny uczęszczali przede wszystkim nauczyciele, tak na Kursie Leśnictwa znaleźli się niemal wyłącznie oficerowie zawodowi. Wynikało to stąd, że panowie ci nie posiadali żadnego cywilnego zawodu, więc w obawie braku pracy po powrocie do Kraju, byłoby to w początkowej fazie pewnym punktem zaczepienia.

Jak mi, już po powrocie do Polski, relacjonował Witek Kiełwicz i Antoni Durka, uczestnicy kursów, poziom nauczania był bardzo wysoki, a przebieg nauki odznaczał się wprost niespotykaną sumiennością i zapalem słuchaczy. Wszyscy oni otrzymali dyplomy ukończenia.

które miały stanowić dowód akademickiego wykształcenia.

Nie wiem w jakim stopniu zdobycie tak obszernych wiadomości teoretycznych zostało wykorzystane po powrocie do Ojczyzny.

A cóż <sup>ja</sup> ? Jako technik o zainteresowaniach zagadnieniami urządzeń wodnych, a w szczególności zaopatrzenia w wodę. - nie znalazłem w tym kierunku żadnych możliwości. Leśnictwo jako zawód zupełnie mnie nie pociągało. Postanowiłem pogłębić swoje wiadomości w nauce języka niemieckiego, który w jakimś tam stopniu posiadałem z czasów gimnazjalnych.

Nauczycieli miałem aż dwóch. Jeden to Witek Kiewlicz, a drugi także Witek ale Kisiel. Obaj chętnie podjęli się mojej edukacji. Lekcje odbywały się codziennie w godzinach popołudniowych, na przemian to z jednym to drugim Witkiem. Naturalnie wszystko odbywało się "na twarz", bez notatek - chodziło przecież o naukę mówienia po niemiecku.

Dzisiaj, gdy po tylu latach wspominam te chwile, podziwiam zaangażowanie i pragnienie osiągnięcia jak największych efektów.

Innym źródłem zainteresowań naukowych z mojej strony to słuchanie prelekcji doktora Ażapina na temat dialektyki i materializmu historycznego. Teraz dopiero poznałem teoretyczne podstawy idei komunistycznej, dopiero teraz mogłem w pewnym stopniu zrozumieć na czym polega utopia tej idei w świetle istniejących<sup>ca</sup> stosunków społecznych i gospodarczych. Tutaj zrozumiałem na czym polega piękno tego niedościgniętego ustroju społecznego.

W jaskrawy sposób ujawniają się sprzeczności, a szereg pytań i zagadek nie znajduje rozwiązania.

No bo na przykład jak głęboko idea ta sięga w sferę ducha człowieka, w jakim stopniu może integrować wszystkich ludzi bez względu na ich przynależność narodową czy poglądy religijne? Jak na tle tej wszechludzkiej idei może kwitnąć i rozwijać się uczucie patriotyzmu?

A warunek jest tylko jeden, bez którego nie może być mowy o wcielaniu tej idei w życie. Warunek ten kompletne zrównanie materialnych warunków bytowania wszystkich ludzi i ~~to~~ to na całym świecie, a więc zrównanie potrzeb i możliwości ich zaspokojenia. Zmiana całkowita psychiki człowieka w kierunku zniweczenia jego dążeń do postępu i do poprawy warunków życia. Przywilej pracy stać by się musiał totalnym przymusem opartym na automatyce działań. I takie to wnioski mogły być jedyną korzyścią kursu.

Dodatkową korzyścią jednak z wykładów Ałapina było poznanie dość dobrze historii partii komunistycznej i przebiegu rewolucji październikowej.

Wykłady te stawały się źródłem i inspiracją długich i gorących dyskusji na sypialnych pryczach w barakach.

Z inicjatywy i na skutek starań doktora Ałapina uzyskano zezwolenie na wydawanie obozowej gazetki ściennej. Zespół redakcyjny składał się z 10 ludzi, którymi byli przedstawiciele poszczególnych baraków, rekrutujących się przeważnie z tak zwanych demokratów, a więc tych którzy pracowali w kuchni i magazynie, niektórzy ze szpitala no i szereg typów o podejrzanym zachowaniu się w stosunkach z sowietami.

Ten dzień lipcowy był nagorętszym dniem od czasu głodówki w poprzednim obozie. Nie wiem czy uda mi się odtworzyć obraz tego ciekawego dnia.

Podłoże i geneza wypadków tego dnia sięga daleko w tył w czasie. Wśród uczestników tak zwanego "pierdła", czyli więzienia na Łukiszkach w Wilnie, niemal od samego początku, a jaskrawo i otwarcie od czasu głodówki, stworzyła się grupka ludzi pragnących z jednej strony pochwycić władzę w polskim środowisku, a przez to uzyskać przywileje lepszego wyżywienia, z drugiej zaś strony sądzących, że swoją działalnością i postawą wobec sowietów spowodują przyśpieszenie powrotu do kraju na przygotowane dla nich z góry gorące posadki.

Była to grupa popularnie zwana i nazywająca siebie "demokratami", w odróżnieniu od pozostałych ludzi czyli - "konserw" W rzeczywistości była to grupka nieprz<sup>e</sup>ciętnych kombinatorów, posługująca się takimi metodami jak szpiclowanie, donosicielstwo czy prowokacje, najskromniej mówiąc - ludzi siejących wśród otoczenia skrajny defetyzm. Byli to osobnicy częściowo ujawnieni ale naogół zakonspirowani. Z reguły jednak i jedni i drudzy, w mniejszym lub większym stopniu wysługiwali się naszym niby opiekunom. Oddać należy sprawiedliwość tutejszym ukł<sup>a</sup>dom, że w całym obozie, wśród ponad półtora tysiąca ludzi grupa ta składała się zaledwie z kilkunastu osób, co jednak nie umniejsza faktu, że tacy byli.

Charakterystykę tego niewielkiego środowiska pozostawiam na oboczu, chodzi tu bowiem o pewne fakty, które dadzą jednak jakiś obraz stosunków.

Otóż w okresie, na którym chcę zatrzymać uwagę, grasowała, bo takie tylko określenie może odpowiadać rzeczywistości, klika Arendzkiego, nazywająca siebie<sup>e</sup> właśnie "demokratami", a grupująca się wokół gazetki ściennej "Robotnik" i propagująca ideologię Polskiej Partii Robotniczej.

I wszystko byłoby w porządku gdyby nie to, że niemal każdy artykuł zawierał niewybredne inwektywy w stosunku do wszystkich, którzy wyznawali cokolwiek inną orientację polityczną. W zasadzie poza tą kliką nikt nie<sup>u</sup> jawniał zbyt oficjalnie swych poglądów, wychodzono bowiem z założenia, że obóz nie może być terenem walk politycznych. Powinniśmy wszyscy stanowić zjednoczoną "partię", członkowie której są Polakami i tylko Polakami. Jedno pragnienie powinno przepełniać wszystkich i jeden cel stał przed nami - to powrót do Ojczyzny.

25 lipca- był to zdaje się poniedziałek.

W niedzielę "demokraci" z pod znaku "Robotnika" wystawili rewię, w której dosłownie żołnierzy Armii Krajowej nazwali ban-



dytami i złodziejami. Było to ponad miarę cierpliwości i opanowania ogromnej większości w naszym obozie.

Gdzieś koło 10<sup>00</sup> następnego dnia wszedł na salę sam bohater Jurczak, który osobiście wygłaszał te oszczerstwa.

- He!... coś tu chciał?! - odezwał się jakiś głos na pryczy.

Nic na to nie odpowiedział, a wsadziwszy ręce w kieszenie, prowokacyjnie zaczął pogwizdywać. Ktoś stojący obok, odwrócił się i z całą siłą zamalował go w twarz, co spowodowało jego upadek. Poderwał się szybko - lecz natychmiast zewsząd posypał się grad wymysłów i epitetów przy akompaniamencie furczenia różnych "licznych wieszczek".

Widząc, że to nie przelewki, starając się odszukać wpadłą pod pryczę czapkę, wyrwał się na korytarz. Lecz tu o zgrozo nowa niespodzianka, bo korytarz był zatłoczony ludźmi z innych sal, zwabionych rozlegającymi się krzykami. Wszyscy już wiedzieli o co chodzi. Przy wtórze gwizdów, plwań i wymysłów wyprowadzono delikwenta aż na podwórze. Ten gdy zobaczył światło dzienne, zerwał się do biegu. Po kilku krokach, nie czując niebezpieczeństwa poza sobą, spojrzął za siebie i ruszył z dostojeństwem naprzód. Masy wyległy przed barak i wiwatowały, odprowadzając gwizdem swoją ofiarę.

Niestety, nie był on w stanie przewidzieć gdzie się kończy niebezpieczeństwo a rozpoczyna zaciszna przystań.

Baraków wszak było kilka, a w barakach tych przebywali ludzie, którzy szybko i zdecydowanie reagują na zdradę i podłość, koło tych baraków prowadziła droga "bohaterskiego" Jurczaka i tam właśnie spotkała go niemiła niespodzianka. Kilkunastu dżentelmenów wyskoczyło z baraków, ucziwie "wykaczali" w kurzu delikwenta, ofiarowując kilka kopniaków - i tak odprowadzili go na nowe mieszkanie.

Prześladowcy wysłali do baraku oficerskiego specjalną delega-

cję z wiadomością, że oczekują na stacji przeładunkowej na dalsze transporty.

Na sali 3 kompanii, na górnej pryczy, żył sobie cicho i spokojnie pewien "staruszek" o nazwisku Rogowski Aleksander, popularnie zwany - "inżynierem", a to z tytułu wyrobu aluminiowych sygnetów. Żył sobie, robił swoje pierścionki i sprzedawał je za chleb i cukier. Zrobił raz medalionik z dedykacją "kochanej matce". W jego historii został zapisany autentyczny rozdział o tej matce. Przeżyła ona okropną chwilę, a jej los do tej pory nie był znany nikomu. Jeszcze w Wilnie, konwojent sowiecki prowadził jej syna, Olesia, z grupą innych więźniów z więzienia na dworzec kolejowy. Chciała biedna matka podać synowi małą paczuszkę, gdy bojec zamierzył się ciosem kolby karabinu w głowę siwej, zgarbionej staruszki. Musiała biedna pomyśleć wówczas, że jeśli zginie to dla swego ukochanego syna.

Ale synalek ten pod koniec 1945 roku, pod wpływem i namową swego przyjaciela Downarowicza Aleksandra, tudzież "taty Olesia" lub drugie woto "mistrza", z tytułu wykonywanego procederu - cyrulika-golarza, uświadomił sobie, że w 52 roku swego życia stał się prawdziwym demokratą i komunistą.

Co pisał i jak pisał w gazetce ściennej "Robotnik" dobrze by było podać na tym miejscu aby pozostawić dla potomności dokument stwierdzający możliwość upodlenia się w warunkach niewoli - ale chyba naprawdę niewarto powtarzać tak wierutnych bredni dla osiągnięcia przez to wątpliwych korzyści wychowawczych. Po-cóż obciążać patriotyczne uczucia normalnych Polaków.

Wisiała sobie deska gazetki ściennej z artykułem starego adepta nowej ideologii. Jeden przeczytał i machnął beznadziejnie ręką, drugi ujrzawszy podpis autora nie silił się nawet czytać, inny znów odchodził z brzydkim epitetem obrażającym niewinną

matkę autora, a jeszcze inny śmiał się niczym z najlepszego kawału. Wypociny te wzbudzały ogólne obrzydzenie i zdawoło się, że będzie to jedyna i ostateczna reakcja na wyczym polityczny tak "wybitnego" redaktora.

Opisana wyżej prowokacja aktora Jurczaka stała się znaczną komplikacją w życiu Rogowskiego. Zdrowa społeczność obozowa doszła do przekonania, że nie tylko słowo żywe ale również słowo pisane może być obraźliwe, a to musi pociągnąć za sobą sprawiedliwą zemstę.

A było to tak.

W pół godziny po "triumfalnym" odmarszu Jurczaka z baraku oficerskiego, weszło na salę, gdzie rezydował "Inżynier" Rogowski, trzech dżentelmenów, a za nimi zwarcie, zgodnie i z powagą - tłumek.

Jeden z przybyszów podszedł do pryczy i zapytał:

- Kto z panów jest Rogowski ?
- Ja - odpowiedział drżącym głosem - bo co?
- Ano nic, Złaź pan!
- Po co ... co chcecie?
- Złaź! mówię! bo cię zaraz z sadzimy!
- Co ja wam zrobiłem? - pyta mocno niepewnym głosem, blady jak płótno, z szalonym strachem w oczach.
- Złaź!,... złaź....

Powoli, celowo bez pośpiechu, poprawiając okulary, zaczyna zsuwać się z pryczy. W tejże chwili daje się słyszeć pełen nadmiernej troski głos jego sąsiada.

- Zdejm stary okulary, bo ci mogą potłuc na nosie.

Naturalnie, natychmiast z tej rady skorzystał. Był już na dole, gdy ściągnięto z jego pryczy siennik i całe osobiste bogactwo. Z tym wszystkim na plecach, wolnym krokiem sunął przez salę przy akompaniamencie chóru wyzwisk i epitetów. Po drodze zafasował parę kopniaków i jak z procy wyskoczył na zewnątrz.

Stacja przeładunkowa gotowa była na przyjęcie nowego transportu. Po odpowiedniej roladzie w kurzu piaszczystej drogi przekazano wartościową przesyłkę na adres odbiorcy, to jest do wyłącznego użytku proroka Arendzkiego.

Tak więc, wcale nie najgroźniejszych lecz jawnych prowokatorów - oficerowie zdołali się pozbyć.

Pozostał jednak jeszcze jeden typ o charakterze szarej eminencji, jako że nie występujący jawnie - a był nim wspomniany już wyżej "mistrz" Aleksander Downarowicz. /czy to nie za dużo tych Aleksandrów/. O nim też wartoby coś napisać, bo ten typ stanowi całkiem swoistą indywidualność - nie wiem czy jednak będzie mnie na to stać.

Gdzieś na początku lipca zaczęto w całej społeczności obozowej wyszukiwać różnych fachowców. Chodziło tu naturalnie o rzemieślników, a w najwyższej cenie byli instalatorzy jak elektrycy, hydraulicy i mechanicy. Z pośród oficerów zaledwie kilku podało się za rzemieślników. Pozostali postanowili korzystać z przywilejów dotyczących oficerów w niewoli i obozach dla internowanych, którym konwencja genewska, z któregoś tam roku, zapewniła ochronę od przymusowej pracy fizycznej. Podobno nawet w hitlerowskich "oflagach" prawa były przestrzegane. Co prawda konwencja ta nie zabraniała podejmowania pracy przy zgłoszeniu dobrowolnym.

Gdybyśmy przewidywali jakie przeznaczenie miały grupy robotnicze to napewno tych zgłoszeń dobrowolnych byłoby wiele.

Chętnych do pracy z całego obozu zgłosiło się chyba setka ludzi. Podzielono ich na kilku lub kilkunasto osobowe patrole. Już o godzinie 7<sup>00</sup> rano cała kompania z kilkoma konwojentami, pod dowództwem leitinanta sowieckiego przekroczyła bramę i po kilku minutach zniknęła na horyzoncie. Kierunek tego marszu wskazywał na miasto Riazań, oddalone ponad 15 km.

A oto relacja jednego z uczestników tej wycieczki.

"- Po niespełna pół godzinie dość szybkiego marszu oddział "fachowców" zbliżył się do torów kolejowych, ułożonych na niewielkim nasypie, wzdłuż którego biegły z obu stron rowy odwadniające.

W jednym rowie, na jego dnie, znajdowały się pogięte i połamane resztki rozbitego samolotu niemieckiego, o czym świadczył czarny krzyż na dużym odłamku blachy.

Zeszliśmy do rowu chcąc obejrzeć z bliska ten wrak samolotu. Kilku z nas korzystając z okazji, pozbierało drobniejsze kawałki aluminium czy też duraluminium, traktując to jako towar wymienny w postaci surowca dla wyrobu różnych potrzebnych w obozie przedmiotów.

Po krótkim odpoczynku poprowadzono nas dalej wzdłuż torów kolejowych. Przed nami ukazały się drewniane skrzynie, opasane blaszaną bednarką. Leżały one bezładnie, zapewne zrzucone w czasie zwolnionego ruchu wagonów kolejowych. Mogło tego być kilkadziesiąt skrzyń rozsi<sup>sk</sup>anych wzdłuż rowu.

- Czto eto ? - pytamy bojców

- Nie znaju. Pasmatri sam.

Podskoczyliśmy do tych skrzyń, ciekawi co też mogą zawierać. Przy znacznym wysiłku udało się rozbić jedną z nich.

Nieprawdopodobne! Z wnętrza skrzyni wysypało się kilka wielkich bel materiałów tekstylnych, a w tym jedna bela pięknego jedwabiu i jedna barwnego perkalu. Inne bele to wełna na męskie ubrania.

Nasi chłopcy ostrymi nożami kroili materiał i całe płachty ukrywali na sobie, wtykając je gdzie popadło, a to w spodnie, pod pachy, a niektórzy wprost owijali się pod płaszczem. Bojcy przyglądali się bez większego zainteresowania, nie interweniując przy tej ~~kradzieży~~ grabieży. Zrestą każdy z nich otrzymał "kupony" na ubranie i sukienki.

Zaskoczenie było tak wielkie, że kilku z nas próbowało rozwalić inne skrzynie, ale gdy się przekonali, że zawierają one \*

również materiały dali spokój dalszej penetracji. Zresztą nasi konwojeńci zaczęli okazywać zniescierpliwienie i energicznie popędzali do dalszego marszu. Ciężko było maszerować objuczonymi materiałami, poważnie utrudniającymi poruszanie się. A szliśmy jeszcze ponad godzinę zanim dotarliśmy do przedmieść jakiegoś miasta, którym okazał się Riazan.

Już na ulicy miasta do naszej kolumny podszedł stary, brodaty Rosjanin i pokazując nam kawałek chleba pytał czy nie mamy na zamianę machorki albo ryby. Dlaczego ryby tego nie mogliśmy zrozkamieć. Jeden z naszych chłopców wyciągnął z pod pachy kawałek perkalu w kolorowe kwiaty i proponował zamianę na chleb. Starzec poskrobał się po brodzie, wyciągnął rękę p/towar. Otrzymał perkal i oddałtrzymany w ręce kawałek chleba.

Terza zaczęła się cała draka. Niewiadomo skąd zaczęły podchodzić kobiety i mężczyźni, dopominając się podobnej tranzakcji. Powstał zgiełk jak na targowisku. W ten sposób każdy z chłopców pozbył się zdobytych materiałów, ale za to miał w swojej torbie spory zapas chleba, cebuli, buraków itp.

Wreszcie nasi konwojeńci "wyszli z nerw" i zaczęli energicznie rozpędzać swoich ziomków, aż stało się możliwe zorganizowanie oddziału i ruszenie z miejsca do planowanego celu. Nikt nie wiedział jaki to był cel, niemniej wszyscy byli maksymalnie radowi z tak wspaniałych sukcesów handlowych.

Weszliśmy przez bramę na obskurne podwórko i tam nastąpiła segregacja, polegająca na utworzeniu kilkuosobowych zespołów, które pod wodzą jakiegoś cywila-Rosjanina oddalały się na stanowiska pracy. Były to krótko mówiąc prywatne mieszkania, w których trzeba dokonać różnych napraw. Bardzo pożyteczne działanie, pozwalające na nawiązanie osobistych kontaktów, uzyskania różnych ciekawych wiadomości z kraju i ze świata, poznanie ludzi i warunków ich egzystencji.

O ustalonej z góry godzinie wszystkie zespoły zebrały się

znów razem na tym podwórku, po czym ruszyliśmy w drogę powrotną.

Droga do obozu prowadziła także koło pozostawionych skrzyń przy torach kolejowych, co dało okazję do powtórnego zaopatrzenia się w cenny towar, który bez kłopotów udało się nam przemyścić przez bramę obozową."

Tak to wyglądało według relacji uczestnika.

Ale miało to również dalsze reperkusje w naszym obozowym życiu, a czym niżej.

Przedewszystkim wpiętno to na rozwinięcie ruchu handlowego a następnie rzemiosła artystycznego. Handlowano wszystkim co tylko nawinęło się pod rękę. Nagle ukazały się zapasy cukru i margaryny, chleba jakby prz<sup>y</sup>żyło, a nasze panie stały się piękniejsze, pokazując się na deptaku w szykownych barwnych sukniach.

A rzemiosło obejmowało takie dziedziny jak krawiectwo, szewstwo, dziewiarstwo, obok tego rozwinęło się rzeźbiarstwo w drewnie i w metalu ~~darz~~ grawerowanie, a trzeba pamiętać, że żadnych myszyn nie było, ba nawet brakowało najprymitywniejszych narzędzi. Wszystkie przeszkody pokonywane były w drodze doraźnych wynalazków.

Zarówno materiały, surowce jak i drobne narzędzia płynęły do obozu z falą codziennych wycieczek oddziału fachowców, w skład którego wchodził coraz to nowi członkowie, bo zawsze wieczorem polski dowódca tego oddziału miał obowiązek zorganizować odpowiednią ilość osób.

Wspomniany wyżej "inżynier" Rogowski urządził sobie na zewnątrz baraku palenisko, na którym w odpornym na temperaturę tygielku topił duraluminium. Przygotowywał we własnym zakresie formy i robił odlewy różnej wielkości pierścieni-sygnetów. Zda się, że cena jednego sygnetu w stanie obrobionym ale bez grawerki wynosiła pajdkę chleba lub cztery kostki cukru. Produkcja najzupełniej opłacalna, bo amatorów pamiątki trwałej z obozu było wielu.

Witek Kiewlicz zakupił taki surowy pierścień, wygładził go i wypolerował. Wpatrywał się w kawałek błyszczącego metalu, aż wreszcie stwierdził, że to jest "gówno", bo powinno posiadać jakiś rysunek żeby ten pierścienek przedstawiał wartość pamiątkową. Oddał mi swój sygnet mówiąc:

- Pomyśl co z tym zrobić.

Myślałem przez kilka dni, aż wpadłem na pomysł aby na wygładzonej powierzchni pierścienia spróbować igłą nakładać jakiś symbol. Myślałem dalej, aby znów po kilku dniach dokonać wiekopemnego wynalazku.

Oto obcinam igłę w miejscu uszka, na kamieniu szlifuję do kształtu mikroskopijnego dątku. Wykonuję następnie z twardego kawałka drewna rękojeść, wbijam w nią ostrzy koniec igły i strzymuję w ten sposób prymitywny ale funkcjonalny rylce.

Terza) pozostaje tylko wykonać rysunek na metalu. Ale jak? I na to znalazłem sposób. Rezsuszczałem drzewinę kredy i na mokro pokrywałem cienką warstwą powierzchnią sygnetu. Parę minut wystarczyło aby na matowej powierzchni można było cienką zastrzeżonym drzewkiem wyrywać to <sup>co</sup> trzeba będzie wygrawerować.

A zatem pierwszy sygnet miał być poświęcony przyjaźni, łączącej pięciu, do których zaliczali się: Witek Kiewlicz, Olek Wasilewski, Zygmunt Zublewicz, Witek Kisiel i ja - Henryk Płaski, nazywany przez nich Hendryczkiem.

Obrączką przy główce rozszerzała się i na niej wryty był liść dębowy przebity mieczem. Sama główka sygnetu posiadała wyrzeźbiony pięciobek a w nim, w każdym kącie litera imienia pięciu przyjaciół, powiązane ze sobą obrączką.

Naturalnie takich pierścieni musiała być pięć, bo przecież stanowiły one jakby symbol wiecznej przyjaźni. Kiedy to piszę pozostaje nas przy życiu tylko dwóch: ja i Olek Wasilewski.

Motyw artystyczny tego sygnetu nie był zbyt wymyślny, bo



został opracowany na miarę możliwości demorepłego rytownika, który stawiał przecież w tym zawyższe pierwsze kroki.

Gdy moi przyjaciele zareklamowali wytwórnię grawerską - sygnęły się zamówienia, bo każdy kupiwszy surowy pierścień chciał na nim mieć jakiś symbol.

Wykonanie rytu na takim pierścieniu pechłaniało co najmniej 3 dni intensywnej pracy, a strzymywałem zapłata albo jedną pajądkę chleba albo cztery kostki cukru, względnie trzy papierosy. Chcąc nie chcąc musiałem swój proceder traktować handlowo, bo przecież innego źródła dochodu nie miałem.

Na pewnym czasie znudziło mi się trzaskanie tysowych wzorów. Jeszcze tylko jeden pierścień wykonałem, ale to już tylko dla siebie. Warto może tu podać kompozycję tego dzieła sztuki grawerskiej. Oto właśnie rysunek. / na obwolutie okładki /

Rysunek ten przedstawia poszczególne motywy, noszące charakter określonego dokumentu historycznego, a oto symbole:

Na główce pierścienia widnieją litery, których znaczenie wówczas było nie dwuznaczne: SI - to symbol angielskiego "Intelligent Service"; A.K. - Armia Krajowa.

Na drugiej połowie tej główki: słońce przedzierające się przez kraty więzienne.

Wokół główki nazwy czterech miejscowości stanowiących główne etapy martyrologii, związane z moimi osobistymi przeżyciami i tak:

Wilno z mieczem - symbol walki o to miasto i data 1944 r - jako stolica północnej Polski.

Łukiszki - dzielnica miasta Wilna ze sławnym więzieniem

Miedniki - miejscowość pod Wilnem, stanowiąca pierwszy etap zwycięskiej sowieckiej interwencji w naszej walce o wyzwolenie.

Riazań - z bocianim gniazdem i drutami kolczastymi - miasto w Rosji na południe od Moskwy, w pobliżu znajdowały się

dwa obozy naszej niewoli - Diagielewo i Ciepielewo.

Do dzisiaj pierścień ten stanowi dla <sup>m</sup>nie źródło i inspirację niniejszych wspomnień.

Żeby już wyczerpać temat mojej twórczości grawerskiej pozwolę sobie jeszcze podać kilka przedmiotów wyprodukowanych przede mną, a były to:

- piękna plakietka, ~~na~~ której według projektu K<sup>o</sup>wlicza "Wujka" znajdowała się sylwetka dziewczyny wiejskiej z rozwianymi na wietrze włosami, z unoszoną przez wiatr do góry spódnicą, z pod której ukazują się zgrabne nogi; stoi ta postać pod rozłożystym drzewem, którego gałęzie targane są przez wiatr.

- innym drebiazgiem z odrobiną sentymentalnej nuty, to plakietka w postaci dwunasto ramiennego medalu, poświęcona mojemu synkowi; rysunek na jednej stronie przedstawiał świętego Jerzego /to imię mojego synka/ na koniu, przebijającego włócznią potwernego smoka; na drugiej stronie wyryta sentencja: "walczyć orężem, zwyciężać duchem"

- Ale szczytem mojej twórczości, zresztą przy znacznym udziale "Wujka" był medal pamiątkowy, wręczony jako dar imieninowy przez cały korpus oficerski naszemu komendantowi generałowi "Wilkowi"- Aleksandrowi Krzyżanowskiemu, w obozie w 1946 roku.

Warto przytoczyć przy okazji jakie te kłopoty nasz generał miał z powodu tego właśnie medalu. Oto przy którejś tam z kolejnych rewizji osobistej, oficer sowiecki domagał się w kieszeni "Wilka" małego pudełeczka, w którym znajdował się darowany mu medal. Na obydwu stronach tego medalu były starannie wyryte różne symbole, daty, i sentencje, których już dzisiaj nie jestem w stanie odtworzyć, a niestety współtwórcy moi już nie żyją.

Ta cała grawerka medalu dla nas Polaków była całkowicie jednoznaczna, ale u sowietów budziła wiele wątpliwości i podejrzeń. Na obrzeżu medalu zostały wyryte nazwiska trzech twórców, a mianowicie <sup>W. Kiewlicz</sup> ~~Naturski~~ ~~Kowalczyk~~, H. Płaski, i S. Pieniążek.

Naturalnie medal ten został przez sowieckie władze zarekwirowany, a nas trzech kilkakrotnie wzywano na dochodzenie. Dziwnym zbiegiem okoliczności odpowiedzi nasze, acz zupełnie nie przygotowane, były jedną wielką kpina z obozowego "prokuratora"

Szkoda, że ta piękna pamiątka przepadła.

Zbliża się rok 1945 ku końcowi.

Żadnych oznak ani ze strony sowieckich władz obozowych, ani z dość szeroko napływających wiadomości prasowych. "Prawda" i "Izwestia" docierały do nas regularnie, chociaż przeważnie z kilkudniowym opóźnieniem. Nawet "Życie Warszawy" kilka razy jakimś cudem do nas dotarło.

Mój Boże! Co się wtedy działo, jakie to było święto gdy któryś z brygady fachowców przyniósł z za drutów te kilka arkuszy gazetowego papieru wypełnionego polskim pismem. Gazeta przechodziła z rąk do rąk, pieczołowicie chroniona przed zniszczeniem, a mimo to "wyczytana" niemal do czysta przez kilkaset par oczu. Czytało się wszystko "od deski do deski". Ilaż tam ciekawych wiadomości można było wyuskać w dziale drobnych ogłoszeń. Czasem podany adres w ogłoszeniach był dowodem, że dom nie uległ całkowitej zagładzie w czasie warszawskiego powstania, a nazwy i nazwiska firm handlowych pozwalały sądzić o rozwoju życia w stolicy. Wiadomości te nie traciły na sile mimo, że dotyczyły okresu z przed dwóch czy więcej miesięcy wstecz.

Aktualne wiadomości polityczne, co do których wiarogodności mieliśmy poważne zastrzeżenia, płynęły z gazet rosyjskich. Codzienne, w określonych godzinach, odbywały się seanse lektorskie. Nieoceniony Jurek Dzierżyński doskonale nam "od ręki" tłumaczył z rosyjskiego, dodając czasem swoje komentarze.

I tak płynął czas. Dni mijały szybko, mimo beznadziejnej sytuacji.

Jeszcze jedna msza polowa, już w aurze prawie zimowej, bo

przy lekkim drobnym śniegu.

Jeszcze kilka koncertów polskiej muzyki ludowej w opracowaniu Ryszarda Damrosza

Jeszcze kilka incydentów z naszymi "demokratami", kilka skandalików na tle stosunków z naszymi paniami.

No i mróz. Głęboki śnieg pokrył powierzchnię ziemi. Skończyły się wycieczki "fachowców". Zmniejszyło się nasilenie handlu wewnętrznego, ale za to nastąpił pełny rozkwit rzemiosła i wszechstronnych dyskusji.

Dni choć mroźne, stawały się nieco dłuższe. Bez większych atrakcji, spokojnie minęły Święta Bożego Narodzenia.

Minął jeszcze jeden rok naszej niewoli. Rok 1945 należało już spisać z kalendarza. Nic nie wskazywało na bliski koniec tej beznadziejnej sytuacji. Życie na zewnątrz obozu, życie w kraju toczyło się normalnym torem.

Nasza praca tu w obozie, jakaby ona nie była, nie przedstawiała realnej materialnej wartości. Było to po prostu zabijanie czasu. Odporność psychiczna zaczynała stopniowo, coraz bardziej zanikać, zdarzały się wybuchy hysterii u pojedynczych ludzi a od czasu do czasu jakiejś hysterii zbiorowej.

Znaczącą rozrywkę dla całego obozu dostarczały nasze panie, o których wspominałem wyżej. Były one bezpośrednią przyczyną powstawania pewnego zjawiska, które zostało przez nas nazywane "Obwąchwacze". Trudno objaśnić znaczenie tego określenia, przypuszczam jednak, że czytelnik z treści fragmentu pewnej historii łatwo zrozumie co obejmuje to nader ciekawe pojęcie.

W środowisku ludzi, składającym się niemal wyłącznie z mężczyzn, wytwarza się specyficzny nastrój, specyficzne stosunki, a zdarzają się również bardzo charakterystyczne zjawiska. Ma to swój szczególny wyraz w skrajnie swobodnym zachowaniu się, w ostrych starciach słownych a czasem i czynnych reakcjach. Brak panowa-

nia nad doborem kulturalnych słów. Często<sup>o</sup> niechlujstwo i abnegacja w ubiorze, jednym słowem męska ostrość niczym nieograniczona.

Z chwilą ukazania się na scenie kobiety, można obserwować radykalne zmiany. Ten i ów szuka zbliżenia z płcią piękną, rozmowy stają się łagodniejsze, a przed każdym zamierzonym przekleństwem rzuca się spojrzeniem na boki dla stwierdzenia czy aby w pobliżu nie znajduje się kobieta. Niejeden pomyśli nawet o oczyszczeniu butów, a inny zreperuje sobie dziurę<sup>w</sup> w koszuli. Bo przecież może się w każdej chwili zdarzyć okazja spotkania przyjaciela, które zechce go zapoznać ze swoją znajomą. Niejeden starannie ręce umyje i nogi, oczyści z "żałoby" paznokcie, bo jednak nie jest przyjemnie narazić się na kpiny kolegów. A na deptaku ~~słychać~~ nie słychać rozlegających bezceremonialnie "grzmotów", no może najwyżej dadzą się słyszeć przygłuszone świsty "Szseptunów".

Zresztą całe środowisko zyskuje w swoim kolorycie, bo obrazki nabierają jakichś barw, gdy wśród mrowia szarych męskich okryć gdzie-niegdzie zakwita biel, błękit czy róż damskich sukienek. Należy tu specjalnie podkreślić, że panie robią wszystko, wkładają ogromny wysiłek i pomysłowość aby to życie obozowe choć trochę upodobnić do normalnego bytowania. A na ich dobro trzeba tu dodać, że kierują się tu nie tyle chęcią, wzbudzenia zazdrości koleżanek, bo wszak konkurencji obawiać się nie potrzebują przy stosunku 1500 mężczyzn do 50 kobiet, ile wrodzonym niewieścim poczuciem estetyki.

A jak to wyglądało w świetle powyższych rozmyślań w szczególnych przypadkach? Podaję kilka bez ujawniania nazwisk.

Odsłona pierwsza.

Jest w obozie pewna pani, towarzysza naszej niedoli od chwili osiedlenia się nas na tym terenie. Kobieta młoda, bo niespełna 26 lat licząca, niskiego wzrostu, szczuplutka, o twarzy podlotka. Ostre rysy twarzy przy jej szczupłej postaci świadczyć mogą o pew-

nym chorobliwym stanie. I rzeczywiście jest to zdeklarowana astmatyczka. Jej wrodzona kokieteria kobieca występuje tym jaskrawiej na tle surowego życia obozowego. Kto ona jest? krąży wersja, że jest to żona polskiego oficera zawodowego, którego rozstrzelali na jej oczach hitlerowscy kaci. Tragedia jakich wiele. Ale ta kobieta, chora i osamotniona, daleko od rodziny i przyjaciół, znajduje się w specjalnym położeniu. Kobieta, otoczona troskliwością męża, nie mogła się stać nagle samodzielna w całkowicie zmienionych warunkach życia. Szukała moralnego oparcia i znalazła je. Inna rzecz, że to oparcie wielokrotnie odmieniało się w postaci różnych mężczyzn, ale to już całkiem inne regiony rozumowania.

Pierwszym znanym mi mężczyzną, który uległ wdziękom tej kobiety stał się pewien wąsaty kapitan, lat pona 40. Był jej wiernym opiekunem, uczciwie spełniał swoje obowiązki kochan<sup>ka</sup>, nie zważając na niewybredne żarciki kolegów. Kosztowało go to, poza znacznym wysiłkiem fizycznym, część przydziału cukru i chleba. Chudł więc biedaczysko w zastraszającym tempie. Zwracano na te konsekwencje jego uwagę, uprzedzano o skutkach, radzo<sup>no</sup> bez rezultatu. Był wiernym i stałym. Kochał podobno tylko platonicznie, bo pewno mu to zupełnie wystarczało.

Sielanka ta trwała przez jakiś czas, aż jakiegoś dnia jak piorun z jasnego nieba gruchnęła wieść, że pani S... zmieniła obiekt swych zainteresowań. Nieważne już było jak to przeżył nasz wąsaty kapitan i co było tej zmiany przyczyną.

Drugi opiekun pięknej pani zdaje się nie odpowiadał wymaganym warunkom. Jemu chyba nie odpowiadała miłość platoniczna, a taki nazbyt realistyczny stosunek znów jej nie odpowiadał. Przecież on napewno wolał sam skosztować biały chleb i cukier, wychodząc zresztą ze szusznego założenia, że w miłości jest konieczna dobra kondycja fizyczna. Widocznie piękne słówka i moralne pocieszenia nie dawały jej pełnego zadowolenia, bo rychło, co nie może być nic dziwnego, sielanka się skończyła.

A tu na widowni ukazał się wreszcie doktor i to doktor me-

dycyny o specjalności chorób nerwowych i psychiatrycznych. Zada-  
wało się, że to był już właściwy człowiek na odpowiednim stano-  
wisku. Złośliwi twierdzili, że był on "scyzorykiem chszczony",  
jako starozakonny, ja jednak skłonny jestem twierdzić, że był to  
raczej znakomity polityk, w znaczeniu dosłownym i przenośnym, ja-  
ko że odznaczył się działalnością "demokratyczną" na terenie obo-  
zu i chyba przy poparciu władz sowieckich.

Podobno kawaler. Dobrze sytuowany, bo to niby w szpitalu za-  
wsze łatwiej niż w praktyce prywatnej. W każdym razie, chociaż  
sam nie palił to chlebek trzeba było sprzedawać, a kupować pa-  
pierozy, jako że kulturalnej pani nie wypada kręcić z machorki  
skręty w grubym papierze gazetowym. No i <sup>w</sup> bibułce papierosowej  
nie tak śmierdzi. To samo i z cukrem. Cukier jednak jest bardziej  
potrzebny słabej kobiecie niż <sup>bo</sup> grubskórnemu mężczyźnie.

A tu rozeszła się pogłoska, że będziemy świadkami prawdzi-  
wego pierwszego ślubu w obozie. Ale okazało się to tylko parolem,  
czyli fałszywą plotką. Zamiast ślubu nastąpiła zmiana warty.

Zresztą już od pewnego czasu baczniejszy obserwator mógł  
zauważyć, że coraz częściej spotkać można było piękną panią w to-  
warzystwie melancholijnego blondynka, a coraz rzadziej z doktorem.

Jeden z dowcipnisiów zwrócił się do doktora z pytaniem.

- Słuchaj eskulapie, czyś ty aby nie przerwał dostawę cu-  
kru, bo o ile zauważyłem to pan k... /właśnie ten blondynek/,  
coś marnie wygląda.

Odsłona druga.

Nasze piękne panie zajmowały oddzielny barak, a ponieważ  
było ich stosunkowo niewiele, mogły się urządzić na każdej pry-  
czy oddzielnie pojedynczo, naturalnie na każdej z dwóch kody-  
gnacji.

Pomysłowość niewiast jest wprost niewyczerpana. Każda z nich  
starala się jaknajwykwintniej swoją garsonierę urządzić. Należy  
przyznać również władzom obozowym tę słuszną, że nie wkracały

zupełnie w organizację tego swoistego babińca. Trudno jest pojąć skąd one czerpały ogromny zasób różnych materiałów, jak koce, prześcieradła, wsypy itp. A trzeba podkreślić, że każdy pokój stanowił jednak azyl w stosunku do podobnych pomieszczeń sąsiednich. Można się wreszcie domyśleć, że nie bez powodu był wkładany taki zasób energii i inwencji. Wszak mimo braku wśród pań konkurencji, należało się pokazać z jak najlepszej strony przed gośćmi i to męskiego kształtu. Nie warto poruszać tu różnych kłopotów takich wizyt w sensie fizycznym czy materialnym. Ograniczone<sup>o</sup> przestrzeń, brak miejsca do siadania, a nie zawsze należało czy też można było prowadzić konwersacje<sup>e</sup> w pozycji leżącej, chociaż to nie byłoby takie nieprzyjemne.

Intymność panieńskich" saloników" uzyskano zawieszając niczym ścianki działowe, prześcieradła, silnie zamocowane do rusztowania pryczy. Jednym słowem - "jak tam było, tak tam było, ale jakoś się tam żyło" - głosi jakieś mądre przysłowie.

Nie wypada mi tu wkraczać w szczegóły skądinąd zupełnie prywatnych spraw ludzkich, w każdym razie trudno tu narzekać na słaby ruch. Proszę tylko, broń Boże, nie myśleć, że był to swego rodzaju dom publiczny - nic podobnego. Stwierdzam z całą powagą i odpowiedzialnością, że nie działy się tam żadne orgie, chociaż niejeden pan marzył wcale nie skrycie o takiej możliwości, ~~na~~ ~~nikim~~ Powiem, że wręcz przeciwnie, bo niemal w każdym przypadku nawiązywały się więzi bardzo trwałe, kończące się nierzadko zupełnie oficjalnym ślubem. Raz tylko zaszedł przypadek urodzenia dziecka, ale to sprawa przeszłości, jako że te dziewięć miesięcy sięgają poza ten obóz, którego czas trwanie liczone na niespełna siedem.

Odsłona trzecia.

A jednak to był prawdziwy oficjalny ślub.

Kapitan "Ronin", w cywilu Longin Wojciechowski, zakochał się



bez pamięci w jednej z pań imieniem Marysia, Chłopak miał teraz moc kłopotów i pracy, bo trzeba wiedzieć, że pełnił on w obozie odpowiedzialną funkcję głównego kuchmistrza. Zważywszy ile to inicjatywy należy włożyć dla pogodzenia i zaspokojenia potrzeb własnych, swej pani i całej społeczności obozowej, należy bezstronnie przyznać i ocenić niezwykle zdolności organizacyjne kapitana.

Było to wiosną 1946 roku. Nasz obozowy oltarz, na skutek niesprzyjającej pogody był nie wykorzystywany. Nadarzała się teraz doskonała okazja zorganizowania mszy polowej w powiązaniu z kościelnym ślubem.

Sam ślub odbył się zgodnie ze wszystkimi regułami gry. Prawdziwy ksiądz / znowu nasz kochany Józio/, odziany już teraz według wymogów liturgicznych, przy udziale aż sześciu ministrantów w białych komżach na zielonych żołnierskich mundurach.

Panna młoda w białych szatach i welonie oraz z wiankiem zieleni na głowce, nawet miała białe rękawiczki na rękach.

Pan młody w sznytowym mundurze oficerskim ze wszystkimi odznakami i akselbantami, obuty w prawdziwe oficerskie buty z cholewami.

Może jestem niesprawiedliwy, może niewłaściwie ujmuję te zjawiska, ale czuję niesmak i zawstydzienie powodu tej komedii, która w naszych warunkach robiła wrażenie tragifarsy. Nie mogę ustalić co mieliśmy przez to uzyskać, bo w żadnym przypadku nie było to podniesienie ducha patriotycznego.

Uroczystość ślubna zakończona została podpisaniem dokumentu - metryki przez ponad 250 świadków, w tym aż 30 kobiet, które z wielką radością oglądały to niecodzienne przedstawienie.

Odsłona czwarta

Napewno możnaby opisać wiele jeszcze odsłon, ale ograniczam się jeszcze tylko do jednej.

Oto gdzieś pod koniec maja odkrytym samochodem osobowym przywieziono do naszego obozu wytworną panią. Po krótkiej wizycie u prokuratora w komendzie<sup>zie</sup> wprowadzono ją na teren obozu. Szła dostojnie z małą walizeczką w ręce a za nią żołnierz sowiecki dźwigał aż dwie walizy. Sensacja była kolosalna. Zjawisko nieprawdopodobne. Ciekawość mieszkańców obozu niezmierna.

Zakwaterowano ją w baraku kobiecym, gdzie przyjaźnie zajęły się nią nasze panie.

Dopiero po kilku dniach informacje dotarły do nas, powtarzane z ust do ust. Bo też historia życia tej kobiety w swoich szczegółach była nader interesująca.

A więc państwo Korczyńscy, mieszkający od czasu rewolucji październikowej w 1917 roku we Francji, po drugiej wojnie światowej znaleźli się w skomplikowanej sytuacji. On, jej mąż musiał w swoim czasie emigrować z Rosji Radzieckiej, gdyż jako były oficer armii carskiej /podobno pułkownik/ uciekał przed represjami. Ona jego żona, była artystką śpiewaczką, jako kochająca żona dzieliła emigracyjne losy męża. We Francji urodziła dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, w wieku obecnie 14 i 16 lat.

Druga wojna światowa zakończyła się. Rosja święciła wielkie zwycięstwo. Państwo Korczyńscy, zżerani nostalgią postanawiają wracać do kraju, tym bardziej, że na zachodzie propaganda sowiecka zapewniała, że Ojczyzna czeka i powita z radością wszystkich synów marnotrawnych.

Korczyńscy zgłosili się w Paryżu w ~~in~~ Ambasadzie Sowieckiej, gdzie otrzymali "glejt" i pewną sumę pieniędzy na koszt przejazdu i wyżywienia. Wieziono ich I klasą pociągu do granicy z Polską, potem przesiadka na szerokie tory do II czy III klasy straszliwie zatłoczonego pociągu, którym wracali żołnierze rosyjscy z obozów niemieckich.

W Moskwie panu ex- pułkownikowi kazano wysiąść z dziećmi a

panią pułkownikową przywieziono najpierw do jakiegoś obozu pod Moskwą a potem do naszego obozu. Podobno w Moskwie oddzielono dzieci, które umieszczono w specjalnym domu dziecka, a tatę powieziono samochodem ciężarowym wprost do więzienia. W kilka miesięcy później żona otrzymuje wiadomość o śmierci męża na atak serca. O dzieciach nic nie wiadomo.

Śpiewaczka Korczyńska zadomowiła się wśród polskich kobiet, zadawała szyk, uprawiała handel wymienny na przywiezione w walizkach ciuchy. Zawsze pogodna, uśmiechnięta, całkiem poprawnie mówiąca po polsku, stała się również ulubienicą społeczności męskiej. Dała nawet kilka zupełnie udanych koncertów śpiewaczych przy akompaniamencie mandoliny czy bałałajki i ustnej harmonijki.

Ba! Nawet dwaj nasi oficerowie zakochali się na zabój w primadonnie, współzawodnicząc między sobą w okazywaniu jej specjalnych względów. Był również kochanek, ale to już ten trzeci, który skorzystał tam gdzie się "dwóch biło".

Tak by pewnie życie upływało pięknej pani gdyby nie niespodziewany jej wyjazd z obozu w nieznanym kierunku.

Na tym się zakończyła akcja czwartej odsłony.

Kurtynę piątej i dalszych odsłon podniesiemy może innym razem, chciałbym bowiem podać tu jeszcze kilka ciekawych zjawisk trochę odmiennej natury.

Fantazja ponosiła co bardziej uczuciowych i aktywnych, stając się wytworem wielu tak zwanych "paroli",

"Parole" - dziwne to słowo a może raczej pojęcie, które miało tutaj swoje specyficzne znaczenie. Żaden lingwista nie ustalił pochodzenia ani konkretnego znaczenia. Jest to po prostu językowe ułatwienie, a jego stosowanie było zupełnie przypadkowe.

Kiedys w pierwszych miesiącach naszego pobytu w tym obozie, ktoś, gdzieś, w jakiś niezrozumiały sposób stał się posiadaczem wiadomości o treści rozmowy między "zawiadajuszczim" kuchni i

sowieckim oficerem dyżurnym.

- Paliaki skoro ujeżdżają w radinu, tak i nada przigatawliat łagier"

- Jeszcze prikazu niet.

- Niczewo, prikaz uże jeść, tolko w komendanture... i tak dalej.

Ile w tym wszystkim było prawdy?

Niby ten kto słyssał klnie się, że to fakt, ale pozostawimy to jego sumieniu.

I oto wokół tych kilkunastu sków rozwija się cała legenda<sup>a</sup> powtarzana z ust do ust, urastając do miary historii czy bajki 2 tysiąca i jednej nocy. To że jest w tym wszystkim cała masa nie-dorzeczności, nie przeszkadza aby wielu uwierzyło w to święcie, a nawet emocjonowało się.

Naturalnie "parol" taki posiadać będzie swoje obywatelstwo do chwili pojawienia się nowego "parolu", wsparte go tak jak poprzedni o zasłyszana wieść.

- Panowie! Taki "parol"! - zawołał "Judasza", wykonując odpowiedni ruch ręką - Porcja cukru kto chce wiedzieć!

- Gadaaj... Gadaaj... - zewsząd krzyki.

- Urzńać mu brodę jeśli kłamię!

- Ciszka... Gadaaj... Słuchamy...

- Godzinę temu - mówi tajemniczo - do generałów /naszych/ przyszedł major Kozłoncew i powiedział, że wyjazd nasz do kraju nastąpi "skoro" i "nieożidano". Mówił, że obóz nasz włączony jest w ogólny plan repatriacji, że przez Riazan przejechał w drodze do Polski obóz z Saratowa itd.

Reakcja naszych "pensjonariuszy" - różna.

Trochę entuzjazmu, trochę kpiny, wiele nadziei, ogrom obaw, aby to się znów nie okazało fałszywe, dużo gadania.

Trzeba sprawdzić ile w tym parolu jest prawdy. Naturalnie znalazł się ktoś, będący w bliskich stosunkach z generałami.

No i okazało się, że owszem dzwon dźwięczał, lecz nie w tym kościele. Owszem było i "skoro", było i "nieożidano" - tylko z małym dodatkiem, cokolwiek zmieniającym sens.

A więc w dowolnym tłumaczeniu tak wyglądały słowa sowieckiego majora:

- Myślę, że tak jak wojna zakończyła się nieoczekiwanie, tak i wasz wyjazd do kraju może być prędko i nieoczekiwany.

Inne dodatki "parola" okazały się już uzupełnieniem zgodnie z fantazją "parolisty". Jasne, że niby wszyscy nigdy nie wierzyli w ten "parol", ale wystarczy popatrzeć na twarze, a odczytać łatwo zawiedzione nadzieje.

- Są trzy nowe "parole" - mówi na ucho "Mały Kapitan" - jeżeli chcecie mogę wam powiedzieć.

- Pewnie, że chcemy. Parole słucha się zawsze z przyjemnością, choćby one były wręcz niedorzeczne.

- No więc pierwszy. Jest <sup>(lista)</sup> obejmująca 130 oficerów, którzy zgłosili się na ochotnika do pracy. Mają ich wysłać gdzieś do pobliskiego kołchozu.

- Drugi. Do starego obozu w Riazaniu przywieźli 40 Polaków z obozu w Woroneżu. W tych dniach przyjdą do nas aby razem z nami jednym transportem jechać do kraju.

- A trzeci "parol"?

- Podobno ma przybyć komisja amerykańska celem angażowania Polaków z Armii Krajowej do legii cudzoziemskiej.

- To wszystko. Chyba wystarczy na dzisiaj.

- Napewno wystarczy... i tak będzie tematów do dyskusji.

Dość późno wypadła w tym roku 1946 - Wielkanoc. Było to 21 kwietnia. Nastroje minorowe. Żadnych widoków na przyszłość.

Wielkie słowo tak wielkie jaką jest "Wielkanoc"

Słowo, posiadające ogrom treści szczególnie gdy się znajdujesz półtora tysiąca kilometrów od granic twego Kraju, ~~gdz~~ gdy jesteś oddalony takimi przestrzeniami od rodziny, od wolności, gdy wokół rozciągnięto rzędy drutów kolczastych, a lufy karabinów maszynowych spoglądają nie tylko do środka obozu ale przenikają do wnętrza twej istoty.

Wielkie to słowo, słowo - symbol, obejmujący swymi skrzydłami wszystko to co się obok ciebie dzieje i co przeżywa dziś twoje serce. Słowo - zniewalające wyobraźnię do sięgania daleko poza jakiegokolwiek granice. Znajdziesz w nim i ból i rozkosz, rozpacz i rezygnację, zwątpienie, a wszystko to przeplatane odrobiną nadziei i przemożną wolą przetrwania.

Do późna w nocy, w Wielką Sobotę szeleszczą ciche, szepcąc prowadzone rozmowy. Prycze i te górne i te ~~górne~~ <sup>dolne</sup> niełatwo ulegają uśpieniu. Już gdzieś niegdzie daje się słyszeć wspaniałą "orkiestra chrapunów", którzy znękanymi nawalą wspomnień pograżyli się we śnie i dają znać swoim towarzyszom, że wszystkie złe myśli toną w niepamięci snu.

Nie przeszkadza to jednak dalej ciągnąć rozmowy, a na twarzach, gdyby było widniej, ujrzałbyś głęboki wyraz smutku i troski. Nie strach, nie ból, nawet nie rezygnacja, lecz właśnie smutek i troska.

Nie myśl o nich źle, drogi czytelniku. Ten smutek nie wypływa z tęsknoty za pięknie zastawionymi stołami świątecznymi, nie martwi ich brak tradycyjnych wódek i ciast. Beznadziejność położenia dominuje nad ich stosunkiem do otaczającego świata.

A może te krótkie lapidarne zdania będą wyrazem wewnętrznych przeżyć przepojonych zdradliwą nostalgią. Niedopowiedziana w zdaniach tych myśl jeszcze bardziej pogłębia zawarte w nich uczucia.

- U nas tam jest już zupełnie ciepło...

- Jakaż jest u nas piękna wiosna... tutaj przemija tak

niepostrzeżenie...

- W tej chwili piją za twoje zdrowie...
- A może modlą się za twoją duszę?....
- A może tam... też radości i wesela niewieje?...
- Jakżeż pięknie wyglądają drzewa okryte kwieciami...
- Czy mają co jeść?...
- A czy my tutaj nie jesteśmy rzadziej głodni niż oni...

Takie to i podobne sprawy są trścią myśli biednych wygnańców.

Dzień dzisiejszy, bardziej niż inne dni, zbliża nas wszystkich do kraju i nigdy chyba jeszcze w swoim życiu nie będziemy odczuwać tak głęboko miłości do Ojczyzny i nigdy tak silnie opadowała nas nostalgia - ta choroba, która najsilniejszy charakter złamać potrafi.

Nawet piękne w swej treści kazanie księdza Józefa Prejsera, wygłoszone nazajutrz na uroczystej polowej mszy świętej, nie przyniosło uspokojenia, chociaż niejednemu słuchaczowi łzy wycisnęło z oczu.

Zresztą w tych warunkach nikt się łez nie wstydy, one nie są wyrazem słabości, one potwierdzają szlachetność uczuć, one nie osłabiają ducha lecz przeciwnie - hartują nasze dusze.

Zapewne osądzisz drogi czytelniku te kilka zdań jako zbiór sentymentalnych paradoksów. Gdybyś chociaż<sup>a</sup> nawet niedługi okres przeżył w niewoli, nie dziwił~~abyś~~ się temu. To jest właśnie treść i wyraz wewnętrznych przeżyć w zbiorowisku ludzi pozbawionych wolności.

W miarę wzrostu temperatury na zewnątrz wznowione zostały wyprawy "fachowców" do Riazania.

I znów rozkwitał handel wymienny, a do obozu docierały tak różnorodne materiały, że częstokroć przekraczało to jakąkolwiek fantazję. Oto któregoś dnia jeden z członków grupy "fachowców" przytaszczył pęk zagadkowego drutu. Okazało się, że były to stru-

ny wymontowane z pianina czy fortepianu, który odkryli nasi chłopcy w ogromnych drewnianych skrzyniach przy torach kolejowych. Struny te zostały zużyte przez domorosłego lutnika przy budowie instrumentów muzycznych. Niespodziewanie ukazały się śmiesznego kształtu gitary i mandoliny. Podobno próbowano zbudować wiolonczelę, ale niestety eksperyment się nie udał, bo zabrakło końskiego włosia na wykonanie smyczka.

Gdzieś w początkach maja 1946 roku przywieziono do obozu trzech generałów, których uprzednio wywieziono z obozu Diagiewa. Witaliśmy naszych wodzów entuzjastycznie. Coś to jednak musiało znaczyć, że połączono generałów z ich żołnierzami.

Wypadki potoczyły się w przyspieszonym tempie.

Do komendatury sowieckiej wezwano kapitana Tomasza Zana, pseudonim "Borek". Długo go tam trzymano, aż wreszcie ukazał się nam po kilku godzinach, trzęsący się cały, z oczami pełnymi przerażenia. I nas ogarnął niepokój i przerażenie, jakby za chwilę miało się stać coś nagłego i groźnego.

Przyjaciele powiedli "Borka" do baraku, przed którym zgromadził się cały tłum ludzi. Nareszcie kapitan się opanował i wyrzucił z siebie jedno tylko zdanie

- Jadę do Polski!

To wzburzyło nas jeszcze bardziej, a na tłum podziałało tak przygnębiająco jakby to miało zwiastować głębokie nieszczęście.

- Przedstawili mi rozkaz NKWD o mianowaniu mnie komendantem transportu reemigrantów z naszego obozu, których lista złożona ze 132 nazwisk znajdowała się w komendanturze.

132 osoby na zgórą 1600 ludzi w obozie to nikły procent, ale dający niewielką nadzieję każdemu. Jakie też będą kryteria przyjęte przy doborze tych nazwisk.

- Na dzisiejszym - mówi "Borek" - wieczornym apelu całego obozu ma być ta lista odczytana. Ani jednego nazwiska nie udało



mi się rozszyfrować. Zresztą i tak to nicby nie dało.

A oto i apel.

Na majdanie czworobok zmasowanych mieszkańców obozu. Każdy barak, stanowiący organizacyjnie "rotę", był zgrupowany oddzielnie.

Kompletna cisza zaległa na majdanie gdy komandir łaziera w towarzystwie kilku oficerów NKWD zaczął odczytywać nazwiska i imiona. Z naszej kompani-baraku padło tylko jedno nazwisko - Luto Wacław, z innych kompanii oficerskich czterech czy pięciu ludzi, reszta to przeważnie żołnierze lub cywile.

Ogłoszono, że "tawariszcz Stalin" pozwolił na powrót do Kraju 132 Polakom, a ich komendantem aż do granicy z Polską ma być kapitan Tomasz Zan.

No i koniec zabawy. Czyż nie był uzasadniony pierwotny lęk? Przecież każdy z nas chciałby się na ogłoszonej liście znaleźć. Teraz pozostało już tylko przygotowanie listów do rodziny, aby chociaż w ten sposób poprzez wybranych szczęśliwców przekazać wiadomość o sobie. Miał to być pierwszy sygnał dla rodziny jakby z tamtego świata.

Podaję treść takiego listu, który przekazałem Luto dla doręczenia. List ten datowany przeze mnie 28 maja 1946 roku dotarł do Suwałk 18 lipca tego roku. Luto bowiem, nie mogąc osobiście doręczyć, włożył kartkę moją do nowej koperty, zaadresował i wysłał pocztą.

Polska

m-to Suwałki

ul. 3-go Maja

Apteka

Janina Drewnikowska - dla Eugenii Płaskiej.

O ile zamieszkuje w Wilnie, w przeciwnym razie proszę przesłać list na prawdopodobnie znany Panu jej adres w

Polsce.

Kochana Gieniu i kochany synku Jureczku!

Już od dwóch lat nie mam od Was żadnej wiadomości, mimo że starałam się z Wami skomunikować. Mam nadzieję, że żyjecie i jesteście zdrowi. Myślę o Was i niepokoję się. Zapewne Jerzy przez te dwa lata wyrósł i dzielnie pomaga mamusi, bo przecież jest mężczyzną, który niczego się nie boi. Przedewszystkim jestem pewny, że Jerzy jest posłuszny mamusi i nie powoduje jej zmartwień, gdy tatuś powróci Jerzemu podziękuje, o bardzo podziękuje. Gieniu, wierzę, że jesteś i będziesz dzielną aż do końca. Los, który nas doświadczają nie jest zły, gdyż da on i Tobie i mnie hart, który pozwoli nam osiągnąć powodzenie w dalszym naszym życiu. Zdaję sobie sprawę doskonale jak Ci ciężko pokonywać trudności, wiem ile samozaparcia musisz ujawniać aby nie popaść w zniechęcenie. Niepokoję się wprawdzie, lecz nie popadam w rozpacz znając Ciebie wiem, że co postanowisz - osiągniesz. Nie wiem czy ten list do Ciebie dotrze, piszę jednak na wszelki wypadek. Cóż ja Ci mogę o sobie napisać? Mógłbym wiele pisać, lecz najważniejsze tylko, że jestem cały i zdrowy, fizycznie czuję się dobrze, psychicznie dzięki panowaniu nad sobą trzymam się dobrze, myślę, że syn mój ojca swego wstydić się nie będzie. Obiecują nam, że wkrótce nas wyślą do Polski. Chcemy im wierzyć i czekamy, może wreszcie się doczekamy. Znajdujemy się w obozie internowanych Polaków NAWD Nr 178 pod Riazaniem, razem z półtora tysiąca kolegów. Ducha i humoru nie tracimy mimo tak wielkiej odległości od Ojczyzny. Kończę, przesyłam Wam kochani wiele najserdeczniejszych ucałowań i czekam. Listów do mnie nie piszcie. Ze mną jest Ciecierski Józef. Całuję Was Henryk. 28.V.46. zawiadomić o tym rodzinę.

List dotarł do adresata mimo, że nie było ich ani w Wilnie, ani w Suwałkach. Dotarł on przez moich rodziców w Warszawie.

Już dawno przebrzmiały echa wyjazdu grupy polskiej do Ojczyzny. Nie mieliśmy żadnych sygnałów o losach tych wybrańców.

A tymczasem życie obozowe powraca do swego normalnego toku.

Ogródki działkowe wewnątrz obozu pięknie się zazieleniły, ba nawet i zbiory witaminy C w postaci szczypiorku i natki pietruszki mogły być dokonane. Właściciele po całych dniach "pracowali" na swych ogródkach, bacznie obserwując się nawzajem, nie z obawy kradzieży lecz by zapobiec wdeptaniu w ziemię z takim trudem wyhodowanych roślinek.

Ale za to ogródki działkowe poza drutami usytuowane w odległości około 300 metrów, na niewielkim wzniesieniu, stanowiły dla nas doskonały obiekt obserwacji stosunków społeczno-gospodarczych w Rosji w tym okresie.

W samym środku terenu przeznaczanego pod uprawę przez działkowiczów miejskich, w najwyższym punkcie wzniesienia stał niczym pomnik niewielki ciągnik spalinowy. Zdawało się, że lada moment ktoś uruchomi maszynę aby zaorać i zbronować teren pod zasiewy. Moment ten jaknak jakoś od kilku dni nie następował.

Któregoś dnia, a była to chyba niedziela, wcześniej rano zajechał na te ogródki działkowe ogromny samochód ciężarowy. Zaróko się od ludzi, wśród których przeważały kobiety i dzieci.

Mogłoby się wydawać, że piszący te słowa sili się na dowcip względnie rozsądza go uczucie złośliwości, niby akt zemsty za traktowanie nas przez sowiecki reżim.

Ale to tylko rzeczowistość, która otwierał się przed naszymi oczami, odsłaniając bezmiar zakłamania.

Bo oto traktor stał sobie spokojnie na wzgórku, a w jego pobliżu odbywała się ceremonia uprawy ziemi, tych właśnie ogródków. Nawet tutaj duch "kołchozów" zupełnie wyraźnie wystąpił w działaniach ludzi radzieckich, gdy każdy z dwóch przywiezionych pługów został zaprzężony do gromadki kobiet, zaś stary mężczyzna

stanął przy drążkach pług. Kobiety zarzucały na plecy i piersi pętlę grubej linki i ciągnęły do przodu przy chóralnym skandowaniu. Oracz zagłębiał lemiesz pług w ziemię i wolniutko cały korowód postępował do przodu. Nieuwzględniano żadnych granic między poszczególnymi działkami, więc sądzić należało, że wytyczenie ich odbędzie się po całkowitym zaoraniu i zgrabieniu. Trzeba przyznać sprawiedliwość, że opisane roboty były wykonywane w nastroju raczej pogodnym, bo słychać nawet było z daleka dochodzące wybuchy wesołości i śpiew.

Trwało to aż do zachodu słońca.

Załadowali się wszyscy ze ~~z~~ ze swoimi narzędziami na czekającą na nich samochód i ~~wyjeżdżając~~ śpiewem odjechali do Riazania. Jeszcze kilka dni po południu odbywały się takie działania, aż w końcu wszystko ucichło.

Wiadomość gruchnęła jak piorun z jasnego nieba. Zawrzało w całym obozie. Przed bramą wjazdową zatrzymała się piękna limuzyna i wysiadła z niej elegancka pani w towarzystwie wyższej rangi oficera sowieckiego. Rozejrzała się po okolicy, dokładnie zlustrowała twarze zebranego tłumu i wolno weszła do wnętrza komendantury. Ponad pół godziny trwało oczekiwanie na dalszy ciąg zdarzenia.

Z budynku komendantury wyszedł oficer NKWD i szybkim krokiem przeszedł do baraku-2 kompanii.

- Juri Litwiniuk! - zawołał

W głębi baraku, ze swego barłogu wygrzebał się chłopaczek, szczuplutki, o wesołym usposobieniu, przeciągnął się, a ujrawszy oficera sowieckiego, powtarzającego jego nazwisko, pyta:

- Chto chcesz? Ty moj liuby tawariszcz?

- Chadzi... Mać tiebia żduć...

- Paszoł k czortu... - i odwrócił się, poszedł na swoją pryczę.

Krótką konferencją z kapitanem Martinim Stanisławem przekonała młodziutkiego podchorążego o wiarygodności objawienia sowieta.

Poszli we dwójkę. Jerzyk jednak nie ujawniał entuzjazmu ani radości. Coś mu się w jego rozumowaniu nie zgadzało. Z pewnym ociąganiem się wszedł do budynku komendantury.

A oto jego prawdopodobna relacja.

- Zaprowadzono mnie do "gabinetu" oficera politycznego - "prokurora", gdzie przed stolikiem siedziała właśnie moja matka. Poznałem ją natychmiast, chociaż nie chciałem wierzyć własnym oczom. No bo skąd ona tutaj? Naturalnie odbyło się serdeczne powitanie, ze ściskaniem i płaczem, oglądaniem siebie nawzajem. Oficer wyszedł z pokoju, dyskretnie pozostawiając nas samych.

Nareszcie! Mogliśmy spokojnie przystąpić do rozmowy. Nie było czasu na rozpamiętywanie zaistniałej sytuacji. Matka moja, nie wiem jakimi drogami i przy jakim poparciu zdołała dotrzeć do mojego miejsca pobytu. Mało tego, uzyskała rozkaz zwolnienia mnie z obozu.

Moja mama kazała mi natychmiast zbierać się do wyjazdu. Tego już dla mnie było za dużo. Spokojnie, zupełnie już opanowany przeżytym szokiem, oświadczyłem kategorycznie, że nie mam zamiaru swoich kolegów opuszczać, zostaję bezwzględnie w obozie i proszę ją aby mnie nie namawiała. Może wracać do kraju. Ja ją napewno tam w odpowiednim czasie odnajdę.

Ucałowałem<sup>m</sup> matkę serdecznie, pożegnałem i wróciłem do swojego baraku.

Jeszcze raz przychodził oficer sowiecki i namawiał Jureczka, ba, prosił kapitana Martiniego by przekonał go do wyjazdu - nie odniosło to żadnego skutku.

- Tylko siłą mogą mnie stąd zabrać - odpowiadał na wszystkie usiłowania.

A tłum obozowiczów stał w niewielkiej odległości od bramy,

aż do chwili gdy do stojącego tam samochodu wsiadła pani Litwiniukowa w towarzystwie rosyjskiego oficera.

Wielka dyskusja rozgorzała w środowisku polskich oficerów. Jedni podziwiali hart woli młodego podchorążego, ini uważali go za gupca, a jeszcze inni tylko tego żalowali, że nie można będzie skorzystać z okazji aby przesłać kilka grypsów do Kraju. Dyskusje toczyły się przez kilka dni, biedny Jureczek był naga-bywany przez kolegów, którzy często z braku delikatności zadawali mu niezawiniony ból psychiczny. On zresztą sam miał wiele tego dnia wątpliwości czy słusznie postąpił.

Już po powrocie do Polski, gdy przypadkowo spotkałem go w Warszawie, nawiązał do tamtych czasów. Był zawsze przekonany, że jego decyzją pozwalała mu wtedy jasno przedstawić swój stosunek do bezprawia ze strony władz sowieckich. Obecnie, w Kraju, Jerzy Litwiniuk jest znanym i cenionym poetą, publikującym swoje wiersze satyryczne i liryczne w tygodnikach warszawskich. Jego matka była lekarzem, zdaje się - pediatrą.

A to już lipiec 1946 rok. Dwa lata mija od czasu naszego aresztowania w Wołkorabiszkach. Aż dwa lata czy tylko dwa lata, bo ileż różnych sytuacji zdarzyło się w tym czasie. Ile jeszcze czeka nas niespodzianek.

Jako się wyżej rzekło, czy to ze zględu na zabicie czasu, czy aby uzupełnić braki wyżywienia, każdy z nas co bardziej przedsiębiorczy szukał jakiegoś możliwego zajęcia, któreby chociaż w penym stopniu <sup>spelniały</sup> jego zamierzenia.

Ja za swoje rękodzieła grawerskie otrzymywałem chleb i cukier, część konsumowałem "na pniu", pozostałość odkładałem względnie zamieniałem na inne dobra. Część cukru naturalnie, zgodnie z umową z Witkiem kisielom - jemu oddawałem.

Mój sąsiad na górnej pryczy zdobył gdzieś druty, na których robił skarpety i rękawice z włóczki uzyskanej z poprutego swe-

tra starego. W tej robocie osiągnął niepr<sup>a</sup>wdopodobną wprawę, wykonywał na zamówienie, co mu pozwoliło zjeść codziennie o jedną porcję chleba więcej.

Kupiłem i ja za dwie pajdki chleba cały jeszcze zupełnie dobry sweter, bez rękawów, pięknie go spr<sup>u</sup>żyłem i wólczkę przekazalem ~~Vacłowi Łato~~<sup>Stefanowi Soboci</sup>, który po tygodniu, za cenę dwóch dalszych pajdek i dwóch kostek cukru oddał mi parę ciepłych skarpet i wspañiałych rękawic. ~~Wziąto się to jeszcze przed jego wcześniejszym wyjazdem do Polki~~. Wspominam o tym, bo jeszcze w swoim czasie wrócę do historii z rękawicami.

A jak już jestem przy tranzakcjach handlowych, to nie od rzeczy będzie wspomnieć o zegarku i butach.

Jeszcze przed wojną istniał zawód czy zajęcie komiwojażera, wykonawcy którego spełniali wielce pożyteczną funkcję dostarczania do domów różnych cennych rzeczy i to często na raty. Przeważnie byli to Żydkowie.

Taką drogą kupiłem zegarek naręczny "Cyma" - renomowanej firmy szwajcarskiej. Kosztował mnie ten sprawunek aż 12 złotych i to na ~~raz~~ sześć miesięcznych rat po 2 złote, po które każdego pierwszego zgłaszał się ów Żydek. Ostatnią ratę zapłaciłem dnia 1 sierpnia 1939 r. i stałem się pełnoprawnym właścicielem. Cały czas służył mi bez zarzutu do momentu gdy dostał się do rąk dozorców więziennych na Łukiszkach. Przestał chodzić, spełniając tylko rolę dekoracji na ręce.

Przyczepił się jakiś kuchcik chcąc koniecznie ten zegarek ode mnie kupić. Tłumaczyłem mu, że zegarek nie chodzi, że trzeba go zreperować, ale on <sup>się</sup> tym nie czuł zupełnie zniechęcony. Gdy mi zaproponował za niego oficerskie buty z cholewami, ustąpiłem, wyrażając zgodę na taką zamianę. Okazało się <sup>potem</sup>, że mój zegarek został sprzedany jakiemuś rosyjskiemu oficerowi, a te buty miały również swoją historię, o której opowiem <sup>na</sup> dalszych stronach tych

wspomnień.

Jeszcze o jednej tranzakcji warto tu wspomnieć, bo wydaje się być dość symptomatyczna.

Po pewnym okresie udało mi się odziożyć aż 6 pajdek chleba. No cóż, mogłem je zjeść sam, ale jakaś magia handlowania kazała mi szukać korzystnej wymiany.

Na jednej z dalszych prycz znajdował się na górnym piętrze porucznik Józef Ciecierski, nota bene rodzony brat znanego aktora Jana Ciecierskiego. Józef był w cywilu olbrzymem, wagi ponad 100 kg, ale tutaj robił wrażenie don kichota. Był potwornie chudy i słaby, no bo pożywienie, szczególnie dla niego było gorzej niż skromne.

Stałem obok jego pryczy z kimś rozmawiając, gdy usłyszałem stłumiony głos Ciecierskiego.

- Kolego Płaski, chciałbym z wami pogadać, mam dla was pewną propozycję.

Wdrapałem się do niego na górę i słucham.

- Wiecie... ja nikomu nie zwierzałem się... chcę was o coś prosić...

- Słucham, walcie śmiało...

- Mam przy sobie, doskonale zamelinowane dwa funty angielskie. W normalnych warunkach to duża forsa. Dwa funty warte są siedem dolarów, a za te dolary można było i teraz chyba będzie można na wolności wiele kupić. Ja zrezygnowałem z zamiaru dowiezienia tych pieniędzy do Polski.

- Chcę wam zaproponować - ciągnął po krótkiej przerwie - taką tranzakcję: oddam wam te dwa funty angielskie w zamian zobowiązujecie się dać mi 8 pajdek chleby, po jednej pajdce co drugi dzień, czyli w okresie pół miesiąca.

- No więc jak to widzicie? Możecie takie zobowiązanie



podjąć? Ja was bardzo proszę o wyrażenie zgody. Czuję, że jedy-  
ny to dla mnie ratunek, bo inaczej się wykończę.

- Zgoda. Jedno tylko zastrzeżenie. Pienią<sup>a</sup>dze zatrzymacie  
do czasu wręczenia wam ostatniej umówionej pajdy chleba - odpo-  
wiedziałem, zastanawiając się nad moralną stroną tej transakcji.

Natychmiast przekazałem mu dwie porcje chleba, jako potwier-  
dzenie zawartej umowy. Rozczulające były wylewne podziękowania  
Józia Ciecierskiego, z którym przy wtórze łez w oczach dokona-  
liśmy aktu "bruderszaftu", przechodząc na ty.

Na marginesie pragnę podać, że Józio, mając studia uniwersy-  
teckie w cywilu był z zawodu cukiernikiem, prowadząc wy<sup>i</sup>pek i  
sprzedaż wyrobów cukierniczych w mieście Suwałki.

Kto to był Mścisław Prawdziec?

Strasznie mi przykro i nawet teraz gdy to piszę mam głębo-  
-kie wyrzuty sumienia na wspomnienie tego człowieka.

Po prostu nie wiem. Nie był to żołnierz z terenu Wileńszczy-  
zny. Wspaniały to człowiek, lat około 30, o postawie sportowca,  
jasny blondyn z długimi włosami.

Ten to młodzian zapalał ku mnie jakąś irracjonalną sym<sup>pa-</sup>  
-tją. Spotykaliśmy się niemal codziennie, dyskutowaliśmy o wazy-  
-stkim, ale nigdy jakoś nie mówiliśmy o naszych sprawach rodzin-  
-nych. Niewiele<sup>by</sup> tego było, bo Mścisław był samotnym, którego ma-  
-tka i ojciec zginęli pod gruzami zwanego domu. Miał dziewczyn-  
-ę, ale nie była to szczęśliwa miłość. Gdy był zmuszony uciekać  
z Warszawy do oddziałów partyzanckich w kieleckie, ona zdążyła  
zakochać się w innym i wyjść za niego za mąż.

Co do mnie to naturalnie mówiłem mu o żonie i o moim uko-  
-czanym synku Jureczku. Szczególnie często wracaliśmy do mego sy-  
-na. Wspomnienia były przepojone ogromnym uczuciem. a nierzad-  
-ko i łzy w oczach nie pozwalały nam snuć opowieści. Radek, bo  
tak dla uproszczenia nazywaliśmy Prawdzieca, wiernie sekundował

opowiściami z mojego życia.

Tak się złożyło, że wokół tych tematów skupiło się całe grono najbliższych przyjaciół. Raz gdy każdy z nas już opowiedział o swoich najbliższych pozostawionych w Ojczyźnie, Radek wystąpił z ciekawą ale nieprawdopodobną propozycją.

- Kochani - powiada - i co tu biadolić. Musimy stworzyć wiekopomne dzieło, aby mogło przetrwać tę naszą głupią niewolę.

Zaciekawienie całego towarzystwa osiągało zenitu.

- Oto mój projekt:

Opracujemy utwór - balladę, adresowany do małego Jurka, syna naszego przyjaciela Henryka. Zresztą może się to odnosić również do każdego polskiego chłopca.

Chodzi teraz tylko o podział zadań.

Proponuję:

1. Całość organizacyjna spoczywa w rękach Henryka.
2. Strona techniczna, a więc dostawa papieru, tuszu, płótna itp - Wacław Luto.
3. Strona autorska, utwór poetycki - Mścisław Prawdziec
4. Ilustracje - "Wujek" Witek Kiewlicz
5. Druk a więc pisanie tuszem - Władzio Gortyński
6. Oprawa i zszycie egzemplarza - Wacio Luto.

Jeżeli niema innych wniosków - to pozostaje tylko przystąpić do roboty. Ustalamy, że ze względów praktycznych, wymiar książeczki nie może być większy niż 10 x 14 cm, aby łatwiej można ją było ukryć przy ewentualnej rewizji.

Pierwszą czynnością, obarczającą projektodawcę było napisanie ballady, ocena przez cały Zespół Redakcyjny. oraz zaakceptowanie do druku.

Nie będę na tym miejscu szczegółowo omawiał przebieg wszystkich prac, wymieniał, zdawałoby się nie do pokonania trudności technicznych, zwłaszcza przy zdobyciu papieru i tuszu.

Treść ballady podaję w części aneksowej tych wspomnień.

Oryginał tego dzieła udało mi się przemyścić aż do Polski, i tutaj uroczyscie wręczyłem go memu synowi. Oryginał ten jest przechowywany pieczołowicie do dzisiaj przez mego syna.

"

Zatrucie rybami kilkunastu "pensjonariuszy" zdecydowało, że w całym obozie zawrzało jak w ulu. A było to tak.

Pierwszy raz zdarzyło się, że przywieziono do obozu i przekazano transport ryby do kuchennego magazynu. Nie były to te znane nam już małe rybki "komsa-komsa", ale normalne słodkowodne ryby zasolone. Nie wiem w jakim one były stanie, zapach nie zapowiadał jakichś nieprzyjemnych konsekwencji. Żadnego referendum odnośnie przygotowania do spożycia nie było.

Zapowiadało się niezłe żarcie, bo tego towaru przywieziono sporą ilość. Tylko, że zanim to doszło do naszych żołądków, to połowa a może i więcej ugrzęzło po drodze w całej masie pośredników.

Na obiad tego dnia mieliśmy zupę rybną t.zw. "ucha", w której w kilku miskach pływały nawet kawałki mięsa. Domieszka ~~jak~~ jakiejś kaszy i trochę kartofli spowodowały pewną zawiesistość tej zupy.

W kilka godzin po takim obiedzie połowa stanu kuchcików i cały stan magazynierów znalazł się w izbie chorych, gdzie przeprowadzono im intensywne płukanie żołądków. Wszyscy oni na skutek tego, że pomoc nastąpiła stosunkowo szybko, mogli już po kilku godzinach wrócić na swoje prycze. Gorzej wyglądała sprawa z całą masą obozowiczów. Niemal każdy z nas odczuwał silne bóle brzucha, które stopniowo ustępowały.

Ale kilkudziesięciu ludzi tak się zatruciło nieświeżą rybą, że mimo płukania żołądka pozostawali na izbie chorych przez kilka dni, a był nawet przypadek śmierci. Nieboszczyka pokryjomu

w nocy władze sowieckie wywiozły poza ogrodzenie obozu i tam gdzieś pochowano bez udziału naszych towarzyszy ani księdza i bez odpowiedzialnych egzekwii.

Długo jeszcze możnaby obserwować snujące się po majdanie postacie polskich żołnierzy, wyraźnie osłabionych fizycznie. Wydaje się, że i na Sowieców padł blady strach, bo jak za dotknięciem różdżki poprawiło się wyżywienie, a wieczorem była nawet prawdziwa herbata.

*maja 1947 roku*  
W połowie ~~lipca~~, zupełnie niespodzianie gruchnęła wiadomość, że od jutra cały bez wyjątku obóz przystępuje do głodówki. Pożywienia nie będziemy przyjmować aż do czasu przybycia przedstawicieli NKWD z Moskwy.

Po doświadczeniach z poprzedniego obozu nie tworzyliśmy żadnej organizacji ani nie wybieraliśmy delegatów. Do głodówki przystąpiono po prostu spontanicznie. Władze obozowe już ~~na~~ w godzinę po czasie fasowania suchego rannego prowiantu z magazynu dokładnie były zorientowane o całej akcji, ale nie miały z kim rozmawiać. Nawet nie próbowano likwidacji tego buntu we własnym obozowym zakresie.

Bo też tym razem głodówka obejmowała cały obóz, udział w niej wzięło około 2000 ludzi, nie tylko żołnierzy ale również przebywających tu cywilów, cały obóz polski ujawnił ~~króć~~ <sup>króć</sup>ową determinację.

Wyjątek stanowiła, jak w poprzedniej głodówce w obozie w Diagielewie, grupa Polaków, którzy byli zatrudnieni w kuchni i magazynach. Było ich nie więcej niż 20 osób. Nasi kuchenni demokraci korzystali z okazji, bo przecież zaistniała sytuacja dla uzyskania większej oszczędności w żywności. Szczególnie mięso wołowe, które stało się głównym przedmiotem pożądania.

Podczas gdy tam w obozie, na pryeczach ich koledzy omdlewali z głodu, oni urządzali w kuchni orgie w spożyciu różnego

rodzaju mięsiwa. Były tam befsztyki, gulasze, kotlety, sztuka-  
mięś z dodatkami.

Ale los ich ukarał. Oto w trzecim dniu głodówki stało się  
nieszczęście. Na skutek czy to nadmiaru spożycia mięsa, czy też  
jego nieswieży sta<sup>n</sup> może zatrucie, cała polska obsługa kuchni  
plus trzech podoficerów sowieckich, a co ciekawsze i dwie panie  
z pośród głodujących, nagle zachorowało na ni<sup>e</sup>strawność żołądka.  
Tych ponad 20 osób umieszczono natychmiast w lazarecie, podając  
ich zabiegom kilkakrotnego p<sup>i</sup>ukania żołądka. Lekarze twierdzili,  
że tylko dzięki takiemu natychmiastowemu działaniu ~~nie~~ udało się  
uratować żarliwom życie. A było to już drugie w tym miesiącu za-  
trucie pokarmowe.

Nie obyło się z tego powodu bez represji ze strony władz so-  
wieckich w obozie. A odegrały w tym rolę donosy anonimowe jakoby  
o zbrodniczym zatruciu mięsa przez głodujących Polaków. Posadza-  
no o otrucie nawet personel lekarski - kilku lekarzy, dwóch sa-  
nitariuszy i jedną "siostrę". Zostali oni aresztowani i osadze-  
ni w bunkrze na całe dwie doby. Aresztowanie objęło również kil-  
ku polskich oficerów, a ~~wśród~~ wśród nich był mój przyjaciel Olek  
Wasilewski - "nowalski" vel "Olesiński"

Odmówił on jakichkolwiek/zeznań, co miało stanowić dodatkowe  
obciążenie i dowód tego idiotycznego posądzenia.

Olek, przebywając w "bunkrze" trwał w głodówce nie przyjmując<sup>e</sup>  
żadnego pokarmu, mimo że nie<sup>e</sup> znał rozwoju sytuacji w obozie.  
Kilka<sup>k</sup>rotnie przychodził do bunkra oficer sowiecki z wiadomością  
o przerwaniu przez obóz głodówki ale na ich wyraźne kłamstwa sie-  
dzący tam oficerowie nie reagowali. Dopiero po zakończeniu gło-  
dówki nasi oficerowie oddelegowali do siedzących w bunkrze po-  
rucznika Janusza Łozakiewicza, który w tym czasie pełnił obowią-  
zki komendanta na miejsce aresztowanego Olka. On to dopiero prze-  
konał ich by zakończyli głodowanie.

Major "Olesiński" przerwał ten koszmarny protest i wyczer-

pany fizycznie został przez kolegów odprowadzony do baraku.

Jak się okazało w śledztwie, o czy żeśmy się dowiedzieli w drodze poufnej, to transport wołowiny był do obozu przywieziony w stanie zepsutym, nawet w jakimś innym obozie wystąpiły masowe zatrucia ludzi. Tak czy inaczej można przypuszczać, że zarówno sama głodówka jak i w szczególności zjawisko zatrucia miały wpływ na przyspieszenie rozwiązania naszego obozu.

I tu jak w poprzednim obozie protest głodówkowy przeciągnął się aż siedem dni.

Ale oto zjawiają się niespodziewanie przed budynkiem komendancantury dwie potężne limuzyny, z których wysypuje się chyba z dziesięciu sowieckich oficerów. Co jeden to grubszy, a to znak, że to wysokie "fisze", może być wśród nich nawet generał NKWD. Po krótkiej naradzie w komendanturze cały sztab przemaszerował przez teren obozu, udając się do pomieszczenia naszych generałów. Tam widocznie przekonano naszych wodzów jakimiś argumentami bo zostali do nich wezwani major Mościcki i major Wasilewski, którzy przekazali polecenie naszych generałów natychmiastowego przerwania głodówki, chociaż już od niej odstąpiliśmy. Podali nam do wiadomości, że obóz ten będzie w ciągu jednego tygodnia zlikwidowany a internowani Polacy stopniowo będą skierowani do Kraju.

Jeszcze tego dnia trzech naszych generałów, kilku majorów i kilkunastu starszych stopniem oficerów zostało zabranych przez przybyłych dygnitarzy sowieckich, bez żadnej eskorty zbrojnej, co żeśmy odebrali jako dobry znak i wiarygodność ich zapewnień.

Dalszą historję podaję teraz według relacji majora Wasilewskiego po jego powrocie do Polski.

Na początku października 1946 roku zaszedł fakt o historycznym dla nas znaczeniu. Do obozu został przywieziony "generał Wilk" - Aleksander Krzyżanowski, nasz partyzancki dowódca Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego Armii Krajowej.

Przybył tu do nas prosto z więzienia w Moskwie.

On to zrelacjonował mi cały przebieg swojego aresztowania w Wilnie przed koncentracją oddziałów Armii Krajowej w puszczy Rudnickiej.

A było to tak.

~~W momencie~~ <sup>W momencie</sup> największego nasilenia walk o Wilno, kiedy należało ustalić wzajemne stosunki między nadchodzącymi wojskami radzieckimi a uważającymi się za gospodarzy na polskich ziemiach zorganizowanymi oddziałami Armii Krajowej - w takim właśnie czasie - opowiada generał "Wilk" - ja, w towarzystwie sztabu znajdowaliśmy się w ustalonym<sup>m</sup> miejscu dowodzenia w Wołkorabiszkach.

Było to 17 lipca 1944 roku. W rannych godzinach, między 10<sup>00</sup> a 11<sup>00</sup> gdź, na kwaterze mojej zameldował się radziecki oficer łącznikowy, który zażądał bezpośredniej rozmowy z dowódcą Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego Armii Krajowej, generałem "Wilkiem".

Przyjąłem go w obecności mego adiutanta majora Cettysa- "Sława", który był jednocześnie zastępcą szefa Sztabu Okręgu. Major Cettys na początku 1944 r. został zrzucony z Londynu z zadaniem nawiązania kontaktu ze sztabem dowódcy Okręgu Armii Krajowej.

Oficer łącznikowy oświadczył na wstępie w imieniu dowódcy frontu Białoruskiego Armii Czerwonej, generała Czerniachowskiego, że dowódca radziecki pragnie pilnie rozmawiać ze mną i zaprasza do swojej kwatery w Wilnie.

Postanowiłem spotkaniu temu nadać urzędowy charakter, występując jako strona dla <sup>pr</sup>traktacji w sprawie dalszego udziału oddziałów polskich w walkach z Niemcami.

Nadarzyła się nawet okazja, bo w tym momencie zajechał przed domek piękny "mercedes" z polskim żołnierzem za kierownicą. Z auta wysiada jeden z moich podwładnych, dowódca I-go Zgrupowania, major "Olesiński" A. Wasilewski.

Jak się okazało był to zdobyczny samochód po uciekających Niemcach, którzy porzucili go na drodze z powodu jakiejś niezna-

cznej usterki. Przypadek zrządził, że drogą tą wiejską furmanką jechał major "Olesiński" w towarzystwie swego adiutanta i dwóch partyzantów. Pobieżne oględziny fachowca, którym okazał się być jeden z jego żołnierzy, pozwoliły na natychmiastową naprawę i uruchomienie. Bak był szczęśliwie wypełniony benzyną.

Na skutek usilnego nalegania rosyjskiego oficera łącznikowego oraz jego nacisku na pospiech zgodziłem się jechać w towarzystwie "Sława" potężną czarną sowiecką limuzyną.

Byłem przekonany, że nasz wywiad, bez specjalnego rozkazu, zorganizuje skuteczną osłonę mojej osoby jako delegata strony polskiej, ale tak się nie stało, a skutki były nieodwracalne.

No więc pojechaliśmy w tempie przyspieszonym do Wilna, do siedziby generała Czerniachowskiego. Kwatera i miejsce dowodzenia znajdowały się w piętrowej willi przy ulicy Kościuszki 16 na Antokolu.

Przed budynkiem powitał nas oficer radziecki w stopniu generała, prosił chwilę poczekać, a następnie wprowadził mnie i "Sława" do dużej sali na parterze willi.

Ogromne biurko dębowe stało w pobliżu okna z lewej strony od wejścia. Za biurkiem siedział w polowym mundurze, bez żadnych odznak, dystynkcji i orderów, jak się domyślałem generał Czerniachowski, a pod ścianą za biurkiem stali wysokiej rangi czterej oficerowie.

Zajęliśmy miejsca na przygotowanych krzesłach <sup>przed</sup> biurkiem, "Sław" położył na biurku teczkę ze schematami organizacji polskiej dywizji.

Zagałem, przerywając dość napiętą ciszę, przedstawiłem nasz projekt i warunki udziału polskich oddziałów w dalszych walkach, przy tym wskazałem na położoną na biurku teczkę.

Generał Czerniachowski, z ponurym wyrazem twarzy, nie spojrzął nawet na nasze dokumenty, podniósł się z fotela, oparł się na blacie biurka, spojrzawszy groźnie przerwał moje wywody.



- Nikakawo dogawora nie budiet. Pa paruczeniu sowieckawo prawitielstwa ja dożen was obiezoružit.

Spojrzałem machinalnie na stojącego obok mnie majora "Sława" i widzę jak jego prawa ręka sięga do kabura. Jasne było, że jeszcze moment i może się stać coś strasznego. Kładę rękę na jego ramieniu nakazując zachowanie spokoju.

Zwracam się do generała Czerniachowskiego i wypowiadam formułę:

- W imieniu Władz Naczelnych Rzeczypospolitej Polski zgłaszam zdecydowany protest, a wobec brutalnej przemocy składam osobistą broń.

Major "Sław" złożył rękę na biurku swój rewolwer.

I w tej właśnie sytuacji wykazało się karygodne niedopatrzenie służb wywiadowczych przy sztabie Okręgu. Przez kilka dni ani zebrani na odprawie w Boguszech dowódcy Zgrupowań i dowódcy Brygad Partyzanckich, ani inni dowódcy i żołnierze, zgodnie z moim rozkazem znajdowali się już na koncentracji w rejonie Puszczy Rudnickiej, nie wiedzieli co się stało ze mną.

A tymczasem po paru dniach przebywania w areszcie w willi generała Czerniachowskiego, każdy z nas dwóch oddzielnie zostaliśmy przewiezieni do siedziby NKWD przy ulicy Ofiarnej w Wilnie.

Naturalnie na odprawę w Boguszech w dniu 19 lipca nie stawiłem się, a o przebiegu zdarzeń w Boguszech dowiedziałem się dopiero ~~XXX~~ dopiero w obozie w Ciepielewie-Diargielewie.

Po aresztowaniu mnie w Wilnie przez NKWD przebywałem od lipca 1944 roku aż do przybycia w październiku 1946 roku do obozu w Ciepielewie w różnych więzieniach Związku Radzieckiego, a do tego obozu przywieziono mnie wprost z więzienia w Moskwie

Na tym urywa się historia w relacji "Wilka". Dalsze jego dzieje podam w relacji majora Wasilewskiego w następnym tomie tych wspomnień.

Powracam do mojej opowieści.

W kilka dni po wywiezieniu generałów i starszych oficerów, zwołano wszystkich oficerów młodszych, których zebrało się ponad 300 osób. Odczytano nazwiska na placu i polecono przygotować się do wyjazdu.

I znów kolumna polskich oficerów ze swoimi "wieszczami" pod pachą stała przed bramą wyjściową z obozu oczekując dalszych kolei losu.

Było w nas wiele nadziei na zakończenie tej gehenny w niewoli, ale pewności nie mieliśmy. Już tyle razy nas oszukano, że i teraz nikt się nie entuzjasmował nowymi posunięciami sowietów. Na razie władze sowieckie nie puszczały farby odnośnie następnego etapu stojącej przed nami drogi. A jednak ciekawe co znów wymyślili nasi prześladowcy. Podjechało kilkanaście samochodów ciężarowych pod plandekami, do nich pod nadzorem bojców lokowano nas. I tu znów coś zastanawiającego, oto tym razem nie było żadnej rewizji ani w barakach ani osobistej. Nie odebrano nam naszych pamiątek i notatek. Chyba jednak to dobra wróżba.

Na stacji Diagielewo oczekiwał nas cały "eszelon" wagonów towarowych i tu odczuwało się znacznie łagodniejsze traktowanie podróżnych. Wprawdzie ławek ani żadnych siedzeń w wagonach nie było, ale tych 30 do 40 ludzi mogło się zupełnie znośnie na podłodze wagonu ulokować.

Opuszczaliśmy obóz w Ciepielewie pod Riazaniem. Obóz, który na szlaku naszego marszu ku wolności stał się jeszcze jednym kozmarnym wspomnieniem. Nasze skojarzenia rzeczywistości i fantazji przybierały tam wtedy formy czasem wręcz tragiczne. Teraz znów, mimo że niejednokrotnie wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały kierunek "wolność", to podświadomie opanowywał nas lęk przed czymś niespodziewanie złym, ba nawet obawa śmierci niejednego z nas nawskroś przenikała.

Rozpoczynamy więc następny, nieznanym etap, którego począt-

kiem ma być podróż w nieznanym kierunku i ku nieznanemu przes-  
znaczeniu.

A jednak, gdyśmy się głębiej zastanawiali nad zmianami na-  
szego położenia, nad stosunkiem władz sowieckich i warunków  
fizycznych i psychicznych zależnie od miejsca przebywania w  
różnych obozach - musieliśmy zauważyć zupełnie widoczne oznaki  
niewielkiej wprawdzie ale wyraźnej poprawy sytuacji o jakiś ma-  
leńki stopień w miarę przenoszenia coraz do innego obozu.

Czuliśmy podświadomie, że czekająca nas teraz podróż, nie  
doprowadzi nas do upragnionej wolności, to mieliśmy <sup>a</sup> nadzieję,  
że przyniesie jakąś poprawę naszego bytu i przybliży do końca  
nasz los wygnańców.

HENRYK PŁASKI

O F I C E R O W I E

A R M I I K R A J O W E J

W R I A Z A N I U

TOM V.

P O W R Ó T

=== ! ===

WARSZAWA 1979 r.

V. P O W R Ó T

Rozdział 13. Czerepowiec -

- obóz jeńców wojennych

14. Droga do Polski

15. W mojej Ojczyźnie

Rozdział 13. C Z E R E P O W I E C- k/ WOŁOGDY- Obóz jeńców wojennych /już nie internowanych/.

30 czerwca 1947 roku.

Gdzieś na bocznych torach stacji kolejowej Diażielewo stoją otwarte puste wagony towarowe. Na sąsiednim peronie, powierzchnia którego jest porośnięta wysoką trawą, w pobliżu tego eszalonu /pociągu/, siedzą lub leżą setki młodych naogół ludzi, ubranych w wojskowo podobne bluzy, spodnie, w różnego rodzaju obuwiu na nogach.

Jest już dobrze po południu, grzeje jednak słońce pozwalając na rozleniwiające oczekiwanie.

W pobliżu tej grupy nie widać żadnych straży, chociaż przy dokładnej lustracji można zauważyć w pewnej odległości, opartych o pojedyncze drzew bojców.

Ogólny nastrój wśród czekających raczej ospały. Apatia wpływająca z trudności uzyskania jakichkolwiek informacji porębia ten nastrój.

Dopiero koło północy coś się zaczyna dziać. Wielokrotnie powtarzający się stukot buforów oraz przeciągłe gwizdy parowej lokomotywy przerywa błogą drzemkę. Wszystkie oczy zwracają się momentalnie na drgające jeszcze wagony, ale całkowita ciemność nie pozwala rozwiązać tej zagadki. Następuje znów cisza trwająca kilka godzin, aż do pierwszego brzasku, kiedy to można już zobaczyć jak przy każdym wagonie ustawiło się po dwóch żołnierzy rosyjskich z pepeszami w rękę.

Zarządzono zbiórkę w dwu szeregu, kazano odliczyć po piętnaście dwójek i grupami po 30 osób odprowadzano do poszczególnych

nych "ciepłuszek"- wagonów towarowych. Drzwi wagonów nie były domknięte, a pozostawiona szpara pozwalała na swobodną obserwację świata zewnętrznego.

Na wszystkie pytania z naszej strony bojcy pozostawali nie-  
mi, nie wydając z siebie żadnych dźwięków. Podziwialiśmy tę tak  
doskonałą tresurę.

Być w wagonie to nie znaczy jeszcze odbywać podróż, cały  
dzień czekaliśmy stłoczeni w tej "ciepłuszcze" na ruszenie z miej-  
sca pociągu. Naturalnie pozbawieni byliśmy normalnego pożywie-  
nia, otrzymaliśmy jedynie ranny przydział prowiantów, to znaczy  
pajdkę chleba, odrobinę margaryny, dwie kostki cukru i 5 papie-  
rosów. Cały ten przydział spożyliśmy jednorazowo na śniadanie,  
mimo perspektywy całodziennego ścisłego postu.

Z bocznicy stacji kolejowej Diagielewo wyrusza pociąg póź-  
nym wieczorem po to aby po przebyciu kilku kilometrów zatrzy-  
mać się na dworcu i tam czekać na wolną linię. Trwało to do na-  
stępnego wieczora, kiedy to wydawało się, że nie będzie już  
przeszkód w dalszej drodze. Było to już 1 lipca 1947 roku.

Według promieni wschodzącego słońca mogliśmy stwierdzić,  
że jedziemy na północ, nie mieliśmy już żadnych złudzeń aby to  
był kierunek - Polska.

Trudno sobie wyobrazić aby w drodze do kraju wieziono nas  
w tak skandalicznych warunkach. wszystko wskazywało na to, że  
jedziemy do nowego obozu gdzieś na dalekiej północy, o ile kie-  
runek w czasie podróży nie ulegnie nagłej zmianie, aby powieźć  
nas na Syberię. No ale zobaczymy co będzie dalej.

Na razie pociąg nasz posuwał się niczym żółw, pokonując le-  
niwie szlak naszej drogi. W wagonach senna cisza, kilka par oczu  
spogląda przez szparę uchylonych drzwi obserwując niezamieszka-  
łe naogół przestrzenie. Po tylu latach wspólnego przebywania  
brakowało tematu do prowadzenia rozmów, a najmniej już podejme-

wania dyskusji. Sytuacja nasza raczej usposabiała do pesymistycznych przewidywań, bez słabego nawet promyka nadziei.

Już sześć dni trwa to wleczenie się pojazdu po torach kolejowych. Minęliśmy wiele różnych myłych stacyjek, raczej przystanków kolejowych o fantastycznych nazwach, nie do zapamiętania. Nie było po drodze żadnej znanej z literatury miejscowości. Na niektórych stacyjkach odbywały się wielogodzinne manewry naszego pociągu. Przecinaliśmy w poprzek wiaduktem lub w tunelu szeregi ważnych traktów drogowych i linii kolejowych. Coś to jednak znaczyło. Napewno znajdowaliśmy się w pobliżu jakiegoś ogromnego miasta.

Na jakimś przystanku, dróżnik kolejowy puścił wreszcie farbę, gdy na nasze pytania w rosyjski języku, odkrzyknął: Moskwa! No więc mieliśmy już niemalże pełną orientację, potwierdzoną w pewnym momencie widokiem w znacznej odległości gęsto stojących budowli. Tak — okrążamy od strony zachodniej stolicę Związku Radzieckiego. Szóstego dnia podróży odczytaliśmy nazwę stacji kolejowej, która cokolwiek nam mówiła — Zagorsk. Znaczący geografii twierdzili, że jest to miejscowość leżąca na północ od Moskwy w odległości od niej około 100 km. Jedziemy więc teraz na północ i to nie w stronę Leningradu lecz w kierunku Wołogdy. Ano ~~złaz~~ zobaczymy co będzie dalej.

Minęło znów dwa dni gdy na jakiejś małej stacyjce, bez zatrzymania się na niej pociąg nasz nagle skręcił w prawo i pojedynczym torem wjechał w głęboki, wysokopienny las. Zrobiło się zupełnie mroczno mimo wczesnej jeszcze godziny popołudniowej. Pociąg nabierał szybkości, rzucając wagonami na boki po nędznych torach.

Nagle zgrzyt i pisk hamulców, wjeżdżamy na ogromną polanę i zatrzymujemy się w szczerym polu. Robi się szybko ciemno. Zmrok zapada z minuty na minutę. Na zewnątrz słychać jakieś



rozkazy, pokrzykiwania i nawiwoływania się. Robi się co raz gęś-  
ciej od żołnierzy sowieckich. Pociąg nasz w krótkim czasie zosta-  
je otoczony bojcami, którzy stojąc w pobliżu wagonów ciekawie  
ogłądają wychylające się twarze dziwnych podróżnych.

I znów, jak kiedyś w drodze z Polski, na stacji, której na-  
zwa głęboko się wyryła w naszej pamięci - katyń, tak dzisiejszej  
nocy zimne dreszcze przenikały nasze ciała. Zimny pot spływał po  
piersiach pod koszulą, jakiś nieokreślony strach zamknął nam  
usta, nie mogliśmy ani słowa wypowiedzieć.

Tylko myśli migały nam niczym błyskawice przed oczami, na-  
suwając makabryczne obrazy. Cisza panowała wokół. I tę ciszę na-  
gle przerwał przytłumiony ryk syreny fabrycznej. To był moment  
odprężenia nerwowego. Tak - ryk, to była świadomość, że oprócz  
naszego pociągu znajduje się tu jakiś zakład przemysłowy, a więc  
są i ludzie i to był właśnie moment, który zmuszał nas jaśniej  
spojrzeć na świat, moment, który przerwał koszmarną ciszę, wywo-  
łując ogólny gwar przyciszonych rozmów.

Brzyśk na tym pięknym świecie zastał nas niemal wszystkich  
głęboko śpiących. Nerwowe odprężenie i poważny stopień wyczerpa-  
nia fizycznego były przyczyną tak beztroskiego snu.

Skowyt odsuwanych drzwi wagonów i gromki okrzyk żołnierza  
postawił nas natychmiast na nogi.

- Wychadi!... wychadi!...

Pojedynczo wyskakujemy z "ciepłuszek", rozglądamy się wokół  
prostujemy kości i mięśnie i zaciągamy się do nieprzytomności  
świeżym, leśnym powietrzem. To było wspaniałe - nie odczuwać  
strachu i mieć wokół siebie wysokopienny las. Bo nawet obecność  
kilku uzbrojonych żołnierzy sowieckich nie psuło ogólnego nastro-  
ju. Tu na tej polanie, przed otwartym wagonem otrzymujemy fasunek  
prowiantu na trzy dni, a zaraz potem żołnierze rosyjscy przytaska-  
li duże gary słodzonej herbaty.

Świat się kończy! Chyba wracamy do domu.

Uczta ta trwała do południa.

kolejny stukot buforów biegnący od tylnych wagonów wskazywał na to, że parowóz doczepiono z drugiego końca pociągu i że jazda odbywać się będzie w przeciwnym kierunku.

Czy aby nas zabiorą?

Minęło dalszych kilka godzin kiedy znów ukazała się zgraja uzbrojonych żołnierzy, krzykiem zachęcających do zajmowania miejsc w wagonach.

Pociąg ruszył i pognął znów w nieznanym kierunku.

Gdy mijając małą stycyjkę pociąg nasz znalazł się na trasie dwutorowej, dalsza jazda odbywała się w szybkim tempie. Już nie czekaliśmy po kilka czy kilkanaście godzin na otwarcie semafora.

Udało się nam odczytać nazwy kilku dworców kolejowych, co pozwalało ustalić wyraźny kurs na północ.

Jarosław, jakiś kolejowy most nad szeroką rzeką, Sierzda, Lubim, Grazowiec, Wołogda, Szekszna. końcowym przystankiem była stacja Czerepowiec.

9 sierpnia 1947 roku, w godzinach rannych zostaliśmy "wygrużeni" na peronach stacji kolejowej Czerepowiec, znajdującej się w samym środku miasta tej samej nazwy.

Bez chwili zwłoki ustawiono nas na ulicy przed budynkiem dworcowym, w kolumnie trójkowej i poprowadzono przez całe niemal miasto. Powolny marsz przez miasto pozwalał na obserwację otoczenia. Miasto Czerepowiec miało charakter małego miasteczka. Nie pamiętam byśmy po drodze spotykali budynki dwupiętrowe. Przeważała zabudowa niska, parterowa z mansardami lub jednopiętrowa z obszernymi balkonami. Do każdego niemal domu wchodziło się przez ganki lub tarasiki.

Ciekawe, żeśmy idąc po jezdni ulic nie spotkali ani jednej osoby, natomiast w oknach, z poza firanek wyłaniały się zaciekawione twarze. Robiło to jakieś niesamowite wrażenie. Albo miesz-

kańcy są tak wycwiczeni aby przy każdym przemarszu jeńców kryć się lub też widok ten jest dla nich tak powszechny, że nie warto na to zwracać uwagi.

Minęliśmy miasto i wyszliśmy bitą drogą na wolną przestrzeń. Jeszcze tylko parę kilometrów i ukazała się nam charakterystyczna sylweta obozu jenieckiego. I znów zbliżamy się do ogrodzenia z drutu kolczastego w kilka <sup>u</sup> rzędów, z bocianami i reflektorami na wyżkach.

Droga naszego marszu prowadziła wzdłuż ogrodzenia, kilkakrotnie zmieniając kierunek zgodnie z biegnącymi drutami i "bocianami". Z zainteresowaniem oglądaliśmy ruch wewnątrz obozu i zabudowę szeregu baraków drewnianych, wśród których wyraźnie gdzieś w oddali wyróżniał się murowany budynek dwupiętrowy, z czerwonej cegły i charakterystycznych oknach więziennych. Pomiedzy barakami poruszały się pojedyncze postacie, przy czym ruch ich znamionowało otępienie i ospałość. Ich ubiór a szczególnie czapki miały wyraźny <sup>nie</sup> niemiecki charakter, zresztą nie wszystkie ich głowy posiadały nakrycia.

Oddział nasz został zatrzymany przed szeroką ażurową bramą, która natychmiast otworzyła swoje podwoje wpuszczając nas do wewnątrz.

Powitanie było krótkie.

Oficer sowiecki, w stopniu chyba majora, wygłosił nam takie oświadczenie:

- Nu wot! Wy zdieś w łaziere wajenno plennyh! Budiete imiet asobnuju czast. Zdies budiete zdat na waszu oczeredź k wyjezdzie w Polszu!

Odczytywano kolejno nazwiska, a wywołani ustawiali się w drugiej kolumnie.

Bojców przy nas nie było, poza kilkoma sierżantami, ale za to gromada niemieckich <sup>jeńców</sup> niewolników ciekawie nam się przyglądała.

Poprowadzono nas drózkami między barakami, przed którymi

na ławkach spoczywali żołnierze niemieccy. Dosliśmy do dwóch czy trzech obszernych drewnianych baraków, ustawionych szczytem do drogi, a każdy z nich posiadał w szczycie drzwi i dwa okna. Przed barakami znajdowały się ławy. Nikt nie potrzebował nam mówić co mamy dalej czynić. Rozpraszaliśmy się od czoła kolumny i wkraczaliśmy do środka.

Jakoś to wszystko dziwnie wyglądało. Znajdujemy się przecież w obozie dla jeńców wojennych i to zniechędzonych hitlerowców, a pomieszczenia były znacznie przyzwoitsze w porównaniu z naszymi poprzednimi siedzibami, które wszak przeznaczone wówczas dla były dla internowanych i sojuszników armii. Cóż - na terenie tego państwa zdarzają się nazbyt często najdziwniejsze zjawiska.

Zrezygnowany <sup>w</sup>rzuciłem swoje rzeczy na pierwsz<sup>e</sup> z brzegu legowisko, na parterze, nie zwracając zupełnie uwagi ani na sąsiada ani na wyposażenie pryczy. Wszedłem na zewnątrz zupełnie psychicznie pogiębiony, z kompletną pustką w głowie. Żadne myśli, ani złe ani dobre nie zaprzętały umysłu. Była już późna, nocna godzina.

Ktoś oznajmił, że zbliża się północ, chociaż siedząc na ławce przed barakiem mogłem zupełnie swobodnie czytać gazetę. Noc była jasna jak lekko pochmurny dzień, mimo że na niebie nie znajdziesz śladów księżyca. Bo była to jedna z "białych nocy" podzwrotnikowych, przecież znajdujemy się na tym samym równoleżniku co Leningrad.

Podobno dla przeżywających pierwszy raz okres "białych nocy" łączy się to z jakimś szokiem psychicznym, w którym występuje głębokie przygnębienie i smutek. W każdym razie pustka w mojej głowie nie miała tendencji wzbudzenia jakiegokolwiek zainteresowania. Siedziałem tak bezmyślnie kilka godzin i nikt mi w tym nie przeszkadzał; dopiero pierwsze promienie słońca ponad dachami baraków pobudziły do jakiegoś działania.

A do zrobienia było niemało.

Życie potoczyło się teraz według normalnego stylu obozowego. Podział dnia na okresy między posiłkami to piętno naszego bytowania. Zupełnie inaczej przedstawiała się perspektywa życia kulturalnego. Zaczęło ~~xxx~~ ono właściwie niemal całkowicie zanikać. Wszystkie dotychczasowe stosunkowo bogate intelektualne przejawy, zapoczątkowane na terenie poprzednich obozów straciły podstawy z uwagi na zupełną zmianę sytuacyjną i rozproszenie ludzi po różnych obozach.

Topografia obecnego miejsca odosobnienia, niby podobna do poprzednich, posiadała jednak zupełnie odmienny charakter. Wynikało to chyba z połączenia na terenie jednego obozu wielu nacji, jak Niemców, Węgrów, Polaków a nawet Japończyków.

O jakiejś integracji tych narodowości nie było mowy, bo przeszkodę zasadniczą stanowiła odmienność języka, nie mówiąc o zrozumiałych animozjach politycznych.

Obóz w Czerepowcu robił wrażenie małego miasteczka o charakterystycznym dla tego rodzaju miejsc w układzie samej zabudowy, którą stanowiły parterowe, przysadziste, drewniane baraki. Przestrzeń zajęta dla rozmieszczenia tych prowizorycznych budynków była stosunkowo wielka, a całość, jak się wyżej rzekło, ogrodzona podwójnym szeregiem słupów oplecionych gęsto drutem kolczastym. Wokół ogrodzenia ustawione w odstępach co 100 metrów wysokie bociany ze wszystkimi urządzeniami potrzebnymi dla skutecznego pilnowania jeńców.

Cały obszar obozu w planie miał kształt dużej litery "L", zaś wnętrza tej litery, już poza drutami była zajęta na sportowe boisko piłki nożnej, Trudno się domyśleć jakie to miało prawdziwe przeznaczenie, chociaż czasem napewno było wykorzystywane.

Podana tutaj topografia obozu jest raczej <sup>ar</sup>oparta na pewnych przesłankach intuicyjnych, a więc dopuszcza w opisach jak<sup>oś</sup>ś dozę

fantazji. Materiał pamięciowy dotyczy usytuowania głównych obiektów takich jak baraki Polaków, Węgrów i Japończyków, świetlicy kuchni oraz bram wejściowych. W żadnym przypadku plan tu naszkicowany nie rości sobie pretensji do odtworzenia dokładnej sytuacji.

Punktem centralnym obozu była świetlica, o której podam trochę szczegółów na następnych stronach. Tylko jeden raz Polacy mieli kontakt z pomieszczeniami tego budynku.

Kilka placów, zwanych majdanami, spełniało rolę miejsc na apele, które odbywały się na zasadzie alarmu w absolutnie nieokreślonym czasie i porze dnia i nocy. Takie apele zresztą były zwoływane przeważnie dla poszczególnych nacji i to w przypadku jakiegoś przestępstwa dokonanego przez jeńców względnie ujawnionej ucieczki.

Budynki gospodarcze, a więc magazyny odzieżowe, żywnościowe, kuchnie znajdowały się w pobliżu głównego wejścia do obozu. W tym rejonie był usytuowany budynek dla załogi rosyjskich żołnierzy i władz obozowych. Obok, w niewielkim baraku mieściła się komenda niemiecka, a skład tej jednostki to sami esesmani, wprawdzie nieuzbrojeni ale posiadający pałki gumowe i co charakterystyczne wyposażeni w kilka wyszkolonych psów policyjnych.

Gdzieś tam w tej okolicy znajdował się długi i obszerny barak mieszczący w sobie przychodnię lekarską i izbę chorych.

Nasze baraki były zlokalizowane na samym skraju od strony, zdaje się, zachodniej, ustawione szczytami do ogrodzenia. Wejścia do tych baraków znajdowały się w przeciwległych szczytach.

Obóz w Czerepowcu był miejscem odosobnienia wybitnie jenieckim, a więc stanowił zbiorowisko wziętych do niewoli żołnierzy wojsk nieprzyjacielskich.

Co w tym obozie robili polscy żołnierze i oficerowie z ruchu oporu - sam Pan Bóg chyba wie tylko, a już w żadnym przypad-

ku ten nieszczęśliwy polski lud. Niby nasze polskie środowisko formalnie znajdowało się na terenie wydzielonym z ogólnego obszaru obozu, ale to można uznać w sferze teorii, bo trudno tu było doszukać się jakichś różnic. Mieliśmy całkowitą swobodę poruszania się po całym terenie obozu, mieliśmy więc możliwość poznać warunki bytowania innych narodowości.

Na wprost drzwi z naszych baraków, w odległości około 50 m. znajdował się szalet o typowych dla obozów sowieckich urządzeniach. Jedynym luksusem były tu sedesy w postaci wyciętych w grubym szerokim balu otworów, a każde miejsce było oddzielone za pomocą jednej poprzecznej deski, nie i cały ~~szalec~~ <sup>szalet</sup> był dokoła obudowany ścianką z desek a nad głowami względnie szczelny dach. W ścianach szaletu znajdowało się kilka drzwi zamykanych na drewnianą zapadkę. Mówię o tych szczegółach szaletu gdyż wiąże się to z pewną historią, którą zamieszczam dalej.

Niemcy. Najliczniejsza część mieszkańców z pośród wszystkich nacji. Liczbę zamkniętych tutaj niewolników określa się na około 10.000, co nie znaczy, że ilość ta wyczerpuje cały kontyngent zarejestrowanych w tym obozie wziętych do niewoli niemieckich żołnierzy. Obóz bowiem stanowił przejściowy etap powiązany z pewnego rodzaju rekonwalescencją. Można przypuszczać, że liczba Niemców przebywających w tym obozie była zaledwie trzecią częścią zakwaterowanych, zaś reszta znajdowała się w okolicznych lasach przy wyrębie drzewa. Rotacja grup roboczych następowała w okresach dwóch ~~tygodni~~ lub trzech tygodni, to znaczy, że kilka tysięcy ludzi wychodziło z obozu pozostawiając zwolnione przychodzących z lasu na ich miejsca. Część tych powracających trzymała się na nogach względnie dobrze, większość jednak ledwie powłóczyła nogami, wielu miało podwiązane głowy brudnymi szmatami, opuchnięte twarze pokryte ciemnym od kurzu i brudu zarostem, niektórzy szli podtrzymywani przez towarzyszy. Obraz ten w swojej istocie był potworny, ale na nas Polakach nie wywierał

większego wrażenia. Kojarzyło się to nam z masami ludności cywilnej, kobiet, dzieci i starców, pędzonych przez zdziczałych żołdaków hitlerowskich. Traktowaliśmy obserwowane sceny jako rewanż za ich bestialstwa na terenie Polski.

Ale i tutaj zła krew nas zalewała gdyśmy obserwowali dalszy tok tej niemieckiej historii.

Zakotłowało się niesamowicie we wszystkich niemieckich barakach. Sanitariusze mieli pełne ręce roboty przy przenoszeniu zupełnie wyczerpanych "nadludzi" na noszach do lazaretu. Wielu z nich nie doczekało następnego dnia, a umarłaków zawiniętych w prześcieradła wnoszono poza bramę obozową, gdzie czekały już ciężarowe samochody.

Pozostali przez kilka dni otrzymywali specjane odżywcze porcje, składające się z gorącej tłustej zupy grochowej lub kapuśniaku. Otrzymywali oni zwiększone porcje chleba białego, margaryny, śledzi itp. Nawet na kolację otrzymywali oną gotowaną kraszoną jakimś tłuszczem kaszą.

Te wszystkie smakowitości wzbudzały naturalnie uczucie zazdrości wśród pozostałej masy ludzkiej, natomiast nie były przyjmowane z entuzjazmem przez samych delikwentów.

Wytworzyła się u Niemców ciekawa filozofia na tle całej akcji odżywiania. Było stwierdzonym faktem, że w okresie rekonwalescencji, z pośród powracających z lasu wybierano około 200 ludzi, których stan fizyczny nie gwarantował dojścia do zdrowia w takim stopniu aby mogli znów wyruszyć na wyrąb drzewa. I byli to właśnie ci szczęśliwcy, którzy składali się na transport do "~~na~~ Vaterland". Naturalnie wielu z nich w drodze do domu umierało w wagonie towarowym i zostało pochowanych koło torów kolejowych. A jednak iluzja szczęśliwego powrotu do rodziny wytworzyła jakiś bezrozumny kompleks.

Bo proszę sobie wyobrazić, że w czasie rekonwalescencji moż-





Nasze kontakty z nimi miały charakter towarzyski zgodnie z hasłem "... dwa bratanki..." Językiem porozumiewania się był jednak niemiecki, bo węgierski był dla nas nie do osiągnięcia.

Japończycy - to nacja o charakterystycznych cechach narodowych. Ich ambicja i swoiste poczucie honoru stanowiły stałe źródło różnych nieporozumień z władzami sowieckimi. Nie uznawali oni w żadnym stopniu obozowych władz sowieckich. Nie uznawali oni w żadnym stopniu władz niemieckich, a czasem dochodziło nawet do ostrych starć, nie tylko słownych. Byli natomiast wysoce zdyscyplinowani we własnym środowisku. Próby rozbicia jedności i dyscypliny poprzez wyuskiwanie zakonspirowanych oficerów nie przyniosły żadnych wyników. Zawsze znajdował się jakiś wyższy szarżę żołnierz japoński, który potrafił podporządkować wszystkich swoim rozkazom. A były to częstokroć zaskakujące rozkazy.

Raz na przykład, na skutek wyfasowania zepsutej ryby zespoł Japończyków przerucił przez druty ogrodzenia cały fasunek chleba, co spowodowało momentalnie zgromadzenie się przed drutami obywateli radzieckich, którzy rozchwytywali tak drogiecenny produkt. O innych ekscesach żołnierzy japońskich krążyły różne opowiadania.

Właściwie to cała władza obozowa należała do Niemców. Mieli oni, jak się rzekło, własną ~~organizację~~ organizację władzy, a ba, posiadali nawet wydzielony budynek komendantury niemieckiej, w którym znajdowały się ekskluzywne pomieszczenia dla zakwaterowania ich funkcjonariuszy. Podobno warunki wyżywienia w stosunku do ogólnie panujących w obozie były luksusowe, ale to było otoczone tajemnicą. Niewielu ich tam było. W każdym razie starczyło na ciągłe patrolowanie z psami wokół obozu po jego zewnętrznej stronie. Łociany jedna były obsadzone wyłącznie przez doskonale uzbrojonych sowietów.

Wtedy w trakcie nawiązania rozmowy z żołnierzami niemiecki-

mi poruszano temat nadzorców niemieckich wyczuwało się blady strach na ich twarzach, a jedyna odpowiedź to słowo "gestapo", Tak to władze sowieckie potrafiły wykorzystać dla swoich celów i potrzeb znieawidzoną ogólnie organizację przestępców.

xx Tak się jakoś dziwnie składało, czy= może tak to ustawie-  
no, że my Polacy nie mieliśmy żadnych kontaktów z niemiecką  
komendą.

Życie w naszym baraku płynęło ~~xxx~~ ospale z dnia na dzień,  
bez żadnych niespodziewanych wypadków. Nie bardzo wiem z czyjej  
inicjatywy i w jakim celu ustanowiono całonocne dyżury w każdej  
kompanii. Nasz komendant kompanii-baraku wyznaczał kolejność  
pełnienia warty, której zmiana trwała równo sześć godzin. Sie-  
dział sobie taki dyżurny na ławce przed barakiem i myślał o  
"niebieskich migdałach", bo przecież każdy z nas zdażył już  
przemysleć wszystko co mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie. Cza-  
sem zapadał w drzemkę, zakłócaną wędrującymi regularnie co 5  
czy 10 minut do latryny.

Niemal cały miesiąc trwał okres białych nocy w lipcu i sier-  
pniu. Początkowo zjawisko to wzbudzało w nas zainteresowanie i  
pobudzało do pewnej aktywności, ale po kilku takich bezsennych  
nocach byliśmy kompletnie nerwowo wyczerpani. Doprowadziło to do  
stanu, że mogliśmy spać nie zważając na panującą jasność.

Na początku sierpnia, jakiś niepokój, pogłębiony białymi  
nocami, wprowadził mnie w stan podświadomego podniecenia. Pod-  
czas bezsennych nocy snułem olany i marzenia zorganizowania u-  
cieczki z tego obozu. Nie było to łatwe, ba, wręcz nawet nie-  
możliwe. I to przede wszystkim z braku odpowiedniego ubrania.  
Ale... czyż nie było to w najwyższym stopniu upajanie się myś-  
lą o wolności?

Coraz bardziej opanowywał mnie ~~jakby~~ ~~amok~~ <sup>!</sup> nastroj<sup>!</sup> na-  
pięcia nerwowego. A gdy raz zwierzyłem się z tych myśli przed

Władkiem Gortyńskim i gdy ten z entuzjazmem podjął zamiar ucieczki - postanowiłem rozpocząć przygotowania.

Przewidywaliśmy obaj z Władkiem, że potrzeba nam co najmniej dwóch tygodni aby zebrać odpowiednie materiały i środki. Najważniejsze to było opracowanie szczegółowego planu wędrówki i kierunku drogi. Czy ja wiem czym wtedy kierowaliśmy się podejmując tak gigantyczny zamiar. Dzisiaj, z perspektywy czasu wydaje mi się, że była to chęć przeżycia jeszcze jednej wspaniałej przygody, bez względu na dalsze konsekwencje. Zresztą popędzał nas do tego obecny marazm i całkowita utrata nadziei na zmianę sytuacji. Jednym słowem mówiąc z rosyjska "uwidim skazał ślepoj".

Zgodnie z ustalonym <sup>planem</sup> działaniem, zachowując największą dyskrecję <sup>v</sup>działaliśmy przy pomocy naszego przyjaciela Houwaldta Saturnina, oraz różnych transakcji z Niemcami, zmobilizować pewien zapas chleba, cukru i margaryny, uzyskać jakieś sowieckie bluzy i stare dziurawe kamusze. Jakimś cudem udało się nam zdobyć starą zniszczoną, ale jeszcze czytelną mapę rejonu leningradzkiego, co pozwalało na jakąś ogólną orientację.

A jednak mimo, zdawało się, ścisłej konspiracji, wokół nas wytworzyła się jakaś tajemnicza atmosfera. Spotykaliśmy się u kolegów z oznakami daleko idącego szacunku i poważania, mimo że przecież nigdy nie padło słowo "ucieczka". A najciekawsze w tym wszystkim to był fakt, że przecież każdy sobie zdawał sprawę z szaleńczego pomysłu, ba z idiotyzmu przedsięwzięcia, ale nikt nie odważył się nas przekonywać o jego bezcelowości. Myśmy nie chcieli wogóle o tym myśleć. Nie przerażały nas ogromne odległości, wrogi naogół stosunek ludności, trudności w porozumiewaniu się, chociaż Władzio władał doskonale językiem rosyjskim. Dochodziło ponad to wszystko nie liczenie się z naszą wytrzymałością fizyczną. Zdecydowała wiadomość jakoby pewna, przyniesiona przez powracającego z izby chorych kolegę, że przygotowują transport

dla przewiezienia wszystkich Polaków na "posielenie", czyli osiedlenie w głębokiej Syberii, skąd już niema ~~chance~~ możliwości powrotu.

Jeszcze nam tylko brakowało nożyc do cięcia drutu i to mogło zaważyć na całej eskapadzie, ale i to udało się przezwyciężyć, zresztą zupełnie przypadkowo zdobywając od jekiegoś węgierskiego żołnierza.

Koniec sierpnia 1947 roku. Białe noce już zanikały, występowały częste silne zachmurzenia i przejściowe deszcze. Zdecydowaliśmy, że nadszedł czas realizacji naszych ryzykownych planów.

Do północy pozostało jeszcze kilkadziesiąt minut.

Z zawiniątkiem pod pachą, w odstępach paru minutowych, szybko przeskakujemy otwarty teren między barakiem i latryną. Dyżurny kolega ułożył się na ławce przed barakiem i wyraźnie chrapał. Było to okolicznością sprzyjającą:

W ubikacji, w ostatnim przedziale momentalnie zmieniamy buty i bluzę, paczkę z naszymi ubraniami umieszczamy w odległym ciemnym kącie, sami trzymając w ręku tobołki w postaci worków na sznurku i drożocenne narzędzie do cięcia drutu, przeskakujemy chyłkiem pod druty ogrodzenia.

Miejsce przejścia tak obraliśmy aby znajdowało się pośrodku między dwoma bocianami i jak najbliżej budynku szaletu - ustępów.

Leżąc obok siebie, czujnie rozglądamy się wokoło, wypatrując ewentualnych niepotrzebnych świadków. Panuje kompletna cisza. Wszystko spało, nawet na bocianach - wyżkach nie widać żadnego ruchu.

Podciągam się powoli w kierunku drutów. Tuż za mną pełźnie wiałek. Jestem przy samym ogrodzeniu, mając nad sobą podwójnie skręcony drut kolczasty. Lekkie uniesienie się w górę, suchy trzask nożyc, potem drugi i trzeci. Otwór w pierwszej linii ogrodzenia gotowy. Przesuwam się prze niego po ziemi aby osiągnąć

następny rząd drutów.

Nagle..., raczej podświadomie niż w rzeczywistości słyszę z lewej strony wolne, ciężkie kroki, a za chwilę w oddali... ~~W~~ <sup>włószak</sup> ~~zdrzem i zaraz~~ ujadanie psa.

Jeszcze moment obserwacji i decyzja natychmiastowego powrotu. Znajdujemy się już po wewnętrznej stronie ogrodzenia, forsując wycięty uprzednio otwór.

W tym momencie jazgot psiego szczekania słychać naprzeciw po drugiej stronie ogrodzenia. Wystrzał czerwonej rakiety w górę...chwila całkowitej ciemności...

Błyskawicznie znajdujemy się znów w latrynie. Tam zmieniamy ubrania, topimy w ~~nie~~ dole kloacznym zdjętą odzież i niestety nożyce i biegiem dostajemy się do baraku, układamy się na swoich pryczach. Naturalnie dzieje się to wszystko na oczach znacznej ilości kolegów i zawdzięczając solidarności nie wykryto sprawców nocnego alarmu.

Faktem bezspornym było, że nie kto inny jak właśnie Polacy próbowali ucieczki.

W ciągu godziny od tego alarmu zjawił się oddział bojców z karabinami, kazali wszystkim opuścić baraki i zebrać się na majdanie, a sami dokonali dokładnej rewizji wszystkich prycz. Nie udało się im znaleźć dowodów ani śladów próby ucieczki. Przez cały następny tydzień były prowadzone śledztwa i dochodzenia, wzywano wrywkowo różnych ludzi. Władzio też był poddany krzyżowemu ogniovi pytań, mnie jakoś przypadkowo nie wzywano, co było dowodem, że władze sowieckie nie posiadały żadnych poszlak.

Latrynę również dokładnie spenetrowali, nawet z dołu kloaczego wyciągnęli dwie bluzy rosyjskie; butów i worków z żywnością nie znaleźli, wszystko przepadło w gównie.

Zdawałoby się, że ten incydent, przysparzający wiele kłopotów całemu zbiorowisku naszych ludzi, w jakiś sposób źle nastawi

ich do nas jako spraw<sup>e</sup>ów zamieszania, bo przecież w rezultacie nasz udział w tym stał się tajemnicą Poliszynela. Nikt nie ujawnił żadnych oznak zainteresowania naszymi osobami. Unikano nawet jakichś dwuznacznych spojrzeń, nie mówiąc o wyrażaniu ciekawości. Stan napięcia trwał kilka tygodni, ale w końcu wszystko rozeszło się po kościach.

Niewiele razy zdarzały się takie atrakcje w naszym życiu obozowym. Jakoś Polacy nie odznaczali się w tym czasie jakimiś zrywami. Zdawało się, że jesteśmy wszyscy pod wrażeniem rychłego powrotu do kraju, chociaż żadne znaki na ziemi i niebie tego nie potwierdzały.

Któregoś dnia o późnej porze wieczornej, gdzieś na początku września, zarządzono w polskim obozie alarm i zbiórkę na placu przed barakami. Staliśmy w zorganizowanych grupach, w bieliźnie i boso, bo niektórzy już się ułożyli do snu. Czekanie przeciągało się, bojcy uzbrojeni krążyli wokół utworzonego przez nas czworoboku, w środku którego znajdowało się kilku oficerów sowieckich.

Trudno było domyśleć się powodu tego alarmu, a władze zachowały tajemnicze milczenie, wzywając jedynie od czasu do czasu do zachowania spokoju i ciszy, chociaż nasi chłopcy nie mieli najmniejszej ochoty do reagowania na niezrozumiałe postępowanie władz. A chłód nocy zaczął przenikać na wskroś.

Po kilku godzinach do środka czworoboku dwóch bojców pod karabinami wprowadziło staniającego się ze zmęczenia, obszarpanego mężczyznę. Nie był to człowiek z pośród naszej grupy. Trudno, wobec istniejącego półmroku rozpoznać jego twarz, jakoś nikt z nas, których było ponad 600 ludzi, nie poznawało go.

Po chwili milczenia jeden z rosyjskich oficerów donośnym głosem przedstawił nam historię delikwenta.

Był to polski oficer z jenieckiego obozu dla wyższych oficerów w Grazowcu. 15 dni temu kilku uwięzionych w Grazowcu zorganizowało ucieczkę. Wszystkich, pomiędzy którymi był ksiądz, zostali ujęci w Leninigradzie, kiedy zamierzali przesiąść się z wagonu pociągu towarowego ze <sup>S</sup>włodu do pociągu osobowego, zdążającego w stronę Estonii czy Łotwy. Było ich trzech uciekinierów a każdy z nich znalazł się w innym obozie odosobnienia, a ten którego tu widzimy, zdaje się major Makowski wylądował w naszym obozie. Będzie on odpowiadał przed sądem wojennym i napewno nie minie kara śmierci albo bezterminowe zesłanie.

Oto i wszystko co się udało nam dowiedzieć.

Zbiega zaprowadzono do bunkra, nam kazano się rozejść do swoich baraków. Refleksje raczej nikłe, bo niby co z tego mogło wynikać. Chyba tylko przeświadczenie, że na przestrzeniach tego ogromnego kraju żadna ucieczka udać się nie może.

Był wśród nas porucznik zawodowy Stanisław Puzyna. Tutaj ujawnił zainteresowania piąką nożną. Podobno grał przed wojną w klubie sportowym "Śmiały" w Wilnie i niektórzy kibice nawet znali go z tamtych czasów jako jednego z lepszych piłkarzy.

Jakieś kontakty z władzami rosyjskimi stwarzały mu możliwości zorganizowania polskiej drużyny piłki nożnej, tymbardziej, że Niemcy taką drużynę posiadali i nie mieli okazji <sup>rozegrać</sup> ~~odegrać~~ przyzwoitego meczu. Dla biorących udział w takiej drużynie miało to <sup>ce</sup> ~~wiel~~ <sup>e</sup> pozytywne cechy. Dzięki kapitanowi drużyny niemieckiej nasza jedenastka czy nawet piętnastka otrzymywała podwójne porcje fasowanego chleba, margaryny i cukru, co u niejednego z nas wzbudzało uczucie zazdrości. No i pozory pewnej wolności w związku z treningiem na boisku sportowym poza drutami.

Zanoszono się na niebywałą sensację walki między Polakami i Niemcami. Puzyna, jako kapitan drużyny zebrał potrzebną ilość byłych futbolistów i intensywnie ćwiczył pod znamienym hasłem:



- "damy w dupę Frycom że aż strach"!

Uruchomiono totalizatora, a zakłady sięgały bajońskich stawek, bo aż 7 pajdek chleba. Czy to jednak było ważne gdy można przeżyć takie emocje.

Wreszcie po kilkunastu dniach, a było to już w połowie września, ustalono którąś uśredniłą na starcie dwóch potęg piłkarskich. Strona organizacyjna była w rękach komendy niemieckiej której zadaniem było utrzymać porządek i bezpieczeństwo na boisku ~~zabawki, zabawki~~ <sup>już od samego rana</sup> zbierała się widownia wokół terenu boiska w miejscach z góry oznaczonych dla każdej narodowości oraz określonych miejsc dla obywateli radzieckich, o ile znaleźliby się amatorzy tego widowiska. W ten sposób utworzył się zamknięty teren, na którym reprezentanci dwóch wrogich narodów mają stanąć do walki, w prawdzie nie krwawej ale wydaje się nie mniej zdecydowanej i zawziętej.

Mecz, zgodnie z przyjętym rytuałem, rozpoczęto od hymnów narodowych, które zostały odśpiewane kolejno przez obie drużyny. Mazurek Dąbrowskiego został podchwycony przez znajdujących się koło boiska kibiców, a zaraz potem wszyscy w baraku przyłączyli się do śpiewu, bowiem zaledwie niespełna 30 osób otrzymało zezwolenie na bezpośrednie kibicowanie na boisku.

Nasi ruszyli z miejsca z furją, wydawało się, że rozniosą wszystkich graczy niemieckich na stadionie.

Gra się toczyła w szybkim tempie, gole sypały się po obydwu stronach. Cały przebieg tych zmagania tonie w niepamięci, Jedno tylko pamiętam, że wygraliśmy różnicą jednej czy dwóch bramek, mimo, że sędzią głównym był Niemiec. Przez cały czas gry kibice obu drużyn dopingowały niesamowitym wrzaskiem, ale gdy po zakończeniu meczu kapitanowie składali sobie podziękowania i przypieczętowali to ucałowaniem się, podniósł się taki krzyk i gwizdy po stronie polskiej, że władze sowieckie natychmiast wysłały cały oddział uzbrojonych bojców dla utrzymania spokoju.

Cała dziesiątka naszych futbolistów momentalnie rozpierzchła się zostawiając samotnego kapitana, którego odprowadzono nieprzerwanym gwizdem ze strony naszych chłopców. Obawiałem się, że może dojść do samosądu, ale jakoś ograniczyło się to tylko do ignorowania kapitana w stosunkach towarzyskich.

Nie wiem jak to się mogło stać, że skądinąd przyzwoity człowiek i dobry Polak mógł się do tego stopnia zapomnieć.

Wrzesień na dalekiej północy dawał już przedsmak nadchodzącej zimy. Jesień bowiem jest tu krótka a nocne przymrozki zaczynały nam coraz częściej składać wizyty. A perspektywy nie były bynajmniej przyjemne. Na razie jakoś władze obozowe nie interesowały się ogrzewaniem baraków.

Ból zęba w normalnych warunkach jest koszmarnym przeżyciem, ale w obozie, gdzie nie znajdujesz żadnych dostępnych środków uśmierzających ból, staje się swego rodzaju apokalipsą. Człowiek wi-  
je się z bólu, jęczy ku utra-  
pieniu kolegów, klnie i modli się  
na przemian. Właśnie w takim stanie jeden z moich przyjaciół za-  
prowadził mnie do lazaretu. Siedzę w poczekalni i ból zęba na-  
gle się kończy, wyrażam więc postanowienie powrotu do baraku.  
Nic z tego. Mój przyjaciel czuwa i siłą wprowadza mnie do pokoju  
lekarskiego.

Sadzają mnie na krześle przechylonym do tyłu, lekarz opuku-  
je mi po kolei wszystkie zęby aż trafia na ten bolący. Sanitar-  
iusz chwyta mnie za głowę, lekarz niemiecki pakuje mi do ust ob-  
cęgi dentystyczne. Jeden silny z lekka obrotowy ruch i mam peł-  
ne usta krwi. Nie czuję teraz nawet przeklętego bólu bo tracę  
przytomność. Gdy odzyskuję świadomość już jest po bólu i po zębie.  
Jeszcze trochę mi tam pogmerał i kazał się wynosić do baraku,  
pozostawiając mi w ustach kłęb waty.

Jeszcze przez dwa dni chodziłem ze spuchniętą twarzą, przez



Burzą oklasków nagrodzono dwie pieśni obcojęzyczne, a mianowicie: w języku niemieckim "Lorelei" i węgierskim "Hediek wöldiek".

Trwało to wszystko ponad przewidziany czas i dopiero późnym wieczorem towarzystwo rozeszło się do swoich baraków. Podobno przy wyjściu z budynku grupa Węgrów podrz<sup>u</sup>cała do góry Damrosza, wznosząc okrzyki przyjaźni z Polską.

Był to wspaniały wieczór, którego treść i forma wyciskały kły z oczu i to nie tylko nam Polakom.

Nie chce się wierzyć.

Przeżyliśmy dotychczas w tym obozie pół roku, pełne sześć miesięcy, a nie pamiętam aby Niemcy czy Węgrzy organizowali takie wieczory, w każdym razie zaproszeń nam nie przysyłano.

Zaczęto tu i ówdzie przebąkiwać o nowej głodówce, chociaż — bardziej zrównoważeni starali się przekonać, że nic w ten sposób nie da się zwojować. Bolszewikom widać absolutnie nie zależało na naszym życiu i pewnie chętnie by nas wszystkich uziemniłi.

Jedynie niewielkie transporty jeńców niemieckich odchodziły rzekomo na zachód do "Vaterlandu". Nie było żadnego wiarygodnego potwierdzenia czy i ilu ich powróciło do swoich rodzin. W obozie śmiertelność też była znaczna wśród Niemców, ale i tu nie było żadnych statystyk.

We wrześniu 1947 roku przyprowadzono do naszych baraków czterech oficerów z obozu w Gra<sup>z</sup>owcu.

Od nich dopiero dowiedzieliśmy się co to za obóz i kto tam przebywał. Gra<sup>z</sup>owiec to niewielka miejscina ze stacją kolejową, oddalona od Wołogdy na południe około 50 km., od Czerepowca ponad 150 km.

Obóz w Gra<sup>z</sup>owcu był zupełnie izolowany i mieścił w sobie około 3000 wyższych stopniem oficerów niemieckich. Tam to umieszczono ponad 100 polskich starszych oficerów, wśród których

znajdował się generał krzyżanowski i major Wasilewski. Ten sam Wasilewski Aleksander - ps. "Olesiński", który w poprzednim obozie w Ciepielewie należał do naszego ścisłego grona.

Dowiedzieliśmy się, że w dniu 21 sierpnia 1946 roku generał "Wilk"- krzyżanowski razem z majorem "Olesińskim"- Wasilewskim dokonali udanej ucieczki z tego obozu w Grazowcu i w dniu, w którym nasi rozmówcy odjeżdżali z ~~G~~razowca, jeszcze ich nie było z powrotem. Domniemywać można, że bolszewikom nie udało się ich złapać.

A była to ucieczka, której warto poświęcić tutaj trochę miejsca. Podaję według relacji Olka Wasilewskiego, uzyskanej po powrocie do Kraju.

Oto jak wyglądała ucieczka "Wilka" z obozu w Grazowcu w relacji mojego przyjaciela Olka. Opowieść jego - to znaczy majora Aleksandra Wasilewskiego - "Olesińskiego", odtworzona dopiero po 35 latach od czasu opisywanych tutaj zdarzeń. Nie byłoby zatem też nic dziwnego gdyby pewne szczegóły, zawarte w tak odtworzonej historii odbiegały nieco od rzeczywistych terminów czy faktycznych sytuacji.

A oto jego słowa.

" Żeby historia, którą chcę tu opisać, posiadała cechy prawdopodobieństwa, muszę się cofnąć do czasu pobytu w obozie w Ciepielewie pod Riazaniem.

W pierwszych dniach października 1946 roku został do obozu przywieziony generał Aleksander Krzyżanowski - "Wilk", dowódca okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego Armii Krajowej.

Po aresztowaniu go przez NKWD w Wilnie przebywał od lipca 1944 roku w różnych więzieniach na terenie Związku Radzieckiego, a do obozu naszego trafił wprost z więzienia moskiewskiego.

Moja znajomość z nim sięgała daleko poza okres partyzancki, bo już w 1939 roku w grudniu, a więc w kilka miesięcy od zakoń-

czenia kampanii wrzesniowej, powstała wśród wyższych oficerów zawodowych myśl kontynuowania walki z wrogiem, w warunkach konspiracyjnych. I w-tedy to właśnie zameldowałem się do dyspozycji ówczesnego pułkownika artylerii. Byłem wtedy zawodowym oficerem w stopniu kapitana.

Przez ponad cztery lata byłem jego podwładnym i bezpośrednim pomocnikiem w montowaniu całej siatki konspiracyjnej i organizacji ZWZ, a następnie Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego.

Przybycie generała do obozu w Ciepielewie stanowiło dla mnie i zresztą dla całego środowiska żołnierskiego i oficerskiego nowym rozdziałem w życiu obozowym.

Generał "Wilk" zdołał w stosunkowo krótkim okresie swojej działalności pozyskać bezgraniczny autorytet i zaufanie wśród wszystkich żołnierzy Armii Krajowej. Powitaliśmy go z wielką serdecznością.

Jeszcze tego samego dnia meldowałem się swemu dowódcy, charakteryzując możliwie wyczerpująco sytuację w obozie oraz nastroje ludzi. Generał słuchał uważnie, ale na jego obliczu wycisnęło się ogromne zmęczenie fizyczne. Dopiero w następnym dniu mogłem się zorientować z jego opowiadania ile musiał przeżyć od chwili swego aresztowania, a stan jego zdrowia graniczył z kompletnym wyczerpaniem fizycznym. Sam twierdził, że chyba ze względów politycznych władze sowieckie zdecydowały się przenieść go z więzienia do obozu o reżimie dla internowanych, aby w ten sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność za jego ewntualną śmierć.

A jednak silna wola i niespożyta energia zdziałały cuda, bo po dwóch tygodniach względnego odpoczynku i troskliwej opieki całego polskiego środowiska, generał odzyskał niemal zupełnie zdrowie i powoli zaczynał się włączać w aktywne życie obozowe.

Pierwszą myślą generała było poznać osobiście poszczególnych żołnierzy grupy wileńskiej, których mimo, że byli jego pod-

władnymi do tycho czas nie znał. Oni zresztą również go nigdy nie widzieli, mimo to pseudonim "generał Wik" był dla większości synonimem walki zbrojnej.

Starałem się być łącznikiem między generałem i resztą uwięzionych w obozie.

Obok toczącego się normalnym trybem życia obozowego już od początku roku 1946 narastał w mojej świadomości zamiar ucieczki z obozu, jako obowiązek polskiego oficera. Myśl ta bez przerwy mnie prześladowała na każdym kroku. Zwierzyłem się z tego zamiaru ~~xx~~ swoim najbliższym przyjaciołom obozowym ale nie zyskałem u nich aprobaty ani moralnego poparcia. Postanowiłem zasięgnąć rady w tej sprawie generała "Wilka".

Było to chyba w marcu 1946 roku. Dowódca mój popatrzył na mnie poważnie, milczał przez dłuższą chwilę, wreszcie ku memu ogromnemu zdumieniu wyraził pełną aprobatę, ba oświadczył wręcz że decyduje się wziąć udział osobiście w tej eskapadzie. I cóż miałem na to powiedzieć. Jak zareagować. Zdawałem sobie sprawę, że generał w obecnym stanie zdrowia i nadwerężonej kondycji fizycznej nie podoła trudom czekającej nas podróży. Czy miałem mu odradzać? czy miałem przekonywać o konieczności z jego strony rezygnacji? Czy miałem go uświadamiać o ciężarze jaki na mnie nakłada, o mojej odpowiedzialności nie tylko za siebie ale i za jego życie?

- Czy pan, generale nie zechce się jeszcze namyślić przed ostateczną decyzją? - zapytałem tylko.

- To jest moja decyzja ostateczna i jedyna.

Nie podjąłem dyskusji bo byłem przekonany, że to nie da żadnych rezultatów. Pogodziłem się z powstałą sytuacją i przystąpiłem do przygotowań.

Nie pamiętam już dzisiaj jak to się stało, że do naszego przedsięwzięcia przyłączył się młody, energiczny, doskonale jak

na warunki obozowe zbudowany fizycznie oficer lotnictwa - nie znam jego nazwiska, jedynie jego imię czy pseudonim pozostał mi w pamięci - "Zbyszek", w stopniu kapitana lotnictwa. Naturalnie cały ciężar zaplanowania programu i dopilnowania jego realizacji w stadium przygotowań spadał na moje barki jako głównego inicjatora.

Należało się skoncentrować nad kilku podstawowymi sprawami, jak: 1. Nożyce do przecięcia drutów 2. Ubranie, 3. Pożywienie, 4. Pieniądze.

Przy ostrym reżimie sowieckim w warunkach obozowych były to cele, zdawało się nie do osiągnięcia. A jednak ogromne trudności nie zniechęcały nas w przystąpieniu z energią do realizacji.

Jako nożyce do cięcia drutu kołczastego miały nam posłużyć stalowe szczypce "kombinerki", używane przy robotach instalacyjnych. O zdobycie ich miał zadbać "Zbyszek". Odnośnie ubiorów - należało nam zamienić nasze mundury na jakieś ciuchy cywilne. Nie powinno to nastręczać zbyt wielkiego trudu, więc postanowiliśmy, zresztą nawet ze względów konspiracyjnych, załatwić to w ostatniej chwili. Każdy z nas miał obowiązek zaoszczędzić suchy prowiant przynajmniej na 5 - 6 dni. Pożywienie mogło pochodzić z racji dziennych w postaci sucharów chleba, cukru, margaryny. Zdobycie pieniędzy było poważnym problemem, bo zapas gotówki dla trzech nie mógł być mniejszy niż 1000 rubli, a to kwota wielka. Trzeba było przeprowadzić dokładny remanent naszych ciuchów, bo tylko to mogło stanowić towar do spieniężenia.

Jakoś nie interesowałem się specjalnie zabiegami naszego kapitana "Zbyszka", uważając go za bardzo sprytnego i przedsiębiorczego, dającego sobie doskonale radę. Myśleć musiałem za siebie i za generała.

Sprzedzałem za wysoką cenę swój kożuszek, który zachowałem w zupełnie dobrym stanie od czasów więzienia na Łukiszkach.



Generał był tu jednak w warunkach uprzywilejowanych i otrzymywał jako rekowalescent z magazynów obozu codziennie porcję masła, którego cena na naszym rynku była znaczna. Ten handel odbywał się naturalnie za pośrednictwem naszych żołnierzy, którzy pracowali poza drutami obozu i mieli kontakty z cywilną ludnością rosyjską.

Scisłego terminu jeszcze nie ustaliliśmy, nastawiając się <sup>na</sup> okres cieplejszych dni. Miało to nastąpić gdzieś na przełomie czerwca-lipca, kiedy to i na polu można już będzie znaleźć jakieś warzywa i owoce.

Wszystkie nasze plany i zamiary dostały "w łeb". Wypadki jakie się teraz potoczyły całkowicie przekreśliły możliwości ucieczki.

W obozie wybuchła głodówka, której przebieg mój przyjaciel "Robert" - Henryk Płaski szczegółowo opisuje w swoich wspomnieniach w rozdziale z obozu w Ciepielewie.

Głodówka trwała siedem dni, po jej przerwaniu nastąpiło rozbicie całego obozu i rozwiezienie ludzi niewielkimi grupami po różnych obozach w całej Rosji.

Ja wraz z generałem "Wilkiem" znaleźliśmy się w grupie kilkudziesięciu wyższych stopniem oficerów, których wywieziono do Grawowca pod Wołogdą, podczas gdy młodszych oficerów skierowano do obozu niemieckich jeńców wojennych w Czerepowcu, na północny zachód od Wołogdy.

No więc znów się znalazłem razem z generałem "Wilkiem" i znów odżyły zamiary i plany ucieczki. Generał zdawał się być ogromnie zadowolony, że kontynuować możemy nasze przygotowania

Zdepingowały nas w tym kierunku nowe dziwaczne warunki odosobnienia. Oburzały ~~nas~~ <sup>nas</sup> zrównanie nas z przebywającymi w Grawowcu jeńcami niemieckimi, a szczytem wszystkiego było stworzenie przez władze sowieckie komendantury obozu i administracji

przez niemieckich oficerów. Takie służbowe stanowiska jak stolówka, lecznictwo, kuchenia itp znajdowały się w rękach Niemców. ponad to w pewnym stopniu reżim obozowy, słabo strzeżony teren, stare przerzuciwale druty ogrodzenia zachęcały do zdecydowanych przedsięwzięć.

Delegacja polskiej grupy oficerów udała się do komendantury sowieckiej obozu zgłaszając energiczny protest w związku z pomieszczeniem Polaków razem z Niemcami oraz wobec szczególnych uprawnień Niemców. Władze sowieckie zupełnie grzecznie odprawiły naszą delegację obietnicą, że wkrótce wszyscy Polacy zostaną przewiezieni do Kraju.

Nikt w te obietnice nie wierzył.

Cała zakonspirowana trójka uciekinierów, bo kapitan lotnik również znalazł się razem z nami w Grazowcu, swojej decyzji nie zmieniła. Przygotowania biegły dalej w przyspieszonej formie, bo trzeba było realizować plan ucieczki póki było jeszcze względnie ciepło.

Zrobiliśmy ostateczny remanent.

kombinerki do cięcia drutu - są

Prowiantu zebraliśmy tyle, że powinno wystarczyć na pięć dni.

Pieniądzy skupiliśmy około 1000 rubli.

Miejsce przekroczenia ogrodzenia i przecięcia drutów - wybrane.

Dzień ucieczki ustalony na niedzielę, 20 sierpnia 1946 r. po zapadnięciu zmroku z uwagi na prawdopodobną zmniejszoną czujność straży obozowych.

Plan ucieczki nas dwóch, mój i generała, różnił się od planu lotnika. Podczas gdy kapitan, którego stan zdrowia został poważnie nadwątlony, postanowił po wydostaniu się z obozu skierować się najkrótszą drogą do najbliższej stacji kolejowej,

gdzie miał złapad  
~~skąd~~ pierwszy pociąg w stronę kraju, <sup>to</sup> nasz plan zakładał  
 ze względu bezpieczeństwa przemarsz pieszo na wschód do linii  
 kolejowej Kirów - Moskwa aby na jakiejś stacji kupić bilet do  
 Moskwy, a dalej z Moskwy do Wilna.

W dniu wyznaczonym na wyjście z obozu, a więc w niedzielę  
 z rana, dowiadujemy się, że tej nocy z naszego baraku uciekło  
 z obozu czterech kolegów. Należało się liczyć z ogłoszeniem a-  
 larmu i z przeprowadzeniem apelu w całym obozie, co by napewno  
 skomplikowało nasze plany. Za wszelką cenę należy nie dopuścić  
 do wczesnego ujawnienia ucieczki. Z pomocą kilku kolegów udało  
 się nam przez cały dzień aż do późnego wieczora 20 sierpnia za-  
 maskować tę ucieczkę kolegów, chociaż to kosztowało nas wiele  
 nerwów. Ostatnia zbiórka przed przejściem na kolację nie ujawni-  
 ła braku w szeregach czterech ludzi. Można więc przystąpić do  
 naszej akcji.

Zaraz po kolacji wszyscy trzej, całkowicie gotowi do drogi  
 znaleźliśmy się w ustalonym punkcie wypadowym, to znaczy w po-  
 bliżu szaletu niemieckiego. Skuleni pod ścianą szaletu, z ner-  
 wami napiętymi do granic wytrzymałości, czekamy na całkowite  
 zapadnięcie zmroku.

Ciemno. Księżyc jeszcze nie ukazał się na niebie. Podczoł-  
 gujemy się pod kolczaste druty ogrodzenia, w kolejności: lotnik,  
 generał, ja.

Druty przecina kapitan. Wytworzonym otworem przeciskamy się  
 kolejno na drugą stronę ogrodzenia. Oddalamy się od drutów na  
 ponad 50 kroków, wpadamy w niskie gęste zarośla, a dalej spokoj-  
 nie już przedostajemy się do traktu na trasie Archangielsk - Wo-  
 łogda - Jarosław - Moskwa.

Tu się rozchodzą nasze drogi. Kapitan-lotnik kieruje się  
 wzdłuż traktu w stronę Wołogdy, my natomiast porzucamy trakt i  
 odbijamy od niego na wschód w kierunku Kirowa. Znajdujemy się  
 jeszcze dość blisko obozu a mimo to w najbliższym zagajniku

padliśmy sobie z generałem w objęcia i jak dzieci odtańczyliśmy taniec zwącięstwa. Przecież po ~~trzech~~<sup>dwóch</sup> latach jesteśmy wolni. Oddychamy pełną pierśią wspaniałym, wolnym powietrzem.

Musimy tej nocy odbić jak najdalej na ~~wschód~~<sup>wschód</sup> od obozu. Jesteśmy przeświadczeni, że poszukiwania zbiegów postępować będą w zupełnie odwrotnym kierunku, to jest na zachód lub północny-zachód. Taki kierunek ucieczki wydaje się ~~być~~<sup>być</sup> z punktu psychologicznego najbardziej uzasadniony, bo przecież zbiegowie kierując się na wschód oddalają się od ostatecznego celu. Maszerować będziemy tylko nocami, dni wykorzystywać będziemy dla odpoczynku i na posiłki. Idziemy na przemian kilka kilometrów boso i potem kilka kilometrów w obuwiu dla zmylenia ewentualnej pogoni z pomocą psów policyjnych.

Po dwóch nocach marszu napotykałyśmy małe miasteczko i po namyśle decydujemy się uzupełnić nasze zapasy żywności, które jakoś dziwnie się szybko wyczerpały. W miasteczku tym odnaleźliśmy rynek, na którym znajdowało się już kilku sprzedających, mimo wczesnej pory. Znajomość przez nas obu języka rosyjskiego w poważnym stopniu ułatwiało nam kontakty z miejscową ludnością, nie budząc podejrzeń. Poza tym ustaliliśmy, że między sobą cały czas rozmawiać będziemy tylko po rosyjsku. Udało się nam kupić trochę chleba i kilka jajek. Natrafiłem na starszego człowieka, który trzymał w ręku do sprzedania używaną czapkę kolejarską z czerwoną gwiazdą. Przymierzyłem czapkę, wielkość jak dla mnie, wygląd uznany przez generała, a podobieństwo do "istinnio ruskawo czełowika" bardzo zachęcające. Kupiłem za kilka rubli i paradowałem od tej pory w nowym nakryciu głowy, zyskując równocześnie na poczuciu pewności siebie.

Miasteczko, którego nazwy nie mogę sobie przypomnieć, nie było dla nas przyjazne. Dworzec kolejowy, gdzie chcieliśmy kupić bilety do Moskwy był bardzo niepewny, kręciło się po nim wielu żołnierzy NKWD w mundurach a i dziwne zażęszczenie po-

dejranych indywiduow w cywilu. General pozostał w oddali dworca, gdy ja w tej swojej czapce kolejarskiej przeprowadzałem cały wywiad. Nie wolno nam ryzykować. Zbyt niedaleko odbiliśmy od Graszowca i nie jest wykluczone, że teren ten mógł być penetrowany. Oczekujemy zapadnięcia zmroku i kierujemy ~~się~~ swoje kroki wzdłuż torów kolejowych do następnej stacji ~~z~~ w stronę Jarosławla.

Już o świcie znaleźliśmy się na małej stacyjce o jednym drewnianym baraku. Kompletna pustka dodaje nam odwagi aby wkroczyć do wnętrza baraku, ale kasa była zamknięta. Biletu nie mieliśmy. Niepełną godzinę czekaliśmy na pierwszy pociąg, <sup>L którego</sup> do] przez się wpełchnęliśmy się przy niesamowicie przepełnionym wagonie. To była jednak sprzyjająca okoliczność. Czuliśmy się w tym tłoku, w towarzystwie prostych ludzi zupełnie niezłe, w pocz<sup>u</sup>ciu względnego bezpieczeństwa.

W Jarosławlu tłum ludzi z pociągu wytoczył się poprzez budynek stacyjny na podjazd dworca. I my się tam znaleźliśmy, skąd "pociągając nosem", czyli na tak zwane wyczucie poszliśmy pewnym krokiem w stronę miasta. Przed parterowym murowanym domem zatrzymuje się mój towarzysz a ja zdziwiony spojrzę w kierunku jego wzroku. Na frontonie tego budynku widnieje wielkim literami napis

"Obszczaja bania"

- Coś dla nas - powiada general - czas byśmy się przyzwicie wykapali.

Kosztowało to nas parę rubli, ale nareszcie zażyliśmy niewypowiedzianych rozkoszy.

"Bańszczyk" wskazał nam stołówkę, gdzie znów za parę rubli mogliśmy zaspokoić głód, spożywając skromny lecz ilościowo obfity posiłek.

Powracamy na stację kolejową. Dla zachowania bezpieczeństwa kupujemy bilety do Aleksandrowa. Późnym wieczorem lokuje-

my się w wagonie, którym docieramy w kilka godzin do tego miasta.

Na stacji w Aleksandrowie kupujemy bilety do Moskwy i nocujemy na ławce w poczekalni dworca czekając na pierwszy pociąg. Niewielki to był odcinek drogi, to też znaleźliśmy się w krótkim czasie na jednej ze stacji podmiejskich Moskwy na trasie okalającej stolicę.

Rezygnujemy z udania się do centrum Moskwy bo możemy się tam natknąć na jakiś patrol milicyjny, a to wobec braku jakichkolwiek dokumentów równałoby się końcowi naszej eskapady. Niedaleko dworca kolejowego natrafiliśmy na niewielki plac targowy, gdzie podjęliśmy próbę zdobycia trochę jedzenia, a przede wszystkim jakiegoś lokum na przenocowanie. Byliśmy już na dobrej drodze dla zdobycia kwatery, gdy rozmawiając z handlarką zauważyliśmy nadjeżdżający policyjny samochód wypełniony żołnierzami. Wszyscy obecni na targowisku ludzie nagle rozbiegli się na wszystkie strony, więc i my ulotniliśmy się stamtąd szybko.

Sytuacja krytyczna. Trudno przecież wypytywać różnych przygodnych ludzi o nocleg. Dwóch nas w dość podejrzanych strojach nie mogło budzić zbytniego zaufania. A wiadomo, że pomaganie zbiegom groziło poważnymi konsekwencjami. W tym okresie, w obawie przed kontrrewolucją każdy obcy człowiek mógł być zatrzymany, a ludność wolała nie ryzykować. Co dalej robić?

Postanawiamy pomaszerować na piechotę w stronę śródmieścia, aby odszukać hotel "Moskwa", gdzie miała przebywać pani będąca upoważnioną delegatką do spraw repatriacji Polaków do Kraju. A może udamy się pod opiekę polskiej Ambasady?

Przypadek zrządził, że znów jak w Aleksandrowie trafiamy na publiczną łaźnię, tylko że znacznie większą. Posiadamy jeszcze trochę rubli więc postanawiamy zrobić sobie jeszcze raz wspaniały relaks w gorącej kąpieli i w parze.

Stary mężczyzna, obsługujący kąpiących się, zrobił na nas

~~dobrym wrażeniem~~

dobrym wrażeniem, po prostu budził nasze zaufanie. Wysłuchał uważnie naszej prozby o wyszukanie kwatery na jedną noc, podrapał się w głowę i kazał nam przyjść za dwie godziny, bo musiał się porozumieć ze swoją żoną.

Minęły dwie godziny. Krążymy w pobliżu budynku łaźni, bojąc się wkroczyć do wewnątrz. Przecież mogła to być jakaś pułapka, mogli tu na nas czekać tajniacy. Trzeba jednak zaryzykować. Znowu zostawiam w znacznej odległości ukrytego generała, a sam po zrobieniu na piersi znaku krzyża świętego, w czapce kolejarskiej na bakier, wchodzę zdecydowanie do środka. Widzę stojącego samotnie staruszka, który natychmiast zauważył mnie wchodzącego we drzwiach.

- Nu wot haraszo. Stoit piećdziesiąt rublej. Idiom.

I poprowadził nas, bo generał zdążył już się zbliżyć do budynku łaźni, kilka domów dalej. Zastaliśmy bardzo miłą staruszkę, która serdecznie nas przyjęła i zaopiekowała się nami.

W oddzielnej komnacie, na dwóch żelaznych łóżkach, w czystej pościeli spędziliśmy noc w stolicy Związku Radzieckiego, wypoczywając przed dalszymi trudami naszej podróży. Całą noc i cały dzień następny aż do wieczora trwa ten odpoczynek pod opieką miłej gospodyni. Było to wielkie spanie, przerywane jedynie dla zaiatwienia potrzeb fizjologicznych, bez spożycia żadnego posiłku.

Dopiero pod wieczór wyskoczyłem na ulicę i w sklepiku kupiłem butelkę wódki i pół kilograma kiełbasy. Chleb i herbatę postawiła nasza gospodyni. Ucztę tą urządziliśmy zaraz po powrocie naszego dobroczyńcy starego "bańszczyka".

Nie wiem czy nasi gospodarze domyślali się kogo przyjmują w goscinie. Nie padło żadne pytanie kto my, skąd i dokąd idziemy. Wogóle się mało mówiło. Uzyskaliśmy jedynie informacje jak się dostać do hotelu "Moskwa" i gdzie się znajduje ambasada.

da Polski.

Następnego dnia zdecydowaliśmy się dokonać prób aby w jakiś sposób zalegalizować nasze przebywanie na wolności po ucieczce z obozu. Liczyliśmy na to, że polskie czynniki oficjalne mają w tym względzie jakieś możliwości.

Najpierw udaliśmy się do hotelu "M<sup>2</sup>skwa", gdzie według informacji uzyskanych jeszcze w obozie znajdował się punkt repatriacyjny, któremu przewodniczy jakaś Polka z Warszawy. Niestety, w recepcji powiedziano nam, że Pani ta rzeczywiście tu urzędowała, że masa Polaków zgłaszała się, ale punkt ten kilka dni temu został zlikwidowany czy też przeniesiony do Ambasady polskiej, a pani ta wróciła do kraju.

No więc jedno miejsce ewentualnej pomocy spalone.

Mój towarzysz, stojący na stanowisku wiary w sprawiedliwość i intencje władz nowej Rzeczypospolitej, przekonał mnie aby zgłosić się do Polskiej Ambasady i tam oddać się do dyspozycji ambasadora. Logika potwierdzała słuszność założeń generała, ale mnie się to jakoś nie bardzo podobało, zważywszy brak zainteresowania setkami istniejących na terenie Związku Radzieckiego obozów internowanych lub uwięzionych Polaków.

Czyśmy jednak mieli jakąś inną alternatywę? Trzeba więc ryzykować.

Znaleźliśmy miejsce Ambasady ~~W~~łski Polski. Nie pisane nam było wejście do środka gmachu. Był on szczelnie chroniony przez posterunki NKWD. Czyżby nasza Ambasada była również pozbawiona całkowitej wolności jak wszyscy Polacy na terenie Rosji? To chyba jakieś nieporozumienie, ale nic nie gwarantowało nam, że zamiast przed oblicze przedstawiciela Polski staniemy przed przedstawicielem sądownictwa sowieckiego.

Trzeba ostrożnie zawracać z drogi i liczyć tylko na własne siły i szczęśliwą gwiazdę.



Nie wracamy już na nasze kwatery, lecz szukamy najbliższego targowiska. Nie mamy pieniędzy nie tylko na przeżycie ale nawet na bilety kolejowe. Coś trzeba spieniężyć. Tym razem poszły do ludzi płaszcz i buty generała, ja już nie miałem ~~na~~ co sprzedać. A ceny żywności na targowisku były ogromne i tak na przykład 1 Kg chleba kosztował ponad 30 rubli.

Na dworcu Białoruskim w okienku kasowym żądają od nas tak zwanej "putiowki", czyli delegacji do Wilna, bo o takie bilety prosiłem kasjera.

Koniec z nadzieją jazdy pociągiem dalekobieżnym i pośpiesznym. Pozostaje podróżowanie pociągami podmiejskimi, jako że nie wymagają przy kupnie biletu żadnych dokumentów.

Jedziemy do Możejjska. Na stacji Możejjsk obserwujemy ciekawe zjawisko. Do pociągów dalekobieżnych na kierunku Wiaźma i Smoleńsk tłumy ludzi ładują się bez biletów, zajmują miejsca gdzie się da. Lokują się nawet w przejściach między wagonami lub przywierają całym ciałem do powierzchni dachu wagonu. No cóż w tym tumultcie są szanse dla nas. Wykorzystujemy wolny pomost między dwoma wagonami i ruszamy w drogę.

Wiaźnę osiągamy szczęśliwie. No to ryzykujemy dalej do Smoleńska. Pociąg pędzi przed siebie, a pod nami migają szyny, przeskakujemy przejazdy na małych stacyjkach. Już niewiele pozostało do Smoleńska, już chyba można swobodniej odetchnąć i nerwowo się odprężyć. Przedwczesna radość.

Otwierają się drzwi do wagonu i stojącego bliżej generała ktoś siłą wciąga do wewnątrz, do przedsionka wagonu. Inne ręce chwytają mnie w pasie i ciągną do środka wagonu. Jeden moment i zdaję sobie sprawę, że tu jest koniec naszej romantycznej wycieczki. Opieram się siłą, chcę się wyrwać z przytrzymujących mnie rąk, próbuję skoczyć poprzez przerwę między wagonami na stopień sąsiedniego wagonu. ~~Był~~ Błyskawicą przebiega myśl -

- śmierć pod kołami czy więzienie NKWD. Niema szans, skok jest nie do wykonania, a zginąć jeszcze zdążę. Zrezygnowany daję się wciągnąć do wagonu.

Konduktor pociągu, sprawca koszmarnych przeżyć, spogląda na nas z wyrzutem i bez gniewu udziela nam surowej nagany. Argumentuje dość naiwnie bo twierdzi, że nasz nierozważny czyn mógł spowodować śmierć a on mógł otrzymać nie mniej 3 lata więzienia. Wzruszył mnie ten kolejarz, tłumaczyłem, że nie zdążyliśmy kupić biletów, wręczam mu nasze ostatnie pieniądze, a nie było tego więcej, niż 200 rubli i nie żądam biletów.

Dziwny człowiek, machnął ręką, nie przyjął pieniędzy i jeszcze życzył nam szczęśliwej drogi.

Takie przypadki zdarzają się tylko w sferze fantazji a myśmy to przeżyli realnie.

— Nie czekamy aż pociąg zatrzyma się na stacji Smoleńsk, ale przed dworcem jeszcze wyskakujemy na sąsiednie torowisko aby dalszą drogę do miasta odbyć już dla bezpieczeństwa pieszo.

Miałem przy sobie pamiątkowy zegarek, który otrzymałem na imieniny, był to jednak już chyba ostatni przedmiot do sprzedania. Generał postanowił sprzedać swoją marynarkę cywilną, pozostając tylko w swetrze.

Jak niemal w każdym mieście rosyjskim musiało i w Smoleńsku istnieć targowisko. Tam też udało się nam spieniężyć ostatki naszej chudoby i w ten sposób zdobyć środki do dalszej podróży.

Następną stacją kolejową był Mińsk.

W Mińsku próbowaliśmy skontaktować się z księdzem w najbliższej parafii katolickiej, ale niestety kościół był zabity deskami a probostwo bez szyb. Nie mieliśmy czasu szukać innego kościoła bo najbliższy pociąg do Mołodeczna odchodził za kilka godzin, a było już południe.

Nie mieliśmy trudności z kupnem biletów do stacji Mołodeczno. Była to ostatnia stacja na terenie Republiki Białoruskiej, bo kilkanaście kilometrów dalej biegnie granica z Republiką Litewską. Był tam niewielki przystanek ale aby się do niego dostać musieliśmy się przesiąść do innego pociągu, który kursował tylko na tym odcinku. Stacyjka graniczna była zupełnie zdemolowana, nikt tam nie urzędował, jedynie dróżnik w małej dyżurce pełnił służbę, która nie wiem na czym polegała. Znaleźliśmy się tu ~~na~~ późnym wieczorem, a według informacji dróżnika pociąg do Wilna będzie przechodził o godzinie 10<sup>00</sup>. Mamy więc dużo czasu.

Z dala, w odległości około 3 km od stacji kolejowej majaczyła wieża kościelna. Warto spróbować uzyskać jakichś wiadomości o sytuacji w Wilnie u księdza proboszcza o ile tam jeszcze przebywa. Noc postanowiliśmy spędzić w zacisznym kąciku zdemastowanego budynku stacyjnego, nie zważając na istniejący bałagan. Niewielką korzyść przyniosło nam drzemanie, bo oprócz niewygody dokuczało nam przejmujące zimno, przecież pozbyliśmy się po drodze cieplejszego okrycia.

Skoro świt byliśmy na nogach i dla rozgrzewki ruszyliśmy szybkim krokiem w kierunku widocznego w oddali kościoła. Sprzyjało nam tym razem szczęście. Kościół był wprawdzie zamknięty ale zauważyliśmy, że ktoś koło kościoła się krząta, a wreszcie widzimy z dala jak do zakrystii wchodzi w długiej czarnej sutannie ksiądz.

Zastanawiam się jak zagać rozmowę z księdzem żeby go nie przestraszyć i możliwie przyjaźnie do nas nastawić. Klękam przed konfesjonalem, dając w ten sposób znać o chęci przystąpienia do spowiedzi.

Dziwna to była spowiedź.

Zacząło się to od mojego pytania w języku rosyjskim - czy

mam mówić po rosyjsku czy po polsku. Ksiądz staruszek, o siwiuteńkiej czuprynie, trochę przygłuchy, nie wyraził żadnego zdziwienia. Zwrócił się do mnie najczystrą polszczyzną i kazał mówić po polsku.

- Ładaj braciszku tylko to co najważniejsze. Z grzechów się wyświadcasz gdzie indziej.

Lody przełamane. Zwierza<sup>ła</sup> się z całkowitą szczerością, opowiadając krótko historię naszej ucieczki od chwili wyrwania się z obozu aż do przybycia do tego kościoła.

Ksiądz zrobił znak krzyża świętego i nie czekając na zakończenie mojej opowieści wstał i poprowadził nas na plebanię. Śniadanie przy nakrytym śnieżno białym obrusem stole, chociaż posiłek był skromny było ono pierwszym po tylu latach kulturalnym przeżyciem. Było tu dużo, bez ograniczeń chleba, twarogu, miodu i prawdziwa, mocna, słodzona herbata.

Ksiądz przebywał na tym probostwie już od 50 lat, kontakty z Wilnem miał niewielkie, szczególnie teraz gdy władze komunistyczne bacznie spoglądają na jego ręce.

Teraz dopiero "Wilk" poinformował księdza szczegółowo kim jesteśmy, dlaczego znaleźliśmy na terenie Rosji, opowiedział o naszej sytuacji rodzinnej. W trakcie tej opowieści kilkakrotnie dobroduszny ksiądz<sup>a</sup>-staruszek ocierał rękawem sut<sup>a</sup>ynny zwilżone oczy. Po śniadaniu pożegnał nas serdecznie, pobłogosławił i życzył szczęśliwego powrotu do rodziny. Szybko ~~oddaliliśmy~~ oddaliliśmy się z plebanii mając na uwadze możliwość dekonspiracji, a równocześnie obawiając się by nasz pociąg do Wilna nie odjechał bez nas.

Rozmarzyła nas ta wizyta u księdza. Chwile takie stanowią ogromną nagrodę czy zadośćuczynienie za udręki tylu koszmarnych lat w niewoli.

Teraz już tylko cały wysiłek fizyczny i spokój psychiczny

należało skupić, aby niema<sup>ł</sup>że na progu swego domu nie popaść znów w niewolę. Każdy nierozważny krok mógł zniweczyć cały dotychczasowy wysiłek. Nie wolno nam ryzykować. Wszystko musi być przemyślane i przekalkulowane.

Oto pierwszy etap tej gigantycznej, w naszym rozumieniu, ucieczki staje się najzupełniej realny. Wilno, to miasto wieloletnich marzeń, jest wprawdzie jeszcze przed nami, ale droga do niego biegnie już po znanych nam polskich terenach.

Tam pod Wilnem, w Ponarach znajdują się moi najbliżsi, tam jest dom gdzie matka moja i siostra z nadzieją w sercu podświadomie oczekują na chwilę powitania swego syna i brata. Czy się doczekają? Czy zdołam pokonać ostatnie przeszkody na tej kamienistej drodze?

Nie zwierzał mi się generał ze swych<sup>o</sup> myśli, ale jego strapiiona i niespokojna twarz, jego przymrużone oczy i wielka zmarszczka na c<sup>z</sup>le zdradzały niepokój jaki musiał przeżywać w tej chwili. Jego zdrowie utrzymywało się w zupełnie dobrym stanie, chociaż nie było dla mnie tajemnicą, że utrzymanie tego stanu to przede wszystkim niesłychanie silna wola i ogromna odporność psychiczna.

Bez jednego słowa rozumieliśmy się doskonale.

I znów odetchnęliśmy swobodniej gdy pociąg po kilkunastu minutach bez przeszkód przekroczył linię graniczną litewsko-białoruską, gdy przyspieszył szybkość i parł na północny zachód ku upragnionemu celowi.

Mijamy stację <sup>Ponary bez</sup> ~~Ponary~~ zatrzymania, szybkość jadącego pociągu nie pozwala na opuszczenie go w biegu. Dopiero przed samą stacyjką Wilcza Łapa, na przedmieściach Wilna, udaje nam się wyskoczyć z pociągu i zaszyć się w gęstych krz<sup>z</sup>ykach.

Teraz należało prz<sup>z</sup>emyśleć i powziąć decyzję o właściwych dalszych krokach <sup>no</sup> ~~dalszego~~ działania.

Ponary były blisko, blisko był mój dom, blisko rodzina. Nie

wolno mi narażać na niebezpieczeństwo drogich mi osób i nie wolno ryzykować własnego życia. Będąc jeszcze w obozie w Diagielewie otrzymałem niewielką paczkę żywnościową od mojej matki, nadaną właśnie w Ponarach. Było wielce prawdopodobne, że po ucieczce mojej z Gruzowca NKWD nas poszukuje i napewno w domu mojej matki jest zorganizowany "kocioł". Inny zatem musi być kierunek moich kroków.

Generał posiadał kilka punktów kontaktowych w Wilnie oraz zakonspirowane meliny.

Umawiamy spotkanie w domu na ulicy Antokol w ustalonym lokalu, posługując się starym hasłem. Naturalnie i to połączone było z pewnym zrykiem, bo nie wiadomo czy dawni mieszkańcy z 1944 roku jeszcze tam się znajdują - ale nie było innego wyjścia.

W zagajniku omówiliśmy wszystkie szczegóły i rozstajemy się, aby każdy z osobna dotarł na umówione miejsce.

Szczęście nas nie opuszczało. Melina nie była zlikwidowana, generał już na mnie czekał w pobliżu domu i razem weszliśmy do środka obszernego mieszkania. Nie potrzebne były hasła ani odzew bo byli to dobrzy znajomi generała. Sprawa zakwaterowania i wyżywienia nas została pozytywnie załatwiona.

A co dalej? - należało teraz zbadać sytuację i warunki, przemyśleć spokojnie i powziąć właściwą decyzję.

Musieliśmy mieć na uwadze wiele problemów do rozwiązania, lecz do tego mogliśmy przystąpić dopiero po kilku dniach. Nasze organizmy wymagały gruntownej regeneracji. Celem naszej ucieczki z obozu i to wcale nie celem ostatecznym, było wydostać się z terenów rosyjskich i znaleźć się w Kraju. Dalej to konieczność zalegalizowania swojego istnienia a na to musieliśmy dokonać szeregu różnych zabiegów, jak : dokładnie zbadać ogólną sytuację, obrać pewną i bezpieczną kwaterę na nieokreślony czas, zmobilizować gotówkę, zdobyć prawomocne dokumenty, i wreszcie przygotować bezpieczny przerzut przez granicę.

Wokół tych problemów rozwijała się teraz cała akcja, przy której należało korzystać z pomocy różnych ludzi.

Generał miał się zorientować w sytuacji ogólnej w Wilnie oraz spenetrować wśród dawnych podwładnych i współpracowników. Ja miałem spróbować z pomocą swojej siostry zdobyć dokumenty. Jako punkt kontaktowy ustaliliśmy pewien folwark Gulbiny w pobliżu Zielonych Jezior.

Do Gulbin udałem się z zamiarem przeczekania kilku dni dla odzyskania sił fizycznych, generał miał tam przybyć po trzech dniach.

W punkcie kontaktowym zostałem zaopatrzony w zasób gotówki i ubranie, postanowiłem więc odwiedzić matkę w Ponarach. Z zachowaniem wszelkich ostrożności, po stwierdzeniu zupełnego spokoju i braku kręcących się w pobliżu tajniaków, zlustrowałem wnętrze domu przez wszystkie okna i wszedłem do mieszkania. Okazało się, że nikt dotychczas nie niepokoił matki i siostry w związku z moją ucieczką z Grażowca.

Trudno opisać radość z mojego niespodziewanego zjawienia się. Ze łzami w oczach słuchały chaotycznie podanej przeze mnie historii mojego życia w ostatnich tygodniach. Naturalnie natychmiast zao/piekowały się moją osobą, wpytując troskliwie o moje życzenia.

Wreszcie po przeminięciu pierwszych uniesień spotkania musieliśmy wspólnie zastanowić się nad zaistniałą sytuacją i znaleźć sposoby i środki dalszego postępowania. Siostra moja posiadała jeszcze stare konspiracyjne kontakty w Wilnie z różnymi ludźmi i obiecała, że skłoni ich do udzielenia pomocy. Chodziłoby tu szczególnie o wykonanie fałszywych dokumentów osobistych jak i zaświadczeń pracy, no a nade wszystko zorganizowanie przerzutu przez granicę polsko-litewską. Obydwie te sprawy wzięła w swoje ręce i na swoje barki moja siostra.

Oznajmia mi, że zna dobrze jeszcze ~~z~~ konspiracji pewnego kolejarza w Landwarowie, który napewno będzie mógł zorganizować przejście granicy. Człowiekowi temu, jako żołnierzowi Armii Krajowej można będzie zaufać. Zaświadczenia z pracy można będzie uzyskać w państwowym majątku w Białej Wacie jako robotnika roln~~ego~~<sup>ego</sup> na etacie.

Siostra zaproponowała następne spotkanie u nich w domu po kilku dniach. Ja zaś miałem wykorzystać ten czas na odwiedziny kilku znajomych w Wilnie, których postaram się zobowiązać do zebrania potrzebnych środków pi<sup>e</sup>niężnych.

Przy powtórnym spotkaniu w domu rodzinnym <sup>możem</sup> można stwierdzić poważny krok naprzód w naszej sprawie. Siostra wręczyła mi dokumenty, zobowiązując się wyrobić również dla "Wilka". Rozmawiała osobiście z kolejarzem w Landwarowie, z którym umówiła moje z nim spotkanie na niedzielę 15.X.1947 roku.

Na spotkanie z generałem wyznaczony był dzień 11.X, 1947 r. w naszej kwaterze "główniej" na Antokolu. W dniu tym towarzysz mój zdecydowanie stanął na stanowisku prawno-formalnym. Uważał, że powrót do kraju musi być dokonany na legalnej płaszczyźnie i poczynił już pewne kroki w tym kierunku.

Niestety te prawne zabiegi znacznie odwloką termin naszego powrotu do kraju. Prawdopodobnie trzeba będzie jechać do Moskwy do polskiej Ambasady. Musimy natychmiast udać się do fotografa aby zrobić zdjęcia do dokumentów. Ja mam się zgłosić do pełnomocnika-Rządu PRL w Wilnie przy ulicy Wileńskiej. Tam mam otrzymać delegację do Ambasady polskiej w Moskwie,

A ja ze swej strony poinformowałem generała o moich osiągnięciach, a więc o możliwości przejścia przez zieloną granicę do Polski, o zaświadczeniu z pracy, które wręczyłem mu mając nadzieję, że siostra dla mnie przygotowuje inne, o zebraniu wśród znalezionych i przyjaciół sporego zasobu pieniędzy.



Mój przyjaciel, mimo że kierunek mojego działania miał charakter alternatywny w stosunku do jego zamierzeń, przyjął z aprobatą wyniki moich starań, a nawet zaczął z miejsca przyswajać sobie dane z dostarczonego mu przeze mnie dokumentu. Zdjęcia fotograficzne zrobiliśmy jeszcze tego samego dnia w zakładzie przy ulicy kalwaryjskiej i po ich odbiór mieliśmy się zgłosić 12.X.1947 roku czyli nazajutrz.

Tuśmy się rozstali... i to było ostatnie nasze spotkanie, bo nasze losy dalsze potoczyły się oddzielnymi torami, chociaż umówiliśmy się na 14.X.1947 r. w majątku Gulbiny.

Zgodnie z ustaleniem następnego dnia odebrałem zdjęcia swoje i generała i poszedłem do przedstawiciela Rządu Polskiego.

Pod wskazanym adresem na ulicy Wileńskiej, na pierwszym piętrze otworzył mi drzwi w mieszkaniu prywatnym zażywny pan z kocią bródką. Okazuje się, że nikt go do tej pory nie uprzedził o mojej wizycie. Gdy mu powiedziałem kim jestem i po co do niego przychodzę, wyraził zdziwienie a następnie silne pode<sup>n</sup>merwienie. Powiedział mi, że nic nie wie i nie<sup>c</sup>ch<sup>e</sup> nic wiedzieć, prosi bym natychmiast opuścić jego mieszkanie. Nie pomogły moje tłumaczenia i p<sup>o</sup>zby, wykręcił się, że niema czasu bo zaraz wyjeżdża do Warszawy.

Nic mi nie pozostało jak tylko przeprosić i wyjść z mieszkania.

Przed udaniem się na spotkanie z generałem do Gulbin koło Zielonych Jezior postanowiłem odwiedzić matkę.

Była piękna polska jesień. Matka i Siostra zdarzyły przygotować dla mnie pieniądze na podróż, siostra dała mi drugie zaświadczenie pracy, ~~wxkardwarowix~~ umówiła spotkanie w Landwarowie z kolejarzem na jutro godzina 7<sup>00</sup> rano.

W doskonałym nastroju poszedłem na spoczynek. Nazajutrz, 13 października, skoro świt zerwałem się ze snu i słyszałem jak matka krzątała się w kuchni dla przygotowania mi śniadania.

W pewnym momencie, do pokoju gdzie spałem, otwierają się z trzaskiem drzwi i wpada do środka oficer NKWD i kilku ubrojonych w automaty żołnierzy sowieckich.

Podchodzi do mego łóżka oficer i nakazuje wstawać i szybko się ubierać.

- Pójdziecie z nami - mówi po rosyjsku.

No to koniec zabawy - pomyślałem - zaskoczenie było absolutne, o jakimś oporze czy ucieczce nie mogło być mowy. Nie zdążyłem nawet ukryć dokumentów i fotografii mojej i generała, które tkwiły w kieszeni mojej marynarki.

Ubierałem się z ociąganiem, licząc na jakąś okazję pozbycia się niepotrzebnych już teraz dokumentów, ale niestety, obszukai natychmiast /wszystkie moje kieszenie wydcyrując zawartość ich na stół. Wprowadzili mnie do kuchni gdzie stała przystole, przerażona moja matka i obok niej siostra. Siostra zdążyła mi szepnąć tylko, że "Wilk" aresztowany i że ją również aresztują. Nie dali mi się pożegnać z matką.

wyprowadzili mnie i siostrę na ulicę i tu dopiero zobaczyłem ile żołnierzy brało udział w tej łapance. Cały dom był szczelnie otoczony uzbrojonymi bojcami.

I to był rzeczywiście koniec mojej wolności. Nie dotarłem do upragnionego kraju. Nie wiem co mnie teraz czeka i czy wogóle kiedykolwiek jeszcze ujrzę matkę i siostrę i rodzinę. Czułem się jakby nade mną zamknęło się wieko trumny.

Do dziś nie wiem, nie dowiedziałem się nigdy w jaki sposób NKWD wykryło moją obecność w Wilnie i adres mojej meliny.

Kolumna czterech samochodów ciężarowych ruszyła w stronę Wilna, wioząc mnie i siostrę leżących plackiem na dnie samochodu, pod eskortą ponad 30 żołnierzy.

W siedzibie NKWD rozdzielili siostrę ode mnie. Rozłąka trwała 15 lat, kiedy w 1962 roku spotkałem się z nią w Wilnie

po jej odsiadce w więzieniu i na wygnaniu w Kazachstanie. Matka już wtedy nie żyła.

Następnego dnia po spędzonej nocy w piwnicach gmachu NKWD na ul. Ofiarnej wezwany zostałem na pierwsze przesłuchanie.

Dochodzenie prowadził pułkownik NKWD.

Jego pierwsze pytanie dotyczyło generała "Wilka". Gdy powiedziałem, że nie wiem co się stało z generałem, powiedział mi, że generał już dawno jest w Polsce - co było wierutnym kłamstwem bowiem wiedziałem od siostry, że jest on aresztowany, a na biurku pułkownika zauważyłem kilka drobiazgów własności "Wilka", który miał je przy sobie udając się nad Zielone Jeziora.

Na podstawie treści zadawanych pytań zorientowałem się, że jestem podejrzany o działalność konspiracyjną na terenie Wileńszczyzny. Sprawy związane z ucieczką z obozu w Brazowcu ani razu nie wypłynęły. Zastanawiałem się czy nie byłoby lepiej ujawnić się jako zbieg z obozu, ale nie wydawało się to mieć jakiegoś znaczenia dla złagodzenia ewentualnego wyroku. Postanowiłem<sup>em</sup> jak najmniej udzielać o sobie informacji. Jeszcze dwa razy wzywano mnie na przesłuchanie i zawsze padały te same pytania.

Wyrzuty sumienia w stosunku do siostry i matki nie dawały mi spokoju. Wyglądało na to, że w jakiś sposób zdekonspirowała się moja siostra, którą skrupulatnie śledzono. Prawdopodobnie przez Państwowe Gospodarstwa Rolne w Białej Wacie doszli do mieszkania mojej matki w Ponarach.

Historia "Wilka" potoczyła się oddzielnym torem, a jej przebieg podaje mój przyjaciel Henryk w tych wspomnieniach na podstawie relacji samego generała po powrocie do kraju.

Podaję tu w skróconej formie moje dalsze dzieje od aresztowania w Ponarach do powrotu do Ojczyzny.

A więc jak pisałem wyżej, ja i siostra znaleźliśmy się w piwnicach siedziby NKWD na ulicy Ofiarnej. Trzymano mnie tam

przez trzy tygodnie. Codziennie niemał regularnie, po godzinie 22<sup>00</sup> wzywano i prowadzono do prokuratora na przesłuchanie. Zawsze te same pytania i te same odpowiedzi. Starano się we mnie wmówić organizowanie siatki konspiracyjnej dla walki kontrrewolucyjnej. Udowodnienie mi takich działań równoznaczne było z wyrokiem śmierci. Miałem co do tego całkowitą świadomość. Aż do znudzenia opisywałem dzień po dniu historię mojej ucieczki z Grażowca, starając się w miarę możliwości nie wciągać w to generała "Wilka".

Raz przy kolejnym przesłuchaniu był obecny jakiś pułkownik NKWD, uważnie obserwujący każdy mój ruch, reagujący na każdy szczegół naszej ucieczki. Oznajmiono mi na zakończenie tego dopros, że był to zastępca komendanta obozu w Grażowcu, specjalnie wezwany do Wilna dla konfrontacji ze mną i chyba z generałem. Ostatecznie oświadczono mi, że zwalniają mnie z zarzutu konspiracji, lecz grożą wysokimi karami za ucieczkę.

Po raz wtóry w swym życiu znalazłem się w więzieniu na Łukiskach, dokąd NKWD przekazało mnie bez wyroku, co mogło oznaczać, że jest to uwięzienie przejściowe. Tutaj już nie prowadzono żadnych dochodzeń.

Pełne dalsze trzy tygodnie pobytu w celi przeżyłem wspólnie z młodymi Litwinami, znajdującymi się pod zarzutem udziału w walkach partyzanckich przeciw wojskom Czerwonej Armii. Trzy tygodnie w więzieniu, w okropnej ciasnocie, głodzie i straszliwym smrodzie.

Nareszcie wyprawdzono mnie i wszystkich Litwinów z celi, łączą nas z więźniami z innych cel, ładują w specjalne karetki więziennicze i przewożą na dworzec kolejowy. Tutaj ładują wszystkich do wagonu więziennego. Przewożą nas do przejściowego więzienia w Orszy, tam osadzają około 60 więźniów w jednej dużej celi bez żadnych prycz do spania, o cementowej posadzce. Moimi

towarzyszami w celi byli przeważnie Litwini, wśród których znajdował się jeden biskup litewski i 6 księży - byli oni w swoich sutannach.

Napisałem krótkie pismo do komendanta więzienia, żądając przeniesienia mnie do obozu w Grazowcu jako polskiego oficera. Widocznie pismo moje przesądziło o decyzji przewiezienia mnie do więzienia w Leningradzie, skąd przysłany oficer NKWD z obozu zabrał mnie i pod eskortą przewiózł do Grazowca.

Cały rok jeszcze, bo od stycznia do grudnia 1948 roku przebywałem w obozie w Grazowcu, aby wreszcie dostać się do przejściowego obozu dla repatriantów w Brześciu n/Bugiem.

Tutaj spotkałem jeszcze kilkunastu Polaków z różnych obozów w Związku Radzieckim, którzy tu od wielu miesięcy oczekiwali swojej kolejki w transporcie do kraju. Dowiedziałem się, że w listopadzie 1947 roku niemal wszyscy Polacy przechodzący przez ten pośredni obóz wyjechali, a moi koledzy z Czerepowca i Grazowca są już w Polsce.

Dowiedziałem się również, że w obozie tym przebywał generał "Wilk", który do kraju został wysłany w październiku 1947 roku.

Granicę polsko - sowiecką przekroczyłem w końcu stycznia 1949 roku jako wolny obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Z rodziną spotkałem się w Gdańsku, gdzie zamieszkiwała żona z dziećmi od 1946 roku, to jest od repatriacji Polaków z Wilna "

Na tym kończę relację Aleksandra Wasilewskiego - majora "Olesińskiego" - "Kowalskiego".

Powracam do dalszego ciągu moich wspomnień z obozu w Czerepowcu, które przerwałem dla szczególnego podkreślenia przeżyć moich zwierzchników wojennych Armii Krajowej.

Nadszedł i dla mnie ~~raz~~ czas powrotu z obozu w Czerepowcu do Ojczyzny.

Radość tego faktu zatruwały jakieś dziwne manipulacje władz

sowieckich. Nawet teraz nie oświadczone nam wyraźnie jaki nas czeka los w najbliższych dniach.

Ba! Przedziwne wyczyny z listami osób, stanowiących kolejne etapowe grupy transportowe. Zdarzało się nawet, że wyczytany bywał wycofywany już z przed bramy wyjściowej. Trudno sobie wyobrazić rozpacz takiego człowieka.

No, ale mieliśmy jednak potwierdzenie wiadomości drogą poufną od sowieckiego komendanta jednego z takich transportów o przekazaniu więźniów władzom przejściowego obozu w Brześciu n/Bugiem i to nas podnosiło na duchu, pozwalało oczekiwać swojej kolejki.

Każda grupa transportowa nie przekraczała 100 ludzi, to też wydłużał się okres wyczekiwania.

Wreszcie i ja się znalazłem wśród tych szczęśliwców.

A oto dziwne zjawisko psychologiczne. Nie odczuwałem żadnej absolutnie radości. Wydawała się to takie nierealne, takie nieprawdopodobne... W świetle dotychczasowych perfidnych kłamstw sowieców i ten akt mógł się okazać oszustwem. Obawa przed kolejnym zawodem nie wyzwała normalnej w takiej sytuacji reakcji.

Spakowałem swój skromny majątek, pożegnałem pozostających jeszcze w obozie kolegów i wraz z innymi pomaszerowałem wzdłuż niemieckich baraków, przed którymi stali wynędzniali jeńcy niemieccy, bez nadziei rychłego powrotu do swojego Vaterlandu.

Dwa samochody ciężarowe odwiozły nas na stację kolejową Czerepowiec, gdzie zajęliśmy miejsca w wagonie osobowym którejś tam klasy.

Jeszcze tego samego dnia odjeżdżaliśmy ze stacji Czerepowiec w kierunku na Moskwę.

OBÓZ PRZEJŚCIOWY W BRZEŚCIU N/BUGIEM

Trasę między Czerepowcem i Wołogdą przejechaliśmy bardzo szybko. nie było czasu na zastanowienie się nad zaistniałą sytuacją. Przesłania nam całą naszą świadomość jedna jedyna myśl - kraj, rodzina, Polska. Nieznaczy to, że na tym tle snuliśmy jakieś plany czy zamiary, nie znaczy to nawet przeżywanie w marzeniach upragnionej<sup>o</sup> momentu powitania najbliższych. Było to coś podświadomego, jakieś drżenie serca, coś co było nam trudno określić. Zdarzają się sny, w których sceny przemijają jak pejzaż w oknach pędzącego pociągu, widoki które nie zostawiają po sobie prawie żadnych śladów. Powrót do rzeczywistości budzi wewnętrzny niepokój, a czasem złość z powodu trudności odtworzenia tych sennych marzeń. Nasze podświadome<sup>o</sup> uczucia w tej chwili nie posiadały realnych kształtów świata zewnętrznego.

Pociąg, jak przystało prawdziwej komunikacji kolejowej, zatrzymał się na normalnym peronie przed typowym budynkiem dworca. Nikt się nami nie interesował. Czyżby tak wyglądała podróż wolnych obywateli? Drzwi wagonów powoli się otwierają i od wewnątrz nieufnie wychylają się zaciekawione twarze podróżnych.

Jeden, drugi, wyskakują na peron, za nimi wysypuje się cały tłum dziwacznie i śmiesznie ubranych ludzi. To właśnie my!

Otrzymujemy wreszcie informacje od miejscowego kolejarza, że postój będzie trwał tylko dwie godziny, więc żeby się nie rozchodzić, bo na nikogo czekać nie będą.

Śmieszne - co? Nie będą czekać - to niby co zrobią z tymi którzy zostaną w Wołogdzie? ktoby z nas zrestą coś podobnego ryzykował?

Kilkunastu nas zdecydowało się na głębszy rekonesans do miasta, już to z ciekawości już to by wypróbować wartości posiadanych rubli i czerwońców.

Pociągnęli sznurem ulicą biegnącą wzdłuż torów, obserwowani przez przechodniów, którzy w krótkich rozmowach wykazywali kompletną ignorancję w znajomości różnych zachodnich nacji. Zdziwiająca była ich naiwność gdy traktowano nas jako "fryców", to znaczy Niemców, a wyjaśnienia, że mają zaszczyt "gawarit pa ruski" z Polakami witali z niezrozumiałą radością w oczach. Coś w tym musiało być - ale co?

Jakiś starszy człowiek, który operował kilkunastu polskimi wyrazami, poprowadził naszą grupę na "skróty" na plac targowy, gdzie mimo późnego popołudnia odbywał się handel przy drewnianych stołach na stojąco. Ograniczony czas nie pozwalał nam na bardziej wnikliwe poznanie zasad tego handlu. Przy podłużnym stole stała jedna lub dwie babiny z obwiązaną szczelnie głową, a przed nimi leży kilka kupek produktów żywnościowych. Kupujących mało, nie mieliśmy więc trudności nawiązania bezpośredniej transakcji. W grę wchodziły takie specjały jak biały ser, śmietana, chleb, nawet odrobina masła, a obok cebula, czosnek, buraki i kapusta. Jako moneta wymienna z naszej strony mogły być tylko ruble, ale było ich stosunkowo niewiele, często nie starczało na porcję sera czy chleba. Mieliśmy jednak buty, koszule, szaliki itp - a to miało ogromne wartości nabywcze.

Wracaliśmy do pociągu bogatsi o zawiniątka różnych specjałów, których już od kilku lat nie próbowaliśmy. Przy odrobinie fantazji wystarczyć nam powinno na kilka wspaniałych uczt w dalszej podróży. Biedniejsi byliśmy o kilka przedmiotów naszego nędznego ubrania.

Konwojenci transportu, w postaci uzbrojonych bojów, gdzieś zapadli się jak pod ziemię. Nie byliśmy przywykli do takiego nas traktowania, a poniektórzy poczytywali sobie za obrazę. No bo jakże można było sojuszniczą armię pozostawić bez opieki.

Pociąg nasz zwolnił bieg i wtoczył się na niezliczoną ilość





sporcie. Nie starał się naogół nawiązywać rozmów z przypadkowymi ludźmi, bo jednak jego ubranie mogło budzić nie tylko nieufność ale i podejrzenie. No ale jakoś wrócił i znajduje się między nami.

Zatrzymujemy się w dalszej drodze jeszcze na stacji Mińsk, gdzie utknęliśmy aż przez dwa dni i nocę na bocznych torach.

Stacja Niegorełoje. Dawna granica Polski. Jest godzina dokładnie 24<sup>00</sup>, dzień 17 października 1947 roku. Jakby na komendę we wszystkich wagonach rozlega się hymn narodowy.

- Jeszcze Polska nie zginęła, póki my.....

Chyba w tym momencie każdy z nas nie tylko miał łzy w oczach ale wręcz popłynęły łzy radości, a za gardło skurcz chwytak. Trzeba doprawdy przebywać na wygnaniu wiele lat aby przeżyć tak ogromny wstrząs.

Tak, tylko że to jeszcze nie Polska, jeszcze się znajdujemy na terenie obcego państwa, które ponosi odpowiedzialność za trudy, ból i udrękę zadawaną bezprawnie i bezlitosnie dla jakichś tam politycznych względów. Jeszcze znajdujemy się w ich władzy i mogą nas w każdej chwili zawrócić wysyłając na daleką Syberię lub do więzienia.

Na dalszej trasie pociąg nasz zatrzymuje się krótko na stacjach Stołpce, Baranowicze, Brześć. Miasta dawniej rdzennie polskie lecz dziś poza granicami po stronie ZSRR.

Brześć nad Bugiem, w pobliżu obecnej granicy państwowej, stanowiący twierdzę z rozbudowanymi koszarami wojskowymi.

Tutaj wybrano miejsce na przejściowy obóz dla powracających z wygnania na wschodzie. Tutaj w byłych polskich koszarach wojskowych umieszczono naszą ~~grupę~~ całą grupę.

Nie byliśmy tu dzisiaj bynajmniej osamotnieni.

Zastaliśmy już zakwaterowanych Polaków ze wszystkich obozów na terenie Związku Radzieckiego. Byli tu również zwolnieni z wię-

zieni sowieckich ludzie, których jak się okazało w śledztwie zamknięto przez pomyłkę. Byli nawet jeńcy wojenni narodowości polskiej z zachodnich dzielnic kraju, którzy przymusowo zostali zmobilizowani przez hitlerowców. I wogóle była tu mieszanina płci, wieku, zawodu i rasy, bo zdarzali się nawet murzyni posiadający polskie obywatelstwa.

Zastaliśmy tu również kolegów, z którymi już przebywaliśmy w innych obozach. Byli tu już oficerowie z obozu w Grazowcu, a wśród nich nasz wódz generał "Wilk".

Naturalnie o wszystkich tych okolicznościach wiedzieliśmy po kilku dniach pobytu w obozie.

Przejęciowy charakter obozu w Brześciu polegał na ciągłym odpływie i przypływie mas ludzkich, rotacja odbywała się niemal każdego dnia po kilkaset osób.

Przydzielono nam pomieszczenie na pierwszym piętrze. Był to w zasadzie szeroki korytarz i ogromna sala. Żadnych łóżek ani prycz. Podłoga z desek, dwa podłużne sosnowe stoły i kilka szerokich ławek pod ścianami. I to wszystko. Kto z nas zdążył ten zajął ławy i stoły, reszcie musiała wystarczyć podłoga.

Mnie się udało ulokować wspólnie z Zygmuntem na jednym ze stołów, gdzie urządziliśmy sobie względnie wygodne leża. Miejsca tego musieliśmy pilnować na przemian, aby uchronić je przed zagarnięciem przez innych.

Wszystkie czynności i zabiegi wokół uporządkowania swojego legowsiska odbywały się na wycucie, wobec panujących kompletnych ciemności. O jakimś posiłku nie można marzyć z powodu ciemności z jednej strony i nieznajomości terenu ani warunków z drugiej. Zresztą syci wrażeniami, mimo głodu, gdzie kto mógł walił się na ziemię, ławy czy stoły i prawie natychmiast zasypiał. Nie pomyślał nikt nawet o rozbieraniu się przed snem.

No może jedynie trzeba było ściągnąć buty aby w ten sposób

pozwoić na wypoczącie nóg. Tylko, że w tym <sup>u</sup>wisnie tkwiło moje nieszczęście.

Skoro świt byliśmy wszyscy na nogach. Ja również byłem na nogach ale już bez butów, a miałem piękne oficerskie z błyszczącymi cholewami. Nie znalazłem tych swoich "oficerek", które pozostawiłem wczoraj pod stołem. Szukałem je wszędzie, może ktoś sobie przez pomyłkę wypożyczył. Nic, ani śladu. Tłumione uśmieški kolegów doprowadzały mnie do wściekłości. A trzeba pamiętać, że to był październik, ani pogoda ani też temperatura nie bardzo pozwalały na spacery na bosaka. Byłem uwięziony.

Zygmunt udał się do komendantury obozu, przedstawił moją tragiczną sytuację i prosił o pomoc. Wysłuchali, pokiwali głowami i wreszcie jeden z bojców przyniósł parę drewniaków z parcianymi paskami dla zamocowania na nogach.

Dobre i to. W każdym razie, po owinięciu onucą i jakimś gałganem a potem przewiązanie sznurkiem można będzie już jakoś się poruszać. Ale jak tu jechać do kraju? Co powiedzą Polacy gdy zobaczą mnie w takim stroju? Czy nie pomyślą, że buty przepięłem albo przejadłem?

Cały dzisiejszy ranek wypełnił nam wywiad w terenie. Badało się wszystko i wszędzie. Wyszukiwało umywalni i ustępów. Zasięgało się informacji o sposobach żywienia. Poznawało się nowych kolegów.

Odnalazłem "Wujka"- Kiewlicza i razem ruszyliśmy na poszukiwanie kwatery generała "Wilka", bo już zdążyliśmy się dowiedzieć, że w obozie znajduje się kilkunastu więźniów z Grazowca. To, że "Wilka" zastaniemy w Brześciu było dla nas niespodzianką, bo przecież "Wilk" z "Olesińskim" zwiiali z Grazowca. Wyszuliśmy z tego wniosek, że ich ucieczka się nie udała i szczęśliwym było trafem, że nie wsadzili ich do więzienia lub nie wysłali gdzieś "na posielenie" w Syberii.

Po długich poszukiwaniach trafiliśmy przypadkowo na majo-

ra Mościckiego, który zajmował oddzielny pokój wspólnie z generałem i dwoma nieznanymi pułkownikami. Powitanie z generałem było niezmiernie serdeczne. Po dłuższej chwili milczenia rozpoczęły się opowieści historii ostatnich miesięcy.

Wódz nasz zachował jasność umysłu i wspaniałe poczucie humoru, mimo że jego stan fizyczny nie przedstawiał się zbyt dobrze. Zawsze był szczupły o twarzy pociągłej, teraz przeżycia i niedożywianie, ciągłe napięcie nerwowe i wielokrotne protestacyjne głodówki wycisnęły piętno na jego wyglądzie. Tylko oczy nie straciły nic ze swojej wyrazistości, a trzeba pamiętać, że był to człowiek ciężko chory na owrzodzenie żołądka czy dwunastnicy. Po bohatersku znosił wszystkie trudy niewoli, aktywny i zawsze gotów udzielić nie tylko rad swoim żołnierzom ale i możliwej pomocy.

Jego ucieczka z Grazowca to wspaniały wyczyn w kategoriach wytrzymałości fizycznej, a zwłaszcza psychicznej.

W poprzednim rozdziale podałem krótki opis tej historii w relacji majora Aleksandra Wasilewskiego - "Olesińskiego", tutaj pragnę szczególnie podkreślić stosunek generała do problemu pozabawienia wolności w świetle prawa międzynarodowego. Jego bezwzględny i kategoryczny protest, sprzeciw dokumentowany osobistym zaangażowaniem swojego autorytetu wobec bezprawia i despotyzmu władz sowieckich. Dowiedziałem się od niego, że zaraz po przybyciu z obozu w Ciepielewie do Grazowca, gdy ujrzeli się wśród wysokich szarż oficerów niemieckich, zażądał nasz generał natychmiastowej zmiany miejsca kwaterunku, jako że niema zamiaru dzielić wspólnego mieszkania z odwiecznymi wrogami i ludobójcami. Gdy taki sprzeciw nie odniósł skutku rozpoczął którąś tam już z kolei głodówkę. Naturalnie i ta demonstracja nie zdała się na nic, a głodówkę przerwał na skutek usilnych próśb współtowarzyszy, którzy przekonali go z uwagi na konieczność zachowania zdrowia i sprawności fizycznej na wypadek możliwości zor-

ganizowania ucieczki z obozu.

Tutaj w Brześciu znalazł się 7 października 1947 roku, przywieziony bezpośrednio z Wilna, gdzie przebywał przez kilka dni od momentu zradzieckiego schwytania go w jednym z okolicznych dworów. Teraz obiecują, że lada dzień nastąpi jego wyjazd do Kraju, a prokurator oznajmił mu, że czekają tylko na wyrażenie zgody przez Rząd Polski Ludowej w Warszawie.- ~~No~~ więc czeka.

Owszem, nie może narzekać, obchodzą się z nim tu bardzo uprzejmie, opiekują się jego zdrowiem i nawet wystarali mu się o całkiem niezły mundur sukieny i przyzwoite buty. Proszono go nawet żeby sobie przyszył przysługujące generalskie odznaki.

"Wujek", korzystając z wiadomości o otrzymaniu przez generała nowych butów, nieomieszkał opowiedzieć mu historję kradzieży moich butów "oficerek", na skutek czego chodzę teraz w drewniakach, które mi spadają z nóg. Domyślił się generał o co chodzi i wskazał na leżące w kącie potężne sowieckie buciory. Było to cholerstwo straszliwie ciężkie, zbudowane na grubych podszwach bez kawałka skóry. Przyszwyy i cholewy z grubego sztywnego płótna namiotowego-brezentu. Wielkość tych butów była niewspółmierna do moich nóg, które w nich nie napotykały żadnych oporów ani wzdłuż ani w szerz. Wyobrażałem sobie ile tam będę musiał wiałowac onuc i papieru aby móc jakoś panować nad integracją rurek chów nóg i butów razem. Ale żarty na bok. Mimo wszystko było to jakieś rozwiązanie. Władze obozowe jednak pomogły mi w tej głupiej sytuacji, dając mi sowieckie drewniaki, które miałem w tej chwili na nogach. Buty generała pozwalały na bardziej swobodne poruszanie się.

Zaczął się nowy okres czekania. Nic tylko zawsze czekaj i czekaj. Beznadziejność takiej sytuacji i kompletna bezradność doprowadzała niejednokrotnie ludzi do szału.

Co drugi lub co trzeci dzień organizowano grupy ludzi i kierowano na dworzec kolejowy. Transporty do Polski nie były poprze-

dzane żadnymi przygotowaniem. Po prostu przychodził oficer sowiecki z gotową listą, odczytywał nazwiska i kazał iść na zbiórkę z "wieszczami".

1 listopada 1947 roku w jednym z kolejnych transportów znalazł się nasz generał Krzyżanowski - "Wilk", razem z moim przyjacielem obozowym i moim dowódcą Brygady "Żejmiana" - "Wujkiem". Do dalszych transportów trafiali inni moi koledzy, z którymi łączyły mnie bliższe stosunki i tak traciłem z każdym dniem kolejne oparcie moralne.

Mija 6 tygodni moich oczekiwań w obozie przejściowym w Brześciu. Już niewielu kolegów pozostało w obozie. Coraz przybywały nowe transporty z dalekiej Rosji.

Ktoś z tych co zostali uzyskuje informacje, że pewnie nas zawrócą z tego obozu do Rosji jako obywateli sowieckich. Dotyczyło to zwłaszcza mieszkańców Wileńszczyzny i Białorusi.

W pierwszych dniach listopada zebrano grupę kilkudziesięciu ludzi, których pod konwojem uzbrojonych bojców popędzono do bunkra. Podobno byli to obywatele rosyjscy - Litwini, Białorusini, Ukraińcy oraz wielu Polaków - którzy mają wrócić do więzienia w Moskwie i oczekiwać na rozprawę sądową pod zarzutem szpiegostwa, dezercji i kontrrewolucji.

Zdarzyła się i tutaj masowa ucieczka z obozu do Polski. Część tych uciekinierów przekroczyła granicę i chyba tam w Polsce zostali, ale kilkunastu zawrócono do obozu i zamknięto w bunkrze. Ucieczka ta nie była wynikiem przemyślenia całej akcji, była ona wyrazem rozpacz i determinacji.

Jeden z tych, którym się nie udało ucieczką opowiadał, że kilku uciekinierów przeszło granicę i byli już kilkaset metrów w Polsce, lecz zostali pochyceni przez polskich "wopistów" i odesłani z powrotem do posterunków sowieckich.

Był chyba 5 listopad. Po całym obozie obiega z ust do ust dziwaczna wiadomość.

é- Płaski... Płaski.... do "prokurora" - słychać ze wszystkich stron.

To niespotykane!

Stoimy na podwórzu i rozmawiamy ze Stachem Pieniążkiem. Biadamy, że nas niema na liście wyjazdu. Słyszymy dziwne głosy, wreszcie dochodzi do naszej świadomości wykrzykiwane nazwisko. To chyba chodzi o mnie. Zastanawiamy się czy się zgłosić u oficera dochodzeniowego czy się zataić. Nie wygląda to w każdym razie na nic dobrego.

- Idę do "prokurora" - zapada moja decyzja.

- Wy Płaskij Genrich? - pyta lejtnant

- Da...

- U was żena Irina i doczka Myszka...

- ? - nie odpowiadam, bo sam nie wiem co odpowiedzieć.

- Smatri! - podaje mi depeszę i obserwuje uważnie jakie to na mnie zrobi wrażenie.

Trzymam w ręku blankiet telegraficzny, naturalnie w języku rosyjskim i czytam półgłosem.

- Płaskij Gienrich. Łagier internowanych polskich oficerów. Brest. Żena Irina i docz Myszka ażidajut tiebia.

Nic z tego nie rozumiem.

Oficer prawdopodobnie moje zażyłowanie położył na karb zdenerwowania, bo oddał mi telegram i kazał iść do koszar.

Wiele razy odczytywaliśmy ze Stachem treść tej depeszy i zastanawialiśmy się nad jej trścią. A oto co wydedukował Staszek.

- Prawdopodobnie istnieją tam w Polsce specyficzne warunki, które zmuszają do takiego kamuflarzu. To też zostało zmienione imię twojej żony i zamiast syna podano córkę. Nie przejmuj się, depesza ta potwierdza twoje polskie obywatelstwo i kto wie czy nie przyspieszy twój powrót. Na miejscu zagadkę rozwikłasz.

Coś się rzeczywiście ruszyło.

Nareszcie w dniu 7 listopada nazwisko moje znalazło się



na liście transportu do Polski.

Nie wiem dotychczas co było powodem przyspieszenia wyjazdu. Może faktycznie ta depesza od rzekomej żony Ireny i córki Myszki, a może interwencja mojego ojca, który z Warszawy wysłał list do polskiej Ambasady w Moskwie z poświadczeniem mojego obywatelstwa polskiego i zameldowania stałego w Warszawie, a może wreszcie przyszła automatycznie kolejka na mnie.

Najważniejsze, że jutro wieczorem mój transport odchodzi z dworca w Brześciu do stacji granicznej - Terespol.

Stach Pieniążek znalazł się również w tym transporcie.

Zebranie swoich gratów, pożegnanie pozostających jeszcze kolegów odbyło się błyskawicznie. Przejazd samochodami w grupach około 100 osób na dworzec kolejowy odbyło się sprawnie. Panował uroczysty spokój. Radość rozpięła nam piersi. Na rozmowy już nie było ni miejsca ni czasu.

Wagony towarowe na szerokich torach, wewnątrz czysto wymiecione czekały już na nas na dworcu, a przed każdymi drzwiami stały drabinki wejściowe. Wagony były obszerne i 50 ludzi mogło swobodnie się pomieścić, tymbardziej że nikt nie szukał miejsc siedzących. Napór na drzwi od wewnątrz wagonu był ogromny, bo każdy chciał stanąć przy samym wejściu, aby mimo zapadającej nocy móc obserwować ostatnie chwile na obcym terytorium. Odjeżdżaliśmy głodni, gdyż w tym dniu nikt nie był w stanie myśleć o jedzeniu.

Wyobrażam sobie jak musiałbym w oczach obserwatora śmiesznie wyglądać.

Na głowie miałem wyblakłą, partyzancką furażerkę z orzełkiem własnej roboty z blachy aluminiowej i naszytym z boku biało-czerwonym proporczykiem. Miałem na sobie ciepły sweter, który został zrobiony przez Wacia Luto na zamówienie z włóczki z różnych poprutych starych swetrów. Na wierzchu miałem jasny letni płaszcz gabardinowy tak zwaną dyplomatkę, którą zachowałem jeszcze z czasów wyruszenia z więzienia łukiskiego, naturalnie był on w opłaka-

nym stanie i przybrał szaro-bury kolor. Na nogach miałem sławne buciory sowieckie otrzymane w prezencie od generała "Wilka".

Ponad to posiadałem aż trzy pakunki wiszące na taśmie par-cianej, a mianowicie: chlebak jeszcze z Polski, w którym znajdowały się najdroższe pamiątki, jak różne nożytki, bajka dla syna, plakietki w duraluminum i pierścienie przeze mnie wykonane i drobiazgi jak pędzel i brzytwę do golenia, druga paczka to był worek na sznurku wypełniony wszystkimi ciuchami, które mi jeszcze pozostały; no i trzecia paczka - to była blaszana pu-szka z uchwytem zrobionym z drutu, która spełniała rolę menaż-ki na wodę lub pożywienie w płynnym stanie, wewnątrz łyżka i wi-delec - też własnej produkcji.

Na rękach, dla ochrony przed mrozem, miałem potężne rękawice weżniane, również wykonane przez Wacka Luto na zamówienie.

Między szparzaczami i papierkami, które bezładnie tkwiły po wszystkich kieszeniach spodni i bluzy, umieściłem mój skarb, w postaci dwóch autentycznych "funtów angielskich". Ich zdobycie to historia z obozu w Ciepielewie, jako ekwiwalent za sprzedany chleb i za wykonanie kilku pierścionków. Teraz te dwa funty angielskie miały stanowić mój kapitał zakładowy w działaniach gospodarczych w kraju.

~~Tak wykwipowany~~ Tak wykwipowany znalazłem się o północy na stacji kolejowej - Terespol, już po polskiej stronie granicy.

Wolno posuwający się pociąg, złożony z kilku obszernych wagonów towarowych, zatrzymał się ze zgrzytem i piskiem przy peronach stacji kolejowej Terespol.

Znajdujemy się po polskiej stronie granicy, mimo że pociąg tkwi jeszcze na szerokich rosyjskich torach.

Wszystkie drzwi wagonów na oścież rozwarte a otwory wypełnione całkowicie głowami i zarosniętymi twarzami.

Do każdego wagonu zbliża się grupa pań, z których dwie niosą dymiący kocioł zupy, a zapach roznosi się wokoło drażniąc nasze nozdrza do obiedu. Cóż to za wspaniałe aromaty. Czy to możliwe jest istnienie na świecie takich uroków? A jednak to przecież dla ludzi, dla człowieka.

Dlaczego jednak w tak uroczystych chwilach muszą występować drobne przykrości. Bo proszę sobie wyobrazić, że panie obok gotowych pająd chleba nie zabrały dostatecznej ilości metalowych misek i łyżek. Myślały pewnie, że przybory te powinniśmy mieć przy sobie, bo cóż to wart żołnierz bez ~~manażki~~ i bez niezbędnika, jak sama nazwa wskazuje.

Podaję pięknej pani - bo dzisiaj wszystkie panie są piękne - swoją blaszaną puszkę i spoglądam jak do jej wnętrza nalewana jest gęsta zupa. Łyżkę mam własną, zagarniam więc nią w puszcze od samego dna. Radość wypełnia mi serce bo czuję pod łyżką spory kawał mięsa. W panujących ciemnościach trudno zobaczyć tę wielką zdobycz.

- Patrz Stachu! Jaki fajny kawał mięcha mi się trafił!

Ale jakoś w żaden sposób nie mogę kawałka odgryźć, bo to niby nie twarde ale jakieś żylaste. I trochę jakby owłosione. Z łyżki mi się zsuwa więc chwytam palcami zdecydowany odkroić kawałek za pomocą noża. Cóż za przykre zaskoczenie. Zamiast ka-

wałka mięsa wyciągam z puszki oblepioną gęstą zupą moją własną ~~z~~ wełnianą rękawiczkę.

Świadomość takiej niespodzianki wywołała u mnie pewien szok, a zdziwienie Stacha i jakiegoś innego kolegi wprowadziło mnie w stan pustego śmiechu. Zresztą rozniosła się szybko wiadomość o tej Historii wśród współpasażerów, których reakcją były uszczypliwe uwagi o mojej żarłoczności. Mnie jednak szybko odstąpił ten wisielczy humor, zaczęło mnie niesamowicie mdlić aż musiałem zwrócić na zewnątrz wagonu to co zjadłem.

Konie z PCK chciały mi dać nowej zupy ale nie przyjąłem od nich tego prezentu. Byłem głodny i tylko suchy chleb uśmierzał trochę to uczucie. Potem była jeszcze gorąca herbata, lecz i tu główną przeszkodą był brak naczyń, tak że jedna porcja herbaty służyła do opłukania blaszanych puszek, a dopiero druga porcja mogła się znaleźć w żołądku. Byli tacy co obydwie porcje wypijali, mimo że herbata miała raczej smak zupy.

Teraz już tylko krótki odpoczynek po wrażeniach powitania i ucztowania na ziemi ojczystej. Załadowują nas do wagonów osobowych, znajdują <sup>cych</sup> się na sąsiednim normalnym torze kolejowym i przewożą nas do odległej około 50 km stacji kolejowej Biała Podlaska.

Zatrzymujemy się przy peronach dworca i czekamy na jakieś powitanie ale niestety ani orkiestry ani przemówień nie możemy się doczekać. Zjawia się w pewnej chwili oficer w polskim mundurze, salutuje nas i oświadcza, że mamy pozostać w wagonach do rana, bo dopiero od godziny 8<sup>00</sup> rozpoczyna urzędowanie t.zw. PUR - Polski Urząd Repatriacyjny, gdzie będziemy mogli załatwić wszystkie formalności.

Ktoby tam siedział w wagonie. Włóczyło się bractwo grupami lub pojedynczo po całym terenie dworca, zwiedzając wszystkie dostępne pomieszczenia.

Przed dworcem na ulicy zgromadziła się grupka ludzi, wypytu-

jąc o różne nazwiska. Były to rodziny, przybyłe z całej Polski na spotkanie swoich bliskich, powracających z niewoli rosyjskiej.

Tuż przed godziną 8<sup>00</sup> dnia 9 grudnia 1947 roku zjawia się na dworcu starszy pan, przedstawia się jako prezes Oddziału PCK w Białej Podlaskiej. Oświadcza nam, że od tej chwili znajdujemy się pod troskliwą opieką Polskiego Czerwonego Krzyża, który pokieruje naszymi losami aż do rodzinnego domu. Pięknie i obiecująco przedstawia się nasza najbliższa przyszłość w rodzinnym Kraju.

Cały murowany budynek, usytuowany przy głównym Rynku został przeznaczony na zakwaterowanie repatriantów. Coraz większy luksus zaczyna nas otaczać. W poszczególnych salach ustawiono rzędem żelazne łóżka, zasłane czystą pościelą, a obok każdego łóżka jak w szpitalu stoi nocna szafka. Jeden stół i kilka krzeseł uzupełniają umeblowanie. Wszędzie czysto, a okna osłonięte białymi firankami. W suterijnach znajdowały się łazienki, umywalki i prysznice.

I to wszystko dla naszych doraźnych potrzeb.

Pierwszą sprawą, po doprowadzeniu siebie do stanu przyzwoitego, była wizyta w urzędzie PUR, gdzie dokonaliśmy szeregu ważnych czynności, a mianowicie: 1. Złożenie meldunku dla założenia kartoteki, podając dane personalne i okoliczności pobytu w ZSRR i powrotu do Kraju, 2. Wykonanie zdjęcia fotograficznego do tymczasowego dokumentu w formie zaświadczenia tożsamości, 3. Otrzymanie następnego dnia odpowiedniego zaświadczenia /Nr 05826 z dnia 10.XII.1947 r/ 4. Pobranie z przydziału UNRRA kawałka mydła i tabliczki czekolady, 5. Pobranie zaświadczenia na przejazd koleją/ Nr. 39511, st. Lublin, 11.XII.47 r./ 6. Pobranie zapomogi doraźnej w sumie złotych jeden tysiąc/, 7. Przejrzenie stosu listów z całej Polski dla wyszukania swego nazwiska.

A oto treść listu - kartka pocztowa, który przesłano do komendy obozu w Brześciu, a który powrócił do PUR w Białej Podlaskiej.

- Do Komendanta PUR w Białej Podlaskiej.

Warszawa 15.X.1947 r.

Uprzejmie proszę o skierowanie Henryka Płaskiego do Warszawy, Wawelska, Domki Fińskie XIII/2, gdzie się znajduje żona z rodzicami. Z poważaniem M. Płaska.

I dopisek: Brześć- załatwiono.

A drugie w miesiąc później nadane przez ojca.

é Biała Podlaska - PUR

Warszawa 8.XI.1947 r. nadawca: Stefan Płaski ul. Wawelska XIII/2 Warszawa.

Syn Henryk Płaski przebywa w Razaniu w obozie. Proszę uprzejmie o skierowanie go do Warszawy gdzie zamieszkują rodzice, żona z synkiem. O to proszą uprzejmie Rodzice i żona. Z poważaniem Płascy.

I to były wszystkie wiadomości z domu.

Następna z kolei czynność to ~~była~~ wizyta w Zarządzie Czerwonego Krzyża. Tutaj, trzeba przyznać, panowała atmosfera już nie urzędowa jak w PUR, a raczej towarzyska.

Mnie i Stacha przyjął w swoim gabinecie sam pan prezes. Rozmowa była bardzo osobista, bo mówiło się bez obsłonek o przeżyciach na wschodzie, o warunkach bytowych, o traktowaniu nas itp. Czuło się przy tych rozmowach głębokie współczucie i pewnego rodzaju niedowierzanie naszym relacjom. Nasz wygląd i ubiór mogło poświadczyć prawdziwość naszych opowiadań, cóż jednak gdy były one dla słuchacza zgoła nie autentyczne. Nie mniej warto chyba było posłuchać tych historii, które wszak mogły się przecież zdarzyć.

Pewnie wywarliśmy na panu prezesie dodatnie wrażenie, bo serdecznie zaprosił nas do swego domu na taki sobie spóźniony obiad. Zar<sup>zy</sup>ż telefonicznie uprzedził swoją żonę o wizycie miłych gości

Mieliśmy kilka godzin do czasu stawienia się w gościnnych progach prezesa PCK, więc czas ten zużyliśmy na zwiedzanie miasta. Jakoś nie zafrapowały nas ani nie zachwyciły widoki Bielej Podlaskiej. Po prostu mała kresowa miejscina o niskiej zabudowie. Może tylko rynek mógł zainteresować zwiedzających.

O godzinie 17<sup>00</sup>, tak jak było ustalone, zjawiliśmy się w mieszkaniu prezesostwa. Pani domu serdecznie nas powitała, a córeczka z zainteresowaniem oglądała nas ze wszystkich stron, szczególnie zwracając uwagę na nasze brody i buty. Bo też moimi butami można się było zafascynować.

W jadalnym zastajemy pięknie nakryty białą jak śnieg serwetą stół, na którym ustawiono talerzyki z zimnymi przekąskami. Siadam do stołu, oszołomiony jego widokiem, opanowuje mnie jakby uczucie strachu, boję się dotknąć białego obrusa, nie wiem w którą rękę ująć nóż a w ktorej trzymać widelec. Nawet dzisiaj nie mogę sobie uświadomić co było silniejsze czy radość czy też strach, czy uczucie pragnienia sytości czy też świadomość poniżenia godności ludzkiej, czy chęć udziału w tej uczcie czy też natychmiastowej ucieczki.

Najwidoczniej moje wewnętrzne przeżycia w jakiś sposób ujawniały się na twarzy czy w zachowaniu, skoro pani domu łagodnym głosem zaczęła przekonywać mnie, że koszmar, któryśmy przeżyli napewno pozostał daleko za nami, że teraz zaczyna się nowe życie w gronie rodziny we własnym domu.

Siedziałem za stołem nie mogąc zrobić najmniejszego ruchu głową, a oczy miałem pełne łez. Zrobiło mi się nagle przykro i opanował mnie wstyd z powodu mego zachowania. Szybko doszedłem do siebie, nawiązując rozmowę z panią prezesową.

Dalszy przebieg obiadu nie zawierał już żadnych zakłóceń, a przy herbatce prowadziliśmy bardzo pogodną i uczoną konwersację. Był już późny wieczór gdy bardzo serdecznie dziękowaliśmy

gospodarzom za ich uprzejmość i za radość jaką nam sprawili. Obiecywałem napisać do nich gdy włączymy się w naturalny tryb rodzinnego życia.

Nazajutrz, wyposażony w dokumenty, suchy prowiant na drogę, bilet kolejowy, znalazłem się na dworcu kolejowym w Białej Podlaskiej aby się udać w dalszą podróż. Miałem kilka powodów aby do Warszawy pojechać przez Lublin, a szczególnie dwie przyczyny o tym zadecydowały.

Raz to to, że chciałem zobaczyć się z Ireną Pławską, nadawczynią tajemniczego telegramu do Brześcia, a po drugie chciałem wstąpić do jednego z moich starych przedwojennych przyjaciół, Stefana Jarosza, celem uzyskania pierwszych autoratywnych wiadomości o stosunkach w kraju i warunkach życia.

Oprócz mnie do Lublina jechało jeszcze kilku repatriantów, co mogłem stwierdzić dopiero na peronie przy wsiadaniu do pociągu. Na dworcu w Lublinie znajdowała się gromadka ludzi, czekających na przybycie gości ze wschodu. Jak to błyskawicznie dotarła ta wieść do zainteresowanych było wprost nie do uwierzenia.

W budynku stacyjnym, wśród wielu osób ~~znajomych~~ zobaczyłem stojącego z daleka majora Mościckiego w towarzystwie kilku pań. Właściwie to raczej on mnie pierwszy spostrzegł bo natychmiast oddalił się od swojego towarzystwa idąc w moją stronę.

- Kolego! Jest tu wasza krewna, która was w zasadzie nie zna i nigdy nie widziała. Chcę pana przedstawić tej pani - i poprowadził mnie do niej poprzez salę.

Była tam młoda kobieta lat koło 30, niskiego wzrostu, pociągła buzia z ciemnym meszkiem pod nosem. Nigdy tej pani nie widziałem.

Po wymianie swoich nazwisk, oddaliliśmy się gdzieś w kąt sali i tam wyjaśnialiśmy sobie okoliczności wysłania do mnie dziwnego telegramu.

Teraz się dowiedziałem, że jej mąż Lucjan Pławski został a-



resztowany w jakiejś akcji przez NKWD, skazany na dożywotnie zesłanie gdzieś na daleką północ - na Syberię. Major Mościcki, jej znajomy z czasów wileńskich, zawiadomił ją osobiście w Lublinie, że jej mąż znajduje się w obozie przejściowym w Brześciu. Coś tam się nie zgadzało z imieniem, bo opis zewnętrzny trochę odpowiadał. Pani Irena, nastraszona przez majora, że nie chcą jej męża przepuścić przez granicę do Polski, jako że jest on obywatelem Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, postanowiła stworzyć dokument jego polskiego obywatelstwa. Wysłała więc depezę, której treść tak mnie zbulwersowała w Brześciu. Wyobrażam sobie jak była zawiedzina widząc przed sobą zupełnie obcego człowieka, który miał być jej mężem i ojcem małej córki.

Właściwie cała ta historia na tym się powinna zakończyć. Ale to nieprawda, bo w roku ~~1925~~ 1952 zaszła ciekawa scena, którą pozwolę sobie przytoczyć.

A więc od czasu tego spotkania z panią Ireną minęło ponad cztery lata, gdy do mego mieszkania przy ulicy Raszyńskiej rozległ się przeciągły dzwonek elektryczny u drzwi wejściowych.

W otwartych drzwiach stał nie wysoki blondyn o śmiejącym się oczach i uważnie mi się przyglądał.

- Pan kogo szuka? - przerywam nazbyt przedłużające się milczenie.

- Jestem Lucjan Pławski i szukam Henryka Płaskiego. Czy mam przyjemność z panem Henrykiem?

- Tak... tylko, że ja pana nie znam.

- Zaraz pan pozna... można wejść?

- Proszę - kieruję go do pokoju. Podajemy sobie dłonie. Przedstawiam go mojej żonie.

- Niech pan sobie przypomni depezę, którą pan otrzymał w Brześciu, w obozie przejściowym. To ja byłem adresatem, tylko że ja wówczas znajdowałem się ogromnie daleko na północnej

Syberii. Ciężka praca w kamieniołomach, straszne warunki bytowania i wyżywienia nie dawały żadnej nadziei na powrót do Kraju, nie mówiąc o wyroku dożywotniego zesłania. Ale szczęście się do mnie uśmiechnęło jeszcze raz w życiu i z jakichś tam względów politycznych ogłoszono amnestię i zwolniono, najpierw zamieniając karę ciężkich robót na tak zwane "posielenie" w jakiejś wiosce syberyjskiej, a w krótko potem odesłano mnie z kilku jeszcze skazańcami pociągami pośpiesznym czy tranzytowym do polskiej granicy. Bez żadnych formalności przyjechałem do Kraju, uzyskując pomoc istniejących jeszcze <sup>biuro</sup> repatriacyjnych i PCK.

- No i jestem, jak pan widzi zdrow i cały.

Historia z depeszą - ciągnął dalej mój gość - tak mnie ubawiła i zaciekała, że postanowiłem odszukać swego sobowtóra, znając pana imię. Pomógł mi w tym mój krewny, sędzia przedwojenny w Wilnie, Bohdan Pławski, zamieszkały w tej chwili w Łodzi.

- Oto i cała historia. Proponuję spotkanie rodzinne dla nawiązania nowej ciekawej przyjaźni - zakończył swoje wystąpienie.

Naturalnie wyraziłem zgodę i w ten sposób do dzisiaj utrzymujemy przyjacielskie stosunki.

Powracam jednak do dziejów szczęśliwie kończących się przeżyć okresu wojennego. Uważam bowiem, że dopiero przystąpienie do pracy w swoim zawodzie postawi kropkę nad przeszłością, może i ciekawą ale nie nazbyt przyjemną.

No więc jestem w Lublinie.

Pożegnałem serdecznie Irenę Pławską, bez podawania sobie nawzajem adresów. Chyba oboje uważaliśmy wtedy, że epizod ten nie posiada większego znaczenia i na tym się nasza znajomość urywa. Resztą ileż ja miałem wtedy różnych spraw osobistych na głowie.

Teraz należało zrealizować następny punkt lubelskich zamierzeń. Trzeba odszukać miejsce zamieszkania Jarosza Stefana,

co nie było łatwe wobec braku dokładnego adresu. Nazwę ulicy znałem, szczęście, że była ona stosunkowo niedługa więc metodycznie od domu do domu sprawdzałem spisy lokatorów i badałem w miarę możliwości dozorców. Naturalnie i tu musiała się sprawdzić teoria o złośliwości rzeczy martwych, bo dom w którym zamieszkiwał mój przyjaciel znajdował się na samym końcu moich poszukiwań, gdy już niemal rezygnowałem z dalszego trudu. Na liście ujrzałem jego imię i nazwisko.

Stefana nie było w domu, jego żona, gdy wyjaśniłem kłopot i czego szukam, natychmiast serdecznie się mną zajęła.

Zajmowali na pierwszym piętrze wspaniałą pięciopokojową apartament, rozplanowany według wszelkich zasad kultury drobno-mieszczańskiej. Był więc salon-bawialnia ze staroświeckimi meblami, był gabinet pana z obszerną biblioteką na całej ścianie, była sypialnia o jednym ale szerokim, chyba ze trzy metry <sup>u</sup>żoży z pięknej połyskującej br<sup>a</sup>żowo-żółtej czeczotki.

No i naturalnie bogato wyposażone pomieszczenia gospodarcze. Czuło się dobrobyt i co tu gadać jakiś nowobogacki styl.

Oglądałem to wszystko po prostu z osłupieniem..Jak tu pogodzić ogólną biedę całej ludności z tak widocznym dostatkiem. Wyjaśnienie tego dylematu pozostawiłem do spotkania ze Stefanem. Tymczasem delektowałem się pyszną, mocną herbatą z konfiturami. Pani nie była zbyt rozmowna, wychodziła z pokoju, pozostawiając mnie często samemu sobie.

Mój przyjaciel stanowił kontrast na tle wspaniałego mieszkania. Gdy wszedł, jego żona poinformowała go o egzotycznym gościu, ujrzałem przed sobą niskiego, krępego pana o zaczerwienionej twarzy i zmierzwionych włosach. Jakiś cień abnegacji o-taczał tę postać. Poznaliśmy się natychmiast, mimo że ostatnie nasze spotkanie sięgało daleko wst<sup>e</sup>cz bo aż do 1934 czy 1935 r, to znaczy, że minęło już ponad 10 lat.

Powitanie "z <sup>u</sup>dpel<sup>u</sup>tówki", chwila oddechu, dyspozycje dla

zony odnoszące się do ugoszczenia mnie i zakwaterowania na dzisiejszą noc, bo trzeba zaznaczyć, że było już za późno na pociąg do Warszawy. Zresztą pozostało <sup>a</sup>nam ogromne zadanie złożenia relacji własnych przeżyć, a ja miałem jeszcze wysondować warunki bytowania w dzisiejszej rzeczywistości.

A jednak w dalszych rozmowach między nami wyczuwałem jakieś niedomówienia, cień nieufności mimo, że łączyła nas naprawdę szczerą, z czasów młodości przyjaźń.

Stefan, jako technik budowlano-drogowy był teraz właścicielem przedsiębiorstwa budowlanego, wykonując naprawy i remonty budynków i mieszkań, a ponieważ w tym czasie nie istniały jakieś szczególne obostrzenia finansowo-podatkowe, panował ogólny brak materiałów - ceny wykonawstwa były <sup>w</sup>wygórowane, stąd wysokie zarobki.

Zresztą przez całą niemal okupację niemiecką prowadził również zakład remontowy, który mógł prosperować jedynie przy współdziałaniu z władzami niemieckimi i stosowaniu wysokich łapówek. Drogą formalną nie było możliwe zaopatrzenie w materiały i narzędzia. Forsa przez cały czas płynęła drzwiami i oknami. Dziś nasze polskie władze nie udowodniły mu jakiegoś przestępstwa na szkodę Polski, nawet on udowodnił w jak wielkim stopniu udzielał pomocy finansowej i organizacyjnej naszemu ruchowi oporu w konspiracji. Myślę, że chyba trzeba mieć ogromne zdolności aby pogodzić własne potrzeby z potrzebami i interesem społecznym.

Długo w nocy trwały nasze pogawędki, bo przecież i ja miałem mu dużo do opowiadania. Na zakończenie udzielił mi kilka <sup>rad</sup>rad jak przy obecnym reżimie komunistycznym zachować się, ażeby nie stać się jeszcze jedną ofiarą prześladowań jakie dotknęły żołnierzy Armii Krajowej.

Powiedział mi wówczas ciekawą rzecz.

- Armia krajowa jest na indeksie, ale formalnie byli żołnierze Ak są chętnie zatrudnieni w różnych dziedzinach, oprócz

administracji. Należy się liczyć z możliwością inwigilacji po powrocie do domu. Ale... nie radził mi abym się ukrywał czy też się zatajał faktyczne dzieje swego życia z okresu okupacji i walki podziemnej.

On mi niestety jakichś konkretnych kierunków nie jest w stanie wskazać, bo to jest zależne od środowiska w jakim się będę obracał po powrocie do normalnego życia.

Dowiedziałem<sup>ym</sup> się o śmierci Tośka Grzymalskiego, który zginął w czasie ataku na gmach sejmu w powstaniu warszawskim.

O śmierci Olka kaleńskiego, którego gestapo przyłapało w czasie ucieczki w stronę granicy czeskiej i zamęczyło.

O wielkim awansie Lucia- Jana Czesława Pióro, który w stopniu podpułkownika Armii Polskiej uległ wypadkowi samochodowemu i teraz stał się kaleką na całe życie.

O moich rodzicach jakoś nie mogłem nic powiedzieć, całkowicie zerwał kontakty z chwilą wyprowadzenia się ich z mieszkania na Wilczej.

Ostatecznie obdarował mnie zupełnie przyzwyczajoną marynarką, wręczył mi jako bezzwrotną zapomogę pięć tysięcy złotych, gęsto się tłumacząc, że w tej chwili nie posiada zapasu gotówki. Naza jutrz z rana odprowadził mnie do taksówki, opłacił z góry za przejazd i kazał zawieźć na dworzec kolejowy..

Czy ja wiem co myśleć o tej wizycie? Na ogół nie byłem zbyt- nio zbudowany, ale cóż mogłem wymagać od człowieka, który przecież też ma swoje kłopoty i zmartwienia. Przepuszczałem, że kto jak kto ale Stefek pokieruje skutecznie moimi krokami ku normalizacji mego życia. Bóg z nim.

Kiedy wsiadłem do wagonu pociągu osobowego relacji Lublin - Warszawa, zorientowałem się, że przecież nie mam ważnego biletu kolejowego. PUR w Białej Podlaskiej zamiast mi dać bilet do Warszawy przez Lublin, dał mi tylko bilet do Lublina. Co teraz zrobić? Można by kupić w kasie, ale według planowanego rozkładu pociąg za

dwie minuty odjeżdża. Jakoś tam będzie.

Przedział w wagonie wypełniony.

Jakoś podejrzliwie obserwowali mnie wszyscy współpasażerowie, nikt jednak dyskretnie nie nawiązywał rozmowy. Po godzinnej co najmniej jazdy nastąpił moment krytyczny mojej kolejowej podróży. Konduktor zaczął sprawdzać bilety. Gdy mu podałem swoje dokumenty obejrzał je dokładnie, popatrzył życzliwie na mnie i powiada

- A biletu jak nie było tak niema
- Ano niema - odpowiadam
- Pan... zdaje się był tam daleko na wschodzie?
- Czy to daleko?... do podbiegunowego koła było jeszcze

sporo kilometrów.

- To tam musiało być bardzo zimno?
- Bo ja wiem? Czasem temperatura nie przekraczała  $-50^{\circ}\text{C}$ .
- Życzę miłej podróży aż do Warszawy.

Poszedł uśmiechnięty, świadom spełnienia dobrego uczynku. Napewno był przeświadczony, że nie było to ani przestępstwo z jego strony ani też akt łaski, ot po prostu ludzki odruch. Zachował się z pełną dyskrecją, mimo ogólnego zainteresowania obecnych w przedziale.

- Proszę pana - zwraca się do mnie starszy, nobliwie wyglądający pan - czy nie spotkał pan przypadkiem Sławka Bogusza? Taki sobie chłopaczek, teraz musiałby mieć już piętnaście lat. Matka wróciła do Polski a jego niema mimo, że razem ich wywieziono.

- Nie proszę pana... niestety nie spotkałem... zresztą Rosja jest ogromna, a obozów i miejsc zesłania tysiące... ludzi wywiezionych obliczają na ponad trzy miliony.

- Ale chłopiec - dodaję - na pewno wróci. Wszyscy Polacy w tym roku mają być repatriowani.

Były jeszcze pytania bardziej osobiste, jedne wpływały z ciekawości inne ze współczucia.

Jakaś staruszka chciała o coś zapytać, ale żzy jej uniemożliwiły wydobyc z siebie tych kilku słów.

- Nie płacz babciu, Jurek na pewno wróci - pocieszała ją mała dwunastoletnie dziewczynka.

Wreszcie wszyscy zamilkli, pozwalając mi się skupić w sobie i zastanowić się nad niezwykłością problemu zagubienia lub powrotu.

Pociąg wtoczył się na stację kolejową i zahamował przy peronach. Napis głosił: Warszawa - Wschodnia.

Był to koniec roku 1947.

Wyjście z budynku dworca na ulicę i pierwszy rzut oka na miasto, wywołały u mnie uczucie lekkiego zawodu. Oto otaczające budynki nie świadczyły o przejściu przez miasto apokalipsy, jaką rysowała moja wyobraźnia. Dzielnica Warszawy, jaką była Praga, zachowała nacgół wszystkie cechy ruchliwego przedmieścia z czasów przedwojennych. Może istotnie wiadomości, które do nas docierały były ogromnie przesadzone?...

Szedłem z falą ludzi w kierunku ulicy Targowej, nie reagując na natarczywe oglądanie się za mną przechodniów, których wyraz twarzy wyrażał zdziwienie ekscentrycznością mojego ubioru. Bo też było chyba czego się dziwić.

Oto mężczyzna o zarośniętej twarzy, w furazerne wojskowej typu sowieckiego, lecz bez znaczka, w letnim jasnym płaszczu z gabardiny, z pod którego widać spodnie z koca, z nożawkami wpuszczonymi w potężne brezentowe buty, na czarno ufarbowane cholewy.

Nie szedłem lecz człapałem, bo moje stopy tylko luźno tkwiły w ogromnych buciorach. Prawdopodobnie w innych okolicznościach wzbudziłoby to śmiech zarówno w oczach przechodniów jak i u mnie. Dziś to jednak wyglądało śmiertelnie poważnie. Były to czasy paradoksów, absurdów i tragicznych pomyłek.

Przy wejściu do tramwaju, wydawało mi się, że byłem przez

otoczenie wyraźnie honorowany, zresztą może to tylko moja imaginacja na tle zupełnie nowych dla mnie przeżyć. Trasa, jaką wtedy jechałem, wydawała mi się zupełnie obcą. Zewsząd rozwalone budynki, gruzowiska ogrodzone dla bezpieczeństwa przechodniów. Ulice zupełnie czyste, a wyrwy na jezdni naprawione. Ruch odbywał się prawie normalny, natężenie jego było dość znaczne, a ilość samochodów różnego rodzaju i typu budzić mogła podziw.

Przystanek na rogu Nowowiejskiej i Niepodległości był końcowym etapem mojej jazdy tramwajem. Pytając po drodze przechodniów dotarłem do osiedla drewnianych parterowych domków. Były one otoczone małymi działkami ogródków warzywnych i kwiatowych, dziś naturalnie w środku zimy w stanie letargu.

Znajdowałem się w osiedlu "domków fińskich", o czym się później dowiedziałem. W tym to osiedlu znajdował się domek moich rodziców.

Była wczesna ranna godzina, dzień świąteczny, chyba niedziela, 13 grudnia 1947 roku.

Domek, w moich oczach, przedstawiał się imponująco, co zwłaszcza w otoczeniu krzewów i młodych drzewek, które mimo szaty zimowej, z lekka przypruszone śniegiem, tworzyły specyficzną scenerię.

Stanałem z drżeniem serca, z jakimś lękiem lecz i podświadomą radością przed zamkniętymi drzwiami.

Głęboki oddech i energiczne przekręcenie dzwonka. Chwila ciszy. Słyszę posuwisty krok w bamboszach po drugiej stronie drzwi

- Kto tam? - to głos mojej matki.

- Jak to kto?,... Henryk...

- Jaki Henryk? .... - zdziwienie.

- No Henryk... Twój syn... z dalekiej podróży...

Cisza. Zamiast otwierania zamka u drzwi słyszę szybko oddalające się kroki i histeryczny krzyk.



A ja w dalszym ciągu stoję przed drzwiami.

- Już... już... - i znów głośny krzyk mojej matki.

- Stefciu!... o Boże... nie mogę otworzyć...

Wreszcie drzwi się otwierają a w nich dwie kochane postacie, matka i ojciec.

Trudno opisać radość powitania, spazmatyczny płacz matki, szloch ojca, a i mnie ten paroksyzm płaczu również opanował.

Ale w końcu wyplakaliśmy się dostatecznie wszyscy, bo należało przecież pomyśleć o zakrzątnięciu się wokół przywitania syna w jakiś bardziej konkretny sposób.

Śniadanie było bardzo uroczyste, a opowiadania wielogodzinne. Dowiaduję się, że żony i syny w Warszawie niema. Znajdują się u Drewnikowskich w szczecinie, gdzie mój szwagier posiada własną aptekę. Na telegraficzną wiadomość o moim powrocie natychmiast przyjadą do Warszawy.

Po pierwszych objawach euforii przyszedł czas poważnych refleksji nad ~~na najbliższą~~ przyszłością. Należało opracować plan na najbliższy okres. Dalsze zamierzenia trzeba rozważyć wspólnie z żoną po dokładnym zapoznaniu się z sytuacją i po nawiązaniu kontaktów z przebywającymi kolegami i przyjaciółmi w Warszawie.

Po kilku dniach witałem na dworcu głównym oczekiwanych z tak wielką niecierpliwością swoich najbliższych. Żona z dziewięcioletnim synkiem przybywali ze Szczecina na skutek telegraficznego wezwania.

Pierwsze zetknięcie nie przyniosło oczekiwanego wybuchu radości. Chłopiec naturalnie nie poznał ojca, no bo jednak w jego wieku te cztery lata mojej nieobecności to wystarczający okres aby zapomnieć.

- Jurek! to twój tatuś... nie poznajesz? Przywitaj się, przecież tak czekałeś kiedy tatuś wróci...

~~Ratna~~ Pędem rzucił się na szyję i w ten sposób zawarliśmy ze sobą nową znajomość i dał Boże nową przyjaźń. Stał teraz obok i przypatrywał się jak matka witała ojca ze łzami w oczach.

Po powrocie do domu odbyła się narada rodzinna, wynikiem której był cały szereg decyzji określających dalszy tok postępowania.

Cały miesiąc poświęciłem na podróże po Polsce w poszukiwaniu pracy. Nie wynikało to stąd, że były określone trudności w jej uzyskaniu, lecz po prostu chodziło o wyszukanie najbardziej intratnego miejsca.

No więc, z polecenia znajomego jeszcze z okresu okupacji niemieckiej w Wilnie, Józefa Wirowskiego, naczelnika wydziału w Ministerstwie Ziemi Odżykanych, próbowałem zainstalować się jako kierownik nadzoru budowlanego w Urzędzie Wojewódzkim w Elblągu, niestety nie udało się, bo ówczesny wojewoda nie mógł mi zagwarantować odpowiedniego mieszkania.

Byłem w Szczecinie z listem polecającym wice ministra Żeglugi do Zarządu Portu i zdawało się, że tam się zaczepię, lecz i tu kazali mi czekać na wolne mieszkanie aż trzy miesiące, a ja nie miałem na to czasu.

Wreszcie, po dyskusjach i ulegając radom kolegów z dawnych warszawskich czasów, inżynierów Aleksandra Taffa i Zygmunta Budzyńskiego, przy ich zdecydowanym poparciu, zaangażowałem się do swego macierzystego zakładu pracy, to jest Dyrekcji Wodociągów i Kanalizacji w Warszawie.

I tu należałoby na tym zakończyć dzieje tak ściśle związane z okresem drugiej wojny światowej, w którym życie moje i mojej rodziny miało niejednokrotnie momenty tragiczne.

Istnieją takie poglądy, że czas tej wojny to okres wykreślony z życiorysu, że jest on w swej istocie regresem w rozwoju intelektualnego i zawodowego życia jednostki. Wydaje się, że trąci to filozofią typu "co by było gdyby było". Kto wie czy

zupełnie nowe elementy w życiowym doświadczeniu nie stanowią kapitału, który może wysoko procentować w dalszej organizacji swego życia.

Dla ilustracji końcowych dni spędzonych na terenie ZSRR zamieszczam treść listu mego przyjaciela i towarzysza obozowego do mojej żony zaraz po jego powrocie do Ojczyzny, gdy mnie jeszcze zatrzymano w przejściowym obozie w Brześciu n/Bugiem.

List Witolda Kiewlicza do mojej żony.

4.XII.1947 r.

Szanowna Pani!

Już raz pisałem do Pani z Białej Podlaskiej. - myślałem że przejdzie tydzień lub dwa i Henryk przyjedzie do domu, a tymczasem trzymają ich wciąż w Brześciu. Trzy dni temu dowiedziałem się od tych którzy ostatnio przybyli do Polski, że mąż Pani wraz z grupą wileńsko-lwowską siedzą, czekając na załatwienie formalności opcji. Niech się Pani nie martwi za nadto, Henryk wróci - wróci gorsi! Robiono o nich t.j. tych pozostawionych starania, a władze sowieckie naszym władzom odpowiedziały stereotypowym: że "przyjadut, dieło idiot, rozsmatrim" Tyle oficjalnych wiadomości. Więcej na pociechę powiedzieć nie mam nic Pani. Jak dotąd Henryk jest zdrow i trzyma się dobrze, a że nerwy ponoszą to rzecz zrozumiała. Jest to mój przyjaciel, człowiek bardzo dobry i szlachetny, bardzo do Pani i do Jurka przywiązany - zasługuje więc aby Pani czekała i pomartwiła się o niego trochę. Wybieram się do Warszawy więc wstąpię do Pani i zdam relację o Henryczku, a może Bóg da, że pierwszej przyjedzie on. Proszę nie zapomnieć o podaniu do PUR swego adresu, bo on nie ma pojęcia gdzie Pani mieszka. Ja znalazłem tam Pani list, ale do tego czasu mógł się on zawieruszyć, więc dobrze by było przypomnieć im.

Serdecznie pozdrawiam. Witold Kiewlicz.

Na tym kończę swoje wspomnienia z dziejów mojego życia w okresie II-ej wojny światowej. Nie mam zamiaru tworzyć jakiegoś mitu bohaterstwa wobec swojej osoby. Nie chcę głosić jakichś idei męczeństwa bo nie posiadam żadnych do tego uprawnień moralnych. Podałem fakty, które w zasadzie są zgodne z rzeczywistością, chociaż w szczegółach mogą odbiegać od właściwej faktografii i scenerii. Zastrzeżenie to pragnę złożyć aby uchronić się przed niepotrzebnym podejmowaniem dialogu. Będę natomiast wdzięczny za zgłoszenia uwag i sprostowań, które ewntualnie można będzie uwzględnić w następnym wydaniu książki.

W części aneksowej niniejszych wspomnień zamieszczam tekst kilku pieśni i piosenek, które śpiewaliśmy w chórze lub pojedynczo, oraz kilka utworów autorstwa obozowego. Niezależnie od formy literackiej mogą one stanowić uzupełnienie charakterystyki życia i środowiska.

- k o n i e c -

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Zakończono prace autorskie w 1979 roku.